

EMMA DARWIN

Matematyka miłości

Dla Hugha i Lucie

Lecz czy wszystkie te nowe cuda nie muszą ustąpić przed najbardziej zadziwiającym, najbardziej niepokojącym ze wszystkich: tym, który pojawia się na końcu, by dać człowiekowi moc tworzenia, wcielania w materię nieosiągalnego ducha, który rozwiewa się, ledwie zaistniawszy, nie zostawiając po sobie cienia w lustrze, drżenia na wodzie stawu?

Nadar, Quand j'etais photographe, 1899 r.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Percepcja staje się językiem (...) To, co uważamy za percepcję, w o wiele większej części jest jedynie ciałem idei obudzonych pod jej wpływem.

Thomas Wedgwood, Essay on Vision

Rozdział 1

Lancashire, 1819 r.

Gdyby mnie tam nie było, żadna relacja, czy to pisemna, czy z ust świadków, nie przekonałaby mnie, że to wszystko wydarzyło się naprawdę.

Przybyłem do domu Durwardów poprzedniego wieczora, a rankiem pan Durward poczuł się tak zaniepokojony, że wcześniej udał się do drukarni. Starsza jego córka, panna Durward, nie była obecna w domu, a w miarę upływu czasu młodsza córka, pani Greenshaw, nie zdołała dłużej ukrywać niepokoju o siostrę. Robiła nierówne ściegi i nawet wyraziła głośno wątpliwość, czy powinna posłać po swego syna Toma, który zażywał ruchu w ulubionym lesie. W tym wypadku niepodobieństwem było dla mnie nie zaofiarować swych usług w sprowadzeniu panny Durward do domu. Muszę tu nadmienić, że pani Greenshaw była młodą wdową, ja zaś przybyłem do Lancashire z zamiarem obudzenia w niej skłonności do mnie - choć ubieraliśmy ten fakt w inne słowa.

Moja propozycja została przyjęta z ulgą i wdzięcznością. Powierzono mi misję: muszę odszukać w mieście pannę Durward w domu jej dawnej piastunki pani Heelis na Dickinson Street, nieopodal St Peter's Field, gdzie miało się odbyć zgromadzenie, będące przyczyną całego niepokoju. Chodziły słuchy, że burmistrz już zbiera oddziały obywatelskie, by rozpedzić wiec. W całym mieście każdy sklep, jaki dostrzegłem, miał wystawę zabitą deskami, każde okno było zasłonięte okiennicami, a gdyśmy byli jeszcze daleko, dorożka utknęła w zbitej ciżbie, która otoczyła nas zewsząd. Zapłaciłem i ruszyłem dalej pieszo po rozpalonej ulicy, otoczony tłumem niemal tak gęstym jak ten, do którego widoku przywykłem w Hiszpanii, aczkolwiek raczej barwniejszym i znacznie bardziej dobrotliwie usposobionym. Gdym dotarł do przestronniejszych okolic nieopodal Dickinson Street, tłum stał się jeszcze gęstszy. Porzuciłem wszelką nadzieję, iż zdołam dotrzeć do mego celu prostą drogą, i jałem okrążyć zgromadzonych. Koszule, skórzane fartuchy, spódnice i niedzielne fartuszki trudno by porównać do mundurów kompanii czy regimentów, lecz trąbek i bębnow nie brakowało, a flagi, czy też raczej sztandary, powiewające wysoko w drgającym z upału powietrzu były równie dumne jak flaga gwardii. Z wielkim zadziwieniem ujrzałem też dwie blaszane, czerwone jak krew czapki

frygijskie, kołyszące się na palach nad moją głową. W rzeczy samej, ci robotnicy z walcowni i przędzalni nie byli być może z tej samej krwi co moi łagodni rodacy z Kersey, lecz nigdy nie dałbym wiary, że jakikolwiek Anglik z własnej woli będzie obnosić tak haniebną symbol rewolucji i zagranicznej tyranii.

Jak można się było spodziewać, od długiej drogi i powolnego przedzierania się przez tłum zaczęła mi dokuczać noga, pomimo laski potykałem się, usiłując znaleźć przejście między ludzkimi ciałami a żelaznymi balustradami. Ryk, wiwaty i krzyki, a także zgiełkliwa muzyka trwały niczym namacalna materia, równie uporczywa jak mgła potu i tłustego pyłu, w której wszyscy się poruszaliśmy. Nad czapkami, kapeluszami i futrzanymi kołpakami ujrzałem małą grupę - w której znajdowały się także i damy - na dwóch, jak się wydawało, drabiniastych wozach, połączonych w jedną platformę. Jeden mężczyzna zdawał się przemawiać, choć jedynie nieliczni mogli usłyszeć jego słowa, reszta zaś, zniecierpliwiona, burzyła się i szumiała.

A potem z lewej strony - z południowego zachodu - usłyszałem nadciągającą galopem kawalerię. Zjawili się w złamanym szyku, z dobytymi szablami, tnąc bez wyboru mężczyzn, kobiety i dzieci. Niektórzy usiłowali uciekać, inni stawili im czoło. Widziałem, jak pewien konstabl pada u stóp kawalerzysty, który uniósł buławę jak pałkę. Obok mnie na ziemię osunął się młokos z zakrwawioną twarzą; chwyciłem za uzdę konia jeźdźcy, który zadał cios.

- Panie, na litość! - krzyknąłem. - Dajcie im czas, by ustąpili! Nie traktujcie ich!

Spojrzał na mnie, lecz nie miałem munduru, nie będąc już w służbie. Wyszarpnął cugle z moich rąk.

- To Billy Kirby! - odezwał się dziewczęcy głos. - Billy, to my! Nie skrzywdzisz swoich!

Ale jeździec nie mógł lub nie chciał opanować konia i dziewczyna upadła pod kopytami.

Ruszyłem przed siebie, lecz odtrącił mnie na bok potężny mężczyzna w stroju kowala. Spieszyło mu się wyrwać żelazne pręty z ogrodzenia za moimi plecami. Nawet po tych paru latach praktyki nie jestem tak zręczny jak człowiek o dwóch własnych nogach. Runąłem jak długi, a kiedym się zdołał podnieść, kawaleria już utorowała sobie drogę szablami i pałkami w gradzie kamieni, cegieł i żelaznych

prętów. U moich stóp leżała niewiasta z dłońmi przyciśniętymi do piersi; spomiędzy jej palców płynęła krew, a żalosne jęki świadczyły o ogromie cierpienia. Jednak gdy się rozglądał, skąd sprowadzić pomoc dla nieszczęsnej, jej głos ucichł. Ukląknął przy niej tak szybko, jakem tylko potrafił, lecz była już martwa, jak moi żołnierze pod Badajoz.

Tłum zaczął się rozpraszać. Po drugiej stronie placu widziałem oddział husarii, torującej sobie drogę wśród poległych i płazującej opieszale, by tym prędzej wracali do dworów, fabryk i wiosek, z których przybyli. Ludzie uciekali, potykając się z trwogi, lub też szli powoli, ociężałe jak jeńcy wojenni, ciągnąc między sobą rannych. Jedynie paru nieustraszonych młokosów odwróciło się, by po raz ostatni cisnąć kamieniem.

Kobiecie u moich stóp nic już nie mogło pomóc. Rozejrzałem się. Byłem niemal w okolicach Dickinson Street. Kiedym sobie usiłował przypomnieć, który z małych domków jest tym, którego szukam, drzwi jednego otworzyły się i po schodkach zbiegła dama, wołając:

- Tom! Tom!

- Panna Durward? Zatrzymała się.

- Błagam o wybaczenie. Jestem major Fairhurst. Przybyłem zeszłego wieczora. Matka pani prosiła, bym towarzyszył jej w drodze do domu.

- Ach... tak... Tom przepadł!

- Tom? Tom Greenshaw? Więc był tutaj?

- Tak - rzuciła bez tchu. - Przyszedł tu za mną dziś rano. Zdawało się, że bezpieczniej będzie zatrzymać go z nami, lecz nie miałam sposobu powiadomić o tym Hetty, pani Greenshaw. Na widok tych zatraconych żołnierzy wybiegł z domu. Nie spostrzegłam tego! Przepadł!

- Odnajdziemy go - zapewniłem. - Nie mógł ujść daleko w tak gęstym tłumie.

Bez słowa ruszyła na plac. Ci, którzy mogli się sami poruszać lub mieli przyjaciół, którzy ich wspomogli, odeszli. Ujrzałem porzucone pałki, czepki, chodaki, stratowaną czapkę frygijską, szkarłatny bąk dziecinny. Pod troskliwie rozłożonym sztandarem leżała nieruchoma postać - zbyt duża na zaginione dziecko - a wyhaftowany czerwoną włóczką napis głosił: „Pozwólcie nam umierać jak ludzie i nie sprzedawajcie nas jak niewolników”.

Za naszymi plecami porucznik osiemdziesiątej ósmej dywizji kawaleryjskiej zawołał:

- Znowu zamieszki! Ruszać!

Husarze przyciągnęli dwa działa. Krzyknąłem do panny Durward, że musi się ukryć, lecz nie zdołałem do niej dobiec na czas. Jednak przy wystrzale ledwie się wzdrygnęła i dalej metodycznie przeszukiwała plac, nawołując chłopca. Dotarła do trybuny i tam go znalazła, leżącego niemalże pod kołami.

Uklękła z okrzykiem. Dziecko leżało w niewygodnej pozycji, przygniatając ciałem wykręconą rękę, w spencerku oblepionym błotem i ziemią. Jednak nie widziałem żadnych ran, z wyjątkiem siniaka na bladym policzku.

- Oddycha - rzekła panna Durward i usiłowała go do siebie przygarnąć. - Jak mam o tym powiedzieć Hetty?

Usiłowałem jej przeszkodzić, lecz odepchnęła moje ręce.

- Nonsens! Nie jest dla mnie zbyt ciężki. Jestem silna.

- Możliwe - powiedziałem. - Lecz sądzę, że tłum go stratował. Musimy obchodzić się z nim jak najostrożniej. - Wyrwałem deskę z mównicy i położyłem ją na ziemi. - Musimy wnieść go do domu, a ja sprowadzę lekarza.

I tak kuternoga i dama zaczęli dźwigać stratowane dziecko w gorących, pylistych podmuchach wiatru, rzucającego w jego nieprzytomną twarzyczkę porzucone chusteczki i zmięte ulotki.

Zanim wróciłem z wiadomością, że jedyny lekarz, jakiegom znalazł, obiecał zjawić się dopiero o zmroku, przybył służący Durwardów. Był to ten sam, który wpuścił mnie do domu.

- Niech mi będzie wolno spytać, czy mam przed sobą majora Fairhursta? Pani Greenshaw kazała mi przynieść wiadomość, że panicz Tom uciekł, na wypadek, gdyby tu trafił - rzekł. - Powiedziała, że mogę tu pana znaleźć, i poleciła mi pana odszukać, lecz jakiś chłystek agitator ukradł mi konia. Panna Durward pisze list. - Skinąłem głową z ulgą, iż przynajmniej nie usłyszałem, że wydarzyło się najgorsze, i wspiąłem się po schodach jak mogłem najszybciej. Zapukałem do drzwi najlepszej sypialni.

Tom nadal leżał bez przytomności, bezwładny i wyprostowany pod jednym cienkim prześcieradłem, gdyż pokój znajdował się na poddaszu i w sierpniu panował w nim nieznośny upał. Chłopiec miał ciemne włosy swej matki, zlepione błotem, jego twarz zaś powlekała

śmiertelna bladość. Piastunka - pani Heelis - o oczach czerwonych od łez, lecz szybkich i sprawnych ruchach pomarszczonych dłoni, ocierała mu czoło. Panna Durward siedziała przy oknie, pospiesznie pisząc na arkusiku, najwidoczniej wyrwanym ze szkicownika, który leżał nieopodal. Przekazałem słowa doktora.

- Nie jest tu znany, praktykuje w Shrewsbury, więc nie ma nadmiaru pacjentów. Jednak zdaje się mieć wielkie doświadczenie - paru dżentelmenów, których radziłem się po drodze, dobrze go znało.

- Dziękuję - powiedziała panna Durward. - Piastunka robi, co może... czyli niewiele, skoro nieznana jest nam natura jego obrażeń. Postanowiłyśmy nie cucić go solami ni palonymi piórami na wypadek, gdyby kichnięcie lub kaszlnięcie miało mu zaszkodzić.

- Czy skończyła pani pisać? - spytałem. - Na ulicach się uspokoiło, powinno być bezpiecznie, jeśli wasz człowiek nie będzie zwlekać.

- Tak - powiedziała. Spokojną dłonią skapnęła na papier kroplę wosku i przyłożyła do niego pieczęć, równie zgrabnie jak każdy urzędnik.

- A może sam go zawiozę, jeśli pani zdaniem pani Greenshaw... oraz rodzice pani... poczują się dzięki temu spokojniejsi.

- Nie - odezwała się piastunka, prostując się i wycierając ręce w fartuch. - To może zrobić James. Proszę zabrać pannę Durward na dół, jeśli łaska, i dopilnować, by napiła się herbaty. - Panna Durward wstała, zrobiła krok i zatrzymała się bezradnie przy łóżku. - Proszę iść, panienko, skarbie. Napisała pani do panienki Hetty... czy też raczej pani Jackowej... a tego bym zrobić nie mogła, nie tak jak panienka. Panine mitręzenie w tym pokoju nie pomoże temu słodkiemu jagniątku nic a nic. Zawołam, jeśli będzie mi co potrzebne.

Towarzyszyłem pannie Durward w drodze do schludnego saloniku na parterze. Tuż za progiem osunęła się niespodzianie na najbliższe krzesło i rozsłochała się, więc to ja musiałem ruszyć na poszukiwanie pokojówki, którą w imieniu panny Durward poprosiłem o herbatę. Wróciwszy, zastałem pannę już spokojniejszą, jakby nie miała w zwyczaju płakać często ni długo. Gdy podano herbatę, wyprostowała się i otarła oczy, lecz nie uczyniła nic, by doprowadzić do porządku rozwichrzone i zakurzone włosy, i nadal wydawała się tak bardzo nieswoja, że osobiście nalałem jej filiżankę herbaty i zaniósłem do krzesła przy drzwiach, gdzie siedziała.

- Dziękuję - powiedziała cichym głosem. - Przepraszam. Tom jest żrenicą oka Hetty, a także moich rodziców. Od śmierci Jacka i straty... i tamtej niedyspozycji, Hetty ma tylko jego, i gdyby... - Podniosła na mnie oczy. - To niemądre, lecz nie mogę zapomnieć, że w przyszłym tygodniu są jego urodziny. Hetty przygotowuje najróżniejsze przysmaki. Gdyby... Och, gdyby mogła tu być!

- Pani Greenshaw oczywiście nie mogłaby przyjechać. Lecz... może pani Durward?

- Moja matka przyjechałaby, gdyby to było możliwe. Jak pan sądzi, czy to bezpieczne?

- Nie sposób orzec. - Wstałem i wyjrzałem przez okno. Na stratomanej ziemi nie było żadnych ciał, choć plac nadal zaścielały porzucone afisze, cegły, deski, laski i zbroczone krwią chusteczki. Z dala dochodziły odgłosy walki i strzałów z muszkietów. Na skraju placu grupa mieszczan i dżentelmenów spieszyła ku bramie Dean's Gate, otoczona oddziałem, jakem mniemał, konstabli, dwukrotnie od nich liczniejszych. - Może być zupełnie bezpiecznie, choć nie doradzałbym podróży żadnej damie. Lecz... - Tu wypilem herbatę jednym łykiem, gorzko żałując, że nie jest to brandy czy choćby zimna woda. Panna Durward nie spuszczała ze mnie spojrzenia. - Przez dziesięć lat w wojsku nie widziałem nic podobnego. Żeby żołnierze - ludzie tacy jak moi - trawili spokojnych obywateli, własnych rodaków...

- Ale mówił pan, że to oddziały obywatelskie, nie zawodowi żołnierze.

- Tak, w głównej mierze. Nie mogą mieć prawdziwych dowódców. Jednak mimo to...

Nie odpowiedziała wprost.

- Ci ludzie nie mogli uciec. Nawet gdyby chcieli. Siedziałam przy oknie na piętrze, by lepiej widzieć. Z placu jest tak niewiele dróg wyjścia. Kobiety... chłopcy... dzieci... Och! Ten widok budzi we mnie taką złość... Ale dla człowieka pańskiej profesji nie może być nowością.

- Nie, gdy idzie o rozlew krwi. Lecz na polu bitwy chodziło o wroga albo o ludzi, którzy go ukrywali. Moglibyśmy... - Myśl ta nie miała pełnego kształtu, a zresztą i tak urwała się na dźwięk głośnego pukania do drzwi frontowych. Mężczyzna spytał pokojówkę o

potwierdzenie - które otrzymał - że to do tego domu major Fairhurst wezwał lekarza. Pospieszyłem mu naprzeciw. Doktor wysiadał z powozu, kołyszącego się pod znacznym ciężarem jego ciała. W ślad za nim wypadło parę książek, ustawionych przy otwartych drzwiach.

Panna Durward powitała doktora, któremu stangret pomógł wejść po schodach, i zaprowadziła go na piętro tak szybko, jak pozwalały jej na to dobre maniere i jego korpulencja. Zostałem sam, kontemplując stygnący imbryk i zniszczone, lecz nieskazitelnie czyste meble, wyszywane makatki z przysłowiami i szlaczkami oraz tani oleodruk przedstawiający parę królewską wraz z potomstwem, pochodzący chyba sprzed wielu lat, gdy w dzieciach można było jeszcze dostrzec powagę i niewinność, a w ojcu - zdrowe zmysły. Wśród obrazów, którymi pani Heelis ozdobiła swój salon, najbardziej przykuwały uwagę szkice. Oglądając uroczy portrecik pani Greenshaw, dostrzegłem napis: „Pani Jackowa, dla kochanej Niani”, oraz inicjały „L.D.”. To panna Durward własną ręką zrobiła ten szkic swojej siostry. W błędnym świetle srebrne linie ołówka zdawały się wyczarowywać życie z szorstkiego, kremowego papieru, podczas gdy różane policzki tej samej damy sportretowanej na niewielkim obrazku olejnym nieopodal wydawały się jedynie kolorowe. Czy panna Durward była bardziej utalentowaną rysowniczką niż malarką? - zastanawiałem się, szukając zajęcia dla umysłu znękanego wypadkami, lecz na próżno. Czy to umyślne pominięcie tak ważnego narzędzia - koloru - sprawiało, że widz obdarzał portretowaną uczuciem i w ten sposób wizerunek zyskiwał życie? Podążając za liniami ołówka - tu znaczącego cień, tam akcentującego rzęsy - nieomal widziałem się rękę, która je kreśliła. Twarz pani Greenshaw była bardzo młoda i bardzo ładna, tak jak mnie zapewniono. Zapewniono mnie także, że jej niedyspozycja - i rozpacz po śmierci męża - wkrótce ustąpią, jej rekonwalescencję zaś przyspieszy wizja zaręczyn. Jeśli tak było, to jej jedyne dziecko, ten strатовany chłopczyk, który leżał teraz w sypialni na piętrze, miało się stać moim dzieckiem.

Myśl o posiadaniu dziecka, które jednak będę mógł nazywać swoim, była niemal ponad moje siły. Wzburzenie moje przypisywałem wydarzeniom tego dnia i okolicznościom, w których się znalazłem. Opanowałem się i raz jeszcze spojrzałem na szkic. Podążając za ruchami siostrzanej ręki, widziałem się twarz

portretowanej jakby jej oczami. Czym jest dla nas prawdziwe życie, zadumałem się, skoro można je przedstawić takimi środkami? I czymże jest takie życie wobec śmierci?

Drzwi się otworzyły i do salonu wszedł doktor. Myśli moje natychmiast powróciły do rzeczywistości.

- Co z nim?

- Odzyskał zmysły - powiedział doktor. Głos miał bardzo piskliwy jak na człowieka tak tęgiego i barczystego, lecz przemawiał z wielkim spokojem i władczością. - Nigdy nie poruszam takich spraw w obecności dziecka. Panna Durward zaraz zejdzie.

- Więc was zostawię - rzekłem, lecz w tej właśnie chwili na schodach rozległy się kroki i sama panna Durward pojawiła się w pokoju.

- Proszę nie odchodzić - rzuciła szybko. - Doktorze, co pan sądzi?

- Wszystko jest możliwe. Ma poważny wstrząs mózgu, lecz kość ręki jest jedynie pęknięta. Ma też obrażenia wewnętrzne. Jednak sądzę, że można liczyć na jego wyzdrowienie. Nie znajduję dowodu, żeby któryś organ... - Zawahał się.

- Proszę mówić - ponagliła panna Durward.

- Sądzę, że dzięki zdrowemu rozsądkowi majora Fairhursta - i pani - obrażenia wewnętrzne nie pogłębiły się. Na ile mogę stwierdzić, wszystkie jego organy są nietknięte. Gratuluję, majorze.

- Mam niejaki doświadczenie z ranami.

- Zapewne nie tylko od kul muszkietów i szabli.

- Te z pola bitwy są jeszcze najmniej poważne - powiedziałem.

Skinął głową i znów zwrócił się do panny Durward.

- Więc możemy ufać w jak najlepszy rozwój sytuacji. Niefortunnie się składa, że pani siostra nie może przyjechać. Mali chłopcy potrzebują matek... Lecz ma pani całkowitą rację: z tego, co słyszałem o kondycji pani siostry, wnoszę, że krok taki byłby w najwyższym stopniu nierozważny. Z pewnością chłopiec będzie szczęśliwy, mając panią przy sobie. A teraz powiem, co powinna pani uczynić, i pozwolę sobie wyrazić całkowitą pewność, że sprawy przybiorą jak najszcześniejszy obrót.

Panna Durward, której ta diagnoza zdjęła spory ciężar z serca, odzyskała panowanie nad sobą.

- Czy poczęstuje się pan herbatą? Tom śpi, niania nad nim czuwa.

Imbryk był pusty. Panna Durward zadzwoniła, ale pokojówka się nie zjawiała, więc wyjąłem imbryk z jej rąk i ruszyłem na poszukiwanie kuchni.

Kiedy wróciłem, panna Durward mówiła:

- Mój ojciec i ja także interesujemy się mechaniczną reprodukcją oryginału, choć jego zainteresowanie wynika raczej z pobudek komercyjnych niż artystycznych.

Doktor usadowił się wygodnie i przyjął wielki kawał śliwkowego placaka niani, choć zauważyłem, że panna Durward niczego nie tknęła.

- Kluczem zdaje się wiedza, które substancje są wrażliwe na oddziaływanie światła i jakie reakcje powoduje owo światło. Mój szwagier Thomas Wedgwood był bardzo zaabsorbowany tą kwestią. Sądzę, że wiedzą na ten temat prześcignął wszystkich. - Doktor urwał, ale po chwili mówił dalej. - Zmarł przed dwoma laty, lecz Instytut Królewski wydał jego pracę... a raczej pracę mego przyjaciela Davy'ego na temat jego osiągnięć. Jeśli pani ojciec nie posiada tego rocznika „Kroniki” - zdaje się, że pochodzi z roku drugiego - mogę mu udostępnić egzemplarz. Teraz pora już na mnie. Zatrzymałem się w „Koronie”, jeśli będzie mnie pani potrzebować, choć nie spodziewam się tego. Gdyby mnie nie było - muszę się spotkać z paroma nędznikami - to mój służący będzie wiedział, gdzie mnie szukać.

- To nie są nędznicy - wtrąciłem.

- Mówię o urzędnikach miejskich i ich sługusach. Narobili, zdaje się, diabeł... dużego bałaganu. Ale któryś z tej bandy zwiedził się, że zamiast bezpiecznie siedzieć w Shrewsbury, zjechałem do miasta, więc dostałem wezwanie do paru łóż boleści. Poza tym nawet niektórym z tych, którzy się sprzeciwiają reformom, można utoczyć krew, a ja jestem zobowiązany pomagać w miarę możliwości każdemu.

- Będę się modlić o wyzdrowienie Toma - powiedziała panna Durward, odprowadzając go do drzwi.

- No tak, z pewnością to pomoże. Jednak warto się też trzymać moich wskazówek. - I z tymi słowy wspiał się po schodkach powozu i odjechał. Z daleka nadal słyszeliśmy odgłosy bitwy, rozkazy, krzyki strachu i buntu i brzęk tłuczonego szkła.

- Co można zrobić dla chłopca? - spytałem, zamknąwszy drzwi.

- Tylko podawać mu lekarstwo, gdy się obudzi, i przez parę godzin nie ruszać go z łóżka. Niewiele nam pozostało, jedynie czekać... Muszę wysłać kolejną wiadomość do Hetty.

- Jeśli napisze ją pani teraz, zabiorę ją ze sobą - rzuciłem, gdy ruszyła po schodach. Nie potrafiłem sobie wystawić, jakie cierpienia musi przeżywać pani Greenshaw, i teraz, gdy moja pomoc nie była tu już konieczna, w pierwszym odruchu zapragnąłem jak najszybciej dostarczyć jej te dobre wiadomości.

Panna Durward odwróciła się.

- Och... pan odjeżdża?

- Tak. Robi się późno.

- Nie mógłby pan zostać? Proszę mi wybaczyć, ale tak bardzo pragnęłabym mieć przy sobie pana, nie służącego, w razie gdyby Tom... gdybyśmy potrzebowali pomocy. Nie mam prawa prosić pana o to, ale... - Wydawała się tak bardzo podobna do swej siostry, z takimi samymi ciemnymi włosami i błękitnymi oczami, lecz wyższa i o wiele drobniejsza. Było w niej jakieś napięcie, które mogło się zrodzić z obecnej sytuacji. W przyćmionym świetle, bez mocnych rumieńców i pulchnych policzków pani Greenshaw, które tak podziwiałem wczoraj przy świetle świec, wyglądała na wątłą i chorą.

- Chętnie zostanę, jeśli się na coś przydani - rzekłem - lecz nie sądzę, żeby pani matka wyraziła zgodę.

- Jest tu niania, a ja nie jestem już dziewczynką. Jeśli mama będzie niezadowolona, będzie musiała sama po mnie przyjechać.

W głębi domu rozległ się hałas i trwożny krzyk pokojówki. Oboje odwróciliśmy się jak frygi. Dałem pannie Durward znak, by pobiegła na górę, ja zaś ruszyłem do kuchni, ale panna nie usłuchała. Okazało się, że do domu wtargnął nie buntownik, lecz służący Durwardów.

- Wróciłbym szybciej, ale w całym mieście nie idzie znaleźć ni jednego powozu czy konia, panienko... panie majorze... a do domu będzie z pięć mil. Pani powiedziała, że mam tu wstąpić i przynieść wieści, kiedy przestanę być potrzebny.

Panna Durward miała rację - pozostało nam jedynie czekać. Poszła na górę, by napisać drugi list do pani Greenshaw z relacją o

wizycie doktora, ja zaś wróciłem do salonu. W kącie stał mały stolik z kałamarzem i papierem, więc by się uspokoić, usiadłem przy nim, chcąc napisać do mojego zarządcy w Kersey w paru

pomniejszych sprawach. Aczkolwiek nie wierzyłem krążącym po mieście wieściom, jakoby dzisiejsze wypadki stanowiły początek rewolucji, a tym bardziej, że dosięgnie ona szybko zasobnych i spokojnych pól Suffolku, zasugerowałem, by nie zostawiał bez odpowiedzi żadnych uzasadnionych skarg chłopów ni służby i by wszelkie wywrotowe skłonności dusił w zarodku.

Zapieczerowałem list i siedziałem, znużony zamieszaniem i strachem, nasłuchując ciszy na dworze. Z czasem wróciła do mnie moja ukochana, tak rzeczywista, że ręce same mi się wyciągnęły ku jej rękom, moje usta poczuły cień jej warg, a moje ramiona zatęskniły za nią.

Zmierzchało już, gdy niania uparła się przysłać mi zimne mięso, chleb i ser.

- Przepraszam, że nie ma nic więcej - powiedziała, wchodząc do pokoju za służącą i czujnym okiem doglądając wszystkiego - lecz obiad był w południe, a przez to zamieszanie w spiżarni nic więcej już nie zostało.

- To aż nadto - powiedziałem - a skoro tyle macie, nianiu, na głowie... czy panna Durward już jadła?

- Wkrótce zejdzie. Ja posiedzę przy tym słodkim jagniątku. Panienka musi coś zjeść.

- Czy pani Durward pochwaliłaby moją obecność? Niania przycięła knot lampy i nałożyła klosz.

- Tak lepiej. Proszę się nie martwić, pani Durward wie, że tu jestem, a skoro jest, jak jest, z pewnością nie miałyby obiekcji. A o czym świat nie wie, to go nie zaboli, jak powiadają. Panna Lucy zawsze robiła wszystko, co chciała, już od dzieciństwa, i nigdy nie zważała na złe języki. Jeśli miałam ją ściągnąć z wielkiego dębu w ogrodzie, mogłam wołać dziesięć razy, wszystko na nic. Potem przepraszała, ale nikt nie mógł jej powstrzymać. Mówiła, że stamtąd lepiej widać, pomimo tych liści. Panna Hetty to całkiem inna historia. Jej nigdy by się nie przydarzyło podrzeć najlepszej sukienki, gdy przelażała przez furtkę, o to można było być spokojnym. Będzie pan z niej dumny, niech ją Bóg błogosławi. I z panicza Toma, jeśli Bóg go zachowa. A teraz, jeśli pan pozwoli, zawołam panienkę Lucy na kolację.

Tak jasna aluzja do powodów mego przybycia do Lancashire nieco mnie zażenowała. Panna Durward weszła, a ja unikałem jej

wzroku. Wydawała się jedynie zniecierpliwiona, gdy wstałem, by podsunąć jej krzesło. Nie jadła zbyt wiele, lecz rzuciła się na jedzenie równie energicznie - choć z większą elegancją - jak każdy żołnierz, który po trzech dniach suszonego mięsa i garści mąki dostał chleb i ser. Podniosła wzrok i ujrzała mój uśmiech.

- Myślałem właśnie, ile razy podczas kampanii marzyliśmy o takiej kolacji - wyjaśniłem, by nie zrozumiała źle mego rozbawienia. - Zdaje się, że często prześcigaliśmy nasze wozy z żywnością albo wręcz je gubiliśmy.

- Jakże panu zazdroszczę, że poznał pan Europę - powiedziała ona. - Czy miał pan czas podziwiać okolicę?

- Bardzo wiele podczas popasów, a jeszcze więcej w drodze. Nawet lekkokonna brygada przemieszcza się na tyle powoli, by z końskiego grzbietu można było podziwiać widoki, o ile kurz nie unosi się zbyt wysoko.

- Czy to prawda, że na polu bitwy nie widać nic przez dym z broni?

- To zależy.

- Od czego? - spytała, krojąc kawałek sera.

- Głównie od wiatru; czy jest silny i z jakiego kierunku wieje. Także od pogody, ukształtowania terenu i od rozkazów dowódcy. Bywałem na polach bitwy, gdzie widoków mógłby mi pozazdrościć generał, i na takich, gdzie nie widziałem własnego nosa, cóż dopiero moich ludzi lub wroga.

Pokiwała głową.

- Tak sądziłam.

- Zastanawiała się pani nad tym?

- Tak. Pracuję nad serią rycin dla ojca - Dwanaście scen narodzin i upadku francuskiej tyranii - pojmuje pan, o czym mówię.

- W rzeczy samej. Jednak nie wiedziałem, że same damy trudzą się ich wytwarzaniem.

- Ja zawsze szukam nowych tematów. Dlatego tu przybyłam - by zrobić szkice dzisiejszego zgromadzenia. Nie wiedział pan?

- Matka pani wyjawiała mi jedynie, że przyjechała pani z wizytą do piastunki z dziecinnych lat.

- To oczywiście też. - Roześmiała się i wesołość wywołała rumieńce na jej policzkach. - Mama nie lubi o tym mówić, podobnie

jak Hetty. Nie wiem dlaczego. Mama pracowała z babcią w mleczarni i spiżarni, a Hetty trzyma się szyciem tak samo jak ja rysunkiem. Ale mój udział w interesach ojca jest widać czym innym. A może zmieniły się czasy. Staram się nie niecierpliwić, kiedy traktują mą pracę jak salonowe rysunki młodej panny.

- Które także nie są pani obce - dodałem, wskazując na ściany. - Lecz tu prześcignęła pani większość młodych dam.

- A tak - przyznała bez rumieńca wstydu. - Lecz bardziej interesujące jest nadanie ruchu całej scenie, z setkami postaci, by wyjaśnić ważny moment historyczny. Obraz musi być przyjemny dla oka, lecz i prawdziwy. Ale nie wiem, czy będę miała serce do pracy nad dzisiejszymi szkicami. - Odłożyła serwetkę i wstała. - Muszę już iść. Wymogłam na niani obietnicę, że odpocznę, gdy tylko wrócę na górę. - Otworzyłem przed nią drzwi. - Czy mogę pana wezwać, jeśli będę potrzebować pomocy przy Tomie?

O północy trzeba mu podać lekarstwo.

- Oczywiście.

- Dziękuję. - Weszła szybko na górę.

Powróciłem do moich listów. Na dworze obwieszczono godzinę policyjną i z wolna nad miastem zaległa rozprężona cisza.

Do północy zostały dwie minuty, gdy zapukałem do drzwi sypialni.

- Przybywam z pomocą.

Panna Durward skinęła głową i cicho podeszła do stołu, na którym stała butelka i szklanka, a obok paliła się lampa o bardzo przykręconym płomieniu.

- Dziękuję. Doktor kazał go także przewrócić. Zgruchotana ręka Toma leżała na jego piersi, unosząc się i opadając z każdym płytkim oddechem. Koszula została rozdarta podczas nastawiania kości. Pod materiałem widniały sińce ciemne jak atrament, układające się w kształt butów i kamieni, które uderzyły w to wrażliwe ciało. Uniosłem jego ręce jak najdelikatniej, bacznie na jego ramię. Był ciężki, choć szczupły i po dziecinnemu drobny. Wkrótce miał obchodzić szóste urodziny.

Panna Durward usiadła po drugiej stronie łóżka. Uniosła szklankę do ust Toma. Zamrugał, ale kropla po kropli wprowadzała lekarstwo do jego ust i ujrzałem, że jego gardło zaciska się i przełyka. Gdy przyjął całą miksturę, powiedziała:

- Muszę położyć go na boku.

Wzięła parę poduszek ze sterty zdjętej z łóżka, a ja łagodnie go obróciłem plecami do siebie, złamaną ręką do góry. Panna Durward stanęła obok mnie i podparła poduszkami plecy chłopca, jedną zaś włożyła mu pod ramię. Pachniała farbą i terpentyną, jeden kędzior włosów przylgnał, przepocony, do policzka i tam się przykleił, a jej skromna domowa suknia była zakurzona i pobrudzona wapnem na rękawie. Panna Durward zadrżała.

- Robi się zimno. Muszę go przykryć.

Strzepnięcie kołdry wzburzyło powietrze, aż ze stolika sfrunął arkusz papieru. Pochyliłem się, by go podnieść, i ujrzałem portrecik Toma, z zamkniętymi oczami leżącego w świetle lampy.

- Musiałam się czymś zająć - odezwała się panna Durward. - I pomyślałam, że może... że być może Hetty... - Umilkła.

- Ileż w nim spokoju - powiedziałem, odkładając szkic.

- Niania wspomniała, że ma mnóstwo szycia, jeśli pragnę czymś zająć ręce, ale obrębianie chusteczek mnie nie nęci.

- Nie, w rzeczy samej - odparłem. - Nigdy nie rozumiałem, jak ta czynność może stanowić główne zajęcie tak wielu przedstawicielek pani płci, gdy nie brak im służących, które je mogą w tym wyręczyć.

- O, to dlatego, że matki nas do tego nakłaniają. Co do mnie, jedyną ręczną robotą, jaka ma dla mnie powab, jest rytownictwo. Jednak wiele pań czerpie z szycia prawdziwą radość. Hetty wspaniale szyje, zrobiła najcudowniejsze ubranka dla... - Nie skończyła, a ja nie mogłem skomentować, choć wiedziałem, czemu miały służyć owe ubrania, gdyż wiadoma mi była rozpacz pani Greenshaw po utracie oczekiwanego dziecka rychło po śmierci męża. Po chwili panna Durward spytała: - Zechce pan usiąść?

- Dziękuję. Tak, widziałem wczoraj niektóre prace pani Greenshaw i ogromnie je podziwiałem.

- Ma wspaniały gust, a prócz niego umiejętności.

- Czy mu nie przeszkadzamy? - spytałem, podsuwając jej krzesło.

- Nie, jeśli będziemy mówić cicho. Chciałabym, żeby mi pan opowiedział o swoich podróżach. - Wzięła papier i ołówek, a ja, zrozumiawszy, że nawet rysowanie nie koi jej wzburzonego umysłu, zacząłem mówić.

Opowiedziałem jej o eleganckiej Lizbonie, gdzie każdy palacio ma swoich szpiegów, śmigających jak cienie przez zalane słońcem ulice. Opowiedziałem o Madrycie, gdzie na de błękitnego nieba jednego dnia łopotały barwy Burbonów, a drugiego - Bonapartego. Mówiłem o mauretańskich zamkach, rysujących się czernią na tle zachodu słońca, i o turniach i przepaściach Pirenejów, osnutych mgłą, a także lodowatych strumieniach, które niczym koronka snują się wśród skał, szarych i złocistych. I tak jakby moja wcześniejsza zaduma uczyniła te wspomnienia zbyt realnymi, po ostatnim głos mi zamarł i zamilkłem. Panna Durward przyglądała mi się przez chwilę, z ołówkiem znieruchomiałym w dłoni, po czym znów zajęła się szkicem, nic nie mówiąc. Dopiero po chwili odezwała się:

- Miałam nadzieję, jeśli to pana zbytnio nie nudzi, że doradzi mi pan w sprawie szkicu Waterloo. Nie jestem pewna, czy potrafiłam oddać prawdę, choć przeczytałam na ten temat, ile zdołałam.

- Z pewnością mogę to zrobić - rzekłem i przez chwilę milczeliśmy, tak że ciszę w pokoju mącił tylko szmer oddechu Toma i ołówka panny Durward. Lampa nieopodal paliła się równym płomieniem.

O czwartej podaliśmy Tomowi kolejną dawkę leku i znowu odwróciliśmy go na plecy. Otworzył oczy i wydawało się, że jest bardziej przytomny. Nawet lekko się zakrztusił, jakby mikstura mu nie smakowała. Kiedy znowu oparłem go o poduszki, powiódł wzrokiem za panną Durward. Potem zmarszczył z trudem brwi.

- Zgubiłem się - powiedział.

- Tak - odrzekła. - Ale cię znaleźliśmy.

Na to znowu zamknął oczy i po chwili już spał.

Gdy zegary wybiły piątą, niania jęła się krzątać w pokoju za ścianą, a po chwili z dziedzińców i bocznych uliczek miasta dobiegły okrzyki budzicieli robotników.

* * * * *

Londyn, 2006 r.

Nie potrzebuję mieć go przed sobą, żeby uwierzyć, co się stało - że tam byłam - tak jak nie potrzebuję moich zdjęć, przekonująco młodych i nieumiejętnych. Ani nawet listów Stephena. Te listy opowiadają początek - jeden z początków - tak jak to opowiada jakiś koniec. Ale nie muszę go trzymać na biurku. Zresztą zbyt łatwo go zniszczyć.

To wczesny dagerotyp, może mieć ponad sto pięćdziesiąt lat. Zwykle wyjaśniam, że to proces wywoływania, bezpośrednio na płycie, więc każda jest jedyna w swoim rodzaju. Gdyby stłuc tę szybkę, dagerotyp zniknąłby na zawsze. Spoczywa w etui ze zniszczonej skóry, jak w kasetce na biżuterię. Zameczek trochę się zacina ze starości, ale wieczko unosi się bez oporu. Wewnątrz spoczywa szklana płyta, wprawiona w czarną aksamitną poduszeczkę. Jeśli przechyli się ją do światła, wizerunek łśni i migocze, tak wierny, jasny i ciemny, że przez chwilę wydaje się żyć pod tą szybką. Słońce muska kolumny i kominy Kersey Hall i migocze wśród mrocznych drzew schyłku lata. Jego blask kładzie się na trawniku, głaszcze obłoki schodków, wsuwa się w półotwarte drzwi, w których stoi postać w długiej sukni. To wtedy - w tej chwili - otworzyła się migawka, wpuściła ten rozbryzg światła i ciemności, rzuciła go na szklaną płytę, uwieczniła na zawsze słońce i cień tych paru sekund. Potem słońce się przesunęło, zabrało ze sobą dzień, a płyta zachowała cienie, nie pozwoliła im odejść, przeniosła je w inne miejsca i inne czasy, zanim znowu została odnaleziona. Jedne z tych czasów są moje.

Suffolk, 1976 r.

Początkowo przez Londyn jechało się tak samo jak zawsze do Southend na wakacje. Rok po roku w lecie miałam nadzieję na

Hiszpanię, tak jak obiecywała mama, ale na próżno. A kiedy przebiliśmy się przez Londyn na wielopasmówkę, całkiem się pogubiłam. Pociąg, do połowy pusty, mknął z hukiem, mile i godziny nieczasu, a kiedy się zatrzymał na stacji, nie od razu zdołałam wstać i zmusić się do działania. Wujek Ray już czekał. Był spocony i trochę pachniał alkoholem, jak zawsze, kiedy nas odwiedzał, a jego ubrania wyglądały jak niegdyś - kosztowne, ale od dawna nieprane i nienaprawiane.

- Anna! Więc zdołałaś dotrzeć!

- Nic takiego, to tylko pociąg.

- Oczywiście. Wezmę twój bagaż. Nancy - mama - pojechała do Hiszpanii?

- Tak. - Nie zamierzałam się nad tym rozwodzić, nie przy wujku, którego spotkałam dwa razy w życiu, a pierwszego razu nie pamiętałam.

Czułam, że chciał powiedzieć coś jeszcze, na przykład, że na pewno za nią tęsknię, ale się powstrzymał; zapadła ta szczególna cisza, a my szliśmy w żarze bijącym od asfaltu. W końcu się odezwał:

- Jesteśmy na miejscu.

Nie był to samochód, tylko zakurzony, stary biały minibus, jakby furgonetka, kompletnie pusty, więc widać było, że winylowe siedzenia popękały, a spod tapicerki wyłazi gąbka. Pewnie długo prażył się na słońcu, bo kiedy otworzyłam drzwi, uderzył mnie zapach rozgrzanej gumy, wyziewów benzyny i brudnych nóg. Wujek postawił moje walizki z tyłu, obok paru reklamówek. Ja usiadłam z przodu.

Silnik rzęził - przydałoby mu się wyregulowanie i detoks, jak by powiedział przyjaciel mamy. Przez jakiś czas wujek Ray skupiał się na lawirowaniu wśród innych samochodów na wąskich uliczkach, i nie odzywał się, co było mi na rękę. Ale nie mogłam się nie zastanawiać, jak mi będzie w tej szkole w Kersey Hall.

Mama usiłowała mnie nastroić pozytywnie, żebym nie miała za złe, że mnie tak zostawiła samej sobie. Zresztą nie chciałam jechać na Costa del Sol z nią i Dave'em, i oglądać, jak się do siebie czują, jakby mnie nie było na świecie. I, jak powiedziała, z moją karnacją wyglądam, jakbym spędziła dwa tygodnie w Fuengirolí, więc nie muszę się nigdzie opalać. Ale powinnam się domyślić, że w jej planach nie ma dla mnie miejsca. I nie było dla mnie miejsca w mieszkaniu.

- Nie stać mnie na wynajem - powiedziała - a wszystkim z wyjątkiem Raya musiałabym płacić czynsz, więcej niż za twoje czesne.

Ale nie chodziło tylko o to. Nie powiedziała wprost, że mi nie ufa, ale gadała i gadała, żeby zatuszować to, o czym obie wiedziałyśmy.

- Będzie świetnie - szczebiotała. - Wielki wiejski dwór, tak mi się wydaje. Może nawet znajdziesz koleżanki. Ray mówi, że czasami zostają na święta. Tak jak niektórzy nauczyciele i opiekunka. No i Ray też tam będzie. Mieszka na piętrze nad szkołą. Pamiętasz Raya, był u nas, kiedy miałaś... czy ja wiem... pięć, sześć lat? Wujek Ray Holman - kiedy cię urodziłam, zmieniłam nazwisko, rozumiesz. Ale Ray jest w porządku i... i jej tam nie będzie. Podobno nigdy jej tam nie ma, mieszka gdzieś indziej. Bardzo daleko, na drugim końcu Anglii. Nigdy bym cię tam nie posłała, gdyby tam była. Twoja babka.

Spotkałam się z nim parę razy i pora, żebyś go poznała, bo to twój wujek. Jest ode mnie młodszy. Tylko trzydzieści lat - powiedziała, ale wcale na to nie wyglądał, był jakby wymięty, i miał takie jasne włosy, które nie siwieją, tylko jakby szarzeją. - Jutro umówiłam się z nim na drinka - ciągnęła mama pospiesznie, a ja wiedziałam dlaczego - bo nie sprawdziła niczego porządnie, po prostu rzuciła się na pierwsze miejsce, w które mogła mnie podrzucić bez większego trudu. - Kupiłam ci bilet na pociąg - na przyszły wtorek, tuż po naszym wyjeździe. Spędzisz miłe wakacje, a jak tylko Dave i ja znajdziemy odpowiedni hotel, dokładnie taki, jak trzeba, wyślę ci pieniądze na przyjazd.

Ray mówił coś, że nową autostradą byłoby dużo szybciej, i po jakimś czasie domy po obu stronach szosy zaczęły się pojawiać coraz rzadziej i rzadziej, aż znikły, i skręciliśmy na drogę, taką z betonowych płyt, scalonych asfaltem, tak że łomocze się po nich łup, łup, łup, jakby serce człowiekowi waliło ze strachu.

- Jedna informacja - odezwał się nagle wujek Ray, prawie krzyknął, jakby od jakiegoś czasu zbierał się, żeby to z siebie wyrzucić. - Jedna sprawa... nic takiego... ale twoja babcia przyjechała. Wczoraj.

- O... - udało mi się powiedzieć. Babcia stanowiła temat, o którym mama nigdy, przenigdy nie wspominała. Tylko ten jeden raz. Mieszka gdzieś indziej. Bardzo daleko, na drugim końcu Anglii. Nigdy bym cię tam nie posłała, gdyby tam była. Twoja babka. A przedtem nic. Pewnie musiałam ją kiedyś o nią pytać, no bo co. Ale nie pamiętam. Tak jakby jej milczenie było niewzruszone jak mur, po którym nigdy bym się nie wdrapała. Nawet nie próbowałam pytać, jak babcia ma na imię.

- Przyjechała... Niespodziewanie. Ale na pewno... Już jej dużo lepiej. Na pewno się polubicie. Na pewno będzie dobrze. - Ale potem odwrócił wzrok od drogi, ode mnie, wskazał środek wielkiego zagajnika i powiedział: - Tam. Szkoła Kersey Hall. - Jakbym miała oszaleć z wrażenia.

Tylko się obejrzałam i powiedziałam:

- Przepraszam. Przegapiłam.
- Powiedziałem jej, że przyjedziesz. Bardzo chce cię poznać. Może będzie jak w filmie, jakimś familijnym, jak Pociągi jadą do taty,

kiedy Roberta biegnie po peronie do... Nie. Nic z tych rzeczy. Nie mogłam na to liczyć. Nic nie jest jak w filmie.

Jechaliśmy jeszcze trochę, a potem skręciliśmy na wąską zapadniętą dróżkę, w końcu dotarliśmy do podjazdu wśród potężnych mrocznych drzew i za jakiś czas pojawiła się szkoła. To znaczy dom.

Jak na dom był bardzo duży, ale na szkołę - mały. Ściany były kamienne, jasne, jakby brudnawe, z zielonymi liszajami i rzędami mrocznych okien, zbyt zakurzonych, żeby lśniły, z kominami na każdym końcu dachu. Wyglądał jak gigantyczny domek dla lalek, porzucony na strychu i zapaskudzony, bo już niechciany. Minibus zatrzymał się na zapleczu, a kiedy wysiadłam, powitała mnie kompletna cisza, tylko z drugiej strony domu dochodził szum z autostrady za drzewami. Trawa była jakaś sianowata. Przez tę pogodę od nie wiem kiedy nie widziałam przyzwoitej zielonej trawy. Wujek Ray wyjął moje walizki.

- Tędy - powiedział i dopiero po chwili połapałam się, dokąd idzie - w stronę niewielkich drzwi, których nie zauważyłam pomiędzy kubłami na śmieci, sypiącymi się w gruzy szopami i tak dalej. Obejrzał się przez ramię i rzucił mi uśmiech, kiedy go dogoniłam.

- Przypuszczam, że początkowo będziesz się trochę gubić. Ten korytarz prowadzi do kuchni. Tędy do schodów jest bliżej niż przez drzwi frontowe. - Kuchnia była wielka, prawdziwa szkolna kuchnia, stal i maszyny, za nią kolejny korytarz i wahadłowe drzwi, obite wyświechtanym zielonym filcem, a potem hol.

Ale nie był to typowy szkolny hol, w którym można się zbierać, tylko hol domowy, tyle że wielki, wielki, wielki. Stałam u stóp schodów i nagle przyszło mi do głowy, że wiem, co czuje człowiek wypchnięty z samolotu na chwilę przed katastrofą. Czuje się malutki i zagubiony, a wszędzie dokoła niebo i morze, zimne i szare, i ta pustka - wszystko, czego nie widać - napiera ze wszystkich stron.

Ray zatrzymał się na środku czarno - białej posadzki i obejrzał się na mnie, trochę niezdarnie z powodu mojej walizki, którą niósł.

- Witaj w Kersey Hall, Anno. Bardzo się cieszę, że wreszcie przyjechałaś.

- Gdzie są wszyscy? - spytałam, bo nie chciałam pokazywać, jak się czuję. Żeby nie wyglądało, jakbym się spodziewała czegoś innego.

- Pojechali. Personel i dzieci. Szkoła jest zamknięta.

- Już?

- Ten bank... No tak, zamknąłem na dobre. Chyba nawet nie ostrzegłem Nancy. To trochę skomplikowane. A potem musiałem jechać do Devon po twoją babcię. Ale na pewno wszystko się ułoży. Bardzo się cieszę... bardzo się cieszymy, że cię tu mamy. Chodź, pokażę ci twój pokój. Mam nadzieję, że ci się spodoba.

Przemierzyliśmy setki schodów z cmokającym pod stopami linoleum i korytarzy z ponumerowanymi drzwiami. Moim pokojem była autentyczna sala sypialna, jak w filmach o szkołach z internatem. Dziesięć metalowych łóżek w dwóch rzędach, gołe pasiaste materace. Zasłony w oknach, długie i zdechłe, i tak spłowiałe, że nie wiadomo było, jaki miały wzór. Na jednym łóżku leżała schludna sterta pościeli i koców, i wytarty do łyśa ręcznik. Dolne szyby w oknach były z chropowatego szkła, jak w łazience, więc nic nie było przez nie widać.

- Proszę - powiedział wujek Ray. - Czuć się jak w domu. Jako że moim domem było zawsze jakieś melinowate mieszkanie, trudno by mi było się tu tak poczuć.

- Na ogół jadam... jadamy obiad o pierwszej. W kuchni jest zawsze jakieś jedzenie. Jeśli będziesz miała ochotę na coś konkretnego, daj mi znać. Zrobię zakupy przy najbliższym pobycie w mieście.

Niespecjalnie mnie wzrusza, co jem, jeśli jest tego odpowiednio dużo, a na ogół jest.

- Dzięki - powiedziałam.

- Zostawię cię, żebyś się rozpakowała. Jeśli będziesz czegoś potrzebować, znajdziesz mnie na parterze. Wystarczy krzyknąć. - Nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że mówi całkiem szczerze. Potem znowu się uśmiechnął - z alkoholowym powiewem - i wyszedł.

Spojrzałam na zegarek, którego nienawidzę, bo ojciec dał mi go podczas jednej z bitew o Annę. Karmić będą za godzinę, a ja nie z tych, co się wyrzekają żarcia.

Nie miałam przytulania ani nic w tym stylu, więc wypakowałam tylko radio z budzikiem. Znalazłam kontakt i podłączyłam je. Poczułam się bardziej jak w domu, bo gadające radio daje jednocześnie poczucie, że istnieje się na świecie i że świat istnieje. Jest prawdziwe. Ale nie mogłam złapać londyńskiej radiostacji, ten syk ciągnął się w nieskończoność, a na zegarku była godzina zero. Podróż unicestwiła czas.

Zacząłam stroić radio i złapałam spikera mówiącego o porywaczach, Irlandii Północnej i powodzi. Potem był raport z sytuacji na drogach, ale nazwy były pustymi słowami, nie robiły wrażenia prawdziwych miast, do których można pojechać, które istnieją naprawdę. Tak jakby człowiek się zgubił i wszystkie twarze i nazwy wydawały się obce i dziwne, i nie było znikąd pomocy.

Wybrałam sobie łóżko - w kącie, z oknami po obu stronach, przez które słońce kładło się prostokątami na materacu. Kiedy odwróciłam wzrok od okien, w oczach został mi wygasający - jak to nazwał ten stary sarkastyczny kretyn Moran na zajęciach plastycznych? - powidok, tak, powidok: intensywna czerń z białymi prętami.

Zacząłam rozpakowywać walizę. Potem usłyszałam kroki na linoleum. Odwróciłam się. Zobaczyłam kobietę, ani młodą, ani całkiem starą, taką belfrowatą. Weszła do sypialni.

- Jesteś Anna?

- Tak.

- A ja Belle - oznajmiła, jakby to powinno mi coś powiedzieć. - Twoja babka.

Moja babka. Nie podeszła, nie pchała się z uściskami i tak dalej, dzięki Bogu. Nie wyglądała, jakby się jakoś szczególnie ucieszyła na mój widok.

Miała na sobie wyciągniętą tweedową spódnicę i grube bure pończochy, pomimo tego upału, a także znoszone płaskie tenisówki, wielkie jak kajaki. Włosy miała mysiobrazowe i proste, bez śladu siwizny, ale przetłuszczone i zwinięte w kok. Mama miałaby takie same, pomyślałam, tylko że nie pamiętam prawdziwego koloru jej włosów, bo nigdy nie zapuszczała takich odrostów, żeby miało się jakąś pewność. Ja miałam włosy i czarne oczy po ojcu, kimkolwiek był - z falistością włącznie, jak mawia mama, kiedy ma ochotę poudawać moją kumpelkę, więc mam kolejny powód do pretensji, bo chciałabym mieć włosy prościuteńkie, jedwabiste i jasne. Mama nigdy nie mówi o nim nic więcej, ale czasem zbiera mi włosy na czubku głowy i wypróbowuje na nich różne fryzury, albo wpina w nie coś. Czasami mam ochotę je wyprostować, ale mama mówi, że wtedy bym wyglądała jak z rodziny Addamsów, a ja chcę się z nią kłócić, ale wtedy zawsze ktoś dzwoni do drzwi, ona mnie cmoka mocno i mokro, chwyta torbę i wybiega, i tej nocy już nie wraca.

- Witaj w Kersey Hall. Masz wszystko, czego ci trzeba? - spytała moja babka.

- Chyba tak - mruknęłam i dodałam z lekkim opóźnieniem: - Dziękuję - choć właściwie za co miałam jej dziękować. Ray nie urządził tego pokoju specjalnie dla mnie, a ona w ogóle palcem tu nie kiwnęła.

Usiadła na łóżku, które wybrałam.

- Rozpakowujesz się?

- Tak - burknęłam, myśląc: a myślałaś, że co?

- Mów do mnie „Belle” - zarządziła. Nie znalazłam odpowiedzi. - A co... co u Nancy?

- U mamy? W porządku. Pojechała do Hiszpanii.

- Tak powiedział Ray. - Rozejrzała się. Była bardzo szczupła, taka nerwowo ruchliwa, nawet kiedy siedziała. Pachniała bardziej starożytnie, niż wyglądała, trochę to zagłuszała perfumami. - Twoja mama... także byłaby tu mile widziana, wiesz? Ray twierdzi, że jej powiedział. Żebyś się tu lepiej zaaklimatyzowała.

Mama nie wspomniała, że mogła przyjechać ani że Ray to proponował. Nie chciała mi pomóc? Bo w tym celu musiałaby tu przyjechać?

- Nie miała czasu. Trzeba było załatwić masę spraw, paszporty, bilety na samolot, pieniądze.

- Zawsze była niepozbita. To Ray jest odpowiedzialny. - Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć, więc zajęłam się układaniem ubrań w szufladach. Nie mogłam palnąć: „Miało cię tu nie być”. Poza tym nie rozumiałam, dlaczego jest o nią tyle hałasu. Może mama jak zwykle przesadziła, jak ze wszystkim, miłość na wieki, serce złamane, wszystko cudowne albo potworne. A przecież minęło tyle lat. Może moja babcia... Belle... nie była taka zła. Zresztą zawsze to rodzina.

Belle wstała i rozejrzała się, mrużąc oczy jak krótkowidz.

- Muszę się zbierać... - i urwała. Nie zrozumiałam. Znowu zaczęła: - Mam nadzieję, że masz wszystko, czego ci potrzeba. Ray powiedział, że tu jest wszystko, co może być potrzebne dzieciom. Przynajmniej o to nie mogły mieć do niego pretensji. - Ruszyła do wyjścia. W połowie pokoju zatrzymała się i odwróciła. Musiała podnieść głos, więc zabrzmiał trochę ochryple. - Czy Nancy... - Urwała. I podjęła: - No tak, bardzo się cieszymy, że tu jesteś. Jeśli do

niej piszesz, przekaz jej od nas serdeczne życzenia - po czym odwróciła się i wyszła.

Więc to jest moja babcia. Ten bank, powiedział Ray. Musiałem pojechać do Devon, żeby odebrać twoją babkę. Gdzie była? Czy na to wydał pieniądze, których mu zabrakło?

Jakoś wydawało mi się, że nie chcę się nad tym zastanawiać. Ale mimo to wiedziałam, że te myśli będą mnie nurtować, to pytanie, co tu nie gra, dlaczego szkoła jest zamknięta, dlaczego Belle była... gdzieś tam.

Rozlokowałam moje rzeczy, ale wyglądały jak nie na swoim miejscu, jakby tej sali nie chciało się mnie słuchać ani zmienić dla mnie wyglądu. Nie pomogły te czerwone walizki, które - jak powiedziała mama - łatwo zauważyć na lotnisku, ani szale i korale, które powiesiłam na lustrze. Znalazłam taśmę klejącą, rozwiesiłam zdjęcia i to trochę pomogło: kartkę od Tanyi z napisem „Powodzenia w nowym domu” i zdjęcie wydarte z „Cosmopolitan” - Paul Newman i John Curry, a także miś polarny z Arktyki, bo wyglądał tak miło i zimowo. Mama powiedziała, że przyśle mi kartkę z Hiszpanii, ale będzie szła tydzień, może nawet dziesięć dni. Ją także będę mogła powiesić i może wtedy ta sala zacznie wyglądać, jakby mnie tu chciała.

Zeszłam na parter. Ray i Belle siedzieli w kącie kuchni przy malusieńkim stoliczku. Na ich talerzach zostało parę smug i okruszków, a przed Belle stała szklanka z wodą. Do środka wpadał słoneczny blask i w pomieszczeniu było gorąco i duszno, bo wielkie wentylatory w oknach się nie poruszały. Na jednym blacie stał elektryczny czajnik i toster normalnych rozmiarów, ale wszystko poza tym było gigantyczne - kuchnie, miksery, lodówki z klamkami jak sztaby, wszystkie brzydkie i martwe w tym rozprężonym powietrzu.

- O, Anna. Tak, oczywiście, obiad. Tam jest lodówka. Częstuj się.

Zlokalizowałam chleb i ser i zrobiłam sobie kanapkę z dość omdłąłą sałatą.

- Mam nadzieję, że niczego ci nie brakuje - powiedziała Belle, tak jak poprzednio.

- Chyba niczego. - Nie miałam gdzie usiąść. Ray zauważył, że się rozglądam, i wstał.

- Usiądź, ja już skończyłem. - Na okruszkach wylądowała mucha. Belle wyciągnęła rękę, żeby ją odpędzić, a wtedy Ray się wzdrygnął. Po chwili, kiedy nie zrobiła nic więcej, zabrał oba talerze, podszedł do jednego z tych olbrzymich zlewów i odkręcił wodę. Usiadłam i zjadłam kęs kanapki.

- Więc odeszłaś ze szkoły? - spytała Belle.

Trudno mi było przełknąć to, co ugryzłam. W końcu wybełkotałam:

- Aha.

- Nie wiedziałam, że masz szesnaście lat.

- Nie mam. Nie było warto szukać szkoły na ten ostatni kawałek.

- Kiedy masz urodziny?

Nagle pomyślałam: powinna o tym wiedzieć. No dobra, nie rozmawia z moją mamą, ale jest moją babką. Powinna to wiedzieć.

- W grudniu. Dziesiątego.

- Masz wielką maturę? Czy tylko małą?

- Żadnej. Będę zdawać dopiero w przyszłym roku.

- Tak? - Belle wstała i nalała do szklanki zimnej wody z kranu. Ray uskokczył i odsunął się, trochę się potykając. - To nie twoja wina. Pewnie powinnam się domyślić, że tak to będzie.

- Muszę... wybaczyć... muszę coś załatwić - rzucił Ray i wyszedł. Potem zajrzał jeszcze do środka. - Belle, pomożesz mi z tymi aktami?

- Za chwilę - powiedziała babka. Spojrzała na mnie. - Nie, to zdecydowanie nie twoja wina. Tylko Nancy. Nigdy nie umiała nic zrobić jak należy. Na szczęście Ray dostrzegał jej błędy i uczył się na nich.

Czy to miało znaczyć, że ja też jestem błędem? Jeśli tak, to mama o tym nigdy nie mówiła, ale wiem, że często o tym myślała, za każdym razem, kiedy nie mogła gdzieś iść czy czegoś zrobić ze względu na mnie, albo przez te koszty, na które ją narażałam.

Skończyłam kanapkę. Ostatni kęs nie smakował lepiej niż pierwszy. Belle nadal stała przy zlewie. Nie piła wody. Po chwili odezwała się:

- Gdzieś tu jest kawa, jeśli masz ochotę. Rozejrzałam się. Wszędzie było dużo szafek.

- Niestety, nie wiem gdzie. Sama dopiero się wprowadziłam.

- Tak, Ray wspominał - powiedziałam i zdołałam zachować niezbyt zainteresowany ton. Choć nie było rady, trochę mnie to ciekawiło... na swój sposób.

- Od paru lat byłam... mieszkalam na zachodzie. Dla zdrowia. W domu... opieki. Ale skoro Ray zamknął szkołę, nie mógł... możemy być znowu razem. I, oczywiście, to całkiem blisko domu, w którym wychowałam jego i twoją matkę. Ale może... może matka już ci o tym mówiła.

- Nie. - Mój ton był nie tylko obojętny, ale suchy i niegrzeczny, więc dodałam: - Chyba nie.

- A teraz tu jesteś, i to także dobrze.

- Tak - powiedziałam i - stojąc tyłem do niej i otwierając szafki - zdałam sobie sprawę, że to nawet prawda, przynajmniej na razie. Przeważnie były puste, ale w trzeciej znalazłam wielką puchę kawy z napisem „Dla restauracji”.

Właśnie przyrządzałam sobie kawę, kiedy z ogrodu przywędrował jakiś niewiarygodnie brudny chłopczyk. Był mniej więcej w wieku, w którym dzieci idą do szkoły, ale miał na sobie tylko wyświechtane porteczki i nic więcej. Cały był wypačkany błotem, a włosy pewnie byłyby jasne, gdyby ktoś je umył. Na obu kolanach miał strupy. Nie spojrzał na mnie, tylko spode łba na Belle. Ona nawet nie drgnęła. Po chwili podszedł do lodówki, otworzył i wyjął na pół opróżnione opakowanie szynki. Wyciągnął wszystkie plasterki naraz, a od galaretowatej mazi na rękach zostały mu ciemne plamy, jakby ta ziemia zmieniła się w błoto. Wepchnął mięso do ust. W końcu odezwałam się:

- Cześć - ale on tylko na mnie łypnął z ukosa.

- Odpowiedz jej - rozkazała Belle. Wzdrygnął się. - To twoja kuzynka.

Wymamrotał coś, co mogło być powitaniem, i trochę przeżutej szynki wypadło na podłogę.

- Coś takiego! - rzuciła Belle. - Natychmiast to podnieś! Ale on tylko się skurczył, jakby chciał zniknąć. Potem odwrócił się i znowu wypadł do ogrodu.

- Kurczę! Nie wiedziałam, że mam kuzyna - powiedziałam. - Jak się nazywa?

- Cecil. - Powiedziała to tak, że imię zabrzmiało jeszcze niepoważniej jak „siesil”. - Prawdę mówiąc, nie jest to twój kuzyn, ale

jego matka była przyjaciółką Raya. Bóg jeden wie, kim jest jego ojciec. Zawsze podejrzewałam, że jest dość niezrównoważona, bo dlaczego go nie chciała? Ray jest zbyt pocziwy, ludzie to wykorzystują. Namówiła go, żeby przez jakiś czas zajął się chłopcem, a potem po prostu znikła. Ray traktuje Cecila jak własnego krewnego - powiedziała dość pogardliwie. - Ale teraz ty tu jesteś. Prawdziwa krewna. Mam nadzieję, że niczego ci nie brakuje? - To był już trzeci raz.

- Chyba nie. A gdzie są sklepy?

- Jest jeden w wiosce Kersey. Nie wiem, ile się do niej idzie piechotą. Przypuszczam, że twój wuj czasami jeździ do Hadleigh. Możesz go poprosić, żeby cię podwiózł. - Oderwała się od zlewu. - No, lepiej pójde i pomogę Rayowi. Mówi, że trzeba uporządkować sporo spraw. Potrzebuje mojej pomocy.

Problem polegał na tym, że nie miałam co ze sobą zrobić. Nie widziałam nawet telewizora. Był kiedyś taki czas, że gdyby mi ktoś powiedział, że przez osiem tygodni nie będę miała do roboty nic poza utrzymywaniem w czystości paru podkoszulków, uznałabym, że kosmos po raz pierwszy w życiu postanowił mi odpuścić. Pewnie powinnam się zorientować, że nie będzie to prawdziwe życie. Przede wszystkim znalazłam się o setki mil od wszystkich sklepów - i tysiące od Tanyi i Holly.

Mama uważa - już ja to wiem - że jeśli dziewczyna zostaje sama, zaczyna świrować, ale jeśli jej się wydaje, że pójde w jej ślady, to się bardzo myli. Nie dlatego, że kiedykolwiek wydarzyło się coś złego, byli tylko ci jej faceci. Nie wiem, dlaczego się jej wydaje, że sobie nie poradzę sama. To nie mnie trzeba przypominać, że facetom chodzi o jedno, a jak to dostaną, to odchodzą. Ja wiem, że seks to tylko seks. Koniec, kropka. Wiedziałam to od zawsze, od pierwszego razu. Ja wiem, że nie ma sensu robić sobie nadziei na nic innego - trzeba się bawić, dopóki on jeszcze cię naprawdę chce, bo nie potrwa to długo. To mamie trzeba przypominać, cholera, za każdym razem. Bo ona nie jest ofiarą miłości, tylko sklerozy, i to ja muszę przez całą noc wysłuchiwać jej szlochów za ścianą za każdym razem, kiedy jakiś drań odświeży jej pamięć, odchodząc. Dobrze, że ta skleroza nie dotyczy pigułki. Przynajmniej od wpadki ze mną, a zresztą nie wiem nic na ten temat, bo ona nie chce o nim mówić, z wyjątkiem informacji, po kim mam tę śródziemnomorską karnację. Zresztą

wszystko gra, nigdy nie marzyłam o młodszym braciszku czy siostrzyczce. Dzieci to nie moja bajka, tak jak miłość. Mieszkanie z moją matką każdego by zniechęciło. Czasami wydaje mi się, że ona to robi umyślnie, że jęczy na ten temat, żebym nie skończyła tak jak ona.

Ale takie rozmyślania do niczego nie prowadzą. Lepiej wyjdź stąd i poszukaj tego sklepu, pomyślałam. Na ścianie korytarza wisiała mapa. Znalazłam jakąś kartkę i narysowałam sobie drogę do wioski, żeby się nie zgubić.

Było gorąco, przegorąco, ale tamto lato wszystkich nas to tego przyzwyczaiło. I miło było oddalić się od tego zamczyska, wiedząc, że nie wpadnę na Raya ani Belle i nie będę musiała się zmagać... z czym? Jeszcze nie wiedziałam. Ale to tam było, choć nie wiedziałam, co to.

Kawałek drogi był ocieniony wielkimi drzewami; zobaczyłam wśród nich tego małego, Cecila. Grzebał w sosnowym igliwiu. Potem nagle otworzył się znacznie szerszy widok i wszędzie dokoła ujrzałam pola, białe jak wypalone na słońcu kości, a nad nimi ciemniejsze o ton niebo. Skoro byłam na wsi, to gdzie śpiew ptasząt? Słońce prażyło mi głowę i plecy, a droga była tak rozpalona, że przez podeszwy sandałów czułam żar. Jakbym była opiekana z obu stron.

Okazało się, że cała wioska to wszystkiego sześć niewiarygodnie starych chałup po obu stronach jednej jedynej ulicy, zbiegającej po skłonie wzgórza do błotnistego strumienia, który zresztą zniknął z powodu suszy. A sklep miał rozmiary salonu w najmniejszym z naszych mieszkań, i był w nim tylko chleb, konserwy i mleko, jak na stacji benzynowej. Okres skończył mi się tydzień temu, więc o to na razie nie musiałam się martwić. Nie widziałam żadnego przystanku autobusowego. Pewnie utrudnili wyjazd stąd, jak tylko mogli. Wszystko w normie.

W sklepie było ciasno, ale nie tak gorąco jak na dworze, więc trochę się pokręciłam, aż facet za ladą zaczął na mnie dziwnie patrzeć, a potem zdjęłam z półki colę - choć właściwie nie chciałam wydawać pieniędzy - i zapłaciłam. Zimnej nie ma, powiedział, właściwie nie niegrzecznie, ale tak, jakbym zażądała gwiazdki z nieba, i żeby ją jeszcze zapakować w reklamówkę.

Cola była jak ulepek, szczypała w język i nie bardzo mi się wydawało, żeby zaspokoila moje pragnienie, choć pewnie tak. Szłam i szłam, a kiedy w końcu znalazłam się w cieniu drzew i oparłam o

jakaś otwartą furtkę, poczułam się, jakby ktoś wrzucił mnie do chłodnej, ciemnej wody.

- Wszystko w porządku? - odezwał się głos zza furtki. Starszawy model, typ pretensjonalny, kraj pochodzenia zagraniczny. Płci żeńskiej.

Odskokczyłam. No tak. I nie pomyliłam się co do niej: miała twarz pasującą do głosu, trochę kościstą, jednocześnie jasną i ciemną. Podeszła bliżej. Sprężynka włosów odskokczyła od reszty i przykleiła się jej do policzka.

- Gorąco, prawda? Odpoczywaj dalej, jeśli chcesz.
- Nie, już wystarczy. Niedaleko mi zostało.
- Mieszkasz z Rayem w Kersey Hall? Widziałam, jak wychodziłaś z podjazdu.

- To mój wujek.
- A, rozumiem. Na pewno przy tym upale lepiej być na wsi. A skoro przyjechała twoja babcia...

- Tak. Pewnie tak. Londyn jest teraz makabryczny... Muszę iść - powiedziałam, choć mi się nie chciało.

- Powinnam się przedstawić. Jesteśmy waszymi sąsiadami. Mieszkamy tam, za drzewami. Kiedyś to były dworskie stajnie, teraz to oddzielny dom. Nazywam się Eva Peres.

- Jestem Anna. Anna Ware.
- Wpadnij do nas na kawę od czasu do czasu, jeśli będziesz miała ochotę. Nasz dom jest przy tej dróżce i zawsze nas zastaniesz. Będziemy się bardzo cieszyć, mój partner i ja.

Nie wiedziałam, czy chodzi jej o to, co mi się wydawało.

- Macie firmę?
- Nie, nie. To znaczy tak, oboje pracujemy w domu. Ale Theo i ja żyjemy razem.

- A, rozumiem. No to... dziękuję.
- Będziemy czekać. No to na razie, do widzenia. - Odwróciła się i znikła między drzewami, a ja powlokłam się do domu.

W kuchni stał wielki szkolny zegar, jeden z tych, gdzie sekundowa wskazówka porusza się takimi wolnymi szarpnięciami, a człowiek gapi się na nią i gapi, i nie wierzy własnym oczom, że głupia minuta to sześćdziesiąt tych szarpnięć, bo wydaje się, że to się ciągnie godzinami i geografia nie skończy się nigdy. Prawie tak kiepsko, jak kiedy się patrzy na budzik nad ramieniem chłopaka i zastanawia się,

kiedy on skończy, żeby znowu można było normalnie oddychać, ogarnąć się i powiedzieć, że było świetnie, serio. Czasami tak, czasami szkoda fatygi, ale zawsze można mieć nadzieję.

Była trzecia. Myślałam, że maszerowałam godzinami, taka byłam spocona i uświniona. Więc postanowiłam, że się umyję. Albo wykąpię - nie miałam nic do roboty. W korytarzu przy schodach były otwarte drzwi - wyglądały, jakby prowadziły do gabinetu, biura czy czegoś w tym guście. W środku była Belle: widziałam, jak zamyka i otwiera szafkę katalogową, raz za razem, z tym samym szur, klap, jakby dziecko kopało w krzesło. Przez chwilę chciało mi się wejść i po prostu się przywitać. Człowiek powinien tak robić. Ale może jej to nie interesowało.

Łazienka była dziwna - tandetne kabiny z ogromnymi brodzikami, pozieleniałymi wokół odpływu i jakby szorstkimi, kurki były piegowate i też zielone, a wokół otworów miały jakby łuski, jak potwory. Klozety były staroświeckie, jak w publicznych toaletach, tylko nie śmierdziały i był papier. Lustra też miały piegi. Od upału rozpląnął mi się makijaż i twarz miałam jakby też rozpląniętą, falującą, jakby nie była namacalna, jakby mnie tu nie było. I drzwi, i ściany za moimi plecami były jakby zamazane, falujące, jakby nie namacalne, jakby coś bez przerwy na nie napierało, aż pewnego razu się przez nie przebije i ukaże, trzeba tylko cicho czekać.

Woda skapywała z kranu wielkimi, zielonymi kroplami, a wanna była głęboka jak basen. Na dworze myślałam, że wezmę zimny prysznic, ale gorąca woda była wspaniała, bo kiedy ciepło wyzwala się z wody, to wszystko jest bardziej w porządku. Zamknęłam oczy i światło z wysokich okien stało się ciepłe i różowe. Woda obmyła mi kolana, uda, brzuch, piersi, obojczyk, aż tylko potylicą łączyła mnie z twardym chłodem, a cała moja reszta - ręce, nogi, korpus - kołysała się na wodzie.

Kiedy położyłam się na łóżku, krople gorącej wody schłodziły się na mojej skórze jak perły. Byłam senna, bo dzień był bezwietrzny, ciepły i cichy. Sen otoczył mnie ze wszystkich stron jak przed chwilą woda, ale gdzieś płakało dziecko, małe dziecko, nie niemowlę. Gdziekolwiek byśmy zamieszkały, za ścianą zawsze było niemowlę, jakby w pakiecie, ale to nie było mieszkanie w bloku, a to nie było niemowlę. To było małe dziecko, dziecko z powodem do płaczu,

szlochu, łkania, który towarzyszył mi, gdy zapadałam w sen. I podczas snu.

I to nie był płacz, tylko sen o płaczu, zrozumiałam to nagle z całą pewnością, tak jak się to czasami zdarza we śnie. To był dawny sen, który przywołał płacz skądinąd. Sprzed eonów, powiedział mój umysł przez sen, jakby zachomikował własne słowa na okazje, kiedy moje nie wystarczą. Sprzed eonów, ale tu jest.

Szczury cię zjedzą, Stephen, jak nie przestaniesz wyć, powiedziała matka Malpas. Mówi, że szczury lubią zjadać małych brudnych chłopczyków, którzy robią w spodnie. Zabrała mi spodnie i buty i zamknęła mnie tutaj. Zimno. Zaryglowała drzwi.

Ona chce, żeby te szczury mnie zjadły. Ja nie chciałem, naprawdę, przepraszam. Haczyk uwiązał, a ona spała. Jakbym ją zbudził, toby się wściekła. Chciałem poczekać.

Uszy mnie bolą - znowu mnie wytargała. Jestem brudnym chłopczykiem, powiedziała, ale tak długo będzie mnie prać, aż zmądrzeję. Nie wolno mi mówić księdzu i panu doktorowi, nie wolno pisać ani słówka, bo się dowiedzą, że jestem niegrzeczny i zamkną mnie w przytułku, gdzie wszyscy brudni chłopcy dostają, na co zasłużyli.

W ciemnościach słyszać, ale nie widzieć. Czy usłyszę szczury, zanim mnie dopadną? A jak wcale nie będę wyć? Będę siedzieć cichutko. Wtedy je usłyszę, zanim będzie za późno.

Wat Bailey mówi, że szczury chodzą tajnymi przejściami, którymi czarownice wysyłają swoje sobowtóry, by rzuciły czary na ludzi. Od takich czarów dzieci znikają, wybuchają zarazy, choroby i klątwy. Mówi, że kiedy palą na stosie czarownicę, ona krzyczy, ale sobowtór nie może jej pomóc. Wat Bailey mówi, że matka Malpas jest czarownicą.

Zimno tu. Zimno mi. Pachnie jak w piwnicy, rosną zimne stwory, zgniłe, ale żywe. Nie wolno mi zasnąć, szczury mogłyby się zjawić, a ja bym się nie poznał. Zjadłyby mnie całego, ogryzłyby kostki, wyżarłyby mi brzuch i gardło, i oczy, a ja bym nic nie wiedział. W ogóle bym się nie poznał, dopiero jak bym się obudził w piekle.

Nie wolno mi zasnąć. Boże, nie pozwól mi zasnąć.

Rozdział 2

Żadną miarą nie mógłbym twierdzić, że nieudane konkury złamały mi serce, lecz po powrocie do Suffolk wróciłem także do sytuacji, która zrodziła we mnie myśl o planach małżeńskich. Z każdym dniem zmierzch zapadał wcześniej, a w ślad za nim zakradała się głęboka noc.

Od Peterloo minęły dwa tygodnie z okładem, nim zyskaliśmy pewność, że Tomowi nic nie grozi, a ja przewyciężyłem wrodzoną mi powściągliwość i ofiarowałem pani Greenshaw moje serce i ziemię. Odpowiedziała oblana szkarłatnym rumieńcem, z trudem dobywając słów, bez śladu kokieterii i zamierzonego okrucieństwa. Nie powiem nic więcej. Współczułem jej nawet, wyrażając mój żal, gdyż konfuzja połączyła nas oboje. Wpatrywaliśmy się z determinacją w okno bawialni, przyglądając się brzemennym owocom śliwom w ogrodzie jej ojca i wielkim ceglanym kominom nad nimi.

- Majorze... proszę mi wybaczyć - powiedziała. - Widzi pan... nie sądziłam... gdy dyrektor Kersey napisał do papy... a potem był pan tak dobry dla Toma... ale... to znaczy... pańska... la wojna... I nie byłoby sprawiedliwe... obarczać pana niegrzecznością Toma.

- Proszę, nie musi się pani czuć zobowiązana do wyjaśnień. Bardziej od pani jestem świadom moich niedostatków w roli konkurenta. Skoro jest pani pewna, że nie pasujemy do siebie, nic więcej rzec nie można. Lecz czy woli pani powiedzieć o tym ojcu, czy też mam uczynić to sam, by oszczędzić pani zażenowania?

Opuściwszy Kersey na parę tygodni w samym środku lata, po powrocie zastałem oczekujące mnie zadania, które każdego wyrwałyby ze smętnych dumań. Wysłałem pani Durward list z podziękowaniami, czego domagały się dobre maniery. Jednakże wkrótce czekało mnie zdziwienie, gdyż niemal natychmiast przyszedł list powrotny z Lancashire. Wykorzystałem pierwszą przerwę w nawale obowiązków, by wrócić do Kersey Hall i odpisać.

Droga panno Durward,

Jakąż radość sprawił mi list Pani, jakże ucieszyła mnie wiadomość, że panicz Tom stopniowo powraca do zdrowia. Proszę mu powiedzieć, że maszerowanie to najlepsze zajęcie dla Pierwszego Batalionu Regimentu Urodzinowego, nawet jeśli jest on dziełem tak umiarkowanie utalentowanego rzeźbiarza jak moja skromna osoba, i że ich sprawności najlepiej sprzyja musztra na kołdrze.

Proszę być pewną, że ku pani Greenshaw żywię jedynie najgorętszy podziw dla jej hartu ducha i wdzięczność za szczerość. Jestem pewien, że moja niedomoga musi stanowić kwestię o niemałym znaczeniu dla młodej damy, oczekującej od swego małżonka przewodnictwa i ochrony, nie cenię też sobie tak wysoko innych moich cech, by się łudzić, że przeważą one me kalectwo. Jeśli matka Pani łaskawym okiem spogląda na tę korespondencję, ufam, że i siostra nie będzie mieć wobec niej obiekcji.

Z radością przytoczę owe wydarzenia i anegdoty z minionych wojen, których nie zdążyła Pani usłyszeć z powodu zajęć przy siostrzeńcu. Proszę nie myśleć, że nie czerpałem wielkiej przyjemności z towarzystwa siostry i rodziców Pani, lecz zdarzało się, że czułem, iż moje historie zyskałyby dzięki jej dociekliwym pytaniom i rozległej wiedzy. Nie śmiałbym twierdzić, że moje opowieści mają znaczenie historyczne czy literackie, lecz jeśli naoczny świadek może służyć pomocą w pracy Pani lub jedynie posłużyć dla rozrywki Pani i jej rodzinie, to uznam, że osiągnąłem swój cel. Będę czekać z niecierpliwością na list Pani, gdy tylko znajdzie Pani chwilę wytchnienia, by go skreślić i dać mi znać, o czym pragnęłaby się dowiedzieć i jakie historie najlepiej posłużyłyby rozrywce rodziny. Jak się przekonałem, damy nie cenią sobie długich opisów strategii militarnych i ruchów wojsk. Wiedząc, że płeć piękna na ogół bardziej interesuje się tymi drobnymi sprawami, które jednak potrafią uczynić życie szczęśliwym lub żalonym, nie pragnę opisywać długich kolei wojennych losów, by nie nadały się jedynie waszej pannie służącej na rozpałkę w kominku lub na papiloty. Jeśli praca Pani będzie wymagać informacji bardziej technicznej natury, mogę zamieścić je na oddzielnej kartce, licząc, że okaże się ona warta dodatkowej sześciopiosenki, której urząd pocztowy zażąda od pani.

Spostrzegła Pani jak najśluszniej, że wiele moich anegdot dotyczy jedzenia lub jego braku. Sądzę, że nie ostatnią z wojskowych mądrości naszego zmarłego przeciwnika Bonapartego było stwierdzenie, że armia maszeruje żołądkiem, choć mógłbym dodać, że jeden z mych towarzyszy broni, porucznik Barry, który w historii wojska znajdował tę samą radość, której ja wolę szukać u Wergiliusza czy pana Wordswortha, utrzymywał, jakoby Bonaparte przejął tę maksymę od Fryderyka Wielkiego. Jeśli tak było w istocie,

potwierdza to jedynie fakt, że najwięksi dowódcy zyskują wiele, ucząc się od swoich poprzedników.

Szczególnie dokuczał nam brak chleba, ponieważ żywe mięso staje się mięsem jadalnym po paru chwilach pracy noża, lecz zboże przybiera postać chleba dzięki mieleniu, pieczeniu i innym licznym zabiegom. Jednak czasem wymogi wojny i żołądka współgrają ze sobą i pewnego razu, tuż przed bitwą pod Sabugal, zastaliśmy francuską straż tylną, zajęta mieleniem zboża w młynie...

Tu muszę skończyć, by list ten został bezpiecznie wyprawiony w drogę, w którą wyśle go własną ręką posłuszny sługa pani

Stephen Fairhurst

Od sianokosów po zbiory orzechów w całym hrabstwie nie było ani jednej duszy, która miałaby czas na cokolwiek poza pracą i snem. Jeślim spoglądał w niebo, to po to, by ocenić, czy nazajutrz będzie deszcz; jeślim myślał o Hiszpanii, to tylko po to, by błogosławić mglisty, blady blask tego angielskiego słońca. Mój zarządca twierdził, że zbiory są skąpe. Tym ważniejsze było zebranie każdego ziarna. Sztywne łodygi pszenicy i żyta padały pod ostrzami kos i na nowo powstawały w postaci wioski stogów, dumnie pyszniących się na ściernisku. Potężne konie drzemały w słońcu, strzepując uszami z powodu much i czekając, aż będą mogły zawieźć jasne zboże do młócenia i spichrza. Wysoko na stogach pracowali strzecharze, zwinne postaci na tle nieba, a w warzywnikach troskliwie zbierano ostatnie marchwie, rzepy i ziemniaki. Kiszono kapustę, warzono sery, zbierano i suszono majeranek, miętę i melisę. Dzieci o drobnych paluszkach przebierały groszek i fasolę. Rzeka oddawała swe sitowie i ryby do solenia. Ścinano stare drzewa; przy każdych drzwiach rosły sterty kłód i polan. W chruśniakach chichotały grupki dziewcząt o ustach i palcach poplamionych owocami, mali chłopcy zaś przeczesywali trawę sadu w poszukiwaniu ostatnich jaj, zniesionych przez niesforne kury, by żadne nie uniknęło piklowania w słoju. Wieprze gwałtownie ryły w ziemi, pomiędzy ostami i opadłymi owocami; może czuły, że ich koniec już blisko. A oznakowane owce jedna po drugiej otrzymywały świadectwo odroczenia wyroku.

W ten oto sposób zbieraliśmy i przechowywaliśmy pierwsze owoce naszych wysiłków, by ratować ziemie, zaniedbane i zrujnowane w ostatnich latach rządów mojego kuzyna. Jednak w miarę, jak złociste dni stawały się coraz to krótsze i chłodniejsze,

zaczęło mi brakować zajęć, dzięki którym ciało i umysł pograżały się w kojącym zmęczeniu, a w konsekwencji znów uświadomiłem sobie jak najrozsądniejszą decyzję pani Greenshaw.

Jednakże nie pragnąłem pojmować żony wbrew jej woli, jak powtarzałem sobie raz po raz, stojąc w bibliotece Kersey Hall w Zaduszki, ze szklanką brandy w dłoni, przyglądając się, jak wiejskie młokosy skradają się do drzwi kuchennych, kołysząc wydrażonymi z dyni straszliwymi maskami. Minał ledwie rok, odkąd po raz pierwszy zawitałem w Kersey, a teraz miałem wokół siebie te ziemie, osnute dymem i mroczne w jesiennej ciszy, gdyż nadeszła ta szara pora, kiedy światło dzienne gaśnie, lecz jeszcze nie zapala się lamp. Przyszła mi do głowy pewna myśl. Być może lepiej, że tego powietrza, tak gęstego od wszystkich wspomnień, jakie przywiozłem ze sobą z Hiszpanii, nie mąci szelest kobiecych spódnic w salonach, jasny głos rozprawiający o służbie i pościeli ani wonna, posłuszna obecność w moim łóżu.

Choć to przekonanie uwolniło mnie od przymusu przedsięwzięcia kroków w tej kwestii, z jak największym zadowoleniem oddałem się czytaniu i odpowiadaniu na listy panny Durward, przychodzące ze skwapliwością świadczącą o wielkiej gorączce pracy w zakładach jej ojca.

Droga panno Durward,

Ufam, że tak Pani, jak i Pani szanowna rodzina zechce mi wybaczyć zwłokę w odpowiedzi na ostatni list. Gdybym był zależny jedynie od własnych pragnień, z pewnością odpisałbym pocztą powrotną, lecz nie było to możliwe. Jednakże teraz, gdy żniwa już skończone, wieczory zaś stają się długie, z wielką radością przystępuję do napisania listu dłuższego, niż ostatnio mogłem za sprawą natury i zbiorów.

Pyta mnie Pani o okoliczności zaciągnięcia się do wojska. Z pewnością od dawna uważam, że biegłość w tej profesji przynosi chlubę mężczyźnie, jednak obawiam się, że wyboru tego nie podyktowało, jak Pani sugeruje, ani dziecinne zamiłowanie, jakie ożywia pani siostrzeńca, ani też tradycja, jaką Pani przedstawia na przykładzie rodów malarzy i muzyków. Krótko mówiąc, niewielki miałem wybór w tym względzie.

Ojciec mój był trzecim z czterech synów posiadacza ziemskiego, o którym przez lata wiedziałem jedynie, że posiadał rozległy majątek

w hrabstwie Suffolk. Mój ojciec odziedziczył po nim jedynie dobre nazwisko i wykształcenie, a w wieku lat dwudziestu poślubił mą matkę, jedyną spadkobierczynię gospodarza z Dorset. Niestety, rok po moim przyjściu na świat oboje rodzice zapadli na zapalenie płuc, a mój cioteczny wuj, przekonany przez proboszcza i doktora, którzy od dawna znali rodzinę mojej matki, oddał mnie na wychowanie niejakiej pannie Malpas, wdowie po kancelariuszu z Dorset, aż dorosłem na tyle, by opuścić jej dom na dobre i pójść do szkół. W miarę jak dorastałem, wszyscy, którym na sercu leżało moje dobro - w tym i ja sam - pojęli, że będę musiał się oddać jakiejś profesji, a jako że nie ciągnęło mnie do stanu duchownego, nie mówiąc już o prawie, a i zdolności mi brakło, byłem zaś zbyt wysokiego wzrostu, by czuć się swobodnie w marynarce, wszyscy zgodzili się, że moim przeznaczeniem będzie wojsko.

Pyta Pani - odnośnie do moich opowieści o naszej kampanii we Francji po Tuluzie - czym kontent, przekuwszy miecz na lemiesz, i czy mogę to rzec ze szczerego serca. Ukończywszy zbiory, czuję, że po raz pierwszy w moim życiu zdołałem uczynić coś więcej, niż tylko przyjąć to, co rzucił mi los. W Hiszpanii zdarzało się, że wystarczyło nam jedynie spojrzeć na piękny widok lub żyzny krajobraz, by natychmiast przynieść mu zniszczenie. Dowódca szuka punktu obserwacyjnego, by czuwać nad rozwojem wypadków na polu bitwy, a na krajobraz spogląda nie okiem artysty, jak Pani, lecz stratega. Piękny most, biegnący łukiem nad rzeką, zostaje wysadzony, by odciąć drogę Francuzom, ukwiecone pole zostaje zżęte, by dostarczyć koniom paszy. Nawet wieńcząca wzgórze kępa pięknych drzew lub malowniczy wąwóz oznacza jedynie kryjówkę dla mych ludzi lub miejsce, gdzie mógł się zacząć wróg i gdzie wkrótce niejeden z nas miał znaleźć swój grób.

Wielkie to błogosławieństwo, że nie muszę już dłużej patrzeć w ten sposób na urodę świata, a jeśli ceną za ten dar jest pewna wiejska nuda, to powinienem pamiętać, że przecież widziałem więcej świata, niż wiele osób zobaczy przez całe swe życie - i tym się ukontentować.

W miarę jak zbliżała się zima, rodziny, które z powodu położenia swych domostw, kantorów lub obowiązków duszpasterskich nieczęsto widywały z bliska brukowane i oświetlone latarniami ulice, zaczęły się rozglądać za rozrywką. Niejedna zacna matrona zapraszała mnie na wieczerzę i radziła się, czy w Paryżu i Brukseli można znaleźć

dobre towarzystwo - przez co, o czym wiedzieli wszyscy, rozumiała dobrego męża. Jeśli intencją tych dam było zwrócenie mego spojrzenia na pannę Jocelyn, pannę Euphemie Jocelyn, pannę Sophy Stamford i inne dziewczęta, to wysiłki te były daremne. O powabach tych młodych panien wiedziałem równie dużo jak one o moich ziemiach, a ich towarzystwo bawiło mnie - przynajmniej przez jeden wieczór.

Podczas jednej z takich wizyt panna Jocelyn wbiegła z filiżanką herbaty dla mnie niemal natychmiast, gdy wszedłem do salonu jej matki w towarzystwie drugiego dżentelmena. Usłyszała - jakże ci więcej panowie uwielbiają plotkować! - że ściany jadalni i biblioteki w Kersey zdobi piękna kolekcja portretów.

- Uwielbiam obrazy prawdziwych ludzi. Moja guwernantka kazała mi oglądać te paskudne historyczne malowidła. Kto mógłby dbać o Andromachę, Akteona i innych nudnych Rzymian?

- Z pewnością nie młode damy - odparłem. - Oczywiście z radością je pani pokażę, jeśli pani rodzice zechcą przyjąć zaproszenie. A może pewnego dnia zjawi się pani w towarzystwie brata? Choć obawiam się, że same obrazy bardzo panią rozczerują.

Panna Jocelyn pociągnęła łyżeczkę herbaty i przez chwilę wzrok mój przykuł widok jej czerwonych usteczek, które rozchyliły się pod naporem bieli i złocień najlepszej porcelany jej matki. Podniosła wzrok i spojrzała mi w oczy. Na policzki zakradł się jej rumieniec.

- O, jestem pewna, że nie będę rozczarowana. Nie znam się na sztuce, ale wiem, co lubię! Skoro mogę rozpoznać znajomego, nie dbam o perspektywę czy odcienie.

- Obawiam się, że niewielu swych przyjaciół znajdzie pani na moich ścianach, bo wszystkie oryginały od dawna nie żyją.

- O, majorze! Mówi pan, jakby pański dwór był nawiedzony!

Lecz z pewnością posiada pan własny portret? - Spuściła głowę i zerknęła na mnie przez długie, jasne rzęsy. - Więc mogę założyć, że znajdę tam przynajmniej jednego przyjaciela. Proszę mi powiedzieć, czy zamówił pan swój portret?

Sama myśl o tym była absurdalna. Roześmiałem się.

- Nie, nie! Nie przyszło mi to do głowy.

- Mamo! - Pani Jocelyn podniosła głowę znad tacy z herbatą. - Mamo, major twierdzi, że nie zamówi swego portretu, by go powiesić

z bibliotece Kersey. Niechże mama go przekona, że to jego obowiązek - by odcisnąć swój ślad.

- Proszę nie pozwalać mojej niegrzecznej córce żartować z pana - powiedziała jej matka z uśmiechem, po czym wróciła do przyciszonej rozmowy z panią Stamford.

- Ach, proszę sobie zamówić portret, chociaż jeden! - Błękitne oczy panny lśniły jasno, jej pierś falowała. Jej dłoń spoczęła na moim ramieniu. - Bardzo proszę!

Zamilkłem. Jeśli w moim spojrzeniu odczytała kapitulację, to nie całkiem się pomyliła, choć poddałem się raczej mojemu pragnieniu i myśli o jej kapitulacji. O, pociągnąć ją na ten mięsisty turecki dywan, zderzyć z niej stanik, wtulić twarz w jej okrągłe, białe piersi, zadrzeć spódnice i wziąć w posiadanie jej pulchne, różowe ciało...

Opanowałem się, bo wiedziałem - nikt nie wiedział tego lepiej ode mnie - że takie przemijające namiętności nie liczą się dla człowieka, który wie to, co wiedziałem ja.

- Majorze... - odezwiała się po chwili panna. Może jednak moje oczy zdradziły co nieco. Potem dodała z cichym śmiechem: - Proszę mi wybaczyć, zaniedbuję innych gości. Muszę pana przeprosić.

Odwróciła się. Rzuciła matce szybkie, nerwowe spojrzenie, na co matrona odpowiedziała skinieniem głowy i nieznacznym uśmiechem zadowolenia.

Niespieszno mi było do spoglądania na własną podobiznę, lecz nie mogłem zaprzeczyć, że po zakończeniu zbiorów naszło mnie poczucie, iż zajęcie miejsca między moimi przodkami nie jest jedynie próżnością, lecz należy mi się dzięki memu, na razie jeszcze skromnemu, sukcesowi w pomnażaniu dóbr tych ziem i rodzin, które uprawiały je od tylu stuleci. W końcu ruszyłem na poszukiwanie w Norwich portrecisty i poświęciłem wiele zachodu, by był dobry. Panna Jocelyn mogła przysięgać, że nie interesuje jej perspektywa i odcienie, lecz choć niewielką mogłem mieć nadzieję, że jej oczy kiedykolwiek spoczną na moim portrecie, za skarby całego świata nie zamówiłbym obrazu, który źle by zaświadczył o moim smaku w oczach panny Durward.

Zdałem sobie sprawę, że nie jestem wolny od pożądania tych rozbrykanych młodych dam ani też nieczuły na ich zainteresowanie. Lecz nie mogłem się zdobyć, by w zamian zaoferować im moje

nazwisko i ziemię, więc me pragnienie musiało pozostać niezaspokojone.

Lecz dlaczego nie mogłem się na to zdobyć? Było to pytanie, które wielce mnie zastanawiało. Taka wymiana stanowiła powszednią rzecz w naszym towarzystwie. A czy zaledwie parę tygodni temu nie wyprawilem się do Lancashire, by znaleźć tam towarzyszkę mych dni i strażniczkę mego snu właśnie na drodze takiej wymiany? Od czasu do czasu, idąc na spoczynek, zastanawiałem się, czy po prostu nie uciekam przed świadomością, że kolejna młoda dama mogłaby uznać, iż rozkwitający stan mojej posiadłości - o czym mówiło całe hrabstwo - nie wynagrodzi jej podupadłego stanu mej własnej osoby. Stać się obiektem takiego obrzydzenia, jakiego nie potrafiła ukryć nawet tak szlachetna dama jak pani Greenshaw, i znosić to nie raz, lecz co noc aż do śmierci... Nie, na to nie zdołałbym się skazać z własnej woli.

Lecz gdy wokół zapadały ciemności, wiedziałem, że to nie ta niechęć naprawdę mnie powstrzymuje, lecz coś znacznie silniejszego: nieustanny, uparty smutek i bolesna radość, które kryły się w sercu mej egzystencji. Towarzystwo, jakie mogłem teraz znaleźć, cielesne pożądanie, jakie mogłem zaspokoić, byłyby zdradą mego serca, bo w nim kryłem wspomnienie jakże krótkiego szczęścia i jakże doskonałej miłości.

Oparłem mą kulę w pobliżu i zdmuchnąłem świecę. We śnie wydawało mi się wyraźnie, że nadal mam brakującą kończynę, a czasami tak wyraźnie śniłem o tamtym dawnym szczęściu, o chodzeniu i bieganiu, o zdrowym ciele, o Hiszpanii, że dopiero potracając rano kulę, przytomniałem i przypominałem sobie o mej stracie. Inne noce, które upływały mi w tym wielkim puchowym łożu, wśród odgradzających mnie od ciemności zasłon z chińskiego jedwabiu haftowanego w kwiaty i owoce, nie były tak łaskawe jak kiedyś, pod hiszpańskim niebem, które niegdyś wisiało nad mą głową niczym aksamit naszywany gwiazdami wielkimi jak zwierciadła. Ale czyż nie każdy mężczyzna w mym wieku - powtarzałem sobie - ma wspomnienia, które nieco go niepokoją, gdy we śnie zapomni o ostrożności, a ciemność osłoni nadejście dawnego wroga?

Ale oczywiście o tym nie mogłem napisać do panny Durward. Nie mogłem jej nawet powiedzieć o portrecie, a tym bardziej skąd wzięła mi się myśl o jego zamówieniu. Ona zaś wypytywała mnie - a ja jej odpisywałem - o szczegóły umundurowania, zachowanie

żołnierzy i scenerię, o Corunnę oraz postaci i znaczenie szeregów Torres Vedras. Przysłała mi szkic dziewięćdziesiątego piątego regimentu pod Quatre Bras, bym naniósł poprawki, jakie wydadzą mi się konieczne, i spytała o wydarzenia życia wojskowego.

Aczkolwiek mógłbym pół dnia poświęcić na szczegółową odpowiedź na Pani ostatni list, w kwestii Corunny muszę się raczej uciec do źródeł opublikowanych, gdyż nie było mnie tam. Moje wspomnienia roku ósmego dotyczą dość przerażającego, gorączkowego odwrotu Lekkiej Dywizji do Vigo - sami sobie służyliśmy za przynętę, by pociągnąć w ślad za nami Francuzów przez śnieg i lód - i naszej rozpacz na wieść o śmierci szlachetnego sir Johna Moore'a w Corunnie, ojca założyciela i dobrego ducha naszego regimentu. Takich wspomnień nie można wymazać...

Trzeba Pani wiedzieć, iż dziewięćdziesiąty piąty szczycił się zasłużeniem, że nieodmiennie jesteśmy pierwsi na polu walki i ostatni z niego schodzimy, toteż równie nieodmiennie zdarzało nam się wyprzedzać naszą intendenturę, starającą się zapewnić nam pożywienie i schronienie. Stąd też wkrótce cała armia jęła nam zazdrościć nabytej z konieczności zdolności do zdobywania prowiantu mniej oficjalnymi kanałami. Dwaj młodzieńcy, których spotkaliśmy pewnego głodnego wieczoru w marcu roku dwunastego, nosili się zgodnie z barwną modą śmiałków tego kraju, nieśli zaś dwie tłuste i protestujące gęsi. Pozwoliłem ich sobie naszkicować na odwrocie tej strony, łącząc wyrazy skruchy za niedoskonałość mej ręki, lecz tusząc, że kunszt Pani nadrobi me niedociągnięcia.

Jakże żałuję, że uwagi znajomych zepsuły matce Pani radość z urodzinowego podarku. Sądziłem, że jej uczucia dla Toma - a także zachwyt, jaki każda znająca go osoba musi odczuć na widok tego najdelikatniejszego i pełnego miłości portretu, na którym przedstawiony jest takim, jakim stworzyła go natura - wezmą górę nad poglądami tych, dla których poczucie przyzwoitości jest ważniejsze od impulsów ludzkich uczuć. Jednak być może należy mieć wyrozumiałość dla pokolenia, którego poglądy formowały się bez pomocy rozsądnej, naturalnej edukacji.

Nie mając zajęcia w polu i przy dłużących się wieczorach, coraz więcej czasu poświęcałem na sprawy domowe, a także korespondencję z panną Durward, aż w końcu jałem codziennie

wypatrywać nadejścia jej listów z gorliwością, której nie znałem ani w szkole, ani nawet w regimencie.

Pewnego szarego grudniowego dnia pojechałem do wsi z wizytą do dyrektora szkoły. Puściłem wodze starej Dorze, która sama wybierała sobie drogę na wyboistym trakcie, a widok pomiędzy jej uszami zdał mi się tak brzydkim, że odwróciłem od niego spojrzenie. Nagle klacz moja się spłoszyła. Zatańczyła zadem, a jej przetykana srebrnymi nitkami grzywa zafalowała tuż przed moją twarzą. Wodze wysliznęły mi się z ręki. Zdało mi się, że spod jej kopyt uciekło szlochające dziecko, które rzuciło się pędem w stronę chaty.

- Mamo! Mamo! Zgubiłam się!

- Ufam, że nie stała się jej krzywda! - zawołałem w mroczne wejście chaty, gdym już zsiadł z klaczy.

- Nie, panie - odparła matka dziecka, dygając na powitanie. - Ach, ty dziewczynisko! Przestraszyłaś pana! I po co to tak wypadać? Zrób to jeszcze raz, a Czarny Lud cię złapie!

Pomyślałem o niegdysiejszym cesarzu - który, jak wiem, nudzi się, nieskruszony, w swym dalekim tropikalnym więzieniu - wyłaniającym się z mgieł naszych spokojnych lasów i pól, jakoby urzeczywistnionym z ciemności, która jest wszędzie, uśpiona, złośliwa. Potem w końcu dosiadłem konia i obejrzałem się, by pomachać na pożegnanie. Matka i dziecko, objęte, wydały mi się raptem jedną istotą.

Przyczyną mego spotkania z proboszczem był remont kościoła, który należało uczynić od ręki, nim na dobre zaczną się zimowe deszcze. Zakrystian Bonnet kręcił głową i mówił o popękanych rynnach i zniszczonych rynsztokach, sam proboszcz zaś - pokręcony reumatyzmem, lecz nadal dziarski - wdrapał się na drabinę, z której przyjrzał się ze smutkiem dwom starym posągom świętego Łukasza i świętego Jana, stojącym w niszach po obu stronach wejścia i poplamionym deszczówką na kolor czarny i zielony. Posągi miały odcięte dłonie, a twarze martwe i płaskie, jakby czekały na jakąś nadprzyrodzoną dłoń, która znów przywróci im zmyte przez wodę ludzkie rysy.

- Chyba to nie woda uczyniła całą szkodę? - spytałem.

- Nie, nie - odparł stary Bonnet. - To wojna, oczywiście, jak wszystko inne, po tym oblężeniu Colchester.

- Wojna? A, wojna domowa.

- Ano tak. Powiadają, że działo się tu równie źle jak parę lat temu we Francji.

Proboszcz westchnął i zszedł z drabiny.

- Niestety, tak. Pomyśleć, że może znowu... A tu, we wschodniej Anglii, byli szczególnie fanatyczni. No, Bonnet, chyba już obejrzelśmy wszystko. Dasz mi znać, co powie murarz? - Bonnet zasalutował i zaczął składać drabinę. - No cóż, Fairhurst, może kropelka czegoś mocniejszego w ten paskudny zimny dzień?

Zgodziłem się, a kiedy przeszliśmy przez wiklinową furtkę, proboszcz odezwał się znowu:

- Purytanie mają tak niewiele szacunku dla sztuki naszych przodków.

- I dla samych świętych.

- Łatwiej mi wybaczyć nienawiść do wizerunków niż zniszczenie naszej wspólnej historii. Poza tym można by pomyśleć, że pomimo tego, co nazywają papieskimi pułapkami, ewangelisci będą im drodzy. A, pani Marsh, przyprowadziłem majora na kapeczkę wina.

- Ale w Hiszpanii widziałem, jak wielką moc takie wizerunki - nawet papistowskie - mogą budzić w sercach ludzi - powiedziałem, odkładając laskę i zdejmując opończę. - I jak bardzo brakuje ich we Francji. Ludzie szukają u nich ukojenia i nadziei. - Nie dodałem, jak boleśnie przekonałem się o sile tej pociechy podczas tych nielicznych dni w Berze: takie wspomnienia zajmują w moim sercu zbyt wiele miejsca, bym musiał dawać im wyraz.

- Oczywiście lud prosty i niepiśmienny tego nie pojmuje. Prowadziłem korespondencję z jednym z moich kolegów spod Bristolu na temat tego oto dwunastowiecznego tympanonu; to antykwariusz o najbardziej rozległej i źródłowej wiedzy. Lecz wszyscy powinniśmy szukać nadziei i pociechy oraz wszystkiego, co daje nam Pan, w Jezusie Chrystusie. A teraz, jak człowiek, który pił len trunek w jego ojczyźnie, proszę mi powiedzieć, co pan sądzi o tej sherry.

Bez trudu dałem się nakłonić do pozostania na wieczerzę, a pani Marsh - szwagierka mojej pani Prescott - krążyła z talerzami, aż proboszcz zapalił lampy. Zima była w pełni i właśnie minęła czwarta po południu.

Omówiliśmy szczegółowo sprawy miejscowe, gdyż od paru miesięcy jeden z banków zaprzestał wypłat i wydawało się pewne, że inne pójdą w jego ślady.

- A jeśli cena ziarna po tak skąpych zbiorach wzrośnie jeszcze bardziej, kłopoty będą blisko - powiedział proboszcz. - Wystarczy tylko paru podżegaczy, co będą krzyczeć o reformach, a głód zmieni się w radykalizm.

- Już to widziałem.

- W rzeczy samej... co mi przypomina, mój drogi Fairhurst: nie chciałbym być natrętny... krótko mówiąc, w sprawie, o której rozmawialiśmy na wiosnę...

By mu oszczędzić zażenowania, wyznałem, że pani Greenshaw i ja uznaliśmy, iż nie zawrzemy związku.

- Lecz mam nadzieję, że nie zrezygnujesz całkiem z tej myśli - powiedział, sięgając po karafkę. - Widziałem, jak polujesz... czy kobieta może pragnąć więcej? Nie mówię, zakonotuj sobie, o romantycznej pannicy, lecz o niczego sobie rozsądnej niewiastce, która pragnie się wygodnie urządzić.

Westchnąłem, gdyż nie mogłem się z nim nie zgodzić. Proboszcz nie mógł wiedzieć, że dla tego, kto raz skosztował nektaru, zwykła woda będzie przejmująco zimna. Proboszcz pochylił się, by nalać trunku do mego kieliszka, a potem do swego.

- Wiem, wiem. Różowe liczko, jasne oczy, co? Ale czy myślisz praktycznie? Przeżyłeś już w Kersey Hall rok w kawalerskim stanie. Towarzystwo jest ważne. Wiem, że mówiliśmy także o zaletach naturalnego ujścia dla namiętności, złagodzenia naporu przeszłości na umysł. Ale jest to coś, co często przychodzi z czasem - podobnie jak zażyłość.

Milczałem. Były to dobre i znane mi argumenty. Być może przez tę podłą pogodę wydawały się jeszcze bardziej przyziemne niż zwykle.

Dobrze, że moja mądra stara Dora знаła każdy kamień i wykrot w drodze do domu, choćby było ciemno jak oko wykol, bo choć szukałem pociechy w karafce proboszcza aż do samego dna, nie znalazłem jej.

* * * * *

Po kąpieli przyszedł sen. Obudziłam się skulona i drżąca i prawie z ulgą ujrzałam przykurzone ściany i proste rzędy łóżek. Nie było tu nic takiego jak we śnie, gdzie w ciemnościach coś się skradało, zimne, wilgotne, rosnące. To tylko we śnie zapadły ciemności, a drzwi były zaryglowane.

Przewróciłam się na plecy. Perełki wody już wyschły i panowała niewiarygodna cisza. To nie była cisza wieczoru - nie spałam aż tak długo - ale plamy słońca na podłodze wyciągnęły się i pożółkły jak ukochany stary podkoszulek na sznurku do bielizny, a powietrze wypełniała świetlistość, jakby się otworzyło oczy pod złotą wodą. Potem na dole gruchnęło, ktoś krzyknął i znowu gruchnęło. Nagle poczułam się zziębnięta i obnażona, jak wtedy, kiedy ostatnie krople wody znikają w odpływie wanny, bulgocząc z tego pośpiechu, i zostają tylko puste ściany, tchnące ostatnim ciepłym wspomnieniem o tym, co przeminęło.

Cyferki na budziku przeskoczyły z kliknięciem. Szósta. Zastanowiłam się, czy przypadkiem nie mają tu ustalonej godziny podwieczorku, bo pory obiadu najwyraźniej nie mieli, przynajmniej oficjalnej. Zastanowiłam się też nad tym hałasem i krzykiem. Tam się coś działo. Kiedy człowiek mieszkał w tylu różnych miejscach co ja, zna się na takich sprawach. Włączyłam głośno radio i przebrałam się w czysty podkoszulek i dżinsy, bo musiałam przynajmniej usłyszeć, że gdzieś są jeszcze żywi ludzie.

Stare linoleum na podłodze było gładkie, czyste, chłodne, ale nie zimne. W domu nigdy nie chodziłam boso - mówię tu o wszystkich moich domach - bo podłogi były brudne. Popiół z papierosów, żwir z tych oleistych kałuż, które nigdy nie wysychają z rozpadlin w asfalcie, i proszek do prania, bo któraś z nas nie zauważyła, że pudełko jest nieszczelne, kiedy niosła je do łazienki, żeby uprać majtki, bo zlew był zajęty wczorajszymi talerzami, a nowa pralka z drugiej ręki okazała się nie tylko z drugiej ręki, ale na ostatnich nogach i znowu się zepsuła. Ciekawe, gdzie tutaj mają pralkę, bo przy tej pogodzie będę zużywać tony ubrań, chyba że wolę robić za kloszarda.

I nagle uderzyło mnie, jakie to dziwne, że tu w ogóle jestem. Mieszkałam w wielu lokalach, ale żaden nie był taki wielki. Ani taki przyzwoity. Bez wind śmierdzących sikami, bez ciemnych typów na podwórkach i dilujących na korytarzu, bez psich kup na schodach, bez Jimiego Hendriksa, rozłupującego ściany - tu dodam, że Jimi Hendrix jest w porządku, ale nie o trzeciej nad ranem, kiedy dopiero co zasnęłam, bo mama, wróciwszy o północy, niezwłocznie rozsłochała mi się w rękaw i wyjawiała, że nie warto dorastać, bo życie to kupa gówna, a potem się umiera.

Tutaj nie było nic z tych rzeczy, ale i tak było dziwnie. Kiedyś mieszkała tu pewnie bogata rodzina, no i ci wszyscy ich służący zapewne tyrali w piwnicy i na strychu, i biegali po kuchennych schodach, ale nigdy ich nie było widać, tylko słyszało się szuranie i szelesty. Kim oni byli, ci wszyscy dawni ludzie? Teraz została po nich tylko przestrzeń. Tak jakby na coś czekała, jakby sama przestrzeń stała w pokojach, oddychała, chodziła po schodach. Przestrzeń będąca ludźmi, których tu właściwie nie było, ale byli bliscy zaistnienia, gdyby tylko dobrze nastawić ucha.

Szłam po korytarzu boso i cicho. Belle wchodziła po schodach w moją stronę, bardzo powoli, zaczerwieniona, przytrzymując się balustrady.

Na górze zatrzymała się.

- O - powiedziała, sapiąc. - Witaj. Nie jesteś podobna do matki.

Mocno pachniała - chyba dżinem.

- Nie, wiem. - Zamierzałam to powiedzieć od niechcienia, ale zabrzmiało trochę za głośno. - Jestem podobniejsza do ojca.

- Chodzi o to, że by tu nie została. Nie żebym kazała jej odjechać. Jestem jej matką, pozwoliłabym jej zostać. Wiem, jak to jest... Oczywiście nie zrobiłabym tego. Nie jestem taka. Nawet gdyby nam powiedziała, że wyjedzie i wpakuje się w kłopoty. Czego oczywiście nie zrobiła. Co ci powiedziała?

- Nic - mruknęłam. Nie miałam ochoty schodzić na dół, choć nie chciałam też wysłuchiwać takich rzeczy. Zresztą mówiłam prawdę - mama nic mi nie mówiła. Ani o tym, ani o moim ojcu, ani co się wydarzyło. Jego nazwiska nie było nawet w mojej metryce. Widziałam ją, kiedy mama wyrabiała sobie paszport. Anna Jocelyn Ware - „Anna” może być, ale co ją podkusiło z tą „Jocelyn”? To nawet nie brzmi jak imię, prędzej nazwisko. Ojciec: nieznany. Matka: Nancy Annabelle Ware, z domu Holman, niezamężna. Zresztą nie byłam ciekawa. Takie nadzieje prowadzą tylko do łez. Od zawsze wiedziałam, że takie rzeczy tylko w filmach kończą się wspaniale. Więc powtórzyłam: - Nic mi nie mówiła.

- Tak myślałam. - Belle wyprostowała się i zmierzyła mnie wzrokiem. Zdecydowanie była leciutko pijana. - Zresztą to nieważne, prawda? Ray i ja wyprowadziliśmy się z Bury St Edmunds i... i on później wrócił do Suffolk i rozkręcił tu firmę, a ja pojechałam do... On

zaczął od nowa, a ja też mogę. Jeszcze nie wszystko skończone tylko dlatego, że szkoła zamknięta. - Ręka, która nie trzymała balustrady, wyciągnęła się do mnie. - Teraz możemy... możemy zacząć od nowa, z tobą też. Nancy wcale nie musi tu być, prawda? Możemy sami stworzyć rodzinę, Tylko my. Chciałabyś?

Chciałam przede wszystkim potwierdzić - tak bardzo, że aż mi się gardło ścisnęło, choć ta kobieta była stara, ciut podpita i nie wiedziała nawet, kiedy mam urodziny. Chciałam wyciągnąć do niej rękę, dotknąć jej, to była moja babka. I chciałam, żeby mnie odnalazła. Nawet puściłam balustradę.

Ale to ściskanie było bolesne, bo nie wiedziałam, czy można stworzyć rodzinę z kimś, kogo się nie zna.

W końcu wymamrotałam: „Muszę już iść”, i zeszłam parę stopni w dół, a kiedy Belle nic nie powiedziała, poszłam na sam dół. A ona poczłapała schodami prowadzącymi z mojego piętra do ich pokojów.

Schody też były wyłożone linoleum, z takimi wybrzuszeniami na stopniach, które mają chronić przed potknięciem, ale właśnie na nich można sobie wybić zęby. Bose stopy niosły mnie bezgłośnie i niezawodnie. Mogłam iść wszędzie.

W salach zostały jeszcze biurka, łóżka, tablice i parę wielkich kubłów na śmieci, kipiących od zgniecionych papierów i podartych książek. Wszystkie wyglądały jak bezpańskie, jakby pokoje tylko je tolerowały, znosiły, podobnie jak brzydką szarą farbę i wyjścia awaryjne i numery na drzwiach. Dzieci znikły i wkrótce zniknie wszystko inne, bo przedmioty mają taki zwyczaj. Tylko przestrzeń zostaje i czeka na coś nowego.

W kuchni wujek Ray mieszał ravioli w rondlu. Ten mały Cecil leżał na brzuchu, wydłubując dziurę w linoleum. W dziurze przebłyskiwał kawałek drewna z narysowaną buzią i oczami.

Wujek Ray podniósł głowę.

- Cześć. Urządziłaś się? Poczekaj chwilę. - Postawił rondel na stole nad głową Cecila. - Masz, Ciss - uważaj, gorące.

Cecil wstał i zajrzał do rondla. Miał taką jakby spiczastą buzię z wielkim, gruzlastym czołem. Na policzku - zadrapanie. Potem wziął drewnianą łyżkę i zaczął wpychać do ust ravioli; mieścił mu się tylko jej czubek. Przez to wydawało się, że je niechętnie, ale jego szczęki pracowały gorączkowo, jakby umierał z głodu.

- Tu załatwione - powiedział wujek Ray. - Poczęstujesz się sama? - Machnął w stronę jakichś drzwi. - Spizarka pełna.

Faktycznie była pełna, jeśli ktoś lubi młode konserwowe kartofelki lub sosy w proszku i rodzinne galony oleju. Ja nie bardzo, ale pomyszkowałam w lodówce i znalazłam niedużą puszkę wołowiny i twarde, kwaśne pomidory, które zestawione razem na talerzu można było nawet wziąć za kolację. Moje kulinarne umiejętności nie wykraczają poza tę granicę, bo choć mama potrafi zrobić dość paskudną pieczeń, jak się jej chce, to zawsze jest tak samo: nie wpuszcza mnie do kuchni, bo wchodzę jej w drogę, a poza tym mam za zadanie siedzieć z jej nowym chłopakiem, cała śliczna, i czarować go swym wdziękiem i zamiarem niezwłocznego opuszczenia mieszkania i niewchodzenia mu w drogę.

- Kiedy tak sobie myślę, że tu zamieszkaż, zakładam, że chętnie zachowasz niezależność - odezwał się wujek Ray. Zmywając rondel, popijał whisky, ale pusta butelka w koszu była po ginie. Zauważyłam to, wyrzucając puszkę po wołowinie. Cecil skończył jeść i wrócił pod stół. Teraz dla odmiany zaczął zgarniać kurz do dziury, zasłaniając małą drewnianą postać. - Bardzo się cieszę... cieszymy się, że tu jesteś. Chciałbym ci pokazać okolice, ale ciągle mam masę roboty. Może za parę tygodni. - Uśmiechnął się, trochę niewyraźnie. - Niestety... muszę cię zaniedbać. Poza tym chyba nie chce ci się nudzić z takimi piernikami jak my. A Belle łatwo się męczy.

Na coś takiego nie można odpowiedzieć uprzejmie.

- Do najbliższych urodzin nie dostanę stałej pracy - powiedziałam. Wołowina była zimna i tłusta. - Ale mogę pracować dorywczo.

- Tutaj to nie takie proste jak w Londynie. I nie wiem, jak byś dojeżdżała. Oczywiście zawsze chętnie cię podrzucę, jeśli tylko będę mógł. Ale skasowali linię kolejową do Beeching, a autobus jeździ raz w tygodniu, w dniu targowym. Niestety, trafiłaś na prawdziwe odludzie - nie ma kanalizacji ani gazu, a prąd też czasami wyłączają.

Nie zamierzałam tak łatwo zrezygnować.

- Więc będę musiała chodzić piechotą.

- A może najpierw odpoczniesz? Zdawałaś egzaminy, tak?

- Lekko poszło. Na ogół.

- Mimo to z pewnością zasłużyłaś na odpoczynek. Jeśli brakuje ci kasy, mogę ci trochę dać. - Sięgnął do tylnej kieszeni i wyjął

zniszczony, ale drogi portfel. - Masz, pięć funtów. Czy to wystarczy na jakiś czas?

Powinno mi się zrobić miło. Bardzo, bardzo chciałam, żeby to był z jego strony miły gest. I pewnie nawet był. Ale poczułam się jak w dzieciństwie, kiedy mama dawała mi drobne na słodycze, żebym nie płakała, albo kiedy Dave czy inni wciskali mi funta na kino, żebym nie przeszkadzała. Ostatnim razem była u mnie Tanya i ponieważ nie mogłyśmy zostać w moim pokoju, żeby malować sobie nawzajem paznokcie, słuchać T. Rex i gadać o seksie, umalowałyśmy się, wyszłyśmy w miasto i upiłyśmy się w knajpie, gdzie usiłowałyśmy wycisnąć z szafy grającej coś lepszego od Abby. I gadałyśmy o seksie. Mało brakowało, a byśmy go w dodatku zaliczyły, z dwoma chłopakami, którzy nas poderwali. Ale to głupie, żeby tak zaliczać seks. Robiłam to już tyle razy, że to przynajmniej wiem. Jemu jest aż za łatwo wyjąć i odejść, nawet nie udając, że go ciekawi, czy i tobie było dobrze. Poza tym jak to robicie na stojąco, to oni usiłują ci wmówić, że w ten sposób nie można zajść, słowo, a ty wiesz, że po prostu nie chce im się wkładać gumki. A Tanya nie robi tego w samochodzie, nawet gdyby tamci mieli samochód. Mówi, że jedyną rzeczą gorszą od „Playboya” pod jego łóżkiem jest „Auto Fan” pod własnym tyłkiem.

Wujek Ray ciągle stał z tym piątkiem, więc się otrząsnęłam i przyjęłam go.

- Dzięki, wujku. Oddam, jak będę mogła. Poklepał mnie po ramieniu.

- Nie trzeba. Uznaj to za kieszonkowe. I może byś dała spokój z tym wujkiem? Po co te formalności? - Podszedł do drzwi. - No dobrze, jeśli nic ci nie brakuje, zajrzę do Belle. Jest trochę nie w formie.

- Aha, widać - palnęłam, nie myśląc. Zatrzymał się, a potem powiedział powoli:

- Wiem, nie spodziewałaś się jej. A ja... hm, nie spodziewałem się, że... Ale ona tak się ucieszyła na twój widok. Sama nie miała łatwego życia, wiesz? Podczas ewakuacji... podczas wojny... traktowano ich tak... I czasami... Ale bardzo się cieszy, musisz w to uwierzyć. Tak jak ja. A to mi przypomina... jutro przyjedzie furgonetka po ten szkolny sprzęt, biurka, łóżka i tak dalej. Oczywiście nie twoje. I jeśli chciałabyś zachować coś dla ciebie, powiedz tylko

słowo - czy stolik, czy coś. Powiedz tylko słowo. - Uśmiechnął się. Żeby miał tak samo żółtawe jak włosy. - Strasznie się cieszę, że przyjechałaś, wiesz? Chcę... chcemy, żebyś była szczęśliwa, skoro już cię odnaleźliśmy.

Kiwałam tylko głową, bo nagle przestraszyłam się, że się rozpłaczę. Wyszedł, a ja schowałam piątaś do kieszeni dżinsów, umyłam talerz i szklankę. Potem poszłam na górę po sandały i wyszłam w upalny zmrok.

Droga panno Durward,

Lękam się, że opis życia wojskowego w czasach pokoju nie dostarczy zbyt wielu budujących, wzniosłych czy choćby zabawnych tematów dla Pani słuchaczy, chyba że mają oni upodobanie do historii o niebezpieczeństwach polerowania broni i egzotycznych rozkoszach płynących z przeglądania zamówień obroku. Jednakże lubię myśleć, że czytuje Pani moje historyjki głośno wieczorami, a jeszcze miłsza jest mi myśl, że przypina je pani nad swym biurkiem, jak to pani opisała, by tym lepiej przekształcić me nieporadne słowa w swe ilustracje.

My, którzy najlepiej znamy grozę i nędzę wojny, z pewnym przerażeniem powitaliśmy powrót do Anglii po nastaniu pokoju, co nastąpiło w kwietniu roku czternastego. Dziewięćdziesiąty piąty powrócił do Anglii i zatrzymał się w Dover. Urlop, który dostałem, spędziłem w domach przyjaciół z wojska i jeśli nudziłiśmy ich nowo poślubione żony naszą gadaniną o walkach i strategiach, zawsze dokładaliśmy starań, by - jeśli pora nie była zbyt późna - wybierać historie prawdziwe (aczkolwiek do pewnego stopnia), lecz stosowniejsze dla uszu dam. Inne historie, jak sobie Pani z pewnością wyobraża, musiały poczekać do chwili, gdy damy udały się na spoczynek, gdyż wojsko to mężczyźni, a mężczyźni to stworzenia z krwi i kości. W istocie ryzyko, na jakie wystawiają ową krew i kości, być może bardziej niż cywilom uświadamia im ich naturalne popędy i skłania do ich zaspokajania z pewną dziką gwałtownością, zwłaszcza przy tak nudnym garnizonowym życiu, jakie pędziliśmy w Dover.

Poza tym czas upływał przyjemnie, lecz te miesiące w Anglii - po siedmiu latach w Hiszpanii - nauczyły mnie dwóch rzeczy. Po pierwsze, że pokój to bezcenna perła, którą mężczyźni często odrzucają na swoją zgubę, po wtóre zaś, że nie potrafię go znieść.

Moją konstytucję, podobnie jak w przypadku wielu mych kompanów i naszych żołnierzy, nękają ataki gorączki Walcheren, którą zaraziłem się podczas nieszczęsnej kampanii na owej wyspie w roku dziewiątym. Wilgoć i chłodne angielskie lato zaostrzyły objawy choroby bardziej niż klimat Hiszpanii. Ponadto gdy zebrało się nas wielu, nie sposób było zapomnieć o tych, którzy powinni się tu znaleźć, lecz których zostawiliśmy, śpiących w hiszpańskiej ziemi.

Czułem się, jakby głowę zasnuły mi angielskie mgły. Nie potrafiłem chwycić przyjaciela za dłoń i radować się jego dobrym zdrowiem, gdyż pamiętałem, że moja radość była większa, gdy życie nas obu było zagrożenie. Nie potrafiłem lec na zielonej angielskiej łące, wdychając woń rozgrzanego słońcem wiciokrzewu w żywopłotach, nie pamiętając o zakurzonych zaroślach rozmarynu i oleandru, o upale, który parzy skórę, o górach, rzekach i śniegach z mego innego życia. Było tak, jakby zagrożenie i ciągła obecność śmierci, jakie mi towarzyszyły w Hiszpanii, wyostrzyły me zmysły i wrażliwość, w Anglii zaś nie mogłem już patrzeć i odczuwać z tą samą intensywnością, z tą samą pasją i zachwytem, do których przywykłem, aczkolwiek z godnych pożalowania przyczyn.

Może sobie Pani wystawić, z jak mieszanymi uczuciami przyjąłem wieść o ucieczce Bonapartego z wyspy Elby. Nagle w całym garnizonie zawrzało od przygotowań. Jednak historia o ostatnim akcie walki z Bonapartem i moim skromnym udziale w niej musi poczekać do następnego dnia, gdyż zaniosę ten list osobiście do Bury St Edmunds, by zdążyć na dyliżans, a pęd po tych brukowanych drogach jest igraszką z diabłem. Uczono mnie w wojsku, by nigdy nie narażać siebie ni mych żołnierzy na niebezpieczeństwo bez powodu, a ponadto nic tak nie uczy człowieka szacunku do zdrowych nóg jak strata jednej z nich.

Boże Narodzenie i Nowy Rok w Kersey uświetniły uroczystości, które - jak się dowiedziałem - stanowiły tu zwyczaj, a wypytałem o nie Stebbinga dokładnie, by nie zawieść w żadnej mierze oczekiwań mych dzierżawców i sąsiadów, uprzykrzył zaś je nieco dokuczliwy deszcz. Wiodąc życie osiadłe, do jakiegom nie przywykł, lepiej poznałem mych domowników, a oni mnie, więc nawet dziewczka kuchenna nauczyła się, nie tracąc kontenansu, odpowiadać śmiało na me przyjazne pozdrowienie. Mieszkało tu też pacholę, którym widywał czasem na górze z sianem, a czasem, spokojnym

popołudniem, gdy nikogo nie było w pobliżu, przemykające niczym cień w zakamarkach domu. Nie dociekałem, czyj on, by Stebbing nie poczuł się zmuszony do wyboru pomiędzy okłamaniem swego pana a wyjawieniem hańby jakiejś nieszczęsnej dziewczyny, a kiedym nie ujrzał chłopca na biesiadzie, którą wyprawiłem dla mych dzierżawców i domowników w dniu świętego Stefana, poznałem, że moja powściągliwość była słuszna. Inne dzieci hałasowały, jakby było ich dwakroć więcej, choć rodzice często łajali je, jakem zauważył, z surowością i uczuciem zarazem, lecz nigdy w ich towarzystwie nie widziałem owego dziecięcia.

Śnieg padał skąpo, lecz nadal było zimno i tak deszczowo, że rozrywki na świeżym powietrzu - z wyjątkiem polowania i zawodów strzeleckich - straciły wiele ze swego uroku, jakie miały jeszcze w mroźnych mgłach listopada. Jednak schronienie moje było już w dobrym stanie, a miejscowi gospodarze na ogół potrafią znaleźć rozrywki na naszej spokojnej, życzliwej ziemi, więc na tydzień przed końcem stycznia z czystym sumieniem zaprosiłem paru wojskowych kamratów, by zażyli nieco ruchu.

- Więc żadna hiszpańska ślicznotka nie zwabiła cię przed ołtarz, kiedy wróciłeś po wojnie do San Sebastian? - spytał Welford. Zamieszał poncz i pociągnąwszy nosem ze znawstwem, dodał do niego brandy.

- Żadna - zapewniłem go, wciskając do wina cytrynę, którą mi wręczył. - Nie wiedzieć czemu, straciły swój urok, gdy Soult przestał nam następować na pięty.

- Trudno ci mieć za złe, żeś je ukochał i porzucił - odezwał się wyciągnięty na sofie Buckley.

Przez cały dzień wędrowaliśmy po lasach z psami i strzelbami.

Po powrocie zasiedliśmy do wieczerzy, ledwie zrzuciwszy zabłocone opończe i buty, a teraz odczuliśmy przyjemne zmęczenie ciała i zadowolenie z dobrego polowania. Dwa nasze psy oraz Titus, mój spaniel, leżały przy kominku z takim samym zadowoleniem, jakie malowało się na fizjonomii Buckleya.

- Nie ożeniłbym się - ciągnął - nawet gdyby mnie było na to stać. Rzecz nie w tym, że kiedy się szuka kobiety, nie można jej znaleźć. Kto chciałby wracać do salonu pełnego plotkujących białogłów, kiedy można spędzać takie wieczory? A to mi przypomina... słyszeliście, że

Fraser pojmany? Jej ojciec się uparł, tak mi mówiono - nie pytajcie, kto - i zagroził, że pójdzie do jego dowódcy. Dobrze, że on, a nie ja.

- Patrzcie państwo - zdumiał się Welford. - Choć nie jest szpetna. Z pewnością się ze mną zgodzisz, Fairhurst... mam na myśli owo pojęcie? - Delikatnie zamieszał poncz, który zalśnił niczym płynny klejnot. - Jednak muszę rzec, że nigdy cię nie miał za zaprzysięgłego kawalera. Poza tym ten dom jest za duży na jednego mężczyznę. Pogrzbacz gotowy?

- Tak, rozgrzany jak trzeba. - Wyjąłem go spomiędzy węgli, gdzie tkwił od paru minut. Czubek był niemal biały, reszta jarzyła się płomiennie. Jedną ręką przytrzymałem wazę, drugą zanurzyłem w nią pogrzbacz. Płyn zasyczał i zawrzał, a twarz owiał mi zapach wina, goździków, cytryny i cynamonu, tak mocny, jakbym zanurzył ją w szkarłatnej głębi.

Gdym się z tym uporał, napotkałem zaciekawiony wzrok mych przyjaciół.

Omam nie wyznałem im swojej miłości, lecz choć wspomnienia ożyły we mnie świeże, dojmujące i słodkie jak to wino, ton mych druhów sprawił, że nie spieszyłem się z ich wyjawieniem. Gdybym miał opisywać fakty, nie różniłyby się one wiele od stu innych historii z życia naszych kompanów, z których kpiliśmy nieraz, a ból i niebezpieczeństwo wyrażenia w choćby niewielkim stopniu prawdziwej natury owych dni w Berze, a potem miesiące w San Sebastian, były ponad moje siły.

Poncz parował. Zanurzyłem weń chochlę i napełniłem nasze filiżanki. Wypiliśmy zdrowie króla i regimentu, a potem nieobecnych przyjaciół.

Zapadło milczenie; to powróciły do nas wspomnienia. Potem Welford napełnił filiżanki raz jeszcze i wzniósł swoją ku portretowi, który z pewną niechęcią powiesiłem nad kominkiem, a potem do mnie.

- I twoje zdrowie, Fairhurst, skoro w końcu zawinąłeś do portu. Życzę nowemu panu Kersey wiele zdrowia, długiego życia i szczęścia. Nie znam człowieka, który zasługiwałby na nie bardziej.

Wychyliłem trunek, poklepałem przyjaciół po ramionach i po chwili mogłem już spytać Buckleya o wieści z Londynu.

Nazajutrz obudzono nas wcześniej, tak jak rozkazałem, gdyż w Cavendish oczekiwano nas o dziesiątej. Wyruszyliśmy o świtanie - po

raz pierwszy od tygodni słońce nie kryło się za deszczowymi chmurami - i ruszyliśmy konno, ramię w ramię, a moi chłopcy stajenni jechali za nami na koniach na zmianę.

- Więc jeszcze masz Dorę? - spytał Buckley. - Chyba za stara na prawdziwą jazdę?

Milczałem, więc Welford rzekł:

- Zawsze powiadam, u koni młodość nie zastąpi mądrości, a siła doświadczenia.

Poklepałem Dorę po karku.

- Nie dosiadam jej, kiedy zapowiada się szpetny dzień. Niewielka z niej pociecha w polu, lecz tu sprawi się pięknie.

Na spotkaniu przedstawiłem mych druhów reszcie myśliwskiej kompanii, paru damom, które postanowiły stawić czoło mrozowi i dezaprobach co bardziej surowych sąsiadów, a także paru miejscowym gospodarzom. Zanim konie zdążyły zziębnąć, dziedzic dał znak. Naganiacze poszli ławą, a my ruszyliśmy truchtem.

Psy szybko chwyciły trop. Teren nie sprzyjał nam, lecz zapach unosił się wysoko na złocistej mgle, a zarówno nasze wierzchowce, jak i psy były tak świeże i wypoczęte, że w pierwszej chwili musiałem ściągnąć wodze, gdyż nawet stara flegmatyczna Dora miała w takich okolicznościach skłonność do ponoszenia. Welford wiedział, że mając do dyspozycji jedynie nogę i kikut, nie mogę nad nią panować tak dobrze jak w dawnych czasach. Przesadzaliśmy żywopłoty, Buckley z przodu, Welford z tyłu, wypatrując zmrużonymi oczami czujnie niczym na polu bitwy, nie bacząc na gałązki, ciernie i błoto. Niegdyś musieliśmy wyglądać strzelców lub zasadzek; teraz w niebezpieczeństwie - być może nawet większym - były nasze karki, którym zagrażały zwisające konary, kamienie ukryte w trawie, królicze nory.

Dostrzeżono lisa i znowu nad grząską ziemią poniosło się nawoływanie, psy i ludzie ruszyli pełnym pędem po wykrotach i wybojach.

Trzask. Usłyszałem go i zdążyłem wyszarpnąć nogę ze strzemienia, gdy Dora padała. Reszta kompanii przemknęła obok nas z tętentem, szczęściem nie trając nas. Dora znieruchomiała, a potem dźwignęła się z ziemi. Jej tylna noga była wykręcona. Usiłowała zrobić krok i znowu przyklęła na przednich nogach, z pyska zaś wyrwało się jej ciche, bolesne rzenie. Wówczas i ja się podniosłem i

podszedłem do niej. Ujrzałem zakrwawiony, ostro zakończony szpikulec kości, która przebiła skórę uda.

Welford zatrzymał się przy nas, lecz nie musieliśmy nic mówić, by wiedzieć, co trzeba uczynić. Rozejrzeliśmy się i wśród drzew ukazała się nam wiejska chata.

- Ja pojadę - rzucił Welford, dosiadając konia.

- Zdaje się, że nazywają się Gosling! - zawołałem za nim. Podniósł rękę na znak, że mnie usłyszał, i odjechał.

Zdjąłem Dorze uzdę, a ona nieco się uniosła, tak że mogłem uwolnić ją od siodła. Potem usiadłem przy jej głowie, bo zaprzestała już wysiłków i tylko na mnie patrzyła, czasem mrugając ciemnym okiem. Gładziłem ją po głowie, miałem w dłoni jej miękkie, mocne uszy, tak jak kiedyś w Hiszpanii czy w stajni w Kersey. Trafiła do mnie od austriackiego kapitana, wziętego do niewoli pod Vitorią. Koń to jedyny łup wojenny, który przystoi zatrzymać oficerowi, a kapitan wyjaśnił mi kiepską francuszczyzną, że klacz pochodzi z Irlandii, ma pięć lat i że kocha ją nad życie. Siedząc w błocie Suffolk, wspominałem, jak Dora przemierzała z trudem pyliste drogi Estremadury i potykała się na ubitym śniegu, gdyśmy ramię w ramię brnęli w rozrzedzonym powietrzu pirenejskich przełęczy. Najśłodsze było wspomnienie, gdy stała na straży przed stodołą w Berze, delikatnie parskając w zieloną trawę, jakby błogosławiła naszemu szczęściu. Jadąc do Brukseli, sprzedałem ją przyjacielowi i, bez chwili wahania, odkupiłem, powróciwszy do Kersey; pamiętała mnie, co konie mają w zwyczaju, i zarżała tryumfalnie, gdym ją siodłał. Była kasztanką, jaśniejszą od innych, o lśniącej czarnej grzywie wygiętej w łuk niczym na greckich płaskorzeźbach. Teraz jej piękny ogon strzepywał raz za razem, bok unosił się i opadał, a jej chrapy, ciepłe i aksamitne, były tak wrażliwe i niespokojne, gdy wtulały się w moją dłoń. Gdyby była człowiekiem, pomyślałem, można by było nastawić jej nogę lub nawet ją amputować, tak jak moją.

Welford wrócił ze starą flintą. Postanowiłem, że sam to zrobię, gdyż byłem pewien, że klacz zna nasze zamiary, i nie chciałem, żeby odchodziła z tego świata w samotności. Załadowałem broń, oparłem lufę między jej oczy, a ona spojrzała na mnie ze zmęczeniem - i nawet, jak mi się zdało, zdziwieniem. Pociągnąłem za spust, lecz się zaciął, więc uniosłem lufę i wypróbowałem wszystkie znane mi sposoby, a wówczas ona zaczęła potrząsać głową i znowu podnosić

się na przednich nogach, więc Welford chwycił ją i uspokoił. W końcu przekłeta flinta stała się zdalna do użytku, lecz klacz nie chciała już trzymać głowy nieruchomo i kiedy strzeliłem, rana była paskudna i niechlujna. Klacz kwiczała i dygotała, aż znowu nabiłem, strzeliłem i w końcu jej ciało zastygło w ostatecznym bezruchu.

Decyzji mej nie podjąłem pochopnie: powtarzałem sobie od tyłu tygodni, że nie mogę opuszczać Kersey dla kaprysu, z powodu śmierci mej starej klaczy. Straciłem w bitwach niejednego wierzchowca i nie mogłem pozwalać, by ten blahy, acz naturalny smutek naraził na szwank dobro mych ziemi i ludzi. Mimo to duch we mnie podupadł przez tę zimową melancholię, której nie zdołał rozproszyć nawet widok pierwszych tojadów wyłaniających się z rozmokłej ziemi i suchych liści.

Raz po raz, gdy siadywałem przy kominku, dygocząc w febrze, lub spoglądałem na puste pola i grząskie drogi, i gdy widziałem te same pocziwe, tępe fizjonomie wokół stołu czy w kościele, z wyszorowanymi do czysta i rozbrykanymi dziećmi, przed oczami stawały mi wspomnienia Hiszpanii. Nie widziałem Hiszpanii pełnej zakurzonych gajów oliwnych, gdzie nagie góry kłują niebo, drżące pod ciężarem własnego żaru, ani też Hiszpanii czarnych mnichów i toreadorów w złotych haftach, ani też dam rzucających kwiaty. Nie, nie była to wcale Hiszpania Wellingtona. Myślałem raczej o blahych, kojących zapachach i dźwiękach mego życia w San Sebastian po wojnie: słony i smolny zapach statków i przystani, szczebiot dziewcząt, piorących przy brzegu i porównujących nocny połów, okrzyki ulicznych woziwodów, sto kościelnych dzwonów, wzywających basem i sopranem na mszę, zawodzenia żebraków, wrzask mew i łopot mokrego prania na wietrze od morza. Ale nie mogłem powrócić do San Sebastian. Te czasy przeminęły, a poza tym jedynie najbliższe z zapamiętanych dźwięków i zapachów były niewinne; całe to miejsce było brzemienne bólem, jakiego nie mogłem znieść.

Nie, nie mogłem wrócić do Hiszpanii. Lecz mogłem odszukać te same kojące rzeczy w innym miejscu: twarze podróżników, drukarnie, kantory jubilerów i kawiarnie, przekupnie nawołujący do wstążek i gorących placków, policjanci i zapalacze latarni, rozmowy z mężczyznami bywałymi w świecie i kobietami nielekającymi się świata. Kiedy wiosna zaczęła zakradać się na moje ziemie, z wolna

zdałem sobie sprawę, że za tym właśnie tęsknię, jak wygnaniec tęskni za rodzimym jądłem. Nawet dobro tej krainy, którą muszę teraz nazywać domem, nie znaczyło dla mnie więcej niż tęsknota za tamtym przeszłym życiem.

Gdym pisał do panny Durward, by ją powiadomić o mych intencjach, wspomnienie jej spokojnego, ciekawego spojrzenia nakłoniło mnie do wyjaśnień tak szczegółowych, jakich nie złożyłem nikomu innemu.

Droga panno Durward,

Z największą wdzięcznością przyjmuję życzenia szczęśliwej drogi. Proszę przekazać także moje podziękowanie rodzinie Pani, gdyż wiem, że tak życzliwe słowa będą mi dobrym omenem w podróży. Jak Pani sugeruje, istotnie nie jest rzeczą prostą wyruszyć, nie uzyskawszy pewności, że nie ucierpi na tym ani żaden mój dzierżawca, ani ziemia. Gdyby nie godny zaufania rządca i przełożeni służby, a także dobra wola proboszcza i mych sąsiadów, wyjazd byłby niepodobieństwem. Jednak w tej materii fortuna mi sprzyja, dlatego raz powziąwszy decyzję, wyjeżdżam do Brukseli czwartego dnia maja.

Wybór Brukseli na cel podróży nie jest podyktowany jedynie kaprysem ani też, o czym zapewniam, pragnieniem znalezienia dobrego towarzystwa, o którym, jak sobie przypominam, wspominaliśmy w poprzednich listach. Píše Pani, że zamieszki, których oboje byliśmy świadkami, pozbawiły ją do pewnego stopnia wyrozumiałości wobec społeczeństwa, w jakim Pani żyje. Być może uważa Pani podobnie jak ja, że takie życie - choć wielu uznałoby je za dobre i sprzyjające przysparzaniu bogactwa krajowi i dbające o dobroczynność na rzecz biednych - w pewnym stopniu zostało zbudowane na przemocy i kłamstwie. Nie mogę zaprzeczyć, że dzień ten i jego skutki zaważyły na mej decyzji opuszczenia Anglii. Jeśli chodzi o mój cel podróży, być może najlepiej to wyjaśnię, przedstawiając okoliczności mego ostatniego pobytu w tym mieście. Poza tym, dla uzupełnienia naszej dyskusji o życiu wojska w czasach pokoju, powinienem wszakże opisać niektóre doświadczenia z życia cywilnego.

Kiedym doszedł do jakiegoś takiego zdrowia po ranach odniesionych pod Waterloo i byłem już zdolny do powrotu do Anglii, zdałem sobie wkrótce sprawę, że o ile życie oficera w czasach pokoju

zdawało mi się irytujące, o tyle moja obecna sytuacja stała się nieznośna. W czasie wojny obrażenia podobne do moich i gorsze nawet są codziennością, dlatego nie spodziewałem się, że moja dalsza służba Najjaśniejszemu Panu napotka przeszkody. Jednak w czasie pokoju wojsko nie potrzebuje naszych usług, dlatego płaci nam odpowiednio mniej. Podobnie jak inni, którzy zdrowie i siły zostawili na obczyźnie, otrzymałem w zamian zaledwie połowę dawnego żołdu. Dlatego wystąpiłem z wojska, znalazłem dobre miejsce dla mego ordynansa i chłopca stajennego i zamieszkałem w Londynie. Wielu mych druhów znalazło się w takiej samej sytuacji, zatem często spotykaliśmy się, by przy kieliszku snuć opowieści. Jednakże rzeź pod Waterloo była tak straszliwa, że szeregi mych przyjaciół znacznie się przerzedziły.

Doszły nas wieści - w rzeczy samej nad wyraz fortunne - że nasz regiment, dla uznania naszego wkładu w wojnę hiszpańską i bitwy pod Quatre Bras i Waterloo, ma zostać przekształcony w samodzielną jednostkę. (Przypadkiem wydarzyło się to w moje urodziny, co pozwalał sobie nadmienić z pewną przyjemnością, bo nie znałem tej daty do czasu, gdy urzędnicy wojskowi zażądali, bym ją im ujawnił, zanim napiszą o mnie w gazetach. Dopiero wówczas napisałem do parafii, w której zostałem ochrzczoney). Świątowaliśmy długo i hucznie. Mimo to nie mogę przypisać mych doznań z następnego dnia jedynie wpływowi wina. Miałem dwadzieścia siedem lat i przy odpowiedniej pielęgnacji mogłem, mimo mych ran, doczekać matuzalemowego wieku. Siedziałem w wytartym cywilnym płaszczu i dumałem nad moją przyszłością przy skąym ogniu, gdyż tylko taki moja gospodyni uznała za stosowny dla byłego oficera, który stracił nogę i nabawił się febry, walcząc o jej wolność.

Moja melancholia trwała, dopókim nie zmienił mieszkania. Nowy mój dom należał do dojrzałej damy z Belgii, madame du Boeuf, która doskonale potrafiła zadbać o dobrostan starego wiarusa, a wkrótce dokonała czegoś więcej. Gdym wspomniał, że moja gotowość do snucia opowieści wojennych w wiejskich dworach pełnych dam i dżentelmenów często owocuje zaproszeniami do innych domostw, dama ta nie mogła powstrzymać okrzyku. Okazało się, że jej szwagier jest właścicielem prosperującego zajazdu na przedmieściach Brukseli. Zamożni podróżni często pytali go, czy nie zna kogoś, kto mógłby ich oprowadzić po polu bitwy pod Waterloo i okolicznych miejscach

innych walk. Gdybym wyraził zainteresowanie wyświadczeniem takiej usługi dla ces hommes gentils, szwagier pani du Boeuf z pewnością zawarłby ze mną w tej kwestii korzystną dla obu stron umowę.

Wyraziłem zainteresowanie i sprawy potoczyły się nad wyraz szybko. Madame Planchon okazała się gospodynią równie gościnną jak jej siostra, jej małżonka zaś uznałem za uczciwego w interesach, rzeczowego jegomościa, który pracował ciężko i podobnej pracy spodziewał się po innych. Z gotowością stawilem się do pracy i wkrótce zacząłem towarzyszyć damom w sandałkach i zwiewnych muślinach w wędrówkach przez wykroty i rowy, które tak niedawno stały się ostatnim posłaniem wielu zmarłym i konającym. Opowiadałem także o moich własnych obrażeniach, na dowód że - aczkolwiek armia brytyjska nie ma sobie równych w całym świecie - nie można wszystkich ran przypisywać heroizmowi.

Nie byłem jedynym emerytowanym oficerem, który oprowadzał modne towarzystwa, lecz z racji gościnności zajazdu „L'Arc - en - ciel”, a także, jak sobie pochlebiam, mej własnej gorliwości w zgłębianiu dzienników i wspomnień z czasów kampanii i wykorzystywaniu tych relacji ku uciesze słuchaczy, moje usługi cieszyły się wielkim powodzeniem i często o mnie pytano.

Powinienem dodać, że oczywiście wiele osób, korzystających z mych usług, miało wyższe i poważniejsze przyczyny zwiedzania tych zboczonych krwią ziem, na których wydali ostatnie tchnienie ich ukochani. Wszyscy, którzy wyprawiali się na takie pielgrzymki, widząc otaczający ich spokój i dobrobyt, czerpali otuchę ze świadomości, że ich strata nie poszła na marne. Następnie udawaliśmy się do najbliższej gospody, gdzie można było znaleźć dobrą strawę i dach nad głową. Pewnego razu zasłużyłem na wdzięczność oddanej matki: słysząc, że jej dziecię nie zgadza się na obcięcie włosów, które wielce by mu się przydało, posadziłem je sobie na ramieniu i opowiedziałem, jak kapitan Handley, powracający do obozu z dwudziestoma siedmioma wziętymi w niewolę francuskimi dragonami, został ostrzelany przez własnych towarzyszy, gdyż zjawienie się tak licznych koni z długimi ogonami mogło oznaczać jedynie atak Francuzów. Czy był gotów zaryzykować ten sam los, czy też wolał powrócić do przyzwoitych angielskich obyczajów?

Dzięki rekomendacjom tej właśnie damy znalazłem się w Portugalii, a potem, na życzenie dwóch uczonych dżentelmenów, w Hiszpanii. Tam przez parę lat mieszkalem w San Sebastian, prosperującym i starym porcie, który, jak mi było wiadomo, stanowił częsty cel wędrówek podróżników mogących potrzebować mych usług. To właśnie tam dotarły do mnie wieści o śmierci mego kuzyna z Kersey i spadku.

Pozwoliłem sobie na tak długą epistolę, wiedząc, że - pomimo doskonałości naszej nowoczesnej poczty na terenie żyjącej w pokoju Europy - nasza korespondencja stanie się zapewne nieco mniej regularna. Wielką radością i ulgą musi być dla pani pełen powrót pani Greenshaw do zdrowia i przeminiecie rocznicy jej straty bez trosk innych niż naturalne. Proszę przekazać jej moje życzenia w słowach, które uzna Pani za stosowne.

Wielkie podwójne drzwi frontowe były uchylone. Ja wchodziłam do domu od tyłu, tak jak pierwszego dnia po przybyciu. Nagle wydało mi się, że od tego czasu minęło sporo dni, że to nie było tego ranka. Całkiem jakby z powodu tej ciszy i pustki nawet czas biegł wolniej. Pomyślałam, że nawet w największym i najbardziej szarym bloku, w jakim do tej pory mieszkalam, nie czułam się tak jak teraz - zawsze gdzieś czuło się obecność ludzi. Tu był Ray, ale słyszałam, że poszedł na górę do Belle.

Pchnęłam podwójne drzwi; otworzyły się powoli, ku mnie, jakby napierały na pustkę tego domu. Przede mną znajdował się ganek ze słupami, które wyglądały na przeżarte przez korniki, wydeptane półkoliste schodki i kręty podjazd wokół trawiastego, zachwaszczonego gazonu. Słyszałam samochody, śmigające przez autostradę, która w porównaniu z tym starym, dostojnym wejściem wyglądała jak z innego świata. Po lewej stronie znajdowało się boisko, prawie wyłysiałe przy bramkach i na środku, z kępami rozwichrzonych traw i łatami gołej ziemi pomiędzy; mniej więcej tak łysiej kędzierzawi faceci. Naprzeciwko znajdowały się drzewa i ogrodzenie. Niebo było jasne i można by pomyśleć, że jeszcze jest dzień, ale wyglądało to tak, jakby z ziemi podnosiła się noc, a kiedy dotarłam do drzew, w długich trawach zaczęła się osadzać rosa.

W ogrodzeniu była furtka, taka na jedną osobę, z zasuwką, której można było dosięgnąć, przełożywszy rękę na drugą stronę, ale tak zardzewiała, że utknęła w miejscu. Całkiem jakby ktoś tu umieścił

furtkę na wypadek, gdyby jej kiedyś potrzebował, do czego nigdy nie doszło. Wspięłam się na nią. Po kąpeli miałam skórę tak czystą i suchą, że nawet obcisłe dzinsy trochę mi się okręciły na udach. Ten ruch sprawił mi przyjemność, co nigdy nie ma miejsca, kiedy do ruchu zmusza cię jakiś faszysta wuefista.

Zeskoczyłam po drugiej stronie. Za ogrodzeniem rosły krzaki i drzewa, tak gęsto, że nic nie było przez nie widać. Nie było żadnej ścieżki. Zanim zdołałam się przedrzeć, straciłam dom z oczu. Te chaszcze były splątane jak dżungla, a cisza mnie osaczyła i poczułam, że się zgubiłam.

A potem nagle drzewa się rozstały, jakbym dotarła do leśnej polany, i zobaczyłam dom, ale nie chatkę z piernika, a za nim pustą przestrzeń i pola, ciągnące się aż po zielonkawoniebieskie niebo. Dom miał spiczasty dach i kręte kominy, i wielkie podwójne drzwi, jak w staroświeckim garażu, tylko większe, i małe okienka nad mniejszymi drzwiami z boku. Pojęłam, że to stajnia. Nie zgubiłam się; tu pewnie mieszkała Eva.

Chciałam zaczekać z tym do wyprawy do wioski; czułam się, jakbym się zakradała do tylnych drzwi, a o tej porze człowiek nie przechodzi koło domu ot, tak sobie. Ale zrobiło się za późno. Za oknem na parterze przesunęło się coś ciemnego, a potem małe drzwi się otworzyły.

- Halo! - To był mężczyzna, nie Baba - Jaga. - Ty pewnie jesteś Anna, z Kersey Hall.

- Tak. Ale nie... przepraszam, zgubiłam się.

- Eva mi o tobie opowiadała. Bardzo się spieszysz? Właśnie robiłem kawę. Eva jest na piętrze. - W jego głosie także brzmiał obcy akcent. Miał rozwichrzone siwe włosy, takie co w dotyku powinny być szorstkie i sprężyste jak mech, a twarz miał śniadą jak cienko wyprawiona, mocna skóra. - Tędy.

Zaczął wchodzić po wąskich schodkach tuż za drzwiami, a ja poszłam za nim, zbyt późno uświadomiwszy się, że to było tylko takie grzecznościowe coś, co mówi się do obcych. Ten facet musiał być w wieku mojego ojca, choć skąd mam wiedzieć właściwie, ile lat ma mój stary. I powiedział, że Eva jest na górze.

Pokój był duży, z niskim sufitem i małymi okienkami dookoła, a pod jedną ścianą stały niekończące się rzędy książek, w życiu nie widziałam tyle w jednym domu, cała biblioteka, i długa półka płyt,

długogrających i czterdziestekpiątek, a także kuchenka, zlew i szafka w rogu, i wielka rozdęta sofa, i fotele pokryte modnym materiałem. Na stoliku do kawy znowu książki, a obok taki żelazny piecyk jak na westernach, i drewno na podpałkę. Na wielkim stole stała podświetlana kaseta, jak te, w które wkłada się rentgeny, tylko płaska, a Eva siedziała przy zagraconym biurku, takim wielkim, dyrektorskim, i pisała na stercie zadrukowanych stron. Wstała.

- Anna! Ale fajnie! Już poznałaś Theo.

- Zobaczyłem ją ze studia - powiedział Theo. Podszedł do kuchenki i zaczął skręcać kawiarkę. - Jak się czujesz w Kersey?

- Trochę dziwnie. Ta szkoła i w ogóle. Ale w porządku. Theo postawił kawiarkę na kuchence.

- Co cię sprowadziło do Raya?

- To mój wujek. Mama wyjechała do Hiszpanii, żeby rozkręcić interes. Chce kupić hotel. Pojadę do niej, jak tylko się urządzi. - Te słowa wypowiedziane na głos zawsze brzmiały lepiej niż tylko pomyślane.

- Super! - powiedziała Eva. - Cieszysz się?

- Mniej więcej. Otworzyła jakąś puszkę.

- Lubisz Lebkuchen?

Więc nawet oni chcieli mnie zagiąć. Ale nie da się zagiąć kogoś, kto się zagiąć nie pozwoli.

- Przepraszam, nie wiem, co to jest.

- Takie małe ciasteczka, niemieckie, z lukrem.

- Fajnie.

Wysypała na talerz cały kopczyk i przyniosła na stolik do kawy. Miały najróżniejsze kształty - grube gwiazdki, serduszka i półksiężycy, jedne oblane ciemną czekoladą, inne z cienką warstwą białego lukru, słodkiego i trzaskającego w zębach, w środku były miękkie i ciągliwe, a smak imbiru zostawał w ustach na stałe. Kawę podali w małych filiżaneczkach, bez mleka i mocną jak whisky. Zachłysnęłam się, kawa wdarła mi się do nosa i wyszła na zewnątrz w postaci łez. Eva postawiła na stole cukierniczkę, a ja sypnęłam sobie szczerze i cukier pomógł o tyle, że ostatni łyk był prawie dobry.

Trudno by było powiedzieć, że w pokoju panuje porządek, ale jakoś wszystko tu wyglądało tak, jakby było na swoim miejscu, jakby było tu od zawsze. Może dlatego, że ten nieporządek nie był taki jak

bałagan u innych. W mieszkaniach na ogół poniewierają się gazety, swetry i kubki po herbacie. Tu też był sweter, owszem, ale z bardzo, bardzo grubej wełny, całe w plamach jaskrawych kolorów, których człowiek spodziewa się raczej na obrazie. Na ścianie wisiała długa węzowa skóra, taka czarno - białe - szara, i cztery srebrne lichterze, dość krótkie i oksydowane, na jedwabnym, mięsistym materiale, poplamionym i wystrzępionym na brzegach, ale haftowanym gęsto w kwiaty i owoce. W kącie stał mały telewizor, ale chyba nieczęsto go włączali, bo ekran zasłaniały zwisające ze sterty strony gazet. Były też wielkie jasne kamienie, takie polne, ale rozłupane i widać było, że w środku są lśniące i czarne jak noc. Na stoliku do kawy leżał wielki kawał drewna, grube polano bez kory, białe, jakby od lat prażyło je słońce, z czarnymi sękami i pęknięciami. Zachciało mi się je pogłaskać - światło z okna szeptało mojej ręce, jakie gładkie w dotyku jest to drewno i jak naprężoną na moją skórę te popękane, połamane krawędzie.

- Potrzymaj, jeśli masz ochotę - odezwał się Theo. Eva podeszła do kuchenki.

- Jest ze zwalonego drzewa w parku. Chyba wiele lat temu uderzył w nie piorun. Chcesz kawy, Anno? - Wypowiedziała moje imię jakoś przeciągle i dźwięcznie, jakby je wyśpiewała.

- Tak, poproszę. - Wyciągnęłam rękę po polano. Legło ciepłym ciężarem na mojej dłoni, tak jak się spodziewałam, a światło z okna legło na nim.

- Kiedy je przyniosłem, Eva przez dwa dni robiła mu zdjęcia - powiedział Theo.

- Jest fotografią?

- Oboje jesteśmy.

- Robicie zdjęcia do gazet?

- Ja tak. Jestem fotoreporterem. Eva zajmuje się fotografią artystyczną.

- Mój nauczyciel od plastyki mówi, że zdjęcie to nie sztuka. Theo uśmiechnął się, a ja od razu się przeklełam za ten długi jęzor, ale chyba, jakimś cudem, nie pomyślał, że jestem ciemnym kmiotem.

- To tak, jakby powiedzieć, że malowanie to nie sztuka. Jeśli maluje się dom, to pewnie nie. Jeśli tworzy się obraz, który wyraża coś godnego uwagi, to jest to sztuka. A obraz można stworzyć także za pomocą halogenku srebra.

- Czego?
- Chemikaliów... światłoczułych chemikaliów, które znajdują się na kliszy i papierze.
- A...

Eva napełniła nasze filiżanki. Tym razem od razu posłodziłam i ujęłam obiema rękami małe gorące naczynie, a kawa, gorąca, piekąca i wspaniała, spłynęła mi do gardła.

Odchodziłam jeszcze podkręcona kawą. Chcieli mnie odprowadzić, ale powiedziałam, że sobie poradzę. Między drzewami było ciepło i zupełnie ciemno. Tym razem dotarłam do furtki od strony zasuwki, otworzyłam ją i przeszłam jak Bóg przykazał. Światło księżycy kładło się na trawie futbolowego boiska, która wyglądała jak siwe włosy. Księżycowy blask padał też na mroczne podłogi dworu i wlewał się przez wysokie okna mojego pokoju; było tak pusto, że łatwo sobie wyobrazić, że to szkoła, z której dopiero co odeszli ludzie. Ray powiedział, że uczyły się tu też małe dzieci, z zerówki, tylko trochę starsze od Cecila. Nie było nikogo w moim wieku, więc mama to także popłatała i była to kolejna rzecz, jakiej nie powinnam się spodziewać. Ale ci ludzie z mojej głowy byli, nie wiadomo dlaczego, więksi, starsi, mówili, walczyli, oszukiwani, tak jak trzeba, kiedy się jest zamkniętym z innymi w szkole, wielkie cienie chłopców i mężczyzn w białych przestrzeniach księżycowego blasku.

Nie mogłam zasnąć, ale nie chciałam się rozbudzić na tyle, żeby wstać i zaciągnąć zasłony. Po chwili upał, księżycowe światło, czuwanie i sen splątały się mi w głowie i rozlały po całym moim ciele.

Baxter bije Pierce'a. Krew bryzga na ściany, aż ogień skwierczy. Któryś prefekt trzcina wpycha Pierce'a w krąg narysowany kredą na podłodze, a potem dolewa sobie wino. Pierce usiłuje odsuwać swoją złamaną lewą rękę i bije Baxtera. Baxter oddaje, ale wargi ma zmiażdżone. Wszyscy skaczą po stołach i ławach, wyją jak psy, tupią nogami i zakładają się, kto wytrzyma dłużej. Jestem bezradny, próbowałem i nadal mam ślad na policzku. Siadam na parapecie, niby żeby mieć lepszy widok, ale tak naprawdę po to, by odwrócić wzrok. Za pierwszym razem poszedłem do kierownika domu. Poprawił binokle i powiedział: „Duas tantum res anxius optat, Panum et circenses”. Gdzie to zostało powiedziane, Fairhurst? Nie wiesz? Ale się dowiesz. A teraz zmykaj! Przez grube szkło okien widzę powozy

stające przed drzwiami dyrektora. Damy i dżentelmeni przybyli na prośzoną kolację.

Pierce upadł i już nie wstanie. Baxter zwyciężył i obnoszą go na ramionach, a Pierce pluje krwią na mój płaszcz. W infirmerii chirurg puszcza mu krew i przystawia pijawki tam, gdzie kości przebiły się przez skórę, ale to na nic. Drugi zgon w tym roku. Wszyscy inni wracają do domu na Boże Narodzenie. Po raz pierwszy ja też miałem wyjechać, z Pierce'em, do jego rodziny, a teraz muszę tu zostać, w tej pustej szkole. Leżę w dormitorium sam, dygocę, jakby ta krew rozlała się na moją pościel i nocną koszulę. W ciemności nic nie widać, ale wiem, że to jest tam co noc. Wylewa się z Pierce'a, opróżnia go, zostawia jego ciało na pastwę gorączki. Kapelan powiedział: „Przychodzimy na świat nadzy i nadzy odejdziemy. Pan dał, Pan wziął. Błogosławione niech będzie Jego imię”.

CZEŚĆ DRUGA

Parastezja: abstrakcja wizerunku lub jego reprezentacji z ciągłego strumienia czasu, gdzie oryginał i jego replika przez ułamek chwili istnieją w tym samym czasie i przestrzeni.

Łaciński słownik oksfordzki, 1856

Rozdział 1

Do „L'Arc - en - ciel” przybyłem pod północ, utrudzony czterodniową podróżą, lecz Planchon uparł się wyciągnąć najlepszy koniak, by wypić za mój powrót. Jeszcze leżąc w pościeli, nie mogłem się otrząsnąć z ćmiącego lęku, że w Kersey sprawy mogą się potoczyć niepomyślnie, mimo że nie szczędził trudu, by zapewnić ziemiom stosowną opiekę i zarządzanie. W końcu zasnąłem, lecz wielki zajazd, stojący na samym środku rozdroży Europy, śpi zaledwie parę godzin w najgłębszej nocy. Ledwie świtało, gdy pod moim oknem rozległy się nawoływania chłopców stajennych. Konie stuknęły kopytami i parsknęły, z dołu dochodziła woń kawy i gorącego chleba, szczękały wiadra z pomyjami, a ochryple głosy spierały się o jakieś zagubione bagaże i niejasne listy pasażerów w dyliżansie. Potem rozległ się gruchot i szcęk, a za nim okrzyk: „Attention a vos tetes!” i dyliżans pocztowy wyjechał z rozpędem z podwórza.

Leżałem i przyglądałem się, jak świt rozświecila niczego sobie pokój, który madame Planchon, pod podwójnym wpływem naszej dawnej znajomości i mej nowej zamożności, uznała za stosowny dla mnie. Nie była to Hiszpania i choć niecom się do niej zbliżył, wiedziałem, że bliskość nie wzmocni mej miłości, tak jak czas i oddalenie nie zdołały jej ugasić, gdyż wrosła ona na stałe w moją duszę. Lecz w pewien sposób, którego nie pojmowałem, sposób niemający związku z majątkiem, miejscem urodzenia i ojczystym językiem, czułem, że być może dotarłem do miejsca, gdzie mogę mieć realną nadzieję na pokojowe współistnienie przeszłości i teraźniejszości.

Kiedy zbudziłem się znowu - gdyż moje nowe zadowolenie przewyciężyło żołnierski zwyczaj wczesnego wstawania - słońce wysoko już zawędrowało na nieboskłon. Jedną ręką zadzwoniłem po wodę do golenia i kawę, drugą zaś wyjąłem z bieliźniarki czystą koszulę. Była świeżo wyprasowana, kawę zaś przyniesiono co żywo; uznałem, że ograniczenie fatygi i ekspensów podróży ze służącym nie musi oznaczać - przynajmniej w „L'Arc - en - ciel” - że me potrzeby i rzeczy osobiste ucierpią.

Ubrałem się i spożyłem śniadanie, podziękowałem madame Planchon, która zaproponowała, że wezwie dla mnie powóz, gdyż mają się zacząć za tydzień, dzień był słoneczny, a wietrzyk niósł

słodką woń Foret de Soigne z południa. Wkrótce odkryłem źródło tej słodczy, gdyż opuściwszy zgiełk zajazdu, usłyszałem krzyk z ulicy:

- Muguets! Venez, M'selles, 'dames, 'seurs! Les plus belles - les vrais fleurs du printemps! Venez acheter!

Krzycząca odgadła me intencje, zanim sam je poznałem, i pojawiła się tuż przy mnie, jakby do życia powołał ją blask wiosennego słońca. Trzymała mały bukietik konwalii, owiniętych w papierowy rożek, z dygoczącymi dzwonkami. Wrzuciłem monetę w jej brudną, stuloną dłoń, usłyszałem kwilenie i, ze zdumieniem i pomieszaniem, ujrzałem, że pod szalem kuli się jasnowłose dziecko. Kwiaciarka przełożyła koszyk do drugiej ręki, sięgnęła pod szal, osunęła stanik i uniosła rozdziawione ptasio usta dziecka ku swej piersi.

- Proszę o wybaczenie - powiedziała, znów zasłaniając szalem dziecko - lecz nie mogę jej pozwalać krzyczeć. Czy pana uraziłam?

- Ależ skąd - pospieszyłem z zapewnieniem.

- Poprzedniego oddałam niańce, lecz słabował, a potem zgaśł na febrę. Kiedy Bóg dał mi tę, przysięgłam Najświętszej Panience, że nigdy się nie rozstaniemy.

- Doprawdy nic się nie stało. - Wcisnąłem jej w dłoń więcej monet. Była ciepła i nieco wilgotna. - Bonjour, madame.

- Niech cię święci patroni błogosławią, panie - zawołała za mną i znowu jęła nawoływać niczym płaczka: - Muguets!

Venez, M'selles, 'dames, 'seurs! Les plus belles - les vrais fleurs du printemps! Venez acheter!

Ja zaś ruszyłem ku rynkowi. Po paru minutach stanąłem, po jednej ręce mając dużą kawiarnię, która dobrze zapadła mi w pamięć, po drugiej zaś Theatre du Sablon. Niewiele miałem czasu, przygotowując się do wyjazdu z Kersey, by powiadomić mych dawnych znajomych, których nadal mogłem spotkać w Brukseli, więc nie miałem żadnych planów na ten i żaden inny wieczór. Ocenilem moje położenie i przedsięwziąłem działanie: zanotowałem godzinę wieczornego spektaklu, a potem, wszedłszy do kawiarni, zażądałem kawy, atramentu, pióra i papieru.

Droga panno Durward,

Nim skreślę słowa wykraczające poza obiecaną wiadomość pomyślnego przybycia do Brukseli, muszę przeprosić, że naraziłem

Panią na konieczność ukrycia przed rodziną prawdziwej treści mego listu. Przypominam sobie wyraźnie owe słowa i rumienię się ze wstydu, że za moją sprawą mogła Panią spotkać nagana ojca i niesmak matki. Gratuluję bystrości umysłu, z jaką Pani czytała na głos rzeczony list; rozumiem, że na obrazie, który skreśliłem, mając za modeli żołnierzy z krwi i kości, namalowała Pani inny, przedstawiający owe wspaniałe lalki, które świat woli uważać za swych bohaterów. Oddaję cześć szerokości Pani horyzontów. Jak sugeruje Pani z całą szlachetnością, w rzeczy samej nie zamierzałem nikogo obrazić; na swą obronę mam tylko to, że nasze listy stały się tak swobodne w doborze tematów i opinii, że od dawna przestałem cenzurować myśli i opowieści, które przychodzą mi do głowy. Gdyby jednak przez mą nieostrożność nasza dalsza korespondencja miała ustać, oczywiście odeślę Pani jej listy i otrzymam swoje tą samą drogą. Żal mój złagodzi jedynie świadomość, że to Pani będzie i może być jedynym właściwym sędzią.

Wiedząc, że nie pragnie Pani prowadzić potajemnej korespondencji, przytaczam poniższy incydent jako przykład życia wojennego, który powinien się spodobać wszystkim gustom.

Ponieważ nie sposób wiedzieć z całą pewnością, czy wozy aprowizacyjne, wiozące tak skromne wygody, jak herbata i koce, znajdują się w okolicy pod koniec długiego dnia marszu, gdy najbardziej są pożądane, zwyczajem oficerów z paru regimentów było zatrudnianie pewnego portugalskiego chłopca, wypróbowanego w dostarczaniu tych artykułów pierwszej potrzeby...

Szukając rozrywek, które wypełniłyby mi wieczór, nie zwracałem wielkiej uwagi na naturę spektaklu, na którym miałem się zjawić. Zająłem miejsce na środku sali, w blasku gazowych lamp, i rozejrzałem się. Moi sąsiedzi z ław stanowili wesołą kompanię, cuchnącą nie gorzej od mych żołnierzy, choć miast prochu czułem woń licznych profesji: rzeźnik, karczmarz, podchmielony jegomość, uliczna kobieta i garbarz, by wymienić jedynie parę przykładów.

Orkiestra umilkła, pierwsi aktorzy wyszli na scenę i zaczęli mówić, a ja zdałem sobie sprawę, że choć na afiszu widniały słowa *un conte d'hiver*, była to najoczywściej Opowieść zimowa.

Okazało się, że władam francuskim nie gorzej od niektórych członków trupy. Król Leontes miał donośny głos i nadmierną gestykulację nieinteligentnego porucznika, król Poliksenes był pijany,

cała pasterska komedia zaś przynosiła wstyd potomkom Moliera. Jegomości z ław obok mnie obierali pomarańcze i gawędzili o wypadkach tego dnia, a damy i dżentelmeni z łóż wchodzili i wychodzili, zależnie od kaprysu. Lampy gazowe na widowni nieco przygasły, dzięki czemu oko biegło chętniej ku scenie niż w oświetlanych świecami i lampami naftowymi teatrach mej młodości, lecz w białym, syczącym i oślepiającym nowoczesnym świetle widzieliśmy jedynie podarte pończochy, czernidło, które nie dodawało oczom blasku, i szminkę rozpływającą się w żarze.

Znałem tę historię oraz jej zakończenie. Królowa Hermiona była martwa nie bardziej niż aktorka, która ją grała, podobnie też nie zaginęła jej córka. A. jednak każdy krok Hermiony, obarczonej ciężarem dziecka i uczciwości, wstrząsał mną po szpik kości, tak jak kiedyś moje utykające od niedawna kroki na bruku tego miasta. Jej dziecko zostało porzucone na brzegu morza, zaginione, gdy jego ojciec rozważał ruinę swych wszystkich nadziei. Gdy Perdyta się odnalazła, dorosła i słodka, i stanęła - odnalezione zaginione dziecko - przed zimnym marmurem wizerunku swej matki, żaden prostaczek z czasów królowej Elżbiety nie patrzył z większym radosnym zadziwieniem niż ja, jak oddech i krew przechodzą z dziecka w nieruchome kończyny matki i przywracają Hermionie życie.

Taki mnie zdjął podziw i zachwycenie na widok tej sceny, która jakby ożywiła mą własną przeszłość i ukazała mi przyszłość, o jakiej nie śmiałem marzyć, że siedziałem bez ruchu jeszcze przez chwilę, gdy oklaski ucichły. Potem schowałem chusteczkę, niezdarnie odnalazłem laskę i wstałem pośpiesznie, by wyjść przed rozpoczęciem farsy. A jednak, gdym wracał przez pustoszejące ulice do „L'Arc - en - ciel”, wszystko, na co padało me spojrzenie, zdawało się mieć znaczenie, wagę, którą należy raczej odczuć, niż zrozumieć. Rękawiczka, leżąca zwiędła i zapomniana w kałuży blasku latarni; kraciasta wstążka, którą znalazca przywiązał do balustrady, a której kolory zwarzyło żółte światło; dziecko wahające się na rozdrożu pięciu ulic, kobieta i mężczyzna, tulący się w mroku bramy. Tak jakby w tym oto mgnieniu czasu wszystko, co napotkał mój wzrok, łączyło w sobie przeszłość i przyszłość.

Ocknąłem się z zadumy i spostrzegłem, że dotarłem do zajazdu. Byłem utrudzony jak po całym dniu podróży, więc ruszyłem, nie zwlekając, ku schodom.

- Un petit Cognac pour M'sieur? - rzuciła madame Planchon, gdy skinął jej głową na dobranoc.

- Nie, dziękuję - odrzekłem, stawiając już stopę na pierwszym stopniu.

- Och, jedną chwileczkę, mam pańską pocztę - powiedziała i pospieszyła do kantorka.

List był zaadresowany ręką panny Durward. Musiał się rozminąć z tym, który dzisiejszego ranka wysłałem z kawiarni, pewnie gdzieś na gościńcu z Ghent na wybrzeże, pomyślałem, obracając go w dłoniach. Był na tyle gruby, że budził nadzieję co najmniej na dwa arkusze, i tak się rzeczywiście okazało. Po wstępnych i serdecznych wyrazach nadziei na me bezpieczne przybycie i wygodne rozgoszczenie się w nowym miejscu nastąpiła wiadomość o zaręczynach pani Greenshaw.

„Pan Barraclough prowadzi handel papierem i jest od dawna dostawcą mego ojca - napisała panna Durward. - Jest nieco starszy od Hetty i mieszka w Liverpoolu. To wdowiec, a niedawno stracił też siostrę, która prowadziła mu dom. Nie ma on dzieci, więc jest życzliwie usposobiony względem Toma. Rodzice moi zgadzają się, że to doskonale dobrana para, co dobrze wróży wszystkim zainteresowanym stronom”.

Przeczytałem list do końca, zapamiętawszy prośbę panny Durward o szkic mapy Waterloo i pewne informacje o umundurowaniu Regimentu Szkockiego, a potem zgasilem świecę i leżałem bezsennie przez parę godzin. Nie po raz pierwszy zdumiewałem się, że wyraźniej czuję ból mej utraconej nogi niż zmęczenie prawdziwego ciała i kości. W końcu ustąpił na tyle, że mogłem zasnąć, choć nawiedziły mnie męczące sny, które jak zwykle rozplynęły się przed pierwszym świtaniem, nim rozległ się klekot maselnic i turkot wózków sprzedawców jarzyn.

Rankiem powiedziałem sobie, że niespieszno mi z odpowiedzią na list panny Durward nie z powodu wieści o jej siostrze - gdyż ktoś byłby zdolny bronić pani Greenshaw szczęścia - lecz ponieważ nie otrzymałem od niej wyraźnego zapewnienia, że nasza korespondencja może trwać nadal. Powziąłem decyzję, że zaczekam na to zapewnienie, a na razie nic nie stało na przeszkodzie, bym złożył wizytę w drukarni, którą znałem z dawnego życia, gdyż mogłem w niej znaleźć mapę Waterloo jako aneks do mych własnych starań.

Było jeszcze za wcześnie, by przed wystawą drukarni zebrał się tłum. Stałem przed nią przez jakiś czas, odświeżając moją znajomość z osobliwymi skandalami korupcji i nepotyzmu w Królestwie Zjednoczonych Niderlandów. Równie dobrze mogłem stać na Pall Mall, lecz tu duchowne ofiary piórka karykaturzystów nosiły kardynalskie kapelusze, politycy zaś stroje podług paryskiej mody.

W szybie widziałem paradę mężczyzn, kobiet i towarów na ulicy za moimi plecami. Także moje odbicie było podzielone na części taflami szkła. Żadna kobieta nie mogłaby mnie nazwać przystojnym, lecz i żadna nie uznałaby mej fizjonomii za nieprzyjemną. Byłem wysoki - co najmniej na pięć szyćb, podług miary wystawy drukarni - szeroki w ramionach, ani korpulentny, ani też mizerny. Moja twarz i oczy zadawały kłam chorobie ukrytej w mej krwi, a teraz, gdy stać mnie było na dobrego krawca, nikt by nie spostrzegł, nie ujrawszy mnie w ruchu - a może nawet i wtedy - że laska tuszuje nie jakieś nieistotne obrażenie odniesione przy zażywaniu sportów, lecz martwy kikut, zasklepiony bliznami, kolano otulone poszarpanym ciałem tam, gdzie kiedyś znajdowała się zdrowa kończyna. To wstręt przed nią rzucił panią Greenshaw w ramiona podstarzałego handlarza papierem, który już pochował jedną żonę. Nikt by nie poznał - pomyślałem, spoglądając w szybę odbijającą mą nogę - żadna kobieta by tego nie spostrzegła. Lecz ta myśl niosła ze sobą niewielkie ukojenie, gdyż wiedziałem, że w końcu pożądanie lub poczucie obowiązku musi postawić kobietę w sytuacji, w której rana - kalectwo - jej patrona i protektora stanie się aż nadto oczywista.

Domy za moimi plecami zasłonił powóz, z którego w szeleście halek wysiadła dama, by zaraz wkroczyć do sklepu. Zdałem sobie sprawę, że przed wystawą stoję już od jakiegoś czasu, więc podążyłem jej śladem.

Subiekt przedstawił mi trzy mapy i dokładał wysiłków, by zainteresować mnie litografią nowego pomnika Prusaków w Placenoit, lecz nie zwróciłem nań uwagi. Sam właściciel zajął się damą, a jej głos, choć cichy i słodki, z taką łatwością przebił się przez szczepek i łomot pras drukarskich w warsztacie na zapleczu, że uzyskałem pewność, iż znam już tę osobę. Przywołałem wspomnienia dawnych przyjaciół z Brukseli i nie znalazłem wśród nich żadnej żony ni córki, którą mogła być owa dama, choć miała brązowe włosy i oczy Brabantów i zanadto wyraźny arystokratyczny akcent, by sugerować

całkiem odmienne towarzystwo. Udając, że przyglądam się mapie, którą subiekt wyłożył na ladę - została wydana w Paryżu, jak zauważyłem, co tłumaczyło liczne błędy w liczebności oddziałów, rozlokowaniu i stanowiskach armii koalicyjnej - przyjrzałem się kupującej pani.

Była ubrana dobrze i dyskretnie, a przyglądała się afiszowi przedstawiającemu kobietę z rękami uniesionymi gestem marionetki, w geście zdumienia i rozpoznania. Na dole arkusza widniał podpis wyjaśniający, że jest to mademoiselle Metisse jako Hermiona w Une conte d'hiver par William Shakespeare. Więc to stąd znałem ową damę! Wyrwał mi się cichy okrzyk, a ona podniosła głowę.

- Podoba się panu ten afisz?

- Proszę o wybaczenie, mademoiselle. Widziałem wczoraj pani występ.

- A teraz opuściłam światła rampy i objawiłam się w blasku dnia. Czy sztuka się panu podobała?

- I to bardzo.

- Jest pan, zdaje się, Anglikiem. Co pan sądzi o naszej interpretacji Szekspira?

- Była doskonała.

- Dziękuję. - Wzięła z lady kolejny afisz. Przedstawiał ten sam wizerunek, lecz linie ornamentu ozdabiały cekiny, strzępki koronki, okruchy szmaragdowego i rubinowego szkła, złotego i srebrnego drutu i macicy perłowej, tak że w świetle wpadającym przez zakurzoną szybę całość zdawała się migotać i mienić się niczym pancerzyk egzotycznego owada. Mademoiselle Metisse rozchyliła palce dłoni w rękawiczce i afisz osunął się na ladę.

Właściciel zebrał oba afisze z ukłonem.

- Mademoiselle, nie mam wątpliwości, że będą się sprzedawać doskonale.

Skinęła głową; satynowe wstążki czepeczka musnęły jej policzek.

- Zapewne im więcej cekinów, tym lepiej.

- Taki jest gust publiczności. Lecz dla koneserów... - Machnął ręką i subiekt pomknął czym prędzej na zaplecze.

Mademoiselle Metisse uśmiechnęła się do mnie.

- Lękam się, że uzna to pan za pobłażanie niewieściej próżności.

- Ależ skąd - zapewniłem, choć widok przyjemnej dla oka kobiety, tak chłodno oceniającej swój wizerunek, zrodził we mnie pytanie, co też przy tej sposobności myśli owa kobieta.

- Ponieważ takie afisze i tak są drukowane, rozsądek podpowiada, by mieć przynajmniej coś do powiedzenia w tej materii. Ponadto nikt z nas nie ośmieliłby się dać zapomnieć widzom o sobie.

Miałem już rzec: „Pani nikt nie mógłby zapomnieć”, kiedy wrócił subiekt, niosąc z estymą wielki arkusz, który właściciel mu odebrał i z ukłonem położył przed damą.

Była to wyśmienita litografia przedstawiająca mademoiselle Metisse w roli Andromachy. Linie tak subtelnie oddawały lśnienie i cienie jej klasycznej szaty, zsuwającej się z jednego ramienia, że wydawałoby się, że za chwilę ucho pochwyci cichy szelest jedwabiu osuwającego się na ziemię. Oczy damy wpatrywały się w wyimaginowaną postać Hektora, a usta rozchyłały się w wyrazie bólu i ekstazy.

- Mademoiselle Metisse w zeszłym roku pozowała monsieur Terveurenowi, o co ten od dawna zabiegał - odezwał się właściciel drukarni, pochwyciwszy mój wzrok - on zaś uczynił nam ten honor i zezwolił na uczynienie litografii na podstawie obrazu. Sprzedajemy go na dwóch rodzajach papieru - jeden jest nieco mniej kosztowny od tego, gdyż musimy pamiętać, że wyrobionemu gustowi nie zawsze towarzyszy bogactwo. Lecz proszę być pewnym, że i tak jest to doskonały papier, gdyż jest to dzieło, które każdy znawca zechce zachować na wiele lat, gdy zwykle suweniry od dawna przepadną.

- Być może - rzuciła mademoiselle Metisse. - Muszę już iść. Mam próbę o dziesiątej. - A gdym otworzył przed nią drzwi, zatrzymała się na chwilę, spojrzała na mnie i dodała: - Dziś gramy Wesele Figara. Zna pan tę sztukę?

- Słyszałem o niej.

- Jeśli to pana zabawi, zdobędę dla pana bilet. Proszę tylko spytać w kasie.

- To bardzo uprzejme. Będę zachwycony. - Przez otwarte drzwi wdarł się przenikliwy wiosenny wiatr, a za oknem z boku otyli duchowni i dwulicowi ministrowie łopotali wśród patriotycznych pieśni, pięknych żaglowców i obrazów przedstawiających miłość i żalobę. Dama zeszła po schodkach na ulicę, a ja pospieszyłem za nią.

- Później proszę wstąpić za kulisy - rzuciła przez ramię - i podzielić się z nami swymi opiniami. Poinformuję człowieka przy wyjściu dla artystów. - Nagle odwróciła się i wyciągnęła rękę. - Na jakie nazwisko mam zostawić bilet?

Jej dłoń w rękawiczce z koźlęcej skórki była ciepła i krucha. Skłoniłem się bardzo nisko.

- Major Stephen Fairhurst, do usług, mademoiselle Metisse.

- Katrijn Metisse... Major? Ach, my pewnie powiedzielibyśmy „commandant Fairhurst”.

Francuska nazwa mej rangi zadźwięczała obco w mych uszach, gdyż przywykłem łączyć ją z budzącym lęk, acz pokonanym wrogiem. Dziś nie mieliśmy godnego nas przeciwnika, a powiadano nam, że naszym wrogiem są robotnicy i głodne dzieci. Mademoiselle Metisse spostrzegła, że ucichłem, i roześmiała się ciepło. Otrząsnąłem się z zadumy i pomogłem jej wsiąść do powozu. Gdym zamykał drzwi, rzuciła:

- A bientôt, Monsieur le commandant.

Moja znajomość z mademoiselle Metisse zacieśniała się szybko, gdyż na ogół dysponowałem wolnym czasem, ona zaś należała do tych dam, które do wszystkich zadań - od uczenia się roli po nawiązywanie przyjaźni - przystępują metodycznie i bezzwłocznie. Widziałem ją w roli Hermiony, Zuzanny, Andromachy; zaprosiła mnie na kolację w towarzystwie swych znajomych i miałem sposobność oglądać ją w roli jej samej. Zainteresowanie mężczyzn i kobiet przyjmowała równie chętnie jak spojrzenie portrecisty, a nawet je odwzajemniała, lecz i tak zdumiałem się, gdy pewnego wieczora, gdym odprowadził ją do domu po wieczerzy z gromadą teatralnych znajomych, zaprosiła mnie do swego mieszkania przy rue de Lecuyer.

Konsjerż wpuścił nas do kamienicy, tak zaspany, że nie lękał się, czy nie dojdzie do niepożądanych wniosków.

- Moja kuzynka śpi - wyjaśniła mademoiselle Metisse, prowadząc mnie na górę. - Późna godzina jej nie służy. Biedna kuzynka Eloise. Bardzo to pocziwe, że zgodziła się przyjechać i zamieszkać wraz ze mną, gdy przeprowadziłam się do Brukseli. Postanowiłam, że wymogi mej profesji nie doprowadzą jej do zmiany zdania. - Zapukałem do drzwi jej apartamentu i niemal natychmiast otworzyła je pokojówka w średnim wieku. - Bonsoir, Meike. Major Fairhurst i ja poradzimy sobie sami. - Służąca zabrała płaszcz pani,

mój kapelusz i laskę, obrzuciła rzeczowym spojrzeniem stolik, na którym stały owoce, wino i sery, po czym znikła. Mademoiselle Metisse usiadła na brzeжку niewielkiej sofy przy kominku. - Proszę się częstować, majorze.

Odkorkowałem karafkę.

- Czy mogę zaproponować pani nieco wina?
- Proszę, na imię mi Katrijn. Tak, odrobinę, i mam nadzieję, że ty także się napijesz.

Był to dobry klaret, który w kryształowym kieliszku zagrał kolorami.

- Nie przybrałaś imienia Catherine francuską modą?
- Moja matka była Flamandką i nazwano mnie na jej cześć, więc jestem mieszanej krwi, można by powiedzieć.

Kiedy podałem jej kieliszek, zaprosiła mnie, bym usiadł obok niej. Potem uniosła wino i upiła łyk, a moje spojrzenie pobiegło ku małej falbance, otulającej jej nadgarstek, a od niej - ku innej koronce i różanemu jedwabowi, okalającemu delikatny cień między jej piersiami. Znowu opuściła kieliszek, a ja odwróciłem wzrok i rzuciłem się na trunek, by ukryć konfuzję.

Gdy znowu podniosłem głowę, spojrzała mi prosto w oczy.

- Przywykłam do męskich spojrzeń. Jeśli mamy być razem, nie możesz się krępować swoich - ani innych.

- Czy mamy być razem?

- Jeśli tego chcesz.

Pragnąłem tego od chwili, kiedy nasze spojrzenia się spotkały, a wargi jej wypowiedziały słowa: „Podoba się panu ten afisz?”, lecz nie brałem pod uwagę, że me pragnienia mogą się spełnić.

- Nie myślałem...

- Myślenie nie jest tu konieczne - przerwała, unosząc ku mnie twarz, tak że światło świec spoczęło na jej policzku, sięgnęło między rozchylone usta i małe białe ząbki. - Być może zbyt wiele rozmyślasz o swoich ranach... swojej kalekiej nodze.

- Nie wiedziałem, że...

- Oczywiście, że to spostrzegłam. Uczono mnie obserwować, jak zachowują się ludzie, i odgadywać, dlaczego to robią, tak jak ciebie uczono, jak najlepiej ich zabijać.

- Tylko innych żołnierzy. - Tak w istocie było, a jednak nagle ujrzałem kobietę, która zginęła u moich stóp pod Peterloo, choć nie z mojej ręki.

Katrijn uśmiechnęła się i dotknęła mego czoła między brwiami.

- Tak. Lecz, mój drogi, to już przeszłość.

I tak wzięliśmy się nawzajem, równi sobie w naszej gorliwości i zachwyceniu, tak że gdym w nią wszedł, wygięła się w łuk z krzykiem rozkoszy, od którego niemal oszalałem. Jednak była doświadczona i nie musiałem się niepokoić. Dopiero gdy na suficie ukazał się wczesny letni świt, zasnęliśmy w swoich ramionach.

Pyta mnie Pani, jak mijają mi dni, ja zaś odpowiadam: nad wyraz przyjemnie. Najnowsze wieści i mody można znaleźć w sklepach i kawiarniach, bliskość zaś wszystkiego sprzyja moim utrudzonym ruchom. Odnalazłem dawnych przyjaciół, poznałem nowych, również wśród artystów związanych z Theatre du Sablon, więc jeśli tylko zapragnę, mogę rozpocząć wieczór w eleganckim salonie, popijając herbatkę pod spojrzeniem tuzina mesdames une telle (które my nazwalibyśmy paniami X), a zakończyć w kawiarni pełnej obrazów oraz królów Leontesów, Andromach i hrabiów Almaviva.

Ufam, że nie szokuje Pani towarzystwo, z jakim czasem przestaję, a także ma szczerłość, z jaką wyznaję to w liście do damy. Wiem, że Pani liberalny umysł rozpozna prawdziwą szlachetność ducha, jak również inteligencję i współczucie, nie zawsze towarzyszące temu, co społeczeństwo nazywa stosownym, a co łatwo można znaleźć wśród artystów całego świata.

Z wielką radością - jeśli zdoła Pani znaleźć wolną chwilę od trudów przygotowań do ślubu siostry pani - dowiedziałbym się, jak przebiega dochodzenie w sprawie Peterloo, gdyż do belgijskich gazet przenika niewiele szczegółów. Nie chciałbym myśleć, że rząd pragnie ukarać tych, którzy rzucali kamieniami w urzędników, jeśli nie wyznaczy także kary dla tych, co wysłali źle wyszkolonych, niezdyscyplinowanych jeźdźców na kobiety i dzieci. Tu, w Brukseli, wszędzie widzę piętno hiszpańskiej, a także późniejszej rewolucyjnej tyranii i sądzę, że Peterloo niesłuszną nazwę zyskało. Mieszkam o parę mil od pola Waterloo, gdzie rozlano tyle krwi, by powstrzymać marsz innego tyrana, i gniewa mnie, że w Anglii złoto butnych handlarzy bawełny i baronetów zapłaciło za rzeź niewinnych Anglików. To samo złoto kupuje honor wielkich ludzi, gdyż widzę, że

Parlament nie zamierza zapobiec drugiej masakrze drogą regulacji przepisów dotyczących zgromadzeń, lecz jedynie tłamsi naturalne prawo człowieka do zgromadzeń w ogólności.

Działania wojenne, w których miałem przywilej uczestniczyć, były pełne smutku w równej mierze jak szczęścia, lecz od tego dnia na St Peter's Field nawet te wspomnienia są zmacone, a wizje przeszłości, które mi zawsze towarzyszą, przeżarła gorzycz tego dnia, będącego okrutną karykaturą.

Liczę, że przygotowania do ślubu siostry nie zakłócą pani pracy. Wiem, że świat często uznaje, iż niezamężna dama mieszkająca wygodnie wraz z rodzicami ma nieskończenie wiele czasu, który powinna poświęcić na potrzeby i pragnienia innych. Z pewnością Pani wyprawa w celu zobaczenia pracy pana Wedgwooda zapowiada się interesująco i chętnie dowiem się o niej więcej po pani powrocie.

Proszę przekazać me najszczerze gratulacje siostrze z powodu zawarcia związku oraz serdeczne życzenia przyszłego szczęścia małżeńskiego.

Zamierzałem zacząć ten list od przeprosin za zwłokę w odpowiedzi, lecz Pani pytanie o me codzienne rozrywki odwróciło mą uwagę. Proszę mi wierzyć, że nie miałem zamiaru zwlekać z odpowiedzią. Przede wszystkim czułem się zobowiązany poczekać na zapewnienie pani, iż kontynuacja tej korespondencji nie budzi pani sprzeciwu (a teraz, gdy je otrzymałem, mogę przyznać, jak boleśnie odczułbym brak pani listów), po wtóre zaś z racji drobnego zamieszania brakowało mi czasu na oddanie Pani listowi sprawiedliwości. Szukając większej intymności niż „L'Arc - en - ciel”, gdzie każdy zawsze mógł mnie znaleźć, zamieszkałem przy rue de L'Ecuyer i ten właśnie adres proszę skreślić na następnym liście.

Błagam o wybaczenie, gdyż zapisałem już trzecią stronicę, a jeszcze nie odpowiedziałem na Pani pytanie o oblężenie Badajoz. Znajdzie pani szkic miasta, a na odwrocie nasze pozycje wokół niego. Sam nagi strategiczny fakt wzięcia Badajoz szturmem był jedynym powodem do świętowania. Wszystkie trzy wyłomy w murach, które artyleria od tygodni usiłowała uczynić, były w praktyce nie do pokonania: jeden z powodu wylewu wody, spowodowanego przez Francuzów, drugi z powodu pali naszpikowanych gwoździami, a trzeci z racji gąszczu szpad, tak najeżonych, że każdy, kto by się zbliżył, niechybnie nadziałby się na nie jak na rożen...

...Fakt, że Hiszpanie poddali miasto, nie stawiając oporu Francuzom, którzy potem bronili je do ostatniej kropli krwi, dopóki koniec nie stał się nieunikniony, wielu uważało za pogwałcenie niepisanych praw wojennych, stąd też nasi ludzie szukali zemsty. Gdy wtargnęli do miasta, ich oficerowie, okrutnie zdziesiątkowani, nie mogli ich powstrzymać. Morderstwa, tortury, gwałty i łupienie przewyższyło wszystko, co można zobaczyć na polu bitwy, gdy my czyniliśmy, co tylko można, by znaleźć dla kobiet bezpieczne schronienie, a nielicznych żołnierzy, nadal lojalnych swym zwierzchnikom, odesłać do obozu.

Lord Wellington pozwalał na łupienie miasta przez trzy dni, po czym wysłał dywizję Portugalczyków pod rozkazami angielskich oficerów, którzy powiesili paru żołnierzy, resztę zaś wypędzili z miasta, gdzie pozbawiono ich łupów, wychłostano i doprowadzono do przytomności i posłuszeństwa.

* * * * *

Z upału rodzą się sny. Obudziłam się mokra, pot spływał po mnie jak krew. Dopiero kiedy otworzyłam oczy, zrozumiałam, że widzę szary świt, a ognia i chłopców wyjących jak psy wcale tu nie ma. Budząc się, zatrzasnęłam im drzwi przed nosem.

Ptaki na dworze robiły niewiarygodny hałas, każde możliwe świergoty, tryle i poświstywania, po prostu strumień czystego życia. W mieście też tak robią, ale ten poranny chór słyszałam tam tylko wtedy, gdy budziłam się z kwaśnym smakiem w ustach z niedospania, spóźniona do szkoły.

Nie chciało mi się napuszczać całej wanny wody, a nigdzie nie znalazłam prysznicza, więc przykucnęłam w wannie i ochlapałam się wodą tak chłodną, że w przeciągu zaczęłam dygotać. Radio w moim pokoju coś tam mamrotało, ale nie przysłuchiwałam się zbyt uważnie; całkiem jakby rozmawiali o czymś tak odległym, że nieistotnym.

Ubrałam się i podeszłam do lustra. Ale czy warto się malować, kiedy w tym upale wszystko spływa? I poza tym dla kogo, pomyślałam, wpatrując się w lustro. Po raz pierwszy od nie wiem kiedy zobaczyłam własną nieupiększoną twarz. A co widzą inni? Nikt nie mógłby mnie nazwać piękną ani szczupłą, ale też nie byłam jakaś niewydarzona. Przynajmniej chłopcy tego nie dostrzegali. Nie na pierwszy rzut oka.

Zeszłam na dół. Ani żywej duszy. W kuchni znalazłam w chlebaka na blacie parę kromek i nie chciało mi się nic na nie kłaść. Stałam przy oknie, pożywiając się i patrząc na niesamowicie tłustego gołębia, który kołysał się na powykęcanej gałęzi. Do kuchni wpadł Cecil. Ciągle biegał goły, jeśli nie liczyć bawełnianych gacek z rozdarciem. Nikt nie zmył z niego śladów wczorajszego tarzania się w błocie.

- Cześć, Cecil - powiedziałam.

- Cześć. - Ruszył do chlebaka i wspiał się na palce, żeby do niego dosięgnąć, dziesięć upačkanych paluszków stóp rozczapierzonych na podłodze.

- Chcesz? - spytałam.

Pokiwał głową. Uniosłam pokrywę i wysuplałam z folii parę kromek, które mu podałam. Napchał sobie buzię, nie spuszczaając ze mnie wzroku, jakbym była zwierzęciem, na razie spokojnym, lecz w każdej chwili mogącym na niego skoczyć.

- Szkoła się skończyła? - spytałam w końcu. - Chodzisz do szkoły?

Pokręcił głową.

- To ile ty masz lat? Kiedy masz urodziny?

Wzruszył ramionami i znowu pokręcił głową. Policzki miał wypchane chlebem, a buzię spiczastą jak Marsjanin. Zaciekawilo mnie, czy zawsze tak biega samopas. Ale w końcu wiem, że opieka społeczna nie interesuje się takimi przypadkami jak on i Ray, nawet kiedy powinna.

- Gdzie jest Ray? - spytałam. Czy ten mały tak go nazywa?

- Nie wiem. Śpi. - Do tylnych drzwi ktoś zapukał, a ja mało nie wyskoczyłam ze skóry. Cecil nagle zniknął. Po chwili zobaczyłam go, przykucniętego w ciemnym kącie za jedną z wielkich lodówek. Znowu to pukanie. To tylko listonosz.

- Dzień dobry - powiedział. - Ale gorąco. List polecony do pana Holmana.

Było za wcześnie na tę słynną kartkę od mamy, co uświadomiłam sobie dopiero po chwili. Złożyłam podpis w księdze, którą mi podsunął listonosz. Zresztą nie miałam nic przeciwko. Miło było zażyć trochę spokoju i ciszy. A potem wśród kopert zobaczyłam list od Holly.

Kiedy wróciłam do kuchni, Cecil ciągle się ukrywał.

- Patrz, przyszedł do mnie list! - Ten polecony był gruby i drukowany na maszynie, pozostałe wyglądały na rachunki. Położyłam je na stole. - Moja koleżanka Holly przykleiła zdjęcia z gazet.

Cecil powoli opuścił kryjówkę i spojrzał na kopertę.

- Po co?

- Żeby było ładnie. Widzisz, roślinka - powiedziałam, pokazując krzaczek haszyszu. - A tu wieża Eiffla. To w Paryżu.

- Widziałem raz wieżę. Z nadzianymi ludźmi. Nie żyli.

- Paskudnie - powiedziałam. - Ale teraz tak się nie robi.

- Wtedy tak robili.

- Tylko w czasach historycznych.

- Co to są czasy historyczne?

Nad tym musiałam się zastanowić. W końcu wyjaśniłam:

- Dawno, dawno temu. I na ogół za siedmioma górami. - Nagle przed oczami przemknęły mi cienie zeszłej nocy. - Choć pewnie tutaj też musiały być jakieś wydarzenia historyczne. Patrz, tu jest miś z serduszkami na brzuszku.

- Lubię misie. - Wziął kopertę i spojrzał na adres. - Po co takie pokręcone litery?

- Bo moja przyjaciółka uważa, że tak jest ładniej. Tak jak z obrazkami.

- Tobie też się podoba?

- No... głównie dlatego, że Holly zrobiła to dla mnie.

- To twoja przyjaciółka?

- No - powtórzyłam i gardło mi się ścisnęło.

- Ja też mam przyjaciela. Czasami się spotykamy.

- Tak? To fajnie. Słuchaj, Cecil, czy na dole jest toaleta?

- Tak.

- Możesz mi pokazać? Muszę skorzystać.

- Koło mojego pokoju.

- A gdzie jest twój pokój?

- Chodź. - Wyszliśmy korytarzykiem do tylnych drzwi i skręciliśmy w lewo przez inne drzwi, które wzięłam za spiżarkę czy coś w tym stylu. Ale za nimi znajdował się inny korytarz, ciemny, betonowy, bez okien, choć wydawało się, że ściany są cienkie jak w szopie, jakby mogły lada chwila pęknąć pod naporem powietrza. Na

końcu korytarza znajdowało się troje drzwi. Jedne prowadziły do łazienki, śmierdzącej jak zwykle toalety chłopców w szkole.

- Dzięki - powiedziałam i weszłam, wstrzymując oddech. Kiedy się wyłoniłam, Cecil czekał na mnie przy sąsiednich drzwiach.

- To twój pokój? - spytałam.

- Nie. Susan.

- Kto to jest Susan?

- Pierze.

- To znaczy robi pranie?

- Tak. I myje podłogi. I bawi się ze mną. Śpię z nią, jak mam złe sny.

- A gdzie jest teraz?

- Pojechała do domu, jak inni. Tak powiedział wujek Ray.

- Tęsknisz za nią?

- Tak. Narysowałam ją. Wejdz i zobacz.

Cecil wszedł do ostatniego pokoju, a ja za nim. Był duszny i miał mroczne, zamknięte okno z na poły rozchylonymi zasłonami. Na betonowej podłodze i szarawej pościeli w łóżku poniewierały się brudne ubrania. Spodziewałam się, że rysunki wiszą na ścianach - i faktycznie parę wisiało - ale pozwolono mu malować bezpośrednio na tynku.

Musiał stanąć na palcach, żeby narysować potworę z wielką uśmiechniętą twarzą, niebieskimi oczami i długimi czarnymi włosami, niespotykaną ilością palców u pecyn, mających być stopami, i sztywno sterczącymi rękami. Stał przez chwilę, wskazując z dumą, a potem popędził i przytulił się do zielonej sukienki, a ręce stwora wyglądały tak, jakby się do niego wyciągały, żeby go uścisnąć.

Na drugiej ścianie najwyraźniej dorwał się do grubego pędzla, bo wszędzie nasmarował czerwone, lśniące wilgocią kropy. Bluzgały na ścianę, jakby wytrysnęły z jego głowy.

Obejrzałam się, a jego już nie było.

Przeczytanie kartki od Holly zostawiłam sobie na później. Napisała bardzo drobnymi literkami na pocztówce z tęczą, ale małej, więc zdołała tylko napisać, że znalazła letnią pracę w Tesco i że mama jest na nią zła, bo chciała ją zabrać ze sobą do Marrakeszu. „Ale ja wolę pojechać na Majorkę, na przykład we wrześniu. Jest jakaś szansa, że ze mną pojedziesz? Mama mówi, że możemy, jeśli zarobię

pieniądze, a Sky i Kurt też jadą. Wpadłam w spożywczaku na Eileen i powiedziała, że wyjeżdża z Davidem Carterem, ale matka nie daje jej żyć, bo ojciec Davida jest kolorowy, więc w ogóle nie wolno im się spotykać u Eileen, taka jest staroświecka ta matka, więc moja mama powiedziała, że mogą się spotykać u nas, więc wracam z pracy, chcę się tylko pozbyć tego mundurka i umyć się, a oni się tarzają po moim łóżku, dosłownie tarzają...".

Skończyłam czytać i odłożyłam kartkę. Choć ptaki nadal śpiewały, tak niemrawo jak pod koniec imprezy, a w powietrzu unosił się zapach trawy i słońca, w tej chwili wiele bym oddała, żeby znowu znaleźć się w starym śmierdzącym Londynie, tak jak Holly, mieć bolące stopy, ręce cuchnące drobniakami i rozpinać uniform Tesco, i żeby Eileen i David całowali się na moim łóżku. Ale przecież był wczesny ranek, więc teraz tak by nie było. Ta kartka nie mogła mi zdradzić, co Holly naprawdę robi w tej chwili. Ale wiele bym oddała, żeby tam być - gdybym miała coś do oddania.

Usłyszałam warkot i wyjrzałam przez otwartą dolną połówkę okna. Zza rogu wyłaniały się dwa białe dachy furgonetek, zmierzających ku starym frontowym drzwiom. Wydawało mi się, że są całkiem blisko mojego okna; widziałam ten stary, pożółkły i porysowany plastik dachów. Raz byłam z jednym chłopakiem na tyle takiej furgonetki - należała do jego ojca, było w niej zimno i pachniało cudzymi rzeczami, a słońce prześwietlało dach, jak powieki starej kobiety.

Tupot na schodach, pukanie do drzwi, fala potu.

- O, Anna - powiedział Ray. - Przepraszam, że ci przeszkadzamy. Ci panowie zabierają zbędne meble.

Nawet do głowy mi nie przyszło, żeby zaproponować im pomoc. Choć na temat przeprowadzek wiem wszystko. Tysiące razy to robiłam. Zawsze kiedy pojawiał się nowy chłopak mamy i zawsze, kiedy odchodził. Zawsze kiedy czynsz stawał się zbyt wysoki albo okolica zbyt zakazana. Zawsze kiedy mama dostawała nową pracę i zawsze, kiedy ją traciła. Wiem, jak trzeba wcisnąć rośliny doniczkowe na tył furgonetki, a siebie wcisnąć na przednie siedzenie między mamę i kolejnego faceta. Czasami jakiś sąsiad machał nam na do widzenia, parę razy nawet koleżanka ze szkoły. Często nie było nikogo - mieszkaliśmy w takich okolicach, gdzie ludzie na siebie nie patrzą. Ciekawe, czy następnym razem Holly i Tanya mnie pożegnają.

Ale ta przeprowadzka była zupełnie inna. Belle siedziała w gabinecie i napominała ich, żeby uważali, wywlekając katalogi, które nawet nie należały do niej, a Ray uśmiechał się i pocił. Za każdym razem, kiedy coś wołała, biegł sprawdzić, o co chodzi. Ale tak naprawdę to on wiedział, co trzeba zrobić, choć wszystkiego było tak dużo.

- Mogę jakoś pomóc?

Wyprostował się znad torby, do której wsypywał śmiecie.

- Chyba nie, ale dzięki, że spytałaś. - Rozejrzał się. - Nie. Duże meble już poszły. Nie przejmuj się. Jak wszystko zniknie, robi się lepiej, a na razie na twoim miejscu zająłbym się sobą, a robotę zostawił mnie. - Jeden z robotników wziął pusty kubek i wyszedł, a potem ze szczękiem wrzucił go na pozostałe.

- Ale... dopóki oni tu są... może chciałabyś mieć coś w swoim pokoju? Przeniosą.

- Stół by się przydał, i może krzesło.

- Oczywiście - powiedział przyjaźnie, ale trochę jakby zaskoczony, jakby nawet się nie zastanawiał, jak wygląda mój pokój. Ciekawe, czy w ogóle sobie wyobrażał, co mam ze sobą zrobić. Oczywiście pewnie się spodziewał, że tu będą jacyś ludzie - nauczyciele i inni. Wszystko wydarzyło się tak nagle, to zamknięcie szkoły i tak dalej. Bank zakręcił kurek, przypomniałam sobie, jak powiedział chłopak mamy, kiedy pewnego razu zjawił się bez swojego jaguara. Pamiętam, że zaczynał mówić i nie kończył. Może Ray też był jeszcze trochę oszołomiony, tak jak tamten chłopak mamy. A skoro Belle przyjechała... musiała wrócić... Sama nie miała łatwego życia, wiesz? Podczas ewakuacji... podczas wojny... traktowano ich tak... I czasami... Ale bardzo się cieszysz, musisz w to uwierzyć. Tak powiedział Ray.

Zabrali wszystkie łóżka i szafy z wyjątkiem mojej, i faktycznie przynieśli mi stół i krzesło. Z całego domu zwlekali sterty krzeseł, stołów, szafek, kredensy, tablice, jakieś sprzęty gimnastyczne, wielkie kuchenne urządzenia i te dwie lodówki. I ustawiali na trawniku. Więc wyszłam na dwór, a kiedy się obejrzałam, wyglądało to tak, jakby dom wreszcie zdołał zwymiotować wszystkie szkolne przedmioty.

Było niewiarygodnie gorąco. Gęste szare chmury wisiały nad głową jak rozżarzona, przepecona pierzyna. Nie można było osłonić

oczu, bo nie było słońca, więc przed czym. Do furtki dotarłam z łzawiącymi oczami i bolącą głową.

Ulżyło mi, że się oddaliłam od dworu. Nie zamierzałam iść do Ewy, bo nie chciałam, żeby myśleli, że się nudzę i obijam, ale ona wyszła spomiędzy drzew dokładnie naprzeciw mnie.

- Anna! Dzień dobry! Właśnie do ciebie szłam. Theo i ja jedziemy do miasta i pomyślałam, że może też masz ochotę?

Czy mam ochotę? Co za pytanie.

Mieli wielkie stare volvo, takie co wyglądają, jakby je zrobiono z żelaznej skrzynki w czasach Wielkiego Kryzysu i od tego czasu ani razu nie umyto. W środku zawsze czuć je spalinami i suchą skórą. Na tylnym siedzeniu obok mnie leżała paczka, gotowa do wysłania, zaadresowana do jakiejś firmy w Niemczech, a w bagażniku dostrzegłam tekturowe pudełka pełne ramek do obrazów. Pod nogami miałam płataninę kabli, jakiś statyw i stare obcojęzyczne gazety.

- Mamy wystawę - rzuciła Ewa przez ramię. Ledwie ją było słychać przez ryk silnika. Theo jechał bardzo szybko, jedna ręka na kierownicy, druga, z papierosem, za oknem, ale na jezdni oprócz nas nie było nikogo i fajnie było tak pruć przed siebie. - Będziemy przez cały ranek wieszać zdjęcia, więc masz masę czasu na zakupy.

W tyle samochodu było ciemno. Siedzenia ze starości zrobiły się gąbczaste, więc przy każdym wyboju zapadałam się w nie i było to nawet miłe, kojące uczucie. Pruliśmy wąską, długą ulicą ze starymi, niechlujnymi domami po obu stronach. Most spinał obie strony rzeki, która wyglądała jak ciągnący się milami pas błota z małą strużką wody w środku, nad którą stały dość zrezygnowane kaczki. Theo wdepnął hamulec i zatrzymał się przed wielkim domem w kolorze kakaowej krówki, stojącym na poziomie wąskiego chodnika. Drzwi otworzyły się i wyłonił się z nich niewiarygodnie wysoki, chudy mężczyzna. Pomachał nam, a kiedy zaczęliśmy się wypakowywać, unieruchomił otwarte drzwi zieloną szklaną kulą, wielką jak piłka do futbolu. Gdzieś zadzwonił telefon; mężczyzna znowu nam pomachał i przez inne drzwi wszedł do zadziwiająco zabałaganionego gabinetu.

Pomogłam Ewie i Theo wynieść zdjęcia i zataścić je do domu przez rozdziawione drzwi, jakbyśmy go nimi karmili. To nie był prawdziwy dom, tylko muzeum. Bardzo stare, i wszystko tu było trochę krzywe, nawet podłogi, a żadne okno nie miało ani jednego kąta prostego. Można by pomyśleć, że je urządził w staroświeckim

stylu, jakieś tapetki, jakieś belkowane sufity, mosiężne lampy i tak dalej, ale nie, choć zauważyłam parę starych mebli, bardzo czystych, miękkich i pachnących miodem i lawendą. Ale nie dali też nowoczesnych rzeczy, na przykład winylowych podłóg, drzwi z panelami i fikuśnych balustrad. Posadzkę stanowiły zwyczajne deski, ale lśniące i złociste, nie szare i zakurzone, jak kiedy się zwinie dywan zbyt szmatławy, żeby go dłużej trzymać. A ściany były zwyczajnie śnieżnobiałe i skierowano na nie reflektorki, tak jakby malowano je światłem, nie farbą, więc meble tak jakoś lśniły, a te nieliczne stare obrazy, które tu wisiały, od razu rzucały się w oczy, żywe i gorące.

Fotografie Evy i Theo nie rzucały się w oczy tak od razu. Choć były czarno - białe, wyglądały tak, jakby ktoś wziął dłuto, puknął w ścianę i powybił małe, kwadratowe okienka na ulicę. Dostali dwie sale na piętrze, połączone wielkim łukiem z podwójnymi, otwartymi drzwiami. Najpierw wchodziło się do sali Theo. Na jego zdjęciach strasznie dużo się działo. Byli jacyś żołnierze i skośnookie dziewczyny w barze, a podpis głosił „Sajgon, 1968 r.". Miny mężczyzn rozumiałam, ale twarze dziewczyn były nieprzeniknione, gładkie, jakby te oczy i uśmiechy namalowano na porcelanie, i zaczęłam się zastanawiać, czy to przez ten gruby makijaż, czy dlatego, że myślą o czymś zupełnie innym i nie chcą tego zdradzać. Na tym także się znałam. I nagle dostrzegłam, że wszyscy żołnierze siedzą tak jakby wokół zdjęcia, a dziewczyny w środku, więc nie mogą się wydostać, i to na nie się patrzy, my tak samo jak żołnierze. Nie była to żadna wiekopomna myśl, ale przyszło mi do głowy, że gdyby mieć takie zdjęcie na ścianie, nie można by od niego oderwać oczu.

- Anna! Masz poziomnicę? - odezwał się Theo z głębi sali. Przyniosłam ją. Oparł ją na górnej ramie zdjęcia, które przyłożył do ściany, i poprawił, żeby była prosto, zmrużonymi oczami przyglądając się małej drżącej żółtej bańce za szkłem. - Zaznaczysz, gdzie trzeba wbić gwoździe? Ołówek mam za uchem.

Wzięłam ten ołówek - jego włosy były w dotyku jak ciepła, szorstka wełna - i zaznaczyłam miejsce, włożywszy grafit w jeden zaczep ramy. Potem obeszłam Theo i zaznaczyłam drugi punkt. Odstawił zdjęcie na ziemię i wbił wkręt w ścianę. Mięśnie jego ramion napięły się i rozluźniły. Potem przytrzymałam mu zdjęcie, a on z kolei obchodził mnie, sprawnie i mocno przytwierdzając zdjęcie do ściany.

Odsunęliśmy się o parę kroków i spojrzeliśmy. Przez chwilę wydawało mi się, że ten ktoś w samochodzie z opuszczonym oknem śmieje się z odrzuconą głową. Ale nie. Żołądek mi się trochę skręcił. Owszem, to był samochód, ale spalony, a ten ktoś to były zwłoki, nie szkielet, tylko zwłoki, zwęglone, wyprężone do tyłu, czarnoszare, łuszczące się wielkimi płatami, i tylko zęby kojarzyły się z twarzą - i krzykiem.

- Anna? - odezwała się Eva z drugiej sali. Zresztą po raz drugi.

- Tak. Przepraszam.

- Bardzo bym chciała zasięgnąć twojej opinii. Poszłam do niej.

- Patrz - powiedziała Eva. - Tu będzie wisieć pierwsze zdjęcie, które zobaczysz, wychodząc z sali Theo. Ale zobaczysz je z oddali. Ludzie na ogół skręcają w prawo i obchodzą salę, stojąc bliżej tych. - Wskazała rząd nierozpakowanych zdjęć pod przeciwległą ścianą. - Więc które z nich chciałabyś zobaczyć, wchodząc?

Przez chwilę nie wiedziałam, co powiedzieć, bo ciągle mnie mdliło przez tego zwęglonego człowieka i ponieważ wszystkie zdjęcia Ewy wydawały się nudne. Była fotografia jakiejś tandetnej pompy benzynowej, takiej z podświetloną muszlą u góry, ale z węzłem leżącym bezwładnie na ziemi, z suchym i ukruszonym uchwytem.

- Co sądzisz? - spytała Eva. - A może to, Berkeley Square? - Spodziewałabym się słowików albo ludzi w cylindrach i sukniach balowych czy coś w tym stylu, ale to były same balustrady, proste parkowe balustrady, których cienie padały na szary bruk, z jednej strony ograniczony półkolistym krawężnikiem, z drugiej kołem motocykla o promienistych szprychach.

- Podoba mi się - powiedziałam. Cofnęłam się i wpadłam na Theo, który wszedł do nas. - Ale z daleka to trochę niewyraźne.

- Ona ma rację - odezwał się Theo.

- A ciebie kto pytał, Todos Bensyo? Wzdrygnęłam się, ale oboje się śmieli.

- To widzi każdy nie całkiem ślepy kretyn - oznajmił Theo. - To nie jest obraz na to miejsce.

- Więc - zwróciła się do mnie Eva - co powiesić? Znowu popatrzyłam na oparte o ścianę zdjęcia i tym razem wreszcie umysł mi ruszył. To powinno być coś dużego i prostego, co widać z daleka.

I znalazłam - ten kawałek drewna, który trzymałam w dłoni. Na zdjęciu Evy był tak samo ciepły i gładki jak w dotyku, a z bliska okazało się, że kropeczki tuszu, czy czego tam, tworzą złudzenie tej srebrzystości. Halogenek srebra. Tak powiedział Theo. Przyłożyłam fotografię do ściany.

- Tę?

Eva stanęła obok Theo i oboje przyjrzeni się uważnie.

- Tak - powiedziała. - Masz rację. Ma rację, prawda?

- Tak - zgodził się Theo. Podeszła i odebrała mi zdjęcie.

- Więc pomóż nam je zawiesić, a potem ja wam wytknę błędy.

Ledwie uporaliśmy się z ostatnimi zdjęciami, kiedy na schodach odezwały się kroki. To był ten chudy mężczyzna.

- Theo, Eva, przepraszam! Strasznie jestem niegościnnie! Jak sobie radzicie? Zagadałem się przez telefon, to przewodnicząca zarządu, a jej się nie da zamknąć ust, nawet przemocą.

- Crispin, poznaj Annę Ware - powiedział Theo. - Anno, to Crispin Cordner. Jest tu dyrektorem.

- Oraz telefonistką, pomywaczką i koicielem rozdrażnionych miejscowych ego - dodał Crispin, ściskając mi dłoń. - Witam panią. - Rozejrzał się. - Moi drodzy, wspaniale. Co za kontrast!

- Nie za duży? - spytała Eva. - Nigdy dotąd nie mieliśmy wspólnej wystawy.

- Ależ skąd. Wstrząśniemy trochę pocziwymi starowinami. - Skinął głową w stronę zdjęć Evy, a potem zajrzał do sali Theo, więc wszyscy poszliśmy za jego przykładem. Ja usiłowałam omijać wzrokiem zwęglone zwłoki.

- Myślałam, że postanowiłeś tego nie wystawiać! - zawołała Eva.

- Uznałem, że nie mogę go pominąć.

- Nigdy nie potrafiłeś się ograniczać - powiedziała Eva. - Im więcej odejmiesz, tym więcej znaczenia ma to, co zostanie. Poza tym to... to już przesada.

Wyrzałam przez okno. Drzewa miały zakurzone liście, taka stara sucha zieleń, ale przed oczami nadal stały mi te czarne i szare łuski, które kiedyś były człowiekiem, popękane i łuszczące się jak konar, który trzymałam.

- Crispin, a ty co sądzisz? - spytała Eva.

Crispin długo przyglądał się fotografii. W końcu powiedział:

- Wstrząsające, cholera. Będą skargi.

- Czy to by ci przeszkadzało? - spytał Theo.

- Oczywiście, że nie. No, nie w tej chwili. Zarząd na razie jest zadowolony z nas po pokazie Girtin. Ale może...

- Chyba nie stajesz po stronie Pani Zniesmaczonej z Zadupia?

- No nie, skąd. Ale... czy to Tim Page powiesił w swoim gabinecie w Wietnamie wszystkie zdjęcia, które Reuters odrzucił z powodu zbytnej drastyczności?

- Nie, to był Horst Faas - powiedziała Eva. - I Associated Press. Ale dokładnie o tym mówiłam. Dla nas to jest wspaniałe, poruszające zdjęcie, świetna fota. I wywołana niemal tak dobrze, jak ja bym to zrobiła. - Theo uśmiechnął się krzywo. - Ale dla większości widzów to będzie szok. Chory szok, jak w tandetnym horrorze. Zboczony. Spodoba się podglądaczom.

- Więc wszyscy jesteśmy podglądaczami - odparł Theo. - Skoro to ci przeszkadza, to co powiesz o burdelu? - Wskazał na inne zdjęcie.

- Ale to coś zupełnie innego - odezwałam się. Wszyscy się odwrócili i spojrzeli na mnie, ale powiedziałam sobie, że nie dam się onieśmielić. - Przez to zdjęcie człowiek czuje się, jakby był jednym z tych żołnierzy. To zdjęcie mówi jednocześnie o Wietnamie i o tym, że człowiek bierze udział we wszystkim, co się dzieje. A to... no nie wiem... tak, jakby chciało tylko zrobić człowiekowi krzywdę. Jakby tobie się to podobało. Robienie sobie krzywdy.

- Brawo - powiedziała Eva.

- Ależ to piękne! - dodał Crispin. - Może to właśnie jest jego usprawiedliwienie - i nas wszystkich.

Zamilkli. Nie rozumiałam, jak takie zdjęcie może być piękne, skoro nawet od myślenia o nim robi mi się niedobrze i zaczynam się trząść. Potem Theo znowu powiedział tonem przeraźliwie martwym:

- Wszyscy jesteśmy podglądaczami. A ja muszę się napić. Crispin, może się przyłączysz?

- Bardzo bym chciał - odparł Crispin, kręcąc głową tak gwałtownie, że włosy mu zafurkotały - ale mam tysiąc spraw do załatwienia. Przepraszam.

- Ach! Więc następnym razem - powiedziała Eva.

- Pić! - zawołał Theo. - Crispin, później wrócimy i upewnimy się, czy nic nie trzeba zmienić.

- Więc, Anno... mogę tak mówić? Mieszkasz w sąsiedztwie? - spytał Crispin, przepuszczając mnie przed sobą na schodach.

- Anna mieszka u Raya Holmana w Kersey Hall - wyjaśniła Eva.

- Naprawdę? Mamy tu resztki archiwum Fairhurstów.

- Kogo? - spytałam.

- Właściciele Kersey. Zostawili parę aktów prawnych, listów i takich tam w zarządzie, który przejął dom w 1939 roku. Zdaje się, że mieszkali w nim ewakuowani, więc Bóg jeden wie, co się tu działo. W każdym razie kiedy po wojnie podzielono i sprzedano posiadłość, poproszono nas, żebyśmy przechowali archiwum. Dziwne: przetrwali Peterloo, zamieszki z powodu cel zbożowych, dwie wojny światowe, a polegli z powodu podatków... - Przez chwilę był tak smutny, jakby mówił o jakimś bliskim człowieku, a nie o zwykłej rodzinie, która najpierw miała dom, a potem nie mogła sobie na niego pozwolić. - Nie ma tego wiele, ale jeśli cię to zainteresuje, mogę je kiedyś przynieść.

- Dziękuję - mruknęłam, idąc do drzwi frontowych, bo to było miłe i wyglądało na to, że mówił poważnie, choć nie za bardzo mnie zainteresował. Pewnie jakby przyszło co do czego, jednak by mu się nie chciało.

- Portret na dole przedstawia jednego z właścicieli - dodał Crispin.
- Stephena Fairhursta. Chyba początek dziewiętnastego wieku. W przyszłym roku mają go odczyścić. Chodź, popatrz.

Odwróciłam się, głównie z uprzejmości. Obraz był stary i ciemny, pokryty pajęczą siecią pęknięć jak woalką. Zwyczajny mężczyzna z rozchylonym listem. Eva zawołała od progu:

- Anno, pójdziesz się z nami napić? Przynajmniej tak możemy ci się odwdzińczyć, skoro tak nam pomogłaś - więc wyprodukowałam coś w rodzaju uśmiechu i wyszłam za nią.

Na dworze było jeszcze goręcej i parniej niż do tej pory, jakby między domami zaległy spaliny jak śmierdzące błoto w rynsztoku. Dotarliśmy do czegoś w rodzaju stromego rynku i weszliśmy do pubu. Do baru podeszła Eva. Theo i ja zajęliśmy stolik przy wykuszowym oknie, z małymi, zielonkawymi szybkami, przez które przechodnie na ulicy wyglądali, jakby falowali. Ciekawe, jak wyglądaliśmy my.

- Pewnie widzą tylko swoje odbicie - odezwał się Theo za moimi plecami. Skrobnęła zapalka, którą zapalił papierosa. Usiadł obok mnie w okiennej wnęce.

- Anno, na co masz ochotę? - zawołała Eva.

- Małe piwo. Barman odchrząknął.

- A ileż to lat może mieć ta młoda dama?

Jeszcze nigdy nikt nie zadał mi tego pytania. Ale jeszcze nigdy nie poszłam do pubu w podkoszulku, szortach i bez makijażu.

Eva i Theo spojrzeli na mnie. Gdyby ich tu nie było, pewnie bym od razu wyszła.

- Piętnaście - powiedziałam.

- Więc nie mogę panienki obsłużyć, bardzo mi przykro - powiedział barman. - Tylko napoje bezalkoholowe.

- To proszę colę. - Twarz mnie paliła, dałabym głowę, że jest czerwona, a podkoszulek przykleił mi się do pleców.

Theo uśmiechnął się do mnie.

- Nieczęsto ci się to zdarza? - spytał.

- Nieczęsto. Dotąd nigdy. Nadal się we mnie wpatrywał.

- Nie, rzeczywiście. Trochę przypominasz mi Evę, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy w San Sebastian. Ta sama karnacja. Nie płynie w tobie hiszpańska krew?

- Nic mi o tym nie wiadomo - powiedziałam, niby to ze śmiechem.

Eva przyniosła picie - oboje zamówili piwo - a potem poprosiła, żeby nam zrobiono kanapki. Zjedliśmy, wróciliśmy do galerii i Eva spytała, czy mogłabym zanieść paczkę na pocztę, jeśli wybieram się na zakupy.

- Oczywiście - powiedziałam. Naprawdę chciałam jej pomóc, a także wyrazić wdzięczność za podwózkę. To było coś zupełnie innego, niż kiedy mama wysyła mnie do sklepu, bo chce zostać w łóżku ze swoim chłopakiem.

- Musi być polecona, trzeba wypełnić deklarację celną - wyjaśniła Eva, wręczając mi pieniądze. - To obiektyw do naprawy. Powiedz, że jego wartość wynosi... nie wiem, tak z pięćdziesiąt funtów. Poczta jest za kościołem.

- Dobrze, poradzę sobie - powiedziałam i dopiero wtedy się zdziwiłam, że powierzyła mi coś tak wartościowego. Ale ona

zwyczajnie podała mi paczkę i pieniądze. Poszłam przez rynek na pocztę. Miasteczko było za małe, żeby można się było w nim zgubić, więc potem zaczęłam się po nim włóczyć. W papierniczym kupiłam pocztówki dla Holly i Tanyi. Był tam stojak z zabawkami i nagle przyszło mi do głowy, że Cecilowi by się spodobały, bo wydawało mi się, że w ogóle nie ma zabawek. Więc kupiłam mu książeczkę do kolorowania, bo pamiętam, jakie mi się wydawały magiczne, kiedy byłam mała. Zapakowałam ją ciasno w papierową torbę, żeby miał zabawę z rozpakowywaniem. Mama tak robiła.

Zostawiła mi sto funtów na koncie, które miały mi wystarczyć do chwili, kiedy przyśle mi bilet do Hiszpanii, ale oczywiście nie sprawdziła, czy bank ma filię w tym mieście, i rzecz jasna nie miał. Czekają mnie poszukiwania. W sklepach nie było ciuchów, które by mi się spodobały, z wyjątkiem jednej bluzki, nylonowej w hinduskie wzory, ale w lustrze nie wyglądałam w niej dobrze, trochę tandetnie. Te sklepowe lustra takie już są; a można by pomyśleć, że zależy im, żeby klient coś kupił. Poza tym było za gorąco, żeby się dłużej wysilać, więc wróciłam do galerii.

Eva i Theo stali na chodniku, pochłonięci rozmową, gestykulując, a Crispin stał w drzwiach, jedną rękę opierał na framudze, w drugiej trzymał pełno papierów, obserwował ich i co chwila dorzucał coś od siebie. Wszyscy byli tacy swobodni, kłócili się, śmiali, i ten stary samochód przycupnięty przy krawężniku, jakby przysnął... Może to ze zmęczenia, ale stałam, przyglądałam się im i wydało mi się, że upał wypełnił przestrzeń między nami tak szczelnie, jakbym się miała nigdy do nich nie przedrzeć.

Potem Eva dostrzegła mnie, pomachała ręką, ruszyłam i okazało się, że wcale nie było tak daleko.

- Cześć, Anno - powiedział Crispin. - Byłem w magazynie i znalazłem te listy, o których mówiłem. Niestety, oryginałów dać ci nie mogę, w zasadzie trzeba by z nich zrobić mikrofilmy, ale odbiłem parę na ksero.

Cienki, tandetny papier pokrywały drobne, staroświeckie czarne literki i masa ciemnych załamań. Wyteżyłam wzrok, ale nie udało mi się odczytać nic prócz „Droga panno jakaś tam”.

- Dziękuję - powiedziałam.

- Wiesz, fotokopie często łatwiej odczytać niż oryginały, bo tusz robi się ciemniejszy. Bardzo długie. Będziesz się miała czym

zająć, kiedy Eva i Theo znowu zechcą zniknąć za granicą. Sam też rzuciłem okiem - zapomniałem, napisał je Stephen Fairhurst. Ten z portretu.

Potem jednak wróciłam.

Miał krótkie brązowe włosy i brwi, tak jakoś zakrzywione w kącikach, i ciemną kurtkę, i takie staromodne stare coś na szyi zamiast krawata. Spoglądał na mnie. Przez jedną szaloną chwilę zastanawiałam się, co widzi w moim świetle i co ja mogłabym dostrzec, gdybym odpowiednio długo wpatrywała się w pociemniałą ze starości farbę.

* * *

Droga panno Durward,

Proszę nie brać mych wyrazów zdziwienia za brak entuzjazmu wobec zamierzeń siostry pani. Nasza obywatelska swoboda bezpiecznych podróży zagranicznych - tym bardziej, gdy idzie o podróż poślubną - to jeden z przywilejów, o jakie niegdyś walczyła nasza armia. Z wielką niecierpliwością będę czekać na przybycie państwa do Brukseli i jestem rad, że pan Barraclough nie ma obiekcji, pani Barraclough zaś nie wzdraga się przed wizytą tego rodzaju. Mam nadzieję, że dzięki mej znajomości okolic okaże się ona tym przyjemniejsza. Z wielką radością będę Pani towarzyszyć w tych miejscach, o których dyskutowaliśmy tak często; liczę jedynie, że świadectwo własnych oczu Pani nie zada kłamu mojej relacji. Jakże żałuję, że panicz Tom nie zjawi się wraz z państwem, lecz bez wątpienia słusznie jest założyć - w tej kwestii żadną miarą nie mogę sobie rościć praw do znawstwa - iż będzie dla swych dziadków wielką pociechą, państwo Barraclough zaś zyskają chwile cichego szczęścia, tak potrzebne, by nawiązać idealną nić sympatii serc i umysłów, która powinna spajać każdy związek matrymonialny.

W odpowiedzi na pytanie Pani: klimat w Niderlandach nie różni się wiele od naszego, przy założeniu, że w miesiącach letnich może się zdarzyć parodniowy okres brzydkiej pogody. Lecz jeśli, jak Pani pisze, spodziewacie się przybyć w czerwcu, może się Pani spodziewać wszystkich uroków angielskiego lata, a w porównaniu z Lancashire znacznie mniej deszczu. W Brukseli dość jest aptek i sklepów bławatnych, by podróżnik mógł zaspokoić wszystkie swe potrzeby i akomodować się w lepszych zajazdach, więc zachęcam Panią do ograniczenia bagaży, na ile się da. Jeśli będzie Pani łaskawa przesłać

mi wiadomość, którego dnia spodziewa się Pani przybyć, zarezerwuję dla państwa pokoje w „L'Arc - en - ciel”; jeśli zaś pani Barraclough ma w kwestii zamieszkania szczególne wymagania, ufam, że bez obaw powiadomi mnie pani o nich, bym mógł je spełnić jako was posłuszny sługa,

Stephen Fairhurst

Wypiłem dosyć, by nabrać kurażu, a w pełnej ciżby sali podchwytyję pełne podziwu zerknięcie Hammere, gdyż Jane już siedzi na moim kolanie. Chcę wiedzieć, jak to jest, a to jedyny sposób. Jane nie jest szczególnie domyta, a twarz ma umalowaną, lecz pachnie ziemią i ciepłem. Kiedy dotykam jej krągłych piersi, piszczy jedynie dla zachowania pozorów. Potem mówi, że najpierw muszę zapłacić pani Maggs.

Leży na łóżku, które czuć innymi ciałami, ale śmieje się i wyciąga do mnie rękę.

- Po raz pierwszy? - pyta, rozchylając nogi, gdy ja pospiesznie zrzucam buty i bryczesy. - Nie lękaj się, żołnierzyku, Jane się o ciebie zatroszczy.

Sam mam pewne pojęcie, co chcę zrobić i co ona ma uczynić, a ona jest w moich dłoniach ucieleśnieniem tego, o czym marzyłem przez tak wiele nocy. Lecz pomimo wszystkich obietnic i uśmiechów tylko leży jak kłoda i czeka, aż się skończy, a ja, choć się staram, nie mogę jakoś do tego doprowadzić. By ukryć wstyd, zrzucam winę na wino i pocałunkami staram się wykrzesać z niej zainteresowanie, skłonić ją do współdziałania. Szminka rozpływa się pod dotykiem moich ust, ona odwraca głowę, a mnie ogarnia obrzydzenie. Biję ją w twarz, nazywam dziwką.

- A myślałeś, żołnierzyku, że kim jestem? - odpowiada, bez zaskoczenia trzymając się za policzek. - Damą, krucafuks?

Ubieram się i wychodzę. Za każdymi drzwiami słyszę ladacznice i mężczyzn; każde robi to, co musi, żeby dostać to, czego pragnie: dyszy, dotyka, całuje, udaje rozkosz, udaje miłość. Ktoś porzygał się na schodach, a dalej stoi mężczyzna, którego jedna dziewczka okradła, kiedy on chędożył drugą. W głowie zaczyna mi się mącić od wina, odoru wymiocin i kopulacji, i wszystkie te twarze przypływają ku mnie w ciemnościach, skażone strachem, obrzydzeniem i nienawiścią do siebie.

Rozdział 2

Była to niedziela, teatry były zamknięte, więc gdym wysłał list do panny Durward, poszedłem parę jardów dalej do apartamentu Katrijn. Kuzynka Eloise, jak mi powiedziała, wyjechała z wizytą do chorej przyjaciółki.

- Czy jeśli wyrażę radość, popełnię nietakt wobec twojej kuzynki, czy też pochlebię tobie? - spytałem, przyciągając ją ku sobie.

- Już ja wiem - odparła i zrewanżowała się jednym z tych pocałunków, które tak wiele obiecują, po czym wymknęła się z mych objęć i nalała wina. - Wybaczam ci, bo przy każdym spotkaniu jesteś wobec niej tak dworny. Musisz zrozumieć, że moja profesja to bolesna próba dla jej dobrego imienia, gdyż mam wszystkie pozory damy, a jednak nie mogę być jedną z bourgeois. Znowu ta mieszana krew, rozumiesz. Wierzę, że nie zawsze tak było; niektórzy starsi aktorzy pamiętają dni, gdy społeczeństwo nie było tak surowe. Nie mogę myśleć, że aktorzy stali się tak odmienni urodzeniem i zachowaniem od nowego wieku. Może to czasy się zmieniły od czasów rewolucji. Kuzynka Eloise stara się zatuszować moją niegodną profesję, i oczywiście to niemożliwe, choć nieustannie papple o tych służących, którymi przywykła rządzić. Gdybym jej nie potrzebowała, odesłałabym ją tam, gdzie poczułaby się swobodniej. Wyczerpała mą cierpliwość do cna, biedaczka.

Zjedliśmy więc wieczerzę sami, siedząc przy wysokich oknach salonu wychodzącego na podwórze. Jasny muślin sukni Katrijn trzepotał o kute żelazo małego balkonu, a świece migotały w podmuchach ciepłego wiatru. Jeszcze długo po tym, jak Meike zabrała ostatnie talerze, siedzieliśmy, patrząc na studnię podwórka, wypełniającą się z wolna mrokiem, aż w końcu tylko najwyższe kominy chwyciły jeszcze ostatnie promienie słońca.

Katrijn dotknęła mej dłoni, którą trzymałem kieliszek z winem.

- Nad czym tak dumasz?

- Nie wiem - odparłem i rzeczywiście, nie byłem pewien, co zaprzątnęło me myśli na tak wiele minut. Nie były to wspomnienia dni w Berze; tych nie mógłbym nazwać wspomnieniami, tak bardzo wrosły w me życie, choć nigdy o nich nie wspominałem Katrijn. Raczej było to poczucie wspominatej radości - tak żywej, że niemal bolesnej, a jednak bez żadnego rozpoznawalnego dźwięku i wizji. Światło znad naszych głów oświeślało je w moich oczach i tak te dwie

wizje nałożyły się na siebie i przez chwilę nie wiedziałem, czy to moja pamięć uchwyciła ten moment, czy też moment wyczarował przeszłość.

- Stephen...

- Przepraszam. Myślałem o Hiszpanii.

- Dobrze czy złe wspomnienia? - spytała. Wzięła moją dłoń i delikatnie wtuliła kciuk w jej miękkie wnętrze.

- Ach... dobre. - Uścisnąłem jej rękę. - Wspominałem zachody słońca, jakie widywaliśmy w Pirenejach. - Tak rzeczywiście było, gdyż wraz z głosem Katrijn obudził się mój rozsądek i pojąłem, że wiem, jakie wspomnienie owładnęło moimi zmysłami. Ale nie mógłbym go opisać w żaden sposób, by zrozumiała, gdyż jej inteligencja była skupiona na zwyczajach i namiętnościach, jakie zaprzatają istoty ludzkie żyjące na tej ziemi.

Przyglądała mi się w zupełnym milczeniu, a jej spojrzenie stało się równie obezwładniające jak w światłach rampy.

Potem znalazłem dla moich myśli formę zrozumiałą dla niej.

- Kiedy grasz, powiedzmy, Andromachę, stoisz na scenie w świetle gazowym, nie na dworze króla Pyrrusa, a jednak... - Usiłowałem znaleźć słowa dla moich jeszcze dość nieukształtowanych myśli i zacząłem od nowa. - Nie oplakujesz śmierci Hektora, nie jesteś matką Astyanaksa...

Zaczęła się śmiać.

- Nie, jako żywo, nie jestem!

- Więc jak to możliwe, że patrzę na ciebie, którą znam tak dobrze... - tu posłała mi uśmiech, od którego zawsze włosy jeżyły mi się na karku - ...przyglądam ci się i targa mną smutek i gniew, jakbym patrzył na Andromachę w szponach rozterek? Te prawdziwe uczucia istnieją w rzeczywistości, lecz zrodziła je gra mademoiselle Metisse wśród dekoracji i cieni.

- Gdybym odgrywała żal lub szczęście, siedziałbyś w tej swojej wygodnej łoży i patrzył na lalkę, marionetkę, wykonującą gesty, mające oznaczać te uczucia. Lecz ja dopasowuję me myśli do mej postaci - Andromachy, jeśli tak wolisz, lub może Zuzanny - a wtedy... wtedy jej uczucia rodzą się we mnie równie prawdziwe jak moje własne w moim prawdziwym życiu. A mój głos i ciało poruszają się tak, jak mi dyktują jej myśli i uczucia. Jej wizja tworzy się we mnie. - Uśmiechnęła się. - Nawet moje nazwisko, Metisse, oznacza mieszańca

półkrwi, wiedziałeś? Jestem jedynie połową siebie, a połową innej osoby... Czy to prawda, że w Anglii używa się naszego słowa, voyeur, w szczególnym znaczeniu?

- Tak.

- Tak sądziłam... Może nie takie to odmienne, jeśli obserwujesz mnie na scenie, a moje słowa i ruchy sprawiają, że twoje myśli podążają za moimi, a moje szczęście lub smutek rodzą w tobie podobne uczucia. Widzisz mnie, lecz czujesz także samego siebie. - Po chwili odchyliła się na krześle, a zmrok zmieszał się ze światłem świec, obejmującym jej twarz. - A ja, oczywiście, muszę także pamiętać, żeby mówić wyraźnie, nie potknąć się o suknię, i że monsieur Meunier znów siedział dziś zbyt długo w winiarni i może nie pamiętać moich kwestii.

Pochyliłem się i złożyłem na jej ustach długi pocałunek, jakbym pił to światło, z którego była uczyniona.

- A nawet wtedy, gdy nie siedział, widzę Andromachę przez przestwór czasu, a Katrijn przez przestwór przestrzeni, i siebie samego... jeśli wolno mi się tak wyrazić... w was obu.

Być może zaskoczę Panią, mówiąc, że najwspanialsze wspomnienie mych wszystkich lat za granicą dotyczy schyłku spokojnego dnia, gdym stał na niebosiężnych szczytach pirenejskich i spoglądał na równiny i doliny Francji. Z pewnością kraj ten - pełen surowych skał i rwących strumieni - zdał mi się nadzwyczaj piękny, ze świadomości zaś, że wszyscy przyczyniliśmy się do kapitulacji Francji, czerpaliśmy wielką satysfakcję. A jednak, choć byłem świadkiem Busaco, Vittorii i Waterloo, gdzie waleczność, a nawet heroizm naszych ludzi i wielka przemyślność naszych dowódców okazały się lak wielkimi, że z pewnością będą żyć wiecznie w pamięci tych, którzy w walkach tych brali udział, me wspomnienie chwili tej spędzonej w dolinie Bery po dziś dzień cenię sobie ponad wszystkie inne.

Powietrze było krystaliczne, chmury zaś piętrzyły się wysoko nad górskimi turniami, dopiero rumieniąc się od złotych i różanych promieni popołudniowego słońca. Nagle pojąłem, że choć nie uczyniłem ni jednego kroku i choć nie upłynęła ani sekunda, dotarłem do innego świata, istniejącego na równi z moim własnym. Poczułem, że otacza mnie niezmierzona przestrzeń, i wiedziałem, że ja i Dora, i każde drzewo i istota ludzka na świecie jesteśmy uczynieni z tej

nieskończoności czasu i przestrzeni. Każdy schnący liść, każdy roztulający się pączek kwiatu ma swe miejsce w wielkim planie, równie ważne jak te górskie szczyty i chmury, a wszystko to ma w sobie ziarno potęgi spoza naszych horyzontów.

Nie mogę uwierzyć w niebo, które nam obiecywano, podobnie jak nie lękam się jego alternatywy, a jednak mechaniczny wszechświat, do którego rozważania zmusza nas historia naturalna, również nie tłumaczy tych kwestii. W takiej chwili nawet zmęczony żołnierz, któremu w głowie jedynie rozkazy i racje żywnościowe, z całą pewnością myśli o czymś więcej niż ruch cząstek; o czymś potężniejszym, co natura ukazuje mu jako Najwyższą Doskonałość.

Ale Mars nie zezwala swym wysłannikom na długie rozważania tych kwestii, jeśli ma jeszcze dla nich jakieś rozkazy, i niezadługo potem w dolinie rozgorzała bitewna wrzawa.

Nic to dziwnego, że - jak Pani pisze - wiele przygotowań do nawet tak cichej ceremonii, jaką uznali za stosowne wyprawić siostra Pani oraz pan Barraclough, niewiele ma wspólnego z prawdziwym duchem miłości małżeńskiej. Zmuszony jestem założyć, że w świecie, jaki nam dano - a ufam, że pisząc to, nie urażę uczuć Pani - zamieszanie z mierzeniem sukni i czynieniem przygotowań może wiernie odzwierciedlać naturę kontraktu między danym mężem a żoną. Być może niepodobieństwem jest, by prawa własności oraz kościelne mogły zważać na nieskończoną różnorodność ludzkich istnień.

Korespondencja z Lancashire przebiegała w najszybszy z możliwych sposobów, gdyż kupcy polegają na informacjach ze wszystkich części kuli ziemskiej w równym stopniu jak rząd Jego Królewskiej Mości, a mają na ich zapewnienie o wiele większe środki, więc nawet mieszkając w Brukseli, mogłem wymieniać listy z panną Durward w tempie swobodnej rozmowy. Jednak ten list miał być ostatnim przed jej wyjazdem do Belgii. Z zaskoczeniem spostrzegłem, że dni, pozostałe do jej przybycia, dłużą mi się i ciężą, więc z wielką wdzięcznością przyjąłem fakt, że choć Katrijn była bardziej zajęta niż zwykle, rzadko odmawiała mi pociechy swoim towarzystwem i upojenia swoim ciałem.

Jednakże zdarzało się, że przez cały dzień miała próby, a wieczorem grała wielką rolę, chociażby Ifigenii. Kto wówczas byłby tak nieczułym, by narzucać jej swą obecność? Nabrałem nawyku

odprowadzania jej do domu nawet, kiedym nie oglądał przedstawienia, lecz w takie wieczory wystarczyło mi jedno spojrzenie na jej rozszerzone, rozognione oczy i dygoczące ręce, by czym prędzej wezwać powóz. Podczas pierwszej takiej chwili, gdym usiadł obok niej i zatrzaskał drzwi przed nadal wiwatującym tłumem, dostrzegłem, że lekko się skuliła.

- Odwiozę cię do domu, do Meike - powiedziałem. Skinęła głową. W skąpej przestrzeni czułem, że opuszcza ją uniesienie i napięcie zmysłów, zostawiając ją równie wyczerpaną jak moich żołnierzy, koczujących na zdobytym za wysoką cenę polu bitwy. Powóz był równie ciasny jak wszelkie inne jego rodzaju; po paru jardach westchnęła i oparła mi głowę na ramieniu; spuściłem wzrok i ujrzałem, że zamknęła oczy. Gdyśmy dojechali, zaprowadziłem ją na górę i powierzyłem pieczy Meike, a następnie przeszedłem sto jardów do mego lokum, a ból rozstania z mą ukochaną i strach przed tym, co mogła mi przynieść ta pusta noc, mniejszy był nieco, gdyż łagodził go zapach perfum Katrijn, wciąż leżący mi na policzku.

W przededniu przybycia panny Durward i państwa Barraclough Katrijn nie miała próby. Zjedliśmy obiad razem, a potem usiadłem w mej łoży i podziwiałem ją w roli Zuzanny, uwodzącej nas każdym krokiem, słowem i spojrzeniem, gdy starała się bronić swej czci przed pożądliwym panem i zazdrością narzeczonego. Później, gdyśmy leżeli w ciepłej senności, broniącej nas przed owym smutkiem, który starożytni uważali za nieunikniony, Katrijn odezwała się przez ramię:

- Będiesz musiał często towarzyszyć swoim przyjaciółom? Pocałowałem ją w kark, gdzie ciemne włosy wiły się na skórze koloru śmietanki.

- Poczynilem przygotowania, by pokazać im Waterloo i być może Quatre Bras. Bez wątpienia będą mnie też prosić o radę względem miejsc rozrywek w Brukseli.

- Przyprowadzisz ich do teatru?

- Jeśli sobie tego zażyczą. Jestem pewien, że panna Durward byłaby zachwycona. Ale nie wiem nic o tym Barraclough - o jego gustach i poglądach na teatr. - Katrijn nagle drgnęła, jakby mój ciężar stał się jej niemiły. Odsunąłem się i leżałem obok niej. - Będą tu jedynie przez parę tygodni, gdyż jest to ich podróż poślubna, panna Durward zaś towarzyszy siostrze. To rzecz zwykła. Będę musiał się z

nimi czasem spotkać. Lecz przecież nie spotykamy się codziennie i nie liczymy na to.

- Nie... - Odwróciła się na bok, tak że znaleźliśmy się twarzą w twarz. Wyciągnęła rękę. - Więc czy to jakoś zmieni naszą sytuację?

- W żadnej mierze i nie pragnąłbym tego.

Zapadłem w sen tak twardy, że kiedyś otworzył oczy, Katrijn już się ubierała. Stała u stóp łóżka, czekając, aż Meike zasznurowuje jej gorset. Leżałem swobodnie, przyglądając się jej. Na skórze został mi dotyk jej miękkiego ciała, tak wyraźny, jakbym to ja, nie ten gorset, obejmował jej brzuch, talię i plecy, coraz mocniej, cał po calu, aż jej piersi nabrzmiały i wypiętrzyły się, ściśnięte między materiałem i kością. Gdyby nie Meike, pewnie bym ją posiadał. Katrijn ubierała się, popatrując na mnie kątem oka. Z wolna naciągała pończochy na gładką wewnętrzną stronę ud, ciasno zawiązywała podwiązki na małe kokardki, pochylona zapinała guziki sztywnych czarnych botków do kostek, strzepywała włosy, które rozsypały się jej po ramionach. Żałowałem, że muszę wyjść tak szybko, lecz oto kuzynka Eloise, która rankami nigdy nie opuszczała swych pokoi, dopóki się nie oddaliłem, wezwwała do siebie Meike. Wykorzystałem tę chwilę i Katrijn, przyglądająca mi się podczas zwijania włosów w gładkie pasma, które tak lubiłem rozpuszczać, zdradziła ochotę równą mojej, tak że moje pożądanie znalazło zaspokojenie, o jakim marzyłem, obserwując jej toaletę.

Potem nie mieliśmy już czasu na nic prócz kawy, nim Katrijn wybiegła na próbę, ja zaś dotarłem do „L'Arc - en - ciel” nieco tylko później, niż zamierzałem. Powinienem przybyć wcześniej, lecz postanowiłem - pomimo mżawki, od której bruk stał się śliski - przejść rue de Lecuyer pieszo. Choć miałem laskę, zmuszony byłem iść powoli, lecz chłodne powietrze i wysiłek fizyczny powitałem z wdzięcznością, licząc na rychłe uspokojenie. Planchon wyszedł z kantorka na moje powitanie, a potem urządziłem się w prywatnym gabinecie, który na życzenie Barracloughów dla nich zarezerwowałem. „Le Moniteur” odwrócił me myśli od niejakiemu zażenowania, które - jak się obawiałem - mogło towarzyszyć memu spotkaniu z nowo zaślubioną panią Barraclough.

Czytałem właśnie o księżnej Walii, która przybyła z Brunszwiku, by domagać się należnego jej miejsca podczas koronacji męża - gdyż skandale z naszej rodziny królewskiej docierają do kontynentalnych

gazet, w przeciwieństwie do skandali związanych z politycznymi gwałtami i militarną niekompetencją - kiedy ktoś spytał po angielsku:

- Major Fairhurst?

Zerwałem się i chwyciłem jej dłoń.

- Panna Durward! Jakże się pani miewa? Jak upłynęła podróż? Ufam, że nie jest pani nadmiernie znużona... podobnie jak pani Barraclough.

- Ależ nie. Przybyliśmy z Ghent dziś rano, a drogi są w istocie bardzo dobre - powiedziała, i choć na jej opończy znać było trudy podróży, czepeczek zaś się przekrzywił, twarz jej poświadczała prawdziwość słów. Właśnie skończyliśmy ścisnąć swe dłonie, kiedy w gabinecie zjawiła się pani Barraclough, zdejmująca po drodze woalkę. My także uścisnęliśmy sobie dłonie i jedynie z nieznacznym skrępowaniem złożyłem jej życzenia szczęścia i spytałem o Toma, tak że opowieść o nim zajęła nam tych parę minut do pojawienia się Barraclougha. Okazał się w znacznej mierze taki, jak się spodziewałem, choć dość młody i znacznie wyższy; był ubrany brzydko, lecz nie tanio, w jego głosie zaś brzmiał wiejski akcent tylko trochę silniejszy od akcentu jego nowego teścia.

Damy wyrzekły się odpoczynku, pani Barraclough wyjawiała zamiar zmiany sukni, a potem poprosiła męża o towarzyszenie jej podczas zwiedzania miasta.

- I pan też, majorze, jeśli dysponuje pan czasem. Pańskie opowieści rozbudziły mój apetyt! - rzuciła od progu. - Prosimy o wybaczenie, niezadługo wrócimy. Chodź, Lucy.

- Co, Hetty? - Panna Durward wyjęła szkicownik i stała przy oknie, rysując.

- Nie przebierzesz się?

- A... tak, chyba powinnam - rzekła panna Durward, spoglądając na suknię. - Niedobra stara szyba. Nic nie widzę! Zaraz idę. - Ale upłynęło parę chwil, zanim naszkicowała sztywno wyprostowaną postać stajennego z koniem i pospieszyła w ślad za siostrą.

- Nie wątpię, że zajmie im to chwilkę - odezwał się Barraclough. - Napijemy się? Drogi są dobre, ale mam w gardle tyle piasku, jakbym przez tydzień przemierzał pustynię.

Zadzwoiłem, a potem spytałem o podróż, lecz dopiero gdy kelner przyniósł dla nas piwo, a sherry dla pań, Barraclough usadowił się wygodnie w fotelu i oznajmił:

- Hetty powiada, że dobrze zna pan Brukselę. Jej pragnieniem był wyjazd za granicę, lecz uznała, że łatwiej będzie skierować pierwsze kroki tam, gdzie z pewnością znajdziemy przyjaciela.

Nie wiedziałem, na ile jest mu znana natura mej znajomości z jego żoną.

- Byłem tu parę lat temu. Zanim zamieszkałem w dworze kuzyna w Kersey.

- Był pan pod Waterloo?

- Tak.

- I zamieszkał pan tutaj?

- Nie całkiem. - Pociągnąłem łyk belgijskiego piwa, złocistego i szczypiącego, lecz niepodobieństwem było zwlekać z odpowiedzią w nieskończoność. - Zająłem się oprowadzaniem angielskich gości po polach bitwy.

- A tak - rzucił z ożywieniem. - Był na to popyt, jak sędzę.

- W istocie. Nadal jest, jak twierdzi gospodarz, Planchon. Ale nie mam na ten temat żadnych świeżych informacji.

- Więc stać pana na zbytłowne życie. - Pociągnął łyk piwa i skrzywił się. - Zakładam, że przywykł pan do tego smaku?

- Nie jest to nasze angielskie piwo, to rzecz pewna - odparłem - ale po bliższym poznaniu bardzo zyskuje. A Planchon ma zacne wina.

- Naprawdę? Nic mi po nich, nie pijam tego. Piję tylko piwo, kiedy powątpiewam w jakość wody, ale nigdy przy moich ludziach. Brzmi to niedorzecznie, ale zawsze to dobry przykład. Przecież wszyscy chcemy zatrudniać metodystów dla ich niechęci do trunków.

- Tutaj nie musi się pan lękać o jakość wody, zapewniam. Zatem mogę założyć, że pochodzi pan z rodziny reformackiej?

- W rzeczy samej. Głównie unitariańskiej, choć szczerze mówiąc, do kaplicy chodzę tylko w interesach. Hetty chciała wziąć ślub w kościele, a ja nie należę do tych, co by się spierali o taką drobnostkę. Pan nie jest żonaty?

- Ja? Nie.

Z wielką wdzięcznością powitałem głosy dam, które rozległy się w korytarzu, gdyż choć Barraclough przypadł mi do gustu bardziej, niż się spodziewałem, był jednak ostatnim człowiekiem, przed którym wyjawiałbym powody mego zakamieniałego starokawalerstwa. Było

już parę minut do południa, mżawka ustała, a ulice nie stały się zanadto błotniste. Pani Barraclough przyniosła umbrelkę, poprawiła siostrze czepeczek, wzięła męża pod rękę i, zaproponowawszy, by panna Durward podobnie uczyniła ze mną, wyruszyła na podbój miasta.

* * *

We śnie szczytowałam, szybko i gwałtownie, jak mężczyzna, a rano obudziłam się skulona we własnej zaciśniętej lepkości. Nieczęsto mi się to zdarza - to znaczy we śnie. Za pierwszym razem trochę się przestraszyłam, myślałam, że coś jest ze mną nie tak, bo nikt mi nie powiedział, że dziewczyny też tak mają. O tym się w ogóle nie mówi. Głędzimy bez końca o sporcie, menstruacji, rodzicach, chłopakach, obleśnych staruchach, rzygających szczylach, nawet o ciąży - rozmawiamy o wszystkich możliwych obrzydlistwach. Tylko nie o tym, co przyjemne. Tak jakby nikt, włącznie z nami, nie spodziewał się, że to może sprawiać przyjemność, jeśli nie robi ci tego chłopak.

A jedną z najmilszych spraw jest to, że potem sen ogarnia cię jak ciepła woda, ale ja nie zasnęłam, bo nagle pomyślałam: skoro zamierzam iść do wsi i dowiedzieć się o autobusy, to właściwie dlaczego nie teraz?

Umyłam się, ubrałam, uporządkowałam swoje ciuchy i kosmetyki, a listy od Crispina wrzuciłam do szuflady.

Na dworze było bardzo cicho, w mieście tak nigdy nie bywa, a w powietrzu unosiła się leciutka mgiełka. Było tak, jakby to ciche, łagodne światło mogło ukazać za woalem najróżniejsze rzeczy.

Eva powiedziała, żebym do drogi zawsze szła przez ich działkę zamiast przez podjazd, bo tak jest dużo szybciej, więc tak zrobiłam. Obeszłam ich polankę, żeby mogli powiedzieć, że mnie nie zauważyli. Bo gdyby się wtedy ze mną przywitali, wiedziałabym, że nie zrobili tego z przymusu. Palce u stóp muskała mi mokra trawa. Okna stajni składały się z takich małych szybek i lśniły w słońcu, więc kiedy się szło, ten brylantowy wzór zawsze zmieniał kolory, to ciemny, to roziskrzony, to przejrzysty, a nad nim wznosiły się kominy jak pałeczki z brązowego cukru.

Potem jedno okno się otworzyło i wyjrzała Eva w szlafroku.

- Anna! Dzień dobry! Spieszysz się czy dasz się namówić na kawę?

Powiedziała to szczerze, widziałam. I nagle zrozumiałam, że w Kersey będzie mi fajnie mieszkać.

Szlafrok Evy był chiński, oplątany smokami w milionie kolorów, trochę wyszmelcowany i z wyrwaną kieszenią, jakby o coś nią zaczepiła. Już się przyzwyczaiłam do tej kawy, a zresztą Eva powiedziała, że o tak wczesnej porze woli cafe au lait, co okazało się tą samą kawą z hektolitrem gorącego mleka, pyszną, tylko że pływały w niej grube kawały kożucha z mleka, którego Evie nie chciało się wyłowić. Kiedy w dzieciństwie chorowałam, mama robiła mi gorącą czekoladę i zawsze zdejmowała kożuch, zanim mi ją podała.

Eva poszła się ubrać. Theo siedział w kuchni przy stole w samych spodniach, pił czarną kawę i palił. Ciało miał silne jak na kogoś w jego wieku, muskularne ramiona i ręce, ze skórą o lśniących srebrnych włoskach. Wyglądał, jakby zawsze był taki twardy i smagły.

- Jak ci się podoba życie w Kersey?

- Da się wytrzymać. Zabrali wszystkie szkolne rzeczy - łóżka, biurka i inne - więc zrobiło się pusto. Ale nie chce mi się tym interesować. A Ray jest bardzo zajęty. Nieczęsto go widuję. - Raptem uświadomiłam sobie, że pewnie nie wiedzą o Belle, ale jakoś nie potrafiłam znaleźć sposobu, żeby o niej opowiedzieć.

- Zamykanie firmy nigdy nie jest proste - powiedział Theo. - A ta szkoła działała długo.

- Tak?

- Chyba ją kupił jako... jak to się mówi po angielsku?... prosperujące przedsiębiorstwo, jeszcze zanim tu przyjechaliśmy, a to było przeszło dwa lata temu. Być może jednak nie zarabiała na siebie.

- Nagle uśmiechnął się, jakby ktoś wszedł do pokoju i włączył światło. - Pewnie czujesz się samotna.

- Nie bardzo - powiedziałam, choć aż mnie gardło rozbolało od jakiegoś żałośliwego wzruszenia, że tak zgadł. - Moja... babcia przyjechała. Nazywa się Belle. No i jest Cecil.

Theo przez chwilę milczał.

- Jaki Cecil?

- Ten mały chłopiec, którym Ray się opiekuje. Powiedzmy. Na ogół biega sam, całkiem zdziaczały.

- Nie miałem pojęcia, że jest ktoś taki - powiedział Theo, zaciągając się po raz ostatni, leniwie. Zgniótł niedopałek. Eva weszła

w jedwabistej sukience koloru niebieskawego dymu. Nie była chuda, ale i nie gruba, wydawała się drobna, ale silna. Mama powiedziałaaby, że jest za stara, żeby chodzić bez stanika, ale jakoś nie miało to znaczenia, po prostu wyglądała na spokojną i zrelaksowaną.

- Eva - odezwał się Theo - wiedziałas, że Ray trzyma w domu małego dzikiego chłopca?

- Nie. Ale tam jest... było... tyle dzieci... Dziwne, że teraz tam tak cicho. Choć właściwie jednak widziałam tam jakiegoś chłopczyka, wyraźnie młodszego od innych. Lubił się kryć w drzewach, ale nie wyglądał na specjalnie zdziżalego. Od jakiegoś czasu go nie widuję. Ciekawe, gdzie jest jego matka.

- Chyba jest chora czy coś, albo miała załamanie.

- To by wszystko tłumaczyło. - Znowu zaczęła szykować kawę. - Theo, zapytamy ją?

- O co mnie zapytacie?

- Powiedziałaś, że szukasz pracy. Skinęłam głową.

- Więc zastanawialiśmy się, czy nie zainteresowałaby cię praca u nas.

- U was?

- Prowadzenie księgowości, pisanie na maszynie, odpowiadanie na telefony. Chyba mało interesujące. Ale jeśli chcesz się uczyć, to znajdzie się też praca w ciemni. Możemy ci zapłacić trochę więcej niż minimalną stawkę. A ty oszczędziłabyś czas i pieniądze, bo nie musiałabyś dojeżdżać.

- Większością moich spraw zajmuje się Magnum - dodał Theo. - Eva ma agencję, ale woli sama trzymać rękę na pulsie.

Tak mnie zaskoczyli, że nie wiedziałam, co powiedzieć. Pogadali jeszcze trochę o tym, co miałabym robić, a potem Eva powiedziała nagle:

- Ale może Anna wcale tego nie chce. - Wbiła we mnie spojrzenie. - Co sądzisz?

Czy tego chcę? Nie musiałam się nawet zastanawiać, ale zmusiłam się do głębokiego oddechu, zanim palnęłam:

- W porządku, dobrze.

Opiliśmy to kolejną kawą, a potem Eva powiedziała, że zgłodniała, i zrobiła nam po kanapce z mocno pachnącego, cienkiego i

ciemnego chleba z dżemem wiśniowym. Potem poszliśmy do ciemni i Eva zaczęła mi pokazywać, jak wszystko działa.

Mieli taki automat, który nagrywał na taśmę magnetofonową dzwoniących, kiedy Evy i Theo nie było w domu, a także wielką szafkę pełną dokumentów.

- Widzisz, to nasze akta - powiedziała Eva. - Faktury, zlecenia, listy do i z Simulacrum - to moja agencja - warsztaty, egzemplarze autorskie pism z opublikowanymi zdjęciami, zlecenia na wykłady, rachunki dla urzędu podatkowego, rachunki na wypadek reklamacji, ubezpieczenie sprzętu, ubezpieczenie od odpowiedzialności cywilnej, formularze umowy dla modeli. - Otworzyła górną szufladę w drugiej szafce. - Ta należy do Theo. Niewiele tego, większość jest w Magnum.

- Gdzie są zdjęcia?

- Na dole - powiedziała, biorąc z biurka wielki otwarty notes.

- W ciemni?

Pokręciła głową, nie odrywając wzroku od notesu.

- Nie, nie, pod żadnym pozorem. W studiu. Nie wolno trzymać materiałów fotograficznych w pobliżu chemikaliów. I trzeba je też chronić przed kurzem, osłonięte, w stabilnej temperaturze. Dlatego na parterze jest im w sam raz. A klisze trzymamy w zamrażarce.

- W zamrażarce?! A po co?

- Każda klisza ma swoje życie i chcemy jej używać, kiedy jest w kwiecie wieku. Zamrażarka spowalnia rozkład.

- Strasznie dużo zachodu. Czy to aż tak ważne?

- Z technicznego punktu widzenia? Czy dla mnie? - spytała Eva, podnosząc wzrok.

- Nie... nie wiem.

- Z technicznego punktu widzenia tak. Wszystkie materiały fotograficzne są podatne na zniszczenie. Przezroczka i negatywy są najbardziej cenne, bo nie można ich odtworzyć. A dla mnie?... Chyba też... chcę, żeby moje prace były zachowane w dobrym stanie... żeby przetrwały... bo... No, bo chyba moja praca jest jedynym dowodem mojego istnienia.

Spojrzałam na nią. Pieszczota jedwabiu sprawiła, że jej sutki rysowały się wyraźnie jak guziczki, a włosy ułożyły się na jej śniadych ramionach w twardych, bujnych kędziorach. Do tej pory

zawsze podtrzymywała je elastyczną opaską. W każdym razie bardzo trudno byłoby sobie wyobrazić, że Eva nie istnieje.

- Nie po mojej śmierci... - dodała - choć pewnie wszyscy jesteśmy na tyle próżni, że się łudzimy, iż nasza praca to coś więcej niż materiał reporterski. Dla potomności. Ale mnie chodzi o moje istnienie tu i teraz. W tym świecie. To, co widziałam, ja, Eva Peres, i jak to zobaczyłam...

Telefon na biurku rozjazgotał się jak na alarm. Eva zerknęła na mnie i chyba musiałam mieć kompletnie przerażoną minę, bo uśmiechnęła się, wyciągnęła rękę obok mnie i podniosła słuchawkę.

- Eva Peres... Cześć, Crispin! Jak leci?... Słuchaj, wiem, i gdybym mogła się znaleźć w dwóch miejscach jednocześnie, to chętnie, ale nawet gdyby mi nagle wyrosły skrzydła, nie zdążyłabym wrócić z Madrytu przed wtorkiem... Czy tego wernisażu nie można by zrobić w sobotę?... A, nigdy nie stanęłabym lady Raynham na drodze do norek od Harrodsa za pół ceny, choć jak ona może w tym upale... Theo będzie musiał im wystarczyć, jeśli upierają się przy wernisażu specjalnie dla nich... Dobrze. Pogadamy jeszcze przed poniedziałkiem Ciao! - Odwróciła się do mnie. - Przepraszam. Na czym stanęłyśmy?

- Na potomności - powiedziałam, a ona uniosła brwi, jakby autentycznie zaskoczona, i obie parsknęłyśmy śmiechem.

Nauczyłam się biurowej roboty, bo pani Baxter z kiosku, gdzie pracowałam w soboty, powiedziała, że wtedy będzie mi płacić więcej. W szkole na lekcjach dla dziewczyn nauczyłam się pisać na maszynie, a mama zapłaciła jeszcze za jakieś wieczorne kursy, na wypadek gdyby mi się trafiła superfucha u bankowca, polityka czy innego typu, który zabiera swoje sekretarki na drogie wycieczki. Powiedziała, że sama zawsze chciała być taką sekretarką, i nie musiała dodawać, że to ja jej przeszkodziłam, bo sama wiedziałam. Mama Holly powiedziała: „Nie rób tego, bo utkniesz jako sekretarka na wieki wieków. Kobiety zawsze tak mają, a szefowie nie pozwalają im awansować, męscy szowiniści”. Ja tam nie wiem, ale pani Baxter płaciła mi dodatkowe dwadzieścia pięć pensów za godzinę za pracę biurową. I nie musiałam się użerać z klientami, którzy rzucali mi takie spojrzenia, gdy kupowali „Playboya”. Więc nie byłam kompletnie zielona w tym, co trzeba było zrobić u Evy i Theo. Eva dała mi stertę dokumentów, które trzeba było uporządkować, a potem, między telefonami, dodała:

- Jeśli zaczniesz czytać te dokumenty, wiele się nauczysz - i rzeczywiście tak było. I tak czytałam, ale jak mi to powiedziała, nie musiałam się z tym kryć.

Potem nagle zrobiła się pora obiadu, Theo wszedł na górę i wyjął z lodówki salami i jakąś ciemną, miękką szynkę i dziwny ser. Nie było to właściwie gotowanie, prędzej układanie na talerzu, ale to on się tym zajął, a Eva dalej podpisywała dokumenty. - Jeśli masz czas, musisz zjeść z nami - powiedział, kiedy zaczęłam się zbierać. Połamał bagietkę na poszarpane kawałki, w środku miękkie jak wata. - A może... może dziś nie masz planów? Pokażę ci, co się robi w ciemni. Muszę wywołać odbitkę. - Oczywiście miałam czas i tak powiedziałam. Theo zrobił gigantyczną sałatkę, nie z ogórka i pomidorów, ale pełną różnorodności, jakichś nasion, kawałków czerwonej kapusty, którą dał mi do spróbowania, prażną i piekącą, a potem wszyscy usiedliśmy do posiłku.

Ja pozmywałam, Eva zajęła się kawą, a Theo wziął ścierkę, ale wytarł tylko wielkie noże, którymi robił sałatkę i kroił szynkę.

- Reszta niech ocieknie - oznajmił. - Pokazać ci studio? Miało białe ściany, a podłogę ze starych cegieł, ciemnych i lśniących od szkliwa. Światło wlewało się przez wielkie okna z rozsuniętymi grubymi czarnymi zasłonami, więc wszędzie unosił się zapach rozgrzanego na słońcu drewna. Tu też stało parę katalogów z napisami w rodzaju „TB - 1968 - 9” i „EP - Portrety - Fonteyn - Lorca”, i były rzędy gniazdek elektrycznych, i wielkie metalowe szafy z zamkami. Theo powiedział, że w środku znajdują się aparaty i reflektory.

- Eva pracuje tu częściej niż ja. Na ogół nie jest tak porządnie. - Uśmiechnął się i otworzył szufladę w katalogu. - To ja jestem ten porządnicki. - Wyjął pękatą teczkę oznaczoną „TB - 1948, maj, Berlin”. - Widzisz? Tak to robimy. W każdym folderze są stykówki, negatywy i odbitki z kliszy. - Wyjął i pokazał mi.

Stykówki okazały się małutkimi obrazeczkami na jednym lśniącym arkuszu, jak rzędy okienek w nowoczesnym budynku. Widziało się w nich samoloty jak metalowe pszczoły, mężczyźni w kombinezonach, dźwigających wielkie wory, żołnierzy i kobiety w szalach na głowie. Potem otworzył inną szufladę, na samym dole. Było na niej napisane „TB i EP - Hiszpania, 1936”. Wyjął teczkę, pozaginaną i spłowiałą na brzegach.

- Ta. Idziemy do ciemni?

Nie wiem, czego się spodziewałam, ale ta ciemnia była zupełnie inna. Przede wszystkim, choć bez okien, nie była ciemna, lecz biała, a w suficie znajdowały się wielkie świetlówki. Było w niej bardzo ciepło, stały ogromne płytkie zlewy, poplamione w rogach tace i półki z chemikaliami w buteleczkach i szklanymi miarkami. Po drugiej stronie - suchej, jak powiedział Theo - znajdowała się tylko szeroka płaska półka i trzy maszyny w niszach, pomalowanych w środku na czarno. Tak jakby na dole wszystko było czarne albo białe.

- Co to? - spytałam, wskazując na te aparaty.

- Powiększalniki. Rzucają... - urwał. - Zobaczysz. Zerknął na stykówkę i podniósł negatyw do światła, mrużąc oczy. Potem ostrożnie wysunął z folii jeden kawałek kliszy.

- Możesz wyłączyć białe światło?

Czerwona żarówka okazała się lampą ciemniową i choć jej światło było bezpieczne głównie dla papieru fotograficznego, jakoś wydawało mi się, że dla nas też. Tak jakbyśmy byli otuleni tym światłem, przy mocno zamkniętych drzwiach, przy ciurkaniu i chlupotaniu wody i szumie wentylatora: bezpiecznie, ciepło, czerwono, spokojnie.

Theo włożył negatyw do powiększalnika i włączył go, i nagle na ramce w dole pojawiły się srebrne duchy, przykucnięte w czarnym blasku słońca, które czerniło im twarze i rzucało kałuże księżycowego światła na bruk. Kobieta spoglądająca nad workami z piaskiem trzymała broń z długą białą lufą, a młodzieniec, chudy, na tle wysokich szarych domów, wpatrywał się w niebo, którego nie widziałam.

- No tak - odezwał się Theo, nasuwając nad zdjęcie coś jakby mały mikroskop. - Sprawdzamy ostrość. Musi być taka, żeby było widać ziarno.

Pochylił się i jedną ręką poruszył pokrętłem na szczycie powiększalnika. W czerwonym blasku widziałam wszystkie kręgi na jego plecach, tak wyraźne, że mogłabym je policzyć. Spojrzałam na to miejsce, gdzie jego szczeka łączy się z płatkami ucha. Mięśnie jego pleców napinały się i drgały, a potem wyprostował się, uśmiechnął do mnie i wyłączył światło powiększalnika.

- Zrobimy próbkę paskową? Zechciej przynieść papier z tamtej półki. Błyszczący, dziesięć na osiem, RC, miękki.

Po dłuższym poszukiwaniu odnalazłam właściwy. Theo włożył go w ramkę. Powiększalnik kliknął pięć razy, a Theo za każdym razem odsłaniał większą część papieru.

- I już.

- Ale tu nic nie ma - powiedziałam. - Sam biały papier.

- Popatrz, co się stanie w wywoływaczu.

Zanurzył arkusz w płynie w kuwecie i wsunął palec pod pojemnik, delikatnie go unosząc, jakby poruszał kołyską, tak że płyn łagodnie falował na papierze.

- Patrz, już się pojawia.

Spojrzałam. Z bieli zaczęła się wyłaniać twarz kobiety, teraz bardzo biała, i ciemna, zakurzona czapka, i worki z piaskiem jak głązy w słońcu. Jeden kraniec zdjęcia był jasny i słoneczny, a z każdą chwilą stawał się ciemniejszy, aż po drugi brzeg, gdzie twarz mężczyzny była jak strzęp chmury na nocnym niebie.

- To był wywoływacz - powiedział Theo i podniósł papier szczypcami, tak że ostatnie krople płynu skapnęły do kuwety. - Przerywacz - na parę sekund - dać mu obcieknąć - utrwalacz - wypłukać.

Włączyłam białe światło, kiedy mi pozwolił, i zamrużałam.

- I co sądzisz? - spytał, kiedy zajrzałam do wielkiej kuwety z wodą. Pewnie miałam głupią minę, bo dodał: - Musimy zobaczyć szczegóły całej sceny w najjaśniejszym blasku i w najgłębszym cieniu. W przeciwnym razie obraz... no cóż, nie jest pełny, można powiedzieć. Więc który czas wywoływania był najlepszy?

Spojrzałam na niego. Przyglądał się mnie, nie zdjęciu. To nie było podchwytliwe pytanie. On naprawdę chciał znać moje zdanie, a jego usta, cienkie, z małymi wygiętymi zmarszczkami w kącikach, właściwie się nie uśmiechały, choć niewiele brakowało. Spojrzałam na odbitkę.

- Środkowy?

- Tak, chyba masz rację.

Tylko jedno kliknięcie światła, piętnaście sekund ciągnących się w nieskończoność, gdy wstrzymywałam oddech, a potem do wywoływacza. Usiłowałam dostrzec tę kobietę i było tak, jakby to wywoływacz nam ją ukazał, najpierw przejrzystą jak zjawą, ale nie zamgloną, bo raptem zjawiła się cała, wyraźna, wpatrzona w dal, czekająca na wroga sprzed czterdziestu lat.

Przerywacz. Utrwalacz. Płukanie, kołysanie, chlupotanie nieustannie bieżącej wody.

- Patrz - powiedział Theo. Wróciłam z mokrej strony ciemni, gdzie włączyłam białe światło. - Na oświetlonych fragmentach widać szczegóły, z wyjątkiem twarzy dziewczyny. Ale co sądzisz o cieniach?

- Ten czarny prostokąt... wygląda... no, jakby czegoś mu brakowało.

- To okno. No tak. Słusznie. - Przez chwilę przyglądał się zdjęciu zmrużonymi oczami, jakby wpatrywał się w dal. Potem powiedział: - Zgaś światło, a ja ci pokażę, co zrobimy z nową odbitką.

Klik, i powiększalnik bluznął światłem, a po chwili Theo uniósł kartkę i przesłonił snop blasku. Ruchy miał łagodne, delikatne. Lekko marszczył brwi i poczułam słaby zapach jego potu. Powiększalnik znowu kliknął. A potem Theo nastawił go na pięć kolejnych sekund i stulił dłonie tak, że światło wypełniło je jak woda i tylko cienka strużka przesączała się przez szparę między palcami i padła na twarz dziewczyny.

- Jak miała na imię? - spytałam, kiedy odbitka znalazła się w utrwalaczu, a my staliśmy, patrząc na płyn, falujący na kartce jak morze.

- Nie zdołałem się dowiedzieć. Na ogół się tego nie wie. Człowiek czeka, patrzy i strzela fotkę. Spytałem, czy mieli jakieś wieści. A kiedy się uspokoiło, dałem im wszystkie papierosy, jakie mi zostały, i pojechałem dalej. Nie sięgamy myślą poza opowiadanie o tej chwili. Jej imię nie było informacją, tylko jej działanie. Zawsze jedziemy dalej. Musimy. Wkrótce to wchodzi w krew.

- Tak - powiedziałam. - Rzeczywiście wchodzi. - Poczułam jego spojrzenie. - Czy mogła zginąć?

- Oczywiście. To był początek wojny domowej. Tamta strona raczej nie lubiła las milicianas. Ale kto to wie. - Wyjął odbitkę z utrwalacza, przez chwilę trzymał ją w powietrzu, a potem włożył do kąpieli. - Wojna ze zwykłymi ludźmi toczy się tak szybko. Musieliśmy o tym opowiedzieć. Przynajmniej tutaj mogłem się przydać.

Spojrzałam na niego, bo nie wydawało mi się, żeby mówił do mnie. I już się nie odezwał; stał wpatrzony w tę dziewczynę, falującą i

rozkołysaną w wodzie. Tak jakby musiał zrobić to zdjęcie - strzelić fotkę i wywołać ją wiele mil i lat później - a zrobiwszy to, pokazawszy, co widział, nie miał już innych słów do wypowiedzenia.

Kiedy upłynął odpowiedni czas, już nie czekałam, aż mi powie, że mam to zrobić. Sama włączyłam białe światło i wróciłam do niego, nadal znieruchomiałego, ze spojrzeniem wbitym w zlew. Tam gdzie przedtem znajdował się czarny prostokąt, pojawiło się otwarte do środka okno, a przez jedwabistą wodę dostrzegłam dzbanek wina i twarz starej kobiety.

Wróciłam do Kersey Hall z dwoma funtami w kieszeni. W kuchni znalazłam Cecila. Leżał na brzuchu pod stołem i usiłował zbudować namiot z ustawionych na sztorc gałązek.

- Cześć - powiedział natychmiast, kiedy weszłam. Wyczołgał się spod stołu.

- Bawisz się?

- Palę czarownicę.

- Faj! Słuchaj, mam prezent dla ciebie.

- Jaki?

- Sam zobacz. Jest w moim pokoju. - Wyszłam, ale klepanie bosych stóp rozległo się za moimi plecami dopiero po dłuższej chwili. W gabinecie rozległo się jakieś łupnięcie i głosy: głośny i zgrzytliwy Belle i bardzo cichy Raya. Nagle Cecil znalazł się tak blisko za mną, że poczułam na plecach jego oddech, ale nie odezwał się.

Poszliśmy do mojego pokoju, gdzie dałam mu książeczkę do malowania, szczelnie owiniętą w torbę. Obracał ją bez końca, jakby pierwszy raz w życiu zobaczył coś takiego. Dopiero kiedy sama się otworzyła, zerknął do środka, a potem na mnie.

- No, śmiało, wyjmij - powiedziałam. Wyjął, popatrzył i spytał:

- Co to?

- To czarodziejska książka do malowania - powiedziałam. Oczywiście pewnie nie potrafił czytać. - Potrzeba ci tylko wody.

Otworzył ją.

- Pusta.

- Dlatego jest czarodziejska. Musisz tylko wziąć... o... - Oczywiście skąpy producent nie dołączył pędzelka, a mnie nie przyszło do głowy, żeby kupić w sklepie. - Poszukamy w klasach pędzelka?

- Nie! - Cofnął się gwałtownie, jakbym chciała go zawlec do ciemnego lasu. - Nie wolno mi!

- Aha. - Nie zostało mi nic innego. - Więc weź sobie mój pędzel do makijażu. Tylko musimy go ładnie umyć.

Poszliśmy do łazienki, umyłam pędzel i nalałam do szklanki wody z kranu. Cecil kucnął na podłodze i polał jedną kartkę książeczki wodą. Zaczęły się pojawiać blade kolory, jakby rozmyty wschód słońca.

Cecil przypadł do książki.

- Co to?

- Polej więcej, to zobaczymy. Tylko trochę wygnieć pędzel, żeby nie był taki mokry.

Okazało się, że na obrazku jest króliczek wielkanocny z koszykiem pisanek, a na następnej stronie woda wyczarowała żaglówkę, a na jeszcze następnej - dość przemoczonego i bladoróżowego Mikołaja.

- Znam go - powiedział Cecil. - Susan o nim opowiadała. Jest miły.

- Co wy tu robicie? - rozległ się głos Belle za naszymi plecami. Widać było, że jest pijana. Cecil poderwał się i przewrócił szklankę z wodą, a ona palnęła go w ucho, tak jak zwykle robią matki. - Ty idioto, coś narobił! Natychmiast to wytrzyj!

- Spokojnie, ja to zrobię - powiedziałam, zabierając książkę, zanim woda do niej dotarła. Rzuciłam mój ręcznik w niezbyt dużą kałużę.

- Wracaj na dół! Jesteś niegrzeczny! - rzuciła Belle, ziewając ginem. Cecil wycofał się do wyjścia, ale nie wyszedł.

- Ja go tu przyprowadziłam - powiedziałam. - Kupiłam mu prezent.

- Po co marnujesz pieniądze - rzuciła rozdygotanym głosem, jakby z gniewem. - On wszystko psuje.

- Poradził sobie bardzo ładnie. Podobało mu się.

- Zobaczmy - rzuciła i wyciągnęła rękę. Była ciemnoczerwona i też się trzęsła z gniewu. Dałam jej książeczkę.

- Niezbyt pouczająca - oznajmiła. - Niestety, nie powinien jej dostać. - I otworzyła kolorowanek, rozdarła ją na pół, a strzępy rzuciła na podłogę.

Wyprostowała się i stanęła, ściskając dłonie, jakby po to, żeby przestały się trząść. Po chwili odezwała się jakoś bardzo ostrożnie:

- Nie kupuj mu nic, nie spytawszy mnie o zgodę. Powiem ci, czy to dobry pomysł. Na pewno mnie rozumiesz, jesteś bardzo rozsądna. No tak. Mam migrenę i muszę się położyć. Proszę, dopilnuj, żeby natychmiast zszedł na parter. Nigdy więcej nie pozwalaj mu tu wchodzić. - Wyszła i po chwili usłyszałam, jak się potyka na schodach. Cecil spojrzał ze smutkiem na porozrzucane kartki. Przykucnął i grzebał wśród nich, aż znalazł żaglówkę i dość rozmazanego króliczka. Ze Świętym Mikołajem dał sobie spokój. Nagle rzucił je na ziemię, zerwał się i wybiegł. Tupot na wyłożonych linoleum schodach stopniowo ucichł.

Byłam wściekła i pełna niesmaku, jakby Belle go uderzyła, ale w końcu co mogłam zrobić. Nawet gdyby to był Ray, rzekomo jego opiekun, nie ona. Pochyliłam się i pozbierałam stroniczki. Znalazłam Świętego Mikołaja: leżał rysunkiem do dołu, ale wylądował na korkowej macie prysznicowej, więc prawie wcale się nie rozmazał. Resztę stron złożyłam, Mikołaja umieściłam na górze i wróciłam do mojego pokoju. Jeśli Cecil nie będzie chciał, żebym skleila książeczkę, to przynajmniej pomogę mu powiesić niektóre rysunki na ścianie.

Otworzyłam szufladę, szukając taśmy klejącej. Piórnik był pod listami. Jak on się nazywał? A, Stephen Fairhurst. Na dole pierwszej strony podpisał się: pani posłuszny sługa, Stephen Fairhurst. Czarne literki zalśniły w słońcu. Droga panno... droga... panno Durward, odcyfrowałam. Jakąż radość sprawił mi list Pani...

Usiłując odczytać słowa, biegłam wzrokiem za ruchami pióra, jego pióra, pióra Stephena. List był pełen zawijasów i krętych linii, i długich słów, niektórych spłowiałych, a zaraz potem nagle czarnych i wyraźnych, jakby pióro mu wyszło i zanurzył je na nowo w kałamarzu.

Z powodu tych długich słów, które nie zawsze umiałam odczytać, bardzo trudno było mi zrozumieć, o co mu właściwie chodzi, z wyjątkiem tego, że po chwili zaczęło się o wojsku i jakiejś bitwie pod, nie mogłam odczytać, Sab - czymś tam, i o młynie.

Żołnierze bez lęku przystąpili do wycofania z naszych silnych pozycji przez równinę we władaniu hordy francuskiej kawalerii, by siódma kompania nie znalazła się odcięta...

Tu muszę skończyć, by list ten został bezpiecznie wyprawiony w drogę, w którą wysła go własną ręką posłuszny sługa Pani,

Stephen Fairhurst

Ból zagnieździł mi się w karku i ścisnął czoło. Te wojskowe historie nie były warte wysiłku, z jakim je rozszyfrowywałam. Chciałam się dowiedzieć, co przydarzyło się Stephenowi później, ale drugi list był o wiele dłuższy, a głowa bolała mnie już za bardzo. Schowałam wszystkie do szuflady i zamknęłam ją. Obejrzałam się, zobaczyłam obrazki Cecila, przypomniałam sobie, jak Belle je podarła, i prawie się przestraszyłam, a potem posmutniałam i ból jeszcze mocniej chwycił mnie w kleszcze.

* * *

Hotel de Ville i Notre Dame du Sablon wielce przypadły do gustu moim przyjaciółom, a me starania przy aranżacji tej wyprawy zostały nagrodzone zaproszeniem na kolację w „L'Arc - en - ciel”. Dania madame Planchon okazały się sute jak zwykle, i tylko panna Durward, jak zauważyłem, nie korzystała z nich równie swobodnie, jak my. Gdy po bezach i kremie fiołkowym w ciepłym, mrocznym salonie pojawił się turbot au sauce champenois oraz kapłon faszerowany truflami, nie byłem zdziwiony, widząc, że Barraclough mówi coraz mniej, a w jego szklance ubywa piwa - szybko widać w nim zasmakował - powieki jego żony zaś opadają sennie na zaróżowione policzki i rozchylone usteczka.

- Wybaczy pan, majorze - powiedziała, wstając. - Dokucza mi migrena i być może podróż utrudziła mnie bardziej, niż mi się zdało. Pozwoli pan, że odejdę?

- Nie ma tu nic do wybaczenia - odparłem, otwierając przed nią drzwi. - Ufam, że jutro poczuje się pani lepiej.

Nagle wyciągnęła rękę.

- Jakże się cieszę, że tu przybyliśmy... Barraclough dźwignął się chwiejnie i ruszył do drzwi.

- Nie, nie, George, dziękuję, doskonale sobie poradzę sama. Dobranoc, majorze. Dobranoc, Lucy.

Zaledwie przed chwilą minęła siódma i nie zmierzchało się jeszcze. Gawędziliśmy o tym i owym, a jeśli Barraclough był senny, to nie okazał się ani gburem, ani pantoflarzem, by zaraz biec w ślad za małżonką. Wraz z panną Durward opisywali mi sceny z Dover, o których czytałem w „Le Moniteur”, gdzie wsiadali na pokład

frachtowca, gdy królowa Karolina przybyła do kraju wśród okrzyków tłuszczy, źle życzącej nowemu królowi.

- Biegli przy jej powozie, rzucali róże w okna jej powozu - mówiła panna Durward. - Najbardziej kobiety... - Potarła czoło. - Jak tu duszno!

Wstała i podeszła do okna, lecz zasuwka stawiała opór i zadrasnęła jej palec.

- A niechże je! - krzyknęła, pocierając palec i srogim wzrokiem popatrując na uparte okno. - Dlaczego to tak utrudnili! Ja tylko pragnę powietrza!

Podszedłem.

- Czy mogę służyć?

- Nie, poradzę sobie - odparła i znów chwyciła zasuwkę. Szarpnięcie, pisk zapiekłych zawiasów i w końcu przeszkoda ustąpiła. Wieczne powietrze wpłynęło do salonu, a panna Durward wychyliła się na zewnątrz, oddychając głęboko i przypatrując się mieszkańcom Brukseli, którzy wylegli na wieczorną przechadzkę.

- Nie, to za mało - rzekła, odwracając się. - Muszę wyjść. Drzwi salonu otworzyły się i weszła dziewczyna z gospody, dygając nisko w progu.

- Pani pozdrawia pana i prosi do siebie natychmiast. Barraclough drgnął.

- Ano tak, doskonale. - Westchnął, wstając. - Zechcesz mi wybaczyć, Lucy. Majorze, rad byłem widzieć pana. - Wyszedł.

- A niech to! Miałam nadzieję, że go przekonam do spaceru! Co też Hetty...

- Być może jednak czuje się niezdrowa.

- Być może. - Obeszła pokój, jakby dla uspokojenia. - Być może nie jestem sprawiedliwa. Jej zdrowie wymaga starań. No cóż, i tak wyjdę. Nie mogę znieść uwięzienia w taki wieczór, w pierwszy dzień poza Anglią.

- Proszę wybaczyć mi śmiałość, lecz... siostra pani... Mogłaby się lękać, czy nie spotka pani jaka zniewaga.

Panna Durward spojrzała na mnie ze zdumieniem i wybuchnęła śmiechem.

- Sądzi pan, że troszczyłaby się o moje bezpieczeństwo? Lub przyzwoitość? Zna pan Brukselę lepiej ode mnie. Czy jest tu niebezpiecznie?

- Nie bardziej niż w innych miastach o tej godzinie. Lecz damy, które miałem sposobność poznać, nie wychodzą tu bez towarzystwa, zwłaszcza gdy są niezamężne... - Urwałem, bo odwróciła się ode mnie i podeszła do krzesła, na które wcześniej rzuciła swe rzeczy. Zaczęła wciskać szkicownik do sakiewki. - Jeśli pragnie pani wyjść, czy przyjmie pani me towarzystwo?

- No cóż, lepsze to niż się udusić! - rzekła, zawiązując wstążki kapelusza szarpnięciem tak silnym, że dziw, iż ich nie urwała. - Lecz będę się zatrzymywać, by szkicować. Liczę, iż nie wyda się to panu nieznośnie nudne.

Chwyciłem laskę i otworzyłem przed nią drzwi.

- Pani towarzystwo nigdy nie mogłoby się wydać nudne. Zatrzymała się w progu.

- Przepraszam. Okazałam szokujący brak manier. Okazał mi pan nadzwyczajną uprzejmość i bardzo jestem za nią wdzięczna!

Podsunałbym jej ramię, lecz była już w połowie korytarza.

- Czy zechciałaby pani przejść się po murach obronnych? - spytałem, zrównawszy się z nią. - Rozciąga się z nich doskonały widok zarówno na miasto, jak i na okoliczne tereny. Jednak rozwaga podpowiada, by wziąć szal. Po zachodzie słońca będzie chłodno, a nastąpi to szybciej niż w Lancashire.

- Nie. Szal mi przeszkadza w pracy. Lecz wycieczka na mury obronne bardzo mnie frapuje.

Ruszyła długim, swobodnym krokiem, który przypomniiał mi Dorę z czasów młodości, lecz noga dokuczała mi po całodziennym ruchu i nawet wspomagając się laską, miałem kłopoty w dotrzymaniu jej kroku. Po paru setkach jardów rzekłem:

- Zostało nam jeszcze trochę drogi; może wolałaby pani, bym wezwał fiakra. Powozy są otwarte, więc będzie mogła pani oglądać miasto.

- O nie. Tak dobrze jest wreszcie spacerować w rozsądnym tempie. Kocham Hetty nad życie, lecz ta jej dreptanina doprowadza mnie do desperacji. Daje mi sposobność do szkicowania, lecz ona mnie strofuje, kiedy puszczam się pędem, by ją dogonić.

Przez jakiś czas szliśmy tymi samymi ulicami co rano, lecz panna Durward rozglądała się nadzwyczaj przenikliwie, tak bardzo, że odpowiedzi na me pytania udzielała z roztargnieniem. Dopiero kiedy zatrzymała się przed Theatre du Monnaie, zrozumiałem, z jakiego to powodu, bo bez słowa wyjęła szkicownik i zaczęła rysować. Za dnia plac de Monnaie i nowy teatr pyszniły się wszelką elegancją nowoczesnej cywilizacji. Teraz, gwałtownymi kreskami i liniami, panna Durward rzuciła na kartkę noc wokół rozjarzonych latarni gazowych i lśniącego portyku, ciemniejące dachy, otchłań czerni za ogrodzeniem, cienie kładące się w spódnicach ulicznic i oczach dżentelmenów.

Zatrzasnęła szkicownik i rozejrzała się.

- A, tu pan jest, majorze. Którędy teraz?

Naszym celem nie była najbliższa położona część murów obronnych, a kiedy do niej dotarliśmy, byłem zdolny jedynie z najwyższym trudem dotrzymywać kroku pannie Durward. Teraz to ja odpowiadałem z roztargnieniem. Panna Durward zapytywała o zakwaterowanie i musztrę regimentów podczas kampanii pod Waterloo, a także o słynny bal księżnej Richmond, o pogodę i sezon.

- Gdy idzie o sezon - rzekłem, ciężko opierając się na lasce, podążając w ślad za nią po schodach na bastion, z którego rozciągał się wyborny widok na wszystkie strony - musi się pani jedynie rozejrzeć. Było to dokładnie o tej porze roku. Czy zechce pani spocząć na murze?

Był dla niej nieco zbyt wysoki, lecz nie skorzystała z mej wyciągniętej ręki i wskoczyła niczym sztubak. A kiedy siedziała już bezpiecznie, przyszła pora i na mnie. Panna Durward oparła się o krawędź murów i wyjrzała na pola rozciągające się w dół.

- Tak trudno to sobie wyobrazić - odezwała się po jakimś czasie.

- Co?

- To wszystko... - Powiodła gestem po ogrodach pełnych lilii i różowych róż, przechodzących w sady jabłkowe i brzoskwinie, a potem w młode zielone pola i stare lasy. - Wszystko to... i walkę na nich.

- Walka ominęła większość z nich... przynajmniej w tym sensie, o którym pani myśli. Poza samym polem bitewnym bitwa miała ten

skutek, że gospodarze i sklepikarze, dbający o potrzeby żołnierzy podczas Stu Dni, wzbogacili się bardziej niż przez całe życie.

- I przypuszczam, że niektóre kobiety także na tym zyskały.

Wstrząśnięty, zerknąłem na nią kątem oka, lecz nie miała rumieńców i uniesionej brody tych bardzo młodych dam, które pragną szokować. Powiedziała to bardzo rzeczowo, a po chwili przyznałem, unikając jednak jej oczu:

- Niewątpliwie. Odwróciła się do mnie.

- Och, majorze, na litość, proszę nie być tak zgorszonym! Może pan pisać o tych sprawach, lecz ja o nich nie mogę mówić? Czy w tym rzecz?

- Nie... nie... oczywiście, że nie. Czy nie przeprosiłem za ten list?

- Nie powinien pan przepraszać, to idiotyczne. Byłam zła na przyjaciół mej matki, ale oczywiście nie mogli tego rozumieć. Lecz sądziłam, że przynajmniej przy panu nie muszę zważać na słowa.

- W istocie. Jeśli wydałem się zgorszony, to przepraszam. Nie moją rzeczą jest osądzać to, co zechce pani powiedzieć.

- Zupełnie słusznie! Ale przepraszam, że się uniosłam. Czy możemy iść dalej?

Zeskoczyła z muru, zanim zdążyłem jej pomóc, niebaczną na kurz, który ubrudził jej suknię. Kiedym podążył za nią, przekonałem się, że moja noga zdążyła wypocząć, więc mogłem dotrzymać jej kroku.

Gdy ostatnie blaski dnia zgasły, ochłodziło się. Na murach miejskich staliśmy się całkiem bezbronni wobec wieczornego wiatru, a ponieważ droga była wąska, znalazłem się na tyle blisko panny Durward, by zauważyć jej drżenie. Byłbym jej oddał własny płaszcz, lecz uczyniwszy to w sytuacji innej niż szalejąca śnieżycą, naraziłbym ją na ciekawskie spojrzenia. Starczyło mi rozwagi, by tego nie mówić, i spytałem jedynie:

- Czy mogę zaproponować pani napój dla nabrania sił? Pobliska kawiarnia jest całkiem godna szacunku, nawet o tej godzinie.

- Byłoby wspaniale - odrzekła, skręcając ku najbliższym schodom.

- Teraz dopiero sobie przypomniałam, że nie wypiliśmy herbaty.

- W istocie. Powetujemy sobie tutaj to zaniedbanie, choć obawiam się, że herbata może nie przypominać tej, którą pija pani w domu. -

Weszliśmy i zajęliśmy stół w kącie sali. - Lecz jest tu kawa, a może woli pani kieliszek wina?

- Wino! Wspaniały pomysł. Hetty nigdy go nie lubiła, a George oczywiście w ogóle go nie pija.

- Wiedząc o tym, uznałem za uprzejmość, iż zaproponowałem mi ten trunek przy obiedzie. Gdybym wiedział, że zechce pani do mnie dołączyć, z największą gotowością przyjąłbym tę propozycję.

Uśmiechnęła się do mnie.

- Więc następnym razem wspólnie wystąpimy przeciwko wstrzemięźliwości.

Kelner stanął nade mną, a ja zamówiłem karafkę czerwonego wina. Gdy tylko zajął się obsługą klientów przy następnym stole, panna Durward wyjęła szkicownik i narysowała go, cierpliwie pochylonego, gdy tamci wahali się między koniakiem a eau - de - vie. Był wysoki i bardzo młody, o jasnych flamandzkich włosach, spłowiałych na słońcu niemal do bieli, a licu ogorzałym niemal wieśniaczo, lecz zauważyłem, że moja towarzyszka kreśli postać raczej liniami niż płaszczyznami mroku i światła, które ołówek jej wyczarował na placu du Monnaie.

Zauważyłem to na głos, gdy przyniesiono nam wino.

- Zależy to od tego, czy w obrazie interesujące jest światło, czy temat - wyjaśniła panna Durward. Uniosła kieliszek. - Za Brukselę?

- Za Brukselę! - zgodziłem się i oboje spełniliśmy toast. Panna Durward uśmiechała się, lecz raptem zwięziła oczy, wpatrzona w coś za moimi plecami. Odwróciłem się. Kelner stał na dworze, przycinając skwierczący knot lampy przed kawiarnią. Gdy znów wróciłem spojrzeniem do panny Durward, była już pochylona nad szkicownikiem. Tuzinem linii naszkicowała oświetlony profil kelnera, jego wyciągnięte ramiona, prostoduszne przejęcie zadaniem. Potem zamknęła szkicownik i znieruchomiała bez słowa, jakby akt przenoszenia tej sceny na papier wystarczył za wszelkie wyjaśnienia.

Po chwili spytałem:

- Czy podróż pani do Staffordshire zakończyła się powodzeniem?

Skinęła głową. Potem odzyskała głos:

- W istocie. Okazali się nadzwyczaj gościnni. Pan Wedgwood zadał sobie ten kłopot, że wcześniej zakończył prace w Etrurii tylko po to, by pokazać nam dzieła swego brata - nazywał je obrazami

słońca. Mój ojciec i ja byliśmy zafascynowani, choć niełatwo jest dostrzec te obrazy, gdyż należy je trzymać w ciemnościach, by jeszcze bardziej nie zmętniały, a ogląda się je jedynie przy świetle świec. Pan Wedgwood wyjaśnił, w jaki sposób jego brat nanosił na papier bądź białą skórę azotan srebra - w postaci roztworu, pojmuję pan - a następnie kładł na nim przedmiot, który miał zostać skopiowany, i wszystko wystawiał na słońce. Twierdził, że zajmuje to tylko parę minut, jeśli słoneczny blask jest odpowiednio silny. - Przysunęła bliżej krzesło, oparła łokcie o stół i ciągnęła dalej: - Widzi pan, azotan srebra ciemnieje pod wpływem czynnika światła wszędzie tam, gdzie nie zasłania go przedmiot, oddając nawet stopień jego przejrzystości.

- Podobnie jak jabłko, długo leżące w trawie, zostawia swój ślad na pojaśnionych źdźbłach.

- Tak! I, oczywiście, jeśli trawa znowu zostanie wystawiona na działanie światła - tak jak papier - ponownie przybierze ciemny kolor. Ale słoneczne obrazy powstają w parę minut i są tak dokładne! Pan Wedgwood pokazał nam wizerunek liścia winorośli. Każda żyłka i łodyga była tak wyraźna, jakbym je narysowała, tylko oczywiście biała, na pociemniałym tle, jak drzeworyt. Mój ojciec szczególnie zainteresował się precyzją tego wizerunku, gdyż rozważa myśl o kopiowaniu obrazów automatycznie dzięki takiemu właśnie procesowi, lecz wizerunek ten był także piękny! Znaleźliśmy tam także obrazy owadzich skrzydeł, uczynione poprzez słoneczny mikroskop, by wydawały się większe niż w naturze. Niemal się obawiałam, że odfruną, jeśli tchnę na nie ze zbyt bliska. - Zamilkła, jakby samo to wspomnienie zaparło jej dech w piersiach.

- A czy pani Greenshaw... a raczej pani Barraclough... towarzyszyła pani?

- Tak, gdyż Tom wydobrał już wówczas na tyle, by można go było zostawić z moją matką, a Hetty tak lubi towarzystwo. Ale została w salonie z panią Wedgwood i paroma ich córkami. Powiedziała, że były urocze, bardzo swobodne i niezmanierowane. Lecz ona opowie o tym panu lepiej ode mnie. - Upiła nieco wina. - Ojciec był zawiedziony, bo choć pan Thomas Wedgwood istotnie usiłował powielać obrazy za pomocą camera obscura, czas je zatarł. Mój ojciec i pan Wedgwood są zgodni, że tak wielka ilość przeszkód uniemożliwia pomyślnie wdrożenie owego procesu.

Napełniłem nasze kieliszki. Nawet skupienie panny Durward na rysowaniu miało naturę trzeźwą. Nie widziałem jej tak ożywionej od tych najstraszliwszych chwil niepokoju o Toma i nigdy jeszcze nie okazywała takiego uniesienia.

- Tom Wedgwood czynił próby także z chlorkiem srebra, który przybiera kolor bladej lawendy, a w najciemniejszym miejscu fioletu, i to w parę sekund, nawet po zmroku. Lecz niełatwo go nałożyć, gdyż nie jest rozpuszczalny w wodzie.

Na zapleczu kawiarni rozległ się hałas, który uprzytomnił mi, że kelner stawia krzesła na stołach, a prawie wszyscy goście już wyszli. Panna Durward rozejrzała się.

- Musi być późno!

- Powinniśmy już wracać.

- Z całą pewnością.

Skinąłem na kelnera i zapłaciłem. Odprowadził nas na zewnątrz i znów sięgnął ku lampom, tym razem by je zgasić. Pomyślałem o szkicu panny Durward, a sądząc po jej dyskretnym skinieniu głowy i uśmiechu, ona także to uczyniła. Potem powiedziała:

- Najdziwniejsze, że można uczynić obraz czegoś namacalnego, nie posługując się niczym z wyjątkiem naturalnych właściwości słońca. Sam przedmiot kształtuje swój wizerunek. Pan Wedgwood nazywał ten obraz naśladownictwem. A potem nagle zyskuje on własne życie.

- Jest jak duch - odparłem. - Ten przedmiot jest... lub może być... od dawna zaginiony, może przestać istnieć. A jego wizerunek żyje dalej, w innym miejscu... - Nie mogłem mówić dalej, gdyż nagle wizerunek mej miłości stanął mi przed oczami zbyt wyraźnie, bym mógł wydobyć głos z gardła.

- Tak - rzekła panna Durward. Wsunęła dłoń pod moje ramię i przez rękaw poczułem jej siłę. - Lecz tylko wtedy, gdy trzymamy go w ciemnościach.

Mróz nie ustępuje. Palce u stóp i rąk obumierają, a ludzie o tym nie wiedzą, muszą odtajać, zanim poczują rozkład ciała. Złodowaciałe bagno wsysa buty. Wargi odmarzają. Konie zostawiają na śniegu krwawe ślady kopyt; już dawno zgubiły podkowy. Gdy padają, dobijamy je. Jeśli wróg jest blisko i mamy nakazane milczenie, wówczas trzeba rozbić koniowi czaszkę kolbą muszkietu. Łzy zamarzają na policzkach, zanim zdążą spaść. Potykam się o ciało

markietanki z dzieckiem. Z ich ust cieknie wino, ale oboje są martwi. Mają bose stopy, krew zamarzła w błocie. Od trzech dni nie mamy jedzenia. Kiedy je znajdujemy, dyzenteria staje się gorsza, wysysa życie z umysłu. Trzech żołnierzy trzeba wychłostać; muszę tego dopilnować, zanim pojawią się Francuzi.

Kamienie górskiej ścieżki zapadły się w błocie i lodzie; jeden żołnierz pośliznął się i spadł w przepaść. Powietrze stoi nieruchome i lodowate, więc słyszymy trzask jego kości na kamieniu, klekot blaszanego kubka i muszkietu, pękający lód, a potem ciszę. Cisza. Nie mamy czasu szukać jego ciała, jest jednym z bardzo wielu. Ścieżka wiedzie dalej, zdeptana do czerni.

Ból opróżnił mój umysł. Nie potrafię myśleć o niczym poza teraźniejszością, a moją teraźniejszością jest cierpienie. O wiele łatwiej byłoby stanąć, zasnąć w tym śniegu na zawsze.

Rozdział 3

Towarzyszyłem pannie Durward i Barracloughom na wyprawie do Mechelin, ale wyszedłem z wprawy jako przewodnik, gdyż nie wziąłem pod uwagę festiwalu świętego Antoniego Padewskiego i tłoku na ulicach Brukseli, pełnych pielgrzymów i duchownych z dzwonkami. Z tego to powodu nasz powóz spóźnił się w drodze powrotnej tak bardzo, że do teatru dotarłem dopiero w połowie trzeciego aktu, znacznie utrudzony. Na początku czwartego aktu Katrijn poniosła wzrok, a ja uniosłem dłoń w geście powitania i przeprosin, gdyż wiedziałem, jak bardzo niemiłe są jej wyjścia i powroty modnego towarzystwa, bardziej zainteresowanego pokazaniem się innym niż samą sztuką. Dlatego zawsze przybywałem do teatru przed podniesieniem kurtyny. Katrijn odwróciła się i rzuciła mi uśmiech, podczas gdy reszta widowni ujrzała jedynie Elmirę uśmiechającą się z zakłamania Tartuffe'a.

Gdym zapukał do jej garderoby, wkładała już kapelusz. Pochyliłem się, by pocałować jej policzek.

- Najdroższa, wybaczone. Byliśmy w Mechelin, a zapomniałem o świętym Antonim.

- Nic takiego - odrzekła, odwracając się po rękawiczki. - I tak nie było to dobre przedstawienie.

- Niemożliwe! - oburzyłem się szczerze. Roześmiała się.

- Co cię zawiodło do Mechelin?

- Panna Durward pragnęła obejrzeć katedrę. A pani Barraclough chciała kupić koronki.

Skinęła głową i pozwoliła otulić się płaszczem. Wychodząc, włożyłem rękę do kieszeni po parę monet, które zwykle dawałem

Sluterowi, staremu odźwiernemu, i znalazłem tam podarunek, który przyszło mi na myśl kupić, gdy moi przyjaciele odpoczywali po obiedzie.

- Dobrej nocy, M'moiselle, M'sieur le commandant - powiedział Sluter. Otworzyłem drzwi przed Katrijn. - A właśnie, przekazałem do kasy, jak pan kazał. Czwartek wieczór, łoża ósma w drugim rzędzie.

Katrijn obejrzała się przez ramię.

Podziękowałem staruszkowi, dałem mu napiwek i pospieszyłem za Katrijn.

- Przywiozłem ci z Mechelin prezent. Obróciła w dłoniach miękką paczuszkę.

- Dziękuję, to urocze. Czy mam zgadnąć, co jest w środku? Ale może powinnam ją otworzyć, kiedy znajdziemy się sami.

- To mogłoby być rozsądne - przyznałem.

Rozmawialiśmy o drobnych wydarzeniach, gdyż od naszego ostatniego spotkania upłynęło parę dni, i raptem powiedziała:

- Łoża ósma? Wiem, że z twojej nie widać wszystkiego, lecz czy nie lepiej przenieść się trochę dalej? Ósma w drugim rzędzie to bardzo daleko.

- Och, to nie dla mnie - rzekłem szybko, przekładając łaskę do drugiej ręki, by móc ująć jej dłoń. - Barracloughowie zapragnęli obejrzeć sztukę. Pomyślałem, że będą woleli miejsce oddalone od kanału dla orkiestry.

- Oczywiście. Ale to ja mogłam zamówić tę lożę.

- Nie chciałem cię kłopotać taką drobnostką - powiedziałem, gdyśmy mijali drogę przy rue de L'Ecuyer.

- Więc co twoi przyjaciele sądzą o Mechelin?

- Zdaje się, że zrobiło na nich wielkie wrażenie. Panna Durward mogłaby zostać na zawsze przy Sint - Katerlijnstraat i Beguinage, szkicując. Zainteresowała ją także kaplica Rycerzy Złotego Runa w katedrze, gdyż rozważa wykonanie cyklu litografii z czasów Wojny Róż. Wielce upodobała sobie opowieści o rycerzach i turniejach w Anglii.

- Wojna Róż? Jakaż romantyczna nazwa.

- Wojna domowa rzadko bywa romantyczna, cokolwiek napisał o tym autor Waverley. Ale odrobinę się martwię, bo niewiele wiem o wojsku z owych czasów i będę w kłopotcie, jeśli panna Durward zażąda podobnych informacji o bitwie o Bosworth, jakie dostarczałem jej przez te miesiące na temat Salamanki i Waterloo.

- Rzeczywiście? - Katrijn skinęła głową konsjerżowi. Ruszyliśmy po schodach. Meike usłyszała nas i czekała przy otwartych drzwiach.

- Te informacje były jej potrzebne do pracy, a ja mogłem ich dostarczyć ze względu na mą profesję. Zaproponowałem, byśmy wszyscy udali się na parę dni do Brugii.

- Rozumiem. I rzeczywiście, Brugia jest bardzo piękna, jeśli lubi się te stare budynki. - Katrijn położyła paczkę na stoliku i zdjęła rękawiczki. - No tak, co też tam może być?

Pończosniczka wsypała do pakunku parę kwiatów lawendy, więc kiedy Katrijn rozwiązała wstążkę, ich zapach uniósł się w powietrze. Pończochy przepłynęły między jej palcami jak mleko, koronkowa pianka w bibułce.

- Dziękuję! Jakie piękne! - powiedziała i, nadal trzymając pończochy, dotknęła mego policzka, by mnie pocałować, a wówczas chłodny, miękki jedwab zaczepił się o zarost, jako że nie goliłem się od rana.

- Nie tak piękne jak ty - odrzekłem. - Chciałbym, byś mi pozwalała na więcej niż takie małe podarki. Nie pozwalasz opłacać swego mieszkania ani kupować ci sukien. - Wziąłem ją w ramiona i pocałowałem w usta.

- Stephen! Puściłem ją.

- Przepraszam. Sprawilem ci ból?

- Nie... ale umieram z głodu.

- Oczywiście - zawstydziłem się. Ja zjadłem z panną Durward i Barracloughami w jednej z mych ulubionych gospód pod Eppegem, z której roztaczał się wyborny widok na zamek Het Steen.

Nalałem wina dla nas obojga i podałem Katrijn owoce i ciasta, które stanowiły jej zwykłą kolację.

Patrzyłem, jak jej białe ząbki rozgryzają figę i zatapiają się w czerwonym, ziarnistym mięszu. Skończywszy, wytarła palce i powiedziała:

- Musisz mi powiedzieć, co twoi przyjaciele pomyśleli o Świętoszku. W czwartek idzie Świętoszek, prawda?

- Tak.

Powiedziała, że jest trochę zmęczona, ale z całą pewnością nie aż tak, by mi odmówić, a potem zasnęła tak głęboko, że kiedym wstał o świcie, obudziła się dopiero, gdy byłem już całkiem ubrany.

- Stephen?

- Muszę iść - powiedziałem, całując jej czoło przykryte rozrzuconymi włosami. - Przepraszam, że ci przeszkodziłem.

- Nie przeszkodziłeś - odparła, przeciągając się jak małe brązowe kociątko w pościeli, która wciąż pachniała nami. - Musisz wychodzić

tak wcześniej? Próbę mam dopiero o dziesiątej. - Usiadła, a prześcieradło osunęło się z jej ramion, ukazując śmietankowe piersi o brązowych sutkach, piersi tak miękkie i pełne, tak doskonale wypełniające me ręce. Poczułem rumiankowy i cynamonowy zapach jej włosów.

- Muszę iść. - Westchnąłem, niechętnie odrywając się od niej. - Mam być w „L'Arc - en - ciel” o dziewiątej, a przedtem muszę się przebrać.

- Oczywiście - powiedziała i znowu skuliła się pod kołdrą. - A bientôt, cheri.

- A bientôt!

W „L'Arc - en - ciel” ogoliłem się, wykapałem i przebrałem. Moi przyjaciele siedzieli już przy śniadaniu, a gdym otworzył drzwi salonu - bo od dawna przestaliśmy się ceremonialnie witać - pani Barraclough mówiła właśnie:

- Gdybym wiedziała, oczywiście spytałabym cię, czy mogę wydać tak wiele. Ale nie zdradziłeś, że pragniesz ograniczać...

- Skoro własny rozsądek nie podpowiada ci... - zaczął Barraclough i urwał, gdy odkasznął głośno w progu. - A, Fairhurst, wejdź! Dziś jesteśmy trochę spóźnieni.

Siedząca przy dzbanku z kawą pani Barraclough była nieco blada i miała opuchnięte powieki. Spytała z lekką obawą:

- Nie potrafię pojąć, dokąd to musiała się wybrać Lucy. George, widziałeś ją?

- Nie - odparł, wyciągając ku niej filiżankę. - A z okna garderoby o żadnej porze nocy nie sposób podziwiać wypraw twojej siostry.

- Kawy, majorze? - rzuciła pośpiesznie pani Barraclough. - Musi pan nam wybaczyć, rankami nie jesteśmy sobą... to zapłata za tak wspaniale wypełniony rozrywkami dzień jak wczorajszy, z pewnością to pan rozumie.

- Cieszę się, że sprawił państwu przyjemność - rzekłem, przyjmując z jej rąk filiżankę. - Obawiałem się, że panna Durward będzie zmęczona ponad miarę. Czy nie porzucili państwo myśli o dzisiejszych rozrywkach? Wyprawę bez trudu da się odłożyć.

- O, Lucy jest niezmordowana! A ja za nic w świecie nie wyrzekłabym się Waterloo. Po tylu pańskich opowieściach o bohaterskich czynach i chwale!

Drzwi otworzyły się i w progu stanęła panna Durward.

- Dzień dobry, majorze... George, Hetty - rzuciła głosem tak obcym, że jej myśli z pewnością były zaprzątnięte jakimś innym tematem.

- Gdzieś ty była? - spytała pani Barraclough. - Kawa prawie zimna, a major pragnie wyruszyć natychmiast.

- Przepraszam, pracowałam - odrzekła panna Durward, przyjmując filiżankę parującej wciąż kawy. Zapadło milczenie. Barraclough kończył jajka i szynkę. Jego żona odsunęła od siebie filiżankę z głośnym szczękiem porcelany.

- Co do natychmiastowego wyruszenia - rzekłem, gdyż nie przyszedł mi na myśl temat bardziej stosowny - nie ma potrzeby się spieszyć. Państwa wygoda jest dla mnie najważniejsza.

Panna Durward uniosła na chwilę głowę znad jednej grzanki, będącej całym jej śniadaniem, spojrzała mi w oczy i uśmiechnęła się.

Zaproponowałem, byśmy na naszą wyprawę zamówili otwarty powóz, gdyż dzień zapowiadał się słoneczny i ciepły, a gdyby damy nie pragnęły wysiadać, więcej interesujących widoków ujrzałyby z landa niż z dorożki. Jednak zapomniałem, jak szybko cień Foret de Soignes pada na drogę. Po ciepłym świetle słońca wydał się on zimny i mroczny niczym chmura gradowa i pani Barraclough zaczęła drzeć. Poczułem znany, mdlący, płynny strach, który wypełnił mi wnętrze jak kipiel.

I tak jak niegdyś nauczyłem się tłumić w sobie taki lęk przeliczaniem ludzi i studiowaniem okolic, potem pod okiem dam i dżentelmenów nabrałem umiejętności uciszania wspomnień przytaczaniem barwnych anegdot o wielkich flamandzkich wołach i ich równie ogromnych i zadumanych woźnicach. Miałem to uczynić po raz kolejny, gdy pani Barraclough zamknęła swą umbrelkę z trzaskiem, który odbił się echem wśród lasu.

- Jakież wysokie te drzewa! - zawołała panna Durward, zanim zdołałem przemówić. - Czy to buki?

- Przeważnie - odparłem, szukając tym razem wytchnienia w rozmowie o naturze. - Sądzę, że są tu także dęby i leszczyny. Jak również kasztany.

- Maszerowaliście w ciemnościach? Skinąłem głową.

- Opuściliśmy Brukselę około trzeciej, choć mój regiment był gotów od północy, gdyż mobilizację ogłoszono o dziewiątej. Tuż

o świtaniu dotarliśmy do wioski, w której noc spędził lord Wellington ze sztabem; było to zaledwie małe sioło, zwało się zaś, jak nam ktoś wyjaśnił, Waterloo - „wszyscy zawsze się w tym miejscu uśmiechają” - i mieliśmy jeszcze czas, by pozwolić naszym ludziom na śniadanie. Potem wyruszyliśmy do Quatre Bras, by mieć otwartą drogę między nami i Prusakami. Zdobycie jej uniemożliwiłoby Bonapartemu odcięcie nas od sprzymierzeńców. - Barraclough pokiwał głową. - Jednakże zaciekle starał się tego dokonać i w końcu rozpętała się tu prawdziwa bitwa. Źródła opisują ją jako jedynie próbę przed Waterloo i przypuszczam, że w oczach historii tym właśnie ona jest. Ale dla nas, którzy tu byliśmy, była równie okrutna jak wszystko, co ją poprzedziło i co wydarzyło się później... Sądziłem, że - jeśli spodoba się państwu ten pomysł - najpierw skierujemy się właśnie tam, a potem będziemy podążać w ślad za sprzymierzoną armią do Mont St Jean, gdzie lord Wellington ustanowił nasze centrum dowodzenia. W jedną lub dwie godziny pokonamy odległość, którą w owych czasach przemierzaliśmy trzy dni. - Uśmiechnąłem się. - Jego lordowska mość na ogół nazywa swe bitwy od miejsc, w których spędził poprzednią noc. Ale dowiedziałem się od jego sekretarza - lorda Fitzroya Somerseta, jak być może państwo wiedzą - że czyni tak dlatego, iż według niego Anglicy nie mają ochoty wymawiać francuskich nazw jak Mont St Jean czy nawet La Belle Alliance, jak pragnął nazywać go generał Blucher. Jego lordowska mość wiedział, że więcej i z większym zadowoleniem będziemy wymieniać uczciwą flamandzką nazwę Waterloo!

W tej chwili powóz wyjechał na polanę i nagle oblał nas gorący blask słoneczny. Poczułem woń zielonego lasu i suchego pyłu, który ulotną chmurką unosił się za nami. Ptaki zaczęły cichnąć, jak zwykle w południe. Raz jeszcze na chwilę zanurzyliśmy się w głęboki cień drzew i znów wjechaliśmy w światło, tuż obok Mont St Jean, której łagodnym zboczem podążyliśmy ku chacie w La Haie Sainte.

W Quatre Bras zamówiłem lekki posiłek, lecz choć tutejsza gospoda była prowadzona lepiej, niż można się spodziewać po tak małej wiosce, nawet panna Durward jadła więcej od pani Barraclough, która kręciła głową na widok niemal każdego dania. Raz lub dwa dyskretnie przyciskała chusteczkę do ust. Dlatego też nic dziwnego, że wstając, zachwiała się bliska omdlenia.

Wraz z panem Barraclough pochwyciliśmy ją, nim upadła.

- Dziękuję, Fairhurst - powiedział. - Ja ją poniosę.

Wycofałem się więc z izby.

Minęło co najmniej pół godziny, zanim panna Durward odnalazła mnie na ławce, gdzie wygrzewałem się w słońcu, licząc, iż jego ciepło wypali to zmęczenie, które ogarnęło mnie tuż po dobrze znanym strachu.

- Obawiam się, że moja siostra nie będzie nam mogła dziś towarzyszyć - powiedziała, gdym wstał.

- Tak się też spodziewałem. Mam nadzieję, że jej przypadek nie należy do poważnych?

- O nie. Położyła się w pokoju gościnnym i z pewnością wkrótce poczuje się lepiej.

- Czy wolalaby natychmiast wrócić do Brukseli? Kazałem zaprzęgać.

- Nie, ależ skąd. Już to ustaliliśmy. Jeśli oczywiście wyrazi pan zgodę. Hetty pragnie przez chwilę odpocząć, ale nie potrzebuje mej obecności, a ja przekonałam George'a, że powinien z nią zostać. Będzie panu musiało wystarczyć moje towarzystwo.

- Będę zachwycony - odparłem, choć być może gorliwość mego stwierdzenia nie była szczególnie pochlebna dla Barracloughów. Jednakże nie mogłem zapomnieć o skrupułach. - Ale siostra pani...

- O, ona nie ma żadnych obiekcji. Powiedziałam, że wrócimy przed obiadem - prawda? - a jeśli nadal będzie się czuć niezdrowa, powiedział pan, że gospodyni jest tu godna zaufania.

- Niewątpliwie.

- Więc, majorze... jak to mówią Francuzi?

- En avant?

- Tak. En avant!

Powóz stał w głębi podwórza. Otworzyłem drzwi.

- Zwykli także wołać: L'Empereur recompensera ce qu'il avancera!

- Z dobrym skutkiem? - spytała, opierając się na mej dłoni. - Czy atakowali z myślą o nagrodzie?

- O tak. Bonaparte znał się na postępowaniu z żołnierzami. Ale kochali go, tak jak nasi nigdy nie kochali lorda Wellingtona. - Usiadłem obok niej. - Przepraszam, chyba przysiadłem pani suknię. - Zgarnęła na kolana obłoczek zwykłego muślinu, nie troszcząc się, że

go pomnie, a ja pochyliłem się, by rzucić woźnicy instrukcje dojazdu do rozdroża przy La Belle Alliance. Potrząsnął wodzami, powóz ruszył łagodnie naprzód i skręcił na gościniec.

- Czy jakąś część pola bitwy pragnie pani obejrzeć szczególnie dokładnie? - spytałem, przekrzykując turkot kół.

- No, skoro pozbyłam się Hetty i George'a... - Przechyliła czepeczek, by osłonić oczy przed słońcem, gdyż nie wzięła umbrelki, i zdało mi się, że jej policzki poróżnowiały. - Chciałam powiedzieć... najważniejszy jest widok z Mont St Jean - skończyła. - Lecz szczególnie chciałabym zobaczyć Chateau d'Hougoumont i być może zrobić tam parę szkiców terenu. Ale... - Zawahała się. - W drodze z Brukseli... przez Bramę Namur i las... opowiedział pan, że maszerowaliście w nocy, wiedząc, co ma nastąpić. To mi nasunęło myśl o polach bitwy. - Moje zdumienie stało się jasne, więc dodała: - Miałam na myśli te miejsca, w których dochodziło do bitew... jakimi się wydają tym, którzy tu powracają ze świadomością przeszłości.

- Powiedziała pani na miejskich murach, że trudno to sobie wyobrazić.

- Tak.

- Nawet gdybym opisał, jak powstrzymaliśmy oddziały Reille'a w tamtym miejscu? - spytałem, wskazując pole zbóż za nami. - I że gdy zginął książę Brunszwiku - był całkiem młody, gdyż jego ojciec poległ pod Jeną - sądziliśmy, że właśnie nadszedł nasz koniec? Dopiero gdy generał Cooke nadciągnął z gwardią stamtąd - znowu wskazałem - odzyskaliśmy panowanie nad bitwą.

- Tak wiele czytałam o tych sprawach, jednak będąc tutaj, lepiej potrafię zaludnić wytwory mej imaginacji. Lecz... lecz samo to miejsce... - Zmarszczyła brwi. - Wykorzystam tę wiedzę - to, co mi pan mówi, co sama czytam - by nakreślić obraz w myślach, a potem na papierze. W końcu to jedynie kwestia światła, formy, cieni, faktury, struktury. Potem ujmę rylec i będę nim rzeźbić dym, ziemię i te zarośla w dole. - Wskazała przed siebie. - Tam! Tę wypukłość, gdzie skłon pagórka zbiega w dół, przyciągając spojrzenie ku tej zapadniętej drodze. A potem spytam pana, który tu stał...

- Mogę odpowiedzieć bez trudu - odparłem - gdyż był to mój własny regiment.

Skinęła głową i, nie kończąc, wyjęła szkicownik i natychmiast zapomniała o bożym świecie. Przed mymi oczami rozciągała się

znajoma droga: przemierzyłem ją wiele razy, lecz rzadko z towarzyszką, która tak polegała na mej osobie, żądała ode mnie tylu dokładnych wspomnień, a potem tak kategorycznie wycofywała się z rozmowy. Spojrzała przed siebie, mrużąc oczy przed słonecznym blaskiem, spuściła wzrok na papier i znowu go podniosła, a jej szczupła dłoń, jak zwykle nieco poplamiona atramentem i srebrnym mżeniem ołówka, poruszała się niczym ręce rusznikarza lub garbarza, ze spokojną pewnością, bez ozdobnych gestów i wahania.

Dotarliśmy do Chateau D'Hougoumont, stojącego cicho wśród ogrodów i sadów.

- Właściwie jest to jedynie wygodny dwór wiejski - rzekłem z uśmiechem. - W dymie... chyba już o tym mówiliśmy, jak mi się zdaje - Francuzi wzięli te ściany z czerwonej cegły za gwardię i ostrzelali je z furją, jak mi mówiono.

Panna Durward skinęła głową, tak pochłonięta swym rysunkiem, że umilkłem.

- Proszę mówić dalej, słucham.

- Lekka jazda była w sadzie i przez długi czas odpierała atak. Dwanaście tysięcy Francuzów, w tym najświetniejsi żołnierze. A przeciwko nim tysiąc dwustu żołnierzy drugiej i trzeciej gwardii. I dali im odpór. Ale w rezultacie... Wyszła stąd tylko garstka.

Panna Durward znowu skinęła głową.

W końcu na mój rozkaz powóz znowu ruszył przez to wielkie krwawe pole, gdzie jeszcze niedawno walczyły oddziały, oślepione dymem i krwią, aż najmniejszy spłachetek ziemi pokrył się ciałami.

Panna Durward westchnęła gwałtownie i odłożyła szkicownik na kolana.

- Potrafię to narysować - powiedziała. - Potrafię naszkicować rzeźbę terenu, drzewa i domy. Mogę wrócić do domu, znaleźć mundury, oddać wszystkie kolory i guziki - widzowie kochają mundury. Mogę ukazać żołnierzy walczących ze wszystkich sił. Mogę studiować anatomię - na tyle, na ile świat pozwala mi to uczynić - rysować konie i rany - oczywiście niezbyt odrażające, tylko na tyle, by obudzić w odbiorcy dreszcz. Tyle emocji kryje się w odwadze, niebezpieczeństwie, odrobinie strachu. Klientom drukarni serca zabijają szybciej, oczy się rozszerzą i błysną, dłonie zwilgotnieją jak na widok pięknej kobiety... - Urwała.

Usiłowałem ją zrozumieć, choć w głowie za oczami narastał mi ból.

- Pani twierdzi - prawda? - że oglądanie wojennych scen to to samo co podziwianie obrazu przedstawiającego namiętność, rozpacz i strach. Rodzi litość i zgrozę jednocześnie. Pani zadaniem - tak jak aktorki na scenie - jest obudzić te uczucia.

- Oczywiście - odparła, odwracając się i marszcząc brwi, tak trudno było jej wyrazić swą myśl. - Ale... czy powinnam? Czy to nie jest ciągnięcie zysków ze śmierci?

- Nie ma nic haniebnego we wspomnieniach. Sprawiają one ulgę tym, o których zapomniano, może nawet godzą ich ze stratą. A udział w przekazywaniu wiadomości to zaszczytne zadanie. Obywatele mają prawo wiedzieć, co uczyniono w ich imieniu.

- Tak, ale ja nie tworzę ku czci, a Waterloo już nie jest sensacją dnia. Zarabiam na ludzkim upodobaniu do dreszczu emocji. Sprzedaję rozkosz strachu. Proszę spojrzeć! - Pochyliła się i zawołała do woźnicy: - Arretez - vous la, s'il vous plait!

Powściągnął konie, a wówczas wysiadła, zanim zdążyłem jej pomóc. Dopiero wtedy obejrzała się na mnie i spytała:

- Zatrzymamy się tutaj? Tę część pola bitwy musi pan znać najlepiej.

W istocie tak było, ale do tej piaszczystej kotliny u stóp wzgórza, które kazano nam utrzymać, zbliżyłem się z trudem, jakiegom nie czuł przez cały dzień. Panna Durward szybko wspięła się na niewielki skłon i stanęła w skąpym cieniu drzew, rozglądając się wokół. Gdy się do niej zbliżyłem, rzuciła nieco zdyszana, jakby pierwszą część myśli wypowiedziała nie parę minut, lecz ledwie sekund temu.

- Gdybym tylko mogła narysować to, co widzę teraz, gdy bitwa rozgrywa się w mej głowie wyraziściej, niż to można oddać na dwunastouncjowym papierze... Gdybym tylko mogła narysować tę scenę tak dobrze, jak widzę to oczami duszy. To by było uczciwsze! Rozumie pan?

- Nie jestem tego całkowicie pewien - odparłem. Skwar obudził w mej głowie bolesne pulsowanie.

Panna Durward chwyciła mnie za ramię i odwróciła w stronę pól, rozpościerających się przed nami.

- Proszę spojrzeć! Na te wzgórza i pola! Proszę je zestawić ze swymi wspomnieniami! Nigdy nie ujrzy ich pan w takiej postaci, oprawne w złocenia na ścianie salonu!

Uczyniłem, o co mnie prosiła. Skwar był straszliwy i wydawało mi się, że scena przed moimi oczami faluje. Nasza brutalność została przeliczona, spętana i ubrana w mundury, dzikość - okiełznana i spotęgowana. Byliśmy małymi kółkami w maszynie, każde uruchamiało następne, a wokół mnie rozległ się zgiełk i smród strachu. Kurz zaszczypał mnie w oczy, zapiekł w gardle, kwaśny i palący. Brak tlenu, brak sensu, brak myśli. Tylko maszyna, mieląca wszystko na proch.

Pierwszym moim doznaniem była złamana gałąź, uwierająca mnie w policzek, a potem strzelista pieśń ptaków i cichy szum liści, kojący szmer krwi w moich uszach. Otworzyłem oczy i z wyrazistością właściwą krańcowemu wyczerpaniu zauważyłem, że poszarpany koniec tej od dawna suchej gałęzi był wygładzony i osrebrzony przez czas i słońce. Panna Durward klęczała obok mnie.

- Jak się pan czuje? Bardzo przepraszam.

- Nic się nie stało - wymamrotałem, a przynajmniej zdało mi się, że to uczyniłem. W ustach czułem smak ziemi, a potem krwi, i przez chwilę znowu przed oczami zgęstniała mi czerń, ale nie odniosłem obrażeń poważniejszych niż pęknięta warga. Uświadomiłem sobie, że leżę skulony na ziemi, z rękami wokół głowy i nogami przyciśniętymi do piersi. Moje buty zaszurały na piasku. Po paru chwilach zdołałem - dzięki wysiłkowi nie tylko ciała, ale i woli - wyprostować się nieco, a potem dźwignąć na łokciu. Panna Durward przyglądała mi się z niepokojem.

- Bardzo przepraszam - powtórzyła. - Pan jest chory... nie wiedziałam...

Nie odpowiedziałem, gdyż całe nikłe siły poświęciłem na zachowywanie przytomności.

Po długiej pauzie odezwała się nagle:

- Nie po raz pierwszy w życiu żałuję, że nie noszę przy sobie soli trzeźwiących, o co prosi mnie matka. Ale sądzę, że i tak wolałby pan brandy.

- W istocie, i nawet mam jej nieco przy sobie - powiedziałem, siadając po kolejnej małej walce. Sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni płaszcza. - Noszę ją przy sobie zawsze, towarzysząc damom. -

Podałem jej flaszkę. - Musiała pani doznać wstrząsu, i to z mojej winy. Czy mogę pani zaproponować kropelkę?

Upiła spory łyk i wytarła usta dłonią, jak łobuziak. Oddała mi flaszkę.

- Dziękuję. Zwłaszcza że pan potrzebuje jej z pewnością bardziej ode mnie.

Brandy nas pokrzepiła i wkrótce ruszyliśmy ku bramie, gdzie czekał na nas powóz, jednak nie sposób orzec, kto podtrzymywał kogo podczas tego długiego marszu po ornej ziemi.

- Powinniśmy wracać do gospody - oznajmiła panna Durward, gdyśmy byli już blisko powozu.

- Nie chciałbym skracać pani wyprawy - odrzekłem. - Może chce pani zobaczyć coś więcej.

Zatrzymała się, powiodła wokół dość obojętnym wzrokiem, po czym odwróciła się ku mnie z ręką na kłamce powozu.

- Jest pan bardzo uprzejmy, lecz nie zdawałam sobie sprawy... Majorze, wstydzę się za siebie. Nie pomyślałam... w głowie mi były tylko informacje, które może mi pan przekazać. Powiedziałam, że to, co się tu wydarzyło, jest niewyobrażalne, lecz pan musi to mieć przed oczami przez cały czas.

- Tak.

Nie rzekłem nic więcej, bo nie potrafiłbym mówić o tym, co widziałem, ani że czułem to tak jak moją utraconą kończynę, utraconą miłość: nie są one mniej prawdziwe, mniej bolesne tylko dlatego, że istnieją tylko w moim umyśle. Nie mogłem też mówić o bezruchu, w którym się ocknąłem, bezruchu odłamanego konara, uwierającego mój policzek.

Powóz znowu potoczył się na południe. Ze zdumieniem ujrzałem, że słońce stało się żółte i chyli się ku zachodowi, gdyż nie miałem poczucia, że upłynęło tyle czasu. Przyglądałem się pannie Durward, wpatrzonej w złożony słońcem krajobraz, przez który jechaliśmy. Po jakimś czasie odezwałem się:

- Ufam, że stan pani Barraclough pozwoli na powrót do domu, lecz jeśli nie starczy jej na to sił, z pewnością w gospodzie znajdziemy wygodny nocleg, choć w istocie dość spartański.

- Na pewno poczuje się lepiej. Przynajmniej jeśli będzie tak jak poprzednio. - I tu panna Durward dodała, pilnie wpatrzona przed

siebie: - Być może nie powinnam o tym mówić, lecz musiał pan odgadnąć... a może jednak powinnam powiedzieć... - Zawahała się.

- O czym?

- Hetty jest... jest w odmiennym stanie. A wówczas nigdy nie czuje się zdrowa... nie wspominając o jej lęku o... o to, co zdarzyło się poprzednim razem...

Urwała, a ten fragment jej policzka, który widziałem, stał się mocno różowy.

- Rozumiem - pospieszyłem z zapewnieniem. - W takim razie nie będę jej zachęcać do żadnych zajęć, które mogłyby się okazać zbyt męczące.

- To bardzo rozważne. Czy wybaczy mi pan, jeśli zacznę szkicować?

- Oczywiście. Czy nie w tym celu wyruszyliśmy? Uśmiechnęła się i wyjęła szkicownik.

- Oczywiście.

Pomimo całej przyjemności, jaką czerpałem z towarzystwa panny Durward, niczego bardziej nie pragnąłem niż ciszy. Duch mój był zbyt wstrząśnięty zgiełkiem i odorem, które sięgnęły ku mnie z przeszłości i pozbawiły zmysłów na Bóg wie jak długo. I jakże prosta w porównaniu z nimi była niewinna radość i subtelna obawa w słowach panny Durward! Przed moimi oczami ukazał się okrągły, blady policzek jej siostry, oparty na ręce przy stole, i głęboki dekolt przyciągający wzrok tam, gdzie jasna materia jej sukni odchylała się od ciała. Nie pragnąłem już poślubić pani Barraclough ni żadnej innej kobiety, a wiedząc, że oczekuje ona dziecka, nie mogłem uniknąć bólu, którego przyczyny nie znałem - i żalu za czymś, czego nie poznałem.

Zanim ocknąłem się z zadumy, a powóz zwolnił, by wtoczyć się na dziedziniec w Quatre Bras, zacząłem na dobre dygotać. Mój stan był tak poważny, że gdyśmy dotarli do Brukseli, Barracloughowie uparli się odstawić mnie wprost na rue de L'Ecuyer. Gdy powóz zatrzymał się przed moim mieszkaniem, wymamrotałem słowa przeprosin i pożegnań i zrozumiałem, że chinina zawiodła, jak to się zdarza od czasu do czasu, i febra znów chwyciła mnie w swe szpony.

* * *

Ze snu wyrwał mnie dygot, a zimno napierało na mnie, jakby chciało się wdrzeć w sam szpik moich kości. Uświadomiłam sobie,

że zasnęłam. Nie było słońca, więc może dlatego tak zmarzłam. Byłam głodna, a obiecałam, że o dziesiątej zjawię się w stajni. Umyłam się i ubrałam jak najszybciej, nie fatygując się włączaniem radia, bo to już nie miało sensu: to gadanie dochodziło ze zbyt wielkiej odległości. Czesłam właśnie włosy, kiedy mój wzrok padł na stertę malowanek Cecila. Zabrałam je wraz z pędzlem na parter.

Cecila nie było w kuchni, więc zjadłam kanapkę, poszłam do jego pokoju i włożyłam kolorowania wraz z pędzlem do jego szafki. Łóżko zalatywało słodkawym, wilgotnym zapachem. Ciekawe, czy Susan by zmieniła mu pościel.

Na ścianie widniał nowy obrazek. Cecil rozpryskał śnieżnobiałą farbę jak śnieg na brązowym zwierzęciu z nogami długimi jak koń, leżącym na białej plamie, z czerwienią wokół głowy; ściekała po ścianie na podłogę. Kiedyś powiedział, że miewa złe sny - może to jeden z nich. Biedak.

Wychodząc, niemal wpadłam na Raya w korytarzu przed kuchnią. Niósł reklamówkę pełną butelek.

- A, cześć. Znowu wychodzisz?

- Theo i Eva dali mi pracę.

- Coś takiego - mruknął, przesuwając ręką po rozczochranych włosach. - Doskonałe wieści. A jakie masz godziny pracy?

- Jeszcze nie wiem. Pewnie pracuję wtedy, kiedy mnie potrzebują. Na ogół rano. - Usiłowałam go wyminąć, a potem przyszło mi do głowy, że powinnam powiedzieć coś o Cecilu.

- Eee... wydaje mi się, że Cecil zmoczył łóżko.

- No nie, znowu? - Westchnął w dość teatralny sposób i uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo, coś w rodzaju „My, dorośli, trzymamy się razem”. - Coraz z nim gorzej. Chyba muszę się tym zająć. Kto by pomyślał, że tuż obok ma łazienkę.

- Po prostu jest mały.

- Niestety. - Zerknął za moje plecy w stronę kuchni. - A to mi przypomina... Belle mówi, że wczoraj zaprowadziłaś go na górę.

- Tak?

- Oczywiście chciałaś dobrze, ale skoro jest tu Belle... chyba lepiej, żeby trzymał się swojej części domu. Jest bardzo mały, a to taki wielki dom, że trudno będzie nad nim zapanować, jeśli zaczniesz po nim swobodnie buszować. Rozumiesz?

- Nie robił nic złego. Byłam z nim. I chyba w ogóle by nie napsocił.

- No, może nie. Ale... widzisz... chciałem ci to tylko powiedzieć. Lepiej dla niego, żeby nie przyzwyczajał się do bywania na piętrze.

- Dlaczego?

- Bo... jak powiedziałem... powiedziałem? Kiedyś chodził za Susan, ale teraz nikt nad nim nie czuwa. A gdyby wpadł na Belle... jej by się to wcale nie spodobało.

Poddałam się. Zresztą ja też nie życzyłam Cecilowi, żeby wpadł na Belle, a Ray po raz pierwszy mnie o coś poprosił. Więc powiedziałam:

- W porządku. A on powtórzył:

- Świetna sprawa z tą pracą.

Potem się wyprostował, cicho westchnął i wrócił do kuchni, a ja wyszłam z domu i ruszyłam przez chrupiącą, spieczoną trawę pomiędzy drzewa.

Kiedy dotarłam do stajni, Eva siedziała na piętrze przy biurku, wśród stert dokumentów.

- O, Anna, Bogu niech będą dzięki! Usiłuję właśnie się połapać w tych rachunkach, ale powinnam pisać przemówienie do Madrytu. Weź sobie kawy, a ja ci pokażę, co trzeba zrobić.

Posortowałam wszystkie dokumenty tak, jak mi pokazała: sprzęt, materiały, koszty podróży, koszty zamieszkania, wywoływanie, honoraria i tak dalej, a sumy spisałam jak najporządniej w rubryce z prawej strony w wielkiej księdze rachunkowej i jakoś nie przyszło mi do głowy, że coś takiego powinno mnie śmiertelnie znudzić. Na rachunkach były nazwy w rodzaju: „Hotel Mamounia, Marrakesz”, a na jednej : „Ernst Letiz Wetzlar GmbH”, a potem czarne kanciaste litery pełne zawijasów, takie jakimi pisali mnisi. Spytałam o to Evę. Rzuciła okiem i wyjaśniła:

- To z Niemiec. Naprawy szkód w wyniku działania piasku i wstrząsu. Jedna leica spadła mi z piramidy. Pasek się przerwał.

- W Egipcie?

- Tak. To była praca zlecona - gdzieś znajdziesz fakturę, chyba z „Time - Life”. Nieważne. Na szczęście leicę można reperować bez końca. Na czym stanęłam?

Wróciłam do rachunków. Niektóre brzmiały mniej egzotycznie, ale też frapująco, na przykład „British Museum” i rachunek od

Fortnuma&Masona, na którym widniał napis ręką Evy „czekoladki dla Andrieja Sacharowa". Wydało mi się, że znam to nazwisko.

W końcu została mi tylko sterta papierków, z którymi nie wiedziałam, co zrobić. Więc musiałam zaczekać, usiłując nie robić takiej miny, jakbym czekała, bo Eva znowu rozmawiała przez telefon.

A potem usłyszałam skrobnięcie zapalki i ten cichy odgłos, którzy ludzie wydają po pierwszym zaciągnięciu się papierosem, i do pokoju wszedł Theo, jeszcze trochę mrużąc oczy przed słońcem. Szedł w chmurze zapachu odczynników, z którą mieszał się dym papierosowy.

- Zostaniesz na obiad, prawda? - spytał, niemal jakby to było całkiem naturalne, a ja powiedziałam, że bardzo chętnie. I znowu to on go zrobił.

Byliśmy prawie w połowie, kiedy zebrałam się na odwagę i spytałam:

- Czy... czy będę wam potrzebna po południu?

Miałam nadzieję, że nie widać, jak bardzo na to liczę. Wzięłam jeszcze jeden kawałek kruszącego się czarnego chleba, kwaśnego, z posmakiem dymu, żywego, i zrozumiałam, że bardzo, bardzo nie chcę wracać... nie mogłabym powiedzieć „do domu", tylko „do Kersey Hall". Ale gdzie miałabym się podziać, gdyby Theo i Eva mnie nie chcieli?

- Theo, chciałeś pokazać Annie, jak się wywołuje zdjęcia? Theo patrzył na mnie.

- Tak, ale boję się, że jeszcze nie wszystko zrobiłem.

Eva wytarła bagietką sos po sałatce wprost z salaterki i włożyła ją sobie do ust.

- Coś ci powiem. Dajmy jej F2 i rolkę HP4, to sama je robi. O wiele więcej nauczy się na własnych błędach, niż przyglądając się twojej pracy.

- Bardzo dobry pomysł - powiedział Theo. - Anno, co powiesz?

- Co to jest F2?

- Nikon... aparat fotograficzny - wyjaśniła Eva. - A HP4 to dobra amatorska klisza - bardzo uniwersalna. Sama jej czasem używam. Nawet Theo uznał, że nie jest zła, choć w Kalkucie nie mógł dostać nic innego i miał do wyboru albo pracować na niej, albo umrzeć z głodu.

- Czarno - biała? - spytałam, usiłując ich naśladować. W ich głosach i słowach czuć było zapach samolotów, whisky i maszyn do pisania, jak w Mieć i nie mieć i innych podobnych filmach.

- Tak - powiedziała Eva. - Wszystko zaczyna się od niej. - I przez chwilę przypominała mi moją nauczycielkę historii, pannę Hudson, choć nie mogłam podejrzewać, że Eva pozwoliłaby się chłopcom doprowadzić do załamania nerwowego. - Oczywiście kolor jest ważny. Nawet bardzo. Ale fachu uczysz się na świetle, formie, cieniach, teksturze, strukturze. - Przysunęła mi miskę brzoskwiń. - Zainteresowana?

Podczas gdy Theo robił kawę, Eva włożyła mi w ręce aparat. Był wielki i ciężki, porysowany i wytarty w miejscach, gdzie dotykały go palce. Moje palce zacisnęły się dokładnie na tych miejscach, a kiedy przyłożyłam go do oka, poczułam na twarzy jego dotyk, trochę zimny, trochę ciepły. Pachniał papierosami Theo. Eva pokazała mi, jak działa. Był zupełnie inny niż idiotenkamera mamy - trzeba było obracać różne pokręta i tak dalej. Ważne było, co ma być ostre, a co niewyraźne, co jest w zdjęciu ważne, a co nie. Wszystko obracało się gładko i solidnie, jak ten stary jaguar chłopaka mamy, utracony, gdy bank zakręcił kurek, cały w grubej skórze, z drzwiami zamykającymi się z cudownym głuchym pacnięciem. Tego chłopaka akurat lubiałam, przypomniałam sobie, ale nie został w okolicy na długo. Ci mili na ogół znikali. Zawsze miałam nadzieję, że następny zostanie, a kolejne mieszkanie spodoba się mamie na tyle, żeby zechciała się z niego nie wyprowadzać.

Eva założyła mi na szyję pasek aparatu, poklepała mnie po ramieniu i cofnęła się.

- Masz! Idź i przekonaj się, co znajdziesz. Po południu wychodzimy, ale wróć wieczorem, a Theo pokaże ci, co się robi z kliszą.

Poszłam w miejsce, w którym widać Kersey Hall spomiędzy drzew, ale za płotem, jak na pocztówce. Idąc, czułam lekki nacisk aparatu, kołyszącego się między moimi piersiami.

Zrobiłam zdjęcie domu, a potem straciłam koncept. Nie wiedziałam, co się nadaje do fotografowania. Miałam na kliszy trzydzieści sześć klatek, tak powiedziała Eva, więc część wypstrykałam tak sobie. Dziwnie się czułam. Wspięłam się na płot, ale dwór wyglądał jak domek dla lalek. Na próbę podeszłam i obraz

wypełnił jeden kamienny słup, brzydki, pełen plam jak stara skóra, wcale nie dostojny. Ale... tak! W oknie w głębi odbijały się dwie inne kolumny i drzewa w oddali, wszystkie pocięte na kwadraty i trochę drżące, ale wyraźne. Zrobiłam zdjęcie, a potem obróciłam się, wypatrując uważnie.

Coś stuknęło o jedną szybę drzwi frontowych. Byłam tak pochłonięta tym jednym zadaniem, tak się skupiłam, że mało nie wyskoczyłam ze skóry. Spojrzałam na tę szybę i zobaczyłam zjawę - Belle - patrzącą na mnie i pukającą. Otworzyłam jedno skrzydło drzwi, jeszcze ledwie żywa ze strachu.

- Co robisz? - spytała Belle, dość głupio, skoro miałam na szyi aparat.

- Fotografie - odpowiedziałam. Eva i Theo zawsze mówili „foty”.

Drzwi do gabinetu były otwarte. Nie zaglądałam do środka od czasu, jak wyniesiono meble, a teraz okazało się, że zostało tam tylko biurko z telefonem, dwa krzesła i parę katalogów na podłodze. W kominku poniewierały się jakieś śmiecie.

- Po co?

- Eva uczy mnie, jak... jak robić foty - oznajmiłam - żebym mogła im lepiej pomagać.

- Ale czy ci pozwoliłam robić zdjęcia tutaj?

To mnie trochę zaskoczyło. Po raz pierwszy zainteresowała się, co robię.

- Nie wiedziałam, że muszę spytać.

- Oczywiście, że musisz. Jestem głową rodziny.

- Nie będę ci robić zdjęć, jeśli nie chcesz.

- Nie w tym rzecz - powiedziała Belle. - Nie spytałaś o pozwolenie. Jak mamy zacząć żyć jako rodzina, jeśli mi się sprzeciwiasz?

Kiedy robiłam zdjęcia, w głowie miałam przejrzystość i porządek. Ale jak tak zaczęła gadać, całą piękną krystaliczność diabli wzięli. No cóż, pomyślałam nagle, jeśli według niej tak wygląda rodzina, to ja za taką rodzinę dziękuję. Mama czasem się upija, ale przynajmniej umie mnie przytulić, po pijaku czy na trzeźwo. I pamięta o moich urodzinach, nawet jeśli to, co mi daje, zależy od majątności jej obecnego chłopaka. Tak wygląda rodzina.

- Tak, w tym rzecz - oznajmiłam bardzo głośno, a mój głos wypełnił cały korytarz, jakbym znowu znalazła się w szkole w mieście, jakby tych dwóch ostatnich dni w ogóle nie było. - Nie chciałam zrobić nic złego. Nie będę cię fotografował i jeśli postanowię zrobić z tymi zdjęciami coś ponad oglądanie ich, to o pozwolenie spytam Raya, bo to jego dom. W porządku?

Nie odpowiedziała. Na ziemistych policzkach miała czerwone zmarszczki. I nagle zauważyłam, że jej sylwetka jest jakaś krzywa - obwisła, wyciągnięta bawełniana spódnica, chude ręce o zbyt luźnej skórze, powykrzywiane buty z białymi krechami, które się robią, jeśli po przemoknięciu się ich nie wyczyści. Nawet fryzurę miała krzywą i oklapniętą. Stała na tle kilometrów czarno - białej podłogi holu, tak że widziałam jej obwisłości i zmarszczki na tle twardej, historycznej kanciastości domu. Marmur był spękany, ale nie utracił precyzji, według tych bloków kamienia można było obliczać różne rzeczy, obliczać wielkość ludzi. Kiedyś mieszkał tu Stephen. Musiał stawać na tej posadzce, wchodzić po tych schodach. Jego głos rozlegał się wśród tych ścian. Pyta mnie Pani o okoliczności zaciągnięcia się do wojska, napisał do panny Durward. Fajne zdanie na początek, otwierające, takie „dawno, dawno temu”, jakby siedział przy biurku, wielkim starym meblu w pokoju, który widziałam za ramieniem Belle. Siedział i pisał, jakby przemawiał do tej panny Durward, wiedząc, że wkrótce przeczyta jego słowa. Nad kominkiem pewnie wisiał portret, ukazujący go z jednym z tych listów - a może z listem od niej? I były książki i stare meble, pachnące woskiem, jak w galerii. A w nocy szedł na górę do łóżka, może takiego z baldachimem, i śnił otym, o czym śnią żołnierze. Nagle pomyślałam o fotografiach Theo.

Belle otworzyła usta, a za jej plecami wahadłowe drzwi za schodami lekko się zakołysały i w szparze pojawiła się twarz Cecila. Zobaczył mnie i uśmiechnął się, a potem jego spojrzenie przesunęło się na Belle. Jego głowa znikła, a drzwi powoluteńku się zamknęły.

- Doskonale - zaczęła Belle, ale przerwał jej jakby pisk, stłumiony, lecz niezaprzeczalnie wydany przez Cecila. Odwróciła się i wrzasnęła: - Chłopcze! Natychmiast przestań!

Usiłowałam otworzyć wahadłowe drzwi, ale Cecil leżał na podłodze tak blisko, że z trudem zdołałam się precyzyjnie.

- Co zrobiłeś?

- Drzwi przytrzasnęły mi palec! - zawył.

- Pokaż. - Przykucnęłam, a aparat pacnął mnie w udo.

- Nie zawracaj sobie nim głowy - odezwała się Belle. Była tak chuda, że przecisnęła się przez drzwi o wiele swobodniej ode mnie. - To właśnie spotyka niegrzecznych chłopców, kiedy chodzą, gdzie nie powinni. Nie słuchaj go, zawsze robi najbzdurniejsze zamieszanie. Chce na siebie zwrócić uwagę. Ray był dla niego zbyt łagodny, ale to się szybko zmieni.

- Krew! - zawył Cecil, i faktycznie krwawił, choć niedużo - na ile mogłam się zorientować, paznokcie były całe.

- Znajdziemy plasterki? - spytałam zachęcająco.

- Taaaak!

Belle odwróciła się i wyszła z rozmachem, tak że wahadłowe drzwi uderzyły we mnie. Pchnęłam je i krzyknęłam:

- Gdzie są plastry?

- Nie wiem - oznajmiła i zatrzęsnęła drzwi gabinetu.

- Chyba ja mam jakieś - powiedziałam. - Chodź. - Cecil wstał i wziął mnie za rękę. Kuśtykał po schodach w tak przesadny sposób, że wiedziałam, iż nie jest źle, bo gdyby go coś naprawdę bolało, nie popatrywałby na mnie, jakby chciał poznać moje myśli. Belle musiała go słyszeć, ale nie starała się nam przeszkodzić.

Na górze potknął się, uraził palec i wrzasnął z prawdziwego bólu.

- Boli jeszcze bardziej! - pożałował się. - Trzeba będzie uciąć nogę?

- Ależ skąd.

- Wujek Ray tak mówi, ale że mi utnie rękę, jak kładę łokcie na stole.

- No bo dorośli mówią takie rzeczy, żebyś robił, co chcą. On tak nie myśli.

- Ale można odciąć nogę. Słyszałem. Piłą, i pachnie, jakby przypaliło się mięso. Boli tak, że się krzyczy. Słyszałem.

Byliśmy na moim piętrze.

- We śnie?

- Chyba tak. Susan mi mówi, które rzeczy są snem, a które nie. Ale już odeszła. Była moją przyjaciółką.

Znalazłam w kosmetyczce pudełko z plastrami i chusteczki dezynfekujące. Po przetarciu znowu pisnął i, jak zwykle, okazało się, że wszystkie małe plastry są już wykorzystane, ale nie miał nic przeciwko dużemu. Ciągłe był trochę blady.

- Chodź, jednonogi piracie - powiedziałam, tak jak mama, a potem przypomniałam sobie coś, co ze mną robiła. - Narysujemy buzię?

- Tak! - ucieszył się. Zaczęłam grzebać w torebce w poszukiwaniu długopisu. Narysowałam na plastrze dużą uśmiechniętą buźkę, a Cecil długo siedział na moim łóżku, przyglądając się swojemu palcowi i kiwając nim, jakby to był mały człowieczek.

Czy światło było dobre? Tak. Cecil odwrócił się na drugie kliknięcie aparatu Theo i zrobiłam jeszcze dwa zdjęcia, kiedy spoglądał wprost na mnie, z nieruchomą spiczastą buzią i oczami otwartymi tak szeroko, że można było przez nie zobaczyć te setki spraw, o których myślał, choć nigdy nie miało się pewności, czy te domysły były prawdziwe.

W korytarzu rozległo się człapanie. Cecil zeskoczył z łóżka i wcisnął się w kącik za garderobą. Belle i Ray szli na górę, ramię w ramię, trzymając się pod rękę.

Kiedy nas minęli, Cecil wymknął się z kąta i zniknął jak mały, ledwie widoczny duch, tak cichy, że nie miałam pojęcia, kiedy i jak uciekł.

Otworzyłam szufladę i schowałam plastry, a znalazłam listy Stephena. Jak ta historia się rozwinęła?

Ojciec mój był trzecim z czterech synów posiadacza ziemskiego, o którym przez lata wiedziałem jedynie, że posiadał rozległy majątek w hrabstwie Suffolk...

Pismo stało się swobodniejsze i mnie także czytało się swobodniej; tak jakby moje oczy nauczyły się jego charakteru pisma i przekazały tę wiedzę umysłowi, a umysł nauczył się jego słów - zdań - i przekazał tę wiedzę oczom, aż w końcu przestałam się nad nimi zastanawiać, tak jak nie zastanawiam się nad ruchami nóg, gdy idę ulicą. Zwyczajnie czytałam. Wydawało mi się, że jest w tym pokoju ze mną i słucham jego głosu. Panna Durward też się tak musiała czuć, czytając, jakby słuchała, by móc tworzyć te swoje rysunki.

...me wspomnienia roku ósmego dotyczą straszliwych scen gorączkowego odwrotu Lekkiej Dywizji do Vigo - sami sobie służyliśmy za przynętę, by pociągnąć w ślad za nami Francuzów przez śnieg i lód - i naszej rozpacz na wieść o śmierci szlachetnego sir Johna Moore'a...

Na dworze było bardzo cicho i upalnie, ale kiedy usiadłam na łóżku, gdzie było dobre światło, i zaczęłam czytać, moja skóra

przypomniła sobie chłód tego poranka, a potem śnieg i martwego konia, którego namalował Cecil.

Pyta Pani - odnośnie do moich opowieści o naszej kampanii we Francji po Tuluzie - czym kontent, przekuwszy miecz na lemiesz, i czy mogę to rzec ze szczerego serca. Ukończywszy zbiory, czuję, że po raz pierwszy w moim życiu zdołałem uczynić coś więcej, niż tylko przyjąć to, co rzucił mi Los...

...przemierzam me zielone i spokojne ziemie na mej starej klaczy Dorze, która zna wojnę równie dobrze jak ja i ona także, jak mi się czasami zdaje, kiwa głową w zadowoleniu. Wieczorami siedzę przed kominkiem w bibliotece, z kieliszkiem lepszego wina, niż zdołałbym znaleźć w całej Hiszpanii, chyba że w samym Porto, i wiem, że w końcu pod pewnym względem zdołałem pomnożyć i udoskonalić to, co trafiło w me ręce.

Na następnej stronie znajdował się rysunek. Linie wydały mi się ołówkowe, na ziarnie i załamaniach prawdziwego papieru byłyby srebrzyste, ale światło fotokopiarki odbiło się od nich i rzuciło ich obraz na tandetny papier niczym postrzępione czarne nitki - dwóch mężczyzn w kapeluszach, krótkich spodniach, wysokich butach i kurtkach z wielkimi guzikami. Mieli długie wąsy, a na ramionach coś w rodzaju koca, jak Meksykanie na filmach, a jeden trzymał dwa tłuste ptaki, o których pisał Stephen. Rysunek był niezdarny: łącząc wyrazy skruchy za niedoskonałość mej ręki, lecz tusząc, że Pani kunszt nadrobi moje niedociągnięcia, napisał. Nie potrafił narysować tego, co widział, tak jak ja na lekcjach rysunku. Panna Durward musiała to umieć, tak jak Eva. Nagle pomyślałam o moich zdjęciach, przyczajonych i zwiniętych w aparacie. Czy pokażą, co widziałam?

Światło fotokopiarki wychwyciło coś prześwitującego, co Stephen napisał na drugiej stronie kartki, ale litery biegły oczywiście na odwrót i nie mogłam ich odczytać - oprócz tego, że sądząc po kształcie linijek, mógł to być adres. Pewnie nie miał koperty - może jeszcze ich nie wynaleziono. Musiał złożyć papier z rysunkiem i nie wiem, może zapieczętował, jak na filmach - a potem napisał adres.

Nagle zaczęło mi przeszkadzać, że usiłuję rozszyfrować to, co Stephen napisał do panny Durward, nie wiedząc nic o niej. Przyłożyłam stronę z rysunkiem do lustra. Szare światło z okna dotknęło papieru, a kiedy spojrzałam na mroczną taflę lustra, zdołałam jakoś odczytać odwrócony napis:

Panna Lucy Durward, Fallowfield House, Didsbury, Lancashire

Kim była ta Lucy Durward i dlaczego interesowały ją sprawy, o których jej opowiadał, te regimenty, kawaleria i złodzieje drobiu na dodatek? Rysowała, ale po co? Może była kimś w rodzaju fotoreporterki, tak jak Theo, ale wtedy nie było przecież fotografii, prawda? A może po prostu szukali pretekstu, żeby do siebie pisać. Ale przecież napisał też: Lubię myśleć, że wieczorami czyta Pani na głos me opowiadki, więc może czytała je innym, paniczowi Tomowi i... jak jej było? Pani Greenshaw? Przerzuciłam kartki i okazało się, że teraz potrafię już bez trudu odcyfrować pierwszą. Jestem pewien, że moja niedomoga musi stanowić kwestię o niemałym znaczeniu dla młodej damy... napisał. Dla kogo - o kogo chodziło? Wróciłam do miejsca, w którym zaczęłam.

Zaniosę ten list osobiście do Bury St Edmunds, by zdążyć na dyliżans, a pęd po tych brukowanych drogach jest igraszką z diabłem... nic nie uczy człowieka szacunku do zdrowych nóg jak strata jednej z nich.

Tak mnie zaskoczył, że aż się roześmiałam z tego sformułowania. Jakby chciał zażartować. Żartował z innych rzeczy, na przykład opisując zdobycie młyna, choć gdy się wczytałam, przyszło mi do głowy, że właściwie to musiało być straszne. Ale posiadanie tylko jednej nogi naprawdę jest... no, powiedzmy, że może być... komiczne. Ciekawe, czy Lucy też to śmieszyło. Może usiłował zażartować, zanim ktoś go ubiegnie, i wydawać się wesołym, żeby ludzie się nad nim nie użalali. Nawet z powodu kalectwa. Nawet z tego, że można nie znać swojego dnia urodzin. I nie mieć ojca. Ani matki.

Nadal nie rozumiałam niektórych słów, choć potrafiłam je już przeczytać. Tego o parlamencie w ogóle nie pojmowałam, bo niewiele pamiętałam z historii, z wyjątkiem Waterloo, gdziekolwiek się ono znajduje. No i Bonaparte, przypomniałam sobie, że to ten sam co Napoleon. Na jednym arkusiku widniała jakby mapa, z okopami, wzgórzami i rozmieszczeniem oddziałów i wież. Większość stanowiły opisy, miarowe czarne słowa maszerujące przez kartkę, rysujące obraz w mojej głowie, tak że nawet nie całkiem rozumiejąc, co mówi, i tak miałam wrażenie, że słyszę jego opowiadanie.

Ciudad Rodrigo... żywe bomby, pale naszpikowane gwoździemi, a wreszcie gąszcz szpad, tak najeżonych, że każdy, kto by się zbliżył, niechybnie nadziałby się na nie jak na rożen... Oficerowie raz po raz

formowali oddziały swych ludzi, prowadząc ich po drabinach w okopy, ku wyłomowi, pod bezlitosnym i nieustannym ostrzałem z murów. Raz po raz wróg nas odpierał, a wielu naszych zostawało bez ducha lub w agonii, my zaś znów z wysiłkiem wspinaliśmy się na drabiny...

Każdy z nas opłakiwał stratę jakiegoś przyjaciela, więc nie chciał rozmawiać ni przypominać sobie, że to właśnie w końcu spotka nas wszystkich...

Już się dowiedziałam, że klisza nie musi być tym plastikowym czymś, co mama wkłada do swojej idiotenkamery. Ten film był w metalowym pojemniczku, nie większym od mojego kciuka, a kiedy Theo pokazał mi, jak się otwiera aparat, pacnął ciężko na moją dłoń i znieruchomiał na niej, pękaty i utajony jak bomba.

I okazało się, że w odróżnieniu od papieru fotograficznego z kliszami nie wolno pracować w świetle czerwonej żarówki - z kliszami pracuje się zupełnie po ciemku.

- Tym razem to ja włożę film do koreksu. Najpierw będziesz musiała to przeciwwić przy świetle - powiedział Theo, grzebiąc w szafce, z której wyjął pudełko z jakimiś rzeczami. - Teraz zajmujemy się wywoływaniem. Możesz zgasić światło?

Jakby mi ktoś narzucił na głowę czarny aksamitny worek. Prawie poczułam, że nie mogę oddychać, ale sznurek wyłącznika objął się o mnie i słyszałam ciche szczekanie i szelesty, i pogwizdywanie Theo, nucącego jakąś nieznaną mi melodyjkę.

- Gotowe - odezwał się chyba po roku. - Już bezpieczne. Możesz włączyć światło?

Używał tych samych odczynników co przy robieniu odbitki, ale wyglądało na to, że tym razem bardziej się liczy czas, temperatura i potrząsanie koreksem. Trochę jak na lekcji chemii, ale Theo wszystko wyjaśniał lepiej. Nie tak dobrze jak Eva, ale mniej więcej zrozumiałam, no i wcale się nie nudziłam. I chłopaki nie łapali nas za piersi, a dziewczyny nie sprawdzały, która doprowadzi pana Hellera do rumieńców.

- Trzeba to płukać przez pół godziny. Nic nie może zostać, ani odrobina srebra, która z czasem ściemnieje, jeśli będzie wystawiona na działanie światła.

Kiedy wróciliśmy na górę, zdziwiłam się, że światło wpada przez okno z boku, miękkie i żółte, spod spiętrzonych chmur, o wysokich szczytach i dolinach w kolorze siniaka.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby się rozpętała burza z piorunami - powiedział Theo. - Chyba pora na drinka, żeby powitać weekend. Wolisz piwo czy wino?

Poprosiłam o białe wino, bo bałam się, że od piwa zrobię się senna. Stałam przy podświetlarce, a Theo przyniósł mi kieliszek. Wino było białe, ale nie jak liebfraumilch, które mama każe kupować swoim chłopakom - było ostrzejsze i mocniejsze, ale niezłe, i miało taki skomplikowany smak, że kiedy człowiek już do niego przywykł, miał ochotę je trzymać w ustach dłużej, żeby rozpoznać wszystkie te nutki.

Theo włączył podświetlarkę i rozrzucone na niej slajdy zapaliły się jak okna po zmroku.

- Odstaw kieliszek w bezpieczne miejsce i popatrz - powiedział. - Eva dostała zaproszenie ze swojego kraju, żeby wygłosić wykład w Madrycie - bardzo prestiżowy - i wybiera to, co ze sobą zabierze.

Sporo slajdów miało napisy typu „Fenton, Roger” i zagraniczne nazwiska: „Stieglitz, Alfred” i „Kertesz, Andre”, ale niektóre mogły być autorstwa Evy. Obok podświetlarki leżały odbitki różnych fotografii. Ta na górze przedstawiała ciało kobiety, nagie, leżące. Nie było widać jej twarzy, tylko krawędź korpusu zbiegającego się ku talii, a potem znowu rozszerzającego w biodrach. Plecy miała rozłożyste i jasne, jak pola po obu stronach rzeki kręgosłupa.

- To twoje?

- Nie, Evy.

- A.

- Co sądzisz?

- Jest... piękne, ale... no, trochę dziwne, jak się pomyśli, że patrzyła na... no...

- Jakby była mężczyzną, to chcesz powiedzieć?

- Chyba tak.

- Nagie ciało nie musi być podniecające, w każdym razie pod względem seksualnym. A artysta - nawet mężczyzna patrzący na nagą kobietę - nie musi mieć na celu doznania albo wywołania seksualnego zainteresowania. Można fotografować tę samą wojnę, by

pokazać straszliwość albo nudę jakiegoś momentu, lub przeciwnie, by opisać naturę człowieka. Podobnie jest z ludzkim ciałem. Może chodzić o seks - ten dozwolony lub grzeszny i zakazany - ale dla ludzkiego umysłu ciało jest także miarą wszystkiego.

Tego ostatniego jakoś nie mogłam pojąć, ale już dawno przestałam podejrzewać, że Theo usiłuje mnie zagiąć. I wiedziałam, że jeśli go spytam, będzie się autentycznie starać mi to wyjaśnić, jakby go obchodziło, czy rozumiem, i jakby lubił ze mną rozmawiać. Więc spytałam:

- Czyli to nie musi być „Playboy”?
- Oczywiście, że nie. Poza tym warto pamiętać, że wśród najlepszych fotografów kobiecej nagości byli - są - homoseksualiści. Co do sytuacji przeciwnej mam mniej dowodów.

- Na co?
- Że homoseksualne kobiety lepiej robią zdjęcia męskiej nagości. Niewątpliwie dowody takie istnieją, zamknięte w jakimś gabinecie osobliwości. Świat nie jest jeszcze tak otwarty.

- Mówisz o lesbijkach?

- Tak. Twoja klisza już się chyba wypłukała. Przyjrzymy się?

Na dole powiedział:

- Zawsze istnieje niepewność, że coś się nie udało, że nie ma zdjęć. Wywołuję klisze od pięćdziesięciu lat i nadal to czuję. - I nagle widząc, jak mówi i dotyka koreksu, zrozumiałam, że to prawda, nawet jeśli chodzi o mój marny film. Theo był troszkę zdenerwowany i niecierpliwy, a ja szalałam, serce mi łomotało tak jak dawno temu, kiedy dostawałam wyniki egzaminu, na którym mi zależało, albo do klasy wchodził chłopak, który mi się podobał.

Theo odkręcił wieczko i pokazał mi rolkę filmu, przyczajoną pod wodą. Wlał parę kropel płynu, który nazwał zwilżaczem, i wyłowił rolkę. Rozwinął ją niemal jak tasiemkę, trzymając ją za krawędzie. Pokazał mi ją pod światło.

Oczywiście klatki były malutkie, tak jak na innych negatywach, ale inne, bo w jednym kawałku i jeszcze mokre. Czyste lawendowe cienie i ciemne niebo, drzewa, kolumny, okna i twarze, uchwycone kliknięcie po kliknięciu, wysnuwające się z kliszy jedno po drugim, aż odległość i czas między nimi sprężyły się w blade, cienkie kreski, prawie nic.

* * *

Poprosiłem konsjerżę Permeke, by jego żona znalazła mój zapas chininy i przygotowała mi dawkę, i pomimo dreszczy rozebrałem się i odpiąłem drewnianą nogę, zanim febra zaczęła mną trząść tak, że zęby szczękały mi o szklankę. Mikstura dostała się do pęknięcia w wardze i zapiekła. Chciałem tylko leżeć, ale dreszcze zmieniły się w konwulsyjne szarpnięcia, jakby moje nogi - ta prawdziwa i widmowa, a także całe ciało usiłowały się wyrwać z lodowatych okowów febrы i strząsnąć z siebie kościste, zimne palce, które wpijały się w me ramiona, kostki, ręce, wnętrzności.

Żona konsjerżę dotrzymała słowa: przybyła o godzinie, którą wyznaczyłem, by przygotować następną dawkę. Zaproponowała, że wyśle wiadomość Katrijn, gdyż wszyscy konsjerżę na ulicy wiedzą, co się dzieje w sąsiednich domach. Uznałem, że załatwiwszy me sprawy, zdołam znieść gorączkę, lecz wkrótce, gdy się rozpoczęła, zrozumiałem, jak bardzo się omylił.

Wówczas dotarłem w samo oko cyklonu. Parę minut łaski, czas odpoczynku, bez sił, niczym po walce, parę łyków wody, obserwacja nocy, która zapadła nie wiedzieć kiedy, słuchanie okrzyków nocnej straży. Jakim głupcem byłem, sądząc, że wygrałem! A jednak za każdym razem tak właśnie myślałem, nawet gdy wypiwszy wina i chininy, czułem, że znów wciąga mnie bagno gorączki, ziejącej jadem, duszącej, dławiącej.

W tym to mrocznym bagnie ujrzałem twarz, co nie była twarzą, nie miała oczu i warg. Święty Łukasz uśmiechał się do mnie przez spływający po nim deszcz, lepki jak krew. A oto święty Jan, który już nic nie napisze, ponieważ stracił ręce.

Cuchnące powietrze oplatało mnie jak jęzory mgły nad San Sebastian, wilgotnej, gorącej i ciężkiej od tego, co się w niej kryło. W mgle gorączki ujrzałem dziewczęta: Mercedes spoconą po nocy, jak stara się zmyć pocałunki, uściski i nasienie z ciała, które nie było już młode, Izzagę opatrującą okaleczoną batem twarz. Tego, który jej to zrobił, wyrzuciłem, ale nie potrafiłem uleczyć jej policzka. Skóra mężczyzny pęka równie łatwo, broczy ulotnym życiem na ziemię: chleb, mięso, modlitewnik, racja wody. Jej także nie można uleczyć.

Nie wiedziałem, czy tonę, czy też bagno podnosi się wokół mnie, kipiące, wrzące, falujące, jak ogień w oknie kościoła, gdy byłem chłopcem. Nie spałem, nie był to koszmar, który zniknie ze wschodem słońca. Moje przytomne oczy widziały kruszące się kamienie, ogień i

żelazo, rozpalone do czerwoności ostrze, które weszło w usta człowieka i przebiło go na wylot. Wszystko będzie trwać wiecznie, powiedziała matka Malpas. Bóg oddaje grzeszników szatanowi. Tylko cnotliwi będą zbawieni, a grzesznicy jak ty, Stephen, będą tam płonąć na wieki. Jej chatka spłonęła, a ona umarła z krzykiem, tak napisał w liście proboszcz. Krzyczała, że została przeklęta. Dostałem ten list w szkole, jedyny list, jaki do mnie przyszedł w tym roku, i właśnie to w nim było. Był to ten sam rok, w którym Jess zabiła szczura w stodole gospodarza Vinneya. Jess to suka Pierce'a, wojownicza tak, że i my pragnęlibyśmy jej dorównać. Zdychający szczur miotał się jak wąż i ugryzł Jess głęboko w pysk. A jednak Jess nie puściła, dopóki nie zacząłem bić szczura kijem, raz za razem, aż zmienił się w krwawą miazgę. Ale Jess także zdechła i jej pochowane ciało wypłynęło w tym jadowitym bagnie gorączki, wyrzucone przez ziemię, tak jak pole bitwy oddaje kości pługowi każdej wiosny, rok w rok, pod Termopilami, w Towntown i Malplaquet, czaszki spoglądają ślepyimi oczodołami na oracza i kto wie, czyj umysł kiedyś kryły, bo teraz mieszkają w nich tylko robaki i ciemność.

Strzały ucichły, po ich stronie i naszej. Trwa cisza. Nie wolno nam nic zrobić, by nie zdradzić swych pozycji obserwatorom na murach. Czekamy w nieskończoność, wiedząc, co nas czeka. Potem nadchodzi rozkaz ataku. Miarowo, jak na paradzie, maszerujemy w milczeniu przed siebie.

W ciemnościach pierwsi żołnierze nadziewają się na szpady i gwoździe, wypełniające wyrwę. Nie możemy wejść, jesteśmy wystawieni na rzeź. Gdy zaczynamy się wycofywać, otaczają nas trupy. Odwrot, przeszerogowanie niedobitków, i znowu marsz przez te ziemie śmierci.

Nie myślimy, nie ma o czym. Przemy naprzód, nie widząc rozerwanych kończyn, mózgów rozbryzganych pod naszymi nogami, nie czując prochu ani krwi. Brodzę wśród ciał ludzi, których powiodłem na śmierć. Kula armatnia urywa głowę żołnierzowi obok mnie. Na jego miejscu staje inny, nie bacząc na zęby i odpryski czaszki, które ugrzęzły mu w ciele.

Ktoś kopie mnie w łydkę, błaga; nie ma rąk, którymi mógłby mnie chwycić. Wody? Nie mam. Ręka: przyjaciel, z którego ładną żoną kiedyś tańczyłem. Nie mogę marnować na niego kuli, choć mnie

błaga i widzę jego żywą wątrobę, pulsującą w krwawym świetle, które unosi się nad naszymi głowami, by ukazać nam resztę świata.

CZEŚĆ TRZECIA

Więc, jak powiada Balzac, każde ciało z natury składa się z licznych duchów, nakładających się na siebie w nieskończoność, w niezmiernie cienkich warstwach...?

Nadar, Quand j'etais photographe, 1899 r.

Rozdział 1

Drogi Majorze,

Z wielkim żalem dowiedzieliśmy się od pańskiego konsjerża, że był Pan tak bardzo niezdrow. Pan Barraclough i moja siostra dołączają życzenia szybkiego powrotu do zdrowia. Ufam, że ma Pan dobrą opiekę i że nie zawaha się Pan zwrócić do nas o pomoc, jeśli powstanie taka potrzeba.

Z adresu może pan wnioskować, że mój mąż, by uchronić mnie przed hałasem i letnim skwarem Brukseli, wynajął dom, Chateau de l'Abbaye w Ixelles. Przybyliśmy wczoraj i zabawimy tu trzy miesiące. Bylibyśmy radzi zasięgnąć pańskiej rady w tej mierze, lecz pan Barraclough poczynił już wszelkie aranżacje z właścicielem i sądzę, że zgodziłby się Pan, iż dom jest w bardzo wygodnym położeniu, ładnej okolicy i na tyle blisko gościńca, że do miasta mamy doprawdy bardzo niedaleko.

I tu docieram do głównego tematu listu mego. Bylibyśmy szczęśliwi, gdyby uznał Pan za możliwe zamieszkanie z nami, jak długo Pan tylko zapragnie, na czas rekonwalescencji. Dom jest położony w cichej okolicy, z wielkim, słonecznym ogrodem i cienistym sadem. Służba zna się na swoim fachu, więc już się rozgościliśmy, a ja mogę mieć pewność, iż nie zazna Pan tu niewygód.

Oczywiście może Pan mieć obowiązki, które nie pozwolą na opuszczenie miasta, i jeśli tak właśnie sprawy się mają, będziemy zachwyceni, jeśli zechce nam Pan złożyć wizytę w czasie wygodnym dla siebie; obecnie tak niewiele bywamy. Jednak choroba w miejskim mieszkaniu w czerwcu wydaje się smutnym losem, dlatego też ufam, iż przekonałam Pana do uroków wiejskiego życia i domowej kuchni i że zechce Pan przyjąć to najserdeczniejsze zaproszenie, które śle przyjaciółka pańska

Henrietta Barraclough

Odłożyłem list na kolana. Febra zawładnęła mną gwałtowniej niż kiedykolwiek i dopiero niedawno powoli jałem dochodzić do siebie. Tego dnia po raz pierwszy się ubrałem i siedziałem w tej namiastce fotela, którą mają w Belgii, przed wyziębłym kominkiem, z kulą u boku i szczelnie zamkniętym oknem dla obrony przed tym, co madame Permeke nazywała l'air mauvais. Z pewnością, sądząc po rozjątrzonej szarym niebie i miejskim odorze, który przesączał się

pomimo tych zabezpieczeń, miała powody nazywać powietrze Brukseli złym, a przez kontrast opis życia w Chateau de l'Abbaye wydawał się w istocie kuszący.

Znowu ująłem list. Aż do dziś widziałem jej pismo jedynie na bilecikach dołączonych do hojnego daru świeżych owoców i wina. Pismo było eleganckie i podobne do pisma siostry, lecz zdało mi się, że w jego regularności jest coś z zeszytów kaligraficznych, nieobecnego w piśmie panny Durward - płynnym i czasem niestarannym. Jeszcze raz odczytałem list i odłożyłem na dwa lub trzy bileciki od Katrijn, gdyż choć dla jej dobra nie pozwoliłbym jej na wizytę w moim mieszkaniu, ona także przysyłała mi życzenia zdrowia - często, jak mi się zdawało, nakreślone w garderobie pomiędzy aktami - i małe podarki, łakocie i kwiaty, na ogół adresowane ręką kuzynki Eloise.

By rzec prawdę, jedynie myśl o Katrijn powstrzymała mnie od przyjęcia zaproszenia pani Barraclough, gdyż choć miałem w Brukseli wielu znajomych i przyjaciół, nikt inny nie zatrzymał mnie tutaj podobną propozycją. Moje wahanie przerwało pukanie do drzwi i wejście madame Permeke z tacą.

- Pański obiad. - Postawiła tacę na stole u mej ręki i stanęła przede mną z rękami pod fartuchem i wyczekującym wyrazem pyzatego oblicza.

Zapach baraniego gulaszu był dla mnie zbyt mocny. Pociągnąłem łyk lemoniady, którą przyniosła Meike.

- Dziękuję pani.

- Jest dla pana liścik.

Zdażyłem już zauważyć pismo Katrijn na arkusiku, który przyjąłem. Zanim złamałem pieczęć, madame Permeke odchrząknęła i zaczęła:

- Chcieliśmy... Permeke i ja... wyrazić nadzieję, że może zgodziłby się pan zatrudnić służącego. Jeśli zamierza pan zostać. Chętnie pomagaliśmy panu w chorobie i był pan dla nas bardzo hojny, to prawda, ale to ponad moje siły. Nie jestem już najmłodsza, a skoro moja Marie - Ange wybiera się do mej siostry pomagać przy żniwach... - Urwała, raczej z braku tchu niż dalszych argumentów.

- Oczywiście, natychmiast się tym zajmę. A... a możliwe też, że na parę tygodni wyjadę do przyjaciół w Ixelles.

- O, to by było miłe - łyk wiejskiego powietrza. Czasami zdaje mi się, że i mnie lepiej by było zostać w Haute Fagnes. Gdyby mnie Permeke nie przekonał! Życie w mieście jest zbyt ciężkie dla kobiety. Ale on jest miastowy - nie rozumiał, na co mi te wzgórza i krowy. Czy zechce pan zatrzymać te pokoje? Czy też mam dać znać gospodarzowi, że je pan zwalnia?

- A, tak, chyba je zatrzymam. Jeśli wyjadę.

- Więc doskonale. A teraz zostawiam pana z obiadem. Głodny wieści od Katrijn bardziej niż obiadu, złamałem pieczęć listu.

Cheri - jak się dziś miewasz? Właśnie się dowiedziałam, że próba odwołana. Jeśli czujesz się dość silny, przyjedź do nas dziś na herbatkę. Tak się za tobą stęskniłam!

K.

Nabazgrałem odpowiedź i zadzwoniłem na Marie - Ange, prosząc, by zaniosiła ją na drugą stronę ulicy. Tymczasem wmusiłem w siebie tyle gulaszu, ile mogłem utrzymać w żołądku.

Toaleta i przygotowania zajęły mi sporo czasu, gdyż moje palce wciąż były ospałe i niezdarne, a nawet ten niewielki wysiłek doprowadzał mnie na skraj omdlenia. Jako że schudłem, moja drewniana noga nie dawała się dopasować i raz wreszcie byłem zadowolony, że mam przy sobie laskę, a do mieszkania Katrijn jest tak niedaleko.

Ona także, jak mi się zdało, przez ten tydzień pobladła i zmizerniała na twarzy. Skłoniłem się, acz niechętnie, bo dostałem zawrotów głowy, i uścisnąłem dłoń kuzynki Eloise, która odprawiła Meike i zasiadła przy imbryku.

- Jakże się pan miewa, drogi panie? - spytała. - Wstrząsnęły nami wieści o pańskim stanie. Katrijn wprost odchodziła od zmysłów ze strapienia, lecz powiedziałam jej: „Major Fairhurst ma dobrą opiekę, bądź pewna. Nie jest obcy w Brukseli, a Permeke to dobrzy ludzie, pomogą mu”.

- W istocie, okazali mi największą życzliwość - przyznałem.

- Lecz dziewczyna Permeke mówi, że wkrótce nas pan opuści. Meike była zajęta, więc sama otworzyłam drzwi - proszę nie sądzić, że jest to moim zwyczajem. W każdym razie rozumiem, że chce pan opuścić Brukselę. Proszę się poczęstować ciasteczkami, trzeba pana odkarmić.

Podniosłem głowę znad talerza, na którym pyszniły się najwspanialsze dzieła francuskiej sztuki cukierniczej, i ujrzałem nieruchome spojrzenie Katrijn.

- O, to jeszcze nic pewnego - powiedziałem szybko. - Dostałem zaproszenie dzisiejszego ranka i jeszcze nie postanowiłem, czy je przyjąć.

- Zaproszenie? - spytała Katrijn.

- Barracloughowie wynajęli dom w Ixelles - powiedziałem. - By pani Barraclough mogła uniknąć skwaru. Nie czuła się zdrowa. A sądząc, że sam mógłbym odczuwać podobną potrzebę ucieczki, spytałem...

- Oczywiście - wpadła mi w słowo, a po chwili spytała: - I pojedziesz?

- Wybaczenie - odezwała się kuzynka Eloise i wstała hałaśliwie. - Muszę o czymś porozmawiać z Meike. Na śmierć zapomniałam! Proszę mnie nie odprowadzać, majorze.

Osunąłem się z ulgą na me miejsce, a kiedy za kuzynką zamknęły się drzwi, Katrijn odezwała się:

- Biedna Eloise. Tak bardzo się stara nie wchodzić mi w drogę. - Urwała, a potem znowu spytała: - Więc pojedziesz?

- Nie, jeśli sobie tego nie życzysz.

- Ale wolisz być z tymi twoimi przyjaciółmi.

Wziąłem jej dłoń, lecz nawet tak drobny gest kosztował mnie wiele wysiłku. Dłoń Katrijn leżała bez ruchu w moich osłabionych palcach.

- W mej obecnej kondycji i przy tej pogodzie przyznaję, że przyjemnie byłoby mi znaleźć się na wsi. Ale... najdroższa, tak dobrze cię ujrzyć, lecz nie mogę sobie pochwlebiać, że na coś ci się przydadę, czy to jako towarzysz, czy... pod innym względem. Lękam się powrotu febry jak żadnego innego wroga.

- Trupa wyjeżdża do Namur w przyszłym tygodniu.

- Tak szybko?

- Tak. Wspominałam o tym parę razy.

- Wybacz, straciłem rachubę czasu. Masz dużo prób? Cofnęła rękę i nalała sobie filiżankę herbaty. Po chwili spytała:

- A co być zrobił, gdybym odrzekła, że tak, jestem bardzo zajęta? Pojechałbyś do Ixelles?

- Gdybyś była zbyt zajęta, żeby moja obecność w Brukseli na coś ci się przydała, wówczas przyjąłbym zaproszenie pani Barraclough.

- Więc zrób tak, mój drogi. Zawsze możemy do siebie pisać.

- To prawda, a na twoje listy będę wyczekiwać z upragnieniem. Lecz czy na pewno chcesz, bym wyjechał?

Wstała i odstawiła filiżankę ze szczykiem. Stała tyłem do otwartego okna, wśród muślinowych firanek, które w tym żarze wisały bez ruchu. A gdy na mnie patrzyła, febra znowu zaczęła wypełzać ze swej kryjówki, obejmując me kończyny drżeniem, a ciało gorączką.

- A gdybym powiedziała, że nie, nie mam prób? Nie, od tej pory aż do końca sezonu gramy krótkie, niemądre, stare sztuki, które potrafiłabym recytować przez sen. Nie, nie chcę, byś jechał do Ixelles - chcę, byś został ze mną! Ale mam swoją dumę! O, ludzie szacowni by się ze mną nie zgodzili. Przecież jestem aktorką, kobietą wystawiającą się na pokaz za pieniądze. Dlaczego miałabym tak cenić swoją godność? Ich zdaniem chcę uchodzić za damę, a jednak jestem niemal ladacznicą. Czy mogłabym się obyć bez mężczyzny, nie błagając go o jego obecność? Tak, to możliwe!

- Jak możesz tak mówić, używać takich słów? - spytałem głosem głośnym i drżącym, jak mi się wydało przez dzwonienie w uszach. - Nie myślę tak o tobie! Jesteś... zawsze...

- Ale nie chcesz, bym poznała twoich przyjaciół. Nie poprosiłeś mnie o rękę. Nasze wspólne noce nie są pogwałceniem prawa, lecz pogwałciłyby zasady twego świata. Więc milczysz.

To była prawda. Zafascynował mnie łuk jej smukłej szyi, ruchy jej głowy, czar, który jej głos rzucał na teatr, jej dostępność, śmiech, orzechowe oczy. Czciłem je, być może nawet kochałem. Jej życzliwość i szczodrość umysłu i ciała należały do spraw jej świata, w który tak ochoczo wszedłem. A jednak nie zaproponowałem jej wstępu do mego świata. Czy nie uznałem, że moja kaleka osoba jest jej godna? Czy nie uważałem jej za godną siebie? A może, pomimo wszystkich rozkoszy jej towarzystwa, było zbyt wiele spraw z mego życia, o których nie mogła wiedzieć? Nagle pojąłem, że nie zaproponowałem jej miejsca w moim życiu, bo to miejsce już zajęła miłość tak doskonała, że nie zdołałbym - i nie chciałem - zastąpić jej zwykłą przyjemnością przyjaźni czy cielesnego zadowolenia.

Zbyt długo milczałem. Odstąpiła od okna, a muślin zaczepił się o jej suknię i rozciągnął się jak welon, nim opadł.

- Twoje zdrowie nie pozwala na dalszy pobyt w mieście. Moja duma nie pozwala mi upaść ci do stóp i błagać. Zostawmy to w tym miejscu.

- Katrijn, proszę... To, co nas łączy, jest zbyt... - Usiłowałem podnieść się z krzesła, lecz nie mogłem i pozostałem na nim bezsilny.

- Katrijn...

- Nie mamy już sobie nic do powiedzenia. Prawda? Nie mogę zrezygnować z mojego zawodu; równie dobrze mogłabym zrezygnować z własnej duszy, a ty - ze swoich ziem. Domaganie się takiego poświęcenia od... od siebie nawzajem byłoby przeniewierstwem wobec... wobec szczęścia, którego zazналиśmy.

Przez łzy widziałem, jak stara się uśmiechnąć.

- Poza tym - dodała - w Suffolk zanudziłabym się na śmierć.

Gorączka ustąpiła, lecz ogarnęła mnie straszna słabość. Potem Katrijn uklękła przy mnie i poczułem na ramieniu jej rękę.

- Cheri, przepraszam. Nie trzeba było się poddawać troskom. Powinna poczekać, aż wydobrzejesz.

- Przykro mi, że jestem przyczyną twych trosk. Masz prawo... do tych uczuć - odpowiedziałem. - Żałuję, że to ja przyczyniłem ci bólu!

- Przykryłem dłonią jej rękę. - Gdybym miał... gdyby nasza znajomość miała ci sprawić jakieś kłopoty wśród twoich znajomych, musisz mi o tym powiedzieć. Nie mogę się cofać przed honorowym załatwieniem tych spraw.

Pokręciła pochyloną głową, lecz wydawało się, że nie może wydobyć głosu. W końcu rzekła:

- Jakież to do ciebie podobne, najdroższy. Dziękuję, ale nie spodziewam się takich trudności. A skoro nie bronis mi swej przyjaźni... skoro wiem, że zgodziłeś się dać mi swe nazwisko jedynie z poczucia przyzwoitości... No cóż, to by nie było to samo. - Chwyciłem ją mocno za dłoń, a ona przez chwilę milczała. W końcu powiedziała spokojniejszym już tonem: - Masz gorączkę. Powinieneś iść do domu.

Nagle, niczym zmęczone dziecko, zapragnąłem spocząć w jej ramionach, z głową na ciepłych jej piersiach.

- Wolałbym zostać, lecz tylko jeśli nie jesteś temu przeciwna. Jeśli wolisz, bym odszedł dziś... lub na zawsze...

Podniosła na mnie oczy.

- Nie, proszę, zostań. - Uśmiechnęła się i w jej głosie znów zabrzmiała dźwięczna nutka. - Choć uważam, że powinienes się położyć.

- Może tak będzie najlepiej - zgodziłem się, również z uśmiechem. Moje palce dotarły do ciepłej, miękkiej skóry jej nadgarstka. - Lecz nie chciałbym, by twoja kuzynka wzięła mnie za ordynusa. I boję się, że nie będę mógł... wątpię, czy...

- Zajmę się tobą - powiedziała, wstając i wyciągając rękę. - Nie musisz nic robić, tylko leż.

Chateau de l'Abbaye okazał się małym i uroczym dworem z szarego kamienia, wzniesionym w czasach Ludwika XIV w strzelistym francuskim stylu, z wysokimi oknami i mansardowym dachem. Nazwę zapożyczył od starego klasztoru, stojącego ledwie ćwierć mili dalej. Pogoda była wciąż nieznośna, gdym zaraz po przyjeździe zasiadł w małym sadzie na końcu ogrodu.

- Tu jest o tyle przyjemniej niż w ogrodzie! - zawołała pani Barraclough, siadając zwinnie przy stoliku z kutego żelaza i biorąc tamborek. Zmiana miejsca zamieszkania zdała się czynić cuda dla jej zdrowia.

- Z pewnością więcej tu cienia - przyznałem, siadając na powrót na krześle, na którym spędziłem dobrą godzinę, nie kwapiąc się nawet do czytania gazety.

- O, nie tylko o to chodzi. Nie mogę przywyknąć do braku trawników i rozłożystych drzew w ogrodzie. Wszędzie tylko te żwirowe ścieżki i sztywne strzyżone w kwadraty krzewy, i ujarzmione drzewka cytrynowe, jak żołnierze stojący na baczność. - Spojrzała mi w oczy i oboje się roześmialiśmy. - To takie formalne, takie staroświeckie, jakbym wcale nie była na wsi. Nie ma tu nic z natury, malowniczości, romantyzmu. Ogrodnik musi wiecznie toczyć boje z naturą, by zachować taki stan rzeczy, a Tom nie miałby się gdzie bawić!

Przypomniałem sobie własne dzieciństwo i spytałem z zaciekawieniem:

- Czy to panią trapi? Jak i gdzie się bawi?

Przytaknęła.

- O tak. Jego bezpieczeństwo, a jednocześnie swoboda w poznawaniu natury, świata, jest tym, co liczy się dla mnie ponad

wszystko. - Zatrzepotała rękami i ciągnęła dalej: - Wiem, że moi rodzice dbają o jego bezpieczeństwo. Lecz liczę, że pozwolą mi także na tę swobodę. To najważniejszy cel mojej miłości. - Skupiła spojrzenie na najbliższym drzewie, jakby tak szczere słowa nieco ją krępowały. - Ale nie tutaj. Zniszczyłby to wszystko w tydzień, najzupełniej mimowolnie. Można by pomyśleć, że znacznie łatwiej byłoby zbudować to wszystko z drewna i zielonego materiału, jak teatralne dekoracje, by można je było do woli naprawiać.

Uśmiechnąłem się.

- A propos... Jak pani znalazła Świętoszka?

- O, nadzwyczaj zabawny. Od dawna chciałam panu podziękować za aranżację tej wyprawy, lecz najpierw z powodu choroby pańskiej, a potem zamieszania w związku z naszą wyprowadzką z Brukseli nie miałam sposobności. Żałowaliśmy jedynie, że nie mógł nam pan towarzyszyć. Zwłaszcza Lucy. - Pochyliła się nad robótką i wyłowiła igłą cienką białą nić. - Pańska obecność tutaj tak dobrze na nią działa, majorze. Kochamy się serdecznie, ale jestem zbyt głupia i nieuczona, by zrozumieć to, co zajmuje ją najbardziej. Pan to potrafi. Poza tym George i ona... no cóż, on nie jest głupi, lecz ma dość... praktyczny umysł i nie pojmuje, dlaczego Lucy nie dba o suknie lub piękną wymowę, albo dlaczego musi się zwracać do niej po kilka razy, gdy ona rysuje i nie słyszy jego głosu. Uważa ją za źle wychowaną, a to nieprawda.

- W istocie.

Pani Barraclough roześmiała się cicho.

- A tak wiele mają do powiedzenia, gdy idzie o papier! Godzinami dyskutują o jego wadze i... jakże brzmi to słowo? Przejrzyści.

- Jakże pani współczuję! - zawołałem. - Cóż za wieczór musiała pani spędzić!

- Przynajmniej miałam doskonałą wymówkę, by udać się do siebie - odrzekła i uciekła spojrzeniem w bok, a na jej krągły policzek zakradła się różowość.

- Jesteśmy starymi przyjaciółmi - powiedziałem. - Nie chciałbym za nic przyczynić pani zażenowania, lecz czy wolno mi rzec, że ta szczęśliwa nowina szczerze mnie ucieszyła? Co za radość dla was obojga! Jest to największe szczęście, jakiego mógłbym pani życzyć.

Nadal w pąsach, lecz opanowana odpowiedziała:

- Dziękuję, majorze. Lucy zapewniała, że panu... wspomniała, lecz nie miałam pewności z powodu...

- Z powodu okoliczności, w jakich zostaliśmy przyjaciółmi?

- Tak, dobrze to pan ujął - rzekła, skubiąc nitkę. - Jest pan człowiekiem dobrego serca i rozważnym i dziękuję panu za... za życzliwość. Mam nadzieję, że Lucy...

- Hetty! - zawołał z ogrodu Barraclough. Pani Barraclough obejrzała się pospiesznie.

- George, mój drogi! Czy w Brukseli wciąż ten straszny upał? Właśnie mówiłam majorowi, że Lucy bardzo się cieszy z jego obecności.

- Tak mi się zdaje - przyświadczył Barraclough, ściskając ją dłoń. - Niechże pan nie wstaje, Fairhurst. Jakże się pan miewa? Przepraszam, że nie było mnie w porze pańskiego przybycia, ale cieszę się, że pana widzę, i to w dobrym stanie. Tutaj wszystko dobrze, Hetty?

- Absolutnie. Po obiedzie Lucy poszła szkicować, więc kolację zaplanowałam na szóstą.

- Na szóstą? Na co się to zda człowiekowi zmęczonemu i rozgrzanemu po całym dniu w mieście? W ten sposób nie zrobisz ze mnie światowca.

- Nie miałam takiego zamiaru. Chciałam tylko, byśmy wszyscy razem zebrali się przy stole w ten pierwszy wieczór, który major spędzi z nami.

Patrzyłem, jak Barraclough walczy ze sobą. W końcu powiedział:

- Słusznie. Przepraszam, pójdę się przebrać. Pani Barraclough wstała.

- Proszę mi wybaczyć, majorze. Sprawdzę, czy w kuchni wszystko gotowe. Służba jest chętna do pracy, ale to Flamandowie i nie zawsze jestem pewna, czy zrozumieli moje polecenia. Proszę nie wstawać. Musi pan wypocząć.

Miała rację. Nawet dogłądanie pakowania mego dobytku i krótka podróż powozem do Ixelles wyczerpały me siły i z wdzięcznością pozostałem na mym krześle, patrząc, jak pani Barraclough bierze męża pod ramię i oddała się z nim w głąb ogrodu.

Po ich odejściu mogłem się nawet zdrzemnąć wśród ruchomych cieni i zielonej woni sadu. W tym śnie na jawie poczułem tak wyraźną

obecność mojej miłości, jakby ledwie chwilę temu znikła między drzewami.

- Catalino! - zawołałem, lecz nie było odpowiedzi. Nigdy jej nie było, choć od czasu naszego rozstania w Berze przez długie miesiące nawiedzały mnie przeciągłe, nękające sny, w których bez końca się sprzeczałyśmy, czego nigdy nie czyniliśmy na jawie. Po takich snach zawsze budziłem się z nową goryczą utraty. A kiedy w końcu przestały mnie nawiedzać, wraz z nimi zniknął także głos Cataliny.

Właśnie ocierałem oczy, kiedy żelazna furtka sadu skrzypnęła i panna Durward wyłoniła się spomiędzy drzew, z obnażoną głową, słomkowym kapeluszem zwisającym na plecach za wstążki i zakurzoną spódnicą.

- Czy znalazła pani to, czego szukała? - zawołałem.

- O tak - odrzekła, osuwając się na krzesło opuszczone przez jej siostrę. - Wyznam zresztą, że nie szukałam niczego szczególnego. Raczej pragnęłam wytchnienia dla kończyn i oczu bez konieczności rozmowy.

- Więc nie robiła pani szkiców?

- A... wspomina pan o mojej wymówce podczas obiadu? - Zdjęła kapelusz, który przygniotła, siadając. - No tak, zniszczony. Wiem, że nie poczuje się pan urażony, jeśli powiem, że nie, nie zrobiłam ani jednego szkicu. Proszę mi powiedzieć, czy George wrócił?

- Tak, jakieś... jakiś czas temu. - Skinęła głową, lecz nie zrobiła żadnego innego ruchu. - Kolację podadzą o szóstej.

- A to się nie spodoba memu szwagrowi! - Westchnęła i potarła oczy rękawem. Na czole została jej smuga pyłu. - Przypuszczam, że Hetty będzie wymagać, bym zmieniła suknię.

- Jest jeszcze czas - powiedziałem, spoglądając na zegarek.

- Dobrze. - Znowu westchnęła, po czym nabrała tchu i spojrzała ze skupieniem na drobne zielone jabłuszka na najbliższym drzewie. - Majorze, muszę pana o coś poprosić i ufam, że... że... nie pomyśli pan... to jest... - urwała.

Po chwili odezwałem się:

- Może najprościej będzie zadać to pytanie.

- Tak, naturalnie. Majorze, obawiam się, że... no cóż, od czasu niedyspozycji Hetty George... znalazł inne towarzystwo.

Nie sililem się udawać, że jej nie rozumiem.

- A co nasunęło pani to podejrzenie?

- Szczerze mówiąc, nie jestem pewna - powiedziała powoli. - Ale odkąd tu jesteśmy, częściej wyprawia się do miasta, niż się spodziewałam. I... i wraca odziany nieco niedbale. Mimo woli dostrzegam takie rzeczy. A na ogół jest tak pedantyczny.

- Rzeczywiście. - Rozważyłem jej słowa i to, czego mogłem się dowiedzieć, by jej zakomunikować: - Jeszcze nie znam go na tyle, by wyrazić o nim opinię. Co mógłbym uczynić? Jest moim gospodarzem, lecz... jeśli mogę pani służyć w jakikolwiek sposób...

- Nigdy nie poprosiłabym pana, by zdradził pan jego zaufanie, jeśli to pan sugeruje...

- Nie.

- ...lecz kocham Hetty z całego serca i gdybym sądziła... nie wiem. Dałabym wiele, by się przekonać, że nie mam racji. Nie wierzę we wtrącanie się w sprawy małżeńskie, lecz nie mogę pozwolić, by Hetty była nieszczęśliwa. A nawet... niewiele wiem o tych sprawach... nawet chora?

- Rozumiem panią - powiedziałem, patrząc jej w oczy. - Zrobię, co będę mógł. I mam nadzieję, że zdołam przywrócić pani spokój ducha.

- Dziękuję - powiedziała panna Durward. Przez chwilę siedziała w milczeniu, przesuwając czubkiem palca po żelaznej koronce stołu, przy którym siedzieliśmy. - Wie pan, za skarby tego świata nie wyszłabym za mąż! Moja sytuacja mnie wcale nie smuci, choć matka i Hetty są w rozpacz. - Musiałem spojrzeć na nią pytająco. - Hetty, choć George ją zaniedbuje, nie może się od niego uwolnić. Musi prowadzić dom i... zwracać się do niego we wszystkich sprawach. A jeśli on tak zdecyduje, co roku będzie w odmiennym stanie, być może w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Proszę pomyśleć o jego pierwszej żonie!

- Wiem, że siostra pani i Barraclough zawarli związek... no cóż, krótko mówiąc, pani Barraclough pragnęła się ustatkować. Nie była to kwestia uczucia - powiedziałem. - Ale sądzę, że nie oddaje mu pani sprawiedliwości. Zdaje się być przywiązany do pani siostry i mówi z uczuciem o Tomie.

- O tak, a jeśli moje podejrzenia okażą się pozbawione podstaw, a w Bogu pokładam nadzieję, że tak będzie, nie mam mu niczego do zarzucenia. Lecz to...! To, czym ma być życie Hetty...! To ma uchodzić za dobre małżeństwo? Czy dziwi się pan, że niespieszno mi do szukania własnego stadła?

- Być może nie - powiedziałem z wolna, gdyż nigdy nie rozważałem tej kwestii w takim świetle. - Lecz z pewnością dla damy posiadanie dzieci jest...

- Pewnie tak - powiedziała i nagle się uśmiechnęła. - Ale rola ciotki jest niemal równie dobra i o wiele łatwiejsza.

Roześmiałem się i znów spojrzałem na zegarek.

- Powinniśmy już wracać. - Sięgnąłem po laskę, by dźwignąć się na nogi. - A propos... czy ostatnio miała pani wieści o Tomie?

- Owszem. Moja matka pisze, że Tom bawi się wyłącznie w gwardzistów broniących Hougomont. - Przeszliśmy, pochyleni, pod gałęziami jabłoni i dotarliśmy do zwirowanych ścieżek ogrodu. - Zdaje się, że jedna ze służących chciała odejść, kiedy przytrzasnął jej palec drzwiami - był wówczas kapitanem Macdonnellem i dawał odpór francuskiej piechocie, rozumie pan.

- W rzeczy samej. I jak się miewa ofiara?

- Och, kiedy lekarz nastawił złamanie, ból złagodniał. Biedaczka. Tom został nakłoniony do przeprosin, ona zaś - do zmiany zdania. Mojej matce kamień spadł z serca, jak czytam w jej liście, gdyż w Cheshire nie tak łatwo o dobrą służbę. Manufaktury płacą lepiej, jest mnóstwo pracy, a dziewczęta mają o wiele więcej swobody niż w domach.

- Swobody tak - odrzekłem - lecz mniej bezpieczeństwa. W tej chwili pani Barraclough wyszła na taras, a Lucy zamachała na powitanie kapeluszem.

* * *

W nocy rozległ się grzmot, taki grzmot, jakby niebo pękło na pół, błysnęły potężne błyskawice, a ja skuliłam się, żałując, że mam za całe okrycie tylko mizerne prześcieradło, lodowate i przemoczone moim potem. Całkiem jakby powietrze trzęsło się od strzałów, a te błyskawice oświeślały pokój tak, że nagle można było zobaczyć wszystko na świecie, a potem, równie gwałtownie, zupełnie nic. Zamknęłam oczy, kiedy jeszcze wszędzie było światło, zrobiło się krwście czerwono i byłam przerażona.

Kolejna fala błyskawic i ktoś stanął przy moim łóżku, ktoś mały, o jasnych włosach i ciemnej twarzy.

Jakby mnie nie widział, a potem znowu spadła na nas noc.

Ktoś pociągnął za prześcieradło, i choć jeszcze dygotałam ze strachu, poznałam Cecila po jego ciepłym ziemistym zapachu.

- Anna...

- Co?

- Ja się boję.

Odwróciłam się i odchyliłam prześcieradło.

- Ja też. Wskakuj, przyniosę koc.

Przytulił się, a ja wyjęłam koc z szafki i zarzuciłam go na łóżko, przyjemny i mięsisty. Potem położyłam się przy Cecilu, i leżeliśmy jak łyżeczki, on z plecami wtulonymi w moje ciało. Objęłam go w chwili, kiedy znowu runęła na nas błyskawica. Grzmot odezwał się teraz szybciej, ale jeszcze nie słyhać było bębnienia deszczu, tylko te suche gorące grzmoty i zimne błyskawice. Po chwili na moją rękę, o którą Cecil opierał policzek, spłynęła łza.

- Nie płacz, nic się nie dzieje - powiedziałam, choć też się bałam. Zawsze się bałam, ale kiedy ja byłam mała, przynajmniej nie musiałam wędrować kilometrami po ciemnym domu, żeby przytulił mnie jakiś dorosły. A teraz zaczęłam mówić Cecilowi to wszystko, co kiedyś mówiła mi mama. - Wszystko w porządku, nic się nie stanie. Nie płacz, Ciss, jestem przy tobie. Wszystko będzie dobrze. Nie zostawię cię. Nie zostawię cię, kurczaczku.

Rano było tak, jakby nic się nie stało, ale Cecil nadal leżał przy mnie, z kciukiem w buzi i bardzo jasnymi rzęsami na opalonych policzkach.

Obudził się, gdy się poruszyłam.

- Susan?

- To ja, Anna - odpowiedziałam. - Chodź, Ciss, pora wstawać.

- Grzmiało - powiedział, siadając, nagle i od razu obudzony. Stanął na podłodze. Ściągnął ze mnie prześcieradło i koc, więc tyłek zaczął mi marznąć.

- Tak, ale już po wszystkim - powiedziałam. Przeciągnęłam się i też wstałam.

- Anna! - Głos Belle. - Co tu się wyprawia? Obciągnęłam koszulę. Belle była ubrana w znoszony różowy szlafrok. Czuć ją było wymiocinami.

- Cecil bał się grzmotów i spał ze mną.

- Jesteś bardzo niegrzeczny - powiedziała i podeszła bliżej. Dostrzegłam jej zaczerwienione oczy i poczułam cuchnący drożdżami oddech po wczorajszym piciu, ale była jeszcze czerwona i rozdygotana, jakby nie tylko z powodu picia. Cecil nie zdążył się ukryć i stał przyparty do ściany, jak królik w światłach samochodu. - Jesteś niedobry. Natychmiast zejść na dół i nie waż się nigdy więcej tak postąpić! Jesteś niedobry!

- Nieprawda! - odezwałam się. Stałam przed Cecilem, a pomiędzy mną i Belle znajdowało się łóżko. - On się bał! Kiedy jest się dzieckiem, można się bać piorunów. Bał się i przyszedł po ciemku aż tutaj, żeby mnie znaleźć, i uważam, że okazał prawdziwą odwagę. I nie zejdzie na dół, jeśli nie ma na to ochoty. A ja go wykapię! Ktoś musi!

Nastąpiła długa chwila milczenia. Potem Belle wycodziła:

- No, no. Bardzo długa przemowa, moja panno. Czy przyszło ci do głowy, że ten dom należy do mnie, a ja jestem głową tej rodziny? Powiadam ci, będzie tak, jak ma być.

- Nie, jeśli to oznacza paskudne traktowanie kogoś słabszego. - Wyciągnęłam rękę za siebie. - A ten dom nie jest twój, tylko Raya. Chodź, Ciss, wykapiemy cię.

Cecil trwał przy mnie jak przyklejony przez całą drogę przez pokój, ale nie ociągał się. Miałam nadzieję, że nie poczuje mojego dygotu.

- Niech ci się nie wydaje, że nie wiem, co zamierzasz, moja panno! - rzuciła za mną Belle. Gdy ją mijaliśmy, Cecil mocniej chwycił mnie za rękę, ale stałam między nim a nią i dzieliło nas parę metrów. - Twoja matka powiedziała Rayowi, co z ciebie za numer. Żadnej świadomości złego i dobrego, mała głupia ladacznica. A teraz usiłujesz go zbuntować przeciwko Rayowi i mnie. Mnie na złość.

Zaciągnęłam Cecila do łazienki i trzasnęłam drzwiami. Zanurkowałam do kabiny, z której zwykle korzystałam, i zamknęłam ją na klucz.

- Będę się teraz kąpać? - spytał z wielkimi oczami, zaglądając do wanny.

To, co powiedziała Belle... to nie tak. Czy Ray mnie uważał za taką?

- No... może nie dzisiaj - powiedziałam. - Może powinniśmy poczekać, aż wujek Ray się zgodzi.

- Ale ja chcę! Proszę cię, mogę się wykąpać? Susan czasami mnie kąpała, w bąbelkach. Budowałem zamki. Proszę!

Właściwie dlaczego nie? To, co powiedziała Belle, nie było prawdą. Myliła się. To nie tak. Ja to wiedziałam i Cecil też to będzie wiedział, choć nikt go nigdy o to nie zapyta. Ray w ogóle nie będzie sobie tym zaprzętał głowy. A Cecil naprawdę musiał się wykąpać.

Zrobiłam mu najwspanialszą, najbardziej bąbelkową kąpiel świata. Zdjęłam mu podkoszulek; na ramieniu miał wielkiego siniaka, jakby spadł z drzewa. Potem pomogłam mu wejść do wanny i dałam mu mydelniczkę do zabawy, dwie myjki i dwa patyczki od lodów, które znalazłam w kącie, a także mały plastikowy pojemnik po mojej kliszy fotograficznej. Zostawiłam go samego, a sama umyłam się i ubrałam. Kiedy wróciłam, mydelniczka kołysała się na kanale w pianie, a patyczki stały na pokładzie w opakowaniu po kliszy, Cecil zaś ruszał kolanami, żeby zrobić fale, choć nieduże, żeby łódź nie zatonała, i piszczał ze szczęścia.

Umyłam mu głowę i pomogłam wyjść, choć nie chciał. Kiedy był już suchy, a ja wytarłam mu włosy i uczesałam własnym grzebieniem, ubrałam go w mój czysty podkoszulek i pochyliłam się, żeby wyciągnąć korek.

I nagle Cecil zniknął. Wydawało mi się, że słyszę ciche kroki na schodach, ale pewności nie miałam. Nie słyszałam Belle. Było tak, jakby Cecilowi znudziło się być ze mną, jakby wyszedł i zniknął.

Pościeliłam łóżko, uporządkowałam moje rzeczy i zeszłam do kuchni po coś do jedzenia, ale Cecila i tam nie było. Pod stołem znalazłam patyki. Sklejone taśmą w jakiś trójkąt czy raczej piramidę. Zastanowiłam się, do czego służy.

A potem drzwi trzasnęły, rozległy się kroki dorosłego i znowu przypomniałam sobie to, co powiedziała Belle. Parę dni temu powiedziała, że chce zacząć od nowa. Włączyć mnie do rodziny. Wydawało się, że minęło bardzo wiele czasu od tej chwili, gdy siedziałam na kanapie, zastanawiając się, czy to możliwe, czy Ray zechce, żebym należała do rodziny. Pamiętając Pociągi jadą do taty,

powinnam się domyślić, że tak nie będzie. Nadzieje nigdy się nie spełniają.

Potałam się nadgarstkiem pod nosem, wymknęłam tylnym wyjściem i ruszyłam do stajni. Łzy piekły mnie pod powiekami.

Ale było tak gorąco, że zanim dotarłam do furtki, łzy ochłodziły i wyschły. Dawno, dawno temu, pomyślałam, nie było tu tej furtki. Dom i stajnie, i otaczające je podwórze były pełne służby, koni i psów, robotników w polach, krów i owiec. A wśród nich przechadzał się Stephen ze świadomością, że to on jest właścicielem tego wszystkiego, niemalże wszystkich ludzi. Był sierotą i żołnierzem - nie miał prawdziwego domu, zawsze był gościem, uprzejmym, pomocnym, nieprzynależnym do nikogo, nigdy za bardzo nieprzywiązanym się do ludzi, zawsze w drodze, nigdy za długo w jednym miejscu. Nie miał nawet mamy, jak ja, jednej jedynej osoby, do której mógłby należeć. Cóż dopiero myśleć o rodzinie, jaką miała Lucy Durward - krewnych, siostrzeńcach i tak dalej, siedzących wokół kominka i czytających historie. Nie miał nikogo. Jak to jest, móc nagle rozejrzeć się i pomyśleć, że to wszystko jego - ta ziemia pod jego nogami, te pola, cegły i kamienie, drzewa i zboża? Jak to jest? Mieć prawdziwe, całe miejsce, do którego się przynależy i które należy do człowieka? Nie potrafiłam sobie wyobrazić, żebym mogła do czegoś tak przynależeć.

Nawet gdyby tu był, pewnie nie miałabym odwagi go o to spytać.

Theo i Eva byli w studiu, w którym poniewierały się otwarte akta. Eva była jeszcze w szlafroku w smoki.

- A, Anna. Dzień dobry - powiedział Theo.

- Nie wiedziałam, czy jestem dziś potrzebna - wymamrotałam.

- W dodatku w sobotę. Co za sumienność! - odezwała się Eva, ale z uśmiechem. - Przepraszam. Powinnam cię uprzedzić, że staramy się nie pracować w weekendy. Kiedy oboje pracujemy w domu, bardzo łatwo pozwolić, żeby praca wypełniła życie bez reszty. Ale wejdź, wypij z nami kawę.

Na górze Eva poszła się ubrać, a Theo usiadł na sofie i zapalił papierosa. Już się nauczyłam obsługiwać tę maszynkę do kawy, więc wyjęłam ją i napełniłam.

- Słyszeliście w nocy te grzmoty? - spytałam, włączając kuchenkę elektryczną.

- Wyjątkowe jak na Anglię. Ale nie było deszczu.

- A szkoda. Nie znoszę takiej pogody, szaro i parno.

- Tak.

Kiedy postawiłam kawę na niskim stoliku, Theo zdusił niedopałek.

- Chcesz wywołać dzisiaj któreś swoje zdjęcie?

- Myślałam, że nie pracujecie w soboty.

- To nie będzie praca. Była rozmowa o jednej książce - to właśnie oglądaliśmy. Ale to nic pilnego. Powinienem cię nauczyć wywoływać zdjęcia.

- Chętnie się nauczę - powiedziałam i wsypałam do kawy łyżkę cukru.

Moja klisza już wyschła i wisiała, lśniąca i lekko wygięta, więc kiedy przecięłam ją tam, gdzie pokazał mi Theo, pasma legły na blacie, troszkę drapiąc krawędziami, jak małutkimi pazurkami. Potem Theo pomógł mi zrobić stykówki i oto zobaczyłam moje zdjęcia, nie ciągnące się pasmami, lecz uporządkowane, ułożone i policzone, jakbyśmy z czasu zbudowali dom.

- Z której klatki chcesz zrobić odbitkę?

Kiedy się spojrzało uważnie, masa zdjęć wyszła nudno.

- Tę z domem? Tę pierwszą. Ta jedna wygląda jak prawdziwa fotografia. Jakbym zrobiła ją z rozmysłem.

Pomógł mi nastawić ostrość, zrobić próbkę paskową, wszystko. Zostawił mnie nad odbitką w utrwalaczu i zapalił białe światło.

- Nadal myślisz, że wygląda jak prawdziwa fotografia? - spytał.

- Aha. Wiem, że to żadne halo. Wyszła trochę nieostro. Ale wygląda... jakbym coś sobie myślała.

- Przez tę ramkę.

- Ale tu nie ma ramki.

- Z drzew i płotu zrobiłaś ramkę wokół domu, który znajduje się w centrum zdjęcia. Jakbyś mówiła: „Patrzcie, ten obrazek ma znaczenie! To coś ważnego”. Mówimy tu o kompozycji. Zrobimy drugą odbitkę?

Tym razem tylko się przyglądał, a ja zrobiłam wszystko. Raz wyciągnął rękę obok mnie i przesunął ostrość bardziej na środek, kiedy byłam pochylona, i poczułam, że moje włosy muskają mu ramię. Nie odzywał się, dopóki znowu nie stanęliśmy nad utrwalaczem.

- To ten chłopiec, o którym opowiadałaś?

- Tak - powiedziałam, wpatrzona w oczy Cecila, oglądającego się w naszą stronę. Światło rzuciło cień na jego policzki i oczy i w czerwonym świetle wydawało mi się, że to z powodu tych gęstniejących cieni zaczyna coraz bardziej przypominać siebie.

- Jeszcze jedno? - spytał Theo, kiedy Cecil wylądował w kąpielni.

Chwyciłam za róg arkusz styków. Theo stanął obok mnie i ujął arkusz za drugi róg. Przez chwilę słyszałam jego oddech, chrapliwy, ale równomierny. Czułam jego obecność za plecami i jego dymny, ciepły oddech na moim nagim ramieniu, i cienki chłodniejszy powiew koło ramiączka mojej bluzki. Czułam lekkie falowanie jego piersi, ogrzewającej mnie i chłodzącej na zmianę. Pachnie nie potem, tylko sobą, pomyślałam nagle, cichy zapach życia.

- A może to? - spytał, wskazując zdjęcie kolumny i okna. Jako jedno z nielicznych nie było za jasne ani nieostre, ani pełne czarnych plam. - Chciałbym zobaczyć je w powiększeniu.

Nie potrafiłam sobie poradzić. Jeśli widać było wszystkie rozpadliny i rysy wielkiego słupa, to odbicie w oknie było szarawe i paskudnawe - za mało kontrastowe, powiedział Theo. Kiedy wywołaliśmy odbitkę na twardszym papierze, kolumna stała się jasnym jednorodnym pasem, za to w szkłe widać było odbicia, fale i refleksy. A przez szybę widać było, że w korytarzu ktoś stoi.

- No tak - powiedział Theo. - Więc co jest ważniejsze? Szczegóły kolumny - jej tekstura, gładkość - czy cienie i odbicia w szkłe?

Zrobiliśmy jeszcze parę próbek, a potem Theo włączył białe światło, a ja potarłam bolące oczy.

- Głowa cię boli?

- Trochę.

- Nie przywykłaś do chemikaliów. Zostawimy odbitki w kąpielni, a ty wyjdź na świeże powietrze.

- Mam tu posprzątać?

- Nie, ja to zrobię i powieszę odbitki do wyschnięcia. Słyszałaś te grzmoty?

- Nie bardzo mi się podobało.

- Biedniatko. Idź, odpocznij.

Ruszyłam do drzwi, właśnie wyciągałam rękę do klamki, kiedy ktoś zapukał. Podskoczyłam.

- Proszę! - zawołał Theo.
- Jak leci? - spytała Eva, kiedy otworzyłam drzwi. - Jeśli już skończyliście, znalazłam tę umowę, której szukałeś. - Theo skinął głową, a ona zawróciła, ale jeszcze się obejrzała. - Aha, dzwonił Crispin. Zaprosiłam go na kolację. Anno, chcesz wpaść?

Powędrowałam pomiędzy drzewa. Słońce wyglądało zza nich do połowy, a mnie się nie chciało wracać do Kersey Hall. Nie chciałam ich widzieć. Theo dał mi drugą rolkę HP4 i pomógł ją włożyć do aparatu, ale oczy mi odmówiły współpracy, jakby na ten ranek miały dość roboty. Prawdę mówiąc, całe moje ciało odmówiło współpracy. Nie tylko głowa mnie bolała.

Od stajni biegła ścieżka prowadząca w przeciwną stronę, nie do szosy, nie do drogi - niedrogi do Kersey. Drzewa były gęste, wysokie i smukłe, jakby szukały światła, ale ścieżkę widać było wyraźnie, więc nie dało się na niej zgubić i mogłam po niej chodzić bez obawy i oglądania się za siebie. Po obu stronach ziemia była twarda, porośnięta chaszczami nieprzepuszczającymi wiele światła. Ścieżka zaczęła skręcać w lewo i zauważyłam, że hałas od szosy staje się mniej wyraźny. A potem za drzewami ujrzałam wzgórze i nagle okazało się, że stoję na trawiastym zboczu na skraju lasu, z widokiem na pola koloru kości, obrzeżone czarnymi ramkami żywopłotów i rozłożystych pojedynczych drzew jak strzegące ich olbrzymy.

Słońce prażyło. Usiadłam w trawie; była wysoka i na tyle ocieniona, że nie wyschła na tym żarze. Muskała moje kostki, chłodna i miękka, i nie wydawało mi się, że słońce chce mnie usmażyć, po prostu było, istniało, całkiem zwyczajnie.

Było bardzo cicho, a w tej ciszy czuło się najróżniejsze możliwości, najróżniejszych ludzi, nie całkiem tu obecnych, jakby w tym cieniu znajdowały się nisze dla nich. Tu musiał stawać Stephen, pomyślałam ospale, stawał tutaj i spoglądał na ciężkie kłosa pszenicy, słuchał brzęczenia pszczół. Pisał o żniwach, przypomniałam sobie, o pomnażaniu tego, co dał mu los, o robieniu dobrego z czegoś złego - z czegoś nikczemnego, powiedział chyba.

Powietrze było krystaliczne, chmury zaś piętrzyły się wysoko nad górskimi turniami, dopiero rumieniąc się od złotych i różanych promieni popołudniowego słońca. Nagle pojąłem, że choć nie uczyniłem ni jednego kroku i choć nie upłynęła ani sekunda, dotarłem do innego świata, istniejącego na równi z moim własnym...

Pamiętałam, co napisał - co zobaczył - tak wyraźnie, jakby siedział obok mnie, i nagle zrozumiałam, co miał na myśli. To było miejsce, którego jeszcze nigdy nie widział, inny świat, a jednak niegrożący żadnym niebezpieczeństwem, nieobcy.

Po chwili położyłam się, a pachnąca zielenią trawa otoczyła moją twarz. W głowie miałam spokój, nie czułam się obco, tak jak Stephen, czułam i słyszałam wszystko, ale nie nękała mnie niezgoda ani gniew, ani smutek, ani pustka, po prostu czystość i bezpieczeństwo.

* * *

Podczas pewnego spaceru panna Durward natknęła się na resztki zabudowań opactwa Cambre i przy wieczerzy wyraziła pragnienie poznania ich historii.

- Gdyż to, co zostało, jest dość nowe - nie liczy sobie więcej niż sto lat. Ale same fundamenty zdają się starożytne.

- Bez wątpienia możemy znaleźć jego ilustrację w jakiejś książce - odrzekłam, pociągając łyk burgunda. - Może w drukarni, gdzie kupowałam mapę Waterloo, znalazłaby się jakaś rycina.

- Ależ to znakomity pomysł! - zawołała pani Barraclough. Jej zdrowie i pogoda ducha nieustannie się poprawiały, a w płomieniach świec jej oczy lśniły, podczas gdy wpadające przez wysokie okna światło dnia ukazywało rumieniec jej lica. Uświadomiłam sobie, że podziwiam jej urodę, nie odczuwając najmniejszego żalu. - George, może mógłbyś tam zajrzeć podczas najbliższej wizyty w mieście?

- Nie omieszkam - odparł Barraclough. Wy tłumaczyłam mu, jak trafić do drukarni, a damy udały się do salonu. Gdy następnego dnia Barraclough wrócił wieczorem, zapewnił mnie, że znalezienie drukarni nie sprawiło mu najmniejszego trudu.

- Oto twoja rycina, Lucy - powiedział, wręczając pannie Durward duży, płaski pakunek.

- Bardzo dziękuję - odrzekła, kładąc rycinę na kolanach. Siedzieliśmy na tarasie, czekając na podanie kolacji. Przyglądałam się jej skupionej twarzy, gdy chudymi palcami rozsupływała sznurek i rozchyłała brązowy papier.

- O tak! - powiedziała tylko.

Pani Barraclough wychyliła się, by spojrzeć na ilustrację.

- O, urocze! - zawołała. - Takie stare budynki... i jakże malownicze! Te strzeliste okna, kamienne ornamenty i bluszcz. I te

małe zakonnice, spójrzcie na ich welony! Ale jakie to niegodziwe... majorze, powiedział pan, że kto to zburzył?

- Armia rewolucyjna.

- Jak mogli! A zostawili te nowe budynki, zwykłe i nudne!

- George, musisz mi zdradzić, ile jestem ci za to winna - powiedziała panna Durward.

- Ależ nic, kochana Lucy. Uznaj to za pamiątkę. Fairhurst, ta drukarnia to nadzwyczaj interesujące miejsce. Cieszę się, że Lucy poprosiła, bym tam poszedł.

Dziś roztaczał aurę buńczuczności, i kiedy podano do stołu, panna Durward wciąż przyglądała mu się badawczo. Później, przy porto - gdyż Barraclough oznajmił, że od belgijskiego piwa ogarnia go senność i jednak zasmakował w winie - powiedział:

- Tak, wspaniała rzecz ta twoja drukarnia. Często tam bywasz?

- Kupiłem tam parę rzeczy. A w czasach, gdy bywałem przewodnikiem, rekomendowałem ją moim podopiecznym.

- Ach, tak. I niech mnie diabli, jeśli nie znajdą tam tego, czego chcą, i jeszcze więcej. Pokazali mi sakramenckie obrazki.

- Obrazki?

- Aktorek. Nie te za dwa pensy, kolorowane, ze sztuk, lecz bardziej artystyczne. W sklepie nikogo nie było, więc mieli czas zaprezentować mi ich niemało. I inne, z młodymi paniami.

- Rozumiem - powiedziałem i osuszyłem kieliszek, by ukryć moje uczucia. Nie tylko Katrijn nie zasługiwała na takie kalumnie, lecz i większość jej koleżanek, a jednak nie mogłem protestować z obawy, że Barraclough wyciągnie wnioski, do których nie chciałem go doprowadzić. Nie miałem także pragnienia, by dyskutować o tym temacie w bardziej ogólny sposób, choć często kierowałem tam dżentelmenów, żonatych i nie, gdyż było to najlepsze źródło takich obrazków. Nawet wskazywałem im domy, w których mogli znaleźć same damy najwyższej klasy. Mężczyźni są istotami z krwi i kości, jak raz w chwili nieuwagi napisałem do panny Durward. Z pewnością gdyby Barraclough zamierzał mi się zwierzyć, dowiedziałbym się więcej na temat, którego zgłębienie obiecałem pannie Durward. A jednak nie mogłbym przekazać tych wieści z powodów honorowych, a także z zażenowania. Sięgnął po karafkę, a wówczas wstałem, choć nie tak szybko, jak bym pragnął, gdyż po febrze łatwo się męczyłem, a

przy większym wysiłku czułem ostry ból w kończynie, którą straciłem. - Dołączmy do pań?

Moja strategia podziałała. Barraclough cofnął rękę.

- A, tak, skoro sobie życzysz.

Otworzyłem drzwi salonu. Pani Barraclough obejrzała się w moją stronę.

- A, teraz możemy ich spytać!

- O co?

- Może filiżankę herbaty? Czy cokolwiek mogłoby pana pchnąć za klasztorną furtę?

Usiłowałem odpowiedzieć, lecz zabrakło mi słów. Widząc me wahanie, panna Durward skinęła dłonią ku litografii, opartej o gzyms rzeźbionego kamiennego kominka.

- Rozmawialiśmy o opactwie, zdumiewając się, że istnieją ludzie, którzy wybierają życie z dala od świata.

Po paru chwilach zdołałem sformułować zrozumiałą odpowiedź.

- Cóż, w dawnych czasach niektórzy nie mieli wielkiej swobody w tej mierze - powiedziałem, z wielką ostrożnością ujmując filiżankę.

- Oddawano ich tam w dzieciństwie.

- To straszne! Jaka matka pozwoliłaby na taką rzecz? - oburzyła się pani Barraclough.

- Ale dorośli mężczyźni i kobiety? - dodała panna Durward. - Dlaczego oni decydują się na takie życie?

Pani Barraclough nalala mężowi filiżankę herbaty.

- Jeśli zostali wychowani na katolików, może nie wydaje im się to tak dziwne. Kościół już ich chwycił w swe szpony. Lecz zamknąć się w takiej pustelni?

- Być może... - zacząłem. Wszyscy odwrócili się, by na mnie spojrzeć. Herbata przywróciła mi nieco sił, więc kontynuowałem: - Przynależność do społeczności, gdzie wszystko ma swą regułę, gdzie istnieją jasne zasady i kodeksy... To bardzo wygodne: znać swe miejsce w świecie. Być może jeśli nigdy się nie miało własnego miejsca, prawdziwego domu... nawet w dzieciństwie...

Pani Barraclough skinęła głową, lecz panna Durward rzekła:

- Ale nie móc nigdy uciec!

- Jeśli jedynym pragnieniem danej osoby jest wolność, wówczas być może życie takie byłoby nieznośne - powiedziałem. - Lecz żyć w

grupie oznacza mieć te same zainteresowania i doświadczenia, a grupy muszą się rządzić zasadami. Być może najbardziej krańcowym przykładem jest wojsko, lecz proszę pomyśleć o domach beginek, które widzieliśmy w Mechelin. Wspólnota podobnych umysłów i dróg życiowych stanowi nieocenione wsparcie, być może dla kobiet - z wszystkich klas - bardziej niż mężczyzn. Jeśli los nie pozwala... nie pozwolił odnaleźć największego szczęścia ze wszystkich... - Przed moimi oczami stanęły postacie dziewcząt, w których domu w San Sebastian zamieszkałem: Mercedes, Izzaga i inne, kobiety nieliczące się w oczach świata, lecz jednak tworzące społeczność, wadzące się ze sobą i śmiejące pospołu, dzielące łzy i radość, zwracające się jak jedna przeciwko mężczyznom, którzy chcieli je skrzywdzić, udzielające sobie strojów i kojące nawzajem ból. Odstawiłem filiżankę ręką, która nie wyzbyła się drżenia.

- Zdarza się, że zakonnice uciekają - odezwał się Barraclough - zwykle w ramiona jakiegoś mężczyzny, i razem pędzą do Gretny... albo gorzej.

- Bądź też uciekają do klasztoru przed mężczyznami - dodała panna Durward - przed niechcianym małżeństwem, okrucieństwem, zdradą...

- Ucieczka zdaje mi się tchórzostwem - powiedziała pani Barraclough. - Powinno się raczej zostać i starać obrócić sytuację na korzyść. Chyba że oczywiście zagrożone jest życie.

- Zagrożenie życia nie musi występować w postaci jawnego okrucieństwa - odezwałem się i nagle głos mi się załamał, więc musiałem napić się herbaty, nim podjąłem: - A jednak mogą nie mieć wyboru. Świat odwraca się od kobiet, które nie mają ojca, brata lub męża. Jak można pogardzać... jak możemy pogardzać taką kobietą, która ucieka od nas w miejsce, gdzie ją przyjmą, nakarmią i ubiorą? Gdzie może nawet znaleźć pewne zadowolenie i towarzystwo? Nam, którzy wiemy życie swobodne i wygodne, nie wolno potępiać tych, którym społeczeństwo nie pomaga.

- Biedactwa - rzekła pani Barraclough. - Ma pan zupełną rację, nie wolno nam potępiać tych, których nie rozumiemy. Drogi majorze, czy mogę panu zaproponować jeszcze filiżankę herbaty?

Być może w tym stanie osłabienia nie panowałem nad sobą tak, jak należy. W każdym razie to łagodne pytanie nadszarpięło me nerwy, co nie udało się wizjom wysokich murów i bezimiennych,

niemych zakonnic, i nie mogłem już powściągnąć swych uczuć. Nawet wypowiedziane cichym głosem usprawiedliwienie zdradziło me poruszenie. Wstałem i przez francuskie drzwi wyszedłem na taras i trawnik za nim, nie oglądając się za siebie.

Nie było ciemno, gdyż po zachodzie słońca wzeszedł księżyc, lecz gałęzie jabłoni zasłaniały jego zimne, białe światło, w pośpiechu zaś, gdy utracona kończyła zdawała mi się niemal równie prawdziwa jak druga, dwukrotnie niemal upadłem. Dopiero przy furtce na końcu ogrodu zatrzymałem się i spojrzałem na aleję i ginące w mroku pola, gdzie księżyc wyplątywał się spomiędzy gałęzi wiązu.

Było niemal bezwietrznie. Czulem ból pustego, rozdartego serca. Ból tej pustki był gorszy od jakiejkolwiek rany i gdyby czyste pragnienie mogło przybrać cielesną postać, to wyczułbym długą trawę, uginającą się pod stopami Cataliny, poczułbym ciepło jej dłoni na mym ramieniu, wibracje jej cichego, głębokiego głosu.

Querido? De que te pensas?

Jak to możliwe, że do mnie nie przyjdzie? Czulem nawet zapach jej skóry. Usta miała ciemne i słodkie, a na ramieniu znamię, którego dotknąłem, a potem pocałowałem, jak to czyniłem z miękkimi, tajemnymi miejscami, których używała mi z miłości i w których piastowała gorzki owoc naszego szczęścia. Nie, to niemożliwe. Nie mogłem w to uwierzyć. Dopóki miałem siłę tęsknić za nią, pozostanie przy mnie.

W tej ciszy usłyszałem cichy turkot kół powozu na gościńcu do Brukseli. Potem ustał. Na alei panował bezruch taki, że mogłaby uchodzić za drzeworyt: drzewa i żywopłoty czarne, osrebrzone kłosa, gałęzie i kamienie. Więc dlaczego światło księżycy nie mogło ukazać mi mojej ukochanej, szukającej mnie tak, jak ja szukałem jej, a może nieświadomej mego spojrzenia, jak wtedy, gdy ujrzałem ją raz pierwszy? Moje oczy mogą ją ujrzyć, jeśli serce i umysł pragną tego z wystarczającą mocą.

W moją stronę zmierzała ciemna postać, wyrzeźbiona z jasnej drogi mocą mego pragnienia.

- Stephen?

Ale to nie była ona. To nie Catalina. Moje pragnienie było równie bezsilne jak moje zniszczone ciało. To Katrijn szła ku mnie z wolna w szeleście jedwabiu.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie chciałam cię przestraszyć. Stephen, cheri, jesteś niezdrów?

- Sądziłem... - Jej dłoń była ciepła i prawdziwa. W goryczy rozczarowania wypuściłem ją z ręki. - Co... co tu robisz?

- Jadę do Namur, a Meike dowiedziała się od twojej madame Permeke, że są dla ciebie listy. Chciałam do ciebie posłać mego woźnicę, ale raptem ujrzałam cię w ogrodzie. - Dotknęła mego policzka. - Ale powiadajże, cheri, jak się miewasz?

Nie mogłem jej tego wyznać, nie mogłem dobyć z siebie głosu. Nie ją pragnąłem objąć, pocałować, pieścić.

- Stephen, tyś jeszcze chory? Wziąłem się w garść.

- Nie, tylko zmęczony. Już mi lepiej, lecz nie całkiem doszedłem do siebie. Przepraszam, zechcesz wstąpić? - Otworzyłem furtkę.

- Dziękuję. - Weszła do sadu.

- Czy mogę ci zaproponować poczęstunek?

- Nie, nie, za późno na wizyty. Poza tym za nic w świecie nie postawiłabym twych przyjaciół w niezręcznej sytuacji. Zaraz muszę ruszać. Rano mam próbę. Jak ci służy wiejskie życie?

- Bardzo dobrze, dziękuję. Ma najbardziej dobroczynny wpływ. Powiedziałaś, że masz listy?

- A, tak, wybac. - Nieco niezgrabnie wyjęła je z sakiewki.

- Dziękuję. - Było ich niewiele, głównie - sądząc z wyglądu - weksle od dostawców. Wsunąłem je do kieszeni surduta.

- Stephen... - zaczęła i urwała. W księżycowym blasku wyglądała nadzwyczaj pięknie; pióro na jej kapeluszu i gładka fala ciemnych włosów nad czołem i oczami, lekko rozchylone wargi, mięsisty jedwab sukni, ujmujący w ramę piersi koloru miodu. Tyle razy brałem tę urodę w posiadanie, tyle razy Katrijn krzyczała w moich ramionach, a jednak teraz zdało mi się, że patrzę na obraz, płótno i farby. Wspomnienie tamtych chwil nagle nappełniło mnie niesmakiem - nie do niej, była niezrównana, lecz do siebie, człowieka, który nienawidząc siebie, bierze sobie czystą, ładną ładacznice, choć w sercu nadal nosi wspomnienie dalekiej miłości.

- Stephen... chciałam do ciebie napisać z Namur, ale skoro tu jestem, będzie uczciwiej... Krótko mówiąc, sądzę, że powinniśmy zupełnie zerwać naszą znajomość. Nie mogę zrezygnować z mej

profesji, a ty nie zrezygnujesz ze swej pozycji, z przeszłości. Zbyt wielu spraw nie możemy dzielić.

W świetle księżyca i cieniu, w którym staliśmy, wydawała się bardzo odległa.

- Oczywiście, jeśli tego sobie życzysz - powiedziałem z lekkim ukłonem. Zupełnie niczego nie czułem. - Było... pod każdym względem zachwycająco. Ale zawsze wiedziałem, że w takim stanie nie jestem cię godny.

Podeszła bliżej.

- Nie. Nie tak. Nie wolno ci tak myśleć. Sądziłam, że cię z tego wyleczyłam. - Roześmiała się cicho, a ja pomyślałem, że to dziwne, iż po tak długim czasie jeszcze nie wie, iż mojej przypadłości nie można uleczyć.

Ale potem nagle przypomniałem sobie, jak tego pierwszego wieczora przycisnęła palec między moimi brwiami.

- Zrobiłaś więcej niż ktokolwiek - powiedziałem cicho. - Najdroższa Katrijn, zapamiętam to do końca mych dni i dziękuję ci. Za to i... wszystko inne. - Uśmiechnęła się tak słodko, że ujmując jej dłoń, dziwiłem się gwałtowności mego niedawnego niesmaku. - Proszę, uwierz: żałuję jedynie zakończenia naszego związku.

- Lecz musi się skończyć - powiedziała głosem, w którym brzmiała jakaś skaza. - Powiedziałeś niegdyś, że lord Wellington okazywał geniusz zwłaszcza podczas odwrotu. A może źle cię zrozumiałam. Bez wątpienia panna Durward mogłaby poprawnie zacytować ten rozdział i wers. Ja nie jestem geniuszem, lecz honorowy odwrot nie znajduje się poza moimi możliwościami.

Zawróciła do furtki, a ja pokuśtykałem za nią.

- Katrijn... moja droga...

Zatrzymała się; chwyciłem ją w objęcia. Nie mogłem się pohamować. Zbyt często szukałem w nich ukojenia, by nie zrobić tego teraz, gdy moja potrzeba była większa niż kiedykolwiek.

Przez chwilę tuliła się do mnie, potem się cofnęła.

- Proszę, puść mnie. Nawet aktorki nie rozkoszują się rozstaniem, gdy nie odgrywają ich na scenie.

- Oczywiście - powiedziałem i otworzyłem przed nią furtkę. Kiedy mnie minęła, poczułem jej perfumy i zaskoczyłem ją chyba mniej niż siebie samego, znowu chwytając ją i całując. Oddała

pocałunek, który obudził moje dawne zapęły, i oswobodziła się. Odeszła aleją do swego powozu.

Stałem i słuchałem trzasku drzwi i turkotu kół w letnim pyłe gościńca. Czułem bardzo niewiele, jakby doznania ostatnich chwil przepłynęły przeze mnie tak szybko, że nie zostawiły śladu na mej duszy; przejmował mnie tylko dogłębny, lodowaty chłód, od którego ciało obojętnieje na inne cierpienia. Odwróciłem się i oparłem plecami o furtkę, spojrzałem w głąb ogrodu, ku domowi, migoczącemu światłami spomiędzy drzew. Zauważyłem wysoką, jasną postać na tarasie. Była to panna Durward. Zaczęła schodzić po schodkach.

- Czy się narzucam?

- Ależ skąd - zdołałem wykrztusić.

- Przestraszyłam się... że rozgniewałam pana lub zdenerwowałam, ale nie wiem czym. Proszę mi wierzyć, że nie miałam takich zamiarów.

Zacząłem odzyskiwać dobre maniery.

- Ależ nie. To tylko wspomnienie, obudzone przez... przez tę wspaniałą ilustrację, lecz zbyt stare, by można je było powtórzyć.

- Nie takie, jak te spod Waterloo? Nadal nie mogę sobie tego darować.

- Proszę o tym nie myśleć, nie wolno pani. A dzisiejsze wydarzenie nie ma nic wspólnego z wojaczką.

Nie odpowiedziała.

Nie wiedziałem, czy zauważyła Katrijn, a wraz z tą myślą pojawił się złożony ból, który spęczniał mi w gardle i zdusił słowa.

Wreszcie odezwała się:

- Majorze... nie jest mym zamiarem wtrącanie się w cudze życie. Kiedy powiedziałam panu o George'u, chyba uczyniłam to po raz pierwszy. I wiem... - Uśmiechnęła się. - No cóż, Hetty mawia, że na ogół jestem ślepa, ślepa na myśli i uczucia innych. Twierdzi, że nie dbam o serca, jeżeli mogę szkicować twarze. Ale tym razem... muszę powiedzieć, że jeśli... jeśli pan zechce... - Głos jej się załamał, lecz po chwili podjęła na nowo: - Czasami rozmowa sprawia ulgę. I jeśli tak jest, chętnie pana wysłucham.

- Jest pani nad wyraz uprzejma, ale...

- Nawet jeśli chodzi o rozmowę o damie, z którą pana przed chwilą widziałam.

- Muszę się usprawiedliwić...

- Po co? Tak niewielu z nas stosuje się do zasad, które stawia przed nami świat, czy to mocą prawa, czy tradycji. Ja sama... codziennie łamię nieumyślnie jakieś prawo, a robiłabym to częściej i z rozmysłem, gdybym nie dbała o uczucia moich bliskich. I tylko pańskie dobre wychowanie tuszuje fakt, że i pan nie stosuje się do tych zasad. Nawet Hetty była znana z buntu przeciwko dyktatowi przyzwoitości!

Uśmiechnąłem się.

- Ponadto - dodała - jeśli dotąd pan nie wie, jak trudno mnie zgorszyć, to jest pan o wiele mniej spostrzegawczy, niż się spodziewałam.

Uśmiechnąłem się jeszcze serdeczniej, lecz nie odpowiedziałem, a ona po chwili wyciągnęła do mnie dłoń.

- Za nic na świecie nie pragnęłabym przemocą wdzierać się do pańskiej duszy. Wystarczy powiedzieć słowo, a nigdy więcej nie będziemy poruszać tego tematu. Lecz w listach mówiliśmy o naszym życiu tak obszernie, że wydaje mi się... zauważam jedynie, że nie jest pan szczęśliwy.

Miała rację, lecz mogłem tylko powiedzieć:

- Przeciwnie...

- Nie mam na myśli pańskiego pobytu u nas - przerwała mi. - Choć ta dama...

- Ta dama i ja... - Panna Durward umilkła. - Tej damy nic już ze mną nie łączy. Rozstaliśmy się za obopólną zgodą. Zawdzięczam jej bardzo wiele.

- Lecz nawet gdy związek miłosny kończy się tak pogodnie - rzekła spokojnie - nadal pozostaje po nim żal.

- W istocie. - Nie rzekłem nic więcej, lecz w ciszy poczułem zelżenie... czego? Nie wiedziałem, lecz czułem, że stało się to za sprawą panny Durward.

Po chwili powiedziała:

- Przepraszam. To nie moja rzecz. Nie powinnam się była narzucać. Bóg mi świadkiem, że nie leży to w mojej naturze!

- Nie, ma pani całkowitą rację. W rzeczy samej czuję żal... wielki żal... głęboki smutek z powodu zakończenia przyjaźni. A jednak to nie z jej powodu... - Nie mogłem dokończyć.

- Więc z czyjego?

Spojrzałem na nią. Między jej brwiami pojawiła się mała życzliwa zmarszczka. Nie zauważyłem głodu plotek ani pragnienia poruszającej historii o wielkiej namiętności i rozdzierającym bólu - pragnęła tylko mi pomóc. Przez chwilę ogarnęła mnie upajająca myśl, że mógłbym jej opowiedzieć o tych dniach w Berze i San Sebastian.

Potem pokręciłem głową.

- Nie mogę... minęło tyle czasu. Proszę mi wybaczyć. - Zawróciłem ku domowi i podałem jej ramię. - Robi się zimno. Powinniśmy już wracać.

Panna Durward przyjęła me ramię, ale bardzo długo nic nie mówiła.

Wróciłam do stajni w tej samej chwili, gdy Crispin Cordner zatrzymał bardzo sfatygowany mały sportowy samochód z opuszczonym dachem. Pomachał mi i wysiadł, trzymając butelkę wina.

- Witaj! Miło cię widzieć! - Uścisnęliśmy sobie ręce. - Są w domu?

- Tak sądzę.

- Przyjechałem za wcześnie - musiałem wpaść do siostry i uznałem, że nie warto już wracać. Zadomowiłaś się w Kersey?

- Mniej więcej. Staram się bywać tam jak najrzadziej.

- Ojej. Aż tak źle?

- Właściwie nie najgorzej - powiedziałam, bo Ray był w porządku, a co do reszty, nie wiedziałam, co mi się wydaje takie... niewłaściwe. Po prostu było inaczej, niż miałam nadzieję. A Belle nie traktowała Cecila gorzej, niż inni ludzie traktują dzieci - przynajmniej wtedy, gdy nie była pijana. Mieszkałam już w tylu miejscach, że tyle wiedziałam na pewno.

- No, ale nie dawaj się zajeździć Evie i Theo. Oboje są szaleni na punkcie pracy. Czasami chyba nie przychodzi im do głowy, że trzeba płacić pensję. Albo zauważać, co się dzieje z ludźmi z ich otoczenia.

- Dla mnie są bardzo mili - oznajmiłam. Nie odpowiedział, więc po chwili dodałam: - Te listy są bardzo interesujące... o Waterloo i tak dalej. Ale nie za dobrze znam się na historii i innych takich. - Przecież nie mogłam powiedzieć, że nie rozumiem wszystkich słów.

Przepuścił mnie w drzwiach.

- Sam nie miałem okazji uważnie ich przeczytać. Dużo w nich o Kersey?

- Na razie nie, ale nie wszystkie przeczytałam. Napisał o tym, jak miło siedzieć przed kominkiem w bibliotece. Ciekawe, w którym była pokoju. Wtedy można by to sobie lepiej wyobrazić. Teraz nie można tego poznać.

- Podczas wojny Kersey Hall znalazł się w rękach wojska, więc Bóg jeden wie, co się z nim działo. A w czasach, kiedy tu była szkoła, zrobiono w nim jeszcze więcej przeróbek.

- Ale ten list, który czytałam, był wysłany z Brukseli, nie z Kersey.

- Może wyjechał na wakacje. Wiem, że podczas kampanii Waterloo w Brukseli było mnóstwo angielskich turystów. Te listy są z tysiąc osiemset piętnastego roku?

- On pisze: „rok dziewiętnasty i dwudziesty”.

- Tysiąc osiemset dziewiętnasty? Peterloo, masakra w Peterloo. No, no. Ciekawe, co o niej myślał. Na ogół ziemianie uważali, że dla nich to początek końca. I pewnie tak było, pod pewnymi względami - przez czartyzm i tak dalej. W takich dworach jak Kersey na ogół zakładano szkoły i urzędy.

Nie wiem, o czym mówił, ale dotarliśmy już na piętro. Słysząc było muzykę, nie z radia, lecz z płyty, jakiś powolny jazz. Na nasz widok Eva wstała z sofy.

- Buenas noches, Crispin! - Pochylił się nad nią i pocałował w oba policzki, co wyglądało dziwnie, bo wiem, że nie byli kochankami ani nic w tym stylu. - I Anna... dobrze! - Miała na sobie lejącą się suknię, całą w hinduskie wzorki, i czarne spodnie, oraz długie, srebrzyste kolczyki. Widząc ją obok Crispina, po raz pierwszy uświadomiłam sobie, jaka jest mała, o wiele niższa ode mnie. - Theo bierze prysznic.

Theo pojawił się w koszuli bez krawata i spodniach, jak Crispin. Po drodze podwijał rękawy, co mnie nie zdziwiło, bo nadal było gorąco, zwłaszcza w pokoju pod dachem. - Cześć, Anno. Widziałaś swoje zdjęcia?

- Jeszcze nie.

- Też chciałabym zobaczyć, jeśli mogę - powiedziała Eva. Ja też chciałam, żeby je zobaczyła, ale co do Crispina nie

miałam pewności. Nie żeby nie był miły, ale tak po prostu krępowało mnie, że moje zdjęcia miałyby oglądać dyrektor galerii sztuki. To tak, jakby brzdąkać jednym palcem w obecności Eltona Johna. Ale Eva na mnie patrzyła, więc powiedziałam:

- No... dobrze, pójdę i przyniosę.

Wyglądają w porządku, pomyślałam, wbiegając na górę z fotkami. Wyglądają jak prawdziwe fotografie.

Eva wyciągnęła po nie rękę. Potem powiedziała:

- Mmm... spójrzmy na negatywy.

Włączyła podświetlarkę i rzuciła klisze w plastikowej obwolucie.

- Hm. Trochę niedoświetlone. Nic dziwnego, że w cieniach nie widać szczegółów. A kompozycja... o, to pierwsze ujęcie, z domem... to ta odbitka? Tak. Wypróbowałaś ramę, tak?

- Aha.

- Rama to bardzo agresywne narzędzie kompozycyjne. Dominuje. Ale istnieje ryzyko, że odgrodzi obserwatora od zdjęcia. Jest statyczne. Przyciąga wzrok, ale nie zachęca go do błędzenia po fotografii. Tylko jedno spojrzenie i widz uważa, że wystarczy. Oko się nudzi i podąża dalej. Rozumiesz?

- Tak - szepnęłam. Do tej chwili myślałam, że to całkiem niezłe zdjęcie.

Od strony zlewu rozległ się szcęk. Theo zabrał się do kolacji. Poczułam zapach czosnku, roztopianego masła i orzechów. Obejrzałam się na niego, żeby Eva nie widziała mojego rumieńca. O Boże, ryba. I to nie biała ryba, którą mogłam jakoś znieść, jeśli umierałam z głodu, a ona miała postać paluszków z morzem keczupu. To była ryba z oczami i ogonem. Tak jakby Eva uparła się uczynić mi piekło z tego wieczora.

Eva odłożyła zdjęcie na stolik i wzięła to z kolumną.

- Pod względem kompozycyjnym to jest bardziej interesujące - oznajmiła - ale poruszyłaś aparatem. Na jakim czasie robiłaś? Pamiętasz? - Pokręciła głową. - Nieważne. To przychodzi z doświadczeniem. A to jest ten chłopiec? Tak. Dobrze. Skupiłaś ostrość na jego oczach. Ale niepotrzebna ci taka głębia ostrości - tło nie jest ważne. I tutaj powinnaś wykadrować - przesunęła kciukiem tuż pod jego policzkiem - i tu - pod brodą - bo tak jest chaotycznie. Ale to bardzo dobry początek. Musimy porozmawiać o czasach, ale zrobiłaś na mnie wrażenie.

- Nie wygląda na to - mruknęłam. Roześmiała się.

- Ale tak jest. Traktuję twoją pracę poważnie. Przepraszam, powinnam cię ostrzec.

- To straszna kobieta - rzucił Crispin, który zmieniał płytę. - Nie bierz sobie tego do serca. Daję ci słowo, twoje zdjęcia jej się podobają. Mogę zobaczyć pozostałe?

Na nowej płycie była muzyka klasyczna, skrzypce i tak dalej. Crispin wrócił i wziął zdjęcie z kolumną i oknem. - To jest interesujące. Wiesz, wygląda jak oryginalna szyba. - Przechylił zdjęcie do światła. - Kogo widać za oknem?

- Pewnie moją babkę - powiedziałam. - Nikogo innego nie było.

- A, oczywiście, choć nie widać tego wyraźnie. Dziwne, im mniej widzimy osobę, tym większe ma ona znaczenie... nie, chyba trzeba powiedzieć: doniosłość. Można sobie wyobrazać, że ta postać jest dowolną osobą z dowolnego okresu. Wydaje się znaczyć więcej, bo nikt nie widzi dokładnie, kim jest, więc nie wiadomo, kim nie jest. - Uśmiechnął się do mnie i delikatnie wyjął mi z ręki ostatnie zdjęcie. - A, niech zgadnę. To Cecil?

- Skąd wiesz?

- Moja siostrzenica Susan pracowała w Kersey, kiedy była tam szkoła. Opiekowała się nim. Ma w pokoju jego zdjęcie. Zdaje się, że to dziwny mały jegomość. Biega samopas.

Zaskoczył mnie. Nagle od strony kuchenki dobiegło wściekłe skwierczenie i syk, i podskoczyłam. Eva zaczęła nakrywać do stołu.

- Crispin - rzuciła przez ramię - możesz przynieść z kominka te lichtarze?

Zauważyłam je już pierwszego dnia, cztery, dość krótkie, srebrne, z turkusowymi kamieniami, małutkimi srebrnymi paciorkami wokół podstawy i kryzami na górze.

- Urocze - powiedział Crispin. Podniósł mięsisty kwiecisty jedwab, na którym zawsze stały. - A to jest zachwycające. Gdzie to zdobyłaś?

Eva podniosła głowę znad sałatki, na którą lała sos.

- A, znalazłam tutaj, kiedy się wprowadziliśmy. Był zbyt piękny, żeby go wyrzucić.

- Wydaje mi się znajomy. Chiński jedwab, dałbym głowę, ale te kwiaty i owoce to angielski wzór. Ten sam okres co lichtarze, tak na pierwszy rzut oka. Pewnie baldachim. Szkoda, że taki spłowiwały.

- Przez jakiś czas leżał na parapecie.

- A, światło bardzo niszczy. W tym naszym paskudnym angielskim klimacie ludzie zapraszają je do domów, na ile to możliwe, a potem oplakują skutki jego działania.

- Z wyjątkiem tych, którzy na nim zarabiają - odezwałam się. Wszyscy spojrzeli na mnie. - Jak Theo i Eva.

- To prawda! - Theo odwrócił się z patelnią w ręce. - Masz zupełną rację. No to gdzie te talerze?

Spojrzałam na rybę, a ona odpowiedziała mi martwym spojrzeniem. Nie wiedziałam, od czego mam zacząć, i nawet nie miałam ochoty, ale nie da się ukryć na talerzu całego pstrąga ani też go rozgrzebać tak, jakby się go prawie zjadło. Zastanawiałam się, co mam biedna począć, i przypadkiem uchwyciłam spojrzenie Theo. Przez chwilę wydawało mi się, że zrobił do mnie oko, choć to pewnie było złudzenie przez te świece, mrugające na wietrze z otwartych okien. Potem Theo spojrzał na swój talerz i bardzo powoli wbił widelec w bok swojej ryby. Przyłożył nóż płasko do jej grzbietu i rozciął aż po ogon, a wówczas cały bok oddzielił się jednym jasnobrązowym płatem, który nie wyglądał już aż tak źle.

Poszłam za jego przykładem, trochę niezdarnie, ale mi się udało, i okazało się, że w smaku także nie jest to takie złe. Popiłam masą wina, a potem zauważyłam, że Crispin macza kawałek ryby w maślanym sosie, w którym były też migdały. Zrobiłam to samo i smakowało fajnie. A pudding, który podano po rybie, był bardzo smaczny i wszyscy się co do tego zgodzili.

- Barbarzyńskie angielskie jedzenie - powiedziała Eva. - Gdyby w dzieciństwie w Sewilli ktoś mi powiedział, że pewnego dnia zjem na deser namoczony chleb i owoce tak kwaśne, że trzeba do nich dodać kilogram cukru, nigdy bym nie uwierzyła. Wtedy wystarczyło mi wspiąć się na mur, żeby podkraść od sąsiadów morele i migdały prosto z drzewa.

- Ale wtedy jeszcze nie znałaś mnie i moich dań - odparł Theo. - Anno, chcesz jeszcze sosu?

Wzięłam dzbanek, myśląc, że w porównaniu ze śmietanowym sosem mamy ten jest jedwabisty i wytrawny.

- Więc to ci przychodzi łatwiej? - spytał Crispin.

- Gotuję prawie wszystko - wyjaśnił Theo. - Ale tak, wychowano mnie na deserach i ciastach. I jest taka zupa wiśniowa, którą... No, kiedy teraz jej kosztuję, znowu jestem przy stole w kuchni hotelu Franciszka Józefa w Peszcie i przyglądam się mojemu dziadkowi przy pracy. Tak samo jest z csirke paprikas i palacsiną.

- Ale twoja matka była Czeszką, nie Węgierką, prawda?

- Tak. A jeden z dziadków mojego ojca był Polakiem. A inny Litwinem, choć nie pamiętam skąd. Jestem prawdziwym środkowoeuropejskim kundlem. Przed wojną mogliśmy odwiedzać kuzynów wszędzie, od Bałtyku po Morze Czarne. - Roześmiał się. - Za to Eva jest czystej sefardyjskiej krwi. Wszyscy Hiszpanie mają obsesję na punkcie pochodzenia - można by powiedzieć, że te rodziny są wśród hiszpańskich Żydów jak rody hidalgów.

- A jak się poznaliście?

- W Hiszpanii - odezwała się Eva. - Dostałam pierwsze duże zlecenie. - Uśmiechnęła się na to wspomnienie. - Chodziło o artykuł o klasztorze. Po jego likwidacji w budynku zrobiono koszary artyleryjskie, ale potem urządzono tam miejskie muzeum.

- Pracowałem nad artykułem o wpływie stanu wojennego w Kraju Basków - dodał Theo z uśmiechem. - Spieraliśmy się aż do zamknięcia kawiarni o to, co powinno się robić z budynkami, które utraciły swój pierwotny cel. W tamtych czasach partia miała bardzo utylitarne poglądy - byłbyś oburzony, Crispin! - ale Eva patrzyła na to w kategoriach architektury.

- Z pewnością to trochę bardziej drastyczne niż przeróbka wiejskiego dworu na szkołę - powiedział Crispin.

- Kiedy wróciłam do Madrytu, dowiedziałam się, że mężczyzna, z którym mieszkałam, ma już kogoś innego - powiedziała Eva, sięgając po butelkę wina, by ponownie napełnić nasze kieliszki. - Dwa dni później na progu stanął Theo. Zaproponował, że mnie pocieszy.

- Jak widać, z sukcesem - zauważył Crispin. Eva parsknęła śmiechem.

- Na ogół. Przysięgamy sobie wieczną miłość i wybieramy kraj, w którym razem zamieszkamy. Potem się kłócimy, Theo ucieka do

Berlina lub Hawany, znajduje sobie jakąś ładną tłumaczkę, a ja postanawiam się wyprowadzić.

- Albo „Paris Review” zaprasza Evę do Nowego Jorku na sesję z jakąś wielką damą literatury, która właśnie opublikowała ryszotkowe wspomnienia swojego romansu z Hemingwayem, Eva ląduje z damą w łóżku, a ja muszę się pozbywać mieszkania.

- To nie był Hemingway! - zaprotestowała Eva. - Tylko Picasso!

I wszyscy się roześmieli.

- Ale rozumiem, że ostatnio już nie zawracacie sobie głowy wyprowadzkami - powiedział Crispin.

Nie rozumiałam, a potem nagle do mnie dotarło, o czym mówią. Po pierwsze, że nie dochowują sobie wierności, że oboje uprawiają seks z innymi ludźmi i wcale im to nie przeszkadza, nawet sobie z tego żartują. A po drugie, że Eva jest jedną z tych.

Spojrzałam na nią. Wszędzie paliły się świece, w ich blasku jej oczy były czarne i roziskrzane, a zielony jedwab sukienki był jak woda opływająca jej vitalność. Była o wiele starsza od mamy, ale bez trudu mogłam sobie wyobrazić, że wpada w oko jakiemuś mężczyźnie, a mężczyzna jej. Na przykład Theo. O tak, to mogłam sobie wyobrazić. Ale żeby kobieta? Jak mogła dotykać inną kobietę?

- Dwóch rzeczy nigdy się nie wie o nowym mężczyźnie - mówiła Eva. - Jak bardzo jest pijany i kiedy dojdzie. Nie sądzisz, Crispin?

- Tak - powiedział, wyciągając się wygodnie na krześle. - Trzeba dobrze poznać rzeczonego mężczyznę. Choć co do stopnia jego - lub własnego - upojenia, niestety istnieje pewien nieomylny wskaźnik, co, Theo?

Theo uśmiechnął się i wstał.

- Być może. Crispin, przepraszam cię, chyba powinienem odprowadzić Annę do domu.

- Oczywiście - powiedział Crispin. Nie wydawało mi się, żeby był bardzo pijany. Wstał, obszedł stół, położył mi rękę na ramieniu i nagle pocałował mnie, naprawdę, w policzek, tak jak wcześniej Evę. - Dobranoc, Anno. Kiedy następnym razem będziesz w pobliżu galerii, wstąp do mnie. Będę się bardzo cieszyć. I daj mi znać, czy w listach znajdziesz coś istotnego.

- Dobrze - powiedziałam.

- Anno, cieszę się, że przyszedłeś - powiedziała Eva. - Jutro wyjeżdżam do Madrytu - wracam we wtorek. Theo wie, co trzeba zrobić, jeśli będziesz chciała pracować. Do zobaczenia.

Pożegnałam się, podziękowałam, a Theo sprowadził mnie na dół.

- Mogę wrócić sama, daję słowo - powiedziałam.

- Wiem. Ale chciałbym cię odprowadzić choć kawałek. Poza tym po takiej ilości jedzenia i picia ruch na świeżym powietrzu będzie przyjemnością.

Było ciepło, ale w mroku zerwał się wietrzyk i dopiero jego chłodne muśnięcie na moich policzkach uświadomiło mi, jaka jestem rozpalona. Tej nocy niebo było pogodniejsze, ciemniejsze nawet od czarnych sylwet drzew nad naszymi głowami. Pomiędzy rozkołysanymi liśćmi pojawiały się i znikwały gwiazdy.

- Czy cię urażę, jeśli przeproszę za naszą rozmowę? - odezwał się po chwili Theo. Pod stopami mieliśmy sosnowe igły, miękkie jak sprężysta trawa.

- Nie. To znaczy nie musisz przeproszać. To znaczy... nie czuję się urażona.

- To dobrze. Bałam się... No cóż, niełatwo ciągle pamiętać, jaka jesteś młoda.

- Nawet kiedy nie chcą mnie obsłużyć w pubie? Parsknął śmiechem.

- Ciągłe cię to złości, co?

- Tak jakby. Trochę. Nieważne.

- Ale zawstydziałś się.

- No... bo ja... nie za dużo wiem o tych rzeczach.

- Istnieje strasznie dużo zasad co do tego, kto nie może sypiać z kim. Parę koniecznych: młodych trzeba chronić, to naturalne. Bardzo wiele zbędnych. I nawet kiedy nie istnieją żadne zakazy, burzuje myślą, że ignorancja załatwi sprawę, zapobiegnie seksowi, który łamie... który zagraża ich zasadom. Więc o tym nie mówią.

- Ale to nie znaczy, że nic nie mówią - dodałam, myśląc o tym, że w szkole nie dało się nie wiedzieć, kto chodzi z którym chłopakiem. I o słowach Belle. Czy mama naprawdę tak powiedziała Rayowi? Czy to powiedziała? Potrząsnęłam głową, żeby się pozbyć tej myśli, i dodałam:

- Czy... czy Crispin jest... eee...

- Homoseksualistą? Tak. Czy to ci przeszkadza?
- Nie... ale... nigdy żadnego nie znałam.
- Albo nie wiedziałaś, że znasz. Stary nawyk milczenia jest mocno zakorzeniony. I tak, Eva jest biseksualna. Kocha mężczyzn i kobiety.
- My... myślałam, że... albo się kocha jednych, albo drugie. Dotarliśmy do furtki.
- Eva powiedziałaaby, że w sprawach seksu istnieje bardzo niewiele „albo - albo”.
- A co byś ty powiedział? Zatrzymał się z ręką na ogrodzeniu.
- Ja bym powiedział... Powiedziałbym, że matematyka miłości łamie zasady arytmetyki. - Otworzył przede mną furtkę. Przeszłam, a on dotknął mojego ramienia. - Dobranoc, Anno. Dobrych snów.

* * *

Pokoje panny Durward i moje znajdowały się po przeciwległych stronach domu. Towarzyszka moja była tak milcząca, że drgnąłem z zaskoczenia, gdy na górze schodów odezwała się cicho:

- Proszę mi wybaczyć, majorze. Nie było moim zamiarem obrazić pana.

- Proszę nie przeproszać, nie czuję się urażony. Przeciwnie, wzruszyła mnie pani troska. - Dotknąłem jej ręki. - Dobrej nocy.

- Dobrej nocy, majorze - odpowiedziała. - Ufam, że będzie miał pan dobre sny. - Odwróciła się i szybko ruszyła ku swoim pokojom.

Rozterka moja dręczyła mnie tak długo, że dopiero za progiem pokoju, gdy odstawiłem świecę i zacząłem zdejmować surdut, przypomniałem sobie o listach, które przywiozła mi Katrijn. Trzy dotyczyły spraw rachunkowych, jeden był liścikiem od znajomego z zaproszeniem na karciany wieczór w dniu, który już przeminął, tak długo list przemierzał te parę mil z Brukseli. Ostatni przybył z Anglii i po chwili wpatrywania się weń rozpoznałem pismo proboszcza.

List był krótki. Mój zarządca Stebbing dostał apopleksji, i choć zdrowiu jego nie groziło bezpośrednie niebezpieczeństwo, nie był już zdolny prowadzić moich spraw. Moi dzierżawcy i służący starali się sprostować swym zadaniom, z pomocą proboszcza i sąsiadów, lecz nie było rady: wzywano mnie na żniwa do Kersey.

Dwieście pięćdziesiąt batów do wtóru bębna. Pomiedzy każdym smagnięciem odzywa się dziesięć uderzeń bębna, czas na odczucie bólu i oczekiwanie następnego ciosu. Jeszcze trzysta pięćdziesiąt, chyba że zemdleje. Chirurg stoi z ręką na pulsie żołnierza i daje znak głową, by kontynuować. Stojący w szyku żołnierze z regimentu nie widzą twarzy Wata Bailey'a, słyszą tylko krzyki, lecz za punkt honoru mają, by nawet nie drgnąć. Niektórzy tak często dostawali chłostę, że na ich plecach nie ma już ciała. Następnym razem dostaną po nogach. Ale te plecy, to ciało, jest świeże i nowe. Werbliści uderzają w rytmie bata; rana jest szeroka na dłoń i na dwie długa.

Czuję zapach krwi, spływającej mu po spodniach i po drewnianym koźle na ziemię. Widzę jego twarz, poczerwiała od krzyku, i pamiętam go, bezczelnego młokosa z moich rodzinnych stron. Jesteśmy krajanami i sądziłem, że z czasem zasłuży na awans, ale nie mogę go uratować przed sądem polowym za świństwo lizbońskiemu kupcowi czterech lichtarzy ze srebra i turkusów. Oczywiście był pijany. Jego przyjaciel Campbell, skazany na tysiąc batów za współudział, napił się witriolu i zmarł w męczarniach, by uniknąć kary.

Najmłodszy podporucznik odchodzi na bok i wymiotuje. Chirurg trzyma go za puls. Trzysta siedemnaście. Odwiązują Bailey'a i odprowadzają, by odpoczął. Kiedy mnie mija, widzę białe kości, wyzierające spod zalanej krwią rany. Z czasem, od maści chirurga, to ciało zacznie się psuć. Zaczną się w nim wć robaki, wgryzające się w gnijące mięso, żywiące się zepsuciem.

Rozdział 2

Nie narzekałem na brak zajęć w tych nielicznych dniach, które upłynęły od otrzymania listu z Kersey do mego wyjazdu, lecz szczęśliwie wymagały one tylko jednej wizyty w Brukseli, gdzie z każdym dniem panował coraz dokuczliwszy upał, tak wielki, że nie miał żadnego pragnienia pozostawać w mieście, skoro oczekiwał mnie sad w Ixelles. Już napisałem listy aranżujące me mieszkanie i podróż; w Brukseli spłaciłem dostawców i odbyłem rozmowę z bankierem, lecz nie zamknąłem u niego rachunku w nadziei, że w ciągu paru miesięcy może mi znowu się przydać. Poza tym niewiele zostało mi do zrobienia, z wyjątkiem usunięcia resztek mego dobytku z mieszkania i spełnienia obietnicy danej pannie Durward.

Drukarnia była pierwszym celem mej podróży. Sprzedawca przypomniawszy mi sobie bez trudu, jako stałego klienta i przyjaciela ich ulubienicy, mademoiselle Metisse. Przypomniawszy także Barraclougha, który w pamięci zapadł mu dla swego wysokiego wzrostu i angielskiego sposobu bycia. Powściągając niesmak, jaki budziło we mnie wnikanie w sprawy innego mężczyzny, włożyłem rękę do kieszeni i spory plik franków wyczarował informację, o którą mi szło: Barraclough kupił jedynie najbardziej niewinne wizerunki młodych ładnych dam i żadną miarą nie starał się wywiedzieć o miejsce zamieszkania owych dam z krwi i kości.

Znowu wyszedłem na spieczoną żarzem ulicę i zadumałem się. Miałem pewność, że Barraclough jest zbyt wybredny - jeśli nie przyzwoity - by wybrać sobie uliczną dziewczynę. W takim razie udałem się do bliższej z dwóch kawiarni, w których bywał, a z niej przeszedłem do dalej położonej i w każdej spędziłem parę wesołych godzin, hojną ręką stawiając koniak. O ile stali bywalcy poczuli się zaskoczeni mym gestem, o tyle odwdzięczyli się mi plotkami.

W ten oto sposób w wilię mego wyjazdu do Suffolk mogłem zapewnić pannę Durward, iż wedle wszelkich oznak jej obawy nie miały podstaw.

- Nie będę pani nudzić rozmowami, jakie odbyłem, lecz mogę zapewnić, że Barraclough nie pragnął... no cóż - szukać innych rozrywek. Jego upodobania należą do najzwyklejszych i nie muszą one budzić pani niepokoju. Sądzę, że głównie szukał towarzystwa innych mężczyzn i przelotnych miejskich znajomości, do których przywykł w Liverpoolu i które można zawrzeć tylko w mieście.

- Rozumiem. Dzięki Bogu. Więc mogę porzucić tę sprawę. - Zawahała się, w zadumie spojrzała na skąpany w słońcu ogród, po czym spojrzała mi w twarz. Skinęła głową. - Panu także mogę zaufać.

- Zaufać?

- Zaufać w pańską prawdomówność. Istnieją mężczyźni - całkiem liczni - którzy obraziliby mój rozsądek z rzekomego szacunku dla mej płci.

- W jaki sposób?

- Kłamstwem. Chronieniem innego mężczyzny pod pozorem obrony mnie przed taką wiedzą. Pan tego by nie zrobił.

- Ufam, że zawsze będę chronić damy.

Zrobiła gest dłonią, jakby w tej rozmowie nie było miejsca na takie sentymenty.

- Ale nie nieuczciwością.

- Nie, nie nieuczciwością. Nie panią.

Nie odpowiedziała, ale nie wzięła szkicownika, co często miała w zwyczaju, choć z tarasu roztaczał się widok tak uroczy, że skusiłby każdego artystę. Słońce stało wysoko, choć dłużej siedzieliśmy przy obiedzie; w łagodnym blasku strzyżone drzewka cytrynowe i grządki późnych róż zdawały się pulsować życiem w obrębie żywopłotowych szpalerów.

- Co będzie pan robić w Kersey po żniwach? - spytała panna Durward.

- O, na wsi nie brak zajęć - odparłem. - Będę równie zajęty, jak to opisywałem w zeszłym roku.

- Doskonale pamiętam pańskie listy. I pomyśleć, że od tamtego wieczora w Manchester również minął rok!

- A Tom całkiem wydobrze?

- O tak. Ale Hetty bardzo za nim tęskni, podobnie jak ja. Chciałyśmy wrócić do domu znacznie szybciej.

- Czy spodziewa się pani rychłego powrotu?

- Lekarz zaleca Hetty zaczekać do czwartego miesiąca.

- Oczywiście.

Wówczas panna Durward jednak ujęła szkicownik i nakreśliła parę linii. Po chwili zdałem sobie sprawę, że spojrzeniem biegnie nie ku ogrodowi przed nami, lecz ku mnie.

- Nie ma pan obiekcji, majorze?

- Ależ skąd...
- Proszę nie ruszać głową.
- Przepraszam.

Nie odpowiedziała; jej spojrzenie było całkiem chłodne. Nie widziałem kartki, słyszałem jedynie szmer ołówka - to cichy niczym szelest liści, to ostry i precyzyjny jak cios szpadą - walczący o lepsze z gruchaniem gołębi na dachu i ciurkaniem wody, gdyż wokół nas krzątał się ogrodnik, zajęty swymi wieczornymi obowiązkami. Baczne spojrzenie panny Durward spoczywało to na mnie, to na kartce, tak jak spojrzenie dowódcy krąży między mapą a polem bitwy. Na samo to wspomnienie mięśnie mych oczu przypomniały sobie ten wysiłek, który wszyscy odczuwaliśmy w takich momentach. Wówczas staraliśmy się pojąć, co te linie i symbole będą oznaczać nazajutrz w kwestii kryjówek, przeszkód, zasięgu artylerii, ran i krwi. Czy panna Durward, obserwując mą twarz, starała się odnaleźć świat, który się na niej rysował, czy też rysowała człowieka, którego ten świat ukształtował?

Odłożyła ołówek i przez chwilę przyglądała się szkicownikowi, trzymając go na odległość ramienia. I jeszcze raz zbliżyła go do siebie, i znów paroma ruchami naniosła swe myśli, całkiem jakby dopisała zdanie po przeczytaniu listu. Podniosła głowę, nasze spojrzenia spotkały się, a jej oczy miały już inny wyraz, nie taki, gdy szukały jedynie cieni i kształtów. Jednak długą chwilę nie odzywała się, a potem odwróciła wzrok.

- Czy mogę zobaczyć rysunek? - spytałem.

- Oczywiście. - Położyła otwarty szkicownik na stole i przysunęła go do mnie. Podniosła szal, który spadł na ziemię, otoczyła nim ramiona - gdyż słońce osunęło się już za horyzont - i usiadła, bawiąc się frędzlami.

Przez parę chwil widziałem tylko, że portret mój jest bardzo udany, oddaje niezwykle podobieństwo aż po krzywiznę zewnętrznych końców mych brwi, gdyż żaden człowiek, od którego obyczaj i poczucie przyzwoitości domaga się ogolonego podbródka, nie może być całkiem zaskoczony swym wyglądem. Jednak dziwnym było ujrzeć swoją twarz nie dzięki bezosobowym własnościom światła, szkła i metalu, nie dzięki sztuce portrecisty z Norwich, lecz skreśloną ręką przyjaciółki. Co ujrzało jej oko, jak umysł pokierował ołówkiem?

Szkic wypełniał kartkę, a jednak wydawał się odległy; głowa była nieco odwrócona, spojrzenie utkwione gdzieś poza granicami arkusza, oczy i usta zwężone, a szare i srebrne znaki, tworzące kontur i cienie, zdawały się opisywać mi wszystko to, co moje oczy i dusza już znały, lecz rozum nie chciał uznać, dopóki nie ukazał mu tego ktoś obcy.

Panna Durward przyglądała mi się spokojnie.

- Podoba się panu?

- Chyba tak - odrzekłem powoli, a ona się roześmiała. Być może niezatarte wspomnienie tamtego pierwszego ranka w drukarni, wyczarowane tymi samymi słowami, kazało mi zauważyć, jak gwałtowny i szorstki jest jej śmiech, jak odmienny od cichego, niskiego śmiechu Katrijn.

- Może czuje się pan nieco skonfundowany?

- Być może.

- Nie przywykł pan myśleć, jak widzą pana inni?

- Nie mógłbym twierdzić, że próżność jest mi obca. Dbam o krój mego surduta jak każdy inny człowiek. Lecz tutaj... - odłożyłem szkicownik na stół - jak to możliwe, że tak wiele ukazała pani tymi kreskami? Czy to właśnie pani widzi?

Uśmiechnęła się.

- Tak. Przynajmniej tego wieczora. Lecz może to, co wiem, nadało kształt tym kreskom. A może raczej to, co wie pan.

Nie mogłem odpowiedzieć i w tym milczeniu pomyślałem, jak często jej słowa - na równi z jej sztuką - przyprawiają mnie o kontuzję. Co bardziej mnie dziwiło: że to moja dusza znalazła się za tymi zwężonymi oczami czy też że to ona ją dostrzegła i rzuciła na kartę w sieci srebrnych linii?

Nagle odezwała się:

- Żałuję, że pan wyjeżdża.

- Nie pragnę tego, lecz tak być musi. Poza tym już zbyt długo korzystam z gościnności siostry pani.

Westchnęła, a jej ramiona zdały się opaść wraz z oddechem.

- Myśl o tych wszystkich wieczorach... Proszę do mnie pisać, błagam pana, majorze! Proszę mi pisać o bitwach, koniach, żołnierzach, bym nie utonęła całkowicie w głupich kobiecych pracach ani nie zamordowała w końcu Hetty. Tak bardzo mnie złości, a to przecież nie jej wina. Proszę do mnie pisać o męskich sprawach!

- Nawet jeśli tą sprawą jest śmierć?
- Nawet wtedy. Lepsza śmierć od czepków, służących i migren!
- Woli pani rozmawiać o morderstwach niż o budkach i palpitacjach?

Parsknęła śmiechem.

- Cóż, skoro tak to pan ujmuje... może nie całkiem. A teraz, gdy Hetty czuje się o tyle lepiej, obudziła się we mnie nadzieja na nieco dalsze wyprawy. Jakżebym chciała poznać lepiej Francję! Nie miałam tyle szczęścia co pan.

Nie odpowiedziałem, choć mogłem wiele rzec o szczęściu, które człowiek spragniony obcych widoków może znaleźć w wojsku. Ale ona, jakby czytała w mych myślach, powiedziała raptem:

- A może jest pan odmiennego zdania? Wiedząc o wojnie to, co jest panu wiadome teraz, czy wybrałby pan inną profesję?

Nadal milczałem, gdyż nie znałem odpowiedzi. Wojna dała mi Catalinę, wojna mi ją odebrała. Czy wolałbym żyć bez jej stałej obecności przy mnie, bez krótkiego szczęścia i tak długiej żałoby?

Nie. Nigdy nie pragnąłem, by dni mojej miłości były krótsze choć o jeden dzień, tak jak nie pragnąłem, by drogi przemierzone z Cataliną były o jeden jard krótsze.

- Nie pytam, czy żałuje pan tego, co życie pokazało panu ze świata - dodała panna Durward - lecz raczej czy żałuje pan wyboru profesji? Naturę męczyzny kształtują jego uczynki, w przeciwieństwie do większości kobiet.

- Aż do zeszłego lata - rzekłem powoli - powiedziałbym, że nie żałuję niczego. Nawet konieczność zabijania tym tylko była: koniecznością. Wojna jest brzydka, lecz nigdy bym nie pomyślał, że nie powinniśmy się przeciwstawić Bonapartemu, gdyż jest to zadanie wojska i marynarki. Jakże mógłbym odmówić służby ciałem i rozumem?

- Ale od Peterloo...

- Tak. Od tego czasu już nie. - Znowu spojrzałem na rysunek. Czy to, co panna Durward ukazała w mych oczach, było tam zeszłego lata? Przypomniałem sobie wyraźnie pokoik na Dickinson Street, Toma leżącego nieruchomo i sztywno, pełne zgrozy milczenie nad St Peter's Field, spojrzenie panny Durward w świetle świecy, gdy tak ostrożnie dotykała kartki ołówkiem, jakby muskała pobjadły policzek chłopca. -

Moi przyjaciele nie zgodziliby się ze mną. Lecz ja widziałem, że to okrucieństwo dokonało się nie przez przypadek, lecz z rozmysłem. I zezwolili na nie wielcy ludzie! Ten, kto służył pod rozkazami księcia Wellingtona, nie powinien się dziwić, że wspiera on decyzje urzędników miejskich.

Jednak zdumiewa, że zezwolił na rzeź niewinnych... i nikt za to nie odpowiedział! A teraz wydają prawa, by stłumić prawdziwe nieszczęścia i sprawiedliwe protesty pod płaszczykiem potrzeby porządku społecznego.

- Nikt z nas, świadków Peterloo, nie pozostał niezmieniony. Ileż innych praw, które rządzą naszym życiem, wydaje się teraz niegodziwych i brutalnie pragmatycznych? Ale pan w tym nie miał udziału. Pan był tam jedynie dzięki kaprysowi losu.

- Ale czy to jest ta swoboda, o którą walczyłem? To... O, to właśnie mnie dręczy! Tak wielu z nas zginęło, tak wielu poniosło nieuleczalne rany - i za co?

Nie odpowiedziała, lecz wyciągnęła dłoń, którą ująłem. Dotyk innej istoty ludzkiej uspokoił mnie, lecz nie mogłem się już żadną miarą powstrzymać, choć nigdy w życiu nie pragnąłem przemawiać w taki sposób.

- Wybrałem moją profesję z konieczności, lecz kierując się słusznymi przesłankami, i poświęciłem jej wszystko, co miałem. Tak wiele mi odebrano: zdrowie ciała i spokój umysłu, przyjaciół - nawet miłość! Straciłem mą miłość! A teraz wszystko to, co oddaliśmy, zdradzili pijani i chciwi władcy i kraj, który odbiera wolność swemu ludowi nędzą, jeśli nie prawem, a duszę sprzedaje dla zysków finansowych i politycznych! Może nie powinienem dbać o ruinę mego ciała i spokoju, gdyż nie pokocham już więcej. A co do Anglii... - Nabrałem oddechu. - Cóż, może to i lepiej. Może oszczędziłem sobie nieco bólu, gdyż skoro nie mam już sił, by bronić sprawiedliwej sprawy, cieszyć się wypada, że nie ma już spraw godnych obrony!

Panna Durward długo milczała, lecz jej szczupłe palce tak mocno ścisnęły mą dłoń, że plamy z tuszu i farby mogły na zawsze odcisnąć się na mej skórze.

Potem spytała:

- Kim była?

- Na imię miała Catalina. Z wolna skinęła głową.

- Catalina.

Nie rzekła nic więcej, lecz ścisnęła moją rękę. W końcu powiedziałem:

- Przepraszam... nie mogę o tym mówić.

- Nie, oczywiście.

Stało się bardzo cicho. Słońce zupełnie już zaszło, a światło, które zostało, dotykało oczu, policzków i warg, nie oświetlając ich, więc gdy zdałem sobie sprawę, że wszystko zostało powiedziane, nie mogłem już stwierdzić, jakie uczucia zrodziły się w sercu panny Durward.

Za otwartym oknem za naszymi plecami rozległ się szelest jedwabiu, a dłoń panny Durward wymknęła się z mojej i sięgnęła po ołówek.

- Proszę mi wybaczyć, majorze - odezwała się pani Barraclough - lecz skoro jutro wyrusza pan bardzo wcześnie, ja zaś mam się już udać na spoczynek, nie mogłam tego zrobić, nie pożegnawszy się z panem.

- Ani ja z panią - odrzekłem, wstając. - Droga pani Barraclough, jakże mogę pani wyrazić swą wdzięczność?

Wyczułem raczej, niż ujrzałem, że panna Durward wymknęła się w głąb mroczniejszego ogrodu.

- O, żałujemy jedynie, że nie może pan zostać z nami dłużej - powiedziała pani Barraclough. - Ufam, że podróż nie nadszarpnie pańskiego zdrowia.

- Jeśli o to chodzi, wydobrzałem już zupełnie, i to dzięki pani.

Uśmiechnęła się i skinęła dłonią lekko, a wymijająco.

- Nadal jest ciepło - powiedziała. - Czy zechce pan obejść wraz ze mną taras? - Podałem jej ramię i przeszliśmy parę kroków. - Lucy bardzo odczuje pańską nieobecność - dodała.

- I ja będę tęsknić za państwem. Westchnęła lekko.

- Musi mi pan wybaczyć, gdyż niemądre ze mnie stworzenie. George twierdzi, że w głowie mi tylko suknie i plotki. Lecz... majorze, nie mogło ujść pańskiej uwagi, jak wielką przyjemność Lucy czerpie z pańskiego towarzystwa.

- A ja z jej - odrzekłem i wówczas dopiero pojąłem, do czego zmierza pani Barraclough. - Jesteśmy starymi przyjaciółmi, którzy dobrze się czują w swym towarzystwie i mają wspólne zainteresowania.

Dotarliśmy na drugi koniec tarasu.

- Czy można sobie zażyczyć lepszych fundamentów? - powiedziała pani Barraclough, odwracając się tak szybko, że omal się nie potknąłem. - Proszę o wybaczenie, z pewnością uważa mnie pan za wścibską plotkarkę.

- Nie, nigdy - powiedziałem, odzyskując równowagę. - Wiem, jak bardzo się pani liczy z dobrem innych. Jednak mam zupełną pewność, że panna Durward nigdy nie pomyślała o... o takich sprawach.

- Nie?

- Sama mi powiedziała, że za nic w świecie nie wyszłaby za męża.

Na to pani Barraclough zatrzymała się tak gwałtownie, że - złączony z nią ramieniem - odwróciłem się ku niej siłą rozpędu i ujrzałem jej twarz, wzniesioną ku mojej w świetle księżyca.

- Za nic w świecie? Dlaczegoż to?

Zbyt późno przypomniałem sobie przyczyny, które podała panna Durward.

- Cóż, zdaje się, że jej zdaniem nie mogłaby poświęcać czasu sztuce, którą może uprawiać w stanie wolnym.

Pani Barraclough westchnęła i ruszyła dalej.

- Kochana Lucy! Zawsze zasłania się rysowaniem, by móc podążać własną drogą. Lecz czy nie mógłby pan... jesteście tak... Gdyby pan ją spytał...?

Teraz to ja się zatrzymałem na środku tarasu i ująłem ją za rękę.

- Droga pani Barraclough, proszę nic więcej nie mówić. Wiem, że pragnie pani jedynie szczęścia swej siostry. Czy przekonam panią, jeśli zapewnię, że mimo całego afektu i estymy, jaką mam dla panny Durward, nie ona jedna sądzi, że... że nie wszyscy jesteśmy stworzeni dla małżeństwa?

Wydawało mi się, że westchnęła, lecz powiedziała ze spokojem:

- W takim razie nie pozostało nam do powiedzenia nic więcej. Nie będę się już wtrącać, choć mogłabym sobie życzyć, żeby sprawy przybrały inny obrót. - Ruszyliśmy w dalszą drogę, lecz udało nam się przejść ledwie parę kroków, nim przemówiła raz jeszcze: - Niebo na zachodzie, gdy słońce już znikło, jest bardziej zielone niż błękitne, nieprawda? Jakże niewiele obrazów ukazuje je takie.

Zamieniliśmy parę zdań na obojętne tematy, lecz choć pani Barraclough dotrzymała słowa i nie robiła więcej aluzji w tej mierze, gdy rozległ się cichy zgrzyt żwiru i panna Durward weszła po schodach z ogrodu, zdałem sobie sprawę, że słów wypowiedzianych

niepodobna już cofnąć. Pani Barraclough zerknęła na siostrę w sposób, który zdał mi się pełen znaczenia, a przelotny uśmiech panny Durward - niepojęty. Nie wiedziałem, czy cokolwiek wiedziała o rozmowie z siostrą, lecz nie mogłem nie zadać sobie pytania, czy usunęła się z drogi, by ułatwić zadanie pani Barraclough, czy też z niezgody wobec jej zamiarów, a może też z całkowicie niewinnego pragnienia podziwiania zachodu słońca w samotności.

Nagle uświadomiłem sobie, że może właśnie dlatego pani Barraclough zaprosiła mnie do Ixelles, a wręcz nawet przyjechała do Brukseli. Mój osłabiony febrą umysł uchwycił się wówczas samego zaproszenia, nie wnikając w jego pobudki; teraz zrozumiałem, że Katrijn dostrzegła w tym zaproszeniu i mojej zgodzie na nie więcej, niż przyszło mi do głowy.

Pani Barraclough zamierzała nas już opuścić. Nagle panna Durward oznajmiła, że ona także czuje się znużona i pójdzie w ślady siostry.

- Oczywiście - powiedziałem, choć nigdy dotąd nie przyznawała się do zmęczenia. Boleśnie świadom wszystkiego, co zostało i nie zostało powiedziane, ujrzałem w jej słowach dowód - być może nieprawdziwego - zawstydzienia i niechęć pozostawiania ze mną sam na sam. Stąd też w nasze pożegnania wkradła się fałszywa nuta, rezerwa, obca w serdecznej przyjaźni, która dotychczas nas łączyła.

Następnego dnia o świcie wyruszyłem do Ostendy, a podczas monotonnej podróży do Felixstowe, a stamtąd do Bury St Edmunds miałem aż zbyt wiele mil lądowych i morskich, by do woli rozważać perspektywę życia w Kersey, nieożywianego dalszą korespondencją z panną Durward.

* * *

Sprawy w Kersey nie miały się lepiej, ale też nie gorzej, niż się spodziewałem.

Rankiem po moim powrocie zostawiłem konia w Crown i ruszyłem przez bród po stromej wiejskiej uliczce do domu Stebbinga.

- Dzięki Bogu, wrócił pan - rzekła pani Stebbing, osobiście otwierając mi drzwi. - On się zadręcza na śmierć myślami o dworze i żniwach, a nie może nic zrobić. Doktor powiedział, że nie wolno mu się nadwierać. Ale wie pan, jaki jest Stebbing, zawsze sumienny, troski go zjadają, czy potrzebnie, czy niepotrzebnie.

Głos jej lekko zadrżał. Ująłem jej dłoń.

- Jakże się pani miewa, pani Stebbing? Obawiam się, że przeżyła pani dni troski. Lecz Stebbing nie musi się już o nic lękać. - Przystąpiłem ich próg i położyłem kapelusz na stole. - Co nie oznacza, że nie będę sobie cenić jego rad, kiedy wydobrzeje na tyle, by je dawać. Czy mogę się z nim spotkać?

- Oczywiście, a on będzie panu bardzo rad. Proszę za mną. Poprowadziła mnie do paradnego pokoju na piętrze. Stebbing

leżał w łóżku przy długim, niskim oknie, oparty na licznych poduszkach. Był to tęgi mężczyzna, silny i szybki w ruchach, gdy było to potrzebne, choć gdym go poznał, stuknęła mu sześćdziesiątka. Jednak teraz ciało mu się zapadło, a prawą stronę twarzy wykrzywił skurcz. Jedną ręką leżała skurczona i nieprzydatna na poduszkach. Chwyciłem go za lewą - jakże często ścisnąłem moim przyjaciółom i żołnierzom lewe ręce - i wyraziłem swój smutek na widok jego stanu, zapewniając, że choć dwór oczywiście odczuje jego nieobecność u steru, wszystko potoczy się jak najlepiej.

- Tak, wiem o tym - powiedział, jedynie nieco rozwlekle i zniekształcając słowa. - Widzę, jakie wózki mijają okno i kto się spóźnia do pracy, kogo wysyłają na które pole i jak się mają zbiory i konie. Lecz nie mogę stanąć na polu, rozetrzeć kłosa w dłoniach i rzec, że pora zaczynać żniwa. Czasami myślę, że czuję w dłoni ziarno albo ściernisko pod stopami, lub śnię, że jadę wozem drabiniastym do stodoły. Lecz potem się budzę i ledwie mogę podnieść głowę, a nawet gdy widzę świt, cóż mi po tym, skoro nie wstanę i nie zajmę się robotą.

Cóż mogłem odpowiedzieć? Ścisnąłem jedynie jego dłoń. Jeszcze nigdy nie słyszał, jak mówi tak o swych uczuciach; gniew trząsł jego porażonymi mięśniami i obudził we mnie podobny gniew, choć od dawna sądziłem, że odszedł, bo i ja dobrze wiedziałem, co znaczy czuć tak dokładnie i boleśnie świat, którego nie mogę dotknąć.

Rozmawialiśmy jeszcze o zbiorach i trzodzie, lecz szybko zmogło go zmęczenie i wkrótce uznałem, że pora się pożegnać. Obiecałem, że złożę mu wizytę jak najszybciej, by powiadomić go o postępach żniw.

- Lecz proszę się nie lękać - rzekłem do pani Stebbing, schodząc po schodach. - Nie powiem nic, co go wyprowadzi z równowagi.

- Myślę, że spotkanie z panem uleczy go lepiej niż aptekarskie mikstury, a przy tym da mu poczucie, że nadal ma coś do powiedzenia. Jak wspomniał, wie, jak się sprawy mają, tylko nic nie

może zrobić. Kazałam chłopcom przyciągnąć łóżko pod okno, by widział ulicę, gdyż lubi być w środku wydarzeń i działać. Zawsze taki był. - Zatrzymała się na środku pokoju i przesunęła ręką po oczach. - Dlatego mi wpadł w oko. Na jarmarku Michaelmas w Bury. Nawet teraz, gdy na niego spoglądam, jakbym tam wróciła, czterdzieści lat wstecz. Był taki wysoki i silny, i zarządzał warsztatem ojca jak się patrzy, choć miał ledwie dwudziestkę. Nigdy nie był z tych, co opuszczają ręce i nie chwytają szczęścia. Czekaliśmy dziesięć lat, by się pobrać, gdyż musiał się dorobić. Ale nigdy tego nie żałowałam! - Umilkła i spojrzała w ogień w palenisku.

- Jakże mi żal, że los go tak doświadczył - powiedziałem.

- No tak. Doktor mówi, że nie ma już niebezpieczeństwa, jeśli będzie się oszczędzać. I to ciągle mój William, choćby nie wiem co. Gdyby jeszcze oślepl, nie tylko okulał - gdyby całkiem stracił rozum - i tak będzie mój, a ja jego, aż do dnia Sądu Ostatecznego.

Wracając do Kersey konno, czułem na policzku żar późnego lata, a w uszach dźwięczały mi wciąż słowa pani Stebbing.

Niekiedy wir pracy sprawiał, że zostawałem na nogach do późna w nocy; gdy uporałem się z pracą, której nie wykonano z powodu choroby Stebbinga, z zadowoleniem zamieniłem księgi rachunkowe i tytuły własności na łomot i dym nowych młockarni oraz głęboki sen znużonego ciała.

Lecz gdy żniwa dobiegły końca, moja obecność na polach stała się zbędna, a wieczory jęły się dłużyć. Przez jakiś czas znajdowałem przyjemność w subtelnych mgłach i ciepłych zachodach słońca, a także w ciszy domu, ogarniającej mnie, gdy stałem na wielkiej posadzce z czarno - białego marmuru, lub chodziłem po schodach, wiedząc, że do mnie należy ten dom i ziemia pod moimi stopami. Kiedy ogarniał mnie niepokój, mogłem pójść do stajni, a jeśli pod ręką nie było żadnego stajennego, sam siodłałem mego konia, czując jedynie odległe drgnienie tęsknoty za Dorą. A potem otwierały się przede mną lasy, ścieżki i doliny.

W jedno z takich popołudni, kiedy znużony słabym światłem w moim gabinecie zapragnąłem świeżego powietrza i ruchu, po raz pierwszy od mego powrotu ujrzałem owego chłopca, przycupniętego w koronie wielkiego dębu i spoglądającego na mnie z góry, gdy wyjeżdżał z podwórza na nowym młodym koniu. Jego twarz mignęła niczym półksiężyc wśród liści. Na widok dziecka igrającego na mych

ziemiach przypomniałem sobie słowa pani Barraclough: „Jego bezpieczeństwo, a jednocześnie swoboda w poznawaniu natury, świata, jest tym, co liczy się dla mnie ponad wszystko”.

Bidassoa ploszył się i opierał, gdyśmy zbliżali się do drzewa.

- Hej, tam! - zawołałem, a chłopiec przez chwilę zdał mi się przerażony niczym zajaczek. - Ktoś ty?

Pokręcił głową i nadal trwał bez ruchu.

- Nie lękaj się!

Jego twarz była ogorzała od słońca, od którego jego włosy wypływały do bieli. Potem zniknął. Wśród liści wzmoгло się poruszenie, trzasnęły gałęzki i zniknął. Zostałem tam jeszcze przez chwilę - Bidassoa stopniowo się uspokajał - a potem zawróciłem ku alei z zamiarem wypróbowania mego wierzchowca.

Chłopca spotkałem znowu parę dni później. Wyprawilem się samotnie ze strzelbą, bardziej by mieć usprawiedliwienie dla mych włóczęg tego pięknego popołudnia, niż poważnie się spodziewając coś ustrzelić, gdyż nie było jeszcze sezonu na prawdziwą zwierzynę.

Na skraju jednego z najbliższych zagajników wziąłem na cel gołębia, a kiedy zaczęło się zmierzchać, dostrzegłem pół tuzina królików, które wyległy na wieczorny żer na łąkę. Przeładowałem strzelbę, cicho nawołując psy, by nie puściły się w pościg za tym należącym się im prawem natury łupem, po czym ruszyłem ku łące.

Położyłem dwa króliki dwoma strzałami i wysłałem po nie psy. Idąc za nimi z wolna, z zaskoczeniem ujrzałem, że odbiegają od łupu i skręcają ku żywopłotowi. Potem Titus uniósł łeb i zaniósł się ujadaniem.

A tam, pod żywopłotem, przyczał się chłopiec. Przez chwilę zdjął mnie lęk, że go trafiłem, bo widziałem, że rozpaczliwie usiłuje się przebić przez gęsty i ciernisty żywopłot. Nell i Titus stały nad nim, radośnie szczekając, z płasko położonymi uszami i merdającymi ogonami.

Odwołałem je i zbliżyłem się. Chłopiec miał oczy pełne strachu, na mój widok zaś podwoił wysiłki, by umknąć.

- Nie lękaj się! - zawołałem. - One cię nie ugryzą. Powiedz, czy jesteś ranny?

Wstał i pokręcił głową, choć widziałem, że z paru ranek zaczyna się sączyć krew. Na miejscu strachu pojawił się gniew.

- Ty głupi malcze! Nie słyszałeś strzałów? Po jakiego diabła się tu zakradasz? Nie wiesz, że mogłem cię zastrzelić? Ty mały idioto! Powiem twojemu ojcu, żeby ci sprawił dobre lanie! Mogłem cię zabić!

Ale on zdawał się nie pojmować. Dygotał jak w malarii, a kiedy otworzył usta, nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Miał na sobie tylko nędzne spodenki, mógł mieć najwyżej sześć lub siedem lat.

- No cóż - rzekłem - tym razem nie stało się nic złego. Ale kim jesteś? Jak masz na imię? - Pokręcił głową. - Twoim ojcem nie jest żaden z mych dzierżawców, prawda? - Znowu zaprzeczenie. - Więc kim jest twoja matka?

Na to skoczył konwulsyjnie, wydarł się z cierni i pnączy i uciekł ode mnie tak szybko, jak tylko mogły go ponieść te małe nożyny. Ujrzałem jego podrapany i krwawiący grzbiet.

- Czeka! - zawołałem, kuśtykając za nim. - Czy się zgubiłeś? Pozwól, że ci pomogę, mogę ci pomóc, ale musisz mi powiedzieć, kim jesteś. Czeka! Wiem, że się zgubiłeś! Mogę ci pomóc.

Dwa bażanty śmignęły z lasu z krzykiem, który brzmiał, jakby odwiedziono kurki tuzina strzelb. Na ten hałas psy całkiem zapomniały o ułożeniu i popędziły za chłopcem. Dostrzegł je, przez ułamek chwili znieruchomiał w prawdziwej zgrozie, odwrócił się, przelazł przez żywopłot i zniknął. Gdy wreszcie sam dokuśtykałem do krzewów, nie było po nim ni śladu, choć nie pojmowałem, gdzie mógł się podziać.

Krzyknąłem na psy, dygoczącymi rękami odczepiłem rzemień od broni i jałem sieć je okutymi metalem końcami, raz po raz, aż do bólu ramion, bo gniew odebrał mi przytomność umysłu. Przestałem dopiero, kiedy ujrzałem krew, sączącą się po spoconym boku Nell.

Zapiąłem rzemień. W żołądku miałem dziwne, mdlące uczucie. Na polu bitwy panuje zdziwienie, w żołnierskim życiu niewiele mniejsze, lecz na co mi przyszło, że incydent tak drobny, tak absurdalny, wyzwolił we mnie taką dzikość? Czy to właśnie ujrzała we mnie panna Durward?

Zostawiłem martwe króliki, gdzie leżały, zabrałem torbę na łupy i zacząłem kuśtykać ku domowi, z obolałą głową i ołowianymi ze zmęczenia kończynami. Nell i Titus sunęły przy mnie chyłkiem, jak przerażone cienie.

Zrozumiałem: to ten chłopiec. Znałem jego lęk równie dobrze jak własny. I chciałem mu pomóc, a on uciekł.

* * *

Drogi majorze,

Trzeba było paru tygodni braku listów i wyznania Hetty, bym uświadomiła sobie, iż powodowany dobrym wychowaniem czeka Pan na me zapewnienie. W każdym razie ufam, że to dobre wychowanie, nie zła wola, jest powodem pańskiego milczenia.

Nie - przezwyciężę zażenowanie i postawię sprawy bardziej wprost. Jeśli nie czuje się Pan na siłach pisać do mnie, to słusznie sobie na to - ja i Hetty - zasłużyliśmy. Lecz jeśli znajdzie pan w swym sercu chęć przezwyciężenia tego, co, jak się obawiam, może być bardzo naturalnym gniewem, zapomni Pan Hetty jej wścibstwo, a mnie - bycie jego przyczyną. Będę za to nadzwyczaj wdzięczna. Nie sądzę, że mogłabym znieść życie w Ixelles bez wsparcia choćby drobnych chwil naszej dawnej znajomości. Nawet akapit o ziemi w Torres Vedras lub cenie, jaką dostanie Pan w tym roku w Suffolk za ziarno, będzie mi pomocą w zachowaniu zdrowych zmysłów od śniadania po kolację.

W zeszłym tygodniu wyprawiliśmy się do Tournai i z wieży katedry podziwialiśmy widok na Mons. Znow pomyślałam, jakie to niewyobrażalne, że ten cichy flamandzki krajobraz mogły skazić okopy i stanowiska artyleryjskie, jakie opisywał pan w Torres Vedras. Lecz za nic nie prosiłabym Pana o opisywanie tych wydarzeń, jeśli Pan sobie tego nie życzy. A pańskie życie w Hiszpanii po wojnie? Tak rzadko Pan o nim wspominał, choć sytuacja musiała się wydać Panu sprzyjająca, skoro tak długo zabawił Pan w San Sebastian.

Tu muszę skończyć, gdyż mam obowiązek towarzyszyć Hetty podczas składania wizyt. Zaczynamy się zapoznawać z sąsiadami, więc oczekują nas rozkosze rwącej się rozmowy, delikatnej porcelany i podziwiania niemowląt w tiulach. Jest wskazane, by Hetty jeszcze przez parę tygodni nie wracała do Anglii, więc tylko w Panu nadzieja na złagodzenie tej nudy, jeśli znajdzie Pan chęć, by odpisać na list pańskiej przyjaciółki

Lucy Durward

List ten leżał na mym biurku, gdy przybyłem. Znalazłem go, znużony i zakurzony, po dniu spędzonym w polu. Przeczytałem go, jeszcze stojąc, i natychmiast usiadłbym, by odpisać, lecz właśnie

podano wieczerzę, a wiedziałem, że przepaszający list panny Durward zasługuje na coś więcej niż pospiesznie skreślony bilecik.

Co więcej, odpowiedź, którą napisałem jeszcze tego wieczora, w istocie okazała się pospieszna, gdyż pisząc, zdałem sobie sprawę, że jeśli wyznaniem prawdy mam oddać sprawiedliwość naszej przyjaźni i liberalnemu umysłowi panny Durward, muszę spisać mą historię tak, jak ją czułem, szybko, a jeśli moje wspomnienia gwałcą zasady przyzwoitości, niechże i tak będzie.

Droga panno Durward,

List Pani przejął me serce radością, a gdyby postępowanie siostry Pani wymagało wybaczenia, udzieliłbym go jak najchętniej i nie zwlekając, lecz moje pragnienie powrotu do poprzedniej korespondencji przerasta wszystko inne i każe mi proponować, byśmy więcej nie wspominali o tej kwestii. Co więcej, czuję, iż jestem winien Pani wyjaśnienie względem mego zachowania przy paru okazjach, ponad wszystko zaś - daremności spontanicznej próby siostry Pani.

Ostatniego wieczora mej bytności w Ixelles powiedziałem, że na imię miała Catalina. Była rodowitą Kastylijką, lecz mieszkała w Berze, w Kraju Basków. Lekka Dywizja dobrze poznała krainę tę latem roku 13 i nie lękałem się, że pobyt w tak żyznym i malowniczym otoczeniu - które stare wiarusy z kampanii pamiętały z mniej życzliwych pór roku - zrodzi w żołnierzach niecierpliwość płynącą z bezczynności, gdyż Francuzi nieustannie przebywali o parę mil od naszego obozowisku na szczycie Santa Barbara.

Ujrzałem ją parę razy na rynku w Berze, nie znając jej imienia. Rozmawiała z sąsiadkami życzliwie, a jednak z rezerwą. Kiedy Francuzi ostrzelali Berę, a ja wyruszyłem wycofywać nasze przyczółki, ujrzałem ją siedzącą na ziemi wśród strzaskanych straganów. Tuliła chłopca, który trzymał obandażowaną głowę na jej kolanach, a kikuty nóg na kamieniach. Oczy mu się zamgliły i wyszeptał:

- Catalina!

Wówczas niewiele o tym myślałem. Bardziej pilnym zadaniem było wyprowadzenie moich ludzi, później zaś zajęła nas mała katastrofa, jaką była utrata mostu prowadzącego do Bery oraz pięćdziesięciu żołnierzy.

Inni oficerowie byli najlepszymi z kompanów i towarzyszy broni, jakich mogłem sobie wymarzyć, lecz czasem tęskniłem za samotnością. Wówczas wkładałem do kieszeni tomik Wergiliusza lub Rousseau i wykradałem się z obozu, gdyż dzieła tego ostatniego nie wydają mi się mniej prawdziwe i inspirujące pomimo złej reputacji, jaka ciąży nad jego imieniem. Kraina ta jest tak pełna skał i drzew, że szybko znajdowałem zacisze, w którym mogłem się cieszyć samotnością i lekturą, lecz pewnego upalnego popołudnia szedłem uparcie - z szybkością, która teraz pozostaje dla mnie wspomnieniem jedynie - dopóki nie dotarłem do szczeliny skalnej, w której między kamieniami burzył się mały strumień, tworzący w pewnym miejscu rozlewisko, by zaraz potem rzucić się z urwiska i połączyć w dole z rzeką Bidassoa. Zatrzymawszy się nad strumieniem, usiadłem oparty o pień drzewa i otworzyłem książkę.

Raptem usłyszałem lekkie stąpanie i oto ukazała się ciemnowłosa Catalina. Miała na sobie błękitną suknię i niosła lniany ręcznik. Gdy znalazła się nad rozlewiskiem, oddzielonym od wodospadu paroma jardami płaskiej ziemi, zatrzymała się, nieco zdyszana.

Nie zamierzałem się ukrywać, lecz zapomniałem, iż mój ciemnozielony mundur strzelca otrzymał ten kolor, by nie było go widać w cieniu drzew, stąd też oczywiście Catalina nie mogła mnie dostrzec. Ze względów honorowych powinienem się oddalić, by mogła wówczas ujrzeć mą obecność i odejście. Z drugiej strony, niektórzy moi kompani nie wahaliby się czynić jej awansów, ja zaś nie miałem powodów przypuszczać, że nie zostałyby one przyjęte równie chętnie jak przez inne wiejskie dziewczęta. Jednak pamiętałem o jej godnym i skromnym zachowaniu na gwarnym rynku i sposób, w jaki poruszała się, sądząc, że nikt jej nie widzi, kazał mi się zatrzymać. Powiedziałem sobie, że nie chcę zniszczyć tej swobody, przyczynić się do jej zażenowania i niepokoju, a tym bardziej do dobrze uzasadnionego lęku, który każdy żołnierz okupacyjnej armii, nawet angielski oficer, może wzbudzić w kobiecej piersi. Więc siedziałem bez ruchu nawet wówczas, gdy zrozumiał, iż zamiarem nieznajomej była kąpiel.

Nieraz pływałem po służbie w Bidassoa i wiedziałem, jaka jest zimna, jak obmywa ciało z potu i skwaru dnia, umysł zaś ze zmęczenia. Nieznajoma weszła w płytką wodę i zadrżała z zimna, a odbicie gór i nieba w wodnej tafli rozprysnęło się w licznych

zmarszczkach. Przez chwilę stała bez ruchu, potem zaś zaczęła iść przed siebie, coraz bardziej zanurzając się w głębszej części rozlewiska. Położyła się, wyciągnęła ramionami i poruszyła nimi w nurcie. Niemal widziałem krople wody, drżące na jej skórze, jak perły drżą przy uszach damy. Potem wyciągnęła grzebienie z włosów, rzuciła je na mech i rozpuściła sploty w wodzie.

Potajemny odwrót nie był już możliwy - ani rycerski, gdyż nieznajoma wyprostowała się, wstała i wyszła na brzeg.

Żołnierz w towarzystwie kobiet potrafi przekroczyć wszelkie granice. Na ogół pisany nam los biedaków, a naszą powinnością jest posłuszeństwo, lecz wstrzemięźliwość nie zalicza się do żołnierskich cnót. Byłem doskonale obeznany z kobiecym towarzystwem wszelkiego rodzaju, lecz nigdy dotąd nie widziałem kobiety niezdającej sobie sprawy, że patrzy na nią mężczyzna. W jej ruchach, gdy się wycierała i ubierała, nie widziałem kunsztu ni lęku. Raczej była jakby zatopiona we własnych myślach. Tak jak skóra moja pamiętała lodowaty pocałunek górskich rzek, tak teraz znałem i szorstki dotyk jej lnianego ręcznika. Dopiero potem ujrzałem, jak zgrabna i przyjemna dla oka jest jej figura. Kostki miała kształtne, a płeć koloru jasnego złota, którą nauczyłem się cenić równie jak białoróżową kompleksję angielskich ślicznotek, a może i nad nią przedkładać. Włosy jej, czarne i jedwabiste, spływały po plecach niemal do kolan. Usiadła na kamieniu i przerzuciła je w przód, wycisnęła z nich wodę, wytarła ręcznikiem i przesunęła przez nie palcami. Potem zaplotła gruby warkocz i na powrót upięła. Gdy wstała, znów ujrzałem dziewczę z rynku. Na jej sukni widniała plama po krwi chłopca, niewywabiona przez czas i słońce. Był jej bratem, kuzynem, może i kochankiem, gdyż nie nosiła obrączki. Bardzo pragnąłem się jej ukazać, zanim zbiegnie po zboczu do miasta, lecz nadal kryłem się w cieniu. Choć była już odziana i obuta, zrozumiałaby, com widział, i żadne moje słowo nie mogłoby zatrzeć tej świadomości.

W końcu odwróciła się, a ja nasłuchiwałem tak długo, aż jej kroki ucichły na kamienistej ścieżce pomiędzy drzewami. Gdy słyszałem już tylko ptaki, strumień i wiatr w gałęziach, wyjąłem z kieszeni zegarek i przekonałem się, że się zatrzymał. Nie wiem, ile minęło minut lub godzin, lecz słońce, aczkolwiek zamglone, znalazło się

nisko, świadcząc o późnej godzinie i konieczności pospiesznego powrotu do obozu i powinności.

Gdym ujrzał Catalinę po raz wtóry, znów nad strumieniem, dołożyłem starań, by jej nie przerazić i ani o włos nie przekroczyć granic, na które mogłaby zezwolić z lekkim sercem. Ojciec jej był surowym strażnikiem, powiedziała, na modłę hiszpańską, lecz śmierć jej brata złamała mu serce - na te słowa jej oczy pociemniały, a usta zadrżały, tak że poczułem się w obowiązku pocieszyć ją, nim podjęła opowiadanie - i teraz niewielką zwraca uwagę na jej postępowanie, jeśli o wyznaczonej porze znajdzie na stole obiad. Nie wahałem się wykorzystać tej nieuwagi, jedynie dlatego, że Catalina mniej była narażona na naganę i karę. Nigdy nie uczyniłbym niczego, co kazałoby jej szukać obrony ojca. Widziałem ją, gdy była prawdziwą, sama przed sobą, i za tę prawdę pokochałem ją miłością większą, niż mógłbym dać jakiegokolwiek innej ludzkiej istocie. Kiedy mi się oddała, ja oddałem jej całą duszę i wiedziałem, że zachowa ją do końca naszego życia.

Ale życie nasze wspólne było krótkie. Mieliśmy dla siebie jedynie trzy tygodnie. Spotykaliśmy się, gdy to było możliwe, w stodole na górskim zboczu lub w innych schronieniach, jakie tylko mogliśmy znaleźć, i tylko czasem, gdy ojca nie było, w jej domu. Gdy w początkach września dowództwo dowiedziało się o upadku i złupieniu San Sebastian, wiedziałem, że niewiele nam czasu zostało, i w rzeczy samej, me obowiązki wojskowe stały się coraz bardziej zajmujące. Zrozumiałem, że wkrótce przypuścimy atak na Francuzów, by odepchnąć ich za granicę.

Nasze spotkania stały się mniej częste; czasami się spóźniałem lub zgoła nie mogłem się stawić, lecz ona nigdy mnie za to nie ganiła. Nie miała także najdrobniejszych niepokojów sumienia o to, co nas łączyło, tak jakby i ona czuła, że miłość nasza przekracza ludzkie zasady i że wikary ma równie niewielkie prawo nas sądzić jak rzeźnik czy piekarz.

Nasz sekret mógł osądzać Bóg jedynie i wiedziałem, nie pytając Jego ani tych, którzy zwykle mienią się Jego przedstawicielami, że to, co łączy Catalinę i mnie, w oczach Jego mogło być jedynie słuszne.

Walka o Pireneje trwała jeszcze parę tygodni, gdyż musieliśmy zdobywać każdą przełęcz i liczne szczyty, i choć w wojskowym zrozumieniu sprawy toczyły się z wolna, gdyśmy czekali na coraz

gorszej pogodzie, na zmianę przypuszczając okrutne ataki w góry, wkrótce dziewięćdziesiąty piąty znalazł się poza Berą.

Zawsze wiedzieliśmy, że przyjdzie dzień, który nas rozłączy, a także że nie będziemy mogli do siebie pisać: listy ode mnie naraziłyby ją na najbardziej wulgarne kalumnie, do jakich zdolne jest tak małe miasteczko, ona zaś nie mogłaby wiedzieć, na jaki adres pisać. Lecz miłość nasza była tak potężna, że pókiśmy byli w swoich ramionach, przyszłość zdawała się nieskończenie odległa.

Pewnej nocy poprosiłem Catalinę o rękę, choć nie miałem wystarczających środków, by jej zapewnić przyszłość, ani też nie śmiałybym ujrzyć jej w brutalnych warunkach obozowych. Poprosiłem ją, gdyż kochałem całym sercem i samolubnie pragnąłem zabrać ją ze sobą, lecz także chciałem ją chronić przed gniewem ojca i piętnem, które w oczach innych skaziłoby jej dobre imię, gdyby miłość nasza wyszła na jaw.

Lecz Catalina odmówiła i od tej pory niezłomnie odrzucała me błagania. Nie chciała opuścić ojca, ja zaś nie mogłem złamać przysięgi. Wojna może się toczyć jeszcze latami, po niej zaś bez wątpienia nastąpi inna, a co mi po niej w wojsku? - spytała. Jakże mogłaby znieść świadomość, że przez wzgląd na nią zaniedbuję me obowiązki? Poza tym nie była damą, ja zaś miałem rangę oficera. Nie umiałaby się zachować i wstydziłbym się za nią. Krótko mówiąc, zawsze byłaby mi ciężarem. Lepiej zakończyć to teraz, rzekła ze łzami w oczach, dopóki miłość nasza jest tak doskonała, że do końca życia nie będziemy pragnąć innej.

Spędziliśmy razem całą noc, gdyż jej ojciec wyjechał, a miłosnych naszych uścisków nie zakłócaliśmy słowami, niewiele bowiem zostało do powiedzenia. Catalina zasnęła w mych ramionach, tak blisko mnie, że czuję ją po dziś dzień.

Musiałem ją opuścić przed świtaniem. Przyrzekliśmy sobie spotkanie wieczorem przy strumieniu. Lecz kiedym wrócił do obozu, czekały mnie rozkazy - w południe mieliśmy wyruszyć. Nie mogłem żadną miarą się z nią spotkać ani pożegnać. Lecz żadna wiktoria w tej wojnie - ani walka o La Petite Rhune, ani o Bayonne, Tarbes czy Tuluzę, ani Quatre Bras, ni samo Waterloo - nie może wypalić z mego serca wspomnienia Cataliny.

Skończyłem pisać, gdy niebo na wschodzie jęło szarzeć. Ostatnia świeca skwierczała, lecz zdołałem roztopić nią воск. Złożyłem list,

napisałem adres i zapieczętowałem, nie czytając po raz wtóry. Potem w koszuli, drżąc na porannym chłodzie, ruszyłem z ciężkim listem w dłoni. Ptaki witały nowy dzień pierwszymi nieśmiałymi trelami.

W stajniach chłopcy krzatali się ospale wokół porannych obowiązków. Ten, któremu rozkazałem pojechać do Bury St Edmunds, zaczął siodłać konia.

- Szybko! - rzekłem. Włożył list do kieszeni, jakby nie miał większego znaczenia niż rachunek od dostawcy. - Musisz złapać pierwszy dyliżans pocztowy.

Gdyż spisując mą historię - dając jej życie oddzielne od mojego - nade wszystko chciałem, by pragnienia znalezienia współczucia panny Durward nie stłumił lęk przed jej niesmakiem.

* * *

W moim śnie wirowały liczby, ułamki sekund dryfujące jak pyłki w promieniu słońca, liczby przysłony zamykającej się jak ostrza wokół czarnej źrenicy oka aparatu: dwieście pięćdziesiąt to numer przysłony, choć powinien to być ułamek, jedna dwieście pięćdziesiąta sekundy, cząsteczka czasu: tak samo z tysiącem, jedna tysięczna, fragment fragmentu. Ale trzysta siedemnaście? Co to ma być? Potem cyfry utworzyły trójkąt, cecilowy trójkąt z patyków, tylko większy, że pomieściłby człowieka.

Kiedy się obudziłam, trzysta siedemnaście nadal tłukło mi się po głowie, ale światło kładło się na moim łóżku ciepło i cicho. Poruszyłam nogami. Wczoraj w nocy było za gorąco na nocną koszulę i moje nagie ciało przesunęło się po miękkiej pościeli jak w wodzie. Uniosłam rękę i prześcieradło ześliznęło się z niej, a światło prześwieciło bawełnę pasmami. Wokół moich kolan i bioder leżały fałdy materiału i wyglądałam jak kamień w strumieniu.

Gdzieś bił kościelny dzwon, jeden dzwon - ding, ding, ding, pauza, ding, ding, ding. Nie rozróżniałam kierunku, wydawało mi się, że jest bardzo daleki i bardzo cichy, jakby stłumił go ten czas, który musiał pokonać, żeby do mnie dotrzeć. Zapomniałam, że to niedziela. Straciłam poczucie czasu, miałam wrażenie, że przeżyłam mnóstwo dni wypełnionych nowymi ludźmi, niebem, drzewami, twarzami, a czas między nimi prawie nie istniał. Niezliczone dni, odkąd poznałam Theo.

Było właściwie chłodno. Umyłam się, włożyłam szorty i top, a na ramiona zarzuciłam bluzę. Wzięłam mój aparat - aparat Theo - bo

skoro światło padało tak na moje łóżko, to chciałam sprawdzić, jak się kładzie na kolumny, sosny i polankę wokół stajni. A myśląc o nich, pomyślałam o Stephenie. Zostały jeszcze dwa listy. Wzięłam jeden, bo byłam ciekawa, co nastąpiło potem, a ostatni zostawiłam na koniec. Jeśli był tam jakiś koniec. Bo oczywiście choć Stephen kończył te historie, które chciał opowiedzieć, w liście mogło nie być końca historii jego i panny Durward.

Na dworze było tak, jakby słońce postanowiło zmienić ten dzień w niedzielny poranek, żeby ten jeden raz - tylko tutaj - pamiętało się jedynie o spokoju, nie o zamkniętych sklepach, nie o kacu. Była też leciutka mgielka, która rozrzedzała cienie i łagodziła oślepiający blask słońca, więc promienie dotykały kolumn, trawy, wzgórz i dolin łagodnie, gładząc wypukłości.

Potem zobaczyłam Cecila. Siedział skulony w kącie portyku wśród kurzu i suchych liści. Spał. Światło wślizgiwało się między kolumnami i muskało jego gołe plecy. Były podrapane i pokłute, a krew zastygła w kropelkach i smugach, jakby władował się w jakieś zarośla. Wysoko na każdym ramieniu miał nowego siniaka.

Zadrzał i zwinął się w kłębuszek, ale się nie obudził. Czy na dworze spało mu się lepiej niż w pokoju? Czy nie mógł się dostać do zamkniętego na noc domu i nikt nie zauważył, że nie śpi we własnym łóżku?

Zdjęłam bluzę i przykryłam go. Wyciągnął rękę, ścisnął rękaw - przestraszyłam się, że go obudziłam, choć chciałam tylko, żeby lepiej mu się spało. A może powinnam go obudzić i zabrać do domu? Był mały, zagubiony i pewnie obolały, skoro tak leżał na kamieniu. Ale potem wsunął kciuk do ust, rozległo się ciamkanie i z jego skulonych pleców ulotniło się napięcie. Odeszłam na palcach i ruszyłam po trawie, jakby słońce otulało także moje stopy. Kiedy obejrzałam się na dom, zobaczyłam, że krople światła uwięzione w rosie znikły, rozgniecione, tam gdzie przeszłam.

Zrobiłam kilka zdjęć, ale było tak cicho, że nawet migawka wydawała się zbyt hałaśliwa. W lesie światło nadało mgłę odcień bladobłękitnego i złotego aksamitu, przeplecionego wśród drzew i zbierającego się w małych przerwach w zaroślach. Samo patrzenie mi nie wystarczało: chciałam dotknąć tego światła, żyć w nim przez jedną chwilkę. Usiadłam oparta o drzewo, słońce położyło się piegami na moje kolana i list Stephena. Pisał go z Kersey, z domu. A ona? Tym

razem nie potrzebowałam cienia w lustrze. Ten list był tak długi, że pisał także na odwrocie ostatniej kartki, a na ostatnim wolnym miejscu nakreślił adres.

Panna Lucy Durward, Chateau de LAbbaye, Ixelles, Bruksela, Belgia.

Więc Lucy też tam była. W tym samym czasie? Czy przez chwilę mogli rozmawiać ze sobą zwyczajnie, bez pośrednictwa listów? Nie zwróciłam uwagi na daty - będę musiała sprawdzić w innych listach. Ale Stephen wrócił do Kersey, a ona była w Brukseli. Co takiego musiał zawrzeć w liście, czego nie mógł jej powiedzieć osobiście?

Pismo było proste i szybkie, jakby koń rzucił się do galopu:

Droga panno Durward, List Pani przejął me serce radością... Była rodowitą Kastylijką, lecz mieszkała w Berze, w Kraju Basków...

...Nie mogłem żadną miarą się z nią spotkać ani pożegnać. Lecz żadna wiktoria w tej wojnie - ani walka o La Petite Rhune, ani o Bayonne, Tarbes czy Tuluzę, ani Quatre Bras, ni samo Waterloo - nie może wypalić z mego serca wspomnienia Cataliny.

Ulicą przejechał samochód, rozklekotany jak taksówka. Rosa przemoczyła mi szorty, słońce się przesunęło. Wstałam; nogi ścierpły mi od długiego siedzenia. Ciągle myślałam o Stephenie i Catalinie i zastanawiałam się, co o tym myślała Lucy - i co do niego czuła - a potem dotarłam do polanki, spojrzałam na stajnie i zobaczyłam Theo.

Siedział w słońcu na pniu, gołymi plecami oparty o ceglana ścianę stajni, i przyglądał się, jak dym z papierosa unosi się spiralnie ku niebu. Światło lśniło mu na piersi i ramionach, prawie czułam zapach jego dymu i skóry, zmieszany z wonią sosen, lasu i zielonej trawy polanki. Gdybym tylko mogła podejść bliżej, żeby widzieć w kadrze tylko jego...

Na trzask migawki odwrócił głowę.

- Anna! Ranny z ciebie ptaszek.

- Śliczny dzień.

- Prawda? Wstałem, żeby wyprawić Evę w drogę, i nie mogłem wytrzymać w domu.

- Nie masz mi za złe, że zrobiłam ci zdjęcie... fotę?

- Za złe? Nie, skąd. Skoro chcesz... - Parsknął śmiechem. -

Przypomnę sobie, co napisał malarz Constable. Znasz to? Crispin raz mi przeczytał. Napisał tak: „Nie ma nic brzydkiego; nigdy w życiu nie widziałem żadnej brzydkiej rzeczy, gdyż jeśli pozwolisz być

obiektem tym, czym być może, światło, cień i perspektywa zawsze uczynią go pięknym". - Umilkł, zastanowiłam się i roześmiałam, a on ciągnął: - To chłopak z tych stron, wiesz? Urodził się w East Bergholt. Pokręciłam głową.

- Nie byłam. Właściwie nigdzie nie byłam. Z wyjątkiem wioski.

- Mam pomysł - powiedział Theo, zaciągnął się długo papierosem i zgniótł go na kamieniu. - Pójdziemy na górę, zjemy jakieś śniadanie... a może już jadłaś?

- No... nie.

- Dobrze. A potem cię oprowadzę. Choć oczywiście najładniejsze widoki mamy o krok.

- Naprawdę? - spytałam, idąc za nim na górę.

- Jak mówi Eva, Kersey można znaleźć na zdjęciach w kalendarzach częściej niż jakkolwiek wioskę z tej strony Finchingfield - powiedział, wrzucając niedopałek do kosza. - Może z wyjątkiem Guildhall w Lavenham.

- Nie zauważyłam w wiosce nic takiego.

- Zauważysz. Croissanty mogą być?

Wioska była ładna, Theo miał rację, i nie pojmowałam, dlaczego pierwszego dnia tego nie dostrzegłam. Może za bardzo się skupiałam na gorącu i byłam wkurzona. Wydawało mi się, że od tego czasu minęły wieki. Theo jechał powoli główną ulicą - prawdę mówiąc, jedyną ulicą. Domy były z czarnych belek i tynków pomalowanych na białą, różową i beż w kolorze toffi. Wszystkie były zapadnięte, nic tam nie miało kątów prostych, ale były bardzo stare i solidne, na całym zboczu wzgórza aż po bród na dole. W rzece nie było nawet tyle wody, żeby kaczki zmoczyły łapki, choć Theo powiedział, że w zimie woda tak przybiera, że posiadacze co fajniejszych samochodów dwa razy się zastanowią, zanim przejadą przez rzekę.

- Raz widziałem, jak przejeżdża przez nią koń z wozem.

O wiele łatwiej - powiedział, a ja prawie usłyszałam chlupot wody pod kopytami i turkot kół. Dziwne to, kiedy Stephen tu mieszkał, tylko takie odgłosy się słyszało. A jak brzmi huk armat - i co się wtedy czuje - kiedy przez całe życie słyszało się tylko tętent i turkot?

- Jeśli przez wodę nikt nie przejeżdża, robi się dość nieruchoma - mówił Theo. - Odbija się w niej niebo i wieża kościoła.

Wieża była z krzemieni, białych i czarnoniebieskich, jak szachownica. Spojrzałam w górę i zobaczyłam ptaki, kołujące z wrzaskiem, małe, ale o skrzydłach zakrzywionych jak czarne szable.

- Jerzyki - powiedział Theo. - Podobne do jaskółek, tylko większe.

Jechaliśmy z otwartymi oknami. Theo trzymał papierosa na zewnątrz, tak daleko, że na węższych ulicach prawie muskał nim żywopłoty. Wypytywał mnie o mamę, Dave'a i szkołę, a ja mówiłam o wiele więcej niż zwykle, bo tak mi było przy nim swobodnie, w tym dużym samochodzie, z niebem dookoła - strasznie dużo tam było nieba - i polami wydętymi jak poduszki, od czasu do czasu pochłapanymi cieniem drzew. Przejeżdżaliśmy przez wioski, koło chat o małych oknach z kurami i psami o siwych pyskach, którym nie chciało się na nas nawet szczeknąć. A Theo słuchał tak uważnie i cicho, kiedy opowiadałam, jaka jest mama, kiedy rzuci ją chłopak i kiedy się przeprowadzamy. Nowe mieszkania i nowi chłopcy mamy, czasami nowa szkoła w środku roku szkolnego, kiedy wszyscy się już poznali. I nagle usłyszałam, że opowiadam mu, jak się raz zgubiłam, dawno temu, kiedy przeprowadziliśmy się do takiego osiedla, gdzie wszędzie są tylko pasáže i estakady. Mama wysłała mnie po mleko - musiałam mieć sześć lub siedem lat, niewiele więcej niż Cecil. I kupiłam to mleko, byłam przyuczona. Ale nie potrafiłam znaleźć drogi powrotnej. Nie rozpoznawałam znanych okolic. Tylko mury z czarnego betonu i ślepe zaułki. Skręciłam i zobaczyłam w oddali człowieka, idącego po jakimś pustym, obesranym przez psy trawniku, ale nie widziałam jego twarzy. Potem zrozumiałam, że nie pamiętam numeru domu ani mieszkania. Zaczęłam biec, nie wiem dokąd, po prostu biec, bo pomyślałam, że któraś ulica w końcu okaże się tą naszą, ale biegłam i biegłam i coraz bardziej nie poznawałam otoczenia i w końcu zrozumiałam, że zgubiłam się na zawsze. I wtedy potknęłam się na betonie, upadłam, otarłam sobie do krwi kolana i ręce, a butelka z mlekiem się rozbiła.

Opowiadałam to wszystko, chociaż myślałam, że od dawna tego nie pamiętam. I mówiłam, że znowu to poczułam, kiedy oni przeszli przez bramkę na lotnisku, a ja się odwróciłam.

Myślałam, że nie widać, ale zaczęłam płakać, choć normalnie tego nie robię. Naprawdę nie, ale tym razem się stało.

Tylko troszkę. Tylko przesunęłam ręką po policzku i pod nosem. Ale Theo się poznał, zatrzymał samochód na poboczu, wyjął z kieszeni wielką chustkę, rozprostował i podał mi ją. Poczułam zapach czystego prania, jego tytoniu i ciała.

- Biedna Anna - powiedział. - Biedna staruszka. To było paskudne. - I wtedy to już za skarby świata nie przestałabym ryczeć.

Minęło ze sto lat, bo potem zobaczyłam w popielniczce trzy nowe niedopałki, ale wtedy czułam tylko wielki, twardy i bolesny gruzel pęczniejący mi w brzuchu, ryczący w uszach i wybuchający przez oczy, nos i usta, i trochę tego bólu dotyczyło utraty Holly i Tanyi, a trochę odejścia mamy i nawet Dave'a, a część w ogóle nie dotyczyła osoby, tylko nieosoby, niczego, miejsca, w którym powinien być mój tata.

Miałam wrażenie, że ból zaraził wszystkie moje kości i mięśnie, i cała zrobiłam się zmęczona i obolała od tego pęcznienia i wylewania. W końcu położyłam się, bo byłam już zbyt wyczerpana, żeby się tak kulić, a Theo objął mnie ramieniem, więc chociaż ból przeze mnie płynął i wysączał się z moich rąk, ramion i nóg jak topniejący lód, czułam, że nie cała się rozpułnę i nie całkiem zniknę. Kiedy to wszystko odejdzie, coś jednak zostanie - to coś, co Theo trzymał, głaskał po włosach, prawie kołysał, i mruczał, nucił tu i tam, tu i tam, aż stało się całkiem jasne, że jednak coś zostało, że teraz muszę tylko odpocząć, oparta o Theo, a potem już nigdy więcej nie będę taka zagubiona.

- Pojedziemy na jakiś obiad? - spytał w końcu Theo. Odgarnęłam włosy, które przykleiły mi się do twarzy, wyprostowałam się trochę i pociągnęłam nosem.

- Tak. Proszę. Przepraszam.

Wyjął papierosy ze skrytki pod deską rozdzielczą, a drugą ręką przekręcił kluczyk w stacyjce. Zapalił, pochylając głowę, i wrzucił bieg.

- Nie wolno ci przepraszać. Chyba od dawna się na to zanosilo.

- Chyba tak. Ja nieczęsto... no, nie aż tak...

- Ci, którzy nieczęsto, najbardziej tego potrzebują. Eva jest taka sama. - Zaciekawilo mnie, co dokładnie ma na myśli, ale byłam zbyt wykończona, żeby spytać. Theo zerknął na mnie z ukosa i po chwili dodał: - Bardzo wiele przeżyła. Jej rodzice... Falangiści... No cóż, kiedy ludzie się dowiadują, że jestem Żydem z Węgier, robią się

ostrożni. Przynajmniej ludzie cywilizowani. Ale o Hiszpanii nikt nie pamięta. Potem wydawało się, że to była tylko próba generalna. A kiedy Eva usiłowała znaleźć jakieś wyjście poprzez fotografię... no, jako kobiecie było jej ciężko. Weź na przykład Gerde Taro.

Nie miałam pojęcia, o czym mówi, z wyjątkiem tego, że o wojnie.
- Kogo?

- No właśnie. Wspaniałą fotografkę, o której słyszało niewielu. Zginęła pod republikańskim czołgiem. Ale teraz jeśli się w ogóle o niej wspomina, to dlatego, że była dziewczyną Cappy. Następna jest Lee Miller - Man Ray już o to zadbał - a potem Penrose, w pewnym sensie. Przynajmniej prace Evy i moje bardzo się od siebie różnią, ale i tak... - Przez chwilę milczał. - Przepraszam, te nazwiska na razie nic ci nie mówią.

- Raczej nie. Przepraszam. - Nagle pomyślałam o Lucy Durward. Jeśli byli razem w Brukseli, to czy Stephen opowiadał jej historie? Pokazał jej, gdzie to wszystko miało miejsce - gdzie ludzie ginęli, gdzie on sam został ranny? Czy go słuchała, rozglądała się i wyobrażała sobie to wszystko i jego w tym wszystkim? Theo już się więcej nie odezwał, więc po chwili spytałam:

- A ty?

- Co ja?

- Co robisz z... z tymi tam? Z tym gównem? - spytałam i pomyślałam, że to dziwne: można mówić takie rzeczy, kiedy się siedzi obok kogoś w samochodzie, ale nie twarzą w twarz.

Zawahał się, jakby nie wiedział, czy chce odpowiedzieć. Strzepnął popiół przez okno i spojrzał przed siebie. W końcu powiedział:

- To zależy. Czasami gówno znajduje się na zdjęciach. Kiedy pojawi się na papierze przede mną, przestaje istnieć we mnie. I zawsze mogę pojechać dalej. I zdecydować, co będę robić. Przez Guernicę - to, co spotkało Evę w Sewilli - pojechałem do Berlina. To, co spotkało moją rodzinę... rzuciło mnie w końcu na wzgórze Golan. Ale część zostaje w środku. - Uśmiechnął się. - Kiedy w dniu lądowania w Normandii Capie... Robertowi, nie Cornellowi... skończyły się klisze, zaproponowano mu, że go zawiozą do Londynu na prelekcje w BBC i wywiady dla gazet. Odpowiedział: „Ale ja wystarczająco dobrze zapamiętałem tę noc”, przebrał się, wziął zapas

klisz i pierwszym statkiem wrócił do Normandii. Niektóre sprawy... niektóre noce wystarczająco zapadają w pamięć... Jesteśmy.

Jechaliśmy główną ulicą dużej wioski, a on nagle zawrócił, przecisnął się wąską uliczką między domami i znaleźliśmy się na rynku.

Cały jego bok zajął wielki, długi budynek o oknach z takimi migoczącymi małymi szybkami, wielkimi drzwiami i pokręconymi kominami. Wokół niego przycupnęły małe drewniane domki i inne, ładne i ceglane, z masą symetrycznych okien.

Theo machnął ręką w stronę wielkiego budynku.

- To jest ratusz.

- Czemu nie czarno - biały, jak trzeba?

- Bo pewnie takie nie bywały - odpowiedział. - W szesnastym wieku. Bielono je wapnem. Biel schodzi z czasem i belki znowu się ukazują, ten srebrny kolor. Ale Crispin opowiedziałby ci o tym więcej.

- Lubię Crispina.

- Ja też. To dobry przyjaciel. No, więc pomyślałem sobie, że możemy pójść tutaj. - Zamknął samochód i zaprowadził mnie w róg rynku, gdzie znajdował się duży stary pub, biały, z lśniąca w słońcu płaskorzeźbą na froncie: tarczą i jakimiś heraldycznymi kwiatami.

- Pomyślałem, że chcesz się napić - powiedział Theo.

- No tak, ale ostatnim razem...

- W tak piękny dzień usiadziemy w ogródku - odparł, rzucając mi spojrzenie z ukosa. Weszliśmy przez furtkę i on podszedł prosto do baru, a ja zanurkowałam w drzwi prowadzące do łazienki i zrobiłam, co się dało, z twarzą i włosami. Kiedy pojawił się z moim lagerem i swoim piwem, a także menu pod pachą, siedziałam już w ogródku, przyglądając się skaczącym wokół wróblom.

Zamówiliśmy frytki, ja poprosiłam o kanapkę z szynką, on z kurczakiem i opowiedział mi o Watergate. Byliśmy w połowie drugiego piwa, kiedy spojrzał na niebo.

- Wkrótce słońce przestanie oświetlać ratusz. - Podniosłam głowę. - Bo... przepraszam... myślałaś o zdjęciach? Skoro zabrałaś aparat?

Zabrałam, ale tylko dlatego, że weszło mi to w nawyk. Wzięłam go ze stołu.

- No tak, ale...

- Ale? Co?

- To bzdurka. Jeśli to nie problem... Nie potrwa to długo. Drewno i te wzorki na tynku.

- To nie bzdurka. Nie ma bzdurnych tematów. „Nie ma nic brzydkiego”, powiedział Constable, ale można to zastąpić bzdurka. - Theo uśmiechał się. - Pewnie powiedział to w tym samym pubie, pijąc z przyjaciółmi ze szkolnych czasów, kiedy wrócił odwiedzić rodziców. Może twój Stephen Fairhurst siedział przy stoliku obok. Bez wątpienia dawny kierownik szkoły Constable'a przeszywał go spojrzeniem i mówił, że marnuje swój talent na wozy z sianem i rzeczne barki, skoro mógłby zdobywać nagrody za porwanie Sabinek i śmierć Akteona.

- Kogo?

- Bogini Diana zamieniła go w jelenia za to, że podpatrywał ją w kąpieli, a potem poszczuła na niego swoje psy, które rozerwały go na strzępy - wyjaśnił Theo z uśmiechem, na który nie mogłam odpowiedzieć. - Widzisz, jak bogowie karzą podpatrywaczy?

- Faj!

- Właśnie. A oni się dziwili, że Constable woli malować chaty pod strzechą, otoczone drzewami i chmurami, albo brązowe rzeczne wody kłębiące się wokół końskiego zadu podczas przeprawy.

- Ale ty nie.

- Co nie?

- Eva robi fotki drzew, chmur, pięknych budynków i nagich ciał. Powiedziałeś, że są „miarą wszystkich rzeczy”. Ale ty tego nie robisz.

- Nie. - Spojrzał w prawie pustą szklankę i obrócił nią parę razy, spoglądając przez nią na surowe, popękane od słońca i deszczu mury.

- Nie. W przeciwieństwie do Evy nie potrafię znaleźć ratunku w formie, nawet w formie natury. I nie potrafię się odwrócić. Ani porzucić nadziei - tak zupełnie - że jeśli pokażę światu, co czyni sam ze sobą, może coś się zmieni. - Uśmiechnął się, a raczej zamierzał. - Jestem jak wierna żona rozpustnika. Nie mogę porzucić nadziei, że jeśli moja miłość stanie się lepsza - uczciwsza - pewnego dnia wszystko się zmieni na lepsze.

- Ale... czy przez to wszystko nigdy... to znaczy przez to gównu... nigdy nie tracisz nadziei? Przecież wiesz, że wszystko się źle kończy. Zawsze. Są wojny. Giną ludzie. Nawet to, że wszystko zawsze ma za

wysoką cenę. Ludzie odchodzą, porzucają cię, albo odchodzą i cię porzucają. Zanim albo po tym, jak cię wykorzystają. To... to boli. Dlaczego mamy mieć nadzieję, że tym razem będzie inaczej?

Położył rękę na dłoni, którą bawiłam się paskiem aparatu.

- Anno. Tak myślisz? Skinęłam głową.

- Zawsze?

- Chyba tak - mruknęłam i nagle pomyślałam o Stephenie i jego Catalinie. - Tak.

Patrzył na mnie bez ruchu, jak czasem Cecil, aż było widać te jego myśli, choć nie można było poznać, o czym są.

- Nie ruszaj się - rzuciłam i wysunęłam spod jego ręki dłoń z aparatem i zrobiłam mu zdjęcie. Kiedy opuściłam aparat, policzki mnie paliły. - Przepraszam. Nie gniewasz się?

- Nie, wcale nie. Mówisz do siebie nie: co teraz mówię? Myślisz tylko: szybko, muszę zdobyć tę fotkę! Jestem zachwycony.

Powiedział to dość przyjaźnie, ale nie byłam pewna, czy go trochę nie wkurzyłam. Potem powtórzył:

- Naprawdę jestem... Jeśli chcesz złapać światło, musimy się zbierać.

W małym urzędzie pocztowym i sklepie z pamiątkami naprzeciwko można było dostać ręczniki i puszki na ciastka z kolorowymi obrazkami ratusza, schludnego, czarno - białego, pasiastego i wcale do siebie niepodobnego.

- Jak uliczna zebra - powiedziałam, a Theo parsknął śmiechem.

Odwróciłam się, żeby spojrzeć na plac i prawdziwy ratusz; słońce lśniło i rzucało cienie na białą farbę, żłobiło słoje w belkach, kładło się na dachówkach, syciło każdą ścianę budynku innym kolorem, tak że wyglądał solidnie i masywnie.

- Kiedy... Powiedziałeś, że ile ma lat?

- Pochodzi z początków szesnastego wieku, jeśli wierzyć Crispinowi. Z czasów Tudorów, jak mawiacie w Anglii.

- To był dom mieszkalny?

- Raczej nie. Zdaje się, że to dom spotkań gildii. Rzemieślnicy i kupcy ustalali tu ceny na wełnę, przyprawy i kute żelazo, a także oceniali, kto osiągnął taką biegłość, że można go przyjąć na mistrza garbarstwa lub pasamonictwa.

- Prawie można to sobie wyobrazić - powiedziałam. - Za tymi oknami. Nic przez nie nie widać, więc można sobie wyobrazać. Jak w Kersey Hall, jak powiedział Crispin, że to Stephen albo ktoś inny. Stał na tej samej posadzce, chodził po tych samych schodach, niemal jakby oddychał tym samym powietrzem, jakby to naprawdę on był na moim zdjęciu. Jak na kliszy, przestrzeń między klatkami jest taka malutka. Czasami wydaje się, że to prawie nic.

- Prawie nic - powtórzył Theo i zamilkł.

Kiedy zrobiłam zdjęcia, ruszyliśmy z powrotem przez wielkie rozległe pola, płaskie, ze sterczącymi nad nimi wysokimi wieżami kościelnymi, a potem nagle w równinie następowała przerwa i pojawiała się rzeka, albo wioska z ludźmi spacerującymi po niedzielnym obiedzie, albo chatka wśród drzew, na której łuszczącym się tynku widniał numer 1573, a dzieci na rowerkach nieruchomiały i machały do nas.

W stajniach Theo zatrzymał samochód na przerośniętym chwastami żwirze i wysiedliśmy.

- Idziesz? - spytał tylko i poszliśmy na górę, a ja nastawiłam kawiarkę. Theo zaczął mówić o wykładzie Evy o fotografii i śmierci.

- Śmierci? Jak na zdjęciach z wojny? - Obejrzałam się na zdjęcie Theo, które Eva trzymała na biurku: w wojskowym mundurze, z odrapanymi aparatami na szyi, z jednym rękawem rozdartym i brudnym bandażem na ramieniu, i z samolotem za jego plecami. Był wtedy młodszy, ale się nie zmienił, tak samo smagły, chudy i twardy, i bliski uśmiechu.

- Eva mówi o tym, że wszystkie fotografie mają związek ze śmiercią i czasem: o konserwowaniu chwili w srebrze i chemikaliach, podczas gdy samego życia nie da się zakonserwować, każda komórka wszystkich organizmów rozpada się, zostaje wymieniona i znowu się rozpada. Temat i jego wizerunek współistnieją przez jeden moment, kiedy migawka otwiera się i zamyka. Potem temat się rozpada, lecz jego wizerunek trwa niezmienny.

- Jak duch.

Uśmiechnął się.

- Oho, ciarki cię przeszły? Ale Eva powiedziałaby, że fotograf naprawdę przyczynia się do ratowania czegoś - kogoś - przed zapomnieniem.

Zastanawiałam się przez chwilę, ale nie byłam pewna, czy rozumiem. Trochę pochodziłam, poczułam pieczenie nowej opalenizny na ramionach. Spuściłam wzrok i popatrzyłam na blade ślady ramiączek bluzki na ogorzałym ciele.

Theo siedział na wielkiej sofie, a z filiżanki przed nim unosiła się cienka spirala pary.

Na liczniku zobaczyłam, że zostało mi jeszcze parę klatek.

- Mogę? - spytałam, podnosząc aparat.

Theo skinął głową. Światło z okna położyło mu się na policzku i musnęło wargę, wtuloną w porcelanę delikatnie jak przy pocałunku. Zrobiłam mu jedno zdjęcie z głową pochyloną nad filiżanką, a drugie z filiżanką w rękach.

Koszulę miał rozpiętą pod szyją, biały bawełniany kołnierzyk odsłonił ścięgna i mięśnie pod twardą, śniadą skórą. Delikatny srebrny zarost, który lśnił w słońcu, pojawił się od rana, ukazał, jak lata zmieniły jego twarz. Lata rozmów i milczenia w bruzdach od nosa do ust. Lata patrzenia w wachlarzach zmarszczek w kącikach oczu. Lata obserwacji w zmarszczce między brwiami i krechach biegnących przez jego czoło jak linie telegraficzne, pełne nadmiernej wiedzy. Patrzyłam i patrzyłam, a obiektyw łapał to wszystko, co widziałam, ale nie miałam pojęcia, czy uchwycił też to, co widział Theo, czy tylko to, co ten widok mu zrobił.

Nadal obejmował filiżankę. Ta filiżanka była mała, biała i krucha.

Kliska mi się skończyła. Położyłam aparat na kolanach i zaczęłam ją przewijać. Skończyłam i poczułam, że Theo nadal mi się przygląda. Uśmiechał się, a ja bym też się uśmiechnęła, ale nagle w piersi - gdzieś głęboko między żebrami - coś zaczęło mi pęcznieć. Nie było to prawdziwe szczęście, za bardzo bolało, ale nie miałam na to innego słowa, na ten dziwny, miękki balon, który się nadymał, wypełniał mi pierś, brzuch i gardło i wreszcie eksplodował ogromnym uśmiechem, który trwał i trwał, i nie chciał zniknąć, całkiem jak płacz.

Francuzi nie odeszli na długo. Wchodzimy do Pernes, ludzie wyglądają jak żywe trupy o skórze pożółkłej i napiętej na kościach. Powietrze drży od słonecznego żaru, a oni grzebią w stertach gnijących śmieci w zaułkach, szarpią śmierdzące truchło muła, by znaleźć braci i dzieci, które już nigdy nie będą chodzić i oddychać. Na ulicy leży martwa dziewczyna z zakrwawionym brzuchem i nogami. Jej matka siedzi w oknie, ogromna i brzemienna, kołysze się z bólu

rany od szabli na piersiach i płacze, że żołnierze nie przestali nawet, kiedy umarła.

Parę sklepów stoi pustkami, nie ma chleba, ziarna, mięsa. Francuzi wszystko zabrali. Nasi żołnierze znajdują winiarnię, ale nie musimy stawiać straży, by nie pili, bo nie zostało nic prócz jednej beczki wina, zielonkawego i oleistego. Jakiś żołnierz kopie ją i na powierzchnię płynu wypływa czarna i wzdęta ręka. Czuć swąd dymu i palonego mięsa: za sklepem widzimy płomienie. Tracę chwilę na wbiegnięcie po schodach na wypadek, gdyby trzeba było kogoś wynieść. Tylko chłopiec, młody i gładki, przyszpilony do ściany szpontonem i zostawiony na śmierć. U jego stóp leży niemowlę w szmacie. Także nie żyje, nie ma ran, lecz cienka szara skóra zwisa luźno z wychudzonego ciała.

Kłęb munduru w zaułku to francuski dragon. Ma brzuch rozcięty od pępka po szyję, a wnętrzności owinięte wokół gardła. Jego towarzysza, skulonego w bramie, wykastrowano i zostawiono żywego. To dzieło naszych sprzymierzeńców partyzantów. W zaułku cuchnie łajnem. Obok człapie staruszek, pluje obu żołnierzom w twarz.

Rozdział 3

Choć zaczął się sezon polowań i nieraz znajdowałem powody, by wybrać się z podróżą do Londynu, przez wiele tygodni żadną miarą nie mogłem się powstrzymać, by nie wybiegać myślą ku pannie Durward czytającej mój list. Z dnia na dzień lekkość niemal wyczuwalną, która wypełniła mnie po przelaniu mej historii na papier, zastępował mdlący lęk przed jej niesmakiem lub niezrozumieniem, od którego pożywienie traciło smak, a przyjaciele zdali się obcymi. Mój lęk potęgowała jeszcze świadomość, że nie opowiedział jej całej historii, że zataiłem to, co - jak nagle sobie uświadomiłem - mogłaby uznać za najważniejszą jej część. A potem rankiem mój duch znowu się unosił, z tej tylko przyczyny, że goląc się, ujrzałem piękny wschód słońca, bądź Stebbing powiedział żart, gdyśmy siedzieli przy jego kominku, a na tej połowie jego twarzy, która nadal była pełna życia, widziałem zamyślenie nad jakimś problemem z ludźmi lub rynkiem, z którym do niego przyszedłem. Parę razy spotkałem owego chłopca i znowu zastanowiłem się, czy ma dom i opiekuna.

Lecz najczęściej myślami byłem gdzie indziej. Nie zachowałem brulionu listu, gdyż pisałem go na czysto, lecz wiedziałem, że w głębokiej ciszy wiejskiej nocy, kiedy mrok mąci tylko chrobot szczura lub hukanie sowy, napisałem słowa prostsze i szersze niż dotychczas.

Stajenni nie przyjęli życzliwie wieści, że jeden z nich musi codziennie jeździć do Bury, bym mógł dostać listy po powrocie z porannej przejażdżki, miast czekać na posłańca, który przywiezie je do wioski. Jednak gdym z niecierpliwością zmieszaną z lękiem oczekiwał na odpowiedź panny Durward, tym samym gościńcem przybyły do mnie wieści z całkiem nieoczekiwanej strony.

Z racji owego niepokoju nie mogłem spocząć ni też zyskać pewności, że kierowałem się właściwymi przesłankami, dlatego też powziąłem decyzję, by wyjawić jej przyczyny mej otwartości.

Droga panno Durward,

Nie przeproszę za to, że tak szybko ślę następny list, skoro poprzedni zapewne zaledwie do Pani dotarł i nie mogła pani jeszcze na niego odpowiedzieć nawet, gdyby Pani zapragnęła. Jednak mam irracjonalne przeczucie, że to, co się wydarzyło od czasu, gdy napisałem poprzedni list, zostało w jakiś sposób spowodowane przez

mą opowieść. Jakby dziwna jakaś moc sięgnęła poprzez odległość lat i tysięcy mil.

Z największą łatwością mogę wyjaśnić, co się wydarzyło i jakie postępowanie podjąłem, podejmując mą opowieść w miejscu, gdzie ją przerwałem. Wie już Pani, jak to się stało, że opuściłem wojsko i znalazłem zatrudnienie, oprowadzając podróżnych po polach bitewnych. Praca ta zawiodła mnie do Portugalii, a stamtąd do Hiszpanii i gdyby nie życzenia tych, którzy słusznie spodziewali się, że moją główną troską winna być ich rozrywka i dobrostan, natychmiast wyruszyłbym na poszukiwanie Cataliny, nie szczędząc kosztów ni wysiłków, by ją odnaleźć. Tymczasem byłem zależny od kaprysów i sakiewek mych chlebowców, więc minęło nieco miesięcy, zanim zyskałem dość czasu i pieniędzy, by pojechać do Bery.

Dom był pusty. Tam gdzie niegdyś panowała schludność i zapobiegliwość, ujrzałem okiennicę zwisającą na jednym zawiasie i chwasty wyzierające spod dachówek. We mgle i deszczu ruszyłem od domu do domu w pielgrzymce, której celu nie ośmieliłem się wyjawiać przed sobą samym. Lecz o ile ja władałem hiszpańską mową płynnie, o tyle mieszkańcy nie mogli tego powiedzieć o sobie. Dowiedziałem się wkrótce, że ojciec Cataliny zmarł i rodzina wyjechała. Ci castilianos trzymali się na dystans. Dziewczyna?

Kto wie? Może ksiądz? To było tak dawno, podczas wojny wszystko działo się szybko i gwałtownie, teraz zaś nastały ciężkie czasy, senor Ingles, trzeba pracować.

Ksiądz mieszkał w małej, mrocznej chatce przy kościele. Niechlujna gospodyni wpuściła mnie, skinąwszy mi głową, i poczłapała, by powiadomić swego pana. To, co nastąpiło później, pamiętam do dziś, każde słowo, choć od tego czasu upłynęło trzy i pół roku.

Ku mej uldze ksiądz mówił kastylijską hiszpańszczyzną, lecz gdym wyjawiał cel mych poszukiwań, jego twarz skamieniała, ojczonek zaś spytał, dlaczegoż to angielski żołnierz tak się interesuje Hiszpanką. Podczas długiej podróży z Lizbony starannie obmyśliłem odpowiedź.

- W czasach, gdy mój regiment tu stacjonował, dobrze poznałem tę rodzinę, więc po śmierci brata owej panny i, jak się

dowiedziałem, także jej ojca pragnąlbym się upewnić, że nic jej nie grozi i ma dobrą opiekę.

Hiszpanie, zauważył ksiądz, nie spotkali się z niczym dobrym z rąk angielskiej armii, tym bardziej zaś ich niewiasty.

Zanim zdążyłem się ugryźć w język, warknąłem, że ręce Francuzów nie były czystsze ni mniej okrutne. Lecz jako, że moim celem nie było obudzenie jego wrogości, złagodziłem ton i rzekłem, że każda wojna jest okrutna i czyni mężczyzn okrutnikami. Pragnąłem się jedynie dowiedzieć, czy senorita Maura wie życie szczęśliwe i bezpieczne. Jeśli ksiądz zapragnie, może uznać, że staram się choć w części zadośćuczynić tym niewinnym ludziom to, co wycierpieli podczas naszych wspólnych wysiłków, by uwolnić świat od Korsykańskiego Potwora.

Ksiądz milczał, ja zaś gubiłem się w domysłach, czy pod jego sutanną bije jeszcze serce. Nie był stary; twarz miał okrągłą, choć w domu jego nie było dobrobytu, ręce zaś trzymał splecione na kolanach. W końcu przemówił.

- Senorita Maura jest bezpieczna i powinna wieść szczęśliwe życie. Ojciec jej zmarł tuż przed świętem Ofiarowania Pańskiego przeszłego roku. Parę dni później córka jego wstąpiła do klasztoru dominikanek San Telmo w San Sebastian. Matka przełożona powiadomiła mnie w liście o ukończeniu nowicjatu i złożeniu ostatecznych ślubów.

O ile mi wiadomo, panna ta nadal tam przebywa.

Nie wiem, jakie niewyrażone nadzieje żywiłem aż do tej chwili, lecz spojrzałem na niego tak, jakby mi je odebrano. Uniósł brwi, gdy trwał w milczeniu, lecz nie zamierzałem mu zdradzić, że pragnę dowiedzieć się czegoś więcej. Wstałem, podziękowałem za uspokojenie mych rozterek i życzyłem mu dobrego dnia.

On także wstał, zadzwonił na gospodynię i uniósł ręce, mamrocząc łacińskie błogosławieństwo, którego nie zadałem sobie trudu wysłuchać. Gospodyni otworzyła drzwi gabinetu.

Gdy już wychodził, ksiądz dodał:

- Nie jest mi jednak wiadome, co stało się z dzieckiem.

Zatrzymałem się w progu.

- Z dzieckiem?

- Wyjechała z Bery przy nadziei - rzekł i pożegnał się ze mną.

Gospodyni słuchała z kamienną twarzą. Może nie mówiła po hiszpańsku. Wyszedłszy, zatrzymałem się przy skarbonce przed drzwiami wejściowymi, na której widniał napis „Por los Pobres”, lecz zamiast do niej wcisnąłem monety w dłoń pierwszego napotkanego żebraka.

I tak też trafiłem do San Sebastian. W pierwszym odruchu pragnąłem odszukać mą ukochaną i jej dziecko. Stałem przed okutymi żelazem drzwiami klasztoru w kamiennym frontonie o oknach nielicznych, wąskich i zakratowanych. Uniosłem już dłoń, by pociągnąć za sznur dzwonka, lecz ogarnęły mnie wątpliwości. Catalina przysięgła pozostać w tych murach do końca życia. Nie wiedziałem, na ile uczyniła to z dobrej woli, lecz złamania tych ślubów broniły jej wiara, sumienie i papież. Gdyby dowiedziała się o moim powrocie, jej smutek po utracie dziecka, którego głębie widziałem u innych kobiet, mógłby znowu rozkwitnąć i zrodzić ból, którego nie chciałem spowodować za żadną cenę. Czy wiedząc o

moim powrocie, zapragnęłaby się wyzwolić z przysięg? Nie mogłem sobie pochlebiać, że jestem tego pewien, lecz nagle pojąłem, iż nie wolno mi zaryzykować nawet takiej możliwości. Odwróciłem się więc i odszedłem. Znalazła azyl, znalazła swe miejsce w świecie, świata się wyrzekłszy, i choć pragnąłem znów ujrzeć jej twarz i usłyszeć głos, bądź gdyby mi tego odmówiła, wiedzieć jedynie, że w rzeczy samej żyje i oddycha za tymi wysokimi kamiennymi murami, okrucieństwem i samolubstwem byłoby dążyć do zaspokojenia własnych potrzeb jej kosztem. Nawet pragnienie poznania losu dziecka mogło narazić na szwank jej spokój, który - jak gorąco pragnąłem - odnalazła.

Dla ukojenia burzliwych myśli wszedłem do małej kawiarni na placu naprzeciwko klasztoru i gdy zamówiłem wyśmienitą hiszpańską kawę, przedłożywszy ją nad ubolewania godną hiszpańską brandy, nawiązałem rozmowę z obsługującą mnie dziewczyną. Niewiele się interesowałem tym, o czym żeśmy mówili, traktując to jako dystrakcję od mych wewnętrznych rozterek, dopóki nie wspomniała, że jedna z jej ciotek jest w klasztorze świecką siostrą i często otrzymuje zezwolenie na wyjście ze sprawunkami na rynek, do lekarza lub księdza.

Zdaje sobie Pani sprawę, pomimo całej szczerości, z jaką opisałem mą miłość do Cataliny, że niełatwo opisać damie prostą

angielszczyzną okoliczności, w jakich się znalazłem. Jednak by oddać sprawiedliwość Pani ufności w mą szczerość i wiernie odmalować sytuację i decyzje, jakie powziąłem, muszę przedstawić fakty. Jeśli nie sposób tego uczynić, nie urażając Pani, z góry błagam o wybaczenie i ufam, że zgodnie z obietnicą nie zostanie mi ono odmówione.

Myślę, że Mercedes, dziewczę z karczmy, zrozumiała moją sytuację, lecz powodowana dyskrecją, która - jak mi się wówczas zdało - nieczęsta jest u płci pięknej, nie wypytywała mnie o nic. W miarę upływu czasu, gdyśmy poznawali się lepiej, przekazywała ploteczki od ciotki w postaci odpowiedzi na me ostrożne pytania. Obliczając daty, uświadomiłem sobie, że siostra Andoni, tak łagodna, dobra i uzdolniona do igły, to właśnie moja ukochana. Przyjęła imię na cześć świętego Antoniego, do którego papiści zanoszą modły, gdy pragną odzyskać coś utraconego.

Los sprawił, że w tym samym tygodniu, w którym Mercedes zapoznała mnie ze swymi znajomymi, moja gospodyni powiadomiła mnie, że spodziewa się odwiedzin zameężnej córki i żąda zwolnienia pokoju, którym od niej wynajmowałem. Pozbawiony dachu nad głową, z szybko kurczącą się sakiewką przyjąłem zaproszenie Mercedes i Izzagi, które proponowały mi mieszkanie w zamian za męską opiekę i symboliczny czynsz. Napisałem do wszystkich mych klientów i kolegów, jak monsieur Planchon z „L'Arc - en - ciel”, by powiadomić ich, iż zmieniłem adres zamieszkania, by lepiej przyczynić się do badania nowoczesnej sztuki wojennej i chwalebnego udziału Anglii w jej rozwoju za pomocą wycieczek do przykładowych miejsc bitewnych wraz ze szlachetnym otoczeniem.

Jeśli Mercedes bądź też jej ciotka zdumiewały się moim zainteresowaniem powodami, dla których kobiety wstępują za furte klasztorną, to nie spytały mnie o to, ja zaś nie mogłem ryzykować wypytywania o historię siostry Andoni ani też ujawniania mych uczuć. Lecz rozmowy dziewcząt przy wieczerzy, podsycane mymi ostrożnymi pytaniami, gdyśmy byli sami, uświadomiły mi, iż, dalekie od lekkomyślności i lekceważenia swej cnoty, wszystkie cztery doskonale znały rzeczywistość tego świata, która zostawia kobietom tak niewiele wyboru. Nie mówiłem nic, lecz zdało mi się, że one lepiej ode mnie potrafią ocenić decyzję przywdziania welonu jako jedną z owych nielicznych możliwości. Ja widziałem jedynie wysokie, ślepe mury i życie w ubóstwie i posłuszeństwie rozkazom papieża. Jednak

Arrage, obdarzona szorstkim baskijskim głosem, mówiła o możliwościach spełnienia materialnych potrzeb i o tym, jak dla dobrej córki Kościoła bądź skruszonej grzesznicy życie takie wydaje się odmienne, lecz nie dziwne.

- Skruszona grzesznica? - spytałem, gdyż oczywiście każdy Kościół ujrzałby moją Catalinę w tym świetle.

Zdało mi się, że Mercedes unikała mego spojrzenia, mówiąc:

- Na przykład siostra Andoni. Moja ciotka twierdzi, że przed wstąpieniem do klasztoru urodziła dziecko, choć jest panną. Lecz siostry z San Telmo słyną ze swego współczucia.

Zapytałem, z pewnym trudem dobywając słów, co stało się z dzieckiem.

- Oddano je do domu podrzutków Sant' Agueda w Bilbao, lecz nie wiem, co stało się potem, choć moja ciotka chyba słyszała pogłoski o jego śmierci. Tak wiele dzieci umiera w tych domach - jedno zapada na chorobę, która ogarnia inne. To smutne, skoro matki musiały liczyć, że dają im możliwość lepszego życia.

Jeśli dziewczęta uznały, że moje przedwczesne odejście od stołu przypisać należy nadmiernej ilości wina, to nie pozbawiłem ich tych złudzeń.

Reguła klasztoru Cataliny nie zezwalała mniszkom na opuszczanie budynku klasztornego, nie dopuszczała też za furte żadnego mężczyzny, jeśli nie był ojcem, bratem lub doktorem. Jedynie księża, jako duchowni poręczyciele dobrych obyczajów, mogli wtargnąć poza salon dla gości, a jednak w następnych miesiącach nie mogłem się zmusić do wyjazdu z San Sebastian, choć wkrótce stało się jasne, że wiem już wszystko, co wiedzieć można o Catalinie. Wyprawilem się do Bilbao i poczynilem, nie szczędząc ekspensów, wywiad na temat losu dziecka Cataliny. Dziewczynka miała na imię Idoia i szczęśliwie ocalała z niebezpieczeństw wieku niemowlęcego. W owym czasie miała już niemal cztery lata. Nie była zagubiona ni porzucona; wnosząc z tego, co usłyszałem, sierociniec był duży i dobrze zarządzany, zatem nie lękałem się, że pozostanie zaniedbana.

Znając miłość Pani do Toma, a miłość rodziców Pani do jej samej i jej siostry, pozwolę sobie przypuszczać, iż dziwi Panią, że mogłem nie szukać samej Idoii. Rozwahałem to, jednak przyczyna, dla której zostawiłem ją w Bilbao, była niczym bledszy, lecz wierny cień moich

przesłanek, by nie burzyć spokoju mej ukochanej. Dziecko miało się dobrze; byłoby okrucieństwem niepokojenie jej, a ja za nic nie zaryzykowałbym przebudzenia bólu Cataliny, który musiała odczuć, oddając swą córkę. Co mogłem ofiarować maleństwu, zwłaszcza dziewczynce? Ani domu, ani miłości i troski kobiecej, jedynie życie tułacza, bez korzeni, bez środków do życia, zawsze gotowego na skinienie coraz to nowych podróży.

Mimo to, kiedy wiosną roku osiemnastego pocztylion przyniósł list od prawnika mego kuzyna ze zdumiewającymi wieściami o odejściu tegoż kuzyna z naszego świata i niespodziewanie stałem się dziedzicem posiadłości dziadka w Kersey, opuszczałem Hiszpanię z niemalym ociąganiem. Jednak prawnik napisał, że z racji przedłużającej się choroby mego kuzyna posiadłość znajduje się w zaniedbaniu, gdym zaś nie spieszył się z odpowiedzią, wysłał drugi list, znacznie obszerniejszy. W końcu, gdy lato skłaniało się ku końcowi, zdałem sobie sprawę, że moim obowiązkiem jest wrócić do Anglii i postarać się przywrócić sprawom ich należyty bieg.

Nie miałem doświadczenia w zarządzaniu ziemskim, nie pragnąłem także towarzystwa wiejskich dżentelmenów, którzy - o ile nie rozprawiają o koniach - tęsknią za dniami królowej Anny. Niewielką też radość sprawiała mi myśl o wilgotnym klimacie i jego wpływie na mą konstytucję. Jednak nie mogłem tego uniknąć i wsiadając na pokład statku w San Sebastian, nie spodziewałem się tam powrócić, chyba że we snach.

Tu przerwałem z piórem w dłoni, a popołudniowe światło, kładąc się na mych słowach, wypełniających stronę za stroną, nadawało im niezwykłą wyrazistość.

Kropla atramentu spadła z pióra na list. Sięgnąłem po bibułę. Czy mam pisać dalej? Wiedziałem, nie czytając listu ponownie, że moje przeprosiny to za mało wobec sprawy, która nastąpiła po nich, lecz zdało mi się, że żadne słowa przeprosin nie byłyby tu stosowne, gdyby stosować się do zasad dobrego wychowania. Gdybym zaś się do nich stosował, nie mógłbym napisać o niczym bliskim memu sercu.

List, który tego ranka przybył z Hiszpanii, leżał przede mną na biurku. Schludne, nieznane, urzędnicze pismo nie obudziło mej czujności - sądziłem, że jest to kolejny rachunek, o którym zapomniałem przy wyjeździe z San Sebastian, od zapobiegliwego kupca, który dopiero niedawno odkrył adres mego zamieszkania.

Odstawiłem filiżankę i zламаłem pieczęć, z niemałą gorliwością, gdyż wszelkie wieści z Hiszpanii przywoływały wspomnienia, jednakże bez żadnych podejrzeń.

Teraz siedziałem przy biurku, atrament wysychał tęczowo na piórze, a San Sebastian wypełniało me zmysły: tytoń, kadzidło, krzyk mew, solone piklingi, schnące na wietrze, stukot kopyt mułów, żywiczna mgła, tocząca się po zboczach porośniętych sosnami gór, złote kamienie prażące się w ukośnych promieniach słońca. Te wspomnienia wrosły mi w duszę i nie mogłem się ich wyprzeć, przez zaniechanie czy umyślny fałsz, tak jak nie mogłem zaprzeczyć, że jestem kaleką. A jednak nie mogłem się zmusić, by znowu ich doznać.

Mimo to z pewnym ociąganiem zanurzyłem pióro w kałamarzu i z wolna przystąpiłem do wyjaśnień.

W dużej mierze znane jest Pani to, co nastąpiło potem. Skromna zaliczka mego spadku dotarła do mego bankiera w San Sebastian. To wystarczyło, by zapewnić byt moim przyjaciółkom i wybawić mnie od konieczności służenia pomocą podróżnikom. Parę dni musiałem spędzić w Londynie, gdyż - ja, niewiedzący nic o posiadłości, którą odziedziczyłem - musiałem usłyszeć od przedstawiciela mego kuzyna wiele wyjaśnień, jeszcze liczniejsze zaś interesa oczekiwały na moją decyzję lub podpis. W końcu mogłem już wstąpić na pokład statku pocztowego do Bury St Edmunds, gdzie oczekiwał mnie woźnica mego kuzyna.

Przez jakiś czas wiodłem w Kersey wygodne życie: klimat, którego tak się obawiałem, okazał się bardziej suchy niż w San Sebastian, a i brandy była lepsza. Sąsiedzi okazali się jak najbardziej życzliwi. Dopiero po żniwach, gdy nastąpiły krótkie dni i zimowa beczynność, zdałem sobie sprawę, że jedynie nieprzerwane czynności broniły mnie przed rozpaczą dnia i strachem nocy. W końcu byłem zmuszony szukać rady proboszcza, której skutku nie sposób żałować, gdyż doprowadziła ona do przyjaźni z Panią. Wyjazd do Brukseli także zrodził się z mego nieszczęścia, a jak Pani wiadomo, gdyby nie ma powinność względem Kersey, nadal bym przebywał w owym mieście. Nadal mam nadzieję na powrót do Brukseli, jeśli Stebbing odzyska zdrowie bądź też znajdę stosownego następcę na jego miejsce.

Lecz dzisiejszego ranka otrzymałem list z Bilbao. Sierociniec w Sant' Agueda potrzebuje środków finansowych, gdyż z racji nędzy i tułaczki ludu hiszpańskiego w wyniku ostatniej europejskiej wojny, a zwłaszcza morskich blokad, znacznie zwiększyła się liczba dzieci przynoszonych do jego bram. Wielebna matka zwraca się o pomoc do wszystkich, którzy mogą się poczuwać do pewnych obligacji względem tego miejsca, a jako że Catalina podała mnie jako ojca dziecka, odnaleziono me miejsce pobytu za pomocą listy wojskowej, przechowywanej przez konsula brytyjskiego w Santander.

Któż lepiej niż Pani potrafi sobie wyobrazić konfuzję mego umysłu, w którą rzuciły mnie te wieści? Co nie mniej ważne, uświadomiłem sobie, że jestem zobowiązany zainteresować się bliżej wychowaniem mej córki, jeśli zaś uznam je za niewystarczające z racji braku funduszy w sierocińcu, rozważyć przeznaczenie pewnej kwoty na wsparcie Sant' Aguedy. W pierwszym odruchu serca zapragnąłem natychmiast udać się do Hiszpanii, a jednak obawiam się nadal konsekwencji zakłócenia życia Idoii. Co więcej wiem, że nie wolno mi narzucać się Catalinie, a jednak lękam się, że gdyby dowiedziała się, iż przybyłem do Hiszpanii, nie powiadamiąjąc jej - a między San Telmo i Sant' Aguedą istnieje zbyt wiele kanałów, przez które mogą się przedostać takie informacje - byłoby to zbyt wielką obelgą wobec miłości, która przez tak wiele lat podtrzymywała mnie przy życiu. Tego nie mogę zaryzykować.

Dlatego sądzę, że najlepiej będzie przesłać fundusze anonimowo, a przynajmniej z zastrzeżeniem, by nikt prócz matki przełożonej nie poznał darczyńcy. Takie zachowanie może sugerować, że nie miła mi miłość Cataliny i istnienie Idoii, dlatego też waham się przed postępowaniem zdradzającym wstyd, którego nie doznaję. Lecz wciąż niespieszno mi burzyć spokój Cataliny i moją ustatkowaną egzystencję. Nie mam wątpliwości, że mogę wyśmienicie zadbać o dobro mej córki, nie będąc...

Tu przerwała mi Nell, która zerwała się od moich stóp i rzuciła się ze szczekaniem do okna biblioteki.

Na podjazd wtaczał się powóz. Był zaprzężony w obce konie, zbryzgany błotem i ogólnie miał wygląd zniszczonego, lecz wygodnego pojazdu wynajętego z wielkiej i uczęszczanej gospody. Nie miałem nastroju na wizyty, choć innego dnia zapewne pospieszyłbym witać gości, a kamerdynerowi Prescottowi

pozwoiliłbym trwać w popołudniowej drzemce. Lecz dziś uciszyłem Nell szeptem i wycofałem się w najdalszy zakątek biblioteki. Udawałem właśnie, że bardzo mnie zajmuje Historia rebelii Clarendona, kiedy wszedł Prescott z wieścią:

- Jakieś państwo Barraclough - oznajmił. - Czy pan w domu?

Na to mogła być tylko jedna odpowiedź. Nell wypadła w ślad za kamerdynerem, by zaspokoić swą ciekawość, ja zaś pospiesznie złożyłem list, schowałem go do kieszeni i wybiegłem na korytarz, gdzie moje nadzieje okazały się niepełonne. Panna Durward stała, rozglądając się dokładnie tak, jak często czyniła to w innych miejscach, obserwując padanie światła i cieni oraz ruch postaci na tle marmuru i dębiny, przy tym zaś łagodnie drapała Nell za uszami.

Kiedym wyraził mój zachwyt z ich przybycia, posłałem po herbatę i sam rozpałem ogień w bibliotece, gdyż popołudniowe ciepło z wolna ustępowało.

- Mogę jedynie wyrazić ubolewanie, że meble w salonie są w pokrowcach - wyjaśniłem - lecz utrzymywanie wszystkich pokoiów nie zdawało się warte zachodu, skoro odwiedza mnie tak niewiele dam.

- Ależ ten pokój jest zachwycający - zapewniła mnie pani Barraclough. - A zresztą nie chcielibyśmy sprawiać panu kłopotu. Musi pan wiedzieć, że obawiałam się długiej drogi z Dover. Potem George zdał sobie sprawę, że jeśli przybijemy do brzegu w Felixstowe, nasza podróż do Lancashire znacznie się skróci. A skoro znaleźliśmy się w Suffolk, Lucy zapewniła nas, że z pewnością wybaczy nam pan ten najazd. Prawda, Lucy?

Panna Durward przyglądała się portretowi nad kominkiem.

- Słucham?

- Powiedziała, że byłaś pewna wyrozumiałości majora.

Jej spojrzenie nie drgnęło.

- O tak. Duże podobieństwo, majorze.

- Tak mi mówiono. Z pewnością malarz miał doskonale rekomendacje.

- Nie dziwi mnie to. Lecz jakież to dziwne, że miarą takiego dzieła jest wierność pewnym cechom wyglądu modelu - jak na przykład ta krzywizna brwi - a nie innym.

- Innym? - powtórzyłem. Pani Prescott zjawiała się w jedynie lekko przekrzywionym czepku, by zaprowadzić damy na piętro.

Pani Barraclough wstała.

- Lucy!

Panna Durward drgnęła i, bez słowa, odwróciła się od portretu i pobięła za siostrą.

Ogień na kominku rozpałił się i huczał przyjemnie, kiedy moi goście powrócili. Wkrótce wszyscy zasiedli wygodnie, z herbatką i wszelkimi przekąskami, jakie moja kucharka mogła zapewnić w tak krótkim czasie. A zadbawszy o wygodę gości i zajmąwszy miejsce, poczułem list w kieszeni.

- Jak długo zechcą państwo zabawić? - spytałem. Panna Durward, głaszcząc Titusa po brzuchu, podniosła głowę i rzuciła mi przenikliwe spojrzenie zmrużonych oczu.

- Zamierzaliśmy dziś wieczorem dotrzeć do Bishop's Stortford - oznajmił Barraclough.

- Ależ musicie państwo zostać co najmniej na dwa dni! A jeśli możliwe, znacznie dłużej. Przynajmniej tak mogę się odwdzińczyć za gościnność państwa w Brukseli.

- No cóż - zaczęła pani Barraclough - bardzo to uprzejme z pańskiej strony. George, co sądzisz? Bardzo mnie utrudziła tak długa podróż, lecz pragnę ujrzeć Toma najszybciej, jak można!

- Będzie, jak sobie życzysz, moja droga, ale musisz o siebie zadbać. Jeśli Fairhurst jest tak dobry, że oferuje nam gościnę, może powinniśmy się zgodzić, przynajmniej na dzień lub dwa.

- Więc postanowione! - zawołała panna Durward, zrywając się z miejsca, na co Titus spojrzał na nią z naganą. Zadzwoiłem na służbę.

Z przyjemnością zauważyłem, że moi domownicy nie przyjęli ze zgrozą - co miałoby miejsce jeszcze rok temu - wieści, że przez nieokreśloną liczbę dni będziemy gościć towarzystwo, w którym znajdują się dwie damy - w tym jedna w szczególnym stanie - oraz pokojówkę. Dlatego mogłem żywić uzasadnioną nadzieję, że kolacja nie będzie przyczyną mego wstydu, a gdy Barracloughowie zajęli się kwestiami bagażu i pokoiów, mogłem spełnić życzenie panny Durward, pragnącej obejrzeć moje ziemie.

- Nie są rozległe - wyjaśniłem, gdyśmy ruszyli wśród zieleni. - Sama posiadłość jest niczym w porównaniu z Holkham i

Audley End, a otaczające ją pola nie są w doskonałym stanie. Kuzyn mój bardziej interesował się swym posłaniem niż ogrodem, ja zaś nie mogę zatrudniać silnych mężczyzn przy pielęgnacji trawników, skoro mogą być przydatni przy oraniu ziemi.

- Pański militarny instynkt nie domaga się, by każde źdźbło trawy zostało wypolerowane? - spytała, rozglądając się wokół siebie.

Roześmiałem się.

- Nie, skoro za to polerowanie zapłaciłbym z własnych dochodów, a tylko moje oczy ucierpią na jego braku.

- W rzeczy samej! - Nie powiedziała nic więcej, a ja byłem tak pochłonięty wieściami z Hiszpanii, że nie przychodziły mi do głowy inne tematy do rozmowy. Musiałem także zdecydować, co zrobić z listami, które nadal ukrywałem w kieszeni, pospiesznie złożone. Pisałem je z wielką otwartością, bo spokój dawała mi świadomość, że wiele dni i mil dzieli moje pisanie od jej czytania. Teraz nie czułem się już tak bezpieczny, a najprostszym wyjściem - być może jedynym, do jakiego byłem zdolny - było nic nie mówić i zaczekać, aż goście moi wyjadą, i dopiero wtedy wysłać listy do Manchesteru.

Właśnie podjąłem decyzję, że tak też i uczynię, gdy panna Durward odkaslnęła i przemówiła:

- Powiedziałabym to wcześniej, gdybyśmy się znaleźli na osobności, lecz tak nie było. Pański list mnie zaszczycił - i wzruszył...

- Lecz obawiam się, że wstrząs ten...

Stała i - w rzeczy samej - tupnęła nogą, chwytając me ramię silnymi palcami.

- Stephen! Proszę mnie posłuchać! Jesteśmy przyjaciółmi, wszak prawda? - Skinąłem głową. - Przyjaciele mówią sobie prawdę. Jeśli świat jest szokujący, to i ja będę zaszokowana. Nie ochroni mnie pan przed tym. Ale w pańskim liście nie było nic takiego. Nic! Tylko... No cóż, nie potrafię tego ubrać w inne słowa oprócz tego: rozumiem. I jestem zaszczyczona.

- Dziękuję - zdołałem powiedzieć i ruszyliśmy dalej. Kiedy uszliśmy parę kroków, dodałem: - Wyznaję, nie sądziłem... to znaczy dopóki nie zacząłem pisać... nie sądziłem, że można znaleźć taką ulgę dzięki pisaniu.

- Zakończył pan swą opowieść w chwili, gdy opuścił pan Hiszpanię wraz z wojskiem. Czy nigdy nie rozważał pan odnalezienia Cataliny?

Zawahałem się.

- Proszę mi wybaczyć - dodała szybko - nie powinnam była pytać.

- Nie, nie. Rzecz w tym, że dostałem pewne wieści. - Dotknąłem kieszeni. - Właśnie pisałem o nich do pani, gdy przyjechaliście. Proszę, będę rad, jeśli to pani przeczyta.

- Teraz?

- Tak... jeśli to możliwe. To wiele wyjaśnia. Lecz list nie jest skończony, proszę to zrozumieć. Nie zdążyłem go skończyć.

- Oczywiście - powiedziała i wyciągnęła rękę, a nasze palce się musnęły.

Potem odszedłem i skupiłem wzrok na niebie od zachodu, gdzie śmietankowe chmury kładły się nad horyzontem prążkowanym różem, złotem i turkusem, by choć w mojej głowie, gdy niemożnością było osiągnięcie tego czasem i przestrzenią, powstała odległość między moją opowieścią i poznaniem jej przez pannę Durward.

Dwa wróble, skaczące od jakiegoś czasu przy ceglanym murku między pastwiskiem i ogrodem, zerwały się z furkotem, obwieszczając nadejście panny Durward.

- Więc nie wyjeżdża pan do Hiszpanii - powiedziała tylko. Pokręciłem głową, niezdolny do słów z obawy, że gwałtowność sytuacji, o której pisałem, mogła obudzić w niej niesmak, jaki dotychczas udawało się jej ukrywać. Usiadła obok mnie.

- Nie mogę powiedzieć, że nie zasugerowałabym przyjazdu do Kersey, gdybym o tym wiedziała. Ależ pan musi wyjechać do Hiszpanii, i to jak najszybciej.

Zdumiało mnie jej zdecydowanie.

- W pierwszym porywie uczuć tak właśnie pomyślałem. Lecz... lecz za nic w świecie nie zakłóciłbym spokoju Cataliny.

- Nie, a ja rozumiem pańską niechęć. Lecz Idoia... Stephenie... majorze... wiem coś o takich miejscach. Moja matka miała z nimi styczność w Rochdale. Są konieczne. Jednak Idoia nie może tam być prawdziwie szczęśliwa. Jutro rano wyjedziemy.

- Nigdy bym sobie tego nie życzył, a poza tym nie ma takiej potrzeby. Jestem pewien, że i stąd mogę uczynić wszystko, co konieczne.

Nie odpowiedziała wprost, lecz rzekła:

- Jeśli nie życzy pan sobie zmieniać planów, zostaniemy dwa dni, jak to pan uprzejmie zaproponował. Lecz potem wyruszymy z samego rana.

- Byłbym wdzięczny - powiedziałem - i jestem, za dbałość o me uczucia, lecz sądzę, że mnie pani nie zrozumiała. Dopilnuję, by Idonii niczego nie brakło, lecz nie mogę zmącić spokoju Cataliny.

Wzięła głęboki wdech i przez chwilę milczała. Potem rzekła:

- Czy Catalina nie chciałaby wiedzieć, iż troszczy się pan o dobro jej dziecka? Ona także żyje pod panowaniem Kościoła katolickiego. Być może trudno jej kwestionować jego decyzje, co pan może czynić bez lęku. Przynajmniej gdyby sobie pan tego zażyczył.

Przez chwilę zdumiewałem się prostocie, z jaką patrzyła na tę kwestię, po czym zrozumiałem, że ona nie może wiedzieć, iż na myśl o podróży do Hiszpanii i zbliżeniu do Cataliny czułem radość, która nie mogła się spełnić, i strach przed skrzywdzeniem miłości, która ukształtowała me życie. Wobec tego moje powinności wobec córki nie były całkiem nieistotne, lecz o wiele mniej ważne.

Panna Durward uniosła się lekko, wyzwalając rąbek sukni, który przysiadła. Potem dodała:

- Proszę mi wybaczyć. Akurat ja powinnam wiedzieć, że panu nie trzeba przypominać o powinnościach. Musi pan zrozumieć, że to jedynie ze względu na dziecko, pańskie dziecko...

Milczałem, a ona także urwała. Potem z niemałym zaskoczeniem uświadomiłem sobie, że myślę o Tomie, stratowanym i zbolałym, i o pannie Durward, która tak gwałtownie usiadła w małym salonie i rozplakała się, jakby pomimo całej siły charakteru nie potrafiła pokonać strachu, lęku o dziecko, które nie było jej.

- Ma pani rację - rzekłem. - Muszę jechać do Bilbao, i to jak najrychlej. Lecz pragnę, byście mogli państwo zostać dłużej. Od dawna pragnąłem wam pokazać Kersey. I bardzo byłbym nierad, gdybym się wydał siostrze pani niegościnnym... Tak, musicie zostać dłużej. Niewielką to uczyni różnicę.

- Jedynie panu. Chciałabym zostać dłużej, lecz jakże mogę się domagać - lub choćby prosić - by pan został jedynie po to, by

zapewnić mnie i Hetty rozrywkę? W istocie, pewnego dnia bardzo chciałabym lepiej poznać Kersey. Lecz w tej sytuacji wyjedziemy za dwa dni.

- Jest pani nadzwyczaj uprzejma.

Przez jakiś czas siedzieliśmy ramię w ramię na murku, przyglądając się zachodzącemu słońcu. Raz wreszcie panna Durward nie trzymała szkicownika, a jej uwaga skupiła się na scenie przed naszymi oczami, gdzie chmury z wolna kłębiły się w promieniach słonecznych, a czapla, która jakimś cudem uniknęła strzelb miejscowych rybaków, nadpłynęła z dali i zatrzepotała skrzydłami, lądując na delikatnych nogach wśród turzycy nad strumieniem. Jednak nie zdziwiłem się, gdy panna Durward przemówiła znowu:

- Dziękuję, że zechciał mi pan opowiedzieć dalszą część swej historii.

- Powinienem był poczekać na pani odpowiedź, lecz pragnąłem powiadomić panią o nowych wydarzeniach. I nie miałem pojęcia, że przeczyta pani o nich tutaj.

- Moja odpowiedź na pierwszy list pański niewątpliwie znajduje się w worku w ładowni statku pocztowego w Dover. - Tu umilkła na chwilę, a potem zwróciła się ku mnie. - Nie. Nie będę czekać, aż papier i atrament wyrażą to za mnie z bezpiecznej odległości. W liście moim przeczyta pan, że jeśli pragnie pan dotrzeć do Cataliny, że... że jeśli mogę panu udzielić jakiejkolwiek pomocy - cokolwiek pan pragnie od niej uzyskać... zrobię to. A teraz... - Uśmiechnęła się niewprawnym, niewycwiczonym uśmiechem, jakby był pierwszym, nie tysięcznym, który rozświetlił jej twarz. - Przed dniem dzisiejszym byłabym z powodu tego wścibstwa osobą godną dezaprobaty. Lecz teraz pragnie pan odnaleźć swoją córkę.

- Tak. Mam wobec niej obowiązki. I... - dodałem z ociąganiem, gdyż mój zamiar dopiero przybierał kształty - ...sądzę, że pomimo wszystkiego, co powiedziałem, Catalina pragnęłaby... może pragnęłaby, jak pani twierdzi, dowiedzieć się, iż troszczę się o jej... o naszą córkę... Tak, mogłaby pragnąć o tym wiedzieć.

- Na jej miejscu z pewnością bym tego chciała. Lecz czy zdoła pan zamienić z nią słowo?

- Nie sądzę. Będę musiał znaleźć pośrednika. Gdybym się nie obawiał, że reguła zakonna pozwala innym czytać listy do niej,

napisałbym. Ponad wszystko pragnę, by dostała ode mnie wieści przeznaczone tylko dla jej uszu, i to zanim wyruszę do Sant' Aguedy.

Panna Durward skinęła głową, lecz w zmierzchającym świetle nie widziałem wyrazu jej twarzy. Wieczne szczebioty ptaków i szelest liści ucichły, jakby zachód słońca stłumił wszelkie odgłosy i ruchy, nie tylko światło. Sama panna Durward także znieruchomiała, lecz nie dlatego, że ogarnął ją spokój umysłu.

- Czy nie za zimno pani? - spytałem. - Mam nadzieję, że suknia nie przemokła na rosie.

Wstała.

- Ależ skąd. Lecz może powinnam wrócić do Hetty i George'a. Hetty przynajmniej nie da się długo nakłaniać do wyjazdu, gdyż tęskni za Tomem.

Ja także zacząłem się podnosić.

- Co Tom sądzi o swym ojczymie? - Wypowiadając to pytanie, pomyślałem, jakie to dziwne, że dotąd nie przyszło mi do głowy.

- O, polubił George'a - rzekła panna Durward, wyciągając do mnie dłoń, by pomóc mi wstać. - Przecież ledwie pamięta własnego ojca. A zbliża się do wieku, kiedy będzie potrzebować mężczyzny, który wprowadzi go w świat niedostępny dla Hetty. Jednak przyzwyczał się mieć matkę tylko dla siebie. Nie będzie łatwo zrozumieć dziecku w jego wieku, że fundamenty jego świata się zmieniają.

- W rzeczy samej - przyznałem i ruszyliśmy z wolna ku Kersey Hall. Panna Durward wzięła mnie pod rękę, tak jak tyle razy przedtem, i czując dotyk tego ramienia, szczupłego i mocnego, a także jego wsparcie, wypowiedziałem myśl, której dotąd jeszcze nigdy nie wyrzekłem na głos: - Sześćoletnie dziecko tak niewiele rozumie.

* * *

Czułam się tak, jakby w przestrzeni między Theo i mną nie było czasu. Powietrze było czyste, jasne, prawie nieistniejące, lecz pełne wszystkiego, czego nigdy nie widziałam, z czego istnienia nigdy nawet nie zdawałam sobie sprawy. Odstawił filiżankę na spodek.

- Chcesz wywołać kliszę?

- Tak - powiedziałam i dodałam dopiero w połowie drogi do ciemni: - Jeśli nie przeszkadzam.

Zatrzymał się z ręką na klawecie.

- Anno, masz tak więcej nie myśleć. Nigdy nie przeszkadzasz. Słyszysz? Nigdy.

Nagle zaczęłam się śmiać. Nie mogłam się pohamować, choć ten śmiech brzmiał trochę jak płacz. Potem on też się roześmiał i dobrze, że przez cały czas stał blisko mnie, kiedy wywoływałam kliszę, bo pewnie w życiu by mi się nie udało, pewnie bym ją zniszczyła. A kiedy włożyłam szlauch do zlewu, przekręciłam kurek, aż woda przelała się przez brzegi, wytarłam ręce i odwróciłam się, on powiedział tylko:

- Muszę zapalić.

Ale to on pamiętał, żeby spojrzeć na zegar, zanim ruszyliśmy do drzwi.

Zapalił papierosa, kiedy drzwi ciemni zatrzęsnęły się za nami. Mocno wciągnął dym i wytchnął go z głośnymi świstem, wychodząc na słońce. Usiedliśmy ramię w ramię na pniu drzewa i niewiele mówiliśmy. Theo wypalił drugiego papierosa wolniej, a potem powiedział, że chmura, dryfująca nad nami nad polaną, wygląda jak czarownica na miotle. Potem przechylił głowę i dodał:

- Albo smok, jeśli spojrzeć z tej strony.

- Albo łabędź. Patrz, rozkłada skrzydła, jakby miał wylądować.

Patrzyliśmy na łabędzia, aż się całkiem rozleciał, jakby tam w górze wiatr był silniejszy niż ten delikatny wietrzyk, co poruszał liśćmi, lecz nas, którym ceglany mur prażył plecy żarem, prawie nie muskał. Minęło pół godziny i wróciliśmy.

Kiedy otwierałam koreks, serce tak mi łomotało w piersi, że można by pomyśleć, iż to moja pierwsza klisza w życiu. Theo wyjął ją delikatnie, a woda spłynęła mu po palcach na przegub, kiedy podniósł kliszę do światła.

Nie widziałam jej dobrze, więc się zbliżyłam i odebrałam mu ją. Długi ogon rozwinął się prawie aż na podłogę, ale Theo w porę chwycił go za krawędzie, tak że jego ręce znalazły się po obu moich stronach, a pierś była tak blisko moich pleców, że czułam jego oddech.

- Co sądzisz?

- No... no nie wiem właściwie - powiedziałam po długiej chwili.

- Tak. Nikt nie wie. Zdjęcia są dobrze naświetlone, a żeby stwierdzić coś więcej, trzeba je zobaczyć w powiększalniku albo przynajmniej na podświetlarce. Zjemy coś, dopóki będzie schnąć?

Otworzył butelkę czerwonego wina i zrobił coś, co nazywał csirke paprikas, z kurczakiem, przyprawami i śmietaną oraz ciemnym chlebem do maczania w sosie. Pyszne, ale we mnie jakoś nie było miejsca na jedzenie. Okna na górze stały otworem i powietrze miało ten ciepły, spieczony zapach mieszkań długo wystawionych na słońce, słodki zapach, jak świeżo upieczonego chleba, taki zapach, w którym można by zamieszkać. Theo znowu nalał wina i powiedział:

- Przyjrzymy się twojemu filmowi? Wczoraj zmieszałem odczynniki, jeśli chcesz wywołać ze dwie odbitki.

Powrót do ciemni był trochę jak powrót do domu, taki powrót, jakiego zawsze chciałam. Miałam wrażenie, że to miejsce dla mnie, bezpieczne, nie całkiem ciche, bo rozmawialiśmy o różnych sprawach, o zdjęciach i co zrobimy, ale spokojne, bo nic więcej się tu nie działo, oboje robiliśmy to samo i byliśmy sobie równi, bo choć on lepiej wiedział, co robić, ja lepiej wiedziałam, czego chcę.

Niewiele ujęć się udało. To w ogródku w pubie, z Theo patrzącym na mnie, było nieostre. Udało się to z ratuszem od strony rogu, gdzie dwie ściany budynku schodziły się razem, a łącząca je kolumna była rzeźbioną figurą świętej, bardzo zniszczoną, o rysach wygładzonych tak, jakby od lat leżała pod wodą, od tej chwili, kiedy ktoś wyrzeźbił każdą fałdę szaty, tam gdzie marszczyła się przy łokciach i załamywała u stóp.

- Myślisz, że wyrzeźbił kogoś znajomego? - spytałam. - Żonę, siostrę, jakąś inną?

- Być może - powiedział Theo. - Crispin by wiedział.

- Szkoda, że twarz znikła.

- Bardzo niewiele tu posągów z zachowanymi twarzami. Purytanie je zniszczyli.

- Można by pomyśleć, że zniszczą cały budynek.

- Może się spieszyli, spieszyło im się zmienić świat. Myśleli, że posągi bez twarzy stracą moc, więc to im wystarczyło.

Zostawiłam odbitkę w wodzie.

- Mogę zrobić jeszcze jedną?

- Jasne.

Tylko na jednej naprawdę mi zależało, na ostatniej. Bez twarzy, tylko ręce Theo obejmujące filiżankę, same jego ręce, a w tle rozmyta koszula, łagodnie szara i biała. W zagłębieniach między jego palcami zalegały ostre cienie i widać było, że ta skóra jest dość cienka; to

mięśnie pod nią nadawały tym rękóm wokół porcelany wyraz takiej siły. Brzeg filiżanki napierał na poduszeczkę jednego z palców wskazujących, także wyraźną, i nagle zrozumiałam, jak ta filiżanka leżała w jego dłoniach, nie do końca wsparta ciężarem i ciepłem w zagłębienie jego dłoni, ostrożnie ją tulących. Światło padało na palce tak, że widać było stawy jak szamerunki na tle bieli, a po drugiej stronie tylko czubki kciuków na krawędzi filiżanki i bliźniacze wydęcia ciemnych mięśni, które rozgałęziały się w obie strony w cieniu pod filiżanką.

Tę odbitkę zrobiłam sama. Theo siedział na wysokim stołku w czerwonym świetle i nie odzywał się, tylko na mnie patrzył, jak się przyglądałam, myślałam, kadrowałam i wyostrzałam. Jak zawsze złapałam się na wstrzymywaniu oddechu, a kiedy powiększalnik kliknął i wypuściłam oddech, zabrzmiało to strasznie głośno i Theo troszeczkę się roześmiał, tak gardłowo. Nie wstał, żeby obejrzeć odbitkę w wywoływaczu, tylko siedział, dopóki nie włożyłam jej do utrwalacza.

Kiedy minęłam go w drodze do wyłącznika, uniósł się i położył mi rękę na ramieniu. Była rozpalona, prawie mnie sparzyła. Znieruchomiałam, ale się nie odezwał. Potem opuścił rękę, powiedział:

- Brawo - a ja włączyłam światło.

Odbitka nie była daleka od tego, co zamierzyłam.

- Tu bym ją wykadrowała - powiedziałam, przeciągając w powietrzu palcem nad utrwalaczem. - Tło powinno być ciemniejsze, żeby nie wydawało się takie jasne i ważne, i wycięłabym twoje rękawy, żeby była tylko skóra - twoje ręce i filiżanka, a nadgarstki trochę bardziej rozmyte. - Skinął głową, ale długo się nie odzywał, więc po chwili wróciłam do powiększalnika, zmieniłam ramkę i ostrość i zrobiłam nową próbkę paskową, wszystko tak, jak mnie nauczył. A kiedy przeszłam na mokrą stronę z naświetloną odbitką i włożyłam ją do wywoływacza, znowu na niego spojrzałam, a on na mnie patrzył i nagle zrozumiałam, o czym myśli.

Po wielu milach czasu powiedział chrapliwym głosem:

- Włóż do przerywacza - więc tak zrobiłam i stanęłam, kołysząc ją jednym palcem i wpatrując się w nią, nie w niego. Ale oczywiście na zdjęciu też był on; włożyłam je do utrwalacza, potem do kąpieli i

stałam ze spuszczoną głową, bez ruchu, a gorąc pełził mi po plecach i rozłaził się na całe ciało, aż mi pierś pękała.

- Anno...

Odwróciłam się i głęboko w brzuchu coś mi fiknęło koziołka z miłości, ale i tak, kiedy się poruszyłam, miałam wrażenie, że coś przekraczam - jakiś próg. Podeszłam do niego, on położył mi mocno rękę w talii, a drugą między łopatkami, przyciągnęłam go do siebie, splatając ręce na jego karku, i ukryłam mu twarz na ramieniu, a jego skóra paliła mi policzek.

Chyba staliśmy tak bardzo długo, nie pragnąc nic więcej, po prostu razem. Delikatnie zanurzał twarz w moich włosach, raz za razem. Potem się odsunął, osunął ręce na moje biodra i puścił, niemal jakby chciał mnie odepchnąć.

Spojrzałam na niego.

- Przepraszam.

- Za co?

- Że to Zrobiłem.

Zastanowiłam się, dlaczego ludzie przepraszają, kiedy wcale nie chcą. Jest w tym coś przemądrzałego, takie „wiem lepiej od ciebie”. Nie sądziłam, że Theo jest taki.

A może po prostu się bawił.

Spojrzałam na niego z ukosa.

- Ja nie żałuję.

Powieki mu zadrgały. Wydęłam dolną wargę, tak troszeczkę, żeby zrobiła się pełna i miękka, przechyliłam głowę, przez chwilę patrzyłam mu w oczy, a potem ruszyłam do drzwi.

- Idziesz?

Poszedł za mną na górę, blisko mnie, wydało mi się, że po drodze pożera wzrokiem moje ruchy. A kiedy znaleźliśmy się w salonie, zatrzymałam się, odwróciłam i tylko na niego patrzyłam, żeby to on musiał zrobić ten ostatni ruch.

Oczywiście zrobił. Zawsze robią. Uśmiechnęłam się do niego. Dotknął moich ramion, trochę drżącymi rękami, wsunął kciuki pod ramiączka mojej bluzki. Ale potem się powstrzymał.

- Nie. To nie to.

- Co nie to?

- Nie... nie to, czym jesteś. Nie to, czego tak bardzo chcę. W pokoju gęstniały cienie. Zaczęło mi się robić niedobrze i bezpieczniej było się od niego odsunąć, ale nie udało mi się powstrzymać łez, które wydarły mi się z zaciśniętego gardła do oczu.

- Więc mnie nie chcesz?

- Och, słodka moja... - Był bardzo daleki. A potem nagle nie.

Potem wszystko stało się proste. Pocałował mnie przeciągle i tak łagodnie, że poczułam gwałtowne przyspieszenie jego oddechu. Wzięliśmy się za ręce i poszliśmy do sypialni.

Zdjął koszulę przez głowę, zsunął spodnie. Pod spodem był nagi, a ja tylko się przyglądałam, bo skórę miał jak suchy złoty liść napięty na mięśniach i kościach, ozłocony i spatynowany, z małymi pęknięciami i zmarszczkami, lecz dzięki nim bardziej prawdziwy i cieplejszy. Potem podszedł do mnie, siedzącej na łóżku, przykucnął, zsunął z moich ramion ramiączka bluzki i stanika.

- Tak - szepnął, jakby zgadzał się dochować tajemnicy. Pochylił się i pocałował moją pierś, drugą obejmując dłonią.

Kiedy się wyprostował, miał zaczerwienioną twarz i zamglone oczy. Ujęłam ją w obie dłonie i pocałowałam. Objął mnie. Jego otwarte dłonie parzyły mnie w plecy, a potem trochę się uniósł, więc puściłam go i sama zdjęłam szorty i rozpięłam stanik, i tak długo się przesuwalam na pościeli, aż moja głowa trafiła na poduszkę. On poszedł za mną, ale tylko do połowy, a potem pochylił się i pocałował mnie między nogami tak jak w usta, słodko, delikatnie i ciepło. Nie było to jak ręce - ani moje, ani niczyje - nie było jak nic, co do tej pory czułam, bo tyle było w tym łagodności, tyle dobroci. Wplątałam palce w jego włosy, jego głowa poruszała się, kiedy po kolei odnajdywał moje mroczne miejsca i całował.

Sama zapragnęłam go pocałować.

- Theo?

Uniósł głowę, a ja przyciągnęłam ją ku sobie.

Dziwnie było poczuć na jego ustach własną kleistość. Przez chwilę nie całkiem mi się to podobało, mój smak, ale potem pomyślałam dość mętnie, że to przecież Theo go znalazł - znalazł i dał mi go - więc musi być dobry, więcej, wspaniały, bo to dzięki niemu.

Poniosło mnie. Pocałowałam przelotnie jego sutki, związane i twarde, a tam, gdzie jego mięśnie zbiegały się w rowku na środku klatki piersiowej, biegło cienkie, twarde pasmo włosów smakujących

słodko i słono. Odpoczęłam na nich, mała na jego rozłożystej piersi, a potem przesunęłam się dalej, moja twarz zsunęła się z urwiska jego żeber na brzuch, spokojny i pachnący słońcem, z pulsowaniem bijącym gdzieś z głębi ciała. Obwiodłam językiem pępek i przesunęłam się dalej, bo po raz pierwszy w życiu naprawdę tego chciałam, nie dlatego, że tak jest najszybciej skończyć.

Najbardziej miękka, najsubtelniejsza skóra świata, pomyślałam, a była tym miększa i słodsza przez tę natarczywą twardość, którą w niej wyczuwałam, choć kiedy podniosłam głowę, Theo wcale nie był natarczywy, leżał z zamkniętymi oczami i tylko zaciskał palce w moich włosach.

Kiedy pociągnął mocniej i wypuściłam go, ułożyłam się między jego udami, i tak leżeliśmy, głowa przy głowie, usta i języki, piersi, brzuchy, biodra, idealnie dopasowane. Jego ręce gładziły każdą krzywiznę moich pośladków i talii, raz za razem, jakby chciał się ich nauczyć na pamięć, a potem wsunął palce w ukrop między moimi nogami i głaskał mnie, aż nie mogłam już dłużej czekać, stoczyłam się na plecy, przez cały czas spoglądając mu w oczy, więc to on położył się na boku z ręką na moim brzuchu.

I spytał:

- Na pewno?

Skinęłam głowę, wstrzymując oddech, bo tak bardzo go pragnęłam, że mogłam znowu się rozplakać. Zawisł nade mną, nie był ciężki, w sam raz, rozsunął moje nogi swoimi, wsunął się we mnie, łagodnie i uporczywie. I nagle znieruchomiał, tak gwałtownie, jakby zatrzasnął w sobie bramę, a ja czułam za nią cały jego ciężar, każdy mięsień walczący, by go powstrzymać, i przez bramę znowu spytał:

- Na pewno?

I nawet nie miałam czasu skinąć głową, po prostu przyciągnęłam go, wciągnęłam w siebie.

Przez chwilę to wystarczyło. Znieruchomieliśmy.

A potem to już było za mało, chciałam więcej, chciałam wszystko, chciałam, żeby mnie znalazł i zapragnął, i braliśmy w takim samym stopniu, jak dawaliśmy, dawaliśmy i braliśmy, aż nic już nie wiedzieliśmy, tylko nasze ciała wiedziały, wszystko, coraz więcej. Moje plecy zaczęły się wyginać w łuk, mój umysł i wnętrze zaciśnęły się na nim.

Zrobiło się ciemno jak pod wodą. Potem znowu go poczułam. Uniósł głowę w ostatnim wyzwoleniu i po raz ostatni wbił się we mnie.

Obudził mnie jego zapach, silniejszy niż przedtem, lecz taki sam, słony i słodki, i dymny w zagłębieniu nad obojczykiem, gdzie wtuliłam nos. Obejmował mnie i chyba zasnął.

Było cicho i bardzo ciemno. Nie widziałam pokoju, czułam tylko pościel. Theo musiał mnie nakryć. Gdzieś zahuczała sowa, nie bardzo daleko. Leżałam w zagłębieniu jego ramienia, z głową na jego barku, jak w hamaku, w łagodnym kołysaniu naszych oddechów.

Ale chciało mi się sikać. Wysunęłam się spod jego ręki i wstałam.

- W porządku? - spytał przez sen.

- Tak - powiedziałam i wyszłam przez otwarte drzwi. W korytarzu, w najbledszym szarzejącym świetle z okna, zdołałam zlokalizować łazienkę. W środku było za ciemno. Zamknęłam drzwi, a sznurek od żarówki przez chwilę obijał się o moją dłoń, zanim zdołałam za niego chwycić.

W świetle wszystko za bardzo błyszczało. Na półce obok siebie stały szampon, pasta do zębów, przybory do makijażu Evy i przybory do golenia Theo. Pachniało nią i nim. Na drzwiach wisiał jej szlafrok w smoki.

Chyba nie będzie mi tego miała za złe? Ona też sypiała z innymi. Oboje tak robili. Nie będzie jej to przeszkadzać. Theo by nigdy... Więc nie musiałam się przejmować, prawda?

Odwróciłam się, wysiusiałam i wytarłam. Byłam nadwrażliwa, nie obolała, lecz przeczulona, obrzmiała i rozbudzona.

Wyszłam na korytarz i dostrzegłam na dworze światło, chlustające z księżycy, którego nie widziałam, i ukazujące mi dziecko. To był Cecil. Stał na skraju zagajnika, spoglądał w moje okno i miał na sobie moją bluzę. Sięgała mu prawie do kolan, a rękawy zwisały daleko poza dłonie. Pomachałam, ale nie zareagował, tylko się wpatrywał, jakby mnie tu nie było, a potem nagle się odwrócił i czmychnął w las, jakby ktoś go zawołał, a on pobiegł z ochotą.

Theo leżał na boku. W mętym świetle widziałam malutkie kędziorki na jego karku, obłóści mięśni ramion i barków jak łańcuch dalekich gór. Ale było zbyt zimno, żeby tak stać i podziwiać, i kiedy wśliznęłam się do łóżka, przyciągnął mnie do siebie, a ja się w niego

wtuliłam. Objął mój brzuch i piersi. Jego senny oddech na moim karku był jak pocałunek na dobranoc i mogłabym tak z nim leżeć przez sto lat.

Mój stajenny powrócił z wiadomościami, że „Unicorn” wypłynie z Portsmouth do San Sebastian za dwa dni i że moje nazwisko znajduje się w księdze pasażerów. Musiałem jedynie wydać rozporządzenia w Kersey Hall, nie wyjawiając Barracloughom przyczyn takiego zachowania i dbając o ich potrzeby i życzenia, na ile tylko mogłem. Było to męczące zadanie i niewiele miałem okazji, by pozwolić sobie na prywatne rozmowy z panną Durward, zawsze zdolną poprawić mi humor.

„Unicorn” miał odbić od brzegu w porze wieczornego odpływu, o ósmej wieczorem. Zamówilem obiad w gospodzie „George”, kazałem zanieść bagaże na pokład, potem zaś ruszyłem wzdłuż falochronu, by rozprostować kości.

Było piękne popołudnie, chmurne i słoneczne, dlatego też wielu mieszkańców powzięło decyzję podobną do mojej; skoro czekało mnie wiele dumania podczas podróży, z wielką wdzięcznością przyjąłem tę rozrywkę. Wszędzie widziałem mundury marynarki; co krok oślepiały złote szamerunki, co chwila muskał mnie marynarski rękaw, na którym więcej było łąt niż materii. W takt ballad ulicznych śpiewaków kołysały się nie tylko głowy w czepeczkach, ale i z wypomadowanymi harcapami; cieśla i rusznikarz przystanęli i rysowali kawałkiem kredy działa na płaskim murku; aspirant, sięgającymi ledwie do łokcia, paradował w nowym mundurze, a śnieżnobiałe płótno i wyszorowana do czysta twarz świadczyły o troskliwości jego dumnej i zapłakanej matki. Były tu ogorzałe żony kontradmirałów, z kantońskimi szalami trzepoczącymi na morskiej bryzie i krokiem przywykłym do kołysania atlantyckich fal; dwie blade szwaczki mrugały zaczerwienionymi oczami, tragarz zaś minął je bez ceremonii, niosąc na głowie kopiasty kosz węgorki ze świeżego połowu.

Szedłem dalej, niemal na sam skraj falochronu, gdzie bastion docierał do kanału morskiego i wszystkich strumieni i wysepek strzegących jego ujścia. Tam zaś, na murku, kołysząc nogami nad przybierającym morzem niczym ulicznik łowiący płotki, ze szkicownikiem i ołówkiem w ręku siedziała panna Durward.

Od zachwytu na jej widok większe było jedynie moje zdumienie. Z kolei ona, jeśli sądzić po spokojnym ruchu głowy i uśmiechu, nie doznała wielkiego zaskoczenia. Przerzuciła nogi na stronę lądu i zeskoczyła z murku.

- Jakiż szczęśliwy traf przywiódł tu panią? - spytałem, gdyśmy uścisnęli sobie ręce.

Zdawała się wahać z odpowiedzią.

- No cóż, nie nazwałabym tego trafem - powiedziała. - Nie chciałam, by się pan dowiedział, dopóki... statek nie odbije. Wykupiłam kajutę na „Unicornie” do San Sebastian.

- Co?

- Jadę do San Sebastian.

Zachwycony i zdumiony, szukałem z wysiłkiem właściwych słów, lecz w tej kontuzji mogłem wykrztusić jedynie:

- Dlaczego?

- Uznałam, że mogę się przydać.

- Ale siostra pani, matka...?

- Sądzą, że odwiedzam przyjaciółkę w okolicach Wilton. Zostawiłam Hetty i George'a w Wolverhampton. Powiedziałam, że napiszę, gdy będę już pewna mych planów. Nie dbam o formy, lecz oni bardzo, więc staram się nie przyczyniać im trosk, o ile to możliwe... nawet jeśli oznacza to mówienie nieprawdy.

- Ale... ale to nie jest kwestia form. To... to po prostu niemożliwe!

Nie odpowiedziała wprost, lecz wzięła mnie pod ramię, tak że byłem zmuszony towarzyszyć jej podczas spaceru. Potem zauważyła:

- Nie może mi pan przeszkodzić wejść na pokład.

- Z pewnością, chyba że siłą. Gdyby okoliczności przedstawiały się inaczej... Gdyby towarzyszyła pani siostra lub pani Durward... byłbym jedynie zachwycony. A gdyby celem mej podróży było co innego niż... Ale jest pani sama, a ja zmierzam ku kto wie jak plugawym i nikczemnym okolicznościom.

- Pańska miłość do Cataliny nie była plugawa, a skoro wydała owoce, musiała być całkowicie naturalna i słuszną.

Umilkłem, uciszony nie tylko prawdziwością jej słów, lecz także tym, że wypowiedziała je tak łagodnie i z prostotą.

- Majorze, sądzę, że mogę panu pomóc. Pański... pański szacunek dla przeszłości i swoich obligacji względem jej jest godny

podziwu. Jako przyjaciółka pańska pomogę panu uczynić to, co uważa pan za słusze. Sam pan powiedział, że będzie potrzebować pośrednika. Dlaczego nie mnie? Mógłby pan nawet sprawić, że pierwszy raz w życiu ucieszę się, iż nie jestem mężczyzną.

- Ale...

- Co sobie o mnie pomyśli świat, to moja rzecz - dodała z uśmiechem - a wątpię, by wiele o tym myślał. Przede wszystkim kto w Anglii się dowie?

- Może pani nazwać mnie samolubem...

- Stephenie... nigdy! - rzuciła nagle i ścisnęła mą rękę, trochę niezgrabnie z racji szkicownika, który nadal trzymała.

- Lecz może w tym przypadku jestem nim - rzekłem - gdyż nie chcę być przyczyną pani upokorzenia. Proszę mnie o to nie prosić, gdyż inni nie będą znać prawdziwych okoliczności naszej wspólnej podróży.

Westchnęła gwałtownie i wysunawszy dłoń spod mego ramienia, spojrzała na mnie z zupełną powagą. Lecz po chwili rzekła:

- Nie musi pan przyznawać się do naszej znajomości, dopóki nie dotrzemy do San Telmo. I również wówczas, jeśli w istocie okaże się, że mnie pan nie potrzebuje. Jestem doskonale zdolna sama zaaranżować moją podróż. - Roześmiała się. - Gdybyśmy przypadkiem znaleźli się na pokładzie o tej samej godzinie, może pan unieść kapelusz z najbardziej obojętnym z uprzejmych spojrzeń, a ja skinę głową bardzo nieznacznie, by ostudzić pańskie awanse!

Nie mogłem opanować uśmiechu na myśl o tej scenie.

- Obawiam się, że pora roku nie sprzyja przyjemnym przechadzkom po pokładzie. Ponadto Zatoka Biskajska o żadnej porze nie jest przyjemna. Lecz musi pani zrozumieć, że nie pozwolę pani jechać, przez wzgląd na nas oboje. Proszę o wybaczenie, jeśli nie okazałem galanterii, lecz tak być musi.

- Nie o galanterię tu idzie - powiedziała z wyrazem wielkiej cierpliwości. - Nie może pan zapobiec memu wejściu na pokład i nie robi pan tego. Skoro nie chce mnie pan zupełnie ignorować, czy sytuacja będzie korzystniejsza, jeśli będziemy udawać rodzeństwo? Przyrodnie, jeśli pan woli, skoro nie nosimy tego samego nazwiska.

- Być może - przyznałem, gdyż nie potrafiłem zaprzeczyć. Nie mogłem też zaprzeczyć, nawet przed samym sobą, że jej obecność będzie nadzwyczaj fortunna, jeśli idzie o rozmowy w klasztorze, i że

jej towarzystwo nieskończenie umili mi nudną podróż. - Jednak nadal...

- Skoro rola rodzeństwa przewyższy pańskie skrupuły względem mej reputacji, to nie ma się już czym martwić. - Zatrzymała się, a ja odwróciłem się do niej, lecz minęła krótka chwila, zanim podjęła na nowo: - Mimo to musi mi pan powiedzieć ze szczerego serca... teraz, raz na zawsze... czy na myśl o tym, co pana czeka, obecność moja nie zdaje się panu niepożądana. Proszę mi powiedzieć, czy osoba moja będzie zawadą miast pomocą, całkowicie nie dbając o galanterię, a wówczas znajdę się w następnym dyliżansie do Manchesteru.

Spojrzałem na nią. Nasze oczy znajdowały się niemal na równym poziomie, jej zaś - bardzo błękitne w szczupłej twarzy - spoglądały na mnie śmiało. Usta miała zaciśnięte i czerwone.

Odwróciła wzrok, a potem jej spojrzenie padło na kliper, sunący głównym kanałem ku morzu, z proporcami łopoczącymi na wietrze. Marynarze wspinali się po linach, a skrzynie i baryłki, związane i ustawione na pokładzie z pieczołowitością i troską, świadczyły o długiej podróży, być może wokół przylądka bądź na Jamajkę przez Azory. Przypomniałem sobie, jak ochoczo panna Durward zwiedzała ze mną Brukselę, jaką niecierpliwość wywołała niedyspozycja jej siostry, i przyszło mi na myśl, że jej pragnienie podróży do Hiszpanii może częściowo wynikać z jej pragnienia poznania świata. Ta tęsknota dotarcia poza obecne horyzonty wzruszyła mnie do głębi serca.

Z dziwnym poczuciem, że wspólnie przekraczamy jakiś próg, ująłem jej dłoń i rzekłem:

- Doskonale. Mówię to bez najmniejszej galanterii: w istocie pragnę, by pojechała pani ze mną do Hiszpanii.

- Dziękuję, Stephenie - powiedziała.

Zawróciliśmy, a ona ujęła mnie pod rękę. Tak przywykłem do jej dotyku, że dopiero po chwili poczułem, iż nawet ten prosty gest się zmienił - to, co zostało postanowione, odmieniło jego znaczenie.

Przez jakiś czas przechadzaliśmy się nad morzem. Jednak w pobliżu gospody tłum zgęstniał, a ja na powrót uświadomiłem sobie, na jakie szaleństwo się wspólnie poważyliśmy. Co uczyniliśmy? Mieliśmy uczynić coś, co damie odbierze dobre imię, mężczyznę zaś obarczy odpowiedzialnością za jej upadek. Te nieznajome postacie,

wśród których torowaliśmy sobie drogę, mogłyby sobie rościć prawo - gdyby tylko wiedziały, co zamierzamy - do okazania dezaprobaty wobec naszego postępu, wyrażenia smutku, niesmaku lub, najgorsze ze wszystkiego, lubieżności, równie obraźliwej dla mej towarzyski jak niemożliwej do przyjęcia przeze mnie. Nie mógłbym się nawet pocieszać myślą o tych, którzy uśmiechnęliby się na myśl o tym, co uznaliby za namiętną - acz niedozwoloną - awanturkę, gdyż oni także byliby w błędzie. Nie byliśmy tym, kim będą nas nazywać, i nie powstała nam w głowach myśl o takiej sytuacji. Niegdyś rozważałem plany o zawarciu związku z siostrą panny Durward, lecz byłem boleśnie świadom, że nie mogę jej ofiarować wolnego serca, na które tak bardzo zasługiwała. W każdym razie panna Durward sama powiedziała, iż nie pragnie oddać swej ręki żadnemu mężczyźnie. A jednak wiedziałem, że żadne fakty nie odwiodą świata od przekonania, że skoro wkrótce znajdziemy się na tym samym statku, będziemy jadać przy tym samym stole, witać się i żegnać codziennie, podróżować w tym samym powozie i spać w tej samej gospodzie, musimy być kochankami.

Lecz nadal nie mogłem zaprzeczyć, że pragnę jej towarzystwa, być może bardziej niż kiedykolwiek. Na myśl o dniach, które mnie czekały, odrodzeniu dawnych smutków i pojawieniu się nowych kłopotów wiedziałem, że będą mi potrzebne jej chyża inteligencja i spostrzegawcze oko, jej pozbawione przesądów widzenie świata, jej gotowość pomocy i dystans, dzięki któremu będzie mogła się wycofać, jeśli jej pomoc okaże się niepotrzebna. A ja nie mógłbym zdobyć tego, czego najbardziej pragnąłem, bez pewnego ryzyka - jeśli nie pewności - zniszczenia jej reputacji i okrycia niesławą swego imienia.

- Wiesz - odezwała się niespodzianie panna Durward, spoglądając ku mnie i ściskając mocniej me ramię - skoro mamy być rodzeństwem, musisz mi mówić po imieniu.

Zasypiamy tam, gdzie padliśmy, jeden szereg ocalony z pięciu tysięcy żołnierzy, nasze usta jeszcze krzyczą z pragnienia od upału i prochu. Słońce gaśnie, ale widzimy naszych martwych towarzyszy snu. Nie sposób chodzić, nie depcząc ciał. Niektórzy wyglądają, jakby tylko zbyt wcześnie zapadli w sen. Inni leżą we własnych wnętrznościach i krwi swych koni. Jest tu wiele naszych, cały

dwudziesty siódmy, regiment trupów, zwłoki skłębione na rozdartych zwłokach, jak lalki na zakrwawionej podłodze pokoju dzieciennego.

Ślizgam się na rozgniecionej na miazgę ręce. Potykam się na rozbitym pysku muła. Musimy policzyć naszych zmarłych, ale o ileż łatwiej policzyć żywych!

Rozkazałem porąbać wozy z amunicją wroga na rozpałkę, ale ostrze musiało skrzesać iskry na ćwieku. Eksplozja jest gorsza niż z działa. Dwaj żołnierze wylatują w powietrze, ponad komin domu, i spadają, i znowu wybuch wynosi ich w górę i ciska jak marionetki, aż w końcu nieruchomieją na ziemi. Rzucamy się ku nim. Jeszcze żyją, zwęgleni, skóra pokryta pęcherzami, oczy czerwone i wytrzeszczone, lecz nie mogą mówić, stanąć, iść. Czterej nasi odnoszą ich na bok. Nie pożyją długo, i moja w tym głowa. Odwracam się. Musimy policzyć, rozpoznać i pochować naszych kompanów. Tu, w strzępach żywopłotu, który był całym naszym schronieniem, leżą martwi strzelcy na stanowiskach. Idę wśród poszarpanych koni, dział, lawet, skrzyń z amunicją. Znowu się ślizgam. Wybuch rozdziera mi uszy, a ja myślę: jakie to dziwne. Wóz wybuchł po raz drugi.

Chirurg pracował cały dzień i noc. Odetnie mi nogę. Musi. Mam szczęście, że może to zrobić natychmiast, zanim wda się zakażenie. „Proszę się nie martwić, pracuje szybko i ma nowe brzeszczoty”, zapewnia ordynans i sięga po piłę na zakurzony parapet. Czuję, jak rozcina ciało. Wszędzie krew, nawet na mojej twarzy. Potem to słyszę. Piła dygocze od mego cierpienia i czuję zapach rozgrzanej kości. Albo to, albo śmierć.

Ja nie umrę.

CZEŚĆ CZWARTA

W takich przypadkach cenne jest nie tylko samo podobieństwo -
lecz więź i poczucie bliskości, łączące się z tą rzeczą (...) fakt, że leży
tu cień owej osoby, zachowany na zawsze!

Elizabeth Barrett Browning

Rozdział 1

Miałem do dyspozycji cały wyśmienity obiad u „George'a”, by przyzwyczaić się do zwracania się do panny Durward po imieniu, a gdyśmy weszli na statek, przychodziło mi to bez budzącego nadmierne podejrzenia wahania. W drodze do przystani Lucy była raczej milcząca. To ja wciągnąłem marynarza przy trapie w rozmowę i dowiedziałem się, prócz licznych błahostek, że „Unicorn” jest trzymasztowym brygiem, przewozi ładunek najróżniejszego rodzaju, z którego największą część stanowi bawełna z Lancashire i szlachetna porcelana wysłana do Madrytu, a w drodze powrotnej przywiezie tytoń, kakao i kukurydzę. Pasażerowie, jak wyjaśnił tragarz, prowadzący nas przez trap, mają najwygodniejsze kajuty na głównym pokładzie. Z ukłonem otworzył przed Lucy drzwi jej kabiny, a następnie zaprowadził mnie do mego nowego lokum. Wahałbym się je nazwać przestronnym, lecz panowała tam czystość i stały meble, jakie tylko mogą być potrzebne podczas kilku dni na morzu. Kiedy spotkałem się z Lucy, zgodziła się, że jej kajuta wygląda nie inaczej.

Zmierzchało, a wraz z odpływem zmieniał się położenie zakotwiczonego statku, obracającego się niczym nagle spłoszony koń w stajni. Rozkazy i przekleństwa, które poszybowwały ku nam, gdyśmy stali na uboczu, były mi znane jak dawna piosenka. Nawet w przekleństwach nie było wielkiej złości i choć Lucy nie czuła się na pokładzie całkowicie swobodnie, nie wzdrygała się - jedynie wówczas, gdym spoglądał na nią niespokojnie.

Parę minut po ósmej odbiliśmy od brzegu i „Unicorn” jął się wyslizgiwać z przystani. Gdyśmy kołysząc się, odpływali z bezpiecznego portu, Lucy zadrżała nieco.

- Za zimno ci na bryzie? Czy wolisz zejść pod pokład? Salon wydaje się dość wygodny.

- Nie, dziękuję. Całkiem mi ciepło.

Potem niewiele rozmawialiśmy, oparci łokciami o reling, nasłuchując, jak marynarz obwieszcza pomiary sondą, i spoglądając na zamglony ląd po obu stronach kanału, aż w końcu widać było już tylko światelka lamp w dalekich oknach chat i boje znaczące naszą drogę na południe i wschód wokół wyspy Wight i na otwarte morze. Wtedy dopiero, gdy w ciemnościach wokół nas nic już nie było, jedynie sunący promień latarni morskiej w Foreland, i nawet żagle wydymające się nad naszymi głowami widać było jedynie w części, w

bladym lśnieniu latarni na belkach, Lucy postanowiła zejść pod pokład.

- Do zobaczenia rano.

- Dobrej nocy - odrzekłem. - Ufam, że będziesz spać dobrze.

- Dziękuję - powiedziała. Chciałem pomóc jej zejść po schodach, nadzwyczaj stromych nawet jak na warunki statku, lecz odrzekła:

- Nie, dam sobie radę.

Sam udałem się w jej ślady niedługo potem, choć lękałem się nieuniknionego dyskomfortu życia morskiego, a także tego, co czekało mnie w Hiszpanii, nie wspominając już o konieczności zadbania o wszelkie wygody Lucy. Lęki te mogły bez trudu odebrać mi sen, lecz niewielka przestrzeń okazała się przyjazną dla jednonogiego mężczyzny, gdyż wszystko, czegom mógł potrzebować, znajdowało się w zasięgu ręki. W rzeczy samej, nie musiałem opierać kuli przy koi, lecz nawyk obrony przed zbyt namacalnym życiem mej utraconej kończyny był we mnie mocno zakorzeniony. Spocząłem na posłaniu, usiłując sobie wystawić, jak też czuje się Lucy, gdyż powiedziała, że będzie to najdłuższa morska podróż jej życia. Statek już wyłonił się z ciasnego kanału i atlantyckie fale wybiegły na nasze spotkanie, lecz wiedziałem, że Lucy nie trwoży się perspektywą sztormów ni obcych krajów, ciasna kajuta zaś nie budzi jej zniecierpliwienia. A pojawiwszy to, zasnąłem szybko i twardo.

Kapitan nasz rzekł, że ma wszelkie powody spodziewać się, iż do San Sebastian dotrzemy na czas. Nie powinniśmy przebywać na morzu dłużej niż cztery dni - jeśli wszystko potoczy się pomyślnie - co mnie ucieszyło, nie tylko dlatego, że spieszyło mi się do celu mej podróży, lecz także ze strachu, że pasażerowie przejrzą nasz fortel. Było ich tylko trzech: duchowny ze swym siostrzeńcem w drodze z West Riding do parafii anglikańskich wyznawców w Barcelonie, oraz mężczyzna w średnim wieku, którego cera zdradzała życie spędzone w Indiach, akcent zaś potwierdzał, że wywodzi się ze Szkocji. Stąd też Lucy była jedyną damą przy stole w salonie, gdzie podawano nam posiłki. Ku mej uldze nasi kompani uznali ją za mą przyrodną siostrę, lecz nie mogłem zachować swobody, dopóki toczyła się ogólna rozmowa, gdyż mogliśmy się zdradzić na tysiące sposobów.

Życie na statku to głównie nuda, morska choroba i konieczność utrzymywania równowagi. Podczas tego rejsu morze było tak

umiarkowane, jak to tylko możliwe w Zatoce Biskajskiej, nieszczęsny siostrzeniec duchownego zaś wziął na siebie całą chorobę morską, jaka mogła się stać udziałem naszego towarzystwa. Pozostali starali się złagodzić nudę, jak mogli: jeden anegdotami o życiu spędzonym na przewożeniu opium do Chin, drugi refleksjami nad smutnym upadkiem moralności Anglików od czasu wprowadzenia przedzarek. Na prośbę Lucy nauczyłem ją parę słów po hiszpańsku, lecz na ogół umykała z salonu przy każdej okazji - gdyż pomimo sukni nie gorzej od nas utrzymywała równowagę - i zwykle można ją było znaleźć przycupniętą w odludnym zakątku pokładu, z kapturem opończy nasuniętym na twarz.

Na dźwięk kroków podniosła głowę, bardzo podobna do Nell przyłapanej na ulubionym, lecz niedozwolonym fotelu.

- A, to ty! - Uśmiechnęła się i zdjęła kaptur. - A już się lękałam, że będę musiała znowu słuchać o niegodziwości protestanckich duchownych, którzy jedynie sięją niezgodę.

- Obiecuję, że o tym ani słowa! - przysiągłem, siadając przy niej na przykrytym płótnem luku. - O czym rozmyślałaś przy śniadaniu, kiedy spojrzałem ci w oczy? Zdawało mi się, że omal nie wybuchnęłaś śmiechem.

- Rzeczywiście. Gdybyś się nie odwrócił, żeby nalać sobie kawy, obawiam się, że istotnie bym tak postąpiła. Nieładnie to z mojej strony, lecz nagle zauważyłam, że gdybym miała namalować naszych towarzyszy podróży, musiałabym wykorzystać całą paletę farb. Ty byłeś siny z zimna, pan Bradshaw czerwony - na jego plebanii musi się znajdować zacna piwniczka - jego biedny siostrzeniec zaś zielony. Pan Campbell jest zdecydowanie żółty!

Zaniosłem się śmiechem, który podsycił na nowo jej rozbawienie, więc minęło niemało minut, zanim odzyskaliśmy spokój. Kiedy ujęła ołówek, ja wyciągnąłem z kieszeni Guya Manneringa.

- Czy moja obecność będzie ci przeszkadzać?

- W żadnym razie - powiedziała, opierając się o beczułkę. - A jeśli będziesz czytać, inni zaczną się trzymać z daleka. Z jakiegoś powodu sądzą, że mogą mi przerywać rysowanie, choć nie ośmieliliby się zakłócić spokoju mężczyźnie czytającemu gazetę lub książkę. Czy sądzisz, że to z powodu mego zajęcia czy też płci?

Rozważyłem tę kwestię. Czy różnica znajdowała się w byciu mężczyzną bądź kobietą, czy też w czytaniu i rysowaniu?

- Chyba z obu tych powodów - konkludowałem, otwierając książkę, i tak znieruchomieliśmy na długi czas, ramię w ramię, pogrążeni w naszych rozrywkach.

Wczesnym rankiem następnego dnia stałem na achterdeku, rozmawiając z kapitanem, gdy na głównym pokładzie pojawiła się Lucy i jęła się rozglądać.

- Dzień dobry! - zawołał do niej kapitan. - Zechce pani do nas dołączyć? W przeciwieństwie do innych pasażerów wojskowi zawsze są tu mile widziani, a dotyczy to również ich dam.

Lucy uniosła spódnicę i wspięła się po drabince, zanim zdążyłem pospieszyć jej z pomocą. Kiedy stanęła obok nas, kapitan dodał:

- Właśnie mówiłem pani bratu, że dziś wieczorem powinniśmy przybić do portu. Zakładając, że nie zboczymy z kursu, gdyż czeka nas szkwał.

- O, rzeczywiście? - spytała szybko. - Skąd to wiadomo? Mnie się wydaje, że pogoda jest piękna.

Miała rację, gdyż morze było spokojne, a chmury, ścigające się po jasnobłękitnym niebie, były łagodne i niewinnie białe.

- Nie należy się spodziewać, że dama będzie się znać na tych sprawach - odrzekł kapitan.

- Może zechce pan pozwolić mojej siostrze spojrzeć przez lunetę - podsunąłem.

- Z pewnością - zgodził się i jak najchętniej przekazał przyrząd Lucy. - Jeśli spojrzy pani tam... a, już pani widzi. Południowy zachód - zachód, co o tej porze roku jest całkiem zrozumiałe.

Lucy spojrzała przez lunetę. Uczyniłem to samo zaledwie parę minut wcześniej i ujrzałem stalowe cienie, chmury spiętrzone wieloma warstwami nad horyzontem, ciemne, spienione morze i powietrze zasnuwane szarym deszczem.

Lucy patrzyła tak długo, że nie mogłem nie podejrzewać, co też myśli. Potem odjęła lunetę od oka i oddała ją.

- Dziękuję, kapitanie.

- Jeśli mi państwo wybaczą... - odrzekł i odszedł, by porozmawiać ze sternikiem.

- Czy jestem niemądra, że drzę z niepokoju? - spytała Lucy, gdyśmy schodzili na główny pokład, gdyż marynarze już zaczęli biec ku burtom i wspinać się po linach.

- Sytuacja może się stać nieco niewygodna - powiedziałem - lecz jestem pewien, że kapitan zna się na rzeczy.

Skinęła głową, i choć morze jęło się burzyć, została na pokładzie, wciśnięta w kąt, by ręce mieć wolne, obserwując i rysując. Przez godzinę plamka na horyzoncie, którą można by wytrzeć kciukiem, urosła w chmurę, jakiej nie zakryłbym nawet dwoma dłońmi, niezdolnymi także zasłonić moje uszy przed rykiem grzmotów, a oczy - przed lśnieniem błyskawic. Statek kołysał się i miotał, tak że musiałem się chwycić relingu, a porywisty wicher zaczął siec nasze twarze i notes Lucy deszczem i morskim pyłem. Marynarz krzyknął do nas:

- Kapitan pozdrawia państwa i prosi, byście zechcieli zejść pod pokład. Zdaje się, że będzie goręcej, niż się spodziewali.

Dokładnie nad naszymi głowami rozległ się trzask najgłośniejszy ze wszystkich. Odruchowo podnieśliśmy głowy. Nad nami widniał blask, jasny błękit na tle czarnych i skłębionych chmur. Otaczał grotmaszt niczym lodowata aureola.

- Ogień świętego Elma! - wykrzyknęła Lucy. - Jakże pragnęłam zobaczyć...

Jej słowa urwały się, gdyż statkiem szarpnęło, jakbyśmy wpadli w przepaść. Straciłem równowagę i padłem na pokład.

- Stephen! - Lucy przykucnęła, przytrzymując się knagi, i chwyciła mnie za rękę. Moje mokre palce ślizgały się w jej dłoni, lecz zacisnęła ją i utrzymała mnie, dopóki nie wróciła mi władza w członkach i zdołałem dźwignąć się na kolana, a potem na nogi.

Cał po calu zeszliśmy pod pokład. Do salonu dotarłem nieco wzburzony i z największą gotowością usiadłem na wyściełanych ławach biegnących pod trzema ścianami, podczas gdy Lucy rozsypała wstażki opończy i odrzuciła ją. W salonie było ciemno i choć wielka latarnia nad stołem została zapalona, kołysała się tak gwałtownie, że nie sposób było odczytać wyrazu twarzy przy jej świetle.

Inni pasażerowie znikli, choć mijając kajutę siostrzeńca wielebnego Bradshawa, usłyszeliśmy rozdzierające odgłosy. Nie mogliśmy nawet otrzymać herbaty, której oboje byliśmy spragnieni, gdyż Lucy dowiedziała się, iż rozkazano zgasić ogień i można dostać jedynie piwo lub brandy. Nie mieliśmy ochoty na żaden z tych trunków, więc usiedliśmy i staraliśmy się rozmawiać na inne tematy, przekrzykując jęki statku, grzmoty i wycie wichru.

Lucy odpowiadała z roztargnieniem, aż wreszcie zamilkła. Sądziłem, że może kołysanie statku odbiło się na jej zdrowiu - gdyż nawet ja odczułem z największą stanowczością, że mój żołądek domaga się spokoju - kiedy szczególnie potężna fala zalała statek zwartą, ciemnozieloną ścianą wody, która mocno bluznęła w okno nad ramieniem Lucy.

Lucy krzyknęła i zasłoniła usta ręką.

- Przepraszam - powiedziała, gdy statek odzyskał równowagę.

- To z zaskoczenia - rzekłem.

Skinęła głową, a potem nagle statek runął w dół, a morze uderzyło na nas z jeszcze większą wściekłością. Lucy złodowaciała ze zgrozy. Wbiła zęby w dłoń, by znowu nie krzyknąć. Na wpół przymknęła oczy, a drugą ręką mocno ścisnęła oparcie ławy.

- Przejdź na tę stronę - poradziłem, unosząc się i wyciągając rękę, by pomóc jej przejść na drugą stronę salonu.

Skinęła głową i zaczęła się przesuwając wzdłuż ławy w przeciwny kąt kajuty. Statek znowu skoczył. Mimo woli usiadłem, a następna ściana morskiego mroku uderzyła w nas, rzucając Lucy z krzykiem w moje ramiona.

Przez parę chwil wszystkie siły i uwagę poświęcałem na ochranianie nas obojga, gdyż w swym przerażeniu Lucy nie potrafiła stawić oporu, rzucana na wszystkie strony niczym szmaciana lalka w rękach olbrzyma. Tuliłem ją mocno i czułem szloch, wstrząsający jej kruchym ciałem. Twarz ukryła na moim ramieniu i trzymała mnie równie kurczowo jak ja ją.

Minęło sporo czasu, nim poczułem, że statek nie miota się już tak gwałtownie i szybko, nie spada już w przepaść tak głęboką i fale nie wynoszą go na takie wyżyny, choć nadal trzymałem się mocno oparcia ławy, by nie runąć na podłogę. Lucy podniosła głowę z mego ramienia, jej włosy musnęły mi brodę i poczułem chłód powietrza tam, gdzie jej policzek tulił się do mego surduta.

- Przepra... szam. Tylko... to jedno przeraża mnie ponad wszelkie zrozumienie. - Kolejna fala, mniejsza, lecz zaciekle, uderzyła w burtę statku i Lucy drgnęła. Znowu przygarnąłem ją do siebie. Odezwała się, gdy tylko wrócił jej głos, jakby słowa dawały jej pewność, której nie mogła czerpać z rozmyślań. - Wiem, że nic nam tu nie grozi, że jesteśmy tu bezpieczniejsi niż na pokładzie, że statki

codziennie wychodzą bez szwanku ze wszelkich sztormów. Niemądrze jest się bać. Nie znoszę siebie za tę słabość i nierozsądek!

- Jeśli się boisz, to się boisz - odrzekłem. - Nie ma się czego wstydzić. Wszyscy mamy swoje słabości.

Spojrzała na mnie.

Potem zatrzepotała rzęsami, odwróciła oczy, a na jej blade policzki zakradł się rumieniec. Odsunęliśmy się od siebie w pomieszczeniu.

Kiedy steward zjawił się z wiadomością, że ogień pod kuchnią zapalono i że możemy dostać herbatę, jeśli nadal wyrażamy taką ochotę, siedzieliśmy już przy długim stole, dyskutując z zapamiętaniem o rozmieszczeniu floty francuskiej podczas bitwy o Kopenhagę.

Pogoda poprawiła się równie szybko, jak się zepsuła, dlatego po obiedzie, podanym dla tych, którzy mogli go spożyć, z radością opuściliśmy duszny salon i wyszliśmy na pokład. Dowiedzieliśmy się, że sztorm nie odepchnął nas z kursu w znacznym stopniu, a ostry słony wicher, który grał na wantach i szarpał jednako żagle i opończe, pchał statek ku portowi przeznaczenia. Niełatwo było przejść po rozkołysanym pokładzie, lecz chmury zaczęły się unosić, a nawet rozpraszać. Znać było, że zmierzamy na południe, gdyż słońce szybciej zapadało za horyzont, lecz nadal było na tyle ciepło, że z wielką przyjemnością stanęliśmy w małym, osłoniętym zakątku i przyglądaliśmy się mijającym nas szybko falom o białych grzywach. Przed naszymi oczami rósł brzeg, a słońce zachodziło na sterburcie.

Przez parę chwil siedzieliśmy w milczeniu. Na ramieniu, które Lucy puściła, siadając, czułem chłód. Jej palce także były blade z zimna i wiedziony impulsem, otoczyłem je moimi.

- Czy... czy opowiadałam ci o naszej ekspedycji do Burgundii? - spytała.

- Nie.

- Rzeczywiście nie uczyniłam tego?

Skupiłem myśli na jej słowach.

- Mówiłaś tylko, że spotkaliście się z tym Niece.

- Niepce - poprawiła. - Monsieur Joseph - Nicephore Niepce. - Umilkła i usłyszałem jej przyspieszony oddech. - To on robi słoneczne obrazy, jak pan Thomas Wedgwood, ale zgoła odmienną metodą. Lecz powinnam zacząć od początku. Czy powiedziałam, że poszłam

do twojej drukarni, by kupić ryciny Brugii i Mechelin, które chciałam zawieźć do domu? - Pokręciłem głową. - Nawiązałam rozmowę z kierownikiem na temat camera obscura i dowiedziałam się, że jego agencja robi słoneczne obrazy. - Statek drgnął, a ona urwała, ściskając krawędź luku, tak że przez chwilę jej nadgarstek wpierał się w moje kolana. - Pochodzi z Burgundii, nie jest Belgiem.

- Cóż to za odmienna metoda? - spytałem z ulgą, że siedząc z nią ramię w ramię, mogę z łatwością unikać jej spojrzenia.

- Monsieur Niepce zdołał ochronić swoje obrazy przed ciemnieniem na słońcu - do pewnego stopnia, za pomocą kwasu azotowego. Stosuje chlorek srebra, który ciemnieje znacznie szybciej od azotanu srebra. Usiłował także zrobić matryce do sporządzania kopii. Z myślą o ich ujrzeniu nakłoniłam George'a do podróży do Gras, chociażby po to jedynie, by przynieść memu ojcu nowe wieści. Za pomocą camera obscura monsieur Niepce uwiecznił widok z okien - dachy i gołębnik. - Jej głos zaczął się zmieniać, z suchego, pospiesznego do pełnego uczuć, który znałem tak dobrze. - Lecz kształty nie były wyraźne i, oczywiście, jak u pana Wedgwooda, były odwrócone: to, co w rzeczywistości ma jasną barwę, tam jest czarne, a co ciemne - białe. Wydało mi się to dziwne, w przeciwieństwie do piór i owadów pana Wedgwooda. Jednak dopóki George nie opuścił pokoju, monsieur Niepce niechętnie opowiadał o tajemnicach owego procesu. Dopiero potem stał się dość wylewny. Być może odkryłam kolejną zaletę mojej płci.

Zacisnąłem pięści.

- Nie jest młody, lecz wciąż ciekaw nowych idei. Zwykle przeprowadzał eksperymenty z bratem. W dniach republiki stacjonował w koszarach w Caligari, jego brat zaś był oficerem marynarki francuskiej. - Uśmiechnęła się do mnie jak dawniej, jakby rozmowa o tej przyjaźni, o swobodnym przymierzu wspólnych zainteresowań, mogła rozniecić blask naszej.

Lecz kiedym o tym pomyślał, zdałem sobie sprawę, że nie ma już powrotu do naszej dawnej, prostej przyjaźni. Odchrząknąłem i oboje odwróciliśmy wzrok. Po chwili powiedziała:

- Teraz eksperymentuje z substancjami, które w świetle twardnieją, zamiast ciemnieć, gdyż w ten sposób łatwiej będzie zmyć te miejsca, na które światło nie padło, a następnie je wytrawić. Lecz jeszcze nie znalazł właściwej substancji.

Nielatwo było przypomnieć sobie, pomimo niemal bolesnej świadomości jej bliskości, co mi opowiadała o rytownictwie, lecz musiałem poczynić tę próbę.

- Więc jeśli ją znajdzie, linie i cienie utworzone przez kwas, a potem wypełnione tuszem uczynią obraz.

- Tak! - zawołała, uśmiechnęliśmy się do siebie, a moje policzki poczerwieniały i znowu odwróciłem wzrok, który spoczął na wielkich bliźniaczych skałach z Wyspą Świętej Klary między nimi, której nie widziałem od tak wielu lat, lecz którą miłość ma na zawsze utrwalała w mej pamięci.

- Jest! - rzuciłem, zrywając się na równe nogi i podbiegając do burty. - San Sebastian!

Wkrótce statek się rozkołysał, a niedługo potem kapitan zadał sobie ten trud, że osobiście powiadomił nas, iż powinniśmy przybić do portu za godzinę lub dwie.

- I mam nadzieję, że ta mała zawierucha nie sprawiła pani zbyt wiele kłopotu - dodał. - To była burza w szklance wody, jak powiadają.

- Ależ skąd - odrzekła Lucy. - Ledwie ją zauważyliśmy.

* * *

Nic mi się nie śniło przez całą noc. Leżałam w miękkich ciemnościach i spałam jak na chmurze. W końcu obudziłam się tylko dlatego, że Theo chrapnął cicho, a potem mocniej mnie objął. Otworzyłam oczy i wszystko sobie przypomniałam.

- Mmm? - odezwałam się. Odwróciłam się w jego objęciach, żeby go móc pocałować.

Po chwili oddał pocałunek i otworzył oczy.

- Słodka Anna - powiedział tylko i przez jakiś czas odgarniał mi włosy z oczu.

Odwróciłam głowę i pocałowałam jego rękę, polizałam i leciutko ugryzłam ciemną skórę u podstaw kciuka. Była twarda i mocna i nagle strasznie go zapragnęłam, tak jak wczoraj.

Wiem, że poczuł moje wciskające się w niego ciało i ten ukrop, który mnie ogarnął, bo przytulił mnie mocniej. Ale potem mnie puścił, niemal odepchnął i w ciepłą przestrzeń między nami wdarło się chłodne poranne powietrze. Nie wstał i nie poszedł do łazienki ani nic, tylko leżał i patrzył na mnie, a te małe zmarszczki między jego brwiami się pogłębiły, jakby coś go martwiło.

- No co? - spytałam w końcu, a to szczęście w moim brzuchu zaczęło się zmieniać w mdłości. - Co się stało?

Chyba usłyszał drzenie zakradające się do mojego głosu, bo wziął mnie za rękę i niespodziewanie się uśmiechnął, trochę krzywo, ale jakby wszystko rozumiał, i znowu przygarnął mnie i zaczął całować, i wtulaliśmy się w siebie tak mocno, jakbyśmy się chcieli zmienić w jedno ciało.

Było jeszcze dość wcześnie, ale już jasno i ptaki śpiewały, i nawet kombajn gdzieś warczał, więc wszystko było bardziej rozbudzone niż w nieskończonej czerni nocy, jakby dzień na nas czekał. Theo pochylił się i pocałował mnie między nogami. Niemal natychmiast pożądanie wymiotło mi z głowy wszystko, nawet miłość do niego, i szarpnęłam go za ramiona, a kiedy we mnie wszedł, cała miłość wróciła, grzmotnęła mnie jak pałą, jeszcze zanim wszystko w nas eksplodowało, jeszcze zanim moje szczęście wypłynęło w postaci łez.

- Anna? - spytał, podnosząc głowę z mojej szyi. - Słodka, wszystko dobrze?

Skinęłam głową.

- Nie płacz - poprosił, wyjął jedną rękę spod moich ramion i wytarł łzy palcem wskazującym. Przesunął nim po moim uśmiechu. - Co się stało? Sprawilem ci ból?

- Nie, o nie - powiedziałam, bo jak mógłby być powodem mojego cierpienia? Na wspomnienie, jak we mnie eksplodował, nie mogłam się powstrzymać i powiedziałam: - Kocham cię.

Bardzo ucichł. Nawet przestał oddychać. Potem zsunął się ze mnie, przytulił mnie i pocałował w czoło, i przytulił do niego policzek.

- O, Anno - powiedział. - O, słodka. Po chwili odezwałam się:

- Wiesz, wszystko w porządku. Nie musisz... nic. Po prostu... mówię, co czuję.

Ujął moją twarz w obie dłonie i spojrzał mi prosto w oczy.

- To wielki zaszczyt, że mi powiedziałaś. - Nie dodał nic więcej i po bardzo długim patrzeniu sobie w oczy pocałowałam go i wtuliłam się w jego ramiona, aż nos mi się rozpląszczył na jego szyi. Poduszka pod moim policzkiem pachniała mną i nim, zmieszanymi zapachami, jakbyśmy razem stali się nową osobą.

Mogłabym tam zostać na zawsze, ale po chwili rozdzwonił się telefon w dużym pokoju. Oboje podskoczyliśmy. Theo znowu pocałował mnie w czoło, wstał i odebrał.

- Halo?... Dzień dobry, Crispin! - Długa pauza. - Dobrze. Będziemy o piątej... nie, dobrze... Tak, oczywiście... Ciao!

Usiadłam. Theo odłożył słuchawkę i wrócił do sypialni. Zaczął wkładać spodnie.

- Nawiasem mówiąc, wyjąłem twoje odblaski z kąpielni.

- Boże, zapomniałam. Kiedy to zrobiłeś?

- Kiedy były gotowe. Spałeś mocno. Cieszę się, że cię nie obudziłem.

- To wtedy mnie przykryłeś? Uśmiechnął się.

- Tak. Żebyś nie zmarzła. - Nie zawracał sobie głowy koszulą. Wychodząc do dużego pokoju, rzucił przez ramię: - Przyjdiesz na wernisaż dla sponsorów, prawda? Zaczyna się o siódmej, a Crispin musi iść do drukarni, żeby odebrać ulotki. Mam masę spraw do załatwienia rano, ale obiecałem, że o piątej przyjadę pomóc mu przy ostatnich przygotowaniach. Możesz ze mną jechać?

- Świetnie! - Wstałam i zaczęłam się rozglądać za majtkami.

- Może kawy? A potem przypuszczam, że chciałabyś wrócić do Kersey Hall, żeby się przebrać.

- Pewnie tak będzie lepiej - powiedziałam, ale po raz pierwszy, odkąd pamiętam, nie chciało mi się kąpać, chciałam czuć na sobie zapach i dotyk Theo, najlepiej na zawsze. Pewnie w moim głosie było słyhać, że nie chcę wracać, ale oczywiście Theo nie zrozumiał powodów.

- Biedna, aż tak jest źle?

- Mniej więcej. No nie, Ray jest w porządku. Miły... na ogół... i chce, żebym się tam dobrze czuła, jestem pewna. Ale jest zapracowany. Nawet nie zajmuje się Cecilem jak trzeba. A Cecil jest trochę dziwny. Nawet to imię... jakby nie był z naszych czasów. A Belle... - Przez chwilę nie mogłam tego powiedzieć, ale się przełamalam: - Wiem, że to moja babka i tak dalej, ale jest... Ona tam naprawdę nie mieszka, nie bardziej niż ja. Ciągłe mi mówi, że chce, żebyśmy byli jak rodzina. Ale jest paskudna dla Cecila - szczerze obrzydliwa. I jeśli nie robię tego, czego chce, robi się jakaś straszna.

Przynajmniej kiedy jest pijana. A ostatnim razem powiedziała... o mnie... coś nieprawdziwego.

Zakręcił słoik z kawą.

- To niemiłe. Możesz jej schodzić z drogi? Nie musisz tam bywać, zawsze możesz tu przyjść. - Uśmiechnął się tak, że nagle wszystkie problemy znikły. - Croissanty się skończyły, ale może grzankę?

Byłam głodna i ukroiłam chleb dla nas obojga, wczorajszy, ukośne kromki, tak jak on to robił. Położyłam je na ruszcie. Za każdym razem musiałam sięgać obok niego; odsunął się i spytał:

- Więc gdzie w Hiszpanii mieszka twoja matka? - Jednocześnie nalewał kawę i dodawał do mojej gorącego mleka.

- W jakimś Mijas, ale wymawia się „Mihás”. Dave mówi, że to małe, ale ładne miasteczko - dość artystowskie, takie staroświeckie.

- Znam Mijas - powiedział, wymawiając to słowo jak trzeba. - I twój Dave ma rację.

- Postanowili, że zamieszkają w dużym hotelu, ale nie bardzo dużym, żeby wyrobić sobie pojęcie, jacy ludzie tam przyjeżdżają. Potem kupią własny hotel. Dave już był właścicielem hoteli, więc wie, co robi.

- Na to wygląda. Jak tam grzanka?

Udało mi się niczego nie przypalić, choć kiedy ciągle chodził koło mnie, przynosząc masło, dżem i talerze, więcej uwagi skupiałam na jego zapachu i dotyku niż na ruszcie. Znowu poczułam jakieś mrowienie między łopatkami, jak w ciemni, jakby moje ciało na niego patrzyło, choć oczy go nie widziały.

Kończyliśmy zmywać, gdy telefon zadzwonił znowu. Theo odebrał.

- Halo? - Twarz mu się rozjaśniła. W słuchawce mówił jakiś głos. Przez jeden straszny moment myślałam, że to Eva. Choć nie miałyby mi za złe. Na pewno.

- Kajik! - zawołał Theo i zaczął mówić w obcym języku, podekscytowany, marszcząc brwi, machając ręką bez słuchawki, a czasem tą ze słuchawką też.

Skończyły mi się palce, które wycierałam ścierką, a Theo zaczął się szarpać z kopertą, przytrzymując słuchawkę między ramieniem i uchem. Przyglądałam się, jak zapisuje obce nazwiska i adresy, czasem

nawet rosyjskim alfabetem, tak szybko i zgrabnie, że serce mi fiknęło. Nie wydałam żadnego dźwięku, ale on podniósł wzrok i powiedział po angielsku:

- Kajik! Wybacz! Mogę oddzwonić?

- Nie przejmuj się - powiedziałam. - Już pójdę. Muszę się przebrać, jak powiedziałeś.

- Kajik, poczekaj chwilę - rzucił, odłożył słuchawkę na blat, objął mnie i pocałował. - Słodka Anna... Do zobaczenia.

Szybko pocałowałam go w usta, zawiesiłam na szyi aparat, zeszłam po schodach, a on znowu chwycił słuchawkę.

- Kajik?

Na dworze było ciepło w porównaniu z wnętrzem stajni, ale nie słonecznie. Szłam przez polanę i między drzewami dość wolnym krokiem. Powietrze stało nieruchomo, wilgotne. Moja skóra pachniała potem i dymem Theo, i moim własnym zapachem, słonym i piżmowym. Idąc, czułam w sobie ciepłą ociążałość, nie bolesną, lecz pełność, wypełnienie, czułam go tam przy każdym stąpieniu. Przeszłam przez zielen, światło i cień drzew, a kiedy dotarłam do furtki, dwór wydał mi się stary i zmęczony, zgarbiony wśród zmechaconej suchej trawy. Ale to było bez znaczenia, bo miałam Theo. Mrowienie między łopatkami było niemal takie, jakby łaskotał mnie oddech Theo, jakbym go miała przy sobie. Pchnęłam furtkę, przeszłam przez trawniki, otworzyłam tylne drzwi.

Gdzieś w głębi domu płakał Cecil, głośno, lecz w oddali, bez przerwy. Pobiegłam do jego pokoju.

Kiedyś zdążył namalować na ścianie dwie czarne leżące sylwetki, tak wysoko, jak tylko mógł dosięgnąć. Ale jego samego w pokoju nie było. Płacz nie ustawał - brzmiał niemal jak krzyk, coraz głośniejszy, gdy biegłam przez kuchnię, przez wahadłowe drzwi.

Belle stała w hallu. Pochylała się, trzymając Cecila za ramię, i biła go pięścią w plecy i głowę, młóciła raz po raz, a ciosy miały nim jak szmacianą lalką. Drzwi zamknęły się za mną z klapnięciem. Belle wyprostowała się i rzuciła go na podłogę. Umilkł i znieruchomiał. Wówczas odwróciła się i spojrzała na mnie.

Wyminęłam ją, tak blisko, że odskoczyła. Cecil kwilił, skulony przy podwójnych drzwiach. Rękami osłaniał głowę, a każdy szloch jakby mu sprawiał ból. Krzyknął, kiedy go dotknęłam, ale jakby ze zmęczeniem, jakby już się poddał. Wyprostowałam się i obejrzałam.

Ray stał na zewnątrz, zaglądał przez okno. Przez stare szkło wydało mi się, że widzę łzy płynące mu po policzkach. Odwróciłam się. Belle znikła.

Pochyliłam się nad Cecilem.

- Ciss? - Słabo skinął głową. - Pomogę ci usiąść. - Ujęłam jego ramię najdelikatniej, jak umiałam. Krzyknął, potem jego brzuch dziwnie zafalował i na marmur bluznęły wymiociny.

Drzwi frontowe się otworzyły, wszedł Ray. Był szary i roztrzęsiony, zdejmował kardigan.

- Nie podnoś go. Coś mu się stało?

- Tak.

- Czy... trzeba go zawieźć do doktora?

- Nie wiem. Tak. Chyba ma złamaną rękę.

Ukląkł w wymiocinach, nawet ich nie zauważając, przykrył Cecila swetrem. Potem zaczął go badać, przemawiając do niego i łagodnie go dotykając, w taki celowy sposób, jak pielęgniarz, choć ręce mu się trzęsły.

- Ciss, słyszysz mnie? Zajrzę ci w oczy. Powiesz mi, gdzie cię boli? Tutaj? A, tutaj? Tu w porządku? - Po chwili Cecil przestał kwilić i znieruchomiał, ale oczy miał otwarte i wodził nimi za Rayem, który przykucnął nad nim. - Chyba masz rację z tą ręką. Biedaczek. Zawiozę go na pogotowie. Tak będzie szybciej, niż wzywać karetkę - na wsi to trwa godzinami. Popilnujesz go?

- A jak Belle wróci? Wzdrygnął się.

- Nie... nie wiem. Nie wróci. Chyba nie. Pospieszę się. Mów do niego, ale cicho. Zatrzymaj go tutaj. - Potykając się, popędził przez marmurowy hol, po schodach na piętro.

Odwróciłam się do Cecila.

- Ciss? Tu Anna. Słyszysz mnie?

- Chory jak pies - odezwał się słabiutkim głosem, jakby był nie tylko pobity, ale jeszcze rozgorączkowany. - Martwi ludzie i robaki. Gorąco. Pali.

- Już niedługo, kotku - powiedziałam. - Wujek Ray zabierze cię do szpitala, a tam cię wyleczą.

Potem pomyślałam: Ray nie powstrzymał Belle. Stał i patrzył, jakby nie mógł się ruszyć, i płakał jak dziecko. Czy Cecil będzie przy nim bezpieczny?

Ray zbiegał po schodach. Niósł naręczce koców i wielką czerwoną apteczkę. Wstałam, stanęłam między nim i Cecilem. Zatrzymał się.

- Jadę z tobą - oznajmiłam.

- Dziękuję, ale dam radę.

- Jadę.

Długo milczał. Potem nabrał głęboki haust powietrza.

- Och. A, rozumiem... Nie dziwię ci się. Nie mogę... nie mogłem jej powstrzymać. Nie potrafię wyjaśnić... ale za nic na świecie nie zrobiłbym krzywdy Cecilowi. Dałbym wszystko, żeby do tego nie doszło. Jest moim... jest dla mnie jak syn. Kocham go.

I nie wiem dlaczego - może przez to, jak dotykał Cecila, jak nawet nie zauważył wymiocin - uwierzyłam i zrozumiałam, że Cecil będzie bezpieczny, nie potrzebuje mnie. Ray poprosił, żebyśmy przytrzymała złamaną rękę Cecila przy jego piersi, żeby nie mógł nią poruszać, a sam rozwinął bandaż i unieruchomił rękę, potem ja wzięłam koce i umościłam gniazdko na podłodze minibusu, bo tam będzie mu bezpieczniej niż na siedzeniu, powiedział Ray. Wziął Cecila z największą ostrożnością, na jaką można się zdobyć, wyniósł go i złożył na kocach, a ja przykryłam go innymi.

Ruszył i bardzo powoli odjechał.

Zrobiło się gorąco, czułam na sobie zapach Theo. Ale teraz już chciałam się wykąpać, pozbyć się wszystkiego, co wiedziałam. Wróciłam do domu.

W holu cuchnęło wymiocinami. Belle wyszła z gabinetu. Na myśl, że była tam przez cały czas, kiedy zajmowaliśmy się Cecilem, przeszły mnie ciarki.

- Więc zrobiłaś to, po co przyjechałaś.

Przez chwilę wydawało mi się, że jednak w końcu zwymiotuję; smród wymiocin Cecila i jej paskudny odór gryzły mnie w nos i gardło. Nie chciało mi się z nią gadać, mdliło mnie, czułam się brudna, chciałam wrócić do Theo, ale najpierw musiałam się umyć. To, co zobaczyłam, sparzyło mnie w oczy. Ruszyłam na piętro, nie oglądając się na nią.

Rozbierając się, znalazłam w kieszeni szortów list Stephena o

Catalinie. Schowałam go bezpiecznie z innymi. Napuściłam sobie wody tak gorącej, jak tylko mogłam znieść, i szorowałam się długo, dopóki nie poczułam się czysta. Umyłam włosy, włożyłam ostatni czysty stanik i majtki, a także spódnicę z falbanami i kwiecistą

bluzkę, którą zachowałam na jakąś niewiadomą okazję. To były jedyne czyste ubrania, jakie mi zostały, i dzięki Bogu pasowały na wieczór. Ale nie umalowałam się. Nie chciałam spoglądać w lustro.

Zawiesiłam aparat na ramieniu i wyszłam na podest. Belle wchodziła po schodach z taką miną, jakby to sprawiało jej ból. Trzymała się balustrady tak kurczowo, że jej ręka wyglądała jak zakrwawione szpony. Stała mi na drodze.

- Nie chcesz należeć do tej rodziny, co? Wychodzisz, zadajesz się z obcymi - cudzoziemcami - i wracasz tylko po to, żeby sprawiać kłopoty.

Chciałam ją uderzyć, zrobić jej krzywdę, tak jak ona zrobiła krzywdę Cecilowi.

- To nie ma nic wspólnego z niczym! Nie ja mu zламаłam rękę.

Stała tuż przede mną, zdyszana, jakby to był dla niej zbyt wielki wysiłek, i czułam wszystko, cuchnące, skwaśniałe.

- Twoja matka powiedziała Rayowi, że nie puści cię samopas. Wiem, dlaczego. Bo jesteś puszczańska. Rozkładasz nogi przed każdym. Jakbyś to miała po niej. Twój ojciec był tylko pierwszym - wiedziałaś? A kiedy rodzina nie pomogła, uciekła. A teraz wysłała cię, żeby nas poróżnić. Ale to ci się nie uda. Ray mnie nigdy nie opuści. Jest mój. Nie Nancy. Nie twój. Nie tego gnoja. Mój. Nigdy nie spojrzał na nikogo innego. Nawet wtedy, gdy on był tutaj, a ja daleko... Tylko dlatego, że jakaś suka wmówiła mu, że jest ojcem gnoja, a on był zbyt przyzwoity, żeby zaprzeczyć... Ale jest mój. Zawsze był. Nie ośmieliłby się mi sprzeciwić.

W gardle zaczął mi wzbierać straszny smak, mdlący, dygoczący, bo już wiedziałam, o co tu chodzi. Co się wydarzyło.

- To ty... ty to zrobiłaś. Rayowi! Biłaś go, a teraz bijesz Cecila.

Nic dziwnego, że mama nie chciała zostać. Ją też biłaś? Jasne, musiała odejść i sama sobie radzić. Jesteś stara i obrzydliwa, rzygać mi się chce.

- A ten twój cudowny Theo? - ryknęła. Zatrzymałam się jak wryta. - Czuję jego zapach! Lubi sypiać z uczennicami? - Chwyciła mnie za bluzkę i usiłowała wciągnąć w swój smród. - No, co tam robicie? Jak się czujesz, kiedy rżnie cię mężczyzna starszy od twojego ojca?

Zamachnęła się, zacisnęła rękę w pięść, a ja się wyszarpnęłam i zbiegłam po schodach. Wychyliła się przez balustradę.

- Zdzira!

Zbiegłam ze schodów, wyminęłam wymiociny Cecila, szarpnęłam frontowe drzwi i wybiegłam. Na dworze dotarło do mnie, co powiedziała. Nawet wtedy, gdy on był tutaj, a ja daleko... Tylko dlatego, że jakaś suka wmówiła mu, że jest ojcem gnoja, a on był zbyt przyzwoity, żeby zaprzeczyć... Ale jest mój. Zawsze był.

Ray był ojcem Cecila. Albo tak powiedział. Sięgnęłam głębiej w pamięć, starałam się zmusić mózg, żeby tylko zerknął, nie patrzył na całość.

Jest moim... jest dla mnie jak syn. Kocham go. Wiedziałam, że to prawda, od pierwszej chwili. Ray ją odesłał czy tam co - i to picie, naturalnie - i przyjechał tu całkiem sam. I zamieszkał z Cecilem, nie tą jakąś jego matką, może była szalona czy jakaś. A teraz nie stać go już, żeby opłacać Belle tamto miejsce, ona wróciła, zobaczyła Cecila, a Ray nie mógł - nie potrafił - nie chciał jej powstrzymać.

Całą drogę do stajni przebiegłam, ze spódnicą płaczącą mi się między nogami i aparatem objającym mi biodro. Powietrze świstało mi w mokrych włosach, a ja myślałam tylko, że muszę znaleźć Theo.

Siedział na piętrze, za wielkim biurkiem. Zobaczył mnie w drzwiach, zziąjaną, i wstał szybko, wyciągając ręce.

- Anna! Co się stało? O co chodzi?

Przez chwilę - przez to, co powiedziała Belle - wydawał mi się niemal obcym człowiekiem. Miał głębokie zmarszczki na twarzy, twardą starą skórę, nawet mięśnie wydawały się jakieś sflaczałe, dopóki się nie poruszył. Pomyślałam: jak mogłam go obejmować, pragnąć, kochać się z nim? Może dlatego wszędzie wokół czułam ten mdlący smród. A jeśli ja też tak śmierdzę, to jak mógł mnie trzymać w objęciach? Jak mogliśmy być razem?

Ale potem mnie objął i pomyślałam: nie, on tu jest. Pragnie mnie, jakakolwiek bym była, skądkolwiek bym przyszła. Choćbym się zgubiła, on mnie znajdzie. To Theo i ja go kocham.

Ale, jak zawsze, kiedy ktoś jest dla ciebie miły, to cię musi rozłożyć. Zaczęłam płakać jakimiś dławiącymi kaszlnięciami. Wyjął z kieszeni chusteczkę i dał mi ją, żebym mogła wytrzeć oczy i nos. I jakoś po chwili udało mi się przestać.

Wtedy dopiero spytał:

- O co chodzi? Anno? Powiesz mi?

Pokręciłam głową. Miałam w niej mętlik. Chciałam opowiedzieć, co się wydarzyło, ale tego, co powiedziała Belle, nigdy nie mogłabym powiedzieć, nie jemu, jemu nigdy. Tak jakby te słowa mi zatkały głowę, jak przy przeziębieniu, kiedy z oczu płyną łzy, nos się zatka i nie można wysmarkać tego, co zalega w głowie.

Odsunął mnie i przyjrzał mi się.

- Czy...? Nie, chodźmy na spacer.

Ruszyliśmy z dala od drogi i Kersey Hall i przez chwilę nic nie mówiliśmy, tylko szliśmy wśród drzew, trawy, sosnowych igieł i zeszłorocznych liści, brnęliśmy przez rozprażone, gęste powietrze.

Na skraju zagajnika okazało się, że pszenica na polu była już zżęta. Ściernisko ciągnęło się daleko, szorstkie, ciemnożółte. Skowronki znikły, jakby i je zżęto.

Usiedliśmy na skraju pola, Theo objął mnie ramieniem, a kiedy zrobiło się nam wygodnie, spytał:

- Powiesz mi?

Opowiedziałam, jak Belle pobiła Cecila, że Cecil musi iść do szpitala, a potem cały gniew jakby ze mnie wyciekł i poczułam tylko niewiarygodne zmęczenie i smutek.

- Ale Ray zabierze go do szpitala?

- Tak, tylko... co on powiedział... i Belle! Ray jest ojcem Cecila.

Pokiwał głową.

- Tak sobie myśleliśmy. Tak często ludzie milczą. Czy to cię oburza?

Zastanowiłam się.

- Właściwie nie. Tylko zastanawiam się, kim jest jego matka. No... nie mogę sobie wyobrazić, że można nie mieć matki. Jak mogła go zostawić? Chyba że... oj, nie wiem. Ale nie, nie jestem oburzona. Tak już bywa, staroświeccy ludzie uważają, że się nie powinno, tak jak nie powinno się uprawiać seksu przed ślubem, chodzić z kolorowym chłopakiem czy tam co. Ale to... kiedy Belle biła Cecila... Ray mu nie pomógł. Tylko patrzył.

- Co?

- Patrzył, jak go biła. Stał na dworze. Przyglądał się przez okno. Był tam. I nic nie zrobił. - Spojrzałam na niego. Marszczył brwi, ale zrobiło mi się lżej, bo mu powiedziałam. - Nie... był smutny. Płakał.

Nie jest z tych, co lubią patrzeć. Podglądać. Tylko wyglądał, jakby nie mógł nic zrobić. Jakby go sparaliżowało.

- Kiedy ktoś wiele wycierpi... przestaje wierzyć, że może walczyć. Już to widziałem, jak po prostu... są bierni. Jakby byli bezsilni. Widziałem to.

- Do przyjazdu Belle Cecil był szczęśliwy. A Ray usiłował go ukrywać przed Belle. Ale potem wszystko się skomplikowało przez szkołę, i musiał przyjąć Belle do siebie. I nie potrafił jej powstrzymać. Teraz rozumiem, dlaczego mama wyjechała, kiedy tylko mogła. Od tamtego czasu żyła na własny rachunek. I nigdy nic nie powiedziała. Nie wiedziała, że Belle tu będzie. Myślała, że szkoła działa i będą ludzie. Ale Belle... Belle mnie... wyzywała. Powiedziała, że mama tak powiedziała. Mama by tak nie powiedziała! Tylko dlaczego, że czasami... Rayowi by nie powiedziała. Belle to zmyśliła. Ale powiedziała, plugawe rzeczy o mnie.

Odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć.

- Anno, Belle się myli. Ma własne problemy i to one nią rządzą. Ty na pewno nie mogłabyś być plugawa. Jesteś słodka i śliczna, i nieskończenie pociągająca. I ta chora kobieta w żaden sposób nie może tego zmienić, cokolwiek by powiedziała czy zrobiła.

Był tak spokojny, tak pewny i zdecydowany, że zaczęłam się czuć czysta, ale nie mogłam się oczyścić, nie tak do końca, dopóki nie powiedziałam mu wszystkiego, nie wyrzuciłam tego z siebie, na słońce, żeby się roztopiło i znikło.

- O tobie też mówiła straszne rzeczy, o mnie i o tobie, że jesteś starszy od mojego... - Urwałam.

Bardzo długo się nie odzywał, ale jego palce nagle zacisnęły się na próżni. Siedziałam i starałam się nie czuć, że się ode mnie oddala. W końcu powiedział:

- Nie sądziłem... ale czy tak to widzisz? Ważne jest, co ty sądzisz.

- Nie. Ja tego tak nie widzę.

- Naprawdę nie?

- Naprawdę. Widzę ciebie. A ciebie kocham.

- Ale?

- Ale... nie mogę się pozbyć z uszu jej głosu. Jakby... jakby to był jakiś obrzydliwy smród. - Uśmiechnął się. - Nie mów mi, że nie można mieć smrodu w uszach. To właśnie takie uczucie.

- Wiem, że to możliwe - powiedział. - To dokładnie takie uczucie.

- Nie mogę się tego pozbyć. Na samą myśl o niej robi mi się niedobrze.

- Więc nie myśl o niej. Pomyśl o czymś innym. To możliwe. Przynajmniej w większości przypadków - powiedział, spoglądając na zegarek. - Zapamiętaj, że tylko ty potrafisz ocenić, czy twoje uczynki są dobre czy złe, a następnie jedź ze mną na obiad.

- Ale czy nie masz roboty? Powiedziałeś, że jesteś zajęty.

- Ty jesteś ważniejsza - oznajmił i wróciliśmy przez las. Zaczekałam w samochodzie, Theo poszedł na górę, wrócił z garniturem na potem i wyjechaliśmy z Kersey.

Nie znałam wiosek, przez które przejeżdżaliśmy. Wyruszyliśmy w przeciwną stronę niż dotychczas i wylądowaliśmy w jakby pubie, ale tak naprawdę hotelu, więc chociaż dotarliśmy tam po drugiej, podawali jedzenie i w dodatku nie zamykali o trzeciej. Było pustawo, bo to poniedziałek, głównie starsze pary i ich znajomi, i jacyś faceci, którzy wyglądali na komiwojażerów, z policzkami czerwonymi od piwa i głośni. Wyszliśmy z kawą do ogródka i usiedliśmy na trawie nad rzeką. Pływało po niej kilka łabędzi i kaczek, a jeden łabędź zapragnął się popisać, zaczął rozkładać skrzydła i dumnie pływać, a jego samica się przyglądała, więc chwyciłam aparat i strzeliłam fotkę obojgu. Zerwał się wietrzyk, poruszył zastale powietrze i rzucił mi na twarz pasma włosów. Kawa była cienka i stęchła, jeden z uroków Anglii, powiedział Theo, obok zieleni i kaczek.

- Nie rozumiem, dlaczego dotąd tego nie zauważałam - powiedziałam. - Prawdę mówiąc, kiedyś wołałabym taką. Ale teraz przywykłam do kawy po waszemu.

- Angielka, która odróżnia dobrą kawę od złej - mruknął Theo. - Przynajmniej jedna dobra rzecz, która z tego wynika.

Nad rzeką było zimno.

- Tylko jedna? - spytałam. Odgarnął mi z twarzy pasmo włosów.

- Nie, słodka Anno. Nie tylko jedna. - I po jego dotyku i uśmiechu w oczach zrozumiałam, że mówi prawdę. Nagle pochylił się i pocałował mnie.

Za naszymi plecami rozległy się sykania, które ostatni raz słyszałam, kiedy Holly obcięła włosy na jeża, żeby pasowały do jej

moro. Stare głosy, myślą, że tak nam przeszkodzą. W oczach Theo zamigotały światelka. Obejrzał się, potem spojrzał na mnie, przysunęliśmy się i pocałowaliśmy dłużej, mocniej, namiętniej, aż tanto cmokanie umilkło. Kiedy wróciliśmy do samochodu, pragnęłam go tak bardzo, że aż bolało.

- Pewnie pojedziemy prosto do galerii - powiedział Theo.

- Ale ja muszę się umalować - zaprotestowałam, a on się roześmiał.

- Jeśli powiem, że wyglądasz świetnie, bo to prawda, nie robi ci to najmniejszej różnicy. Więc zatrzymajmy się przy najbliższej drogerii i kupisz sobie, co trzeba. Masz pieniądze czy ci pożyczyć?

Zaczekał w samochodzie, a ja myszkowałam wśród niebieskich cieni i cyklamenowych różów, aż w końcu znalazłam czarną maskarę, przyzwoity podkład i grzebień, i jakieś kolczyki ze stojaka z tanimi błyskotkami.

Crispin galopował po galerii z rozwianym włosom.

- Wiesz, że drukarnia jednak zdążyła? Więc nie musiałem cię tu ściągnąć tak wcześnie. Dzwoniłem, nagrałem się, ale cię nie było. Przepraszam.

- Nic nie szkodzi - powiedział Theo. - Przebiorę się, a potem... jak możemy ci pomóc?

Rozstawiliśmy czerwone wino, sok pomarańczowy w kartonach i szklanki, i wtoczyliśmy do starej klekoczącej lodówki w gabinecie jak najwięcej białego wina. Ja wymieniałam dwie żarówki, Theo papier w toaletach, wszyscy rozkładaliśmy ulotki ze spisem zdjęć i ich cenami. Kiedy byliśmy już bliscy podnoszenia nieistniejących pyłków z podłogi, wyrównywania rzędów szklanek i spoglądania na zegarki, Crispin spytał:

- Więc jak ci się żyje w Kersey Hall?

- O, w porządku - powiedziałam. - Theo uczy mnie robić zdjęcia.

- Tak? Nie robiłaś tego dotychczas?

- Odbitek nigdy.

Spojrzał na mnie, potem na Theo i ciekawe, czy się domyślił. Zrobiło mi się wstyd, ale byłam szczęśliwa, bo Crispin przyjaźnił się z Theo i zrozumiałby.

- Muszę się przygotować - powiedziałam, poszłam do łazienki, obmyłam się i porządnie umalowałam, bo czekało mnie

spotkanie z tą masą ludzi. Cień, który znalazłam, miał bardzo ładny, ciemny odcień brązowego fioletu, a szminka była jak trzeba, ciemnoczerwona. Potem uczesałam włosy i włożyłam kolczyki z dużymi kryształami, nikt by nie poznał, że to zwykły szajs, kiedy wmieszały się w moje włosy i tylko połyskiwały na ciemnym tle.

Kiedy zeszłam po schodach, Crispin właśnie mówił:

- Zdaje się, że ród Fairhurstów wygaś, ale na ogół lokalna arystokracja zawierała związki między sobą. Na przykład Jocelynowie są z nimi jakoś spokrewnieni - ci piwowarzy z Bury, wiesz. Jeden ożenił się chyba z córką Fairhursta i mieli mnóstwo synów, więc geny zostały przekazane, jeśli nie nazwisko. A dwór sprzedano na szkołę po wojnie i parę razy przechodził z rąk do rąk. Wtedy sprzedano wiele wielkich domów, z powodu strasznych podatków. Choć ostatnio w paru otworzono hotele. Portret Stephena Fairhursta to najcenniejsza nasza własność, ale są i listy, a ja kupiłem parę rzeczy, kiedy natykałem się na nie na wyprzedażach. Głównie fotografie. Z jakiegoś powodu jest ich masa.

Odwrócili się w stronę portretu akurat, kiedy zeszłam z ostatniego schodka. Stephen spojrzał mi w oczy. Na policzku poczułam spojrzenie Theo.

Zapadło głucho milczenie.

- Kochanie! - zawołał Crispin. - Wyglądasz bosko!

Theo tylko się do mnie uśmiechnął, uśmiechał się i uśmiechał, i ja też się uśmiechnęłam i czułam, że Stephen nam się przygląda. Minęło strasznie dużo czasu, zanim Theo znowu spojrzał na Stephena i powiedział:

- To niezły portret. Więc masz jakiś budżet na zakupy? Myślałem, że tylko na wystawy.

- Czasami nie potrafię się oprzeć i kupuję rzeczy dla siebie, zwłaszcza obrazy i zdjęcia. Jest coś w tym, kiedy się zobaczy, jak tu dawniej wyglądało... I kiedy się widzi, jak to widział malarz, co w ogóle stanowi całkiem odrębną kwestię. A te stare płyty fotograficzne są przepiękne. W ogóle nie jak negatywy filmowe, prawda? Mają własną duszę, charakter. Oczywiście najczęściej to dagerotypy. Tak jakby za szkłem była uwięziona dusza modela...

Ktoś zapukał energicznie do drzwi.

- To pewnie Penny - powiedział Crispin. - Nie znasz jeszcze mojej siostry, co, Anno? Penny Stamford? A moją siostrzenicę Susan?

Penny była wysoka i chuda jak Crispin, i równie miła. Susan będzie podawać drinki, oznajmiła, razem z koleżanką, która jeszcze nie dotarła.

- Więc mieszkasz u Raya Holmana w Kersey Hall?

- To mój wujek. - To było wszystko, co zdołałam wykrztusić, żeby się nie rozdygotać.

- Wiesz, Susan tam pracowała.

- Tak, Crispin mówił. I Cecil.

- Dziwne stworzenie z tego Cecila. Chyba jest w wieku szkolnym, ale Ray uznał, że z powodu nieśmiałości nie będzie się dobrze czuć w szkole. Pewnie wie, co robi. Jest doświadczonym nauczycielem, nawet jeśli do chwili kupna szkoły nie prowadził żadnej. Czy twoja rodzina nie pochodzi z okolic Bury? Pewnie wiesz więcej ode mnie.

- Właściwie nie. I nawet nie za dobrze znam Raya. Przez chwilę nic nie mówiła.

- Piękny stary dom, ten Kersey Hall. Oczywiście dziś jako dom mieszkalny jest dość niepraktyczny. Czasy się zmieniają. - Roześmiała się. - Coś mi się zdaje, że Crispin w głębi duszy tego żałuje. Dlatego zbiera fotografie, na których widać, jak to kiedyś bywało.

Nagle pomyślałam o Stephenie, o tym, co pominął milczeniem, i o koszmarach Cecila.

- Pomimo tego... złego, co się tam zdarzało? No, bo my przynajmniej mamy lekarzy, leki, ludzie nie umierają z głodu. I mamy prawo głosu i... w ogóle. Nawet... nawet tam, gdzie mieszkałam, nie było tak źle jak wtedy. Na ogół.

Uśmiechnęła się.

- Przynajmniej wiesz, że na ogół. Ja pracuję w sądzie rodzinnym i też o tym wiem. Ale ludzie, których tu dzisiaj poznasz, na ogół nie mają o tym zielonego pojęcia. A nie są źli. Po prostu mieli w życiu szczęście. Chodź, poznasz Susan.

Susan wcale nie była wysoka i chuda, tylko tęga i uśmiechnięta, w białej bluzce i czarnej spódnicy, tylko trochę starsza ode mnie. Powiedziałam jej, że znam Cecila, na co się rozpromieniła i spytała:

- Co u niego? Jesteśmy przyjaciółmi. Ale już nie mogę tam pracować. Szkoła zamknięta, dzieci wyjechały.

- Wszystko z nim dobrze - powiedziałam. - Często o tobie mówi.

- Tak? Tęsknię za nim - powiedziała, a potem zaczęli się schodzić goście, chcieli pić i zajęła się nimi. Dopiero kiedy zobaczyłam ją z innymi, zauważyłam, że ma te śmieszne oczy.

Theo stanął obok mnie. Czułam przez bluzkę jego ciepło.

- To mongołka? - szepnęłam.

- Tak, ale Penny i Crispin zawsze nazywają to jak trzeba. Susan ma zespół Downa. Jest słodka, prawda? - Wziął kieliszek białego wina i podał mi. - Może chcesz? A potem przedstawię cię innym.

- Musisz?

Roześmiał się i wcisnął mi kieliszek w rękę.

- Przeżyjesz.

Rozejrzałam się i napotkałam spojrzenie Crispina. Po chwili stanął w łuku między dwoma salami i parę razy stuknął o siebie dwoma kieliszkami. Wszyscy zaczęli się nawzajem uciszać, a kiedy już było cicho, wygłosił przemówienie o hojności sponsorów i miejscowych rad, a także o potrzebie istnienia takich miejsc jak ta galeria i doniosłości prac Theo i Ewy. A potem przyszła kolej na Theo.

- Bardzo dziękuję, że zechcieliście dziś przyjść - powiedział, a ja przyglądałam się ruchom jego głowy i rąk, stare złoto na tle bieli koszuli i czerni garnituru, i czerni oczu, roziskrzonych w świetle. - Eva Peres prosiła, żebym ją usprawiedliwił. Bardzo żałuje, że nie może nam towarzyszyć, lecz poproszono ją o wygłoszenie najbardziej prestiżowego wykładu w Madrycie. Wraca do swojej ojczyzny i rodziny - zaproszono ją do powrotu - po raz pierwszy od czterdziestu lat. Nic tam nie jest pewne, ale Eva nie traci nadziei. Wiem, że ci z was, którzy także są wygnańcami, którzy musieli zostawić wszystko, co kochali... wy zrozumiecie, co to dla niej znaczy, i potraktujecie ją wyrozumiale.

Ludzie zamruczeli zgodnie, ale mnie Theo wydał się zagubiony, kiedy tak stał w przejściu między salami, twarzą do tłumu. Wszyscy mieli czarne krawaty i długie eleganckie spódnice, i wyglądali, jakby w domu zostawili czyste, jasnowłose dzieci i labradory. Ilu wie, o czym mówi Theo, ilu zostawiło wszystko, co kochali?

Stephen to znał. Musiałem ją opuścić przed świtaniem. Przrzekaliśmy sobie spotkanie wieczorem przy strumieniu. Lecz kiedy wróciłem do obozu, czekały mnie rozkazy: w południe mieliśmy wyruszyć. Nie mogłem żadną miarą się z nią spotkać ani pożegnać.

A Theo mówił:

- Więc życzę wam przyjemnych chwil przy oglądaniu zdjęć, spotkaniu z przyjaciółmi i przebywaniu w tej pięknej galerii, i dziękuję za przybycie. - Dostał stosowne oklaski, trochę niezdarne z powodu rąk zajętych kieliszkami, a potem zanurkował w tłum. - Chodź - rzucił i pociągnął mnie do jakiejś grupy, w którą mnie po prostu wepchnął.

- Czy mogę państwu przedstawić Annę Ware? Anna jest asystentką Evy i moją. - Ludzie potraktowali mnie dość życzliwie, powiedzieli, że jest gorąco, i pytali, jak dostałam tę pracę, a ja, że mieszkam w sąsiedztwie, i więcej pytań nie było, bo tak naprawdę nic ich nie interesowała, za co przynajmniej raz w życiu byłam wdzięczna, ale rozmowa utknęła, więc zaczęli mnie pytać, co sędzę o zdjęciach.

To było łatwe. Zdjęcia były wspaniałe. Do tej pory już się ściemniło i światła przyzywały widza, kazały mu patrzeć, zmuszały do patrzenia. Czasami za bardzo: parę osób popatrzyło na zwęglonego krzyczącego człowieka i szybko się odwróciło. Ale na ogół stali plecami do zdjęć i tylko jazgotali między sobą. Patrzyli wyłącznie w drodze po kolejnego drinka. Jakby musieli na niego zasłużyć. A potem wracali do jazgotu.

Ktoś przyniósł mi nowego drinka, niektórzy zaczęli się zmywać. Podeszła Penny. Powiedziała, że Crispin dużo jej o mnie opowiadał.

- O mnie?

- Dlaczego nie? Powiedział, że masz zadatki na dobrego fotografa.

Spojrzałam na nią bardzo uważnie, ale nie wyglądało na to, że ze mnie kpi. Poczułam się jak ten jeden raz, kiedy nauczyciel pochwalił mnie przed całą klasą, że napisałam dobre wypracowanie, i mówił serio. Że też Crispin tak powiedział! Nie mnie, bo to by było z uprzejmości, tylko jej. Potem dodała:

- A może... Susan tak tęskni za Cecilem. Może zechcielibyście pewnego dnia wstąpić na herbatkę?

- Byłoby świetnie! - ucieszyłam się. Potem cała okropność tego dnia zakradła się do mojej głowy. Ale tego nie mogłam jej powiedzieć. - Choć Cecil jest trochę dziki. Nie wiem...

- No, zobaczymy - powiedziała. - Gdyby Susan przyjechała ze mną, może by się zgodził... A, jesteś, Crispin. Gratulacje! To chyba jedno z najbardziej udanych.

- Prawie wszystko się udało - powiedział. - Za każdym razem zastanawiam się, jak dwie godziny mogą człowieka tak wykończyć.

- Ale jeszcze całe to organizowanie - odezwałam się, patrząc, jak Theo ściska dłonie i śmieje się z dwoma starszawymi facetami, smagłymi i trochę cudzoziemskimi, jak on. Wokół nas zrobiło się ciszej i uświadomiłam sobie, że tamci nie mówią po angielsku. Jeden musiał powiedzieć kawał, bo Theo odrzucił głowę i roześmiał się głośno, a ja odczułam to wygięcie jego pleców jak słodki cios w brzuch. Potem wszyscy zaczęli sobie ściskać dłonie i całować się w policzki jak Francuzi. Tamci wyszli, a Theo przyszedł do nas.

- Crispin! To był sukces. Zdaje się nawet, że widziałem parę naklejek „sprzedane”. Więc może pójdziemy znaleźć coś do jedzenia?

Penny pokręciła głową.

- Chciałabym, ale obiecałam, że podwiozę Susan do chłopaka na noc, a to aż w okolicach Hadleigh. A rano mam rozprawę w Chelmsford. Może innym razem, co?

- Ona ma chłopca? - spytał Theo.

- Tak. Wiem, że ludzie na ogół przyjmują to z dezaprobatą, przynajmniej ci staroświeccy. Ale... Spotkali się w centrum i wiesz, to ma ręce i nogi. Jego matka jest bardzo miłą osobą.

- No to życzę im szczęścia - powiedział Crispin po dość niezręcznym milczeniu.

Penny spojrzała na mnie.

- Anno, bardzo się cieszę, że cię poznałam. A jeśli będziesz potrzebować pomocy lub coś w tym rodzaju... Albo Cecil... Wiem, że Ray musi mieć urwanie głowy. Jesteśmy w książce telefonicznej, Stamford. Wystarczy, że zadzwonisz. Mówię poważnie. Kiedy zechcesz.

Zanim zdążyłam coś wydukać, skinęła głową i ruszyła do drzwi, ale jeszcze się obejrzała.

- Nawiasem mówiąc, w waszych okolicach chyba wysiadł prąd. Ta para z Needham Market - on jest architektem - mówi, że od Hadleigh do Waldingfields wszystko zgaśło.

- Znowu! - mruknął Theo, kiedy drzwi się za nią zamknęły. - Kara za mieszkanie na wsi. Crispin, jedziesz z nami?

Crispin spojrzał na mnie, a potem na niego i znowu na mnie.

- Pomyślcie, że jestem beznadziejny, jeśli podziękuję? Zanim skończę tutaj i pozamykam, będę się nadawać tylko do łóżka.

Więc wyszliśmy razem, obok Stephena, za próg. Minęliśmy samochód i ruszyliśmy do restauracji, którą wybrał Theo. Było niewiarygodnie cicho, ale wydawało mi się, że we mnie i w nim jeszcze buzują rozmowy, wino i ludzie.

- Więc było znośnie, tak? - spytał.

- Tak, doskonale.

- Dobrze, że przedstawiłem cię ludziom. - Roześmiał się. - Kiedyś wydawało mi się, że twoje imię dobrze do ciebie pasuje. Anna Ware! - Podniosłam na niego oczy i pocałowałam go. - Ale teraz... masz inne imię? Drugie?

- Jocelyn - mruknęłam, krzywiąc się.

- Ładnie. Od joy, radość, tak?

- Nie wiem. Nie zastanawiałam się. Może.

Wtedy on pocałował mnie i byliśmy na miejscu.

Restauracja była mroczna i pełna płomyków świec. Menu wypisano na tablicy i przypominam sobie mętnie, że jedzenie było smaczne, ale po pięciu minutach nie pamiętałam już, co jadłam, bo tak naprawdę przez całą kolację myślałam tylko o oczach i dłoniach Theo, i jak bardzo go pragnę i kocham.

Samochód stał w świetle latarni. Theo zatrzymał się, zaczął szukać kluczyków, a ja powiedziałam coś ze śmiechem, coś o tym, że jeden ze sponsorów powiedział o tej srebrzystej kłodzie ze zdjęcia Evy, że widać, iż nie obrobił jej wykwalifikowany drwal, na co Theo znieruchomiał, jakbym go uderzyła w twarz.

Patrzyliśmy na siebie, nie mogąc złapać tchu. On był bardzo nieruchomy, jakby się bał tego, co się stanie, jeśli drgnie. A potem runęliśmy na siebie, całując się, miażdżąc w uścisku. Theo całował moją twarz, oczy, szyję, ja wyginałam się pod jego wargami i rękami, odchyliłam się na samochód.

Całował mój obojczyk, ja usiłowałam dosięgnąć jego ust, odwracając oczy w rozplywającym się świetle. Jakies dziesięć kroków od nas stał Crispin z kluczykami w ręku. Zawrócił i odszedł ulicą.

Przestaliśmy tylko dlatego, że musieliśmy. Wsiedliśmy do samochodu i pojechaliśmy do domu, stary silnik ryczał w czarnej rozpalonej nocy, a zapach palonej słomy i ciepłej ziemi wtaczał się przez otwarte okna. Wszystkie latarnie zgasły, tylko w paru oknach

chat migotały płomienie świec. Theo nawet nie zapalił papierosa. Jechał bardzo szybko, z jedną ręką na kierownicy, drugą parzącą moje udo pod sfałdowaną spódnicą.

Na polanie i w stajniach panowała cisza i bezruch. Weszliśmy, nie zamykając za sobą drzwi, na piętro, a potem Theo zaczął rozwiązywać moją bluzkę, a ja szarpałam guziki jego koszuli, bo chciałam poczuć tę złocistą skórę, i nawet nie traciliśmy czasu na moją spódnicę, padliśmy na sofę, szukając, muskając, pieszcząc, wszędzie ręce i wargi, aż nasza gorączka wybuchła.

Theo leżał na mnie jak nieżywy. Jego szybki oddech owiewał mnie, nasz pot mieszał się ze sobą, jego pierś na mojej, jego ciało przykrywające każdy centymetr mojego, napierające, i zrozumiałam, że nigdy więcej się nie zgubię.

Przy moim ramieniu rozległ się cichy odgłos. Odwróciłam sennie głowę.

Cecil. Przez jego pierś biegła biała smuga, temblak przytrzymujący ramię. Jego oczy były jak wielkie czarne plamy na bladej buzi.

- Nie mogę znaleźć wujka Raya. Coś się stało - powiedział.

* * *

San Sebastian nie jest wielkim miastem jak na punkt tak ważny dla regionu. Znalazłem paru tragarzy, podałem Lucy ramię i tak przeszliśmy przez bramę portową, a bruk zdawał się nieco kołysać pod naszymi nogami, gdyśmy zmierzali do gospody „San Cristobal”. Na zegarze portowym była dziewiąta, a napis na drzwiach głosił „Completo” w języku baskijskim i hiszpańskim. Tego też należało się spodziewać po najlepszej gospodzie w mieście, lecz dłoń Lucy nieco omdlała. Widziałem, że dokucza jej zmęczenie i ciągle utrzymujący się wstrząs po trudach podróży.

- Nie miałem czasu napisać - powiedziałem - lecz możemy zajrzeć do paru innych szacownych zajazdów.

- Szczerze mówiąc, pragnę tylko zasnąć. Nie dbam o miejsce, jeżeli nie będzie tam pluskiew.

Ścisnąłem jej dłoń.

- Jeśli szczęście dopisze, nie będziemy musieli szukać dalej. Znam tu mego dawnego gospodarza.

Gospodarz Moyua rozpoznał mnie niezwłocznie i wykrzyknął me nazwisko, nim zdołałem się przedstawić. Choć był zawiedziony, że

nie przybyłem odnowić dawnej naszej znajomości, poczynił zmiany w księdze gości, usunąwszy nazwiska dwóch podróżnych, którzy jeszcze nie przybyli, i skierował nas na górę, kłaniając się w pas. Jeśli zdziwiło go pojawienie się mej przyrodniej siostry, o której nigdy nie wspominał, nie zdradził tego ni słowem.

Nasze pokoje znajdowały się na różnych piętrach i najpierw dotarliśmy do apartamentów Lucy. Odwróciła się w progu.

- Czy mi wybaczysz, jeśli natychmiast udam się na spoczynek? Jestem tak bardzo znużona.

- Oczywiście - rzekłem, ujmując jej dłoń. W oczach miała cień, a me własne uczucia w takim były pomieszaniu, że żadną miarą nie mogłem się powstrzymać, by nie unieść jej dłoni do ust i nie pocałować.

I ja byłem znużony, lecz wiedziałem, że gdybym nawet się położył, nie zaznałbym snu. Poza tym pomimo całej wyrozumiałości, jaką okazywała Lucy, wołałem, by nie dowiedziała się o wizycie, jaką zamierzałem złożyć.

Byłem pewien, że Arrage i Mercedes urzędują w salonie, gdyż ich dom funkcjonował podług ścisłego regulaminu, niczym klasztor lub koszary. I nie zawiodłem się. Na mój widok, gdym zjawił się wprowadzony przez sprytnego młodego lokaja, zerwały się na równe nogi. Była tam też nowa dziewczyna. Interesy musiały zatem iść dobrze. Mercedes rzuciła mi się w ramiona i pocałowała mnie głośno. Arrage miała na ramieniu siniak, którego puder nie zdołał całkiem ukryć.

- A pozostałe? - spytałem.

- Matka Dolores zachorowała na kamień - powiedziała Arrage - więc Dolores pojechała do Santander, by ją pielęgnować i kierować jej dziewczętami. To jest Pilar. - Nowa dziewczyna była odziana w biały muślin, włosy miała ułożone w dziecinne pierścionki i tuliła lalkę, lecz było to takie samo przebranie jak koronki i szklane paciorki, dzięki którym zwiędłe ciała wyglądają młodo; wiedziałem, że Mercedes nie przyjąłaby jej, gdyby mała liczyła mniej niż dwanaście lat. - Izzaga jest na pięterku z burmistrzem.

- A Iragarte?

- Zmarła, a dziecko razem z nią. Co sobota zapalam świeczkę Matki Boskiej od Zwiastowania, gdyż jej było poświęcone.

Ścisnąłem jej dłoń, lecz nic nie rzekłem i po chwili wyciągnąłem kwartę koniaku, który kupiłem w „San Cristobal” za cenę, którą - gdybym nie znał Moyui - uznałbym za dowód zapłacenia cła na francuskiej granicy. Usiedliśmy na sofie i właśnie spełnialiśmy drugi toast, gdy pojawił się klient, a po nim następny. Wystarczyło nieznaczne skinienie głowy Mercedes, a Arrage i Pilar ruszyły do pracy.

Mercedes uniosła szklankę, tchnąć wonią koniaku.

- Przypuszczałam, że jeszcze cię zobaczymy. Słyszałam, że w Sant' Aguedzie cienko przędą. Moja ciotka powiada, że matka Augustina prośbą i groźbą wyciąga pieniądze od ludzi.

- Zawsze wszystko wiesz - powiedziałem.

Skinęła głową. W uścisku czułem, że nadal jest ciepła i pulchna, a pomimo perfum nieszczególnie czysta, lecz cudownie życzliwa i swobodna. Przypomniałem sobie noc, gdy mi powiedziała - nie wprost - że dziecko Cataliny mogło umrzeć. Na myśl o rozpacz Cataliny podniosłem się chwiejnie od stołu, niezdolny przemówić, a dużo później Mercedes zaskoczyła mnie wizytą w moim pokoju. Nie czyniła użytku ze swej sztuki uwodzenia i podniecania, aczkolwiek gdy chciała, potrafiła okazać największe mistrzostwo, lecz po prostu tuliła mnie, dopókim nie usnął. Rano znikła.

Upiła łyk trunku.

- Więc to dla dziecka wróciłeś... czy dla siostry Andoni?

- Głównie dla dziecka. Muszę się upewnić, że żyje szczęśliwie. Lecz nie mógłbym tu przyjechać i nie dać znaku Catalinie... siostrze Andoni. Pragnę też stwierdzić, czy i jej nic nie brakuje.

Po chwili spytała:

- Chyba... chyba nie pragniesz się z nią spotkać, prawda? Reguła jest surowa. A ona złożyła śluby.

- Nie... niczego od niej nie chcę. Wiem, że złożyła ostateczne śluby. Przywiozłem... moją przyrodną siostrę, która spotka się z nią w moim imieniu. A jeśli Catalina się nie sprzeciwi, pojedziemy do Bilbao. Nie pragnę... - Spojrzałem na nią. Uniosła brwi. - Doprawdy nie pragnę niczego więcej. Nic się nie zmieni, ale ja zyskam spokój ducha, a Catalina będzie wiedzieć, że dbam o jej córkę.

Mercedes nie odpowiedziała, lecz przesunęła dłonią po moim udzie. Przyszło mi na myśl, że ze wszystkich znanych mi kobiet tylko jej odrazy nigdy się nie lękałem.

- Nie wiedziałem, że masz przyrodnią siostrę. Nie czujesz chętki na godzinkę ze mną? Za stare czasy? Gwarantuję, że teraz użyjesz lepiej niż niegdyś. Mogę cię zapewnić, że od tego czasu zyskałam wielkie doświadczenie.

- Jestem bardzo zmęczony - powiedziałem, pochwyciłem jej dłoń, nim ją przesunęła dalej, i ucałowałem. Lecz uśmiech, który jej posłałem, nieco był zmieszany, gdyż nigdy dotąd nie przyznałem, że mógłbym szukać u Cataliny czegoś więcej niż spokoju ducha. - Pochwycił nas sztorm, a dzień był długi. - Nagle wspomniałem Lucy w mych ramionach, jej twarz wtuloną w me ramię, jej serce łomoczące przy mej piersi, zapach soli i atramentu w jej włosach, jej małe białe ząbki, tak gwałtownie wbite w jej dłoń.

Mercedes oczywiście natychmiast dostrzegła to, czego starałem się nie okazać, lecz - co zrozumiałe - źle odczytała przyczynę.

- Nie wmówisz mi, że nie myślisz o piéterku. Za stare czasy! Wracając prostymi, mrocznymi ulicami, pojąłem, że dłużej niepodobna ignorować uczuć, które me ciało tak jasno zaprezentowało. A jednak emocje te nie miały ujścia; nie mogłem im dać satysfakcji. Żądanie czegokolwiek od Lucy było... niepodobieństwem, i ta czysta niemożność skłoniła mnie do szukania ulgi u Mercedes. I tak niewiele brakowało, by ją znaleźć. Iż tak się nie stało, winienem był wdzięczność burmistrzowi, który człapiąc po schodach wśród narzekań na oziębłość i rozrzutność żony, nagle wzbudził we mnie niesmak do całego przedsięwzięcia, co na tyle ostudziło me zapędy, że z pomocą zmęczenia zdołałem nad nimi zapanować. Wraz ze spokojem zaś doszły do mnie słowa Lucy. Przyszły z daleka, z odległej przeszłości, lecz jej głos brzmiał czysto:

Mogę ufać... w pańską prawdomówność.

Nagle pojąłem, jak dobrze dobrane było jej imię, gdyż rzuciła jasne światło na wszystko, o czym mówiła, i być może to za jej sprawą zdołałem odnaleźć drogę.

Dziwiąc się temu wszystkiemu, szedłem, nie bacząc na drogę, gdyż zbyt dobrze znałem całe miasto. A kiedy podniosłem głowę, przekonałem się, że zapomniałem więcej, niż sądziłem, gdyż nie zdając sobie z tego sprawy, z domu Mercedes zawędrowałem do klasztoru San Telmo.

Gdym po raz pierwszy przybył do San Sebastian, po tym, pierwszym dniu tylko wyjątkowo stawałem na placu i przyglądałem

się ślepych kamiennych murów i zamkniętym, okutym żelazem wrotem, zadając sobie pytanie, czy powziąłem słuszną decyzję. Teraz, w mroku, mury zdawały się równie wysokie jak wszystkie cytadele, jakie atakowałem, nieskończenie długie, z jednej strony ciągnące się wzdłuż wąskiej, zapadniętej uliczki, z drugiej zakorzenione w skale, sięgające aż do fortu u góry. A jednak te same mury zdawały się całkiem niematerialne w migotliwym świetle latarni na rogach ulic - tak ulotne, jakby powiew wiatru mógł je rozwiać i ukazać mi życie za nimi.

Czy Catalina śpi? Czy też modli się, samotna, w celi, lub klęczy w kaplicy zasnutej dymem kadzidła? Nic o tym nie wiedziałem. Co mogłem o niej wiedzieć? Nie umiałem też odgadnąć, o czym myśli. Czy kiedykolwiek mnie wspomina? Z pewnością musiała myśleć o dziecku. Nosila je w łonie przez dziewięć miesięcy, wydała je na świat w cierpieniu, oddała... wiedziałem tylko, że nie mogę pojąć, co wtedy czuła. To przekraczało moją wyobraźnię. A jednak Catalina była moją miłością; był czas, gdym znał każde drgnienie jej ust, każdy uśmiech jej oczu. Pragnąłem jej w milczeniu od tak wielu lat, a teraz powróciłem... lecz w jakim celu?

Odwrociłem się i odszedłem, a kuśtykając boczną uliczką, która prowadziła do gospody, podniosłem głowę. Okno Lucy było mroczne, okiennice otwarte, a przez oszklony balkon zdało mi się, że widzę jasną postać przy oknie, wyglądającą na ulicę.

Dzień jest spokojny, gorączka ustąpiła. Chirurg jest kontent z mej rekonwalescencji. Nowa rana dłużej się goi, ale w rezultacie będzie mi wygodniej. Nie ma się co martwić, powiada, że chodzenie utrudni mi powrót do zdrowia.

Muszę to zrobić. Nie mogę się wiecznie kryć.

Zwisając pomiędzy kulami, ciągnę swe ciało jak martwy balast.

Moja zdrowa noga szybko się męczy, a stopa, której nie ma, drga i ślizga się, czuje każdy krok, każdy kamień, choć ból przypomina mi o stracie.

Dwaj chłopcy przebiegają obok mnie, ze śmiechem i skradzionymi jabłkami w rękach. Jeden trąca mnie, a ja się obracam i padam na okaleczone kolano. Zdaje mi się, że świeżo zabliźnione ciało pęka, tak przeszywający jest ból. Nie mogę złapać tchu ani drugiej kuli, a potem chłopiec śmieje się jeszcze raz i kopniakiem odsuwa ją, bym nie mógł po nią sięgnąć.

Jakaś kobieta biegnie mi z pomocą. Jest na tyle silna, że mnie podnosi.

- Prowadzę kawiarnię nieopodal. Proszę wstąpić na koniak, kiedy wróci pan ze spaceru. Mam słabość do żołnierzy, gdyż mój syn zginął pod Borodino.

Idę dalej, bo nie zawrócę, choć moje ręce, wydelikaczone po długiej bezczynności, otarły się niemal do krwi na rękojeściach kul, a pod pachami mam pęcherze. Wiatr jest zimny, lecz ja spływam potem. Dotarcie na koniec ulicy zajęło mi dziesięć minut. Dalej nie mam dokąd iść.

Kiedy nie śpię, myślę o Catalinie. Czasami nawet zostaje mi zesłana we śnie zamiast majaków, których się lękam. Ale kiedy wychodzę, nie mogę jej trzymać przy sobie, gdyż muszę zważać na każdy powolny krok. Wszystko mnie dręczy: ulicznicy, pijacy, psy, wózki przedzierające się przez tłum. Oślizłe bruki, grząskie błoto, damy wzdychające nad moim żołnierskim mundurem i okaleczonym ciałem, by ich towarzysze ulegli czarowi zamglonych litością błękitnych oczu i delikatnych usteczek, rozchylonych ze zgrozy.

Dla nich jestem obiektem litości. Jestem dla nich kaleką.

Rozdział 2

Pytanie, jak najlepiej zwrócić się do Cataliny, nie przyczyniając jej bólu ni wstydu, zajmowało mnie od opuszczenia Kersey, lecz dopiero widok Lucy przy oknie, gdym wracał nocą do gospody, przywiódł mi na myśl, jak osobliwy i niewygodny ciężar złożyłem na jej ramiona, choć uczyniłem to na jej prośbę jedynie.

Rankiem spotkaliśmy się w pokoju śniadaniowym, i choć wydawało się, że nie spędziła tej nocy lepiej niż ja, nie przyznała tego. Lecz jej oczy rozjaśniły się na widok filiżanek gęstej, słodkiej czekolady oraz koszyka bułek i ciastek, które stanowią śniadanie według hiszpańskiej mody. Zjadła nieco więcej niż zwykle. Śniadanie takie nie było dla mnie niespodzianką, choć przez to nie utraciło swego powabu.

Przez jakiś czas żadne z nas się nie odzywało, a kiedy wreszcie Lucy przemówiła - choć się jej przypatrywałem - drgnąłem z zaskoczenia.

- Więc do czego ci będę potrzebna?

- Myślę, że powinienem do niej napisać, jeśli zechcesz zanieść list. A jeśli to możliwe - jeśli wyrazisz zgodę - mogłabyś przynieść jej odpowiedź.

Lucy zajęła się nalewaniem nowej filiżanki czekolady, nie widziałem więc wyrazu jej twarzy.

- Lecz musisz mi powiedzieć, jeśli nie chcesz tego zrobić. Uświadamiam sobie, że nie jest to... proste zadanie.

- Oczywiście, że jestem gotowa to zrobić - powiedziała gorliwie, dopijając czekoladę i odstawiając filiżankę. - Nie wspomnę nikomu o liście, tylko jej. Wówczas nie ryzykujemy, że będą chcieli go przeczytać. - Odłożyła serwetkę na stół i wstała. - Chciałabym poznać miasto, więc może spotkamy się, powiedzmy, w południe? Światło będzie już wtedy zbyt ostre.

Po tych słowach uśmiechnęła się, zabrała szkicownik i kapelusz i wyszła bez słowa, choć nie mogłem żadną miarą określić, czy jej powściągliwość zrodziła się z instynktu nakazującego jej zostawić mnie z moimi sprawami, czy też z niewyrażonego niesmaku do złeczonego jej zadania.

Moje zadanie nie przejmowało mnie niesmakiem, ale i nie niosło radości. Pokuśtykałem na piętro, a w tym pokoju zasiadłem przy stole pod oknem. Pisałem po hiszpańsku, lecz ponieważ chciałem, by

Catalina przeczytała list z jak największą łatwością, obmyślanie jego treści stało się dla mnie tym trudniejsze. Przekląłem szuranie mioteł w podwórzu i turkot beczek, przez który nie mogłem skupić myśli i wyzwolić się z opresji wspomnień. Pisałem całe strony o mych minionych smutkach, a potem darłem je, gdyż czy nie przybyłem do Hiszpanii po to jedynie, by zadbać o dobro Idoii? W istocie, byłem zobowiązany powiedzieć Catalinie, że to robię, ale na to wystarczyłoby parę linijek, i tak byłoby najrozsądniej, skoro obawiałem się zmącić spokój mej ukochanej.

Lecz gdym siedział, otoczony dźwiękami i woniami San Sebastian, wpływającymi przez otwarte okno, zdumiałem się, jak bardzo zwodziłem sam siebie - a raczej jak nie chciałem pojąć, że moje przybycie rozbudzi uczucia, które - jak sądziłem - od dawna umarły. Moja miłość do Cataliny nie ulegała wątpliwości, lecz będąc tak blisko niej, zmuszony ubrać swe intencje w słowa, zacząłem się zastanawiać, jak mogłem zawędrować tak daleko, tak mylnie oceniając mój stan umysłu. Tak jakbym wyruszył na roczną kampanię po jednym, najprostszym rozkazie. Z pewnością moja troska o jej dziecko, acz prawdziwa, liczyła się najmniej. Jaka zatem moc dała mi te zapieczętowane rozkazy, tak tajne, że o ich istnieniu do tej pory nie wiedziałem, tak ważne, że dopiero teraz zostały mi ujawnione?

Czy Mercedes miała rację? Czy w głębi serca liczyłem na połączenie z Catalina, wbrew wszystkim ślubom, które złożyła?

A może pragnąłem jej wybaczenia, a jeżeli, to za co? Spojrzałem na papier, na którym wciąż spoczywała moja dłoń. Wkrótce ujmą go jej smagłe rączki. Na tę myśl wszystkie słowa, jakie mogłem napisać, wydały mi się pełne niezamierzonych znaczeń i zbyt kwieciste.

W końcu, w równej mierze lękając się narazić Lucy na niewygodę, jak nie potrafiąc oddać sprawiedliwości mej miłości i uczciwości, wrzuciłem mój list do pieca i napisałem najprostszą z opowieści.

Mi corazón,

Moja przyjaciółka, panna Durward, zgodziła się zanieść Ci ten list. Możesz z nią rozmawiać szczerze, jeśli tego zapragniesz; to dama, do której mam absolutne zaufanie.

Błagam, byś zechciała mi wybaczyć, iż zakłócam Ci spokój, który odnalazłaś, jak ufam z całego serca. Kiedy jednak usłyszałem, że

opiekunowie Idoii znajdują się w potrzebie, poczułem się zobowiązany do przyjazdu, by zadbać o jej dobro.

Zapewne nie wiesz, że wkrótce po wojnie, gdy tylko mogłem, powróciłem do Bery i dowiedziałem się od księdza, że wstąpiłaś do San Telmo, będąc w stanie błogosławionym. Przybyłem do San Sebastian i spędziłem tu wiele miesięcy, wyglądając wieści o Tobie, lecz nigdy nie pragnąc powiadomić Cię o moim pobycie ani nie szukając naszej Idoii. O, miłości moja, czy możesz mi wybaczyć? Czy postąpiłem właściwie? Dręczy mnie myśl, że mogłabyś pragnąć przynajmniej wiedzieć, iż Cię szukałem. Lecz ponad wszystko przedkładałem Twój spokój ducha, wiedząc zaś, jaki los wybrałaś, wzdragałem się przed obudzeniem w Tobie całego bólu i wątpliwości, które - jak ufałem - uspiłaś. Na wieść o odziedziczonej ziemi w Anglii musiałem tam powrócić, lecz nic nie wydarło mi Ciebie z serca.

Najukochańsza, nie jestem tak w siebie zapatrzony, by sądzić, że w Twoim sercu zajmuję równe - i równie smutne - miejsce. Czy potrafisz mi przebaczyć? Modlę się, by to było możliwe, gdyż pragnę, byś mi pozwoliła udać się do Sant' Aguedy. Muszę się spotkać z Idoią i upewnić się, że jest zdrowa, gdyż tylko ona została mi po Tobie na tym świecie. Jednak jeśli z jakiegokolwiek przyczyny nie życzysz sobie, bym tam pojechał, musisz mi tylko to powiedzieć.

Catalino, moja miłość do ciebie nie zbladła z upływem lat. Pragnę tylko świadomości, że jesteś szczęśliwa, gdyż nie mogłabyś mieć w moim sercu ważniejszego miejsca niż teraz.

Stephen

Podniosłem głowę i ujrzałem, że słońce stoi wysoko. Zdumiało mnie, że me wysiłki zaowocowały listem tak krótkim i choć wielu słów nie złożyłem na papierze, gdy jeszcze raz przeczytał list, zdały mi się obecne pomiędzy znakami, które nakreśliłem.

Raz jeszcze czytałem me słowa, gdy do drzwi ktoś zapukał. Była to Lucy w przekrzywionym kapeluszu i z liczkami zarumienionym od słońca.

- Czy ci przeszkadzam?

- Nie - odrzekłem, wstając. - Właśnie skończyłem. Jak znajdujesz San Sebastian?

- Uroczu tu, lecz dziwi mnie, iż tak wiele budynków jest nowych, a reszta tak bardzo zniszczona.

Zalakowałem list.

- Wszystko zostało spalone do fundamentów, gdyśmy odbili miasto z rąk Francuzów. Pisałem ci o Badajoz, więc możesz sobie wyobrazić te sceny.

Skinęła głowę i zamilkła, myślami gdzie indziej. Potem spojrzała na mnie i powiedziała:

- Zdaje się, że pora już na nas.

Nie drgnąłem, gdyż przejście od biurka do drzwi zdało mi się raptem czynem równie wiekopomnym jak przekroczenie rzeki Nivelles w drodze do Francji.

- A może wolisz zaczekać? - dodała.

- Nie. To tylko... naturalna obawa. Spojrzała mi w oczy i skinęła głową.

- Oczywiście.

Lecz ujawnienie mych lęków odebrało im moc. Wziąłem list.

- Odźwierna zrozumie, jeśli wymienisz imię siostry Andoni.

- Lucy ujęła list. - Czy oddasz go Catalinie do rąk własnych? Ona mówi po angielsku. Przynajmniej niegdyś tak było. Możesz jej wyjaśnić przyczyny swego przybycia, reszta jest w liście. Napisałem, że jesteś mą przyjaciółką, w której może pokładać absolutne zaufanie.

Włożyła list do woreczka i przemówiła, nie podnosząc głowy:

- Rozumiem. Dziękuję.

Gdyśmy szli wąskimi uliczkami, wśród budynków tak wysokich i ściśniętych, że można by je wziąć za zbocza wąwozu, Lucy nadal rozglądała się, wodząc wzrokiem po gwarnej roju mężczyzn i kobiet z jedzeniem i opalem, mułach stąpających zgrabnie po bruku z brzemieniem wielkich, rozkołysanych koszy ryb i ziarna, wysokich oknach o okiennicach gotowych je bronić przed słońcem lub burzą, mrocznych wnętrzach sklepów pełnych chleba, statków, rycin, płócien, świętych obrazów, wina.

- Jednak łatwiej wyobrazić sobie wojnę na ulicach niż wśród pól - odezwała się nagle. - Być może dlatego, że także miasta są dziełem człowieka. Byłeś tu? Gdy je plądrowano?

- Nie, to był oddział Grahama. Myśmy byli w Berze.

- Nigdy nie zapomniałam tego, co napisałeś o Badajoz. - Zawahała się. - A raczej czego nie napisałeś, lecz co mogłam sobie wyimagować.

- Naprawdę? Miałem nadzieję, że nie.

- Być cywilem - kobietą, dzieckiem - w takim miejscu... nie wolno zapominać, że i taka jest wojna. Nie jesteśmy bezpieczne. I jakże często nie mamy dokąd uciekać.

- Wiem. To, co widziałem... - Ale nawet jej nie mogłem opisać tych scen. Jeszcze parę jardów i dotarliśmy do rozległego placu, na którym znajdował się klasztor San Telmo. Lucy zatrzymała się i przycisnęła woreczek do piersi.

Budynek ten był mi tak znany, tak wiele wspomnień ubarwiło te kamienie, że nie pomyślałem, czym muszą się jej wydać te ślepe mury i ciężkie odrzwia klasztoru. Ujrzałem ją, siedzącą w milczeniu przy oknie, wczorajszego wieczora. Czy nie dawała jej zasnąć świadomość tego zadania? Czy sztorm odmienił jej postanowienie dotarcia do Cataliny?

- Nie musisz tego robić - powiedziałem. - Nie mogę cię o to prosić.

- Nie prosiłeś - odparła. - Sama się zaoferowałam. Wspomnienie sztormu nadało jej słowom znaczenie, jakiego nie zamierzała, i w nagłej konfuzji uczuć ująłem jej ramię, by zawrócić.

- Nie, wyślę ten list. Nie mam prawa... Stawiła mi opór.

- Nie, nie masz nade mną władzy. Postanawiam, że ci pomogę, jeśli ty postanowisz mnie puścić. Stephen! - dodała szybko. - Spotkam się z tobą... - rozejrzała się po placu - w tamtej kawiarni.

Nie mogła wiedzieć, że tam właśnie poznałem Mercedes. Chwyciła mą dłoń.

- Proszę, nie lękaj się, jeśli mój powrót będzie się opóźniać. Muszę zyskać jej zrozumienie i nawet wówczas minie nieco czasu, nim zaczniesz ze mną rozmawiać swobodnie.

Nagle zrozumiałem, jak wielkiej odwagi wymagało od niej to zadanie, choć zrozumiawszy to, nie poczułem zaskoczenia - zbyt dobrze ją znałem. Rozum mój pojął teraz to, co moje uczucia wiedziały już od dawna.

Uścisnąłem jej dłoń. Oddała uścisk, lecz natychmiast cofnęła rękę, podeszła do drzwi i pociągnęła za dzwonek.

Dźwięk jego rozległ się w głębi murów, a po długim czasie w drzwiach otwarł się judasz. Lucy przemówiła, słuchała czas jakiś i przemówiła ponownie. Potem w wielkich odrzwiach otworzyły się mniejsze. Ujrzałem mgnienie zieleni, białych murów i kamienia, a

także czarnego habitu. Potem Lucy przestąpiła próg klasztoru i drzwi zatrzęsnęły się za nią.

Nic więcej nie mogłem zrobić. Choć starałem się zachować spokój, wbrew moim intencjom imaginacja podsuwała mi to, co może się dziać za murami klasztoru, i strach zrodzony z niepewności ścisnął mnie za gardło. Poszedłem do kawiarni. Ona także się nie zmieniła; po słonecznej ulicy zdała się mroczna, a piasek, jakim wysypano podłogę, zgrzytał mi pod nogami. Zamówiłem brandy, usiadłem przy odrapanym stole pod oknem i czekałem.

Co pomyśli Catalina? Obca Angielka przybyła, by porozmawiać z nią w na poły zapomnianym języku o jej najboleśniej i, na ile mi było wiadomym, sekretnej przeszłości. Czy pomyśli... Dobry Boże! Nawet Catalina mogła wziąć Lucy za moją kochankę. Gdyby tak było, nie mógłbym obmyślić straszliwszej zniewagi. A przy tym również Lucy naraziłem na zniewagę.

- Senor? - odezwała się dziewczyna. Unikając jej oczu, kazałem przynieść więcej brandy.

Prawdą oczywistą było to, że nie mogłem sobie wystawić, co pomyśli Catalina. Od tak wielu lat słyszałem jedynie ton jej głosu bez słów, widziałem łzy w jej oczach, lecz nie samą twarz, i tylko te obrazy zachowałem w sercu. Niegdyś potrafiłem wyobrazić ją sobie przy mnie, usłyszeć jej cichy, głęboki głos, lecz teraz miałem tylko poczucie jej obecności, gdyż obrazy zatarły się i rozwiały z czasem.

Wiedziałem, iż Lucy będzie mówić ostrożnie, wypatrując na twarzy Cataliny oznak zrozumienia, jej szczupła sylwetka zaś znieruchomieje i stężeje w skupieniu. Będzie patrzeć na mą ukochaną, widzieć światło padające na jej twarz, lśnienie jej oczu z żalu lub szczęścia. Widziałem to wyraźnie. Lecz w mej imaginacji sama Catalina nie miała twarzy. Wydawała się postacią ze snu; wiedziałem, kim jest, nie widząc jej.

Czy się rozpłaczę, czy rozgniewa, wiedząc, że tak długo byłem tuż obok niej? Czy pozostanie obojętna? Tylko nie to, Boże! Nie mogłaby być obojętna. Nasza miłość była zbyt wielka, zbyt doskonała. A było przecież dziecko...

Być kobietą... w takim miejscu... nie wolno zapominać, że i taka jest wojna. Nie jesteśmy bezpieczne. I jakże często nie mamy dokąd uciekać. Tak powiedziała Lucy. Nagle, z dźgnięciem strachu, pojąłem, co mogła mieć na myśli. Catalina szukała bezpieczeństwa, ucieczki od

świata i jego wojen. Lecz czy możliwe, że gdzieś w Berze, na gościńcu, lub w poczerniałym i zwęglonym San Sebastian tuż po tym, jak przetoczyła się przez nie wojna... Czy spotkało ją to, co tyle kobiet ze strony żołnierzy i miejscowych wykolejeńców, zawsze zdążających śladem wojska? Czy jakiś mężczyzna... Boże! Widziałem takie sceny...

Myśl o jej losie poderwała mnie na nogi. Wypadłem na zewnątrz. Na ulicy, womitując nad rynsztokiem, pomyślałem: być może Idoia nie jest moim dzieckiem. Może nie jest owocem miłości, lecz gwałtu, przyczyną zgrozy i strachu Cataliny. Jeśli tak, pomyślałem, opierając czoło o mur, może lepiej by było, gdyby umarła.

Może powinienem ją zostawić własnemu losowi, gdyż przyjeżdżając tutaj, w rzeczy samej naraziłem na niebezpieczeństwo wszystko, co tak długo podtrzymywało mnie przy życiu.

Sam nie wiem, jak długo tak stałem z czołem opartym o mur, lecz gdy ktoś dotknął mego ramienia, odwróciłem się, sięgając ręką do boku, choć już od pięciu lat nie nosiłem pistoletu. Drewniana noga ugrzęzła mi w bruku i szarpnęła za kikut tak mocno, że krzyknąłem.

- Senor, czy pan niezdrows? - spytała dziewczyna z kawiarni.

Pozwoliłem zaprowadzić się do wnętrza i napić kawą i wodą, gdyż nie chciałem już brandy nawet po to, by stępić ból nogi. Moje myśli pozostały jednak gorzkie i jadowite, tak że gdym ujrzał, jak furta klasztorna się otwiera i Lucy wychodzi na ulicę, nade wszystko pragnąłem już więcej o tym nie wspominać.

Lecz gdy się zbliżyła na tyle, żem ujrzał jej twarz, ujrzałem uśmiech, choć oczy miała mokre i zaognione.

Wstałem i wyszedłem na jej spotkanie.

- Widziałaś się z nią?

- Tak - powiedziała. - Spotkałam ją. Wróciłabym wcześniej, lecz pragnęła napisać do ciebie.

Sięgnęła do woreczka, wyciągnęła notes, roześmiała się słabo i w końcu odnalazła list.

Był jedynie złożony, nie zalakowany, i po chwili rozpoznałem stroniczki wydarte ze szkicownika Lucy.

- Nie miałyśmy papieru, gdyż siedziałyśmy w ogrodzie klasztornym, a ona nie... nie chciała szukać.

- Czy jest zdrowa? - spytałem. - Czy... czy zrozumiała przyczyny twego przybycia? Lękałem się...

- Oczywiście, że rozumiała. Czy mam odejść, byś mógł przeczytać list?

Od tak wielu lat łaknąłem wieści o Catalinie, lecz w mych myślach panowała wciąż taka groza, że nie mogłem ich poznać tutaj, tak blisko klasztoru, stłoczony i osaczony miejskim tłumem i wspomnieniami o ogniu i rozlewie krwi. Na mą prośbę Lucy wyszła ze mną poza bramę portu, daleko poza przystań, gdzie piasek zatoki obejmuje łukiem Onte Urgull i miasto ku Monte Igueldo, a dwie wielkie, zielono omszałe skały zdają się podobne do dłoni, trzymających między palcami Wyspę Świętej Klary.

Żółty piasek był drobny i suchy, i trudno było po nim chodzić. Po paru jardach z ulgą usiadłem na skale. Lucy zapuściła się nieco dalej, usiadła na piasku wśród rozpostartych spódnic i wyjęła szkicownik. Przez chwilę uśmiechałem się, gdyż u niej te dwa ruchy nierozzerwalnie łączyły się ze sobą. Potem spojrzałem na list Cataliny.

Na zewnątrz napisała jedynie „Stephen”. Odwróciłem go. Musiałem go przeczytać, a nie mógł zawierać nic gorszego niż to, co podsuwała mi wyobraźnia. Czy nie tego pragnąłem, czy nie o tym śniłem od tak dawna?

Znowu podniosłem wzrok i ujrzałem, że Lucy już się usadowiła. Obserwując ją, pomyślałem, że te drobne ruchy jej głowy, gdy najpierw spoglądała na swój model, a potem na papier, raz po raz, stały mi się równie znajome jak uśmiech lub szczupłe, poplamione atramentem palce bądź dotyk jej ręki na moim ramieniu. Zostawiła mnie, bym mógł czytać list Cataliny tak długo, jak tylko zapragnąłem.

Querido,

Ręka z trudem kreśli litery z radości, że żyjesz. Lękałam się, żeś zginął pod Waterloo lub wcześniej, a ty jesteś tutaj!

Wybacz mi, że piszę po hiszpańsku, gdyż odwykłam od angielszczyzny, a muszę mieć pewność, że zrozumiesz mnie w kwestii Idoii. Niedługo po twym odejściu pojęłam, że jestem przy nadziei. Pomimo całej radości nie wiedziałam, co robić. Wydanie na świat twego dziecka nie było dla mnie hańbą, lecz ojciec mój zabiłby mnie i moje nienarodzone dziecko, gdyby się tylko dowiedział. Jednak Bóg okazał mi łaskę: ojciec zmarł i oszczędzona mu została żałość, jaka by go ogarnęła na wieść o mej hańbie. Wiesz, że nigdy nie mieliśmy przyjaciół wśród sąsiadów. Musiałam pójść do kapłana, choć wiedziałam, co powie. Odziedziczyłam po ojcu pewną sumkę,

niewystarczającą, by z niej żyć, lecz mogącą stanowić wiano dla klasztoru. Ksiądz znalazł mi dom w pobliżu sierocińca w Sant' Agueda, gdzie przebywałam do rozwiązania, i zadbał, bym potem znalazła się w San Telmo.

Idoia urodziła się szesnastego czerwca. Ufam, że nigdy więcej nie poznam takiego smutku, jaki mnie ogarnął, gdy mi ją odebrano. Dni i noce spędzałam na kolanach, modląc się o siłę, by to znieść, lecz jej nie znajdując. Jeśli to, co uczyniliśmy, było grzechem, nie mogłaby mnie spotkać sroższa kara.

Resztę znasz. Od tego czasu przebywam tutaj. Piszesz, że już tu byłeś. Nie wiem, co bym zrobiła, gdybyś wówczas przede mną stanął. Wiem, że starałabym się z tobą spotkać, wbrew zasadom zakonu. Teraz widzę, że Bóg jest mądrzejszy od nas, gdyż gdybym trzy lata temu widziała, że tu byłeś - gdybyśmy się spotkali - obawiam się, że zapragnęłabym złamać śluby. Teraz jestem starsza i wiem, jaką siłę i szczęście daje życie klasztorne. Wiem, że już mi dano więcej radości niż wielu moim siostrze. Przechowam te radości i smutki w pamięci, dożywając mych dni za murami San Telmo.

Błagam, byś odnalazł Idoię. Wiem, że podejmiesz rozsądną decyzję. Twoja przyjaciółka opowiedziała mi nieco o okolicznościach waszego spotkania i przyjaźni i wiem, że ci pomoże. Dałam jej także list dla matki Agustiny, która jest przełożoną Sant' Aguedy, gdyż choć nie mam żadnego prawa do Idoii, będą w ten sposób wiedzieć, że ty jesteś jej ojcem. Błagam je, by ci pomogły uczynić wszystko, co dla niej najlepsze.

Powinno dodać, że kiedy Idoia przyszła na świat, pozwolono mi znaleźć dla niej imię. Na moją prośbę ochrzczono ją na cześć Najświętszej Panienki. Ukazała się ona skromnym ludziom setki lat temu, nad jeziorem wysoko w górach w Kraju Basków, i przyjęła stare baskijskie imię, oznaczające staw lub strumień: Idoia. Wiem, że jeśli słyszałeś nasze dziecko, zrozumiesz to.

Querido, dosyć już wycierpeliśmy. Musimy teraz przyjąć łaskę, którą okazał nam Bóg. Ja odnalazłam pokój pośród mych sióstr, z tego zaś, co mi opowiada twoja przyjaciółka, mogę ufać, że i ty odnalazłeś pokój w świecie. Modlę się za ciebie i nasze dziecko codziennie - zawsze tak czyniałam. Teraz mogę zanosić dzięki po kres mych dni, gdyż On mnie wysłuchał.

Ad majorem Dei gloriam siostra Andoni

Usiłowałem przeczytać list Cataliny raz jeszcze, lecz słowa rozplynęły mi się przed oczami. Tak wiele lat minęło, odkąd płakałem, a teraz pozwoliłem, by smutki - dawne i nowe - zawładnęły mną bez reszty.

Gdy wreszcie podniosłem głowę z kolan, przepłynęły przeze mnie tak wielkie emocje, że z pewnym zadziwieniem przekonałem się, iż Wyspa Świętej Klary nadal spoczywa w zatoce, fale wciąż suną po piasku do mych stóp, a skały niewzruszenie strzegą brzegu, na którym usiedliśmy. Wiatr był przenikliwy, lecz nie drżałem; raczej poczułem w nim obietnicę, niczym żeglarz. Porównałem mój smutek do obojętnych żywiołów morza i nieba i wydał mi się mniejszym, jakby czas, światło i ruch fal wygładziły mój poszarpany żal i ułożyły go łagodnie na dnie mej duszy. Nie zniknął, lecz uspokoił się, a dotykanie go nie sprawiało bólu, lecz jedynie przywoływało wspomnienia.

Gdy podniosłem głowę, Lucy nie rysowała już, a spoglądała ku mnie. Nasze oczy się spotkały. Odwróciła głowę i znów zajęła się rysunkiem. Szkicowała wózek z zaprzężonym mułem, stojący blisko nas na mokrym piasku. Dwaj wieśniacy ładowali na niego drewno wyrzucone przez morze. Po chwili przestała rysować, wstała i podeszła.

- Najdroższy... - Uklękła przede mną i ciągnęła pospiesznie.
- Czy mogę ci pomóc? Czy chcesz, żebym wróciła do gospody albo do Anglii?

Nie odpowiedziałem. Zawahała się, a potem dodała, sięgając drżącymi palcami po szkicownik:

- Zrobiłam... nie miała nic przeciwko temu... pomyślałam, że Idoia chciałaby to ujrzeć...

Naszkiecowała Catalinę.

Zdumiałem się, że nie potrafił sobie przypomnieć twarzy mej ukochanej. Pomimo białego płótna niczym ramy wokół czoła i szyi, pomimo ciemnego welonu kryjącego piękne fale czarnych włosów nie mógłbym jej z nikim pomylić, choć wielu słów by trzeba, by opisać choć połowę tego, co w ułamek sekundy ujrzałem na jej portrecie. Jej krągłe czarne oczy i pełne, ciemne usta, które całowałem, o których marzyłem, za którymi płakałem... Ale wokół oczu i ust pojawiły się zmarszczki, których nie pamiętałem; jej wysokie kości policzkowe rysowały się wyraźnie nad policzkami, już nie tak pełnymi i gładkimi.

Wyglądała dojrzałej, podobnie jak i ja w zwierciadle, i z całą pewnością miała powierzchowność zakonnicy.

- Mogę zrobić kopię dla Idoii, jeśli życzysz sobie to zatrzymać - dodała Lucy po długiej chwili i zdało mi się, że słyszę w jej głosie niemal trwożny ton, jakby jej propozycja lub moja odpowiedź miały jakieś znaczenie.

- Nie - powiedziałem. - Jest piękny, powinna go dostać Idoia.

Sądzę, że odetchnęła swobodniej. Po chwili spytała:

- Więc teraz pozostaje nam jechać do Bilbao?

- Sądzę, że tak. - Wstałem. - Choć nie zobaczę już Cataliny, dopilnuję, by naszej córce niczego nie brakło. Czy pojedziesz ze mną?

Ujęła mą rękę, wstała, uśmiechnęła się i skierowaliśmy swe kroki ku miastu.

* * *

Theo także usłyszał Cecila. Podniósł głowę, prawie jak zamroczony, przetoczył się na bok, a ja usiadłam, zakrywając piersi rękami.

- Co się stało, Ciss? Boli cię?

- Nie mogę znaleźć wujka Raya. Obudziłem się. W minibusie. Ręka mnie boli.

- A dom?

Pokręcił głową. Oczy miał ogromne.

- Ona tam może być. Chciałem znaleźć ciebie. Zaczęłam macać wokół siebie w poszukiwaniu bluzki. Theo wstał i włożył spodnie. Czulałam jego zapach, na nim i na sobie, a spomiędzy nóg wyciekł mi strumień mojego i jego śluzu. Potem Theo sięgnął do włącznika, ale oczywiście nie było światła. Zaklął pod nosem, jakieś obce słowo.

- Chcesz, żebym sprawdził, co się dzieje?

Powiedział to tak, że wiedziałam: mogę wszystko zrzucić na niego. Wszystko będzie dobrze. Ktoś inny się tym zajmie. Ale nie mogłam odpuścić. Cecil należał do mojej rodziny i musiałam wiedzieć, co się dzieje. Nikt tego za mnie nie robi.

Przykucnęłam.

- Ciss, zostaniesz tu? To jest dom Theo. Theo to mój przyjaciel. Będziesz tu zupełnie bezpieczny.

Theo wkładał buty. Cecil znowu pokręcił głową. Trząsał się.

- Słuchaj - dodałam - powinieneś się położyć. Zerknęłam na Theo, a on pokiwał głową.

- Może tutaj, a my pójdziemy i wszystko załatwimy? Poszukamy wujka Raya? - Cecil zmarszczył brwi. Wyciągnęłam rękę.

- Chodź, zobacz. Jakie ładne, duże łóżko. Będiesz miał mnóstwo miejsca.

Po dłuższych targach zgodził się, żebym go otuliła kołdrą. Dałam mu mój sweter jako przytulankę i obiecałam, że bardzo szybko wrócę.

Nawet na otwartej przestrzeni było gorąco i duszno. Ciągle pachniało gryzącym dymem. Wydawało mi się, że prawie słyszę trzaskanie ognia, takie niemrawe, jakby nie chciało mu się palić.

Zbliżyliśmy się do dworu i zobaczyłam złocisty prostokąt światła wylewający się przez otwarte drzwi frontowe, drżący na kamiennym ganku, spływający po schodach i rozpraszający się na trawniku. Poszliśmy ku niemu, cicho, nie rozmawiając. Promień latarki Theo był jasny, kłujący i srebrny. Kiedy stanęliśmy na pierwszym stopniu, promień sięgnął skraju złotego światła z domu i widziałam, że Theo kładzie palce na wyłączniku, ale nie przesunął go.

Potem rozległ się jakiś trzask. Złote światło zgasło. Znalazłam się przygnieciona do kolumny, poczułam ostry zapach starego kamienia. Ciało Theo naparło, gorące, na moje plecy, nasze serca łomotały o siebie. Nic nie widziałam, bo Theo mnie otoczył ramionami.

- Jesteś cała? - szepnął.

Skinęłam głową, szorując policzkiem po kamieniu. Oderwał się ode mnie.

- Ćśś! Zostań, gdzie jesteś.

Ale nie mogłam. Serce biło mi już wolniej, oderwałam się od kolumny i poszłam za nim. Stałam tuż za jego ramieniem, kiedy dotarł do otwartych drzwi.

Cienie, ciemne i złote, stały i poruszały się po podłodze, po schodach. U stóp schodów na czerni i bieli coś leżało, jakby plama na posadzce. Obok poniewierała się roztrzaskana lampa, a oleście złoty płomień pełził po marmurze jak krew. Dwie świece na kominku paliły się równym blaskiem. Dopiero wtedy dostrzegłam, że plamą jest Belle.

- Nie ruszaj się - rzucił do mnie Theo. Ruszył ostrożnie w głąb domu. - Niczego nie dotykaj.

Pochylił się i dotknął szyi Belle. Płomień skurczył się i zgasł.

Wahadłowe drzwi otworzyły się ku nam z trzaskiem i światło poraziło mnie w oczy.

- Anna? - To Ray. Mówił, jakby był pijany. - Co się stało? Coś się stało? Sprzątałem w pokoju Cecila. Gdzie Belle?

Theo wyprostował się i odwrócił. Promień jego latarki skrzyżował się ze światłem latarki Raya.

- Niestety, chyba nie żyje. Jeśli chcesz, możemy starać się ją reanimować, ale... Chyba to na nic. Poza tym musimy zostawić wszystko tak, jak jest, i wezwać karetkę.

Elektryczność włączyła się z głuchym łupnięciem. Jak flesz, wypaliła wszystko w mojej głowie, kolory zbyt jaskrawe, ale brudne, i wymiociny Cecila, zasychające na podłodze przy drzwiach. Oglądałam to raz za razem, cienie czarne i martwe, wszystko ciemne, brudnożółte, czerwone i brązowe, i rozpaćkany kłęb, którym był Ray, a potem Theo, pochylający się po kolei nad Belle i usiłujący ją przywrócić do życia na marmurowej podłodze. Ja nie miałam nic do roboty, tylko stać. Raz po raz myślałam: zaraz wstanie, włączy światła, zacznie chodzić i mówić. Ale było wiadomo, że nie. A mimo to ciągle ponawiali próby, aż do przyjazdu sanitariuszy.

Nie mogłam wyprzeć z pamięci tego dźwięku. Jakby mi roztrzaskał myśli, więc widziałam, co się dzieje, ale nie mogłam z tego złożyć zrozumiałego obrazu, czegoś sensownego.

Sanitariusz zamknął oczy Belle i wyprostował się.

Ależ ona ma ostry nos, pomyślałam, a ręce i nogi na marmurze wyglądały jak połamane. Tam gdzie powinna się znajdować jej twarz, były tylko kości i zapadnięta skóra, jak pomięta papierowa torba, i niewidzące oczy, ślepe, martwe. To, kim była, co zrobiła - Cecilowi, Rayowi, mamie - wszystko uleciało bez śladu.

Sanitariusz chciał ją przykryć kocem, ale raptem go odsłonił, spojrzał w górę. Ray zbliżył się i stał tam długo, wpatrzony w nią, ale nie wiem, co chciał zobaczyć.

Nagle zaczął mówić.

- Raz mi powiedziała: „Byliśmy dziećmi. Powinniśmy być bezpieczni. Z dala od wojny. Nawet nie byłam kobietą. Nie tak naprawdę. Ale nie byłam bezpieczna. I nie miałam dokąd uciec”. Tylko wtedy coś powiedziała o...

Pokręcił głową, jakby nie potrafił tego znieść, i odwrócił się, a sanitariusz delikatnie nakrył jej twarz kocem.

Do tego czasu zjechali już policjanci, a Theo stał w gabinecie i dzwonił do Penny, żeby przyjechała i przypilnowała Cecila. Potem dotarło do mnie, że Ray jest strasznie pijany, ale jeszcze gorsze było to, jak mówił, takim martwym, głuchym głosem, jakby nic nie działo się naprawdę. Mimo to opowiedział mniej więcej sensowną historię, a jeden policjant to notował.

- Cecil spadł z drzewa, tego wielkiego, przy stajni, wiesz którego, Anno - mówił. - Bałem się, że złamał rękę. Musieliśmy pojechać na pogotowie - w szpitalu w Bury St Edmunds, panie władzo - i strasznie długo robili mu prześwietlenie, a potem musieli mu nastawić rękę. Myślałem, że potem będziemy mogli wrócić, ale chcieli wziąć Cecila na obserwację, na wypadek, gdyby miał wstrząs mózgu. Ale on bardzo się zdenerwował - bał się szpitala. Więc powiedzieli, że prawdopodobnie wszystko z nim dobrze i mogę go zabrać do domu pod warunkiem, że będę go pilnować. W minibusie zasnął, a ja nie chciałem go budzić. I jeśli chciałem z nim spać, musiałem posprzątać w jego pokoju. Ostatnio nie miałem czasu. Wiem, że nie było tam bardzo... no więc ciągle do niego zaglądałem.

Myślałem, że się obudzi, ale nie sądziłem, że wywędruje. Nie po ciemku.

Ludzie z zakładu pogrzebowego nie mieli uniformów, tylko czarne garnitury i byli prawie niewidzialni i bezgłośni, a ja nie chciałem na nich patrzeć. Wynieśli Belle frontowymi drzwiami do furgonetki. Zostało tylko parę czarniawych oleistych mazajów na marmurze. Pomyślałam, że to dziwne, jak robi się pusto, gdy zniknie ktoś, kogo już nie ma.

Policja pozwoliła Rayowi pojechać z Belle. Powinnam się na niego wściec, bo Cecil nie spadł z drzewa, a Ray pewnie i jemu kazał kłamać. Ale dotarło do mnie, że teraz gadanie nic już nie zmieni, a poza tym policja zaczęła rozmawiać z nami.

Theo mówił, siedząc w kompletnym bezruchu. Twarz miał pustą i nieruchomą, ale ręka, w której trzymał papierosa, lekko mu drżała i pomyślałam nagle: nie lubi policjantów. Boi się ich. Czy myśli, że nas oskarżą? A może chodzi o przeszłość, hitlerowców i tak dalej? Albo o to, co się widzi w filmach, o Niemcy Wschodnie, takie sprawy jak w Wojnie w lustrze? Czy on tam był?

Ale ci policjanci nie byli wredni, tylko znudzeni i trochę zniecierpliwieni tym moim, że Anna, nie Anne i Jocelyn bez s, i Ware,

i nie wyglądali albo się nie zachowywali, jakbym według nich była czemuś winna, ani Theo, ale w gabinecie roіło się od mundurów, pachniało męczyznami i potem, i ciągle nie mogłam przestać widzieć tego oliwnego płomyka i Belle, całej połamanej, i twarzy Theo, i zastanawiałam się, czy my to przetrwamy. Wiem coś o tym, co się może wydarzyć w areszcie i furgonetce policyjnej. Bez przerwy powtarzaliśmy, co robiliśmy przez cały dzień i kto nas kiedy widział, i gdzie był Ray, i kiedy zabrał Cecila do Bury, i czy usłyszeliśmy powrót minibusu i czy Theo wychodził tej nocy albo ja, i czy jestem pewna, gdzie był Ray i jacy byli Belle i Ray, i czy pili i kiedy po raz ostatni byłam w Kersey Hall? I gdzie był Ray? I gdzie byliśmy my? I gdzie był Ray? Udało mi się powtarzać, że Theo i ja rozmawialiśmy w stajni, kiedy zjawił się Cecil, a potem kazali Theo zostać w gabinecie, a mnie pokazać, gdzie jest wszystko, minibus, kuchnia i sypialnia Cecila. A potem oznajmili, że muszą iść na piętro.

Nagle jakby na całym tym wieczorze pojawiła się rysa - na wernisażu i twarzy Theo, kiedy schodziłam po schodach, na restauracji i samochodzie warczącym wśród rozpalonych, dymnych ciemności - na wszystkim dobrym, co mnie spotkało... Jakby je stratowali, wgnietli w błoto i zaczęłam płakać, bo byłam strasznie zmęczona i nie mogłam się pohamować.

Trzasnęły otwierane wahadłowe drzwi i na środku holu stanęła Penny. Obrzuciła wszystko jednym spojrzeniem i powiedziała, nie głośno, ale bardzo wyraźnie:

- Dobry wieczór, panowie. Obawiam się, że Anna dosyć już przeżyła - takim głosem, że nawet policjanci zaczęli jej słuchać, choć udawali, że wcale nie słuchają, i strasznie komplikowali, kiedy powiedziała, że ona ich oprowadzi, a ja powinnam wrócić i przypilnować Cecila, bo mnie zna lepiej. Ale ona powiedziała:

- W porządku, Anno, uciekaj stąd. - Więc odwróciłam się, zeszłam po schodach, opuściłam dom, a oni mnie nie zatrzymywali.

Zrobiło się prawie rano, Theo czekał na mnie na dworze, na trawniku, w szarówce, skamieniały, zgarbiony nad swoim papierosem. Niewiele mówiliśmy w drodze powrotnej, a on wydawał się bardzo odległy.

Cecil nie obudził się, ale kiedy cicho wsunęłam się do pokoju, żeby na niego spojrzeć, poruszył się i pisnął jak króliczek. Otworzył oczy.

- Anna?
- Ćśś. Wszystko dobrze - szepnęłam. Usiadłam obok i wzięłam go za rękę. Była ciepła i miękka, i wcale nie rozgorączkowana. - Jestem.

Znowu zamknął oczy, ale mojej ręki nie puścił, a kiedy zobaczyłam, jaki jest senny, mnie także ogarnęła senność, jak fala, przetoczyła się po mnie, wgniotła mnie w łóżko, wtuloną w Cecila.

Obudziłam się, ale sen o tym, co się wydarzyło, nie oderwał się ode mnie, był mój i został, wytrawiony pod moimi powiekami, żółty i czerwony. Otworzyłam oczy, żeby strzepnąć ten sen, ale obok mnie w łóżku Theo leżał Cecil, z ręką unieruchomioną na piersi jak niezdarna kłoda, i już wiedziałam, co się wydarzyło.

Zsunęłam się z łóżka. Spódnicę miałam pomiętą - nawet się nie rozebrałam. Wszystko było dziwne i straszne, ale Theo był obietnicą, że będzie dobrze. Bardzo delikatnie obróciłam gałkę w drzwiach i wyszłam do łazienki. Z salonu dochodził zapach kawy i gorącego mleka, taki jak lubię, ale w drodze powrotnej zobaczyłam przez otwarte okno korytarza, że cienie są długie, a światło żółte. Było późne popołudnie. A potem z zewnątrz dobiegł mnie głos Ewy:

- A co było potem?

Wróciła. Serce załomotało mi tak mocno, że nie mogłam zrobić kroku. Zbliżyłam się do okna i wyjrzałam. Theo opowiadał. Nie słyszałam słów, choć domyśliłam się, że oboje siedzą na pniu pod murem, i pomyślałam, że jego głos faluje tak jak zmarszczki na jego twarzy albo palce na moim policzku. Za każdym razem, kiedy to widziałam, słyszałam albo czułam, to było jak wielka nowa odbitka z malutkiego, idealnego negatywu w mojej głowie.

Ewa powiedziała:

- Ale myślałam, że była prawie pierwsza rano? Okazało się, że jeśli wychylę się z okna, zobaczę ich.

- Tak - powiedział Theo. - Po wernisażu poszliśmy na kolację. Wiesz, jak jest na tych imprezach. A ona tak ciężko pracowała. Chciałem jej okazać wdzięczność.

Pochylił się, żeby podnieść z trawy kawiarkę i nalać do obu filiżanek. Potem objął Ewę i przytulił, tak jak ja mogłabym przytulić Cecila, i powiedział:

- Cieszę się, że wróciłaś.

- Ja też - powiedziała.

Wstrzymywałam oddech, a serce tłukło mi się o żebra. Nie mogłam uruchomić mózgu choćby na tyle, żeby zrozumieć, czego się boję albo na co mam nadzieję.

Potem Eva powiedziała:

- Wiesz, że się jej podobasz, co?

- Tak.

- Będziesz musiał być z nią ostrożny.

- Tak.

- No tak, pewnie jej przejdzie. - Piła kawę, a drugą ręką gładziła krótkie włosy na jego karku. Moja ręka też go tam dotykała. On trzymał dłoń na jej udzie. Jej palce i jego skóra były tego samego koloru, pomarszczone i twarde.

- Co z nią będzie? - spytała.

- Ray zadzwonił do matki Anny. Wraca samolotem. Chyba przyjmie też Cecila. Penny przyjedzie dziś wieczorem, żeby ich zabrać i zaopiekować się nimi do tego czasu.

- Dzięki Bogu za Penny. Ale przypuszczam, że Anna musi się jeszcze wiele dowiedzieć. Nie wszystko będzie proste.

- Wiem. Ale na pewno da sobie radę - powiedział Theo. - Jest inteligentna. I odważna.

Poczułam, że uśmiech rodzi się we mnie i rozchodzi się po mnie całe.

Eva zerwała się i rzuciła filiżanką w twarz Theo.

- Hijo de puta! Bastardo! Spałeś z nią!

Filiżanka trafiła go między oczy i upadła na trawnik.

- Tak - powiedział po chwili.

- Jak mogłeś? Ty... ty...! Jak mogłeś z nią spać? Tutaj? Wyjął chusteczkę i wytarł z twarzy kawę. Wstał i podszedł do niej. Ujął ją za ramiona i zobaczyłam, o ile jest od niego mniejsza.

- Eva... milacku... wiem, że nie trzeba było tego robić tutaj. Bardzo przepraszam. Źle zrobiłem.

- Tak. Ale to nieważne. Theo, jak mogłeś to zrobić Annie? Jak mogłeś? Żyłś ze mną tyle lat i jeszcze nie wiesz, jak to wpływa na dziewczynę w tym wieku?

- Wiem, ale ona nie... nie była...

- Więc to zmienia postać rzeczy? Tylko dlatego, że się zadawała z chłopakami, bo nie umiała zrobić ze swoim życiem nic

lepszego, nie miała żadnej innej możliwości? Tylko dlatego, że nigdy byś jej nie zmusił, to zmienia postać rzeczy? Powiem ci, Todos Besnyo, nie zmienia! Mnie nikt nie zmuszał, prawda?

Potem już nie. Nie trzeba zmuszać dziewczyny, która czci ziemię, po której stąpasz. Ale to nie w porządku.

- Nie, wiem - powiedział Theo tak cicho, że ledwie go słyszałam. Znowu usiadł na pniu, zgarbiony, opierając łokcie na kolanach. Nawet nie zapalił papierosa.

- Powiedziała ci już, że cię kocha?

Wydawało mi się, że skinął głową, a we mnie coś drgnęło z rozkoszy pomimo całej trwogi.

- Oczywiście, niech jej Bóg pomoże - powiedziała Eva. - Mierda! Jak mogłeś! Masz pojęcie, jak się poczuje, kiedy to się skończy? Co może zrobić? Kiedy dowiedziesz, że nie odwzajemniasz jej miłości?

Theo milczał.

- Wiedziałeś, że jest nieletnia? O, oczywiście. Wtedy w pubie... I nawet myśl o więzieniu cię nie powstrzymała? Nie obchodzi cię nawet, czy złamiesz prawo, nie tylko czy postąpisz źle?

- To mi nie przyszło do głowy.

- Najwyraźniej. - Eva odwróciła się i odeszła od niego, poszła między drzewa. Theo siedział ze spuszczoną głową.

- Anna? - usłyszałam głos Cecila, trochę przerażony. Wróciłam do sypialni. Siedział, otulony prześcieradłem. Buzię miał różową i wrażliwą. Uśmiechnął się do mnie.

I ja uśmiechnęłam się do niego, ale nie mogłam się powstrzymać. Podeszłam prosto do okna. Nawet nie przyszło mi do głowy martwić się, że mnie zobaczą.

Eva zawróciła. Mijając Theo, wyciągnęła rękę. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów, wytrząsnął jednego, podał jej. Żadne się nie odezwało. Wytrząsnął drugiego dla siebie. Eva usiadła przy nim na pniu, a Theo przypalił oba papierosy jedną zapalką.

* * *

- Jak długo trwa podróż do Bilbao? - spytała Lucy, gdyśmy wyminęli kobiety, naprawiające sieci w przystani.

- Szesnaście godzin gościncem. Morzem zaś - nawet z baskijskim pilotem - od sześciu do dwudziestu czterech.

- Jedźmy gościńcem - rzuciła tak skwapliwie, że nie zdołałem powstrzymać uśmiechu. Ona też się uśmiechnęła. - Przepraszam.

- Droga lądowa jest malownicza - odparłem, ściskając jej dłoń ze zrozumieniem - lecz w niewiele lepszym stanie niż inne w Hiszpanii. Będziesz bardzo znużona.

- To nieistotne.

Dla zachowania pozorów to ja zapłaciłem za pokoje w gospodzie, lecz ledwie zajęliśmy miejsca w otwartym powozie - tuż po obiedzie w południe - Lucy wyjęła sakiewkę i oddała mi swą część.

- Jesteś bardzo hojna - powiedziałem z pieniędzmi w dłoni.

- Jedynie sprawiedliwa - odrzekła. Tragarze ładowali nasze rzeczy na tył powozu. - Choć ludzie światowi orzekliby też, że niestosownym byłoby, gdybyś płacił moje rachunki. - Roześmiała się. - Raz wreszcie przyzwoitość i rozsądek idą ramię w ramię.

Intencją naszą było zrobienie popasu na noc w znanej mi gospodzie w Motrico. Droga z San Sebastian przez jakiś czas prowadzi między stromymi dolinami i zielonymi leśnymi wzgórzami, tak charakterystycznymi dla tego regionu. Mówiliśmy o historii Kraju Basków, Wellingtonie i przemarszu jego armii, lecz pomimo zainteresowania, jakie Lucy okazywała tematem, nie mogłem swobodnie przyjąć dobrze mi znanej roli wygadanego przewodnika. Od odczytania listu Cataliny tak wiele się zmieniło, że nie potrafiłem uładzić mych myśli i uczuć. Wyruszając w drogę do Bilbao, wiedziałem jedynie, że Catalina pożegnała się ze mną tak ostatecznie, jakby tego dnia oddała ostatnie tchnienie.

A jednak byłem wdzięczny za pytania Lucy o drogi i regimenty, gdyż zmuszały mnie do zapanowania nad konfuzją, grożącą całkowitym owładnięciem mego umysłu. Jej odpowiedzi nie wskazywały na zwykłe zrozumienie co subtelniej szych kwestii dyskusji, lecz byłem w takim stanie umysłu, że nie wiedziałem, czy nie przypisać jej niezrozumienia niedostatkom mych wyjaśnień.

W Zarautz zmieniliśmy konie, a ponieważ zbliżał się wieczór, my zaś nie zamierzaliśmy przemierzyć najbardziej niebezpiecznego odcinka drogi po zmierzchu, nie mitrężyliśmy długo z odjazdem.

Droga z Zarautz była kręta i biegła nad skalnymi przepaściami - widząc to, byłem rad, że upierał się przy pośpiechu. Idąc za spojrzeniem Lucy, dostrzegłem, że popołudniowe słońce nadaje czarnym skałom pozór ruin wielkiego fortu jakiejś rasy olbrzymów.

Od rana słońce kryło się za chmurami, choć nic nie wróżyło deszczu, a te zwisały nisko nad skalnymi szczytami, zdając się odbiciem gór w stawie, gdzie to, co prawdziwe i namacalne, i to, co jest jedynie odbiciem, rozpierzchającym się przy pierwszym tchnieniu wiatru lub skoku ryby, na chwilę łączy się, tworząc jedną prawdziwą całość.

Znowu spojrzałem na Lucy. Wodziła wokół wzrokiem. Jeszcze nie wyjęła szkicownika, choć powóz jechał dość wolno. Jednak droga była zbyt wyboista i śliska po niedawnym deszczu, by Lucy mogła kilkoma śmiałymi kreskami opisać widok, gdyby tego sobie życzyła. Jednak zdało mi się, że całe jej istnienie stało się sługą jej wzroku i nie potrzeba jej żadnego zajęcia. Przysięgłbym, że zapomniała o moim istnieniu.

Ja o niej nie zapomniałem - rzecz taka byłaby niepodobieństwem. Na statku znalazła się w mych objęciach i od tego czasu w przyjaźń, do której mogłem się przyznać, wkradło się pożądanie, na jakie nie mogłem pozwolić, chociażby przez wzgląd na nią, lecz także i na siebie. Jak tyle razy, ujrzałem ruch jej głowy i wygięcie warg, poczułem smukłe ramię kołyszące się przy moim, ciepło jej ciała, ruch skromnej szarej sukni podróżnej i dotyk uda przy moim, gdy szarpnięcia powozu zbliżały nas ku sobie. Jak tyle razy przedtem, starałem się zwrócić myśli ku innym kwestiom, lecz umysł mój był zdolny rozważać jedynie list Cataliny.

Przechowam te radości i smutki w pamięci, dożywając mych dni za murami San Telmo. Słowa jej wróciły do mnie, przetoczyły się przez me serce jak strumień wezbrany po wiosennych deszczach.

Ze zdumieniem, które wstrząsnęło moim ciałem równie gwałtownie jak powóz, pojąłem, że oto nie jestem już związany z Catalina. Zwróciła mi wolność.

Niewiele rozmawialiśmy. Lucy zdawała się być zbyt zajęta, by prowadzić konwersację. Ja znałem ten szlak z dawnych czasów. I choć nigdy nie przestawał zadziwiać mnie swą dostojnością, dawny mój zachwyt wydał mi się znikomym przy tym, który odczułem teraz, gdyż patrząc na Lucy, jakby po raz pierwszy ujrzałem owe ukośne złomy ozłoczone skały, gęstą, szorstką zielen lasów, morską pianę spiętrzoną niczym koronka u stóp skał w dole. Co do Lucy, jej skupienie było tak zupełnym, że imaginacja podsunęła mi, iż w jej oczach uwiecznia się każde pasmo chmur, każdy strumień i mokry, migoczący niczym klejnot kamień polny.

Droga wiodła wokół skały, widok na morze zaś zasłaniały sosny i kasztany. Nagły chłód, który ogarnął powóz, wytrącił Lucy z zadumy. Odwróciła głowę i uśmiechnęła się z wolna, niemal sennie, jakby po namiętnych chwilach.

- O, Stephen... dziękuję - szepnęła, ujęła mą rękę i pocałowała ją.

Niemal się nie odzywałem, dopóki powóz nie pokonał ostatniego zakrętu i potoczył się po skłonie wzgórza ku Motrico.

Gospoda, która była celem naszej podróży, pozostała taka, jaką ją zapamiętałem, nie wielka ani wystawna, lecz czysta i pełna kwiatów w oknach. Gospodyni, która zaprowadziła nas do kwater, nie była ciekawa naszych stosunków. Zamieszkaliśmy po przeciwnych stronach małego dziedzińca, z drzwiami wychodzącymi bezpośrednio na niego. Wdzięczny za chłód wody, umyłem się, patrząc na gołębie, gruchające i krążące nad gołębnikiem, po czym poszedłem do pustej jadalni, by spotkać się z Lucy przy dobrym winie, chlebie i domowej szynce. Lucy jadła więcej niż zwykle, choć nadal była nieco roztargniona. Ja niewielki miałem apetyt z powodu zamętu myśli i obawiałem się, że Lucy to zauważy. Jednak kieliszek wina przyjąłem z radością i z większym spokojem powitałem propozycję Lucy, by zażyć ruchu na spacerze.

Choć się rozpogodziło i niebo nadal miało barwę raczej turkusu niż indygo, w dolinie jęło się zmierzchać, a szczyty nad naszymi głowami lśniły w ostatnich promieniach słońca. Miasteczko przycupnęło na skale wokół naturalnej przystani, małej zatoki, tak stromej, że połowa brukowanych uliczek miała postać schodów, a druga połowa była tak stroma, iż chodząc po nich, należało zachować najdalej idącą ostrożność. O tej godzinie tylko nieliczni mieszkańcy krzątali się wokół swych obowiązków, karmiąc kury czy rąbiąc drwa. Wyszliśmy przez bramę portową i ruszyliśmy wzdłuż wybrzeża, z dala od miasta. Nad urwiskiem na wschodzie wstał księżyc.

Piaszczysty brzeg był nieodparcie kuszący, morze zaś cofnęło się w najbardziej zaawansowanym stanie odpływu, tak że mogliśmy iść ramię w ramię po odsłoniętym piasku, twardym niczym trotuar. Dlatego z pewnym zaskoczeniem ujrzałem, odwróciwszy się za siebie, że światło księżyca, rzeźbiące skały i wiecznie ruchome morze kolorem srebra i atramentowej czerni, ukazuje nam, jak bardzo oddaliliśmy się od ludzkich domostw. Znaleźliśmy się zupełnie sami.

Szliśmy dalej i zatrzymaliśmy się dopiero, gdy dalszy spacer stał się niepodobieństwem. Miasta nie było już widać, a przed nami widniało urwisko z kipielą wodną w dole. Znaleźliśmy dogodne miejsce na jezorze skały, biegnącej na piasek i niżej, ku oznaczeniu poziomu wody. Przez parę jardów marsz sprawiał kłopoty; moja noga bolała, myśli się plątały i nie zdziwiło mnie, że w głosie Lucy, gdy się odezwała, zabrzmiał szorstki ton.

- Przebyliśmy długą drogę.

- Nie jesteś zbyt zmęczona? - spytałem, opierając laskę o skałę.

- Nie, zupełnie. Odbywwszy tak daleką drogę, tak gwałtownie - przynajmniej do tego wieczora - i dotarwszy do tego tymczasowego celu, czuję... - Urwała, zatrzepotała dłońmi, jakby żadne słowo nie opisywało jej doznań. Na jej marmurowej szyi ujrzałem szybkie pulsowanie tętna. - Ty też to czujesz?

- Co dokładnie? - zdołałem jedynie spytać. Obawiałem się, że dalsze słowa zdradzą mnie.

Skała była wąska; ciepłe jej ramię wtuliło się w moją rękę, a jej spódnica trącała moją nogę.

- Sądzę... że teraz, gdy przeszłość się za nami zamknęła, wszystkie nasze siły - uczuć w równej mierze jak myśli - mogą się skierować ku temu, co leży przed nami.

Nie mogłem odpowiedzieć, lecz źle pojęła przyczynę mego milczenia.

- O, Stephen... przepraszam. To niewybaczalne. Nie mam prawa zakładać niczego... co do przeszłości... - Znów urwała, przyłożyła dłonie do policzków. - Wybacz, jeszcze pogarszam sprawę.

- Nie...

- Ta wspaniałość okolic chyba nadwątliła mój umysł. Zechciej o tym zapomnieć i wybacz mi.

- Nie mam czego wybaczać - rzekłem i, choć moje słowa były zwykłe, w jej zdumionych oczach ujrzałem, że ton taki nie był. Nagle niezmiernie ważnym wydało mi się przedstawienie jej prawdy, którą poznałem. Musiałem ją przekonać natychmiast, w przeciwnym razie nic między nami nie mogłoby być prawdziwie szczere. Odwróciłem się do niej i ująłem obie jej dłonie. - Od dzisiejszego ranka... być może od wczorajszej nocy wiem, że przeszłość... przeszła. A...

Nie mogłem mówić dalej. Ona nadal ścisnęła me dłonie równie mocno jak ja jej, lecz nie odzywała się ani nie poruszała.

Gdy cisza gęstniała wokół nas, jej palce zdały mi się na tyle silne, że zdołałem podjąć na nowo:

- Moja miłość do Cataliny przeminęła. Zawsze będę kochać jej wspomnienie, lecz wspomnienia to jedynie odbicia.

Dłonie Lucy zadrżały konwulsyjnie, lecz oczy nie odwróciły się od moich.

- Wystarczy rzucić kamieniem w staw - dodałem - a znikną.

Zdało mi się, że skinęła głową. Chłonałem ją spojrzeniem. Jakże mogłem nie pojąć, że od tak dawna ją kocham? Gdyż w istocie ją kochałem i od tej świadomości huczało mi w głowie. Moje ciało to wiedziało, zanim umysł zdołał zrozumieć. Teraz pozostało mi tylko walczyć ze sobą, by nie pochwycić jej w objęcia.

Lecz ona nie mogła się dowiedzieć. Nie wolno mi było uczynić tego wyznania, bo gdybym to zrobił, złożyłbym na jej ramiona zbyt wielkie brzemie. Jeśli zachowam milczenie, mogłem ocalić naszą przyjaźń.

Więc cofnąłem dłonie, oswobodziłem ją. Z pewną trudnością podniosłem się z kamienia i powiedziałem:

- Powinniśmy wrócić, zanim księżyc zajdzie.

Wstała natychmiast i zrobiła parę szybkich kroków, nie z powrotem, lecz w głąb wybrzeża, gdzie morze biegło ku piaskowi i znowu się cofało. Została tam, wpatrzona w horyzont.

Była jak czarna sylwetka na srebrnym tle, szczupła, czarna i napięta.

Po długiej chwili ujrzałem, że odwróciła się i zawraca. Nie widziałem wyrazu jej twarzy, gdyż za nią lśniło jasno morze, ale wiedziałem, że się nie uśmiecha. Przez chwilę stała przede mną. Wyciągnęła ku mnie ręce, a potem, z nagłym westchnieniem, zarzuciła mi je na szyję i pocałowała.

Spełnienie mych pragnień nastąpiło tak kompletnie, że przez długą chwilę ani mój umysł, ani serce nie mogły znaleźć sił, by wyrazić obiekcję. Dopiero gdy Lucy cofnęła się z mych objęć, rozsądek zaprotestował przeciwko dotykowi jej ust, jej palców, piersi i ciała. Jednak gdy ją mówił, panowałem już nad sobą.

- Teraz muszę cię prosić, byś mi wybaczył - rzekła.

- Nie! - Nie mogłem powiedzieć więcej.

- Przynajmniej znam cię zbyt dobrze, by się lękać, co o mnie pomyślisz.

- Wyświadczyłaś mi wielki zaszczyt, lecz lękam się, że to... no cóż, cienie mojej przeszłości... obudziły twą litość.

- Stephen! - zawołała i tylko z powodu miękkości piasku nie usłyszałem tupnięcia jej nóżki. - Stephen, kocham cię!

Cienie znikły, ogarnęła mnie wielka pewność, potężna i nieodparta jak obrót kuli ziemskiej pod naszymi stopami. To ona kazała mi powiedzieć:

- Kocham cię.

Jej spojrzenie było szczere i pewne jak jeszcze nigdy, a brak wahań roztopił moje obiekcje. Moja radość i zdumienie były tak wielkie, że nie mogłem się już dłużej powstrzymywać przed wzięciem jej w objęcia; równie dobrze mógłbym powstrzymywać wschód słońca.

Przytomność przywrócił nam chłód morskiej wody pod stopami. Lucy spojrzała w dół i roześmiała się na widok przybierającej wody.

- Czy odetnie nam drogę? Być może będziemy musieli się wspinać na skały.

Moje ręce nadal oplatały jej kibić, a jej mą szyję i poczułem, że na tę myśl przeszył ją lekki dreszcz. Gdyśmy ruszyli przez plażę, by uniknąć przemoczenia, usiłowałem rozważyć, w jakiej okolicy się znaleźliśmy, lecz byłem tak zaprzątnięty myślami, iż nie potrafiłem sobie przypomnieć, czy znak wysokiej wody znajdował się na klifie.

- Z całą pewnością jesteśmy bezpieczni i na plaży, jeśli ruszymy z powrotem - powiedziałem jedynie.

- Biorąc pod uwagę ciemności, pewnie powinniśmy poszukać bezpiecznego schronienia - zauważyła i teraz to ja roześmiałem się z jej oczywistego, choć nie całkiem poważnego, żalu z powodu takiej rozwagi. Roześmiała się także i nasza radość znalazła swój wyraz w pocałunkach. Wzrostem niemal mi dorównywała, choć w mych objęciach była krucha. Czułem jej siłę, która stanowiła jej istotę, i gorliwość dorównującą mej własnej.

Nasza radość nie znalazła wyzwolenia, gdyż przybierająca fala zmusiła nas, byśmy wreszcie wypuścili się z objęć, lecz taka interwencja żywiołu nie umniejszyła mego szczęścia, gdyż miłość ta, jak zrozumiałem, gdy Lucy wskazała mi, że skały po drugiej stronie zatoki także wyginały się w łuk na spotkanie morza, nie zależała od

bliskości, okoliczności lub szczęśliwej fazy księżyca. Wydawało się całkiem naturalne, że wracając plażą, rozmawiamy o geologicznej formacji klifów - o których Lucy wiedziała znacznie więcej ode mnie, równie naturalne jak to, że ja objąłem ją, a ona mnie tak swobodnie, jakbyśmy to czynili po raz tysięczny, nie zaś pierwszy. Naturalne również zdało mi się, że wyrażam me zadowolenie pocałunkami.

Ale gdym wśród tego rozradowania usłyszał szczekanie psa i gwizd, puściłem Lucy. Zdumiałem ją tym, aczkolwiek zrozumiała przyczynę mego dystansu. Ujęła mnie pod rękę chętnie i godnie. Lecz pomimo całej tej godności nie mogłem się powstrzymać, by nie przytulić jej do siebie, by przez całą drogę czuć każdy jej ruch.

- Nieważne - rzekła, splatając palce z moimi. - W gospodzie będziemy mieli więcej swobody. A przed nami cała noc.

- Co?

Po chwili dodała:

- Przypuszczam, że nie powinnam tego była powiedzieć. Nie udawałem, że jej nie rozumiem.

- Być może nie. Choć nie chciałbym myśleć, że istnieją sprawy, które powinniśmy pomijać milczeniem. Parę pocałunków na plaży, w ciemnościach, to... no cóż, nie uwierzyłabyś, gdybym powiedział, że są wbrew mej woli, prawda? Lecz to, co sugerujesz, jest nie do pomyślenia.

- Dlaczego?

- Ponieważ... czy muszę to mówić?

- Sam powiedziałeś, że winniśmy niczego przed sobą nie taić. A wiesz, że nie możesz mnie zaszokować.

Nie odpowiedziałem, bo jak mogłem to wyjaśnić? Nie była nieświadoma świata i istot na nim żyjących; widziałem, że jej niewinność ma charakter bardziej fundamentalny, gdyż mówiła tylko tak, jakby chodziło o złamanie zasad społecznych. Nie miała pojęcia o prawdziwej naturze tego, co sugerowała. Młodzieniec w takiej chwili nie pozwala sobie na myślenie o utracie niewinności, jedynie o zdobyciu tego, co mu się prawem natury należy. Lecz ja widziałem u Cataliny, sióstr, żon, kochanek przyjaciół, u Mercedes i każdej nowej dziewczyny, że żadna kobieta nie pozostaje niezmienną, oddawszy swą niewinność, czy to z wolnej woli, czy nie, czy za błogosławieństwem duchownego, czy w chaosie wojennym.

Myśli te umocniły mnie w mej decyzji, a siła woli opanowała żądze. Mocniej ująłem jej kibić, ona zaś zbliżyła się ku mnie z całą gorliwością, tak gwałtowną, że gdybym był dziesięć lat młodszy, pociągnąłbym ją za sobą na piasek i starał się zaspokoić swe pragnienia na miejscu. Szczęśliwie dla nas obojga doświadczenie podpowiedziało mi, iż żadna namiętność nie może znaleźć spełnienia na kamieniach, piasku, w zimnym wicherze, przy zbliżającej się słonej fali. Na tę myśl ogarnął mnie śmiech.

Przyjrzała mi się zmrużonymi oczami i ona także się roześmiała.

- Nie, wiem. Masz całkowitą rację. O wiele lepiej będzie nam w wygodnym łóżku w gospodzie.

- Nie! - rzuciłem, cofając się, gdyż jej bliskość miała katastrofalny wpływ na mą determinację. - Nie zrobię tego. Nie możesz mnie o to prosić.

- Mogę, a ty możesz odmówić - rzekła i wyciągnęła rękę. - Najukochańszy, nie sprzecajmy się o to.

- Sprzeczać się? Nigdy - powiedziałem i ująłem jej dłoń obiema rękami. Uśmiechała się i pragnąłem ucałować jej czarne rzęsy, czerwone wargi, poczuć pod palcami jej białe ząbki i język. Lecz nie dozwoliłem się jej zbliżyć i znalazłem jedynie nieco ulgi, całując jej dłoń.

- Lecz i tak bym cię kochał, choćbyśmy się kłócili od dziś aż po koniec świata.

Roześmiała się i znowu ruszyła przed siebie.

- Dobrze. Więc nie będę się lękać, że przestaniesz mnie kochać, jeśli powiem, że nie widzę przyczyn, by - będąc w Hiszpanii - nie żyć ze sobą jak mąż i żona.

Nie spodziewałem się nowego ataku, więc wojska moje nie zwały w porę szyków. Nie znalazłem odpowiedzi bardziej miazdzącej niż kolejne „nie”.

Lucy ciągnęła dalej:

- Gdybyśmy byli w Anglii, twoje skrupuły względem mojej... i twojej... reputacji byłyby zrozumiałe. Poza tym nie pragnę nikogo obrażać, jedynie kierować moim życiem tak, jak wydaje mi się najlepiej. Lecz póki jesteśmy tutaj, kto mógłby się dowiedzieć?

Szliśmy wzdłuż przystani. Księżyc już teraz osunął się tuż nad skały i wkrótce miały nas ogarnąć zupełne ciemności.

- Najdroższa, nie masz pojęcia, o czym mówisz - odrzekłem.
- Gdybym sądził, że zechcesz mnie poślubić... - Wraz z tymi słowami ujrzałem jej sylwetkę, stojącą w holu Kersey, a obraz ten był tak naładowany mocą, tak pełen miłości do niej, co pojąłem nagle w tej chwili, że nie mogłem dodać nic więcej, lecz w pomieszaniu mym ta dziwna rozmowa zdała mi się nie bardziej prawdziwa niż owa wizja. Dopiero stąpnąwszy na bruk alejki wiodącej do gospody, upewniłem się, że nadal przebywam na tym świecie.

Roześmiała się cicho, najwidoczniej z zażenowania.

- O, wspominasz, co powiedziałam w Ixelles o małżeństwie? Musisz to przypisać... no cóż... podrażnieniu nerwów. Nigdy nie odgadnę, jak przez te miesiące zdołałam nie zamordować mego szwagra i kochanej Hetty wraz z nim. - Zatrzymała się i dodała z pewnym trudem: - Już jakiś czas temu zdałam sobie sprawę, że... że małżeństwo nie musi przypominać ich związku. Widziałam, że małżeństwo tworzą małżonkowie, nie zaś społeczeństwo, które zdaje się narzucać, jak powinien wyglądać każdy związek. Jeśli mężczyzna i kobieta decydują, że lepiej im będzie razem niż oddzielnie, i mogą sami postanowić, na jakich warunkach pragną ze sobą żyć... takie małżeństwo może przynieść wiele szczęścia.

Dopiero po paru jardach - paru chwilach - pojąłem sens jej słów, lecz wówczas zwlekałem już tylko tak długo, ile zajęło mi chwycenie jej dłoni i poproszenie, by zechciała zostać moją żoną.

Zatrzymała się i odwróciła do mnie, ale przez długą chwilę nie odpowiadała i ogarnął mnie strach. Tak bardzo ją kochałem, tak bardzo była mi niezbędna - teraz to ujrzałem - bym mógł być szczęśliwy, że gdyby teraz odmówiła, straciłbym wszelką nadzieję na odnalezienie spokoju. Żadne nowe miasta ni dawni przyjaciele, nieustanne podróże, praca, wino, kobieta, dziecko... nic nie mogłoby mnie obronić przed falą ciemności, która runęłaby na mnie po jej odmowie. Nie potrafiłem uwierzyć w niebo i piekło, o których mnie uczono. Nie wiedziałem, co nastąpi, prócz tego, że lepsze zapomnienie od takiego życia, gdyby miała mnie odtrącić.

- Stephen? - Patrzyła na mnie ze zmarszczonym czołem. Nie mogłem tego dłużej znieść.

- Jeśli... jeśli masz odmówić, błagam, nie rób tego. Nie wpłynie to w... w żaden sposób na naszą podróż. Mam nadzieję, że nasza

przyjaźń trwa zbyt długo, byśmy odczuli zażenowanie. Lecz proszę, powiedz, co zdecydowałaś.

- Musisz mnie zrozumieć. - Jej słowa nie dodały mi otuchy, choć nadal ścisnęła me dłonie, i w tym geście starałem się odnaleźć nadzieję. Po chwili dodała: - Moje wahanie wynika jedynie... Och, brak mi słów! - W desperacji puściła moje ręce. - Kobietom nie wolno rysować ludzkich postaci tak, jak je stworzono... - Nawet ogarnięty trwogą nie mogłem się nie roześmiać z jej doboru słów. Zrozumiała przyczynę mego rozbawienia, lecz ciągnęła: - Dlatego nie mam możliwości, by mówić wprost - praktycznie - o takich kwestiach w małżeństwie.

- Czy obawiasz się obowiązków małżeńskich? - spytałem niepewnym głosem.

Ujęła mą dłoń i uścisnęła.

- Drogi mój! Nie obawiam się, nie w tym rzecz. Ale... No cóż, wolałabym wiedzieć najpierw, co dokładnie oznacza bycie żoną, zanim zgodzę się nią zostać, nawet gdy idzie o ciebie, najukochańszy. Wówczas będziemy równi w swym pragnieniu zawarcia związku.

- Rozumiem cię - rzekłem, i rzeczywiście rozumiałem, lecz pojąłem także, że by ją otrzymać - ją, za którą oddałbym życie - muszę ją zhańbić. A może nie tylko zhańbić, lecz przejąć obrzydzeniem lub nawet przerazić, stracić ją na zawsze.

Nie spotkalismy nikogo w alejce, gdyż na plaży zmitrężyliśmy dłużej, niż sądziłem; w oknach niewiele paliło się światła. W gospodzie chłopak w szynku skinął nam sennie głową, lecz nie widzieliśmy nikogo poza nim.

Byliśmy jeszcze na dziedzińcu, gdy spytała cicho:

- Więc?

Starałem się opamiętać. Myśl o tym, co proponowała, odebrała mi zdrowe zmysły, lecz teraz, gdy chwila była blisko, ogarnął mnie nie jej, lecz mój strach, strach przed jej obrzydzeniem na widok mego okaleczonego ciała.

Cała moja rycerskość, pomyślałem niespodzianie, wszystkie skrupuły człowieka honoru... sprowadzały się do tego, że nie posiadam kobiety, którą kocham, bo boję się jej obrzydzenia. Znowu usłyszałem słowa pani Barraclough. Nawet myśl o mych ranach była ponad jej siły.

- Najdroższa, rozważ to - powiedziałem cicho, bo choć mówiliśmy po angielsku, nie mogłem uniknąć wrażenia, że ktoś nas podsłuchuje. - Zważ i wybac mi, gdyż muszę być szczery. Nigdy... nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym stał się przyczyną twego nieszczęścia lub bólu. Pierwszy raz jest... nie zawsze łatwy.

- Nie, wiem - odparła. - Hetty mówiła... - Odwróciła się i położyła rękę na klamce swego pokoju. - O, Stephen, nie stawiam cię przed jakąś próbą. Jeśli naprawdę nie chcesz... jeśli to cię unieszczęśliwia...

- Unieszczęśliwia? - wybuchnąłem. - Jakże mógłbym być nieszczęśliwy, mogąc mieć ciebie?

Zrobiła parę kroków w głąb pokoju, pociągając mnie za sobą.

- Więc chcesz? Pozwoliłem się poprowadzić.

- Tak. Ale... Cóż, dużo mówiliśmy o wpływie wojny... Odwróciła się i spojrzała na mnie, a światło latarni z dziedzińca padło na jej twarz. Uśmiechnęła się i powiedziała:

- Kocham cię. To, jaki jesteś, nie może tego zmienić.

- O, ukochana moja - rzekłem, chwytając ją w ramiona. - Jeśli nie jesteś przeciwna, i ja nie mam siły odmówić. Ani ochoty - dodałem między pocałunkami. - Jesteś spełnieniem mych pragnień.

Mimo całej swobody, jaką przyjaźń nasza zrodziła między nami, obawiałem się zażenowania jej i swego, lecz go nie znalazłem, a kiedy narastające pożądanie nie dało się już zaspokoić zwykłymi pocałunkami w świetle świecy, usiadłem obok niej na łóżku i położyłem rękę na sznurówce jej sukni.

- Mogę?

Skinęła głową, a ja ucałowałem jej kark, gdzie zawsze wiły się niesforne kosmyki, umykające szpilkom. Rozwiązałem tasiemki i rozchyliłem jej stanik. Moja namiętność rodzi się z miłości, pomyślałem, więc nie muszę się lękać, że przewycięży moją troskę o jej wygodę.

Wstała, zsunęła z siebie suknię i halki i rzuciła je na krzesło ruchem tak wyzutym z kokieterii, jakby była sama. Gdym do niej podszedł, rozpuściła włosy, które spadły na jej ramiona, moje dłonie i jej plecy. Pachniała solą, morskim powietrzem i ciepłem. Odwróciła się w mych objęciach i nasze usta się spotkały. Moje dłonie sięgnęły do zapięcia gorsetu. Zdało mi się, że drgnęła, lecz potem roześmiała się cicho i z kolei sięgnęła ku guzikom surduta, więc oboje zyskaliśmy zajęcie.

Przy pomocy Mercedes już dawno zdołałem przezwyciężyć wszystkie niewygody mojego kalekiego stanu. Teraz jednak wcześniejsze lęki, dotąd stłumione przez radość, powróciły z nową siłą.

- O co chodzi? - spytała Lucy, leżąc w samej koszulce wśród poduszek. Usiadłem, by zdjąć buty. - Co cię trapi?

- Tylko... - Nie potrafiłem tego powiedzieć. By ukryć konfuzję, ściągnąłem but i rzuciłem nim przez pokój. Lucy zerknęła w dół.

- Chodzi o twoją nogę? Skinąłem głową.

Położyła dłoń na moim udzie, tak czule, jakby matka dotykała czoła swego dziecka.

- Połóż się przy mnie.

Powoli zdjąłem drugi but, spodnie i bieliznę, rozpiąłem sprzączki mej drewnianej nogi i zdjąłem onucę otulającą kikut. Lucy nie drgnęła. Nie zadrżała także, gdy zdjąłem koszulę, nie zarumieniła się nawet z innych przyczyn, lecz odsunęła się, robiąc mi miejsce przy sobie. Wsunąłem się pod kołdrę, starając się nie dotykać jej nogą.

- Ukochany, nie musisz ukrywać przede mną swej rany - powiedziała.

- Jest niepiękna.

- Lecz muszę cię znać całego - odrzekła i uklękła na środku łóżka, wśród fałdów koszulki, która zsunęła się jej z ramienia. Potem odrzuciła kołdrę i spojrzała na okaleczoną nogę.

Bardzo długo trwała bez ruchu i choć jej twarz wypełniała me noce i dni od tylu tygodni, nie potrafiłem odczytać jej myśli. Być może ich nie było: jej spojrzenie było równie przenikliwe jak bezosobowe, jak wtedy, gdy oglądała obce twarze, skały czy pole bitwy.

Potem wyciągnęła rękę i dotknęła każdego śladu, po kolei. Dotykała prostych krech po cięciu chirurga oraz zapadlin i bruzd okaleczonego ciała, które zabił się, jak mogło, każdej blizny spłowiałej z czasem z krwistej czerni po szare srebro. Dotykała ich łagodnie, lecz z taką samą pewnością, jaka malowała się w jej spojrzeniu. Potem jej ręce spoczęły na pokrytym odciskami kikucie, grubym, ciemnym i brzydkim, a jednak pasującym do drewna i skóry, które umożliwiały mi życie. Siedziała w milczeniu, trzymając kikut, tuląc kształt i widok mych ran.

Podniosła głowę i zobaczyła łzy w moich oczach.

- Czy sprawiłam ci ból?
- Nie, o nie - mogłem jedynie powiedzieć. - Nikt... nie sądzę, żeby to było możliwe.

Uśmiechnęła się, a płomyki świec w jej oczach stały się tak jasne, bo i w nich stanęły łzy. Wyciągnąłem rękę.

- Najdroższa, pozwól się pocałować. Położyła się obok mnie.

Sądziłem, że ma namiętność jest zbyt przesycona miłością, by sięgnąć poza życzenia Lucy. Jednak gdy ją chwyciłem w objęcia, sama miłość omal nie odebrała mi przytomności. Jej koszulka mogłaby być równie dobrze utkana z pajęczyny; Lucy była równie naga jak ja. Nie mogłem się powstrzymać i przyciągnąłem ją do siebie.

Moja natarczywość ją spłoszyła. Cofnąłem się.

- Przepraszam - powiedziałem, ale w świetle świec ujrzałem jej twarz i przekonałem się, że nie maluje się na niej strach ni niesmak. Linie wokół jej ust i tych zwężonych, spostrzegawczych oczu artystki złagodniały i Lucy uśmiechnęła się do mnie.

Namiętność żądała, bym natychmiast ją posiadał. Posiąść ją całkowicie - tego właśnie pragnąłem. Lecz to, czego nauczyłem się z Catalina o delikatności, kazało mi się powstrzymać, a z pomocą przyszło mi to, czego dowiedziałem się od Katrijn w kwestii kobiecej przyjemności. Jeśli zdołam pokazać Lucy, że może czekać ją radość, jeśli zdołam się opanować i zawałdnać własnym pożądaniem, tym większa będzie moja rozkosz, gdy namiętność nasza się zrówna.

Łagodnie, nadal ją całując, gładziłem jej kark, barki, jędrne ramiona, cienkie nadgarstki. Delikatnie całowałem jej poplamione atramentem dłonie, a ona dotykała mych warg i przesuwiała palcami we włosach. Ostrożnie rozsznurowałem jej koszulkę i rozchyliłem ustępliwy materiał.

Miała drobne piersi. Kiedy po raz pierwszy musnąłem je od niechcenia, jakby przelotnie, jęknęła i otworzyła przymknięte oczy. Uśmiechnęła się niepewnie.

- Czy mam przestać? - spytałem.

Zaprzeczyła najdrobniejszym drgnieniem głowy, więc bardzo powoli przesunąłem dłońmi raz jeszcze po jej piersiach. Znowu przymknęła oczy, oddychając powoli, lecz kiedy pochyliłem się, by ją tam pocałować, westchnęła cicho i przygarnęła mnie do siebie.

Jej skóra miała drobnoziarnistą strukturę, ciało nie stanowiło miękkiej, bujnej poduszki, na której mężczyzna mógłby złożyć głowę, lecz było prężne, każdy mięsień przywierał mocno do kości, a skóra opinała je mocno i sprężyste. Ona także wzajemnie przesuwiała dłońmi po moim ciele, jakby były one jej oczami, badającymi wypukłości i zapadliny, kości i skórę ramion, policzka, barku.

Dość dobrze wiedziała, co będę zamierzać. Jednak nie spodziewała się, że posłużę się dłońmi, tak jak się nauczyłem. Zbliżyłem się powoli, zachwycony lekką wypukłością jej brzucha, a potem przez długi czas jedynie ją trzymałem. Kiedy zacząłem ją gładzić, drgnęła i z wolna się poruszyła, zaskoczona, lecz zgodna, a potem, oddech po oddechu, wyruszyła chętnie na zbadanie tej nowej krainy, tak jak innych, które jej pokazałem.

Moje pragnienie stało się niemal nieznosne, a jednak wzdagałem się przed sprawieniem jej bólu. Nie mogłem jednak jej posiąść, nie czyniąc tego. Przynajmniej mogłem jej to ułatwić, na ile umiałem. Dopiero kiedy poczułem, jak się otwiera pod moimi palcami, kiedy poczułem, że jej oddech przyspiesza i nabiera żaru, kiedy ujrzałem jej twarz rozgorączkowaną i pochłoniętą własną rozkoszą, wszedłem w nią.

Nie krzyknęła, lecz szarpnęła głową konwulsyjnie, z boku na bok, raz po raz. Cofnąłem się.

- Nie przestawaj - rzuciła i uniosła głowę, by mnie pocałować.

- Lecz nie mogę znieść, że sprawiam ci ból.

- Już się stało, albo prawie. Chciałam tego.

- Ukochana, czy na pewno?

Skinęła głową, lecz czułem, że cały zapal i rozkosz ją opuściły. Jej ciało znów stało się twarde i chłodne, a kiedy w nią wtargnąłem, bez żadnej wątpliwości napięła się.

Dokonało się, tak jak mówiła, lub prawie się dokonało. Jednak nie mogłem starać się posiąść ją w taki sposób, nieszczęśliwą, i wypełnić strachem przed bólem. Pocałowałem ją łagodnie i cofnąłem się.

Była zakrwawiona.

Tak mało krwi, pomyślałem, przy tak wielkiej zmianie. Ale nie wolno jej było tak zostawić. Rany muszą się zagoić.

Pochyliłem się, scałowałem z niej krew, najłagodniej jak tylko mogłem. Smakowała niemal słodko. Lucy jęknęła, lecz wkrótce

poczułem, że napięcie znika z jej ciała. Jej skóra się rozgrzała, oddech przyspieszył, a ciało jęło się ruszać i otwierać pod moimi pocałunkami.

Szybciej, niż sądziłem, jej ciało zrozumiało, a potem tak gwałtownie poddało się doznaniom, że w pośpiechu starłem słodycz z ust i wróciłem w nią.

Tym razem przyjęła mnie chętnie, pocałunkami wynagrodziła mi moją delikatność, a jej rosnąca namiętność dorównała mojej. Kiedy w końcu posiadałem ją zupełnie, pozwoliłem się ogarnąć radości i zdumieniu, że razem zdołaliśmy odnaleźć takie szczęście.

Ryk okrzyków i huk muzyki jest namacalny i realny jak mgła potu i smolistego pyłu, w którym się wszyscy poruszamy. Potykam się, usiłuję wtargnąć między ludzkie ciała i żelazne ogrodzenie.

Kawaleria. Z południowego zachodu. Nadciągają w rozproszonym szyku, z dobytymi szablami, tnąc wszystkich: mężczyzn, kobiety, dzieci. Jakiś chłopak pada stratowany, dziewczyna osuwa się na ziemię z krzykiem. Usiłuję chwycić za uzdę, lecz oczy jeźdźca są ślepe. On mnie nie widzi. Potężny mężczyzna, który szuka broni, odtrąca mnie na bok niczym cień. Upadam.

Nie widzę nic prócz płonących ciemności, nie czuję nic prócz ciosów.

Dźwigam się z trudem na kolana, w gradzie kamieni, cegieł i żelaznych prętów. Na kamieniach leży jakaś kobieta, z ręką przyciśniętą do piersi. Krwawi. Twarz ma odwróconą, ale jestem pewien, że to Catalina, na pewno. Nie mogę jej dosięgnąć. Nie mogę jej pomóc.

Potem wstaje i widzę ją wyraźnie. To Lucy, zdrowa i uśmiechnięta.

- Stephen. - Wyciąga do mnie pobrudzoną atramentem i farbą dłoń. - Nie wiedziałeś? Dziecko się znalazło.

Szczęk i chlust wody z dziedzińca obudziły mnie wczesnym rankiem z twardego snu, witając bladym światłem i cichym stukotem deszczu. Uniosłem się na łokciu i ujrzałem, że Lucy nadal śpi, tuż przy mnie, na boku, z nosem wciśniętym w poduszkę i otoczona fałdami koszulki. Rozpuszczone włosy rozsypały się na pościeli ciemnymi pasmami i splotami. Bardzo długo cieszyłem oczy jej widokiem, rozkoszowałem się jej ciepłem, jej oddechem, dymnym zapachem jej włosów i słabą wonią soli, która przypomniała mi o statku, na dworze zaś rozjaśniało się i deszcz z wolna ustawał.

Lucy poruszyła się i znieruchomiała, jakby ten ruch ją zabolął. Przez jej czoło przemknął drobny grymas zdziwienia.

Znów położyłem się, by móc utulić i uspokoić ukochaną.

Czując mój dotyk, poruszyła się znowu, nieznacznie, lecz zdecydowanie, jakby starała się zrozumieć, co czuje. Czy to ból? Odraza? Strach?

O Boże! Co uczyniłem? Jakie szaleństwo mnie ogarnęło? Gdyż musiało to być szaleństwo - nie mógłbym nazwać tego miłością, skoro wyrządziłem jej taką szkodę.

Poczuła, żem się odsunął, i usiadła, otulając się koszulką. Spojrzała na mnie. Gdybym się nie lękał obudzić w niej jeszcze większej odrazy, chwyciłbym ją w ramiona i scałował jej wątpliwości. Lecz jedynie także usiadłem i spojrzeliśmy na siebie.

W końcu odezwałem się:

- Lękam się... że zeszłej nocy sprawiłem ci ból.

- Tylko przez chwilę - powiedziała, lecz w jej oczach wciąż widziałem wątpliwości, a w postaci - chęć ucieczki. Nagle powiedziała: - Ale w świetle dnia żałujesz tego.

- Jedynie dlatego, że cię kocham - powiedziałem dygoczącym głosem. - Wyrządziłem ci wielką szkodę.

- Czy... czy chodzi tylko o to? - Nie odezwała się więcej, a potem odwróciła głowę, jakby wzdragała się dotknąć wezgłowia. Dodała cicho: - Teraz, gdy nie jestem już... lękam się, że wszystko między nami się zmieniło.

W świetle dnia, wsączającym się przez okiennice, zdała mi się tak szczupła i niepewna, że nie wiedząc, co czynię, wyciągnąłem do niej dłoń, choć nie sposób orzec, czy w geście otuchy, czy też błagania.

- Lucy, zmieniło się wszystko i nic. Kocham cię i bardziej niż kiedykolwiek pragnę się z tobą ożenić. - Mimo to patrzyła na mnie w milczeniu. - Jednak do ciebie należy decyzja, jak dalej będzie wyglądać nasza znajomość. Jeśli wolisz nie... - Strach zdusił mój głos.

Zaczęła się śmiać, tak niespodziewanie, że drgnąłem.

- O, najdroższy, jakież z ciebie osioł! Pokazałeś mi nową krainę, a jednak lękasz się, że tego żałuję!

Nic więcej nie można było powiedzieć. Uświęciliśmy nasze zaręczyny, biorąc się wzajemnie w posiadanie, bez bólu, lecz z radością, wokół nas zaś budziła się gospoda i wioska.

Podróż do Bilbao była długa, a deszcze nadciągające znad Atlantyku zmusiły nas niejednokrotnie do stawiania budy nad powozem, lecz z pewnością nie dokuczała nam nuda. Im dalej na zachód, tym wyżej droga biegnie wśród urwisk i tym wspanialsze stają się widoki, nieodmiennie domagające się szkicownika Lucy. Przyglądałem się temu, co chłoneły jej oczy: wiekowej kaplicy, stojącej niczym pustelnik na skale nad morzem, promieniom spadającym na podobieństwo deszczu pomiędzy prostymi pniami sosen, rzecę wijącej się przez wąwóz, by rozszerzyć się w szeroką, zieloną deltę i spokojnie spłynąć do zatoki. Obecność woźnicy na koźle uniemożliwiła nam wyrażenie uczuć wykraczające poza uśmiechy, lecz moje zadowolenie z jej towarzystwa, czy rozmawiała ze mną, czy tylko niezmordowanie rysowała - było zbyt wielkie, by wymogi przyzwoitości sprawiały mi przykrość. Nawet nowa niecierpliwość w oczekiwaniu zmroku nie mogła mi odebrać radości czerpanej z godzin dziennych.

Obiad zjedliśmy na drodze w Guernice, do Bilbao zaś przybyliśmy o porze zbyt późnej, by żądać od woźnicy czegoś więcej niż znalezienia gospody - wygodnej, lecz zacisznej - najbardziej odpowiadającej naszym potrzebom. Zaczął popędzać zmęczone konie po ostatnim zjeździe, w bramę, za którą wiły się kręte uliczki starego miasta.

Lucy zajrzała w głąb zaułka przy oświetlonym placu.

- Czy to katedra?

- Tak. Zatem musimy być blisko Sant' Aguedy. Po chwili powiedziała:

- Zdaje się, że poszukiwanie twojej córki nie będzie rzeczą błahą.

- W istocie, to pilna powinność - przyznałem i dopiero słysząc me słowa, usłyszałem, jakim tchną chłodem, choć wiernie oddawały me uczucia. Z zadowoleniem powitałem widok kościoła Sant' Anton, strzeżonego przez most prowadzący do nowszej, cichszej części miasta i gospody z szyldem „El Moro”, która była celem naszej wędrówki.

Nasze sypialnie znajdowały się obok siebie. Lucy zaprosiła mnie do swojej, a kiedyśmy nasycili miłosne pragnienie, zasnęła w mych ramionach twardo jak dziecko, wtulona nagimi plecami w me ciało, łaskocząc mnie włosami. Lecz ja nie spałem, gdyż rankiem miałem zobaczyć Idoię.

Przez wszystkie te lata wiedziałem, że niegdyś urodziło mi się dziecko, tak jak wiedziałem, że niegdyś miałem matkę; ich nieobecność była jedynym, co wiedziałem o nich z całą pewnością. Było to dziecko Cataliny, ostatnie ogniwo łączące mnie z moją ukochaną, z Hiszpanią, z tak wielką częścią mego życia, lecz sama Idoia niewiele miała miejsca w mych myślach. Moim obowiązkiem było zadbanie o jej los, tak jak dbałem o ziemię i moich ludzi w Kersey, dzięki Lucy zaś ujrzałem, że nie mógłbym dobrze wypełniać mych obowiązków z oddalenia, tak jak nie mógłbym opuścić Kersey na zawsze. Potem przeczytałem słowa Cataliny, pełne żalu, zrodzone z miłości, i sam także odczułem nieco tego żalu i miłości. Idoia ożyła w moich myślach, tak jak niegdyś żyła w nich jedynie Catalina, gdy postanowiłem przybyć do Hiszpanii. Leżałem, czując na dłoni oddech Lucy, i nie mogłem dłużej zaprzeczać, że bałem się i liczyłem zarazem, że miłość do Cataliny oderwie mnie od srogich nocy mych powinności w Kersey i zatrzyma mnie w Hiszpanii. Być może to właśnie było prawdziwą przyczyną mego przyjazdu do San Sebastian i być może Lucy o tym wiedziała. A jednak pomimo całej miłości, jaką do mnie czuła, przybyła do Hiszpanii, by mi pomóc. Czy pragnęła jedynie altruistycznie pomagać memu szczęściu i szczęściu Idoii? Czy też może pojęła - czego ja nie rozumiałem - że jedynie wracając do Cataliny, mogę złożyć do snu mą dawną miłość, by na jej miejscu mogła rozkwitnąć nowa?

Nagła pewność, że tak właśnie się sprawy miały, ogarnęła mnie, jak słońce nagle ogarnia człowieka, który stanie w oknie. Wszystko wokół mnie i przede mną nagle zmieniło się w tym świetle, przyczyna tego zaś spała w mych ramionach.

Jakby moja myśl przeszła jej sen, Lucy poruszyła się, a ja przygarnąłem ją z dreszczem radości, że należy do mnie, i trwogi, bo tak wiele szczęścia miałem do stracenia. Chciałem pojechać z nią do Kersey bardziej, niż kiedykolwiek pragnąłem tam pojechać sam. Te potajemne dni w Hiszpanii były dla mych zmysłów niczym wino. Zapragnąłem zasiać w jej łonie owoc naszej miłości, wiedzieć, że w niej żyje, a jednocześnie nie mogłem zapomnieć, że gdzieś daleko żyje inne moje dziecko.

Minęło wiele godzin, nim zmorzył mnie sen. Lecz wówczas był niczym potężny talizman. Lucy leżała cicho w mych ramionach, a u jej boku znalazłem sen niemącony żadnymi marami.

Rankiem obudził mnie ten gwar, który odzywa się o świtaniu w miejskich gospodach: maselnice, mewy, sprzedawcy, turkot dostawczych wozów, końskie kopyta, okrzyki woźnicy dyliżansu, szczekanie psów, przypominające mi „L'Arc - en - ciel”. Na myśl o nim zdumiałem się, jak wielką zmianę w moim życiu - i życiu Lucy - uczyniło tych parę miesięcy.

Lucy miała zamknięte oczy, lecz poczułem, że jej ciało pod moimi dłońmi się budzi, a potem jej plecy wygięły się gibko niczym u kota, gdy odwróciła się do mnie. Pocałowałem ją w nos.

- Dzień dobry, ukochana.

Odpowiedziała pocałunkiem, a potem uniosła ręce nad głowę, by przeciągnąć się raz jeszcze. Odsunąłem się nieco od ciepła i gibkości jej ciała i leżłem na plecach, gdyż nie chciałem jej obligować do zauważenia mego pożądanego, jeśli tego sobie nie życzyła.

Jednak zauważyła je, przysunęła się do mnie, a potem zarzuciła na mnie swą długą nogę. Muśnięcie jedwabiu wewnętrznej strony jej uda było ponad moją wytrzymałość; zapewne zająłbym się jej pożądaniem, gdyby mnie nie zaskoczyła, kładąc się na mej piersi.

Zdumiałem się, gdyż aż do tej chwili jedynie przyjmowała moje awanse, nie inicjując ich z własnej woli. Przez chwilę leżeliśmy tak bez ruchu, lecz nacisk jej piersi i bioder, dotyk tych miękkich, ciepłych krągłości i zakątków, które teraz mogłem badać z większą łatwością, zalał mnie taką falą pożądanego, że odczuła je i roześmiała się.

Jej śmiech umilkł. Natychmiast powstrzymałem ręce, lecz była jedynie uważna, niemal skupiona. Potem poruszyła się gwałtownie, w trzepocie szczupłych kończyn, więc zanim zdołałem określić, co jest jej zamiarem, klęczała już nade mną. Zdała mi się nieco zaskoczona samą sobą, lecz powitała me ręce z radością i wkrótce narastające pożądanego zażądało od nas spełnienia. Łagodnie pokazałem jej, co jest możliwe. Łagodnie, badawczo, jak piękny kot spacerujący po otwartej furtce, posiadała mnie, jej ciało zaś tak szybko pojęło, co ma uczynić, że mogłem jedynie patrzeć i doznawać, jak spełnia własne i moje pragnienie, spoglądać na jej zarumienioną twarz i rozsypane włosy, na prężące się ciało, aż wyraziła swą rozkosz w tryumfalnym okrzyku.

Gdyśmy znowu się zbudzili, słońce stało już wysoko. Ucałowałem jej czoło i obie zaspane powieki, po czym usiadłem na

łóżku, przypinając drewnianą nogę i wkładając tyle jedynie sztuk odzieży, by móc wrócić do pokoju, a jej dać chwilę na osobności.

Przywykłem do kobiecych obyczajów, mieszkając z Mercedes i dziewczętami - gdyż wkrótce zaniechały ukrywania przede mną kobiecych spraw, przed którymi tak wielu mężczyzn się wzdraga - lecz Lucy nie miała nawet braci. To, co zaszło między nami, pomyślałem z palcami drżącymi na guzikach na wspomnienie jej twarzy i włosów w nieładzie, nie daje mi prawa, by przyczyniać się do jej zażenowania.

- Czy już czas jechać? - spytała, siadając. - Ubiorę się jak najszybciej.

- Chcę jedynie zamówić śniadanie, a tobie pozwolić zająć się toaletą - odrzekłem. - Ale nie ma potrzeby, żebyś się ubierała, jeśli nie chcesz.

Wstała.

- Nie życzysz sobie, żebym pojechała z tobą do sierocińca? Zatrzymałem się z ręką na klamce.

- Nie mógłbym cię o to prosić.

- Lecz gdybym powiedziała, że jestem chętna, że bardzo bym tego pragnęła?

- Będziemy mówić po hiszpańsku. Lękam się, że to cię znudzi.

- Nie mogę się nudzić, gdy sprawy dotyczą ciebie i Idonii. Jeśli moja obecność będzie ci niemiła, wyjdę i będę rysować. - Odrzuciła pościel, która nas okrywała, i boso skoczyła na podłogę. Gdy się wyprostowała, blask słoneczny padł na jej nieznającą wstydu nagość. Była cała z kości i mięśni, a ścięgna jej szyi napięły się jak sznury, gdy uchwyciła me spojrzenie.

- Co się stało?

- Wyznam, że ulice są tak gwarne, a towarzystwo tak mieszane... to jednak port i miasto z manufakturą - że dla bezpieczeństwa nie powinnaś wychodzić bez towarzystwa. Lękam się, że mogłabyś się znaleźć w trudnej sytuacji.

- Mówisz, że nie wolno mi wychodzić? Nie jesteśmy muzułmanami.

- W rzeczy samej - powiedziałem z uśmiechem, lecz się nim nie zrewanżowała.

- Więc weź mnie ze sobą.

Spojrzałem na nią, a jej zmrużone oczy przeszły mnie na wylot. Odwrócenie wzroku oznaczałoby kapitulację, a wówczas byłbym zgubiony, gdyż nie wolno mi było jej ze sobą zabrać, choć nie mogłem wyjaśnić mych pobudek.

- Stephen? Pokręciłem głową.

- Zatem wyjdę rysować - powtórzyła i wyminęła mnie w drodze do krzesła, na którym leżało jej odzienie.

Chciałem chwycić ją za ramiona, uprzytomnić jej, że nie mogłbym pozwolić, by świat wyrządził jej krzywdę. Chciałem wmusić rozsądek w jej ciało i umysł. Zrobiłem krok w jej stronę, a ona wzdrygnęła się i cofnęła, z jękiem uniosła ręce w obronnym geście.

Co chciałem uczynić? Co uczyniłem? Cofnąłem się gwałtownie, gdyż pojąłem, że nie wolno mi być w jej pobliżu ze strachu przed tym, co mogłbym zrobić.

Drżącymi rękami sięgnęła po koszulkę. Dopiero włożywszy ją, mogła znowu przemówić.

- Dlaczego nie chcesz mnie wziąć ze sobą? - Głos miała spokojny, jakby nie chciała przyznać, że skrzywdziłem ją myślą, choć nie uczynkiem.

- Jak powiedziałem, będziemy mówić po hiszpańsku - powtórzyłem, lecz nawet w mych uszach słowa te zabrzmiały fałszywie.

- Nie o to chodzi. To wymyśliłeś przed chwilą. Nie: rzecz w tym, że nie chcesz się zaprezentować zakonnicom - opiekunkom twego dziecka - w towarzystwie damy, którą mogłyby wziąć za twoją kochankę. Lękasz się, że nie uwierzą, iż jestem twoją siostrą.

Nie mogłem się z nią zgodzić, lecz nie mogłem też z całą uczciwością zaprzeczyć. Stałem, oniemiały, przy drzwiach.

- Wiedziałaś! - krzyknęła. - Nie potrafisz mnie po prostu kochać. Nie mogę być po prostu twoją miłością, tak jak ty jesteś moją. Musisz nadać mi imię zrozumiałe dla świata. Nie jestem żoną, więc muszę być kochanką, ukrywaną, hańbiącą, trzymaną w zamknięciu, by nie uraziła niczyich oczu. - Szarpnęła sznurówkę gorsetu i jęła ją zaciągać tak gwałtownie, jakby to ona obudziła jej gniew. - Trudna rada, mój drogi, nie chcę żyć w ukryciu, chociażby tylko do ślubu.

Starałem się opanować rozsądek.

- Ależ to wykluczone. Nic takiego nie przyszło mi na myśl - powiedziałem, zawracając. - Sądziłem jedynie, że indagacje o los Idoii będą wymagać pewnej delikatności, więc uznałem za roztropne, że zaprezentuję się w najprostszy z możliwych sposobów.

Włożyła halkę przez głowę, szarpiąc się ze wstążkami.

- Więc moja obecność wszystko komplikuje, czy tak? Świat może decydować, kim jestem? O, czy nie można po prostu patrzeć, nie osądzając? Choć o tym nie wspomnimy, choć nie jest to niczyja sprawa, nie unikniemy tych plugawych kalkulacji i zostanę potępiona - ja, nie ty - jako kobieta upadła, niegodna oddychać tym samym powietrzem, niegodna uwagi. A ty... ty na to pozwalasz! Grasz podług ich reguł. Ukryjesz mnie, mnie, której piersi całowałeś, w której ramionach krzyczałeś. Wstydzisz się naszej miłości. Pozwalasz im się zawstydzić!

Gniew, nad którym do tej pory niemal udawało mi się panować, nagle eksplodował, wyzwolony przez te słodkie wspomnienia, jakich nie wahała się wykorzystać. Moje ręce bolały, dłonie paliły, a z głębi wnętrza bluznął wielki gniew na jej kapryśność, na jej szczupłe kończyny, które nie są nietykalne, o czym musiała się dowiedzieć, na tę nieznaczną, łagodną wypukłość jej brzucha, którego nie mogła nazwać bujnym. Musiała się nauczyć własnej słabości. Chwyciłem ją za ramię i obróciłem ku sobie tak gwałtownie, że krzyknęła; drugą ręką chwyciłem ją z całej siły.

- I co mam zrobić? - Potrząsnąłem nią. - Nie mogę zmienić świata, choćbyś mnie bardzo prosiła. To niemożliwe. Kocham cię, spełniłbym wszystkie twoje pragnienia, lecz nie żyjemy na pustyni. Czy chcesz, żeby zakonnice mnie potępiły, uznały za niegodnego wieści o losie mojej córki? Chcesz się narazić na potępienie, na szyderstwo?

- Przynajmniej bylibyśmy uczciwi!

- Do czego dążysz?! - krzyknąłem. Moje palce miażdżyły jej ciało i kości i nie starałem się hamować, choć Lucy wrywała się z mego chwytu. - Bym przez uczciwość stracił Idoię? Bym przez uczciwość wystawił cię na pogardę całego świata? Bym spokojnie patrzył, jak inni mężczyźni sądzą, że mogą cię obrzucać spojrzeniami, podążać za tobą, dotykać cię? Tego nie możesz ode mnie wymagać! Nie może to być, że przybyłaś ze mną do Hiszpanii, podróżujesz w moim towarzystwie, dzielisz ze mną łóżę, dajesz mi nieopisaną radość... a

potem zdradzasz cel naszej podróży i odtrącasz moją miłość i troskę o ciebie. Tego nie mogę zrobić, powtarzam! Nie jestem takim człowiekiem. Jeśli chcesz mojej miłości, jeśli chcesz, bym pomógł Idoii, nie możesz odtrącać mej troski o was obie.

- Skoro twoja troska oznacza, że mam się ukrywać, to nie chcę twojej miłości - rzuciła i wyszarpnęła się z mych nagle osłabłych rąk. Jęła rozcierać ramiona, a we mnie wezbrał wielki lęk. Widziałem czerwone ślady po moich palcach. Wkrótce zmienią się w siniaki, i mnie je zawdzięczała.

W końcu odezwałem się:

- Czego chcesz? Co mam zrobić? - Podniosła głowę z poważną miną. - Nie mogę przestać cię kochać ani dbać o ciebie, lecz poza tym możesz żądać ode mnie wszystkiego... bym odszedł lub został.

Zrobiła krok w moją stronę, wciąż obejmując ramiona, tak że jej palce wydawały się szare na tle ciemnych sińców, które gniew mój odcisnął na jej skórze. Przypomniałem sobie krew na boku Nell i zrozumiałem, że mój gniew - moje okrucieństwo, muszę to tak nazwać - rodzi się częściowo ze strachu. A z tym wspomnieniem nadeszła skrucha. Sprawilem mojej ukochanej ból, bo nie chciała przyjąć mej ochrony przed okrucieństwem innych.

Na tę myśl ostatnie drgnienia wściekłości wyparowały ze mnie, zostawiwszy po sobie jedynie mdlącą i gorzką wesołość. Ująłem jej dłoń; nie broniła mi jej.

Widać wyczuła me rozbawienie, choć go nie wyjaśniłem, i spojrzała na mnie niepewnie. W jej spojrzeniu ujrzałem to, czego dotąd mój gniew i niezrozumienie nie pozwoliły mi pojąć: że ona także się boi. W końcu powiedziała powoli:

- Idź do Idoii. Weź mój rysunek. Będę tu, gdy wrócisz. Przez chwilę patrzyłem jej w oczy.

- Zostaniesz? Do mego powrotu?

- Tak. Masz moje słowo.

Skłoniłem się, ucałowałem jej dłoń, wziąłem rysunek w obłócce i wyszedłem.

Nie śniadałem, lecz odziałem się, wzburzyłem posłanie, jakbym spędził w nim noc, i natychmiast wyruszyłem, kuśtykając zatłoczonymi ulicami. Miałem do pokonania sporą odległość, przez most na stare miasto, a obawa, że utraciłem Lucy na zawsze,

obezwładniała mnie i mgliła wzrok. Przez jakiś czas tłum zdawał mi się jedynie przeszkodą, lecz gdy ruch ciała ukoił zamęt w mej duszy, mimo woli jałem znowu dostrzegać szkarłat, purpurę i żółcienie warzyw, ułożonych w stertach na wózkach, czarne, podobne rogom kapelusze dwóch księży, którzy przystanęli i gwarzyli na tle jasnożłotej ściany katedry, trzepot gołębi na porannym niebie wokół dzwonnicy. Nauczyłem się patrzeć na to oczami Lucy, co uświadomiłem sobie z bólem, przeszywającym zmacone myśli, tak jak nauczyłem się obserwować fałdy jaskrawej wstążki na spódnicy Cyganki, czerwień i brąz domów z cegły i belek, z drewnianymi arkadami, muły o pochylonych łbach, cienie w zapadniętych policzkach żebraka. To Lucy nauczyła mnie to widzieć i jeśli dziś po raz ostatni ją widziałem, zmiana ta miała zostać we mnie na zawsze.

Sierociniec Sant' Agueda mieścił się w wielkim, starym budynku z szarego kamienia, o grubych ścianach, przez które nie przedzierały się nawet najcichsze głosy dzieci. Przekazałem wizytówkę i poprosiłem o spotkanie z matką Agustin, do której Catalina zaadresowała list. Bezzwłocznie zaprowadzono mnie korytarzem wyłożonym czerwonymi płytkami do małego gabinetu, gdzie przy wielkim biurku siedziała wysoka, odziana w czerń zakonnica, mająca przed sobą księgę niemal równie wielką jak blat. Na ścianie za jej plecami wisiał krzyż średniej wielkości, w kącie zaś stał mały klęcznik.

Skłoniłem się, wymieniłem me nazwisko i przekazałem list od Cataliny. Dzięki praktyce ostatnich dni moja hiszpańszczyzna nabrała potoczystości i dość płynnie opisałem, w jaki sposób niepokoje wojenne i moje obowiązki w brytyjskiej armii rozdzieliły mnie z córką, zanim dowiedziałem się o jej istnieniu. Czulem się zobligowany do zapewnienia jej dobrego losu, aczkolwiek - tu znowu się skłoniłem - będąc tu, poczułem się o to spokojny. Chciałbym także oczywiście poruszyć kwestię zapewnieniu sierocińcowi środków na dalszą działalność.

- Rozmowa o tej kwestii będzie dla mnie przyjemnością. I oczywiście liczymy, że uzna pan, iż córka jest otoczona satysfakcjonującą opieką - powiedziała. - Jeśli wyrazi pan takie pragnienie, każę ją przyprowadzić, a wówczas przekona się pan o tym osobiście.

Nie sądziłem, że rzecz tak prosta do tego stopnia wytrąci mnie z równowagi.

- Tak. To jest chętnie się z nią spotkam, jeśli to możliwe.

- Z pewnością - oznajmiła matka Agustin i sięgnęła po mały dzwonek na biurku. Czekając na przybycie siostry, tylko część uwagi poświęcałem słowom matki przełożonej, wyjaśniającej mi system zapewniania posagu i opieki, lecz nie mogłem umknąć przed świadomością, że za chwilę na mą prośbę próg ten przestąpi córka Cataliny - moja córka, moje dziecko. Inna zaś część mego umysłu i serca mimo woli krążyła wokół pustki, która mi zostanie, jeśli utracę Lucy.

Matka Agustin opisywała kryteria przyjęcia i wykształcenia dziewcząt w wierze chrześcijańskiej - przez co miała na myśli, rzecz jasna, katolicyzm - oraz przysposobienia ich do prac domowych.

- Mamy tu sto dziewcząt, lecz z łatwością mogłybyśmy przyjąć drugie tyle, gdyby to było możliwe - powiedziała, spoglądając w rozłożoną księgę. - Niech sprawdzę... Idoia Maura urodziła się dwudziestego trzeciego czerwca.

Ku swemu zdumieniu rzekłem śmiało:

- Zrozumiałem, że na świat przyszła szesnastego.

- To data jej urodzenia, rzeczywiście. Zapisujemy ją, jeśli ją znamy. Lecz w Sant' Aguedzie za datę ich przyjścia na świat uznajemy dzień ich przybycia do nas. Wiele dziewcząt to znajdy, a reszta... no cóż, każde dziecko to dla nas tabula rasa, na której - jak ufamy - Bóg wypisze wiarę i posłuszeństwo. Opuszczają nas w wieku lat dwunastu i może być pan pewien, że zostaną skierowane do pracy w dobrych, szacownych domostwach bądź jako świeckie siostry trafią do innych klasztorów naszego zakonu. Pańska córka otrzyma wykształcenie stosowne do czekającego ją życia. Niektóre mają oczywiście posagi i zostają tutaj, dopóki nie zawrą związku małżeńskiego lub nie złożą zakonnych ślubów.

Równie dobrze mogłaby opowiadać o sprzedaży trzody w wielkim i dobrze zarządzanym gospodarstwie, lecz przecież rzecz dotyczyła losu mej córki. W mych myślach rozbrzmiał głos pani Barraclough, tak podobny do głosu Lucy, a jednak od niego odmienny. Jego bezpieczeństwo, a jednocześnie swoboda w poznawaniu natury świata jest tym, co liczy się dla mnie ponad wszystko.

Przez chwilę nie mogłem dobyć głosu, tak zdruzgotała mnie świadomość, że być może odebrałem sobie prawo do nazywania Lucy swoją. Jednak konieczność dostosowania się do oficjalnego tonu matki Agustin przywróciła mi przytomność.

- Chciałbym przedyskutować możliwość udzielenia jej takiego wsparcia. Posag, naturalnie, a tymczasem...

Wstała.

- Może zechce pan obejrzeć sierociniec? Wówczas lepiej zrozumie pan naturę naszej pracy. - Młoda świecka siostra otworzyła drzwi. - Nie, siostro, jednak cię nie potrzebujemy - rzuciła matka Agustin. - Dziękuję. - Obejrzała się na mnie. - Nie zatrzymam pana długo; z pewnością ma pan inne zajęcia.

Byłem świadom tej małej ulgi, że Idoia nie wejdzie do gabinetu. Lecz pojąłem także, że matka Agustin niesłusznie nie stara się mnie odwieść od odejścia bez spotkania z córką. Jeśli ona, która zastępowała mej córce rodziców, nie pojmowała, jak konieczne jest, by Idoia poznała ojca i matkę i zrozumiała, że nie jest im obojętna, to ja musiałem wziąć ten obowiązek na swe barki.

- Jednak chciałbym zobaczyć mą córkę.

- Oczywiście. - Zerknęła na wielki zegar, wiszący naprzeciwko biurka. - Będą przy obiedzie. Proszę za mną, majorze.

Nie ciekawiły mnie inne mieszkanki sierocińca prócz samej Idoii i ta część mego umysłu, która nie była zajęta myślami o niej, wracała trwożnie i nieodmiennie ku Lucy. Jednak nie pragnąłem także wydać się nieuprzejmym, gdyśmy zaś dotarli do masywnych drzwi na końcu długiego korytarza, naszła mnie myśl, że nawet jeśli taki obchód drażni me uczucia z powodu odwlekania tego, czego pragnę, mogłem przynajmniej wykorzystać tę sposobność, by lepiej poznać okoliczności, w jakich żyje moja córka. Ochronki, dormitoria, sale szkolne i szwalnie były dobrze zarządzane. Każde pomieszczenie lśniło nawoskowaną podłogą, a rzędy łóżek, stołów, biur i krzeseł były proste niczym na musztrze. Nawet kwiaty i świece przed niezliczonymi świętymi obrazami zdały się przeżyć po wojskowemu, gotowe do inspekcji. Na kartach przypiętych do ścian ujrzałem, że każda minuta dnia jest zagospodarowana. Ta część kaplicy, którą mogłem dojrzeć, była skąpo urządzona, choć zza szyby lśniło złoto i płomyki świec.

- Córkę pańską wychowywałyśmy, rzecz jasna, na dobrą córkę Kościoła. W przyszłym roku przystąpi do Pierwszej Komunii. Pan, jak sądzę, nie jest katolikiem - odezwała się matka Agustin, przyklękawszy przed niewidzialnym ołtarzem i nakreśliwszy na piersi znak krzyża.

- Nie.

- Cóż. Jednak Bóg może okazać łaskę.

Od gorącej woni wosku i kadzidła ogarnęły mnie zawroty głowy, lecz nie sądziłem, żeby za łaskę katolickiego Boga należało być wdzięcznym, przynajmniej na ile znałem ją z opowiadań Cataliny. Jednak muszę być wdzięczny przez wzgląd na nią, pomyślałem; wdzięczny za wszystko, co łagodzi jej smutek, jakiego nie potrafię sobie imaginować.

Z tą bolesną myślą poszedłem za matką Agustin do refektarza. Przy kolejnych rzędach stołów i ławek sto odzianych w szarość dziewczynek jadło w milczeniu, a zakonnica przy pulpicie czytała ze starej książeczki. Przed każdym dzieckiem stała miska gulaszu, kubek mocno rozrzedzonego wodą wina i łyżka. Koło lewej ręki spoczywał kawałek czarnego chleba. Każde dziecko, które skończyło jeść, odkładało łyżkę do pustej miski i splatało ręce na kolanach osłoniętych fartuszkami, sztywno niczym żołnierz w pozycji spoczynku. Która z nich, pomyślałem, wodząc spojrzeniem po rzędach ciemnowłosych, osłoniętych białymi czepeczkami głów, jest dzieckiem Cataliny?

Czytająca zakonnica zamknęła książkę, przeżegnała się i wszystkie dziewczynki wstały, czy skończyły posiłek, czy nie. Odmówiono błogosławieństwo i, wciąż w milczeniu, rzędy dzieci wymaszerowały z refektarza na podwórkę.

- Mają pół godziny zabawy przed popołudniowymi obowiązkami - odezwała się matka Agustin. - Poproszę, by przyprawiono pańską córkę.

- Może moglibyśmy odnaleźć ją na podwórku? - spytałem.

- Oczywiście, jeśli pan sobie tego życzy. Przekona się pan, że nie pochwalamy nieokiełznania lub pewnych przyjaźni, lecz odrobina ćwiczeń i świeżego powietrza wychodzi na dobre wszystkim stworzeniom bożym.

Znaleźliśmy się na dziedzińcu. Stworzenia boże na placu zamkniętym wysokimi szarymi murami skakały, szczebiotały, biegały

i szeptały. Były pełne życia i dość zdrowe, a parę stanęło i przyjrzało się nam wielkimi oczami. Matka Agustin skinęła na zakonnicę, która stała z rękami ukrytymi w rękawach, czuwając nad dziećmi.

- Matko, zechcesz nam pokazać, która z nich to Idoia Maura? Chciałabym z nią porozmawiać.

Zakonnica odnalazła w tłumie jedną szarą postać stojącą w kącie i przyglądającą się swym towarzyszkom. Gdy się zbliżyła, dziecko schowało coś w kieszeń fartuszka i stanęło jakby na baczność. Potem, gdy zakonnica się odwróciła, podążyło za nią.

W moim sercu odcisnęło się, że dziecko Cataliny ma sześć lat, lecz aż do tej chwili nie miałem w głowie żadnego jej obrazu. Miała czarne oczy swej matki i faliste czarne włosy, kryjące się pod schludnym czepeczkiem, lecz cienkie, proste brwi, zagięte na końcach, znałem - com uświadomił sobie ze wstrząsem - z własnego zwierciadła. Była także moją córką. Jej delikatne, ciemnoczerwone usta były zaciśnięte, jakby nie miawały powodu, by się rozchyłać lub uśmiechać, ręce zaś splotły się mocno na szorstkim płótnie fartuszka. Moja dłoń sama się ku niej wyciągnęła, lecz ona tylko mocniej zaplotła palce.

- Dygnij przed gościem - rozkazała matka Agustin - a potem przede mną.

I z pewnym oporem, Idoia uczyniła, co jej kazano.

- A teraz możesz z nami pójść, gdyż twój gość pragnie z tobą porozmawiać.

Ruszyliśmy w niemal zupełnym milczeniu przez refektarz, po schodach i korytarzach do gabinetu matki Agustin. Przełożona dała mi znak, bym usiadł, podobnie uczyniła sama, a Idoia stanęła między nami, z zaplecionymi dłońmi.

- Teraz muszę ci powiedzieć, że jest to twój ojciec, który przybył aż z Anglii, by się z tobą spotkać i upewnić się, że wyrastasz na grzeczną panienkę.

- Z... Anglii? - spytała Idoia. Jej hiszpańszczyzna pobrzmiwała baskijskim akcentem, lecz brzmiała wystarczająco wyraźnie.

- Tak, z Anglii - rzekłem. - Nazywam się Stephen Fairhurst i jestem Anglikiem. - Wyciągnąłem rękę. - Encantado de conocerle.

Idoia zerknęła na matkę Agustin, która skinęła głową. Wówczas moja córka z pewnym oporem ujęła mą dłoń.

- Encantada, señor.

- Cóż - powiedziała matka Agustin. - Czy pragnie się pan dowiedzieć czegoś więcej? Jeśli nie, córka pańska powinna powrócić do swych obowiązków. W sierocińcu zawsze potrzeba pomocy przy bożym dziele, zwłaszcza wobec naszych obecnych potrzeb.

W kwestii zabezpieczenia panience przyszłości mogę panu zarekomendować notariusza doświadczonego w takich sprawach.

Znowu wstała. Na tle jej czarnego habitu Idoia wydała się jeszcze drobniejsza.

Zebrałem się w sobie.

- Czy mógłbym porozmawiać z Idoią na osobności? Chciałbym ją poznać, a lękam się przeszkadzać. Z pewnością matka przełożona jest zajęta.

- Sprawy takich instytucji z pewnością zabierają wiele czasu - powiedziała. - Jeśli chciałby pan spędzić z nią więcej czasu, zdaje się, że w tej chwili święta Katarzyna ze Sieny jest wolna.

W ten oto sposób córka Cataliny - moja córka - i ja usiedliśmy przy małym stole w pustym pokoju, przy oknie zbyt wysoko umieszczonym, by przez nie wyglądać, pod okiem ukrzyżowanego Chrystusa. W kącie święta Katarzyna, jak objaśniła mnie Idoia, pokazywała swe stygmaty.

Spytałem ją o posąg, ponieważ nie znajdowałem żadnego innego sposobu rozpoczęcia rozmowy.

- Czy jesteś szczęśliwa? - dodałem. - Czy zakonnice są dla ciebie dobre? - Skinęła głową, nadal nie rozplatając dłoni. - Obawiam się, że takie spotkanie z ojcem musiało tobą wstrząsnąć.

Zachichotała cicho, chyba z zawstydzenia, i zasłoniła usta rękami, jakby nie wiedziała, jak na to odpowiedzieć. Spróbowałem raz jeszcze:

- Wiesz... czy siostry powiedziały ci o matce?

- Tylko tyle, że sama jest obecnie w klasztorze, senor.

Z kieszeni surduta wyjąłem szkic Cataliny i rozchyliłem okładki, które go chroniły.

- To twoja matka. Szkic powstał wczoraj. Nazywa się Catalina Maura, lecz w klasztorze przybrała imię siostry Andoni.

- Modłę się do świętego Antoniego, kiedy zgubię rysik. - Wzięła kartkę i przyjrzała się jej, siedząc w zupełnym bezruchu. Ujrzałem teraz, że jej krótki, mocny nos, wysokie kości policzkowe, krągłe

policzki były echem rysów jej matki; te same kształty spozierały na siebie, młode i starsze, jakby rysunek był lustrem między nimi, jakby przeszłość nakładała się na przyszłość, a przyszłość na przeszłość, aż nie sposób było rozróżnić, co jest czym. Po długiej chwili podniosła głowę i oddała mi kartkę.

- Możesz to zatrzymać, jeśli chcesz - powiedziałem. - Rysunek ten powstał dla ciebie.

- Proszę to zabrać - szepnęła. Głos miała głęboki, starszy, niż być powinien. - Nie pozwolą mi tego zatrzymać, bo moja matka była ladacznicą, a ja jestem bękartem.

Ta ohydna zniewaga Cataliny obudziła mój gniew. Jej dziecko nie zasługiwało, by żyć z tak mrocznym piętnem. Czy nazywały ją tak inne dziewczynki, powodowane dziecięcym okrucieństwem, czy też te, których obowiązkiem było otoczenie jej miłością i opieką? Czy to dlatego Idoia zaciskała usta i splatała palce? Moja wściekłość zawrzała, lecz dziecko to wydało mi się tak nieruchome i ciche w sali, przeznaczonej dla rozmów dorosłych, że za nic w świecie nie zdradziłbym się ze swymi uczuciami.

- Co masz w kieszeni? - spytałem, gdy odzyskałem panowanie nad sobą.

Spojrzała na mnie jak Titus, kiedy się boi, że odbiorę mu ulubiony patyczek.

- Nikomu nie powiem - dodałem.

Powoli, nie odwracając ode mnie spojrzenia, wsunęła dłoń do kieszeni i wyjęła małą lalkę z gałganków, z czarną wełną na głowie i nieco rozmazaną twarzą, narysowaną atramentem.

- Ma imię? - spytałem.

- Nazwałam ją Estefania.

Umilkłem. Potem, gdyż zaczęła spoglądać na mnie ze strachem, zdołałem znaleźć słowa:

- Lecz wolno ci ją zatrzymać?

- Dopóki nie skończę siedmiu lat. Wtedy będę zbyt duża.

- A kiedy to się stanie? - spytałem, choć wiedziałem, jaką datę mi poda.

- W wigilię świętego Jana - powiedziała. - Na moje urodziny są fajerwerki.

- To bardzo fortunnie. Ale co wtedy będzie z Estefanią?

- Zostanie oddana biednym dzieciom. Im jest potrzebna bardziej niż mnie. - Umilkła i raptem rzuciła: - Chcę ją zatrzymać! Będzie samiuteńka w koszu dla biednych dzieci. Zgubi się!

- Nie chcesz, żeby się zgubiła?

Pokręciła głową, jakby kwestia ta nie dawała się ująć w słowa. Wydało mi się, że po raz pierwszy spojrzała na mnie jakby z cieniem nadziei na pomoc, a oczy miała tak bardzo podobne do oczu Cataliny, że zdjęła mnie chęć, by porwać ją w ramiona. Lecz jednak byliśmy sobie wciąż obcy, więc powiedziałem:

- Ale ty się nie zgubiłaś. Mieszkałaś tutaj przez całe życie.

- Tak. Lecz kiedy odejdę, dokąd pójdę? Na to nie mogłem odpowiedzieć.

- Z pewnością matka Agustin znajdzie ci dobre miejsce.

- Tak - odpowiedziała jedynie.

- Teraz muszę już iść - powiedziałem, podnosząc się chwiejnie. - Poczynię przygotowania, by zabezpieczyć ci przyszłość. Będziesz miała zabezpieczenie. Czy mogę cię odwiedzić jeszcze raz, zanim wrócę do Anglii?

Skinęła głową i schowała lalkę.

- Dlaczego jedziesz do Anglii?

- Bo tam jest mój dom. Mam dom i ziemię i muszę o nie zadbać.

Znowu skinęła głową.

- Do widzenia, senor.

- Będę tu jutro rano lub następnego dnia. Nie później. - Patrzyła na mnie nieruchomo. - Daję ci słowo. Teraz musimy wrócić do matki Agustin. - Wyciągnąłem dłoń, którą ujęła. Rączkę miała ciepłą i kanciastą, o palcach nieco stwardniałych od pracy, lecz młodą i miękką. Nagle wróciło do mnie wspomnienie rąk Cataliny, większych, lecz nie innych.

Otworzyłem drzwi. Na korytarzu czekała młoda zakonnica. Idoia wysunęła rękę z mego uścisku.

- Nie będę deranżować matki Agustiny - powiedziałem. - Z pewnością jest zajęta. Czy siostra zechce ją powiadomić, że odwiedzę moją córkę jutro lub następnego dnia? - Skoro wiedziony kaprysem - okrucieństwem - straciłem ukochaną, to tylko mogłem rzec z pewnością.

- Oczywiście, senor - odrzekła zakonnica. - Pójdź, Idoio.

Nagle ogarnięty znużeniem niemal powalającym z nóg, patrzyłem za Idoią, odchodzącą korytarzem przed swą strażniczką, z każdym małym krokiem coraz dalszą, dopóki nie zamknęły się za nią podwójne drzwi.

* * *

Nic z tego nie będzie. Wiedziałam to, odkąd zobaczyłam przez okno Evę i Theo. Na nic nie liczyłam, żyłam, kochając go. A teraz nie mogłam już tu żyć.

Penny zaproponowała, że wróci ze mną po moje rzeczy.

- Musisz mieć jakąś walizkę czy coś w tym rodzaju. Weźmiemy samochód. A ja muszę pozabierać rzeczy Cecila. Z tego, co mówisz, nie ma tego wiele, ale pewnie chciałby mieć przy sobie coś znajomego, biedne jagniątko. - Wsiadłam i pomyślałam, że jednak obecność jakiejś życzliwej duszy troszeczki pomaga.

Penny zatrzymała samochód przed tylnym wejściem Kersey Hall.

- Czy Ray ma coś przeciwko, że go zabierzemy? - spytałam i dopiero do mnie dotarło, że odkąd się obudziłam, nie myślałam o Rayu. Mój mózg nie funkcjonował jak trzeba, był pełen Theo.

- Nie. Wie... wie, że tak będzie najlepiej. W tej chwili nie może zająć się chłopcem. Albo... no, zobaczmy. A twoja matka wkrótce tu przyjedzie.

- Myślisz, że Cecil będzie za nim tęsknić? Za tym domem?

- Pewnie tak. - Wysiadła. - Dzieci tęsknią za tym, co znają. Tyłne drzwi nie były zamknięte na klucz.

- Rozmawiałam z Rayem, kiedy spałaś - powiedziała Penny. - Nadal jest wstrząśnięty i trochę rozkojarzony. Chyba miała atak serca. Pewnie źle się poczuła i schodziła po schodach, żeby znaleźć pomoc. Albo coś ją wystraszyło, przy tym braku prądu... jakiś cień... W każdym razie spadła.

Cienie ciemne i złote, stojące i poruszające się po holu, po schodach. Coś się stało, powiedział Cecil.

- Nie chcę... nie mogę... to jest na piętrze... - Nie wiem, czego się tak bałam.

Ale Penny tylko powiedziała całkiem spokojnym tonem:

- Nie, oczywiście. Pójdę z tobą.

Przypomniałam sobie, że jest z sądu rodzinnego. Nic dziwnego, że policjanci się jej słuchali bardziej, niż słuchaliby mamy czy Theo.

Trochę to śmieszne, bo wydawała się taka zwyczajna i miła. Śmieszne pomyśleć, że ktoś, kto jest prawie sędzią, stoi po mojej stronie.

- Niestety, nie miałam pojęcia, że... że może dojść do czegoś takiego - ciągnęła. - Ray zachowywał się przyzwoicie wobec Susan, a szkoła była całkiem dobrze prowadzona. I choć nigdy nie zwracał wielkiej uwagi na Cecila, chyba nie był dla niego niemiły. Na pewno nie było tu nic, co musiałabym zgłosić.

Przez chwilę widziałam czerwoną, wykrzywioną twarz Belle. I Raya za oknem.

- Nie chcę się widzieć z Rayem. Może powinnam. Ale nie chcę. Bo... nie umiem tego wyjaśnić.

- Nie martw się. Będę przy tobie.

Otworzyłam drzwi korytarza i nagle do mnie dotarło, że Belle nie żyje. Moja babka nie żyje. Matka mojej matki. Jakby coś tapnęło w moim żołądku. Wczoraj żyła. Potem przestraszyła się czegoś w cieniach i roztrzaskała się na czarno - białych kwadratach. Nadal to widziałam, odbitka po wewnętrznej stronie powiek. Roztrzaskany człowiek i wszystko inne.

W pokoju Cecila okazało się, że Ray trochę posprzątał.

Penny szybko rzuciła okiem na malowidła na ścianie, otworzyła szufladę i zaczęła wrzucać ubrania Cecila do reklamówki. Z łóżka znikła pościel, ale Ray nie oblókł nowej. Pewnie chciał.

- Nie miałam pojęcia, że tak to wygląda - odezwała się Penny. - Zawsze było dość cienko, ale kiedy szkoła działała kiedy Susan tu była - było przynajmniej czysto i porządnie. Ray zawsze opowiadał, że przebuduje zaplecze, więc nie warto odnawiać. A teraz to.

Pokiwałam głową, a malowidła Cecila porażały mnie ze ścian: martwy koń, śnieg zbryzgany krwią, spalone ciała. Pamiętałam, że śniła mu się wieża, i ta czerwień, która płonęła w moim śnie. Stephen opisał pannie Durward oblężenie. Zapamiętałam lód i śnieg. Czy Stephenowi śniło się to, co namalował Cecil? Jego sny - koszmary - sny tego żołnierza... Czy tak gęsto zasnuły powietrze, tak przesyciły drewno i kamień?

Przez chwilę miałam wrażenie, że pełzają po mnie gorące i zimne dreszcze, że coś chwyta mnie za gardło.

Potem Penny głośno zatrzasnęła ostatnią szufladę i rozsunała kotary tak szeroko, że do pokoju wpadło światło. Zawahała się z ręką

na zasuwce okna, jakby wołała otworzyć je i wpuścić powietrze. Ale przecież odjeżdżałyśmy.

- Pomóc ci pozbierać twoje rzeczy?

Gdyby nie trzeba było wejść na górę i gdyby był tu Ray, podziękowałabym, bo nie potrzebowałam pomocy przy pakowaniu, ale potem pomyślałam, jak to będzie, kiedy się wędruje przez korytarz, i powiedziałam: tak. Więc wyszłyśmy z pokoju Cecila, Penny wystawiła torby z jego rzeczami koło drzwi, przeszłyśmy przez kuchnię i ruszyłyśmy w głąb domu.

Wahadłowe drzwi stawiały opór, jakbym napierała nimi na wszystko, co się kiedykolwiek wydarzyło w tym domu. Ale kiedy się już przez nie przeszło, nie było tak źle.

W korytarzu było pusto i czysto, czerń i biel ciągnąca się daleko przede mną.

- Posprzątał - powiedziałam i poczułam głupi gruzel płaczu, rosnący w gardle.

- Tak - powiedziała Penny. Objęła mnie i uścisnęła. - Biedusia. Ale już jutro będzie tu twoja mama.

- Pewnie tak - powiedziałam, bo nie miałam pojęcia, dlaczego od tego ma mi się zrobić lepiej.

A potem pomyślałam, że była w moim wieku, kiedy odeszła.

Nie z Kersey Hall, wtedy tu nie mieszkali, ale jakoś zobaczyłam ją tutaj. Moja matka, ciągnąca za sobą walizę przez podjazd, tak samo jak ja za chwilę, odchodzi sama, z dzieckiem głęboko w brzuchu. A teraz wróci po mnie.

Nagle przypomniałam sobie, jak się zgubiłam w dzieciństwie, to, o czym opowiedziałam Theo. W końcu mama zaczęła mnie szukać. Znalazła mnie w kałuży mleka i szklanych odłamków, płaczącą, i trochę się wściekła, bo mleko było drogie, ale zaniósła mnie na górę, choć nie byłam dużo mniejsza od niej, obmyła mi kolana i ręce i zrobiła nam obu kakao bez mleka, ale z masą cukru.

Marmur pod moimi stopami był twardy, zimny i solidny. Te kwadraty, na których do tego doszło, były takie same jak inne. W domu było mnóstwo takich rzeczy, rzeczy, które się przydarzyły Stephenowi i innym, które wisiały w powietrzu lub osiadały na człowieku jak pyłki kurzu w słońcu. Wczoraj w nocy to był tylko obraz, pomyślałam. Zobaczyłam go oczami wyobraźni, ale znajdował się poza moją głową.

Na moim łóżku koce nadal były odsunięte tak, jak tego pięknego ranka, kiedy wstałam tak wcześnie i zabrałam ze sobą list Stephena o Catalinie, i przeczytałam go w strumieniach światła, które lały się spomiędzy drzew, a potem zobaczyłam Theo, siedzącego w słońcu na tle ceglanej stajni i palącego papierosa.

- Mogę jakoś pomóc? - spytała Penny od drzwi. Nadal gapiłam się na łóżko i wspominałam. - Jak się czujesz?

Ciekawe, czy wie o mnie i Theo. Ale nic nie powiedziała, a ja nie potrafiłam jej o to spytać, żeby się nie zdradzić i nie popłakać, a gdybym już zaczęła płakać, nie potrafiłabym przestać.

- W porządku.

Przyglądała mi się jeszcze chwilę, skinęła głową i odeszła. Usłyszałam jej kroki; szła na górę, szybko tupiąc. Pewnie chciała zajrzeć do Raya.

Z łazienki zabrałam szampon i inne rzeczy, a potem wyjęłam spod komody moje walizki i wtłoczyłam do nich brudne ubrania.

Czystych już nie miałam. Znalazłam kartki od Holly i Tanyi. Nie odpisałam. Co miałam napisać? Nie potrafiłabym wyjaśnić, co tu się naprawdę wydarzyło, co tu zaszło. Były zbyt daleko, jakby w innym czasie. Od mamy nie miałam żadnej kartki, cóż dopiero myśleć o liście. Ona też była zbyt daleko. Jeśli przyjdzie od niej list, to mnie już tu nie będzie. Mama dotrze tu przed nim. Ciekawe, czy to się kiedyś przydarzyło Stephenowi i Lucy.

Zdjęłam pościel z łóżka i złożyłam. Potem odkleiłam od ścian plakaty: Paula Newmana, misia polarnego i Johna Curry'ego. Otworzyłam szufladę i znalazłam listy Stephena. Na górze leżał ten ostatni.

Początkowo litery były niezgrabne, jakby ręka stawiała mu opór, jakby pisał, jednocześnie się zastanawiając:

Nie potrafię wyjaśnić, co zaszło... podejmując opowieść w miejscu, gdzie ją przerwałem... dom był pusty.

...Odwróciłem się więc i odszedłem. Znalazła azyl, znalazła swe miejsce w świecie, świata się wyrzekłszy, i choć pragnąłem znów ujrzeć jej twarz i usłyszeć głos, bądź gdyby mi ich odmówiła, wiedzieć jedynie, że w rzeczy samej żyje i oddycha za tymi wysokimi kamiennymi murami, okrucieństwem i samolubstwem byłoby dążyć do zaspokojenia własnych potrzeb kosztem jej.

Miała na imię Idoia...

...wsiadając na pokład statku w San Sebastian, nie spodziewałem się tam powrócić, chyba że we snach.

Tu widniał kleks, mała plamka tam, gdzie rozpędzone pióro Stephena być może zawahało się na jedno uderzenie serca - na sekundę - ale ta sekunda upadła na kartkę i naznaczyła ją na zawsze. Załamanie, w które upadła, także pociemniało, jakby ktoś często składał i rozkładał ten list, czytał go raz za razem, może Stephen, może Lucy, i wszystkie te razy widać było nawet na ksero.

Lucy pewnie trzymała wszystkie listy w jednym miejscu, żeby były razem.

A może odesłała mu je, bo przestali do siebie pisywać, tak jak to się już prawie zdarzyło? Może to Stephen je przechował, bo tylko one mu zostały. Nagle rozpaczliwie zapragnęłam, żeby ten list powiedział mi - pokazał - że wszystko skończyło się szczęśliwie.

W końcu mogłem już wstąpić na pokład statku pocztowego do Bury St Edmunds, gdzie oczekiwał mnie woźnica mego kuzyna.

Wiem, że nie wolno mi się narzucać Catalinie... Nie mam wątpliwości, że mogę wyśmienicie zadbać o dobro mej córki, nie będąc...

I tu słowa się urywały, w połowie strony, niedokończone zdanie, ostatnie słowo nieco zatarte, jakby Stephen z jakiegoś powodu przestał pisać, wstał i zostawił pusty, niezapisany ziarnisty papier, jak przyszłość. Czy Lucy czytała ten list? Nie miał adresu, na ile się mogłam zorientować, nawet cienia, który można by odczytać w lusterku. Jak ten list do niej dotarł? I co sobie pomyślała, czytając o jego miłości do Cataliny? Może go kochała i miała nadzieję... Czy sądziła, że przyszłość może się zmienić? Przyszłość jej i Stephena, będąca przeszłością Kersey Hall?

Wczorajsza noc też już była przeszłością Kersey i moją, na wieki zatopioną w kamieniu. Tak jakby otworzyła się migawka i ta chwila - ten chaos światła i ciemności - padła na szkło obiektywu, na srebro, na zawsze odcisnęła piętno na kliszy. Czy mój cień też tam będzie, tak jak niemal czułam obecność cienia Stephena? Gdzieś w mroku, w tych złotych cieniach, w świetle, w jasnej, czystej nicości między klatkami.

Penny znalazła mnie siedzącą na pustym łóżku.

- Załatwione. Gotowa? Rozmawiałam z Rayem, więc możemy jechać.

Złożyłam listy Stephena i wsunęłam je do torby.

- Chyba tak.

Ale Ray stał na podeście. Twarz miał szarą, ciemną od zarostu i cuchnął.

- Anno...

Nie mogłam się nie zatrzymać. Za sobą czułam ciepło Penny.

- Przepraszam. Wiedziałem, jaka jest, ale myślałem, że zdołam się nim zaopiekować... A potem ona... i ja... ale nie chciałem...

- W porządku - powiedziałam.

- Nancy ci to wyjaśni. Oby. Prosiłem ją, żeby zaopiekowała się Cecilem.

Rozum mi zgłupiał, zakorkował się od tego wszystkiego. Ray milczał, więc powiedziałam tylko:

- W porządku. Do widzenia. - Zeszłam na dół, a Penny tuż za mną.

Potem wyszłyśmy tylnym wyjściem i wstawiłyśmy do samochodu moje walizki oraz rzeczy Cecila. Byłam ciekawa, czy dom zauważy moje odejście.

Penny otworzyła drzwi.

- Masz wszystko?

- Tak - powiedziałam i usiadłam obok niej. - To koniec, tak? Skończyło się. Kropka. Tylko nie dla Cecila.

- Nic mu nie będzie - odparła Penny, włączając silnik. - Wszyscy się nim zajmimy. To nie tylko twoje zadanie. Masz już dość dużo na głowie. - Wyjechałyśmy z podjazdu. - Patrz, jak te jaskółki siedzą na drutach telegraficznych. Pewnie się naradzają przed odlotem.

Kiedy wróciłyśmy do stajni, Cecil bawił się na dworze, uważnie wrzucając kamyczki do starej doniczki i licząc.

Eva siedziała na pniu. Palila i czytała gazetę. Na nasz widok wstała.

- Wszystko macie?

- Chyba tak. - Penny pomachała do Cecila. - Chodź, Ciss, pojedziemy do Susan.

Rzucił patyk i ruszył do nas biegiem. Włożył rączkę w moją dłoń.

- Chodź!

To był moment odejścia. Teraz. Koniec. Penny zabierała mnie od nich, od Theo, od wszystkiego. Kolejny samochód pełen walizek, kolejne mieszkanie, bo tylko tyle mi zostaje, kiedy czyjeś życie się nie

udaje, kiedy inni muszą się przeprowadzić. Nikt nie chce mi sprawić przykrości, nikt się nade mną nie pastwi. Tylko „Chodź!”, bo inaczej bym została. Albo iść z nimi, albo nie mieć nic i nikogo. Iść z nimi albo się zgubić.

- Anno, czy to twój F2 jest na tym dużym biurku na piętrze?
- spytała nagle Eva.

- No, właściwie to twój - odpowiedziałam.
- Nie, twój - odparła powoli, patrząc na mnie. - Daliśmy ci go. Jeśli go tam nie ma, to jest w ciemni. Nie zapomnij.

- Może zechcielibyście go wysłać, wraz ze wszystkim, co znajdziecie? Muszę być w domu o szóstej.

Eva położyła rękę na ramieniu Penny.

- Pozwól jej iść.

Weszłam na piętro. Aparat leżał na biurku, ale nigdzie nie widziałam Theo. Potem przypomniałam sobie, że w ciemni terkotał wentylator. Choć może Theo zapomniał go wyłączyć.

Zapukałam do ciemni.

- Chwileczkę - odezwał się Theo, a potem: - W porządku, proszę.

Weszłam.

- Anna! - zawołał, jakby zaskoczony. W czerwonym świetle nie widziałam dobrze jego twarzy.

- Przyszłam się pożegnać.

I weszłam prosto w jego objęcia, bo miałam do wyboru to albo się rozpłakać, stojąc na środku ciemni. Przytulił mnie i pocałował w czoło.

- O, słodka Anno.

- Kiedy cię znowu zobaczę?

- Nie wiem. Może w galerii.

I już wiedziałam, że to nie przez Evę, także przez niego, i zrozumienie tego zabolalo mnie tak, że ból ogarnął całe moje ciało i nie mogłam oddychać ani się poruszać. A on mnie przygarnął, jak zawsze, tak że rozumiałam, że wszystko będzie dobrze. Tylko że nie będzie. Nie miałam go, nie będę mieć jego głosu i ciepła piersi, i tego, że wszystko wiedział i potrafił mi wytłumaczyć. Bez niego byłam zgubiona.

- Nie płacz - powiedział. Delikatnie wyjął mi z ręki aparat i położył go na warsztacie. - Rozchorujesz się.

- Jak mogę przestać, skoro tak cię kocham? I nawet nie będę się z tobą spotykać. Nie tak jak wtedy. Wiem, że mnie nie kochasz. Nawet mnie nie chcesz. A przynajmniej za mało. - Ból znowu się przeze mnie przetoczył, potężne skurcze rozpaczy, zaczęłam się słaniać, a Theo mnie podtrzymał i pogłaskał po głowie.

Kiedy ból zelżał, skurcze zaczęły łagodnieć. Trochę się wyprostowałam. Theo przyglądał mi się ze smutkiem.

- Zawsze przy tobie płaczę - powiedziałam z czymś w rodzaju uśmiechu.

Zobaczył to, też trochę się uśmiechnął i nagle, jakby ten uśmiech otworzył w nim jakąś bramę, pochylił się, ja uniosłam ku niemu twarz, nasze usta się spotkały i przez głowę przemknęło mi zdziwienie, jakie słodkie mogą być łzy.

Po długiej chwili jego wargi się cofnęły. Pocałował moje mokre, lodowate powieki.

- O, Anno, będę za tobą tęsknić - powiedział, a jego głos załamywał się i z trudem wydobywał. - Nie chciałem, żeby tak to było. Wiedziałem, że to złe... nie powinno się wydarzyć. Nie zamierzałem... ale byłaś taka słodka... tak bardzo przypadłaś mi do serca. Zacząłem... - Urwał.

Nie mogłam złapać tchu. Jego ręce parzyły mnie w plecy. Przez chwilę, kiedy tak staliśmy, świat stanął na głowie i wiedziałam, że moglibyśmy zacząć się kochać, na podłodze ciemni, a on nie mógłby - i nie chciał - się powstrzymać, ani teraz, ani potem, kiedy tylko byśmy mogli, bo to, co prawie powiedział, było prawdą. Czuł do mnie coś w rodzaju miłości, tylko trochę, troszeczkę, ale mnie to wystarczyło. Gdybym tu była, Theo nie mógłby się powstrzymać. Nadal mogłabym go mieć - w pewnym sensie.

Nie było to bardzo dużo, ale już dawno nauczyłam się nie żądać wiele.

Dotknął mojego policzka z jakby pijaną radością. Ręce mu zadrżały.

- Co się dzieje, milacku?

Nazywał tak Evę. Coś we mnie zaczęło musować i iskrzyć.

Ale te iskry były jak czerwona flara, pokazały mi wszystko, co wiedział, jakby rozwinęły się pasma czasu: roześmiani ludzie, umierający ludzie, spojrzenie żołnierza, który na wojnie oszalał, wielki posąg ściągany z trzaskiem na ziemię, roztrzaskane resztki

życia uchodźców, worki ziarna wywlekane z samolotu, migdały i morele w ogrodzie w Sewilli.

Widziałam to wszystko jego oczami. Będę je tak widzieć zawsze, ale nie były moje. Należały do Theo i Evy. Oni byli z tego stworzeni, to ich uczyniło, skaleczyło i wcieliło się w nich. Nie było dla mnie u niego miejsca, choćbym bardzo tego chciała, choćbyśmy starali się ukryć. Byłam zwyczajnym, bladym niczym, wciśniętym w cienki pasek między ich życia. A to mi nie wystarczało. Teraz już to wiedziałam.

Przyciągnęłam go i pocałowałam.

- Do widzenia. Pewnie już się nie spotkamy. - Zabrałam aparat i podeszłam do drzwi. - Dziękuję za... wszystko.

- Anno... - Wydawało mi się, że chciał do mnie wyciągnąć rękę, ale usiłowałam tego nie widzieć: starałam się myśleć o Stephenie, który odwrócił się i odszedł od Cataliny, bo tylko tyle mógł zrobić dla nich obojga.

Potem otworzyłam drzwi ciemni i wyszłam, a drzwi powoli zamknęły się za mną.

* * *

Wracałem do „El Moro” przez rzednące w południe tłumy, i dobrze, że ulice były mniej tłoczne, gdyż w głowie mej panował zamęt, a uczucia były w wielkiej konfuzji. Przed sobą miałem Lucy, która bez wątpienia dotrzymała słowa i nadal przebywała w gospodzie, lecz odeszła ode mnie tak całkowicie, jakby już znalazła się na pokładzie statku do Anglii. Za sobą zostawiłem Idoię, dziecko Cataliny, moje dziecko. Gdzieś w tym wielkim szarym budynku żyła, biały czepeczek i fartuszek pomiędzy setką innych, ani głodna, ani zziębnięta, ani zamknięta w komórce ze szczurami, lecz równie samotna i nieznająca miłości jak ja, ciało z mego ciała, poczęta w miłości, zrodzona w rozpacz.

Zapukałem do drzwi Lucy i wszedłem na jej zaproszenie, niemal potknąwszy się o spakowane i powiązane pakunki przy drzwiach. Lucy siedziała przy oknie, rysując.

Szybko podniosła głowę i wstała.

- Widziałeś ją? Czy jest zdrowa? Czy jest szczęśliwa?
- Jest zdrowa. Co do szczęścia... Dom jest bardzo dobrze prowadzony. Powiedziała, że jest szczęśliwa.
- Lecz nie jesteś pewien?

Idoia tylko skinęła głową, z rękami splecionymi na podolku. Ja swoją pokręciłem.

- Skąd mogę wiedzieć? Co ja wiem o dziewczynkach? A moje wspomnienia są... No cóż, nie mam do czego przyrównać tego, co zobaczyłem.

Zbliżyła się do mnie.

- Nie pomyślałam o tym. Nigdy nie mówisz o tych czasach.

- Nie ma o czym mówić. - Lecz gdy tylko wypowiedziałem te słowa, poznałem ich fałsz. Rzeczywiście, nie mówiłem, gdyż nie chciałem powracać do tych dalekich czasów, a niewiele osób mnie o to pytało. Lecz głęboko pod wieloma smutkami i miłościami te lata nadal żyły i ocknęły się na widok Idonii. Nie były obce, gdyż spoczywały w mej duszy, tak ciężkie, że od dawna zapadły się na jej dno, tak wrośnięte we mnie, że nie mogłbym ich nazwać wspomnieniami, lecz raczej upiorami, które od zawsze mi towarzyszyły.

- Nie dbam o takie stare historie.

Lucy wciąż patrzyła na mnie spokojnym wzrokiem, lecz wiedziałem, że mnie porzuca. Nie mogłem się nawet dziwić, bo dawno już nauczyłem się, by nie spodziewać się niczego więcej. Taki był wzór mego życia, ja zaś byłem głupcem, że przez te nieliczne dni i godziny roiłem sobie, iż Lucy mogłaby dostrzec w nim miejsce dla siebie.

Bawiła się ołówkiem, obracała go w szczupłych palcach. W końcu rzekła z pewną trudnością:

- Zdaję sobie sprawę, że ty... Pojęłam, jak... - Urwała, podeszła do otwartego okna i wyjrzała, choć mogłbym przysiąc, że jej wzrok w równym stopniu sięgał do wewnątrz jak ku światu zewnętrznemu.

Potem odwróciła się, zaczerpnęła tchu przeciągle, jakby westchnęła, i stanęła, ściskając parapet. Światło otoczyło ją aureolą.

- Stephenie, potraktowałam cię niesprawiedliwie. Powinnam być wdzięczna za twą troskę, choć jej nie potrzebuję, choć mnie uwiera. - Roześmiała się z pewnym zakłopotaniem. - Nie jestem ślepa na to, jak często się powstrzymujesz tam, gdzie inni mężczyźni narzucaliby się z pomocą.

Jej sakwojaże były zamknięte, stały przy drzwiach. Była w podróżnej sukni, a na stoliku leżał jej kapelusz i rękawiczki. Musiałem

znaleźć właściwe słowa, by zrozumiała, zanim ode mnie odejdzie. Gdybym mógł zatrzymać ją na chwilę, wyjaśnić jej... i gdyby wówczas nadal pragnęła odejść, nie zatrzymywałbym jej.

Zacząłem mówić powoli, wysnuwając tę myśl z maleńkiego, nieartykułowanego ziarenka ulgi:

- Mam nadzieję, że nauczyłem się przyjmować twój osąd, kiedy chodzi jedynie o twoje dobro. Lecz dzisiejszego ranka... mój lęk był jedynie... Ukochana, nie potrafię zmienić świata ani jego poglądów, tak jak jeden żołnierz nie może żądać, by wróg z dobrej woli ustąpił mu pola i ułatwił zwycięstwo. Jakżebym pragnął, żebyś mogła czynić, co zechcesz, mieć wszelką swobodę, jakiej zapragniesz, by uniknąć plotkarzy! Ale... - Urwałem, bo jak miałem powiedzieć, że wołałem poświęcić jej wolność - tę upragnioną uczciwość - by nie narazić dziecka Cataliny, które stało mi się tak drogie?

Lucy spoglądała na mnie, jej chmurny wzrok zaś zdawał się przeszywać moje myśli na równi ze słowami. Jej widok był mi jak dotyk noża na gardle. Po chwili powiedziała:

- Przypuszczam... Choć z własnej woli decyduję się na uczynki, które mogłyby na mnie ściągnąć potępienie, gdy rzecz idzie o szczęście innych, wybór nie należy jedynie do ciebie. Pomyślność twoja, Idonii...

- Czy możesz mi wybaczyć, że tak pomyślałem? - spytałem z drżeniem. - Że cię dziś zostawiłem? Że obraziłem cię - skrzywdziłem - pragnąc cię chronić?

Przez jej twarz przemknął uśmiech raczej gorzki.

- Powiedziałam ci kiedyś, że nie idzie mi o formy. Nadal tak myślę. Lecz gdy łączą się one z rozsądkiem i miłością dla innych, jak mogłabym się na nie nie godzić? To dobre cechy. Jak mogłabym nie szukać dla siebie miejsca w ich wzorze?

- Więc mi wybaczasz? - spytałem, lecz zanim przemówiła, wyraz jej twarzy dał mi tyle nadziei, że ruszyłem od progu ku niej. Potem nagle uśmiechnęła się, jakby zapłonął w niej wielki płomień, i powiedziała jedynie:

- Tak. - Z ulgą przypadłem do niej, a moja namiętność narastała.

Móc ją znowu chwycić w objęcia, po takim lęku, było radością domagającą się wyrazu, lecz nie ośmieliłem się tego uczynić, bo czułem, że to wybaczenie było dla Lucy kwestią tak doniosłą, iż lękałem się wykorzystać mą przewagę.

Jednak okazało się, że ja jej nie doceniłem, gdyż Lucy nie robiła niczego bez całkowitego przekonania, i ona także, jak pojąłem z niedowierzaniem, wyzwoliła się z własnych lęków i wątpliwości, których do tej chwili nie przeczuwałem. Nasze pragnienie potwierdzenia tego, co wyrwaliśmy zagrożeniu, było tak wielkie, że chcieliśmy go dopełnić w najszybszy z możliwych sposobów, i jeśli któreś z nas pamiętało, że przypłacimy to zmięciem sukni Lucy, nie traciliśmy tchu, by to wyrazić. Krótka drzemka, w którą potem zapadłem, dała mi zapomnienie głębokie i kojące, jakiegom jeszcze nie doznał.

Zjedliśmy obiad w gospodzie, a do Bilbao wyruszyliśmy w porze wieczornej promenady. Zdało się, że całe miasto wyległo na ulice, by pozdrowić sąsiadów, zaprezentować nowe suknie, pochwalić się przyjaciółmi i pannami na wydaniu. Uliczki starego miasta pod mostem w formie łuku miały dla Lucy nieodparty urok i raz po raz opierałem się o mur i stałem, patrząc, jak szybkimi, oszczędnymi kreskami ukazuje zwieńczenie gotyckiego okna lub ręce starca, żelazny filigran balkonu bądź chusteczkę zawiązaną wokół ciemnych włosów dziewczyny na supeł podobny kwiatu. Skończywszy, unosiła głowę, śmiała się i wracała do mnie. W ten sposób przewędrowaliśmy miasto. Szkicownik Lucy chłonał te wszystkie widoki, jeden po drugim, kreska po kresce, kartka po kartce, a gdy się odwracało stronicę, czas między nimi kurczył się i tracił znaczenie.

Znaleźliśmy się na szczycie Calle del Perro.

- Tam jest Sant' Agueda - powiedziałem.

Lucy spojrzała na wysokie szare mury o małych niedosiężnych okienkach.

- Czy ja znowu odwiedzisz?

- Tak. Czy zapomniałem to powiedzieć?

- Poruszaliśmy inne kwestie - odrzekła skromnie, ale spoglądając na mnie z uśmiechem w oczach.

- Rzeczywiście. Czy jesteśmy skazani na takie zwady?

- Tak - powiedziała. - Moja niecierpliwość i twoja ostrożność są jak oliwa i woda. Być może będziemy musieli często je ze sobą mieszać. - Widząc, że tak publiczne stwierdzenie nieco mnie zmroziło, roześmiała się głośno. - Ale co zamierzasz w sprawie Idoii?

Szliśmy w cieniu murów sierocińca; znów powrócił do mnie widok mojej córki, stojącej samotnie, być może za tym samym

murem, i nagle, bez żadnej zrozumiałej dla mnie przyczyny, ujrzałem oczami duszy chłopca, na którego natknęły się Nell i Titus, z lękiem kulącego się pod żywopłotem, niemającego dokąd uciec. Potem, z oddali, z dawnych czasów, przemknęły moje własne dziecinne wspomnienia - zaryglowane drzwi; twarz Pierce'a, tracącego przytomność, krzyk, który na nic się nie zdał. Wszystko to były szkice, jak te Lucy, a następowały jeden po drugim i składały się na przekonanie, że Idoia nie może pozostać w Sant' Aguedzie, że nie zostanie prawdziwie odnaleziona, dopóki nie znajdzie troskliwego i kochającego domu, a nie jedynie chrześcijańską dobroczynność.

Lucy zatrzymała się pod żółtym blaskiem ulicznej latarni.

- Stephen?

- Przepraszam. Rozwahałem, co najlepiej uczynić. Poza daniem jej posagu.

- W sprawie Idoii? Skoro to rozważasz, to wnoszę, że nie chcesz jej zostawić tam, gdzie jest.

- Nie - rzekłem i dodałem: - Nie przyjęła portretu matki. Długo na niego patrzyła, lecz powiedziała, że nie pozwoli jej go zatrzymać, więc mi go zwróciła.

- O, biedne dziecko! Może gdybyś umieścił ją w mieście, u jakiejś szacownej kobiety...

- Nie! - wybuchnąłem. - Nigdy!

Drgnęła jakby ze strachu. Potem jednak powiedziała spokojnie:

- Nie. Wybacz mi. Chyba rozumiem. - Nie rzekła nic więcej, lecz poczułem, że moja udręka znika, a wraz z nią część wspomnień.

Potem ujrzałem, że jej pierś wznosi się szybko przy gwałtownym wdechu.

- A może... - rzekła powoli - zastanawiasz się, czyby jej nie zabrać do Kersey?

- Lecz nie mieszkałaby jedynie ze mną. Byłaby z nami, a nie jest to decyzja, którą mógłbym podjąć sam.

Milczała długo, i choć oczy miała zwężone, jak wtedy, gdy obserwowała modela, sądzę, że nie widziała otaczających nas widoków. W końcu spytała:

- Jaka jest Idoia?

- Smagła. I mała, jak... jak jej matka. Bardzo cicha, lecz być może trudno inaczej zachowywać się w takich okolicznościach. -

Przypomniałem sobie Estefanię. - Miała lalkę, szmacianą. Powiedziała, że kiedy skończy siedem lat, będzie musiała oddać ją biednym.

- O, biedactwo! - zawołała Lucy. - Nie możemy jej tak zostawić!

- Czy jesteś pewna?

- Tak, musimy ją uratować i dać jej dom, gdzie żadne zasady nie będą jej bronić tego, co kocha.

Uśmiechnąłem się, by ukryć ulgę.

- Ukochana, czy to pewna decyzja?

- Tak - rzekła twardo, lecz dodała tonem znacznie mniej pewnym:

- Posiadanie twojej miłości daje mi tyle szczęścia, że wiem, iż kiedy raz odda się serce drugiej osobie, życie nie zawsze jest... będzie... łatwe.

- Rozumiem - powiedziałem powoli - lecz chciałbym to zmienić.

- Tak długo żyłeś z wizją tej miłości. A teraz będziemy mieć jej ucieleśnienie na co dzień.

Przed oczami duszy stanęła mi Idoia, spoglądająca na portret matki, i nie mogłem zaprotestować. Nagle uśmiechnęła się.

- Ale życie ze mną, z krwi i ciała, również nie będzie dla ciebie łatwe.

- Przeciwnie... - jałem protestować.

- Nawet twoja galanteria nie zatuszuje faktu, iż brak mi cnót, których mężczyźni szukają u żony. - Zanim zdołałem zaprzeczyć, dodała: - A Idoia nie jest wizją, lecz dziewczynką - twoją córką - i mam nadzieję, że będzie równie psotna jak wszystkie dzieci i nie mniej kłopotliwa, gdy znajdzie się w otoczeniu, gdzie jej natura będzie się mogła swobodnie wyrażać.

Pokiwałem głową na tę myśl i ująłem ją pod rękę.

- Zatem czy jutro pójdziesz ze mną do sierocińca? - spytałem. - Jako moja siostra lub narzeczona, cokolwiek zapragniesz. Razem odnajdziemy Idoię i zabierzemy ją do Kersey.

* * *

Płakałam prawie przez całą drogę do domu Penny. Łzy toczyły mi się po policzkach jak groch, aż po jakimś czasie dałam sobie spokój z ich dyskretnym wycieraniem, choć udało mi się nie chlipać. Siedziałam na tylnym siedzeniu - żeby być z Cecilem, jak powiedziałam - a Penny się nie sprzeciwiała. Cecil przylepił się do

mnie i musiałam się ciągle odsuwać, żeby łzy skapujące mi z brody nie padały na niego. Ale trochę mi pomogło, że przytulił się do mnie, choć ugniatał mnie gipsem. Trochę tak, jakby był przy mnie ktoś mały, ciepły, prawdziwy i dość niechlujny, kto nie pozwoli mi się rozpuścić w nicość, gdy jechaliśmy w milczeniu przez te same zielone aleje co z Theo, a jerzyki kołowały z krzykiem nad naszymi głowami, powietrze zaś było chłodniejsze niż dotąd, gryzące dymem ze ściernisk.

Susan czekała w progu domu. Cecil wyskoczył do niej, prawie nie czekając, aż samochód się zatrzyma. Nagle ogarnęło mnie takie zmęczenie, że wszystko mnie rozbolało.

Zostawiłyśmy Cecila, roześmianego i dumnie pokazującego Susan gips. Nie wiedziałam, że potrafi się śmiać, pomyślałam i w gardle zaczęły mi wzbierać jeszcze obfitsze łzy. Penny zaprowadziła mnie do wolnego pokoju na piętrze.

- Później przyjedzie Crispin. Może się umyjesz i zdrzemniesz? Niewiele spałaś, a przeżyłaś straszny wstrząs.

Skinęłam głowę i znowu zastanowiłam się, dość mętnie, czy wiedziała o mnie i Theo, ale byłam zbyt zmęczona, żeby się połapać, czy to ma znaczenie. Kiedy mi pokazała łazienkę i zeszła na dół, odciąłam się kotarami od żółtego światła, rozebrałam się i położyłam. Była tam taka kontynentalna kołdra zamiast koca; otuliła mnie jak chmurka i zapadłam przez nieskończony smutek w sen.

Obudziłam się ze snu o Theo. Było późno, widziałam, bo spod zasłon sączyło się przygasające światło. Wyprostowałam się i nagle poczułam ból, nadal zalegający mi w żołądku jak gorący ołów. Już się zdążyłam do niego przyzwyczaić, jakby się we mnie zadomowił. Pewnie teraz już tak będzie, pomyślałam. Zawsze.

Ktoś zapukał cicho do drzwi, jakby nie chciał mnie budzić, jeśli śpię. To była Susan z małą piramidką moich ubrań, schludnie złożonych, i Cecil mocno ściskający tace jedną ręką i częściowo drugą, z powodu gipsu. Na tacy był imbryk i filiżanka, i tylko trochę wylało się na biszkopty.

- Mama powiedziała, że wujek Crispin zostaje na kolację - oznajmiła Susan - a jeśli chcesz zejść na drinka, to będzie im miło. Jemy dopiero o dziewiątej. Mama uprała twoje ubrania, ale tylko parę wyschło.

Kiedy poszli, ruszyłam do łazienki, wzięłam szybki prysznic i umyłam głowę. Wróciłam i napiłam się herbaty. Przy łóżku stały kolorowe pisma, a w porcelanowym pojemniku na toaletce znalazłam waciki, pachniało pastą do podłogi, herbata była gorąca, spłynęła we mnie i obudziła mnie, aż nawet dotarł do mnie zapach pot - pourri na parapecie, jeszcze rozgrzanym po całym dniu, i poczułam ciężki aksamit ręczników na moim nagim ciele, a gdy się ubrałam - gładkość bawełny, upranej i wyprasowanej. Otworzyłam drzwi i usłyszałam ciche głosy radiowego dziennika, coś o Big Benie, że go uruchamiają, bo go zatrzymali. Ciekawe, co trzeba zrobić zegarowi tych rozmiarów, żeby zaczął chodzić.

Crispin siedział na patio, a błękitny wieczór mieszał się z żółtym światłem z okna bawialni. Dostrzegł mnie, stojącą w drzwiach, i wypłatał się z fotela.

- Anno, kochanie! Jak dobrze cię widzieć! Mam nadzieję, że się wyspałaś. Bardzo mnie zmartwiły te wieści o twojej babce. - Podszedł, chwycił mnie za ręce i pocałował w oba policzki. - Penny uruchomiła jakąś maszynę, żeby zrobić kolację, Susan jej pomaga, więc usiądź ze mną i pozwól, że zrobię ci drinka.

Pomyślałam, że naprawdę zaczęło mi smakować białe wino. Popijaliśmy je i rozmawialiśmy o pogodzie i galerii, ale czułam, że Crispin krąży ostrożnie wokół imienia Theo. Nagle sięgnął po aktówkę przy krześle.

- Przyszło mi do głowy, że mogłabyś być tym zainteresowana - powiedział, wyciągając coś. - Znalazłem to na wyprzedaży pod Ipswich. To nie należy do archiwum Kersey Hall, więc mogę ci to dać. - Było to takie pudełko, w których sprzedają modne naszyjniki, ale stare i odrapane. - Otwórz.

Zameczek stawiał mi trochę oporu. Uniosłam wieczko, a w środku znajdowała się fotografia Kersey Hall. Wydało mi się, że jest bardzo stara, bo budynek wyglądał na czysty i nowy, ale zdjęcie nie było blade i zamglone, jak można się było spodziewać. Przede wszystkim było nie na papierze, lecz na szkłe, a każdy komin, listek i źdźbło trawy były tak ostre, jakby wykłuto je na powierzchni igłą. Trzeba było je przechylić, żeby zobaczyć wszystko, a i wówczas na czarnym aksamicie pełgały odblaski; słońce lśniło w oknach i migotało wśród liści. Drzwi frontowe były uchylone, a wewnątrz robiło wrażenie

chłodnego i cienistego. W mroku widać było kogoś o ciemnych włosach, w sukni o długiej, białej spódnicy.

- Autor musiał być znawcą tematu. Dagerotyp nie jest prostą techniką. - Crispin pochylił się i dotknął mojej dłoni. - Spójrz na kartkę.

Na atlasowej wyściółce wieczka znajdowała się kartka, gruba i kremowa. Nie znałam tego charakteru pisma: ciemnego, pospiesznego i większego od kroju liter Stephena.

Idoia Jocelyn, nee Idoia Maura, Kersey, czerwiec 41.

Siedziałam i gapiłam się, usiłując pojąć, co widzę. Crispin uśmiechnął się do mnie.

- Szczerze mówiąc, to Theo powiedział, że powinienem ci to dać. Powiedział, że na drugie imię masz Jocelyn.

- Tak - mruknęłam i krew zaczęła mi tętnić w uszach. - A Stephen wspomina w listach o Idonii. To musi być moja... Nigdy nie zwracałam sobie głowy pokrewieństwem i tak dalej. Ale Theo musiał...

Nagle okazało się, że łzy nie pozwalają mi mówić, widzieć i oddychać. Zamknęłam pudełko i poczułam, że Crispin zabiera je ostrożnie. Wszędzie były ciemności. Po chwili włożył mi w dłoń chusteczkę. Była duża, pachniała prasowaniem, lawendą i woskiem, i razem z troską Penny jakoś pomogło mi to bardziej, niż mogłam się spodziewać. Ci ludzie wiedzieli o nas, widzieli nas, ale nas nie osądzali ani nie chcieli nic zmieniać. Byli przyjaciółmi.

- Nie wiedziałam, czy wiesz - powiedziałam w końcu.

- Wystarczyło raz spojrzeć w twarz Theo, żeby zrozumieć jego uczucia - odparł. - Choć przez chwilę nie wiedziałem, że to zaszło tak daleko - tak głęboko. U obojga. I nic nie można z tym zrobić.

Skinęłam głową.

- Poprosił, żebym przyniósł ci twoje zdjęcia - powiedział, znowu sięgnął po aktówkę i wyjął parę płaskich pudełek po papierze fotograficznym.

Wewnątrz były dwie obłóżki z moimi negatywami i odbitki. Dom, portyk z cieniem za szkłem, twarz Cecila, święty z ratusza.

Ręce Theo wokół filizanki.

Na ten widok gruzeł bólu znowu rozjątrzył się we mnie i zamknęłam pudełko. Crispin wpatrywał się w swoje palce. W końcu odezwał się, nie podnosząc głowy:

- Wiesz... Theo i Eva wyjeżdżają z Kersey. Theo prosił, żeby cię powiadomić. Jadą do Paryża. On wyjeżdża dzisiaj, żeby poszukać mieszkania, a Eva przez parę dni spakuje wszystko i dołączy do niego. Mają nadzieję, że na stałe zamieszkają w Madrycie, kiedy tylko sytuacja polityczna na to pozwoli.

Musiałam jednak wydać jakiś odgłos, bo dodał:

- O, biedactwo. Bardzo mi przykro.

- Kiedy to postanowili? - spytałam ochryple.

- Decyzja wisiała w powietrzu od śmierci Franco, ale oczywiście nikt nie wiedział, co się wydarzy. A oni... oni nie należą do ludzi, którzy potrafią zagrzać miejsce. Zresztą Eva chce wrócić do domu, to wiem na pewno. Ma tam nadal rodzinę.

- Theo nie może wrócić do domu. I nie została mu żadna rodzina.

- Nie. Ale jej rodzinę traktuje prawie jak własną. Pomyślałam o Theo, szukającym czegoś prawie własnego, zawsze w drodze, opuszczającym Kersey, stajnie, wsiąkającym na powrót w tamten świat, samoloty, maszyny do pisania, kawiarnie, hotele. Świat, który znałam tylko ze zdjęć, filmów, pasm czasu migoczących w ciemnościach. Nie mogłam za nim podążyć. Będę musiała znaleźć mój... mój własny świat. Mój prawie własny świat.

Na dnie pudełka znajdowała się obłóżka, taka, w której przechowuje się pojedyncze zdjęcia.

To była ta miliciana, którą wywołaliśmy pierwszego dnia, kiedy Theo pokazał mi, że światło słoneczne może być czarne, a cienie srebrne. Jej imię nie jest informacją, tylko jej działanie, powiedział Theo. Ale potem dodał: Przynajmniej tyle mogłem zrobić.

Na odwrocie małymi czarnymi literkami napisał: „Dla Anny od Theo, na pamiątkę wielkiego szczęścia”.

Patrzyłam na to bardzo długo, słyszałam jego głos, a mój smutek mruczał w tle jak wentylator z ciemni.

Cecil stanął obok mnie. Wsunął mi w rękę dłoń.

- Penny mówi, że kolacja gotowa. A potem mnie położysz spać. Dobrze?

Miedzy drzewami coś się rusza, ale nastały takie czasy, że już się nie podrywam, nie chwytam za pistolet. Powietrze jest krystaliczne i rześkie, listki młode, i widzę, że jeszcze muszą pociemnieć na słońcu, jeszcze się nie całkiem rozwinęły, a każda żyłka i ząbkowana krawędź zdaje się wyrzeźbiona przez światło. Wiosenne słońce nie ma dość

mocy, by wyciągnąć żywicę z sosen, aż jej woń zacznie uderzać do głowy. Moja stopa i laska nie wydają dźwięku. Jakby mnie tu nie było.

Przez drzewa, na młodej nowej trawie wokół Kersey Hall widzę biegające dziecko. Słońce migocze na szkle i kamieniu, rozprasza się wokół chłopca, gdy przykuca na ziemi, bawi się pierwiosnkami, sosnowymi szyszkami, kamykami. Nie jest to żaden z mych synów, ale chyba znam jego twarz, choć nie imię. Zdaje się niewiele starszy, a jednak sędzę, że nie spotykałem go od wielu lat. Czy to jego widywałem, przyczajonego na dębie, znikającego za rogiem domu, bojącego się psów? Czy to ten zagubiony?

Teraz widzę, że się odnalazł, bo podskakuje, śmieje się, biegnie z wyciągniętymi rękami na ścieżkę wiodącą od stajni, którą nadchodzą dwie kobiety. Światło razi mnie w oczy, lecz gdy jedna z nich się ogląda, dostrzegam, że nie jest to Lucy. Młodsza idzie pierwsza, prowadzi ją i dopiero po jakimś czasie widzę, że to nie Idoia, tak bardzo przypomina mą córkę złocistością cery i czernią włosów. Tak jakbym jednak widział mą żonę i córkę, odbite w szkle; dwie kobiety podobne do siebie i nieświadome mego wzroku, w swoim czasie i przestrzeni, a jednak obecne w moim. Starsza kobieta chwyta chłopca za rękę, mierzwi mu włosy.

Patrzę, niedostrzeżony. Młodsza kobieta pochyla się, obejmuje chłopca, a jej rozpuszczone włosy falują na ramionach. Potem bierze go za rękę. Przez długą chwilę stoi, spoglądając na dom, choć nie potrafię rzec, kogo tam szuka.

Potem razem zawracają i odchodzą ścieżką, która wiedzie do wioski.